

WIERCHY



ROCZNIK SIÓDMY

1929

WIERCHY



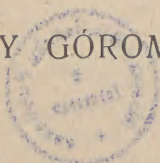
DOLINA BIAŁEJ WODY

(W głębi szczyt Świstowy)

For. Zwoleński

WIERCHY

ROCZNIK POŚWIĘCONY GÓROM I GÓRALSZCZYŹNIE



ORGAN POL. TOW. TATRZANSKIEGO WYDAWANY PRZEZ
ZARZĄD GŁÓWNY ŁĄCZNIE Z ODDZIAŁEM LWOWSKIM TO-
WARZYSTWA POD KIERUNKIEM KOMITETU REDAKCYJNEGO.
REDAKTOROWIE: PROF. DR. JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI
(RED. NACZ.), PROF. DR. WALERY GOETEL — CZŁONKOWIE
KOMITETU REDAKCYJNEGO: PROF. DR. ADOLF CHYBINSKI,
DR. ROMAN KORDYS, MAJOR BRONISŁAW ROMANISZYN

ROK SIÓDMY

KRAKOW 1929

NAKŁADEM POL. TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W KRAKOWIE
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA W KRAKOWIE



P 1624

91(23):496.52](058)

SPIS RZECZY.

	Str.
Niedźwiedz w Tatrach (z 2 ilustr.). <i>St. Barabasz</i>	1
O założeniu Nowego Targu na Podhalu i o nazwie tego miasta. <i>Ign. Moczydłowski</i>	29
Z podziemi tatrzańskich: grota Kasprowa Niżnia (z 6 ilustr. w tekście i mapą poza tekstem). <i>St. Zwoliński</i>	39
W „styrbnych miejscach“; przyczynek do psychologii taternictwa. <i>Marjusz Zaruski</i>	54
Z Cieszyna do Szczawnicy (z 10 ilustr.). <i>Marjan Nunberg</i>	65
Rohackie Stawy (z 2 ilustr. w tekście i 1 poza tekstem). <i>A. Gadomski</i>	79
Gadeja (z 1 ilustr. poza tekstem). <i>Wojciech Brzega</i>	87
Przez siedm gór i przez siedm dolin na nartach. Ze wspomnień narciarza (z 26 ilustr. i 1 mapką w tekście, 1 ilustr. i 1 mapką poza tekstem). <i>Roman Kordys</i>	95
Z lat dawnych. 1. Pobył w Karpatach (1823). 2. Baltazara Szopińskiego „Z gór- łami na Podole (1868). 3. Pismo starostwa nowotarskiego do gromady Dzianisz z r. 1817	125
Karykatury Jacka Malczewskiego (z 1 ilustr. w tekście i 4 poza tekstem)	136
Kronika.	
Tworzenie górskich Parków Narodowych w Polsce. <i>Walery Goetel</i>	139
Muzeum tatrzańskie. Rok 1928/9 i plany na przyszłość (z mapką w tekście). <i>Jul. Zborowski</i>	154
Zagrożone źródła Wisły. <i>K. Sosnowski</i>	169
„Droga Orkana“. <i>K. Sosnowski</i>	171
Gospodarka turystyczna w Beskidzie Zachodnim 1928/9 (z 1 ilustr.). <i>W. Midowicz</i>	173
Zakopanie u Focha. (Przemówienie na Akademji ku czci Focha w Zakopanem 13 kwietnia 1929). <i>Józef Diehl</i>	176
Zmarli. — M. Świerż. — A. Kegel (z 1 ilustr. w tekście)	178
Badania naukowe	182
Ochrona przyrody	188
Turystyka (z 5 ilustr. w tekście i 1 poza tekstem)	189
Kronika zakopiańska	198
Piśmiennictwo	204
Różne sprawy	215
Od Redakcji	216
Sprawozdanie Zarządu Głównego P. T. T.	I—XLIX
Ilustracje. — W tekście 56 cynkotypij, w czem 2 mapki.	
Tabele poza tekstem: 1 cynkotypja (4 ilustracje); — 5 rotograwur (1 przed tytułem: z Doliny Białej Wody, — 4 wśród tekstu).	
Okładka: Z okolic Morskiego Oka, fot. <i>Zwoliński</i> .	

WIERCHY (LES CIMES).

ANNUAIRE DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DES TATRY.

SOMMAIRE.

L'ours dans les montagnes des Tatry. — La fondation de la ville de Nowy Targ. — Dans les grottes tatriennes: Basse Kasprowa. — Au dessus des précipices; un chapitre de la psychologie alpiniste. — De Cieszyn à Szczawnica. — Les lacs de Rohacz. — Gadeja (recits d'un vieux montagnard). A travers sept montagnes et sept vallées. (Souvenir d'un skieur). — De jadis.

Chronique: Travaux préparatifs aux parcs nationaux limitrophes. — Le musée tatrien de Zakopane. — Les sources de la Vistule menacées. — „La route d'Orkan“. — L'organisation du tourisme dans les Beskides de l'Ouest. — Les montagnards polonais chez le maréchal Foch. — Les morts. — Recherches scientifiques: Protection de la nature. — Tourisme. Chronique de Zakopane. Litterature. Divers.

Comptes rendus de la Société Polonaise des Tatry.

Illustrations hors texte: La vallée de Biała Woda. — Le mont Rohacz (Tatry). — Gadeja (portrait sculpté en bois). — Carpathes de l'Est: le mont Sywula. — Caricatures de Jacques Malczewski. — Le pic Kościelec (Tatry). — Sur la reliure: Aux environs du lac de Morskie Oko. — 2 Cartes.

Adresse de la Société Polonaise des Tatry: Kraków, rue Potockiego 4 (Pologne).

Adresse du redacteur: dr. Jean Pawlikowski, Lwów, rue 3 Mai 5 (Pologne).

Niedźwiedź w Tatrach.

Niedźwiedź, kozica, świstak i orzeł są tak ściśle związane z pojęciem Tatr, że stanowią wraz z owcami, juhasem, brzęczeniem dzwonek i bekiem owiec, dopełnienie krajobrazu tatrzańskiego, bez czego byłby on niezupełny.

Wycieczki odbywane dawniej w góry w towarzystwie górali, nęciły nie tylko dlatego, żeby wspiąć się na jakiś szczyt w rekordowym czasie, nieznaną jeszcze drogą, bez względu na to czy widok z niego wart wysiłku, ale także dlatego, że spędzało się dzień w beztróskim spokoju, miało się sposobność obcowania bezpośrednio z przyrodą, że wypatrywało się po turniach i upłazkach kozic, nasłuchiwało gwizdu świstaka, którego trudno było wyprzeć.

Nagły wykrzyk górala: „Wicie panie orzeł“ zelektryzował wszystkich, chwymano za lornetki, podziwiano jak ten królewski ptak zataczał majestatem koła, nastawiając skrzydła pod wiatr i pławił się w słońcu, aż znikł gdzieś za turniami.

Wtem szmer spadających z góry kamyków zwrócił uwagę. Kto je mógł strącić? Bystre oko górala pierwsze dojrzało: „Hań na upłazku, pod tą turnicą wicie kozy! Dwoje, troje, o pięcioro, zje dy widno jak idom w górę“.

Potem na odmianę przyszła mgła, potem deszcz, znowu słońce, wspañiała tęcza cudnym łukiem ożywiła pejzaż, wreszcie nocleg przy ognisku, gdzieś w kosówce lub szałasie, przypomnienie wrażeń dnia ubiegłego, opowiadanie górali o swoich przeżyciach, wszystko składało się na piękną całość, którą się niełatwo zapomina.

Coś jednak jeszcze w tem brakowało, jakieś nieuświadomione pragnienie przeżycia czegoś, coby uzupełniło te wrażenia.

W latach 1915/16 drukował autor w „Łowcu“ rzecz p. t. „Polowanie na niedźwiedzie w Tatrach“. Gdy rzecz ta jest już dziś niedostępna, a przedmiot jej nie tylko interesuje miłośników Tatr, ale jest nadto ze względu na projektowany Park Narodowy i przewidzianą w nim ochronę niedźwiedzia bardzo aktualny, uprosiliśmy autora, aby swą poprzednią pracę przerobił i uzupełnił dla naszego pisma. Artykuł niniejszy jest przeto drugim, poprawionym, skróconym ale i uzupełnionym wydaniem „Polowań na niedźwiedzie“. (Przyp. Redakcji).

Wtem Wojtek, kładąc do fajki węgielek z ogniska i pykając z niej, zaczął gwarzyć: „Belek roz z nieboscykiem Pająkiem w Jamnickiej na kozy. W ścienkach poślakowaliśmy niedźwiedzia; seł od Tomanowej Liptowskiej“.

Ależ tak, niedźwiedź! o nim myślałem nie zdając sobie sprawy z tego; — on nam brakuje do całości wrażeń. Gdyby można spotkać się z nim kiedy!..

Tymczasem wystarczyć nam musi opowiadanie o nim; wypełni ono tę lukę, tak jak opowiadanie o zbójnikach i skarbach zakopanych ożywia nam krajobraz gór.

Znając Tatry od lat kilkudziesięciu, interesowałem się jako myśliwy ich fauną — wypytywałem przewodników, pomiędzy którymi znalazło się sporo kłusowników, o stosunki łowieckie w górach. Ku temu nadawały się wybornie długie godziny spędzone nieraz bezsennie przy ognisku, podczas noclegów w kosówce lub w lesie. Wtedy góralom rozwiązywał się język.

W tych hotelach różnie bywało, czasem spało się i pod parasolem, a gdy przyszła nagła ulewa, to trzeba było nieraz w nocy uciekać i szukać schronienia pod jakim starym smrekiem, którego grube i gęste gałęzie, rosnąc prawie do ziemi, nie dopuszczały deszczu. Różnych opowiadań nasłuchiwałem się wtedy. Niejeden chętny gaduła o bujnej wyobraźni, łąał jak najęty, drugi znów małowowny nie chciał opowiadać o swoich wyprawach, pomimo zapewnień o dyskrecji z mej strony. Ten był pewny, nie chciał się chwalić i nikogo zdradzić. Od takiego wiadomości były najcenniejsze. Te same wydarzenia słyszałem od różnych strzelców, w różny opowiadane sposob. Od naocznych świadków lub też uczestników słyszane notowałem skrzętnie.

Pamiętam raz, podczas takiego noclegu na jakiejś przełęczy w orawskich górach, gdy znużony, słuchając opowiadań przewodnika, zacząłem drzeć przy dogasającym ognisku, wszczął się nagle pod nami w dolinie piekielny hałas, brzęk dzwonek, ryk bydła, beczenie owiec i gwałtowne ujadanie psów, a w to wszystko buchnął strzał. Zerwałem się, pytając co to takiego. „Zje widno niedźwiedź wpod do kosaru“.

Za chwilę padł znowu strzał w drugiej dolinie, a potem i w dalszej. „To juhasi strzegom od niedźwiedzia“.

Na drugi dzień, gdyśmy szli graniami ku Rohaczom, mówił do mnie Wojtek: „Pozirojciez panie bez lurniętę ku sałasom, cy ta kany jakiego wołu nie drencom — nie wisi ka skóra na dahu?“

Ale nic nie było.

Z pierwszym widowym śladem niedźwiedzia spotkałem się w Tomanowej, przyszedłem bowiem nazajutrz po jego wizycie... W biały dzień wpadł między pasące się bydło, skoczył na roślą jałowkę z tyłu i wbił jej pazury w boki. Juhasi z bacą wczas spostrzegli co się dzieje, przybiegli z krzykiem,

wywijając ciupagami i płonącemi „sajtami“, psy się rzuciły, ujadając wściekle i odbito szczęśliwie jałówkę. „Ale nie rod ją puścić“, mówili. Jałówka miała rany na żebrach i formalne wzgórki zsiadłej krwi i ropy ciekącej po skórze.

Po św. Jakóbie niedźwiedź poczyna bić bydło i owce po halach, mawiają górale.

Jeden stary niedźwiedź, widocznie systematyk, urządził to w pewnym porządku. Gdy zabił w Cichej, to później w Kamienistej, następnie w Pysznej, potem w Jarząbczej. I tak było przez kilka lat; później to ustało, widocznie zginął gdzieś od kuli.

Marzeniem mojem było od lat, zobaczyć niedźwiedzia w górach; robiłem w tym celu kilkudniowe wyprawy ze znanym niedźwiedziarzem w miejsca, gdzie ma on zwykłe swoje przechody, — oglądałem pobojowiska gdzie Wojtek gromił niedźwiedzie, lecz nie było mi danem spotkać się z nimi. Może dlatego, że pora nie była odpowiednia, za duży ruch był w tym czasie w górach, a późną jesienią nie mogłem przyjechać.

„Kiebyście panie przijehali wte, kie śnieg przikurzi wirchy, to byście sie śnim zešli“. Ale wtedy nie miałem czasu.

* * *

Późną jesienią, gdy śnieg w górach pokryje szczyty i zbocza trawiaste powyżej górnej granicy lasów, gdzie rosną gęsto bruśnice, które niedźwiedź namiętnie lubi, schodzi on na zręby i do dolin, gdzie znajduje się jeszcze nie zebrany, bo niedojrzały owies, który mu wtedy za pożywienie służy i pożądaną odmianę w jego spisie potraw stanowi.

Owies i jęczmień na nowych zrębach rośnie bardzo bujnie i dosięga nieraz wysokości człowieka, zaś na polanach mających mało słońca, bardzo późno lub też wcale nie dojrzewa i często się zdarza, zwłaszcza w mokry rok, że zanim dojrzeje, śnieg go przysypie. Jest to pora, kiedy niedźwiedzia łatwo wytropić, zwiedziawszy się bowiem o takim niezzebranym owsie, odwiedza on go regularnie z całą rodziną w nocy i straszne w nim czyni spustoszenia. Siada bowiem na zadzie, zgarnia przednimi łapami tyle owsa do paszczy, ile obejmie, ogryza ziarno i dalej się posuwa. Po takiej wizycie niedźwiedziej o zbiorze niema co myśleć. We wsiach sąsiadujących blisko z Tatrami, ludność mająca obsiane owsem pola między lasami, pilnuje całemi nocami swych płonów, paląc ognie, strzelając i krzycząc, dla odstraszenia zwierza.

Chłopi z Brzegów prosili, aby zasiać na niedźwiedzia, który co noc przychodził do owsa. Widziałem te spustoszenia i zasiadałem bezskutecznie, bo raz niedźwiedź nie przyszedł, a drugi raz chłopi włóczyli się po polach i robili taki piekielny wrzask przez całą noc, że wyrzekłem się zasiadania w takich warunkach.

Czasami zastawiają samopały, ale to rzecz zawodna i niebezpieczna. Na owies zasiany przy leśniczówce na Zazadniej, wychodził w nocy niedźwiedz i robił szkody. Leśny usadowił się na smreku przy owsie, aby czatować na niego. W nocy przyszła niedźwiedzica z młodem tuż pod drzewo na którym on siedział, tak że nie mógł strzelić. Coś jej się jednak nie podobało, gdyż wróciła zaraz do lasu. Zastawiono więc na nią samopał na przesmyku do owsa. Umocowano strzelbę w odpowiedniej wysokości, w poprzek ścieżki wyciągnięto sznurek i czekano na wynik... W nocy strzał zelektryzował wszystkich, oględziny nad ranem nie wykazały jednak ani śladu niedźwiedzia przy samopale; i widocznie sznurek z powodu wilgoci nocnej skurczył się i ściągnął jęczyzek u strzelby, która wypaliła.

gorzej się stało przed laty w Zuberku, na Orawie. Córka leśniczego, przechodząc ścieżką, gdzie był nastawiony samopał, nacisnęła sobą sznurek i zastrzeliła się.

W części liptowskiej Tatr, na przechodach niedźwiedzich zastawiają żelazne oklepce ogromnych rozmiarów. Przyczepiony do nich łańcuch z hakami na końcu, uniemożliwia schwytanemu za nogę niedźwiedziowi ucieczkę, zaczepiając po drodze o drzewa i korzenie. Widziałem te żelaza pod Krywaniem, ogromne, trudno je było ruszyć z miejsca. W taki oklepiec schwytał się raz jakiś samotny turysta słowacki za nogę i dopiero po trzydniowej męce został przez leśnego uwolniony.

W dobrach poronińskich leśniczy Pawlica, który zasiał na polanie w lesie owies, zauważył, że go ktoś kradnie. Poszedł więc w nocy, aby złodzieja na gorącym uczynku przyłapać. I rzeczywiście dostrzegł górala w ciemnej cusze, jak schylony zbierał owies, jakby do płachty. Podkradał się chyłkiem ku niemu, aby go przeciągnąć toporzyskiem po krzyżach, lecz ten widocznie poczuł wiatrem człowieka i mruknawszy ze strachu, uciekł w jedną stronę, a Pawlica w drugą, dziękując Bogu że nie uderzył ciupagą niedźwiedzia.

Tenże leśnik wybrał się raz do lasu na cechowanie drzewa. Chodząc po lesie i znacząc drzewo przeznaczone na wyrąb, zbliżył się do upatrzonego grubego smreka, aby go naznaczyć i skamieniał z podniesioną do góry ciupagą na widok niedźwiedzia, który dźwignął się mruczając, utkwił w niego małe ślepia — i stali tak chwilę naprzeciw siebie, poczem niedźwiedz pierwszy powoli się oddalił. Niedźwiedz spał pod drzewem, zapewne dobrze najedzony, i gdyby nie zupełna nieruchomość przerażonego leśniczego, może byłby go poturbował za przerwanie spoczynku.

* * *

O tem, że w bezpośredniej bliskości Zakopanego przechodzą corocznie niedźwiedzie, mało wiedzą goście zakopiańscy. Dzieje się to zazwyczaj późną

jesienią lub też na wiosnę, gdy jeszcze śniegi leżą. W pierwszym wypadku idą do gawry, w drugim już ją opuściły i chodzą szukając trawy, którą znajdują wytajaną z pod śniegu na oborniku przy szałasach. U nas gawrują w dolinie Roztoki pod Wołoszynem. Tam też spotyka się najpóźniejsze w jesieni tropy a i z wiosną pierwsze ślady prowadzące do wody w potoku.

Opowiadał mi Biały Krzeptowski, gdy raz w jesieni byli po drzewo w Roztoce i śnieg ich przykurzył, tak że musieli kilka dni tam czekać, przeszło wtedy z Węgier siedem niedźwiedzi na Czubę. Było to w czasie, kiedy jeszcze nowej drogi do Morskiego Oka nie było.

W jednym ze źleńców Wołoszyna, nad domem dróżnika, znaleziono z wiosną 1913 r., idąc za starym tropem niedźwiedzia, jego leżysko. Było ono na skałce, z której zwieszała się kosodrzewina, wyścielone gałęziami i nawet całymi smreczkami. Po odkopaniu śniegu znalazły się i kudły niedźwiedzie, nie było zatem żadnej wątpliwości, że to jego gawra, tem bardziej, że wokoło było wiele wyłamanych świerków, grubości ramienia, poskładanych na kupę.

W lasach stanowiących własność Siedmiu Gmin, na granicy Orawy, istniał serwitut zwany „willija“, polegający na tem, że każdy chłop należący do tych gmin, mógł w ostatni piątek poprzedzający dzień wigilji Bożego Narodzenia, wywieźć furę suchych gałęzi z lasu, za opłatą 20 centów dla leśnego.

Jan Gruszka Cudzios z Dzianisza, wybrał się kilka dni przedtem, aby sobie zawczasu przygotować materiał do wywozu, na trzydniówkę w chochołowskim rewirze. Zbierając i obcinając suche gałęzie, wylał na ogromnego wykrota powalonego przez wiatr halny, którego korzenie wysoko w górę sterczały, tworząc jakby ścianę wyrwaną z ziemi. Pod tym wykrotem leżały młode smreczki równo, jakby poukładane. Przybiegł ku niemu pies jednego z towarzyszy, którzy opodal zbierali gałęzie, węszył ku wykrotowi, kręcił głową na boki i psikał. Gruszka myślał, że chłopcy nasypali psu do nosa popiołu z fajki, jak to nieraz z figlów robią. Ale pies pchał się pod wykrot i zaczął ujadać. Wtem wykrot zadrżał pod nogami Gruszki, odezwał się gruby pomruk, smreczki się rozleciały, z pod wykrota wyjechał pomału ogromny niedźwiedź i oganiając się psu pobiegł w las, aż mu się baranica na garbie trzęsa. Chłop tak się przestraszył, że zaniemógł, uciekł z towarzyszami do szałasu na Siwej, gdzie dopiero po dwóch godzinach odzyskał mowę. A wódki nie mieli na leczenie.

Na niedźwiedzia tego polowali witowanie bezskutecznie ze dwa tygodnie. Za każdym razem uszedł szczęśliwie i obiegł niedaleko. Aż raz srodze przyciśnięty, nie mając gdzie uciec, zjechał ze stromego stoku po gołodzi

na węgierską stronę, przyczem się pokaleczył i farbił. Tam już za nim więcej nie śledzono.

Mam zanotowane, że w roku 1904 w jesieni przeszedł bardzo wielki niedźwiedź od Smytni w dolinie Kościeliskiej ku Kirom. Przed ujściem doliny zбочył w las na prawo, szedł pod regłami ku Małołące, przeszedł przez mostek tuż koło chaty leśnego i dalej popod regle tak zwaną drogą żelazną, aż do kamieniołomu, gdzie skręcił na Krokiew i koło schroniska braci Albertów przeszedł w dobra poronińskie. Całą tę drogę wytropili leśni po śniegu.

Z końcem marca 1909 r., podczas wycieczki narciarskiej, w chwili gdy na polance Bacug fotografowaliśmy Giewont, przeszedł żlebem z Miętusiej do Małołaki niedźwiedź, tropiony przez trzech leśnych, i przysiadł poniżej nas, w odległości około stu kroków, w młodniku. Ruszony przez leśnych przeciął nasz ślad o kilkadziesiąt kroków za nami. Gdyśmy zjechali żlebem Warzęchy do altany w Strążyskach przy wodospadzie, dogonił nas leśny i opowiedział o tym niedźwiedziu. Pospiesziliśmy corychlej, aby mu przeciąć drogę na potoku, lecz on już pierwej przeszedł między Sikławą a szałasami na Czerwonej Przełęczy, a ztąd prawdopodobnie przez Patyki swą zwykłą drogą dalej.

* * *

Pożywienie niedźwiedzia zależne jest od pory roku. Z wiosną, po wyjściu z gawry, w której nie śpi, jak ogólnie mówią, lecz drzemie, schodzi do potoku pić, potem szuka trawy, którą w tym czasie, gdy jeszcze na górach śniegi leżą, znajduje jedynie koło szałasów, rosnącą na nawozie wytajałą wśród śniegów. Wtedy jest bardzo chudy i słaby, bo wyniszczony długim postem. Chodzi daleko, szukając pożywienia, włóczy się po górach, czasem uda mu się sarnę lub łanię zabić, nie gardzi nawet padliną, byle tylko się pożywić. Z nastaniem traw i jagód poprawia się jego kuchnia. Tak jak i inna zwierzyna w tej porze, zjada grzyby, poziomki, maliny, jarzębinę, później owies, a przede wszystkim borówki i bruśnice. Wtedy często go spotkać można na zrębach. Ulubionym przysmakiem niedźwiedzia są mrówki, które skrzętnie wyszukuje, przewracając leżące kamienie i rozdzierając spróchniałe pniaki na zrębach. Ślady tej roboty nieraz widziałem i słyszałem trzeszczenie rozłupywanych pni.

Gospodyni schroniska w Roztoce szła raz ku Pięciu Stawom. Niedaleko Sikławy zesła z drogi i zbierała maliny, przyczem natknęła się na leżącego niedźwiedzia. Niewiadomo kto był więcej przestraszony, bo oboje uciekali co sił w przeciwnych kierunkach.

Na Zazadniej dwoje dzieci z leśniarki, zbierając na „Jantku“ na zrębie maliny, widziały opodal w maliniakach chłopa w ciemnej cusze, tylko dziwno

im było, że „cupkał“ na rękach; dopiero gdy ujrzały obok małego tak samo ubranego, domyśliły się, że to niedźwiedź i uciekły wystraszone do domu.

Inżynier Z. zajęty przy budowie drogi do Morskiego Oka, wyszedł ze strzelbą na Wołoszyn, aby strzelać jarząbki na wabia. Na zrębie wypadł na niego rogacz, widocznie przez kogoś spłoszony — a gdy śledził za przyczyną tego popłochu, spostrzegł w bliskości wielkiego niedźwiedzia, który go jednak jeszcze nie poczuł. Mając strzelbę nabitą cienkim śrutem, wycofał się ostrożnie z tego sąsiedztwa.

W r. 1903 zdaje mi się, profesor M. buszował na Gołym Wierchu za rogaczem, w towarzystwie praktykanta leśnictwa Bleha. W młodniku łączącym się z Szerokim Żlebem Bleha chwycił go za ramię, wskazuje przed siebie i szepcze: Niedźwiedź! Strzelaj pan! Ten widząc przez gałęzie jakąś ciemną masę, strzela i wali na ziemię świerka. Niedźwiadek uciekł milczkiem, a Bleha dojrzał również uciekającą niedźwiedzicę, która prawdopodobnie nie wiedziała o niebezpieczeństwie, jakie jej potomkowi groziło, bo sprawa by tak gładko nie poszła.

Czasem jednak człowiek błogosławi chybiony strzał..

Nadleśniczy O., będąc w październiku na Czubie, spostrzegł niedaleko siedzącego na jarzębinie niedźwiadka. Gdy namyśla się, czy strzelać, stara, której na razie nie spostrzegł, widocznie go poczuła, podbiegła pod drzewo, spędziła niedźwiadka i uciekła z nim.

W tymże czasie w Szerokim Żlebie, niedaleko od „Jantka“, w miejscu gdzie zabiłem w r. 1904 niedźwiedzia, napotkałem świeże jego ślady przy rozłupanych, spróchniałych pniakach, w których szukał mrówek. Jarzębina była na wysokości czterech metrów obłamana z gałęzi, na pniu ślady pazurów wylazącego młodego niedźwiadka, który widocznie urwał się z gałęzią, gdyż rosące obok świerki miały połamane wierzchołki.

Droga leśna, prowadząca od leśniczówki na Goły Wierch, służy niedźwiedzom za ścieżkę w przechodach nocnych, znać na niej wiele odcisków łap niedźwiedzi na błocie, szerokości około 15 cm. Również i na drodze prowadzącej z gościńca na Wierchporońcu ku Zgorzeliskom, widzieć można wiele tropów niedźwiedzia.

Dzierżawca schroniska przy Pięciu Stawach, Bigos, spotkał w maju 1928 w Roztoce niedźwiedzia, który popatrzył na niego i poszedł spokojnie dalej. W dwa dni później przyszedł niedźwiedź od Siklawy popod Kozi Wierch na Gładką Przełęcz. Obserwował go Bigos ze schroniska przez całą drogę. Z końcem maja zobaczył młody chłopak, zastępujący gospodarza tego schroniska, turystę idącego ze Świstówki ku szałasowi. Rozpalił corychlej ogień, aby miał gotową herbatę, gdy gość nadejdzie, wyszedł przed szałas, aby go

powitać i skamieniał z przerażenia na widok stojącego przed szaląsem niedźwiedzia.

W listopadzie 1926 r. wracał Bigos do Pięciu Stawów z prowiantami. Wyprzągnął konia przed Siklawą, bo dalej wózkami jechać nie mógł, zabrał towar na plecy i zaniósł do schroniska. Wróciwszy po konia usłyszał jego parskanie, podbiegł i zobaczył niedźwiedzia przy koniu, który był odwrócony do niego zadem i wierzał. Niedźwiedź po zaświeceniu mu latarką elektryczną w oczy uciekł.

W r. 1927 kilku turystów wracających z Wołoszyna rozłożyło się w okolicy Waksmundzkiej dla wypoczynku. Pozdejnowali plecaki i ubranie, chcąc użyć kąpieli słonecznej. Niespodzianie zjawia się niedźwiedzica z młodem. Turysty dopadają rozłożystego świerka, rosnącego w pobliżu, niedźwiedzie zaś poczynają buszować po obozowisku za pożywieniem, rozdierając plecaki i ubrania, racząc się znalezionymi prowiantami. Jeden z turystów miał w plecaku większą sumę pieniędzy; obawiając się, aby mu ich niedźwiadki nie poniszczyły, chciał zleźć z drzewa, ale mu wyłómaczono że gra nie warta świeczki. Zaczęli więc krzyżeć i hukać, aby niedźwiedzi odstraszyć, co im się wreszcie udało.

W sierpniu 1902 r. znalazł się niedźwiedź koło Nowego Targu, w lesie, blisko toru kolejowego. W wędrówce swej chciał przejść torfowiska i ugrzązł w nich. Pasterze zobaczyli go i rzucając kamieniami, napędzili do lasu. Właśnie wtedy myśliwi nowotarscy wybrali się na łąki na krzyki. Dowiedziawszy się o niedźwiedziu, wrócili się po psy gończe i kule. Podłożone we wskazanym miejscu psy, ruszyły go. Niedźwiedź biegł wzdłuż linii myśliwych, którzy wszyscy do niego strzelali, aż padł. Ważył 107 kg.

Z końcem sierpnia 1904 r. koło leśniczówki na Zazadniej, podczas buszowania na starym zrębie w Szerokim Żlebie, porośniętym kępami smreczyny, jarzębiny i bujną trawą, mignął się powyżej mnie bury grzbiet zwierza. Poskoczywszy w to miejsce, a byłem z dobrym wiatrem, ujrzałem niedźwiedzia stojącego na zadzie, sięgającego łapami i pyskiem do gałęzi młodej jarzębiny, którą chciał nagiąć ku sobie. Widziałem doskonale, mimo zapadającego zmroku, ogromny przechylony na bok łeb i jasną obrozę na szyi, gdyż stał o dwadzieścia kilka kroków odemnie. Strzeliłem na łopatkę, zamruczał kilkakrotnie, przegalopował w gąszczu około mnie i znalazłem go rano w odległości stu kroków od miejsca strzału. Była to niedźwiedzica z brunatnym łbem i bokami, czarnym garbem i jasną obrożą na szyi. Mierzyla 160 cm od nosa do końca grzbietu. Sadlista była, bo na grzbiecie i szynkach miała na dwa palce grubo sadła. W żołądku znalazłem jagody jarzębiny, smolyszy i głogu. W pomociu, który puściła po strzale, był niedotrąwiony owies i mrówki. Prawdopodobnie była to ta sama niedźwiedzica,

do której przed dwoma laty strzelaliśmy wraz z dr. Zduniem, na skórze bowiem widoczna jest blizna na tylnej łapie od kuli Zdunia.

W r. 1910 byłem z leśnym Sitarzem na Czubie. Na Świstówce widziałem kilka kozic, a jedna uchodziła powoli przed nami granią Czuby aż do lasu. Szliśmy graniami w stronę Wodogrzmotów, ścieżką udeptaną przez zwierzynę. Wyszedszy z lasu na stary zrąb, spotkaliśmy kilkakrotnie pomioty niedźwiedzia, a naokoło dużego, płaskiego kamienia, na którym widocznie on nieraz odbywał siestę południową, kompletny wychodek niedźwiedzi. Sitarz opowiadał, iż przed trzema tygodniami widział powyżej tego miejsca niedźwiedzia na skale,



Niedźwiedź ubity w Małym Żlebie. Fot. A. Święch.

objadającego bruśnice, które rosły nad przepaścią, tak że musiał się on dobrze pazurami trzymać, aby nie spaść. W trakcie opowiadania, jakby na potwierdzenie tych słów, zawołał nagle półgłosem: panie, niedźwiedź! — i wskazał ręką przed siebie. Dojrzałem go i ja, jak się pasł na jagodach, kręcąc się w prawo i lewo. Poleciałem leśnemu, by pozostał w miejscu i obserwował go, ja zaś zacząłem go podchodzić. Podchodzenie było trudne, z powodu iż wiatr był niezbyt korzystny, a zbocze kamieniste zavalone gałęziami i wykrotami, obejść go zaś z innej strony niepodobna było. Doszedłszy do miejsca, gdzie jak mi się zdawało powinien być się znajdować, nie znalazłem

go. Zato wlałem w gniazdo jarząbków, które z głośnym furknięciem rozleciały się na wszystkie strony. Niedźwiedź musiał mnie usłyszeć, gdyż — jak mówił leśny — podniósł się wsparłszy łapy na wykrocie, nadsłuchiwał przekrzywiając głowę jak wyżeł, następnie pasł się i drugi raz ten manewr powtórzył, poczem skoczył i uciekł w dół do Roztoki po przepaścistych turniach i tarasach. Leśny przyznał się, że wypatrzył sobie zawczasu smreka, aby na niego się wydrapać w razie zranienia zwierza.

Tegoż dnia wieczorem, gdy siedzieliśmy obaj na tym samym zrębie, widział on znowu niedźwiedzia, idącego w górę; twierdził jednak, że to był zupełnie inny niedźwiedź.

Dzień ten był fatalny, gdyż leśny odszedł mnie, zabrawszy torbę z żywnością. Zaskoczony ciemnością, w zupełnie obcym mi miejscu, między wykrotami i gnijącymi świerkami, musiałem noc przepędzić w deszczu, nie mogąc znaleźć wyjścia z tego labiryntu. Wypościłem się przez 24 godzin gruntownie — przyczem jakiś złośliwy duch leśny tak mnie omamił, że potoki, które słyszałem całą noc z obu stron Czuby, przemieniły się rano: Rybi był w Roztoce, a ten od Siklawy płynął od Morskiego Oka. Była to kara za nieudane podchodzenie ranne, za niewyzyskanie spotkania.

* * *

To, co teraz opowiem, stało się w r. 1906 za poprzedniej administracji dóbr zakopiańskich. Zarządca, sam nie myśliwy, nie urządzał żadnych polowań i nie pozwalał polować nikomu z podwładnego mu personalu.

Jeden z urzędników zarządu ogromnie lubił zwierzynę, ponieważ jednak niewolno było polować, wymykał się od czasu do czasu cichaczem do lasu, aby uszczknąć jakiego rogacza, co mu się nieraz udało. Gdy jeździł na wypłaty robotników leśnych, pozostawiał leśniczemu całą robotę, a sam pojechał do lasu niby dla kontroli.

Otóż ten pan przyszedł raz do mnie i z miną tajemniczą wydobył z pod płaszcza dość dużą oczyszczoną czaszkę i pyta, czy poznaję, co to za zwierze.

— Naturalnie — odrzekłem — to czaszka niedźwiedzia; — gdzieś ją pan znalazł?

— Nie znalazłem, tylko zabiłem — odparł z dumą — przyjdź pan do mnie, pokażę panu skórę z niego.

Otóż z tym zabitym przez niego niedźwiedziem tak się rzecz miała:

Dobrawszy sobie towarzysza, nadającego się wybornie do takich ekspedycji, znanego wówczas w Zakopanem Blaszkęgo, pojechali obaj z końcem października w stronę Morskiego Oka, popróbować szczęścia, czy się nie da co ustrzelić. Poproszył śnieg, jednak w lesie borowin nie przykrył. Koło Wo-

dogrzmotów dogonił ich leśny zadyszany z nowiną, że pod Czerwonemi Brzeżkami wlaźł prawie na niedźwiedzia, pasącego się na borówkach. Nie chcieli temu wierzyć, lecz ten zaklinał się, że to prawda, a i wystraszona mina potwierdzała jego słowa.

Porozumiawszy się wzrokiem ze sobą, wysłali leśnego do innej części lasu z jakimś zleceniem, a sami corychlej udali się pod Czerwone Brzeżki. Znaleźli ślad leśnego, i idąc pod trop ostrożnie, rozglądali się na wszystkie strony. I rzeczywiście przyszedł aż do niedźwiedzia, który się pasł w małej kotłince, w grubym lesie, zgarniając łapami krzaki borówek do kupy. Spieszył się widocznie z tą robotą, aby mu ich śnieg nie zasypał do reszty. Blaszkę, nawiasem mówiąc doskonały myśliwy-klusownik, był bez strzelby. Znał on dobrze zwyczaje zwierza, był nieraz na polowaniu na niedźwiedzia i obawiając się, aby kasjer swą gorączką nie popsuł sprawy i niedźwiedź ich nie pobił, chwycił go za ramię i wycofał w tył.

— Mierz pan za ucho i strzelaj spokojnie jak do wrony — szepnął.

Ten chowając się za smreki, podsunął się ku niedźwiedziowi, który był tak zajęty borówkami, że nie słyszał co się wkoło niego dzieje, a borowiny i śnieg miękkie głużyły kroki. Wymierzywszy za ucho wypalił.

Po strzale widział tylko cztery łapy niedźwiedzia machające w powietrzu. Cofnął się ostrożnie ku Blaszkemu i naradzali się, co zrobić.

— Żyje jeszcze, bo strasznie stęka, musisz go pan dobić.

Podszedł znowu ku niedźwiedziowi, który siedział na zadzie wsparty szeroko na przednich łapach, łeb trzymał spuszczonej, z którego buchała posoka i ciężko stękał. Strzelił mu do boku i znowu uciekł w tył. I powtarzała się ta operacja jeszcze dwa razy, przyczem jeden ładunek nie wypalił. Gdyby niedźwiedź był wtedy dojrzał myśliwego, mogłaby być katastrofa.

Za wiele już było tego niedźwiedziowi, wstał i powlókł się do łożyska potoku, gdzie otrzymał wreszcie śmiertelną kulę na sztych w piersi, która go ostatecznie powaliła, drasnawszy spód serca.

Radość była niezmierna, Blaszkę sprawdziwszy, że to niedźwiedzica, aż położył się na niej z uciechy.

— Ale dzień się kończy, trzeba zwołać leśnych aby ją ztąd wynieśli.

— A to na co — mówi kasjer — zabierzemy ją dla siebie.

Blaszkemu w to graj, lubił on niezmiernie takie sztuczki, w których był mistrzem. Wypatroszyli tedy niedźwiedzicę w potoku, patrochy schowali pod skałę, związali łapy do kupy, wsunęli między nie uciętego świerka i dźwignawszy z wielkim trudem na ramiona, zaczęli nieść ku drodze. Ciężka to była praca w tym terenie i tylko tak zawzięci ludzie jak oni mogli temu podołać. Przedtem uprzętnęli wszelkie ślady farby, a niosąc niedźwiedzia uwiązał Blaszkę wielką miotłą z gałęzi świerczyny w tyle u pasa, która wlo-

kąc się za nimi zamiatała ślady ich stóp. Resztę miał dopełnić śnieg, który właśnie zaczął padać.

Złożywszy niedźwiedzia w gąszczu blisko drogi, jeden z nich poszedł zobaczyć gdzie są leśni, a drugi po wózek, którym dopiero późnym wieczorem — zrobiwszy przedtem kilka mylnych kluczeń — zajechali po niedźwiedzia. Z niezmiernym wysiłkiem złożyli go na wózek i pojechali ku domowi.

— Ba, ale po drodze leśniczówka; tam będą się dziwić, jeżeli nie wstąpimy; — co robić?

Stanęli przed domem, kasjer wszedł śmiało i zaczął z miejsca coś opowiadać.

— A gdzie pan Blaszcze? — pyta się leśniczy.

— Urznął się, jak nieboskie stworzenie i śpi na wozie.

Wydało się to prawdopodobnem, gdyż miał on pod tym względem ustaloną sławę. Wypiwszy strzemiennego^{ca} i ucałowawszy się z leśniczym, którego był serdecznym przyjacielem, wymówił sobie, aby go do wozu nie odprawiano, wsiadł na kozioł i pojechali. Przybyli do Zakopanego w nocy, nie mieli więc świadków przy przenoszeniu niedźwiedzia na strych, wózek zaś zatrzymali do rana, aby go umyć z farby, i dopiero potem odesłali do Kuźnic.

Na drugi dzień leśny meldował leśniczemu o owym niedźwiedziu — kazano mu tropić za nim, lecz ślady były tak starannie zatarte i świeży śnieg przypadł, że leśny nie wiedział co się z nim stało; dalszego tropu nie znalazł.

— Przecież na skrzydłach nie uleciał — mówił leśniczy...

Chociaż przyrzekli sobie solennie ścisłą tajemnicę o tym wypadku zachować, to jednak kasjer nie mógł wytrzymać aby się nie pochwalić zabiciem niedźwiedzia; — rozgadał więc pod sekretem wszystkim znajomym. Zarządcy dóbr, który zobaczył u niego piękną rzeczywiście skórę na ścianie, powiedział, że tę przysłała mu w prezencie ciotka.

Mnie przekonała nie tyle skóra, bo tę mógł kupić, jak to, że zaprowadził mnie na pole walki, wyjął schowane pod skałą płuca i serce draśnięte kulą. Pokazało się, że kasjer zbyt dosłownie rozumiał strzał za ucho, bo mając zwierza zupełnie z profilu, strzelił poza czaszkę w kark i kula przeszła mięśnie nie naruszwszy kręgow. Inne strzały, dawane dorywczo tylko w kontury zwierza, bez dokładnej znajomości anatomji, nie powinny były mieć miejsca — przedłużały tylko niepotrzebnie jego mękę.

* * *

Na Rusinowej Polanie od wielu lat zimuje z owcami baca z Mur-zasichla. W r. 1916 miał on kilkakrotnie wizytę niedźwiedzia. Porwał mu dwie owce

z koszaru, jedną pozałł częściowo na miejscu, drugą zawłókl gdzieś w las. Baca, broniąc owiec, wszedł z chłopakiem i psem do koszaru, rozpałł ogni-sko i całą noc pilnował krzycząc, a pies, najeżywszy sierść, chował mu się pod nogi i nie okazywał zwykłej psom owczarskim liptowskiej rasy, odwagi. Niedźwiedź zaś krążył koło koszaru, chcąc znowu porwać jaką ofiarę; owce beczały na różne głosy i tłukły się po koszarze. Opowiadał stary baca, że jak długo żyje, jeszcze tak okropnej nocy nie przeżył.

Z rozdartej owcy zdjęli skórę, rozpięli na patykach i umieścili na żerdzi na dachu szałas, dla wysuszenia. Następnej nocy niedźwiedź znowu przyszedł, wylał na dach, załamał go, zwałił żerdkę i zabrał skórę. On wiedział, że skoro zabił owcę to i skóra jemu się należy.

Niedźwiedzica przy młodych, zwłaszcza jeżeli była kiedy strzelana, staje się niebezpieczną, gdyż napada na spotkanego niespodzianie człowieka, bez żadnego powodu.

Brat leśnego Budza z Brzegów, wracając przed laty nad ranem od dziewcząt, zeszedł się niespodzianie na Klimkówce z niedźwiedzicą, przy której było dwoje młodych. Wpadła na niego, uderzyła go z boku łapą, czem przerzuciła go przez rów. Podarła tem uderzeniem pazurami serdak, kabat i skórę na żebrach.

W sierpniu 1918 r. koło Zazadniej postrzelił chłop niedźwiedzia, który wszedł do lasu dworskiego. Leśniczy p. B. polecił leśnym szukać postrzałka, aby nie zgnął bezużytecznie. Jeden z leśnych, Pawlikowski, wracając z tego obchodu natknął się na dwa młode niedźwiadki, a nie chcąc się spotkać ze starą cofnął się, gdy nagle wypadła z gąszczu niedźwiedzica i rzuciła się na niego. Strzelbę miał ze sobą, lecz jej użyć nie zdążył. Zdarła mu skórę z głowy, złamała dwa żebra, dotkliwie pogryzła ręce i nogę. Byłby on niewątpliwie zginął od rozjuszonego zwierza, gdyby nie piesek, który był z nim. Zaczął on atakować młodego niedźwiadka, czem zwrócił uwagę starej na siebie. Porzuciła więc leśnego i pobiegła za młodem, a leśny pozbiarał się tymczasem i dowlókl na drogę, gdzie go chłopci znaleźli i przyprowadzili do domu.

Z początkiem października 1919 roku na Magórze Orawskiej postrzelił żołnierz czeski niedźwiedzicę, chodzącą z dwojgiem młodych. Jakoś w tym czasie szedł młody 14-letni góralczyk z Cichego, od szałas, ojcowskiego, granicą leśną między Magorą a Witowem, gdy niespodzianie wypadła z lasu niedźwiedzica, stanęła na zadzie i przewróciła go uderzeniem łapy. Chłopak stracił przytomność, a odzyskawszy ją, wstał i powłókl się do domu, gdzie mu rany opatrzone. Miał on zdartą skórę z głowy z włosami i ślady zębów na czaszce. Widział, że niedźwiedzica farbowała z rany, i że było przy niej dwoje młodych.

Szczególną złośliwością odznaczyła się niedźwiedzica, chodząca z dwójgim młodych, w r. 1927. W lesie między Rzepiskami a Jurgowem, na Spiszu napadła 14 sierpnia dziewczynę z Czarnej Góry, Stefanję Remias, zbierającą grzyby i zabiła ją. Niedaleko będący pasterze słyszeli jakiś pisk i widzieli uciekającą niedźwiedzicę, ale niebardzo się nad tem zastanawiali dopiero popołudniu przechodząca tamtędy kobieta znalazła zabita dziewczynę, która miała zdartą z głowy skórę z włosami, oko wyrwane i uda poszarpane. Koszyczek z grzybami leżał o kilkadziesiąt kroków dalej. W kilkanaście dni później, w Solisku nad Jurgowem napadła ta niedźwiedzica syna leśnego Bigosa z Jurgowa, podrapała go, podarła kabał, nad którym się chwilę zabawiła, o tyle że chłopiec mógł się wydrapać na smreka. Ta sama niedźwiedzica pokazała się na Osturni, gdzie dwaj chłopcy paśli owce. Zobaczywszy młode niedźwiadki kręcące się między owcami, starali się je odpendzić. Na to wpadła stara i pobiła ich łapami, jednego na śmierć, rozbiwszy mu czaszkę, drugiego straszliwie podrapała. Zaraz po tym wypadku zrobili na nią polowanie i zabili ją koło Żdżaru. Ważyła 120 kg, zęby miała starte.

Bardzo prawdopodobne, że to była ta sama niedźwiedzica, która przed kilku laty pobiła leśnego Pawlikowskiego.

* * *

Za dawniejszych właścicieli Zakopanego, Eichborna i Piltza, zarząd dóbr urządzał często polowania na niedźwiedzie. Leśniczowie poszczególnych rewirów, przy spadłej ponowie w październiku, bez osobnego rozkazu, wysyłali leśnych w celu tropienia, wiedząc zgóry że myśliwi zjawią się napewno nazajutrz rano na leśniczówe bez poprzedniego zawiadomienia. I to był jedyny sposób urządzenia polowania z pewnem prawdopodobieństwem spotkania. O kilku takich polowaniach wiem od biorących w nich udział myśliwych.

W r. 1887, z końcem września, w rewirze Renias, otropiono niedźwiedzicę z dwoma młodem. Postrzelono ją śmiertelnie, obległa, a na drugi dzień wyszła na leśnego, który ją zabił.

W tym samym roku w październiku, polowano koło Rusinowej Jaworzyny na starego niedźwiedzia, który wyszedł na kilka kroków na niemyśliwego, komiwojażera z Wiednia. Ten wystrzelił, nie mierząc i trafił w czoło. Był to jeden z największych niedźwiedzi, jakiego w Tatrach zabito.

W r. 1887 polowano na niedźwiedzicę, która wyszła na leśnego Działonia i ten ją powalił.

Później polowali na niedźwiedzia, do którego strzelali Henryk Sienkiewicz i Tadeusz hr. Dzieduszycki. Strzelony w płuca niedźwiedź przeszedł na Hurkotne, potem przez Białkę do Jaworzyny i przepadł.

W r. 1902 z otropionych trzech niedźwiedzi wyszedł jeden na strzał; draśnięty w tylną nogę kulą dr. Zdunia obległ niedaleko, wyszedł poraz drugi i chybiony przeszedł do dóbr jaworzyńskich.

W r. 1912 urządzało starostwo obławę w rewirze Zgorzelisko. Niedźwiedzica z piastunem wyszła na leśniczego i żandarma, chybiona na czysto.

* * *

Górale, wyprawiając się na kozice w jesieni na słowacką stronę i bawiąc po kilka dni w górach, spotykają się nieraz z niedźwiedziem. Często zdarza się przytem, że z powodu lichej strzelby, braku kuli lub zbytnej gorączki strzelca, zwierz źle trafiony uchodzi i ginie marnie, bez pożytku dla nikogo. Znajdywano nieraz kości niedźwiedzie rozwłózione przez lisy, jak to miało miejsce w r. 1912 przy poszukiwaniu zwłok ś. p. Szystowskiej w dolinie Cichej, koło Tomanowej Liptowskiej, gdzie oddział pogotowia ratunkowego znalazł kości niedźwiedzie. Brak ścierwa prawie zupełny, przypłaszczone do ziemi kudły naprowadzały na myśl, że leżeć musiały przez zimę, a cienkie pazury i drobny ząb przedni wskazywały na młodego niedźwiedzia. Jakoż później dowiedziałem się, że niedźwiedzia tego postrzelił w listopadzie poprzedniego roku Jasiołk Tyrała. Wracał on z Kopek Liptowskich, gdzie zastrzelił dwie kozice na jeden strzał. Niósł je w torbie na plecach, gdy w dolinie Jaworowej, powyżej górnego szałas, natknął się niespodzianie na niedźwiedzia. Strzelbę niósł pod pachą, zaledwo miał czas odwieźć jeden kurek i strzelić do niego na kulawy sztych loftkami na dwadzieścia kroków odległości. Po strzale widział jak się syplą kudły z niego, zabeczwał, zawrócił na zadnich łapach i znikł w gąszczu. Szlakował go potem, jak szedł popod Ścienki ku Tomanowej — dalej ślad zaginął.

Przedtem postrzelał Jasiołk Tyrała dwa niedźwiedzie, których nie dostał, a Wojtek Nazim jednego w Zuberskiej.

Sposób, w jaki górale polują na niedźwiedzia, jest bardzo prosty. W jesieni, gdy bruśnice dojrzeją, wypatrują do dnia i przed wieczorem w dobrze im znanych miejscach z przeciwległego zbocza góry, „cy sie ka niedźwiedź nie pasie“. Biorąc pod uwagę wiatr, podkradają się, o ile się da najbliżej, nieraz na kilka kroków pod zwierza, który ma słaby wzrok, a za to wyborny wiatr.

— Cym go blizy podkradniesz, to ci je pewniejszy, tyn ci juz nie uciece precki; — nie trza tak jak Luptoki, co strzylajom do niego z jedny góry na drugom, bo sie go bojom, haj.

Tradycyjnie nabijali po dwie mniejsze kule owinięte szmatą do lufy, jak to robił Sabała, a strzelali zwykle z obu luf naraz. Dzisiaj już mają lankastrowki i manlichery.



Maciej Sieczka Kulawy wypatrzył raz dodnia, jeszcze o zmroku, pasącego się w źlebie niedźwiedzia. Przy podkradaniu się wybrał sobie nad tym źlebem turniczkę, za którą zamierzał się schować, aby obserwować zbliżającego się ku niej zwierza. Tymczasem, gdy już był niedaleko, „turnicka ruszyła się i hipła z drugim niedźwiedzie w huścioki“ zanim Maciek zorientował się, że to nie skała, tylko ogromny niedźwiedź.

Władysław Krzeptowski, we wrześniu 1919 r., podszedł dwa niedźwiedzie, pasące się na borówkach w dolinie Cichej i strzelił do bliższego z manlichera. Ten się przewrócił, potem dźwignął i chwycił łapami za głowę. Po drugim strzale został, a drugi niedźwiedź dopiero wtedy uciekł. Skórę sprzedał Krzeptowski za 14.000 koron.

W tym samym roku podszedł Stopka Dziaduś dwa niedźwiedzie i strzelił do większego, który po strzale, rycząc, rzucił się na znacznie mniejszego towarzysza i zaczął go okładać łapami, sądząc widocznie, że on mu ten ból sprawił. „I tak becały oba — jak mówił Stopka — jeden grubiej, a drugi zaś cieniej“. Niedźwiedzia tego Stopka nie dostał.

Jednym z najzawziętszych niedźwiedziarzy, po Sabale, który zabił podobno dziewięć niedźwiedzi, był towarzysz jego wypraw myśliwskich, a mój długoletni przewodnik, Wojtek Bukowski z Pająkówki.

Po zabiciu pierwszego niedźwiedzia tak się w tem polowaniu rozsmakował, że w jesieni tygodniami siedział w górach, roboty w domu zaniedbywał, aby tylko upatrzeć niedźwiedzia i zabić. A zabił ich sześć, licząc te, „co łupił“, kilka zaś zgniło źle strzelonych, zwłaszcza w początkach jego zawodu strzeleckiego.

Zawzięty i śmiały był to chłop. Niedźwiedź raniony rzucił się na niego, on mu umknął z oczu w las, a potem szedł za nim, aż go dostał.

— Taki źwirz to się opłaci, za skórę dadzom kielkadziesiąt papirków, becke misa się nasoli i jest co jeść bez zime, haj.

Raz przyniósł mi on kawałek starej niedźwiedziny do skosztowania, ale nie można było tego mięsa jeść, takie było twarde i włókniste.

Za młodu był on wielkim awanturnikiem, „rod się bijoł“, a biją tu dobrze, z początku toporzyskiem, potem obuchem, wreszcie i ostrzem ciupagi, — więc nieraz dobili go tak, że leżał jak martwy. Trzeźwili go potem, polewając konewkami wody i taki mokry przeleżał czasem całą noc do rana. To też ogłuchł z latami, dostał suchot i trawiony gorączką miewał ciągle pragnienie. W górach mało jadł, a pił niezmiernie wiele z każdego źródła. Spotkałem go raz, gdy już nie mógł iść w góry. Żalił się przedemną, że tak go ciągnie, taką ma „mature“ do gór, a tu mu dech zapiera i nie da. W kilka miesięcy potem umarł.

Niewielkiego wzrostu, szczupły, o chudej pociągłej twarzy, okolonej

rzadkimi jasnymi bokobrodami i długimi włosami, jak je starzy góral nosili, oczy blisko osadzone, niezmiernie bystre, wzrok jasny, nos orli — wszystko składało się na bardzo interesującą postać.

Gdy mu córki podrosły, brał je z sobą na polowania, nauczył je strzelać; wieczorem gotowały mu stawę, a że silne dziewczki były, więc nosiły capy w torbie na plecach do domu, nie zwracając na siebie uwagi służby leśnej.

Podczas wycieczek które robiłem z nim, opowiadał mi o swych wyprawach na kozice i przygodach z niedźwiedziami. Pierwszego niedźwiedzia podszedł w r. 1880; wybrali się wtedy z Wojtkiem Samkiem, wiedzieli bowiem o wielkim niedźwiedziu, który bił statek w Bobrowcu. Dodnia wyszli z domu, w południe Samek znalazł świeże łajno.

„Kwałaz Bogu kie nasr.. dzisiok, to on ta bedzie ka nie prec“ mówił. Usiedli tedy i wypatrywali po zboczach. Pod wieczór dojrzeli go na drugim boku góry, jak wyszedł z młodego zapustu źlebkiem.

„Widziołek co beł corny a łeb mioł siwom“. Gdy się zaczął paść, obszedł go Wojtek przez gąszcze od przodu i zaczął się podkradać ku niemu; wtedy dostrzegł, że ma na boku jasne plamy jak talary.

„Na mój dusiu to iny nieźwiedź, tamten beł corny i nie w tym źlebku, ba w drugim“.

Gdy go podszedł na strzał, siadł i czekał aż się przybliży ku niemu. I przyszedł może na dziesięć kroków, a że to było w gęstej świerczynie, widział przez małe okienko tylko „końdek grzybietu“, nie wiedział jednak „cy od zadku, cy od karku“. „Stary Sabała choć nie kiej radził, co mu nolepi pod przedniom łopatke, kie wykroczy strzelić, wte je nopewniejszy“.

Wyjął więc flintę z tego okienka i założył w drugie, czekając, aż nadejdzie. A że słońko zachodziło, to i wiatr zaczął się zmieniać, „tak i zaleciało go, bo blisko beło, porwoł sie, hipnon w las, haj“. Żałował, że nie wystrzelił do niego wtedy z obu luf naraz, kulą i loftkami, to możeby go było dobiło, „kieby prasnon sobom ze skały dołu“.

Drugie spotkanie miał on cztery lata później. Jakoś przed Wszystkimi Świętymi, wybrali się Sabała, Jasiek Tyrała i on, na grzebanie świstaków. Pod Wielkim Rohaczem zaskoczyła ich kurniawa, wrócili się więc do Chochołowskiej do szałasu. W nocy śniło się staremu Sabale, że miał mieć uczynek z księżą gospodynią i zbudził się w krytycznej chwili. Pobudził zaraz wszystkich, aby wstawali i szli wypatrywać niedźwiedzia, bo to na niego takie dobre śnisko mu się objawiło. Wojtkowi i Jaškowi nabił sam strzelby kulami, mówiąc:

„Icie hłopczy ku Bobrowcu, jo haw ostanem, stary nimogem swami wartko lecieć, pudzieme pote ku Zelenemu grzebsć świstoki“.

Poszli więc we dwóch, a że zimno było, mgła przysiadła i nic nie wi-

dzieli, wleźli do koleby i rozłożyli ogień, aby się rozgrzać. Jasiek zapomniał czekanik, zawieszony w szalasiu na ścianie, wrócił się więc po niego i po Sabałę, — Wojtek zaś któremu obśniło się że się z jegomością ks. Stolarczykiem mocował i „prasnon go o ziem“, został.

Tymczasem mgła się rozeszła i Wojtek wypatrzył z Hrubej Grani w Zuberskiej niedźwiedzia, jak się paś o trzy strzelenia poniżej na bruśnicach. Zaczął go podchodzić, a że płucnik trzeszczał pod nogami, niedźwiedź posłyszał go i zaczął uciekać. Był może o sześćdziesiąt kroków, gdy Wojtek strzelił do niego z jednej lufy w „kupe“, bo nie było czasu dokładnie mierzyć. Ani znać nie było czy trafiony; pogalopował w dół przez młodnik ku grubemu lasowi, a Wojtek, jak stał, tak „hipnon“ za nim na złamanie karku, „bo bars styrbno beło“ i znalazł się na małej płasience pierwej niż niedźwiedź, a ten już jechał prosto na niego. Strzelił, prawie nie mierząc „na półtora siąga — kopyrtnon sie odrazu“. Spory był niedźwiedź, bo jak go chciał obrócić „coby bebechy śniego wypuścić i dupny flak ociąć“, to go nie mógł ruszyć. Oparty był o dwa świerki, które gdyby się złamały, toby się stoczył do doliny Zuberskiej, zkądby było znacznie dalej nieść go do domu. Był bardzo tłusty, skóra i mięso ważyły półtora centnara. Pierwsza kula złamała żebro, przebiła płuca i wyszła z drugiej strony komory, druga trafiła na sztych w piersi a wyszła „bez bańdzioch“.

Chytry Wojtek zostawił niedźwiedzia niewypatroszonego, wrócił do koleby i czekał na towarzyszy, przed którymi nie przyznał się, co zaszło. Zaczął stękać że chory i namawiać ich do powrotu, bo tu niema co robić; „straśnie mnie wnuku boli, podźme sitka dudomu“. Pomimo że zabrali żywności na kilka dni, dali się namówić i wrócili. Wojtek zaś pobiegł do szwagra swego, Józka Halcarza, zamówił coś pięć bab z putniami niby na bruśnice, aby zabrały mięso do domu, sam zaś wrócił się jeszcze w Chochołowską na noc i czekał na szwagra. Przesądny wielce i wierzący w „śnisko“, jak każdy strzelec, opowiadał, że wtedy „obśniło mu sie, co babe obłapił rękóm, a dziwce stało z boku i patrzyło“. Myślał, co to może znaczyć, „to jakieś niedobre śnisko“. Nad ranem przyszedł szwagier sam i poszli na Przełęcz Bobowiecką zamiast ku zabitemu niedźwiedziowi, bo mu to śnisko nie dało spokoju. Z przełęczu wypatrzył coś ciemnego na przeciwległym zboczcu, lecz że był jeszcze mrok nie mógł rozemnać co. Naciągnął więc „lurniete“ i poznał niedźwiedzia o jakie półtora kilometra od nich.

„Ostańciez śwagier haw i wypatrujcie ka pudzie; jo go idem kraść“.

Pobiegł źlebam i zaszedł go z góry może na trzydzieści kroków. Głowę miał zwróconą ku niemu, a że strzelba rozrzucała, czekał aż się bokiem obrócił ku niemu i strzelił wtedy grubemi lofkami z obu luf naraz. Po strzale

ogromny dym zasłonił wszystko, ścieląc się po obfitej rannej rosie; — wyskoczył zatem z tego dymu i widział jak niedźwiedź biegł po zboczach. Wojtek skoczył za nim, niedźwiedź stanął, Wojtek także i skrył się „za maluśkiego smrecoska, żeby nabić flintę“. Szuka różka z prochem w torbce i nie może znaleźć, wypadł mu widać na przełęczy, gdy się z cuchy rozbierał.

Chcąc się przekonać, czy z obu łuf wypaliło, odwiódł kurek, niedźwiedź trzask usłyszał, dojrzał strzelca, dźwignął się na zadnie łapy, ryknął i rzucił się na niego. Wojtek wyskoczył z poza smreczka, machnął pustą strzelbą ku niedźwiedziowi i w nogi do chuściaków. Byłby go może i dosięgnął łapą, lecz widocznie był osłabiony, skoczył ze trzy razy ku niemu i pobiegł w dół ku lasowi. Patrzył za nim Wojtek z gronki, jak uszedł około kilometra i obległ w młodych smreczkach.

Tymczasem nadszedł szwagier, któremu kazał przynieść wody w kapełuszu, aby się po tych wzruszeniach odświeżyć; znalazł się także różek z prochem pozostawiony na przełęczy. Kul jednak ani loftek więcej nie miał, nabił więc strzelbę śrutem i poszli obaj za postrzelonym niedźwiedziem. Że jednak w tych smreczkach gałęzie były do ziemi, trzeba było iść na czworakach, aby wypatrzeć rannego zwierza.

„Iciez śwagier ciho i trzymojcie się zadku, coby was nie uwidziół, boby was zabiół do cista, a flinty nimocie“.

Doczołgali się tak do płasienki, zkąd wypadł na nich niedźwiedź.

„Hipnem w bok, strzelem roz, hipnem znowa i strzelem do drugiego boku i straciłek sie w huściokak. Słuhom, strasnie burzy w lesie, łomie smrecki co raty“.

Szwagier się także gdzieś zapodział, — odnaleźli się wreszcie, zapalili fajki i słuchali, jak łamał smreczki. Za jakie pół godziny zrobiło się cicho, Wojtek zabrał się do nabijania strzelby, szuka kapsli w torbie — niema. Poszli oba w to miejsce, zkąd łamanie słyszeli, lecz niedźwiedzia tam nie było, tylko dużo juchy i moc nałamanych smreków. Za farbą przeszli przez wodę i o sto kroków zobaczyli niedźwiedzia, jak się tarzał na grzbiecie, jak koń. Wstał, otrząsnął kudły, zobaczył Halcarza na skale i zaczął biedz ku niemu, Wojtka zaś będącego blisko niego nie widział. Ten krzyknął na szwagra, aby się schował i sam uciekł w krzaki. Niedźwiedź wrócił się w to miejsce gdzie się tarzał i położył się. Wojtek proponował szwagrowi, aby mu przypalił zapalką „cyfke u flinty“, gdy on będzie mierzył do niedźwiedzia, lecz ten ani nie chciał o tem słyszeć. Tak więc czekali, aż się przestał ruszać. Przyszedł Wojtek ku niemu, patrzy, leży — „prasnon skałą, poruszyło go, prasnon drugom, nic“, usiadł na niego, jak na konia, „pocie śwagier, bo zdek“.

Większy był od pierwszego, tylko o pięćdziesiąt funtów mniej ważył,

bo był jakiś zbiedzony, prawdopodobnie przez kogoś strzelany. Skórę miał czarną bardzo piękną i tak wielką, że przewieszona przez łożko wzdłuż, dotykała podłogi nosem z jednej strony a pazurami tylnych łap z drugiej.

Obielili obydwu niedźwiedzie na miejscu, z pierwszego już kudły oblaży na brzuchu, bo był długo niepatroszony. Mięso poćwiartowane ponosiły baby do Chochołowskiej Doliny, gdzie upytał Wojtek chłopca który



Mój pierwszy niedźwiedź.

Fot. A. Święch.

przyjechał po drzewo do lasu, i ten mu zawiózł wszystko do Kościelisk na Pająkówkę. Nasolili dwie beczki mięsa, mieli więc co jeść przez całą zimę.

Później zabił on z Michałem Sawickim z Blachówki niewielkiego niedźwiedzia w Zuberskiej pod Siwemi Skałami.

* * *

Że niektórzy górale, polując, biorą z sobą dziewczki, o tem miałem sposobność naocznie się przekonać. Mając w r. 1907 pozwolenie od leśniczego dóbr orawskich zapolowania na niedźwiedzia, pod warunkiem oddania skóry, a tylko zatrzymania czaszki i pazurów, wybrałem się z leśnym tamtejszym do Bobrowca. W drodze spotkaliśmy dwóch górali z Kościelisk, którzy nam coś o niedźwiedziu wspominali, że go mieli widzieć. Dziwnie podejrzaniem

mi się wydawało — czego oni tam szukali, gdzie nie mieli poco chodzić, — chyba polowali na sarny, a strzelby pochowali w lesie.

Wyszliśmy już dobrze pod wieczór na polankę pod przełęczą, gdzie były resztki szałasów zawałonego przez śnieg, — wtem zobaczył leśny, na tle wieczornej zorzy, ciemną sylwetkę górala i szepnął: raubszyć! Dojrzałem go przez lornetkę, a przy nim babę. Buszowali między świerkami i wyraźnie czegoś szukali. Leśny okrążył ich, aby zabiedz drogę, oni tymczasem zbliżyli się do mnie na kilka kroków i dopiero gdy wyszedłem z ukrycia skoczyli w gąszcz i uciekli. Był to Jędrzej Stopka Mocarny z Polan ze swoją córką, tęgą dziewczką, która mogłaby unieść najtęższego capa. Dopiero na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że w tem miejscu postrzelił Wojtek Nazim poprzedniego dnia niedźwiedzia, a tych dwoje przyszło go szukać. Znalaziono go później niedaleko od tego miejsca, ale już zgniłego.

Czasem się uda i niezbyt dobremu strzelcowi zabić niedźwiedzia, czego dowodem następujące zdarzenie.

Wojtek z Pająkówki ze Stopką Faktorem i Jaśkiem Bukowskim Zwyśnim poszli pod Rohacze, po drodze posłali Jaśka, aby zajął do Kulowca, czy tam niema niedźwiedzia i aby im dał znać o tem. Ten poszedł i gdy przepatrywał zbocza, wyszedł na niego z gęstwiny niedźwiadek i otrząpywał mokre kudły jak pies, było to bowiem po deszczu. Strzelił do niego z pojedynki loftkami na kilka kroków i zabił na miejscu. Ucieszony pobiegł do towarzyszy oznajmić że jest niedźwiedź, ale już zabity. Obielili go zaraz, upiekli wątrobę na patyku, natopili w kotliku sadła, a Wojtek, który rad się leczył na zapas przy każdej sposobności, opił się tyle tego sadła, że o mało nie umarł. Opowiadał mi to Jasiek Zwyśni przed dwudziestu laty.

Koziarze lubią brać ze sobą tęgich chłopów do dźwigania torby, choćby nawet nie strzelców, a takich chętnych zawsze znajdują, bo to honor ze strzelcem chodzić, a i pożywić się można godnie. Z nich wyrabiają się też zwykle strzelcy.

Jednym z takich był stary Karpień Sobczyk, chłop wielki, kościsty, który mógłby sam niedźwiedzia unieść. On opowiedział mi jeszcze w r. 1887 następujące zdarzenie.

Wybrało się ich czterech pod Rohacze. Karpień dostrzegł na zrębie niedźwiedzie, które podchodził lecz bezskutecznie, gdyż go zwietrzyły i uciekły, pomrukując z przestachu. Nie przyznał się jednak przed towarzyszami do tego co widział, a nadchodząca słońca zmusiła ich do powrotu do domu. W kilka dni później wybierał się Wojtek z Pająkówki do Bobrowca i dał znać Karpiewi aby się zbierał, gdyż on idzie na noc. Poszedł, a za nim pobiegł Karpień i przyszli przed świtaniem pod Bobrowiec. Mróz był tęgi, rozłożyli więc gdzieś w kącie mały ogień ze sucharzy aby się ogrzać, za-

palili fajki i gwarzyli trochę. Karpieńl wybiegł na przełęcz aby się rozglądnać, dojrzał przy zmroku jakiś ciemny punkt i po kilkakrotnem zwróceniu w to miejsce wzroku, poznał, że zmienia położenie, a zatem to będzie niedźwiedź.

Naradzali się oba, zkąd go podchodzić. Przed wschodem słońca wiatr wieje z góry, co zresztą widać było po parze oddechu. Skradając się pod wiatr podeszli go może na sto kroków, aż do skałki, za którą się ukryli, bo dalek już nie było za co się schować.

„Ty Wojtek siedz tu i nie ukazuj się, a jo pudem go dalek kraść“.

„Kas pudzies, na prawo i lewo wykroty, to bees trzescoł gałęziami“.

„Pudem bez skałke prosto ku niemu“.

I rzuciwszy kapeluszy i torbę, wzięwszy w rękę pojedynkę nabitą kulą i lołtkami, zaczął się skradać powoli, uważając pilnie na ruchy zwierza, który się pasł na bruśnicach, jednak co chwila się oglądał — wodził nawet oczami po strzelcu, który wtedy przycupnął i nawet okiem nie mrugnął — a mając na sobie starą brudną i przywędzoną przy ogniskach cuche, doskonale dostrajał się kolorem do otoczenia.

Doczołgawszy się na odległość kroków może trzydziestu, schował się za pniak, przygotował flintę do strzału i oglądnać się za towarzyszem, który mu dawał znaki, aby jeszcze nie strzelał, bo za daleko. Myśląc tedy, że niedźwiedź, pasąc się, przybliży się ku niemu, czekał chwilę, lecz ten raczej oddalał się. Wtedy, nie czekając dłużej, gdy ten obrócił się bokiem i łeb miał schowany za pniak, wypalił pod łopatkę.

Niedźwiedź ryknął, obrócił się w skoku, siadł na zadzie jak pies i cując przednimi łapami, zjechał do parowu i w okamgnieniu był na przeciwległem zboczu góry, gdzie zniknął w gąszczu. Karpieńl chciał zaraz biedz za nim, Wojtek jednak wyskoczył z poza skały, podał mu swą pojedynkę, a tamtą wiał do nabicia. Porwawszy flintę biegł za nim, pilnie upatrując farby, gdyż na suchym mchu tropu znać nie było. Jakoż znalazł farbę, miejscami nawet i kawałki zsiadłej juchy — czasem tracił ślad, bo czerwone listki borowiny łudzaco do farby podobne.

Tak doszedł niedźwiedzia w lesie dość blisko; — siedział między wykrotami, przeciągał się, to znów przewracał, widocznie ciężko raniony. Dostrzegłszy strzelca, często ku niemu spoglądał. Ten wylazł na wykrot i czekał, pewnym będąc swego łupu; wiedział, że zginąć musi. W końcu sprzykrzywszy sobie czekanie, chciał temu koniec położyć i strzelił w prawy bok zwierza. Ale tym strzałem z lichej strzelby podrażnił tylko niedźwiedzia, który z rykiem rzucił się na strzelca.

Przytomny góral naprzód obmyślił, gdzie uciekać — skoczył w górę w las i zniknął mu z oczu. Nabijał corychlej strzelbę, lecz nie mógł włożyć swojej kuli do lufy mniejszego kalibru; obcinał ją nożem, lecz to szło po-

woli, odbiegł więc w bok i gwizdnął na towarzysza, aby mu podał jego strzelbę. Wrócili się obaj na miejsce strzału, lecz niedźwiedzia tam już nie było, między wykrotami zobaczyli wierzch jego głowy — stoczył się w jamę pod wykrot i tam został. Ważył podobno pięć centnarów.

* * *

Do strzelców mających częste spotkania z niedźwiedziami, należeli bracia Jasiek i Kuba Tyrałowie, a zwłaszcza starszy z nich, Jasiek. Chodzili oni zawsze razem, młodszy ustępował często strzału starszemu, jako lepszemu strzelcowi. Jasiek nierad opowiada o swoich przygodach myśliwskich, chyba o bardzo dawnych, nie chce bowiem zdradzić swych towarzyszy, Kuba zaś rozповідаł chętnie, zwłaszcza gdy zaglądnął głębiej do szklanki.

Jednego roku na wiosnę widzieli oni poniżej Czerwonych Wierchów na stronie liptowskiej niedźwiedzicę z trzema młodem, które widocznie niedawno przyszły na świat, były bowiem wielkości świstaka. Stara pała się po trawach, a młode łąziły za nią. Gdy się położyła, podeszli ją z góry na 150 kroków, lecz dojrzała ich ponad kosówkę i uciekła. Młode pobiegły za nią, a że nie mogły nadążyć, więc stawała co chwilę i czekała na nie.

Byli oni obaj z wyżej wspomnianym Karpielem w r. 1897 w Banistem za kozami. Karpiel miał obejść pasącego się capa i pogonić go na nich. Nim jednakże zdążył go obejść, cap pomknął spłoszony przez niedźwiedzie, które pasąc się zbliżyły się ku niemu. Było ich cztery, dwa młode już dosyć duże, jeden średni, a jeden bardzo wielki. Młode igrały z sobą, mocowały się, potem wspinały się na dwa osobno stojące smreki do wysokości kilku metrów i spoglądały ku sobie przekrzywiając głowy.

Obydwaj bracia zaczęli podchodzić. Jasiek był bliżej i podszedł leżącego największego niedźwiedzia literalnie na kilka kroków, kryjąc się poza skałkę. Ten podniósł głowę, spojrzął złemi oczyma na strzelca, który szybko się złożył, wymierzył za ucho i spuścił oba kurki. Jedna lufa nie wypaliła, z drugiej kapsla spaliła, a dopiero po chwili buchnął strzał. Niedźwiedź zaryczał, skoczył na cztery łapy, patrząc groźnie, a reszta niedźwiedzi zbiegła się ku niemu.

Jasiek już Panu Bogu grzeszną duszę polecał, lecz niedźwiedzie pobiegły razem w las.

„No kie mie juz wte nie zjadły, to sie ik nimas co boć“ mówił.

Drugie zdarzenie mieli w tem samym miejscu i zdaje się w tym samym roku. Poszli w Kopy z Suleją i Białym Krzeptowskim. Mróz był dobry, pod Śpaną przenocowali w szopie, a rano Tyrałowie poszli w Baniste, gdzie Jasiek zabił sarnę, którą zaraz wypatroszyli. Wtem zobaczyli idące ku nim trzy niedźwiedzie, dwa młodnikami a jeden źlebkim. Za chwilę i ten zwrócił się do gąszczy, Jasiek zaczął podchodzić ku niemu, tymczasem niedźwiedź

wyszedł z krzaków, siadł i fukał, jak to one nieraz robią. Pasąc się przyszedł blisko do Tyrały, który strzelił do boku z obu luf kulą i dwoma półkulkami. Niedźwiedź zabczał, przewrócił się przez wykrot i stulał się na dół. Poszli za tropem, farbił z przeciwnego boku, widocznie przestrzelony na wylot i żygał borówkami. Szukali go czas jakiś, lecz nie znaleźli, a bojąc się liptowskich leśnych poszli do domu.

W jakiś czas później, gdy przechodzili tamtędy, poczuli padlinę tego niedźwiedzia; — poszedł on w dół ku potokowi i tam zginął, podczas gdy oni szukali go w górze.

Podobnie się stało w Ciemnych Smreczynach, gdzie byli z Wojtkiem Bukowskim Palarzem na kozy. Jasiak zabił rano capa, kazał Palarzowi zanieść go pod Kopę i schować, a oni tymczasem dalej polowali. Percią z lasu wyszedł niedźwiedź, którego Jasiak podszedł dość blisko i strzelił na polec. Ryknął, padł odrazu i stoczył się w dół.

Kuba ucieszony zawołał: „wis go hań lezy, ani sie nie ruso“.

Gdy podeszli ku niemu, zamiast niedźwiedzia leżał pniak, ten zaś przepadł jak kamień w wodę.

Po tem zdarzeniu zabili jeszcze dwa capy, każdy z nich miał więc co nieść do domu.

Już to zbytnej cierpliwości i dokładności w tropieniu postrzelonej zwierzyny nie okazują tutejsi górale. Można to chyba tylko tem wytłómaczyć, że po strzałach do zwierzyny starają się corychlej zniknąć z tego miejsca, aby uniknąć spotkania z leśnymi, zwabionymi strzałem. W górach bowiem nie można wiedzieć, gdzie się taki przyczai i na zdradzie stoi.

Pierwszego niedźwiedzia zabili Tyrałowic w roku 1904 w Rycyrowem. Wybrali się wtedy na głuszcze w maju. Około czwartej po południu zaczęła padać deszcz, schronili się pod starego świerka, którego gałęzie prawie ziemi sięgały, i czekali „cy tyz ta nie wyńdzie jaki rogoć“. Posiedzieli chwilę, Kuba, mający lepszy słuch „postysoł jak cosi skałkom zburzyło“. I dojrzał przez gałęzie coś czarnego. Sądził, że cap zeszedł z turni, po chwili jednak poznał niedźwiedzia, który szedł wprost ku nim.

Przypuścili go na piętnaście kroków i wystrzelili jak na komendę każdy z obu luf. Po strzałach dym jak chmura zasłonił wszystko, Kuba wyskoczył z tego dymu i woła „lezy, heboj ku niemu“. Jasiak woła „stój!“ Dopiero bach w niego skała, „cy sie nie ruso“. Wtedy przyszli ku niemu „a to wielgo potwora, a widziało sie co je mały jako psik“. Stary był, bo miał kły dolne starte i jeden zęb przedni mu wypadł. Wszystkie cztery strzały poszły jak jeden i złamały łopatkę. Zaraz go wypatroszyli, porozpinali patykami „bańdzioch“, aby zimno w niego weszło. Żołądek miał czysty, jak wypłukany

i tylko garstka zielonej trawy w nim była, jelita próżne — i chudy był niezwykajnie. W jesieni mógłby ważyć pięć centnarów.

Przenocowali przy ogniu, rano zdjęli z niego skórę pozostawiwszy przy niej kości, bo postanowili go sprzedać do Muzeum Tatrzańskie do wypchania, co też uczynili, otrzymawszy za niego 80 koron. Wykroili mięso co lepsze, nabili torby godnie, każdy z nich miał co nieść, może po cencie albo i więcej — ale to niósł chętnie. Mięsa ludziom nie żalowali, „bo poniekóry myśli, że niedźwiedź to taki wielgi, jak wół i takie dobre miso śnigo — ono ta dobre ino ze kwarde, — niechze sie ta najedzom“.

W roku, zdaje mi się, 1909, w tym czasie, kiedy spadł balon w Jarząbce, szli obaj Tyrałowie i Józek Dziaduś z Kościelisk przez Kopę do Kończystego. Zbierali po drodze bruśnice, Jasiak szedł naprzód i zobaczył niedźwiedzia, jak się schował w smreczki. Zwołał towarzyszy i chciał nabić strzelbę kulą, lecz ta była za wielka i nie zmieściła się w wylocie lufy, Kuba nie chciał dać mu początkowo swej lanekstrówki. Dziaduś tymczasem już się podkładał. Otrzymał wreszcie strzelbę, dobiegł Jasiak Dziadusia i szedł tuż za nim. Ten znacznie wyższy zastrzanił mu widok; Jasiak widział jak Dziaduś złożył się i strzelił dwa razy, a w powietrze wyleciał mech wydarty pazurami uciekającego niedźwiedzia. Dojrzał go i Jasiak, strzelił i trafił w grzbiet. Niedźwiedź biegł na oślep w dół, uderzył sobą w pniak spróchniały i wyrwał go. Jasiak podał Dziadusiowi swoją strzelbę, której jedna lufa była jeszcze nabita i poszli za nim. Doszli go w lesie, stał zwrócony ku nim, jakby czekał na śmierć. Dziaduś strzelił mu w łeb, wtedy padł do jafaru. Była to samica dość wielka o czarnem futrze. Skórę kupił znany myśliwy z Krakowa p. L. za sto koron. Pieniędzmi podzielili się równo wszyscy trzej, sadła wypadło po 13 funtów na każdego.

Wracając z łupem do domu, znaleźli wtedy balon po drodze i — jak wieść niesie — splądrowali go.

Jednego niedźwiedzia zabił w r. 1912 w maju Staszek Stopka Marcionów. Poszedł z Wojtkiem Nazimem i Jaśkiem Tyrałą na Jamiska przy Osobitej na głuszcze. Z Kiczory wypatrzyli na Kuchni pod Osobitą niedźwiedzia. Stopka i Nazim jako młodszy, zdolniejsi w nogach, polecili go kraść, jako że spieszyć się trzeba było pod wieczór, Tyrała zaś, który mając szósty krzyż na karku nie mógł podoleć tak wartko biegać, został na Kiczorze.

Stopka z karabinen manlicherowskim w rękę podbiegł go na 120 kroków.

„Ze dy strzyloje wartko, bo hipnie w huścioki“ szeptał mu Nazim.

„Pockojze, niechze sie wydyhom, dogoniłek sie, tobyk go nie trafił“.

Oparł karabin na korzeniu wykrota, dychał jeszcze długo, wreszcie strzelił

Niedźwiedź zaczął uciekać, a oni strzelali jeszcze sześć razy bez skutku. W lesie doszli go, stał i chrapał ciężko, „sypiał“. Stopka ósmym strzałem w łeb położył go ostatecznie. Trafiony był tylko pierwszą kulą w tchawicę — „plucnom żył“. Posoka zalewała krtań i ząd chrapanie. Był to prawdopodobnie ten niedźwiedź, który w ostatnich latach bił woły na Orawie, gdyż od tego czasu te rozboje ustały. Skórę kupiono do wypchania dla gimnazjum nowotarskiego za 160 koron.

* * *

Marusarz, leśny z Kościelisk, był w dolinie Jaworowej na Liptowie, gdzie mu juhasi opowiadali, iż na wiosnę w roku 1913 znaleźli niedźwiedzia zgniłego, którego ktoś zabił w jesieni i nie znalazł. W czerwcu zaś tego samego roku, gdy spadł obfity śnieg w górach, znaleźli drugiego niedźwiedzia niezbyt wielkiego, jeszcze świeżego, który prawdopodobnie zesunął się po młodym śniegu z turni i zabił się. Mięso z niego zjedli juhasi.

W dniu kiedy mi to Marusarz opowiadał, byliśmy na Pysznej i słyszeliśmy kilkakrotne strzały, jak nam się zdawało w dolinie Raczkowej. W kilka dni później spotkałem Jaśka Tyrałę, który mi mówił, że widział w Jamnickiej dolinie zabitego w tych dniach niedźwiedzia. Niewiele chciał o tem mówić, może obawiał się świadka, który był przy nas. Później dopiero dowiedziałem się od niego i innych, jak się rzecz miała.

Byli we trzech w Jarzabczej, Jasiek Tyrała z synem i Staszek Stopka Mocarny o jednym oku. Rano, gdy wyruszyli z szałas, wyszedł z lasu wprost na nich niedźwiedź, do którego strzelił Stopka z krótkiego karabina werndlowskiego. Niedźwiedź stulał się do żlebu i został na miejscu. Kula przeszła na ukos „bez te żyły od serca“, drasnęła szczyty płuc i wyszła koło karku.

Jasiek ocenił jego wagę na „meter“. Za skórę, która była o dobrym włosie, bura z obrączką na szyi, dostali 120 koron, od pana G.

Niedźwiedź ten miał u przedniej łapy ucięte palce aż po piątkę, rana była zupełnie zagojona, a łapa skrzywiona tak, że idąc opierał się na wierzchniej jej stronie. Widocznie złapał się w oklepiec i szamocząc się, wyrwał łapę, a palce zostawił w żelazie, które bywa wielkich rozmiarów i dużej wagi.

Oprócz tego niedźwiedzia zabili w tym dniu jeszcze dwie sarny.

* * *

Orawianie zabili w ostatnich latach kilka niedźwiedzi. Jednego zabili leśni z Orawic na owsie. Wypatrzili, którądy tam chodził, zasiedli na noc na powrotnej drodze, strzelili razem i został na miejscu. Drugiego zabił podobno leśny z Brestowej, a jednego zabito podczas polowania na dziki.

Na Orawie i Liptowie więcej niedźwiedzi! się spotyka, jednak mniej ich tam strzelał, Słowacy nie mają tego sprytu, ani takiej żyłki myśliwskiej jak nasi górale, którzy są odważniejsi i chciwi na zwierzynę.

Gdy pytałem Wojtka z Pająkówki, czy się bał niedźwiedzia, odrzekł: „ba jakoz, bołek sie coby mi nie uciuk“.

Chciwość przeważa u nich we wszystkim, ona jest wybitną ich cechą. Jednak gdy idą razem na kozy, dzielą się zawsze z sobą zdobyczą na równi, czy który zabił, czy nie. To ich wspólna zdobycz, poszli wraz, więc każdemu z nich jego część przypada. Jeżeli który z nich ukryje co przed towarzyszami, uważają go za niehonorowego strzelca, — taki już więcej nic nie zabije, dopóki towarzyszy nie przejedna. Wojtkowi z Pająkówki Sabała do końca życia nie mógł zapomnieć, że będąc z nim nie przyznał się że zabił niedźwiedzia. On się przyznał, ale wtedy dopiero, gdy już miał niedźwiedzie nasolone w becze — ale go jednak ukarało, gdyż skóra pierwszego z nich, tego właśnie którego zataił i który leżał trzy dni niewypatroszony, oblaża z futra.

Sabała przed laty sam podobną sztuczkę urządził, gdy polowali urzędnicy zarządu dóbr zakopiańskich wspólnie z Węgrami. Zabił on wtedy niedźwiedzia na węgierskiej stronie, nie przyznał się jednak do tego Węgom, powiedział że uciekł i wspólnie z naszymi góralami spuścił go po śniegu na polską stronę; ale niestety śnieg zdradził tajemnicę i od tego czasu Węgrzy nie chcieli więcej wspólnych polowań z naszymi.

Nie zdarza się jednak, aby jeden strzelec przed drugim sarnę lub kozę zataił, bo tych jest dosyć w lesie i w turniach, ale niedźwiedzia to co innego — to może tak wielki niehonor nie jest.

* * *

Narzekają strzelcy, że niedźwiedzi już mniej w Tatrach jako drzewiej bywało, ale inaczej być nie może, różne bowiem są tego powody. Tatry stoją od wieków te same, ale stosunki w nich ulegają ciągłej zmianie. Dawniej, gdy wydobywano tu rudę żelazną, był także ruch i niepokój, ale tylko w pewnych ściśle oznaczonych miejscach, jak w Magórze, Miętusiej, Kościeliskiej, Starej Robocie i t. p. Zwierzyna jednak do takiego miejscowego ruchu łatwo się przyzwyczaja, zwłaszcza że w zimie miała spokój. I to minęło i śladu prawie z tego nie pozostało.

„Jakie to hań fabryki beły — powiadają górale — a dzisiok coz, ptoški hań śpiwajom“.

Pobudowano nowe drogi do gór. W miejscach niedostępnych, gdzie drzewo chyba wiatr halny ścinał, robią się wyręby i dzisiaj można je zwieźć wygodnie. W lesie stuk siekier ścinających smreki, na drogach ruch furmank, trąbienie samochodów, a nad tem wszystkim salwy armatnie kamie-

nielomemu płoszą zwierzyne, która uchodzi do spokojniejszych, oddalonych zaciszy.

Do gór chodziło bardzo mało turystów i to tylko w lecie. Obecnie ruch turystyczny w Tatrach o każdej porze roku coraz większy, bo i w zimie przebiegają narciarze z boczna gór i doliny.

Dawniej spotkanie turystów z niedźwiedziem należało do rzadkości, dzisiaj częściej się to zdarza. Naturalny byłby żąd wniosek, że zwierzyna tego jest więcej w Tatrach, jednak to jest mylne. Bo gdy tysiące ludzi chodzi po górach, szanse spotkania są większe, niż gdy dziesiątki chodzą. Zresztą lepiej o tem wiedzą myśliwi i kłusownicy.

Wojna, jak zresztą wszędzie, zadała stanowczy cios zwierzynie. Przez czas ukrywania się w Tatrach dezertarów wojskowych, zwierzyna prześladowana przez nich nie miała spokoju. Pędzona z miejsca na miejsce, dziesiątkowana była z karabinów wojskowych, stanowiła bowiem główne ich pożywienie. Odległość nie stanowiła teraz przeszkody jak dawniej, strzelano na każdą odległość, o postrzałki nie dbano, bo ktoby tam za postrzelonym zwierzem chodził, pewniejszy ten, który padnie na miejscu.

Minęły te czasy, gdy jak powiadał Suleja „kieś sie móg dźwirzowi ku samy d... przykrość, toś go mioł, inacy ni“. Bo dawna broń na dalszą odległość nie pozwalała skutecznie strzelać.

O ile mogłem się przekonać, to przeważna część zabitych tutaj niedźwiedzi była samicami. Nie wiem czy to przypadek, czy też powód w tem, że samice są mniej ostrożne i łatwiejsze do podejścia, ale tak jest. Ztąd też mniejszy przyrost, a i postrzelone samice nie będą miały w tym roku młodych. I tak zwierz ten skazany jest na powolną zagładę.

Nieraz słyszy się pytanie: to są jeszcze niedźwiedzie w Tatrach? Są jeszcze Bogu dzięki i starajmy się o to, aby się ich liczba nie zmniejszyła. A to w jaki sposób? W taki sam, w jaki ochrania się wszelką inną zwierzyne, a mianowicie:

przez bezwzględne tępienie kłusownictwa, przez doskonale zorganizowaną straż łowiecką, będącą w porozumieniu ze strażą łowiecką rewirów po stronie słowackiej, która pozwoliłaby naszej śledzić poza granicą, z prawem wzajemności. Należy przytem wyznaczyć wysokie nagrody za ujęcie kłusownika, względnie jego rozpoznanie, odebranie strzelby i t. p., —

przez zamknięcie niektórych rewirów, w których niedźwiedź chętnie przebywa, dla ruchu turystycznego, —

przez ochronę niedźwiedzi przy młodych, co zresztą także nowa ustawa łowiecka przewiduje, —

przez niedopuszczenie do dzierżawy polowania spółek chłopskich, chociażby te tereny były ich własnością.

Dążyć należy dalej do ograniczenia serwitutów w lasach, jak zbiórka drzewa i gałęzi, a przedewszystkiem ograniczenia paszenia owiec w miejscach, które i tak nie dają wydajnej paszy, jak w Jaworzynce, Goryczkowej, Kasprowej i t. p. Gdzie owce chodzą, tam zwierzyna uchodzi, a psy owczarskie zastępują doskonale kłusowników.

Aby jednak powyższe wymienione zarządzenia przyniosły dodatni rezultat i nie pozostały jedynie na papierze, głównym i koniecznym warunkiem jest wykonywanie prawa polowania.

Dążymy do utworzenia parku narodowego w polskiej części Tatr, dla ochrony przyrody, lasów, roślin i zwierzyny, ale jakoś sprawa zbyt wolno postępuje naprzód.

Jeżeli Tatry mają być rezerwatem także i dla zwierzyny, to aby mózł skutecznie prowadzić jej hodowlę, trzeba polować. Nie dla tępienia tej zwierzyny, nie dla zysku, chociaż zwierzyna upolowana niemały zysk przyniesie, lecz dla utrzymania stanu równowagi w tej zwierzynie, przeciwdziałając jej degeneracji, a przedewszystkiem dla zachęcenia straży łowieckiej, aby wiedziała dlaczego pilnuje i ochrania tę zwierzynę i dla kontrolowania tej straży, bo tylko polujący może dojść do dokładnej kontroli tej straży i zwierzyny. Przecież i w zamkniętych zwierzynicach odstrzeliwuje się nadliczbowe i słabe sztuki. Niech będzie tak jak było niegdyś w Puszczy Białowieskiej, polowanie zarezerwowane dla panującego i dworu, ale niech będzie wykonywane i straż łowiecka niech otrzyma gratyfikację za leżącą na rozkładzie zwierzynę.

Naturalną jest rzeczą, że pierwiej trzeba się starać o rozmnożenie tej zwierzyny, a poszczególne rewiry mogą być zamknięte dla polowania nawet przez długie lata. Wtedy wraz z jeleniami, kozicami i sarnami, rozmnożą się także i niedźwiedzie, mając spokój i żeru poddostatkiem.

Zakopane 1928.

Stanisław Barabasz.

O założeniu Nowego Targu na Podhalu i o nazwie tego miasta.

Chcąc wykazać, kiedy i na mocy jakiego przywileju Nowy Targ został lokowany, jaka jego pierwotna była nazwa i czy nazwa tegoż miasta pochodzi od Neumarka, kolonisty niemieckiego, należy rozpatrzyć dokumenta, więc przywileje królewskie, dotyczące Nowego Targu.

Zacznijmy od roku 1234. W roku tym właścicielem obszaru obejmującego

lasy pomiędzy rzekami Ostrowsko, Dunajec¹⁾ i Dunajec Czarny, Rogoźnik, Lepietnica, Słona, Raytarnica, Nedelska, Stradomia, a zatem terytorjum dzisiejszego Nowego Targu, był Cedro, wojewoda krakowski. Dokumentem z tego roku 1234 zezwala książę Henryk temuż wojewodzie na sprowadzenie na to terytorjum osadników, jednak nie mówi o zakładaniu w tych stronach osad. W każdym razie byłby to na tym obszarze początek osadnictwa na Podhalu.

Cystersi w Szczyrzycu, znając ten dokument, wykorzystali go przy sporządzeniu przywileju w r. 1238. Przywilejem tym Cedro, jako „haeres bonorum inter aquas Ostrowsko“ i t. d. nadaje przywilej Rychaldowi (Ryszardowi) Neumarkowi, Sobeslaowi (t. j. Sobiesławowi) Koko, Albertowi Mytlbargowi, Venceslaowi Sekuła, Gerardowi Raynsburgowi i innym, na założenie na prawie niemieckiem miasta w stronie zachodniej rzeki Biały Dunajec, a które ma się nazywać „Neumark vulgo Nowy Targ“.

Przywilej ten z r. 1238 nie może stanowić dowodu przy ocenieniu, czy Neumark był istotnie jednym z założycieli Nowego Targu. Jest bowiem według orzeczenia znawców falsyfikatem, sporządzonym przez Cystersów i to o wiele później jak w roku 1238.

Zachodzi też pytanie, czy osoby wymienione w tym przywileju z r. 1238 o tych nazwiskach nie są fikcyjne. Od nazwiska Neu-mark nadali Cystersi miastu nazwę Neu Marg, dodając przytem „vulgo Nowy Targ“. Jakie właściwe mogło być nazwisko tego według Cystersów założyciela, z samego dokumentu nie można mieć pewności. Raz piszą Cystersi „Neumark“, potem „Neumarg“. Dzisiejsze tłumaczenie „Neumarkt“ odpowiadałoby słowu polskiemu Nowy Targ, lecz nie nazwisku Neumarka. Jeżeli jednak nazwa miasta miała być według tego falsyfikatu Neumarg i to od jednego z założycieli, to nazwa ta przytaczana w innym języku nie powinna doznawać zmiany, gdyż nazwiska osób pozostają niezmienione i nie dają się tłumaczyć na inne języki.

W północnej stronie Nowego Targu mamy naprzeciw gościńca Waksmundskiego wzgórze Kokoszków, mylnie na mapach wojskowych podane pod nazwą „Kokoczów“. Czyżby nazwa tych wzgórz pochodziła od tego Koko? W pierwszej połowie XIV w. mamy magistra Kokosz, który pochodził z rodu słowiańskiego. Dziadek jego nazywał się Polanus. Dobra tego Kokosza sięgały aż do ujścia rzeki Białki do Dunajca. Mamy także w Zakopanem polanę Kokoszową, która zapewne należała do rodziny tego Kokosza. Te wzgórze Kokoszków oraz polana Kokoszowa wywodzą swe nazwy najprawdopodobniej od tego magistra Kokosza.

¹⁾ T. j. Dunajec Biały.

Podany przez Cystersów w dokumencie z roku 1238 Sobiesław Koko nie może mieć żadnej styczności z magistrem Kokosz.

Mamy także w północnej części Nowego Targu wzgórze o nazwie Mittleburg, zbliżonej do nazwiska owego współzałożyciela Mytlburg. Ludność tutejsza zna te wzgórze pod nazwą Mittleburg, lecz nie jest w stanie wyjaśnić, jakie jest podanie przywiązane do tej nazwy, oraz do nazwy wzgórze Kokoszków.

W Szaflarach, w stronie ku Maruszynie, jest wzgórze znane tamże pod nazwą „Góra Ranisberg“. Jeżeli uwzględnimy, że według falsyfikatu z r. 1238 obszar założyci się mającego miasta Neumarg miał się rozciągać od rzeki Lepietnicy do Skałki Szaflarskiej, a też jest w pobliżu tegoż wzgórze Ranisberg, to nic dziwnego, że Cystersi, chcąc uczcić pamięć i tego współzałożyciela, a tem samem utwierdzić autentyczność przywileju z r. 1238, wzgórze to nazwali od tego Raynsburga. Ludność dla łatwiejszego wymawiania słowa tego Raynsburg powoli nazwę tę zmieniała, aż ustaliła się nazwa Ranisberg.

Mieszkańcy tamtejsi utrzymują, że w tem miejscu poległ wódz szwedzki Ranisberg za czasów Jana Kazimierza i że w tem wzgórze jest pochowany. W każdym razie przywilej z roku 1238 jest falsyfikatem, nie pochodzącym z wieku XIII, a Cystersi dla utwierdzenia prawdziwości tego przywileju i nazwisk założycieli Nowego Targu, pragnąc ich nazwiska uwiecznić, nadali miastu nazwę Neumark, wzgórzom nazwę Kokoszków i Mitleburg, a wzgórzom przy Skałce w Szaflarach nazwę Raynsberg.

Co do Sekuły, to na całym Podhalu niema ani miejscowości, ani szczytu Tatr, ani mieszkańca o tem nazwisku.

Uwzględnić także należy, że w r. 1238 nie istniały pomyślnie warunki do sprowadzania osadników dla osiedlania się i lokowania miasta.

Ówczesne Podhale, to jedno pustkowie, pokryte olbrzymimi lasami, bagnami, moczarami, a mieszkańcami tych lasów to dzikie zwierzęta. Okolica prawie niezaludniona. Chcąc wprowadzić osiedlenie się osadników, potrzeba było przedewszystkiem wykarczować lasy, obrobić grunta, zabezpieczyć się przed powodzią, przed bandami rozbójników bardzo licznie w lasach podhalańskich grasującymi, a na to wszystko potrzeba było długiego okresu czasu, oraz pewności bezpieczeństwa życia i mienia.

Gęste lasy to jedno schronienie rozbójników, którzy mając w nich zabezpieczenie, chcieli na przejeżdżających przez tę dziką okolicę kupców, okradając ich i nie szczędząc krwi ludzkiej.

Wobec takich warunków osadnicy nie mieli ochoty do osiedlania się w tych stronach.

Wreszcie zbliżał się rok 1241 — najazd tatarski, przed którym się wieś i miasta nie ostały.

Czyż zatem Cystersi, mając przywilej z r. 1238, odważyliby się na sprowadzenie w niebezpieczne okolice osadników, na lokację miasta?

Cystersi, po krótkim tu pobycie, nie dopiąwszy celu opuścili tę placówkę i przenieśli się do Szczyrzyca. Wprawdzie po długiej niebytności powrócili w te strony, lecz zajęli się już tylko duszpasterstwem. Długosz pisze, że zakorzenione w tych stronach rozbójnictwo skłoniło Cystersów do zaniechania zamierzonej przez nich kolonizacyjnej pracy. Jakże zatem można sobie wyobrazić, aby ci sami Cystersi, którzy wiedzieli że wobec rozbójników dalsze przeprowadzanie kolonizacji jest niemożliwe, zamierzali osadzać Nowy Targ?

Przejrzyjmy teraz przywilej z r. 1252.

Dokumentem tym Bolesław, książę krakowski i sandomierski, zezwała Piotrowi opatowi i braciom konwentu Cystersów w Szczyrzycu na lokację miasta na prawie niemieckim nad rzeką Biały Dunajec, którego nazwa ma być *Novum Forum*; ma ono obejmować sto łanów, gdyby się tyle lub więcej znalazło między rzekami Ostrowskiem i Rogóźnikiem a od rzeczki Lepietnicy aż po zamek Szaflarski.

W roku tym Cystersów w Ludzimierzu już nie było. Z przywileju tego widocznym jest, że w r. 1252 nie istniał przywilej z r. 1238. Inaczej bowiem można twierdzić napewno, że Cystersi nie omieszkaliby wspomnieć w nim o przywileju z r. 1238, a to, że przywilej ten z r. 1238 nie został przeprowadzony, względnie że przywilej z r. 1252 obejmuje uzupełnienie, rozszerzenie przywileju z r. 1238 — i pozostałaby nazwa miasta *Neumarg*, a według przywileju z roku 1253 miasto ma się nazywać *Novum Forum*, zatem nie *Neumarg*.

Przywilej z r. 1252 jest również według zdania znawców falsyfikatem, roboty Cystersów.

W każdym razie przywilej ten z r. 1252 został sporządzony po nadaniu Dytrychowi przez Kazimierza Wielkiego w r. 1346 przywileju na lokację Nowego Targu.

Przywilej z r. 1238 sporządzili Cystersi już po przywileju z r. 1252. Obydwa te przywileje mają tę wspólność, że według tychże Nowy Targ miał być lokowany w okolicy rzeki Biały Dunajec, a Cystersi właśnie do tego terytorjum rościli sobie pretensję.

Cystersi, sporządzając przywilej z r. 1252, znali dobrze przywilej Kazimierza Wielkiego z r. 1346.

Widać to już z podobieństwa brzmienia, a mianowicie w przywileju Kazimierza Wielkiego z r. 1346 czytamy: „*Cuius civitatis nomen sit Novum Forum singulos et omnes mansos mensuratos mensura franconica numero centum quinquaginta si tot plures vel pauciores esse poterunt*“...

zaś w przywileju z r. 1252: „cuius civitatis nomen sit Novum Forum singulos et omnes mansos centum si tot vel plures possint“...

Przywilej z r. 1252 nie został wcale wykonany i nie mógł być przeprowadzony, gdyż przywilej ten pochodzi z czasu po przywileju Kazimierza Wielkiego z r. 1346. Cystersi, chcąc uzasadnić swe roszczenia do obszaru Nowego Targu nad rzeką Biały Dunajec, powoływali się na przywilej z r. 1252 przez siebie zfabrykowany.

W roku 1326 Nowy Targ nie miał jeszcze tej nazwy, i w tym roku kollekta¹⁾ „decimae sexennalis“ przypadała od kościoła „de Nigro fluvio“²⁾ nad rzeką Czarnym Dunajcem.

Ta miejscowość „de Nigro Fluvio“ jest Nowym Targiem. Jakkolwiek osada Czarny Dunajec położona jest nad rzeką Czarny Dunajec, to ta osada, dzisiaj już miasteczko, występuje po raz pierwszy dopiero w r. 1590, a kościół tamże ufundowany został w r. 1602.

W r. 1326 ta osada, w której od kościoła „de Nigro Fluvio“ przypadała kollekta „decimae sexennalis“, nie miała według listów papieża Jana XXII jeszcze nazwy Novum Forum, Nowego Targu.

W następnym roku t. j. w r. 1327 osada ta nosi już nazwę Novum Forum, a to:

przy wystawianiu przez Dyonizjusza, opata klasztoru Cystersów w Szczyrzycu w r. 1327 dokumentu lokacyjnego Długopola,¹⁾ występują świadkowie już z Nowego Targu: „Datum et scriptum in die Bartholomei apostoli apud Novum Forum... praesentibus viris honorabilibus domino Richardo Plebano Novi Fori. Andrea Aducato²⁾ ibidem...“

W spisie plebanów nowotarskich podaje konsystorz krakowski pierwszego plebana Piotra w 1326 r. Jakkolwiek listy papieża Jana XXII nie podają nazwy parafji w r. 1326, jednak podają jako plebana przy kościele „de Nigro Fluvio“ tak samo Piotra. Jeżeli konsystorz krakowski podaje Piotra jako plebana nowotarskiego, musiał posiadać wiadomości, że plebanem był „apud Novum Forum“ (w Nowym Targu).

W dyplomie lokacji Ludzimierza z r. 1353 mamy jako świadka Kuncza, wójta Nowego Targu.

W dokumencie z r. 1335, dotyczącym Dębna, występują świadkowie: Jan, pleban, Teodoryk, wójt, obydwaj z Nowego Targu.

¹⁾ T. j. zbiórka dziesięciny sześćioletniej.

²⁾ „Vetera monumenta Poloniae et Lithuaniae ab Augustino Theiner 1860, T. I...“ „Epistolae Joannis XXII. Anno Christi 1326, Petrus Plebanus eccl. de Nigro Fluvio...“ „Epistolae Benedicti II. Anno Christi 1335.“... Sedes Noviforensis „Ecclesiae de Novoforo solvit...“ Rzadkie to dzieło posiada biblioteka Jagiellońska.

³⁾ T. j. wójt.

Wierchy, VII.

Kollekta „decimae sexennalis“ przypadała w r. 1335 od kościoła już „de Novoforo“.

Przy wystawieniu dyplomu z d. 1 września 1338 r., którym Zbigniew, kanclerz i prepozyt krakowski, sołtysostwo szaflarskie podarował swemu dworzaninowi Leopoldowi, występują jako świadkowie: Jan, pleban, Piotr kasztelan, Dytko (t. j. Teodoryk) wójt, wszyscy „novae civitatis in Dunajecz“.

Miastem tem „nowem“ jest Nowy Targ. Dyplom ten mówi w ogólności o „nowem mieście“ bez podania właściwej nazwy tegoż, jakkolwiek miasto w tym roku miało już swą nazwę „Novum Forum“.

Jeżeli miasto to podane jest jako nowe, to musiało być przedtem na tem miejscu miasto o małym obszarze, a które musiało uleść zniszczeniu.

Zatem mamy wiadomość, że w r. 1326 było miasto o nazwie Nowy Targ. Jeżeli zaś w tym roku był pleban nowotarski Piotr, musiała być i parafia, musiało być miasto już zaludnione. Nowy Targ należy też do najstarszych osad na Podhalu.

Przystąpmy teraz do rozbioru najważniejszego przywileju, a to Kazimierza Wielkiego z r. 1346.

Przywilejem tym zezwala król Dytrychowi, zwanemu Szyją, na lokowanie miasta między Białym a Czarnym Dunajcem na prawie magdeburkiem, a którego nazwa ma być „Novum Forum“. Pierwotny obszar Nowego Targu powiększa, przeznaczając dla założyć się mającego miasta 150 łanów frankońskich, jeżeli tyle, więcej lub mniej może być z owych łanów, które należały do dawniejszego miasta, zwanego także „Novum Forum“ i do osady zwanej „Antiquum Theloneum“¹⁾; pozostawia Dytrychowi w tem nowem mieście wójtowstwo...

Z przywileju tego okazuje się, że przed r. 1346 istniało już miasto i to o nazwie Nowy Targ a nie Neumarg, a Kazimierz Wielki, rozszerzając obszar nowo założyć się mającego miasta, pozostawia niezmienną nazwę Nowy Targ, Novum Forum.

Przywilej ten lokacyjny Kazimierza Wielkiego z r. 1346 zatwierdzili królowie: Władysław Jagiełło w r. 1425, Zygmunt w r. 1509, Zygmunt III w r. 1603, Władysław IV w r. 1632, Jan Kazimierz w r. 1656, Michał Korybut Wiśniowiecki w r. 1669, Jan III Sobieski w r. 1676, August II w r. 1699, August III w r. 1738, Stanisław August Poniatowski w r. 1768.

Jednak żaden król, żaden dokument, ani przed r. 1346, ani po tym roku, nie powołuje się na owe przywileje Cystersów z r. 1238 i 1252 i ani słówkiem o tych przywilejach, ani o Neumargu nie wspominają. A niepodobna przypuszczać, aby w razie gdyby istotnie Cedro i Bolesław nadali przywileje

¹⁾ Antiquum Theloneum = Stare Cło, to jest dzisiejsza wieś Gronków.

lokacyjne Nowego Targu Cystersom, królowie nie mieli o tych przywilejach żadnej wiadomości.

Kazimierz Wielki mówi o dawnym mieście zwanem również „Novum Forum“, a bynajmniej nie przytacza przywilejów z r. 1238 i 1252. Wskazuje to, że przywileje te przed r. 1346 wcale nie istniały.

W przywileju lokacyjnym z r. 1346 czytamy: „...eidem Theodorico in eadem nova civitate quamvis in priori civitate advocatiam“, a zatem Teodoryk miał w dawnym mieście, Nowym Targu, wójtostwo.

Jak wyżej nadmieniałem, świadkiem dokumentu z r. 1338 był i Teodoryk, wójt „nowego miasta in Dunajecz“, a świadkiem dokumentu z r. 1335 dotyczącego Dębna był również Teodoryk, wójt z Nowego Targu. Okazuje się, iż Teodoryk, wójt z r. 1335 i 1338, jest identyczną osobą z Teodorykiem, zwanym Szyją, że zatem przed r. 1346 istniało miasto, które miało wójta i plebana, zatem musiało być odpowiednio zabudowane i zaludnione, a jeżeli Nowy Targ miał już w r. 1327 wójta Andrzeja, a plebana Ryszarda, to już i przed tym rokiem istniały korzystniejsze warunki do osiedlania się osadników.

Jeżeli uwzględnimy, że w r. 1287 napad tatarski zniszczył wsie i miasta, to nowe miasto, „nova civitas“, o nazwie Nowy Targ, musiało być lokowane między r. 1287 a r. 1327.

Wogóle o tem, kiedy, kto i na mocy jakiego przywileju osadził Nowy Targ przed r. 1346, nie dowiemy się, gdyż co do tego nie dochował się naszych czasów żaden dokument. Gdyby jednak Nowy Targ był lokowany przed r. 1287, to pewno w czasie napadu Tatarów w tymże roku uległby zupełnemu zniszczeniu.

Wobec tego, że Nowy Targ w r. 1327 podany jest jako „nowe miasto“ o nazwie Novum Forum, że miasto to miało już wówczas i wójta i plebana, mielibyśmy miasteczko Nowy Targ na pewien czas przed r. 1327.

Przywilejem z r. 1346 Kazimierz Wielki nie tworzy nowego miasta, lecz tylko powiększa obszar istniejącego już miasteczka. Z małej osady tworzy miasto, przyszlą stolicę Podhala. Jeżeli Nowemu Targowi dodano określenie „nowy“, wynikałoby, że przed lokowaniem go w r. 1346 a nawet przed r. 1327 istnieć musiało miasto o podobnej nazwie.

Od r. 1346 Nowy Targ jest miastem królewskim, a do rzędu królewskiej szczyzny zostało Podhale wraz z Nowym Targiem zaliczone z początkiem w. XVI. W dokumentach urzędowych w języku łacińskim stylizowanych, podawana jest nazwa łacińska „Novum Forum“.

Jednak i królowie polscy używali w swych dokumentach i przywilejach polskiej nazwy, — i tak czytamy: w dokumencie Władysława Jagiełły z d. 25 lutego 1425, zatwierdzającym przywilej lokacyjny Kazimierza Wielkiego: „quo-

modo per strenuum Ratholdum de Skrzydlina haeredem et advocatum de Nowy Targ...“ „jura civitatis nostrae Nowy Targ...“ W dokumencie Zygmunta Augusta z d. 1 kwietnia 1549, zabraniającym woźnikom i kupcom omijać miasto Nowy Targ, i z d. 3 czerwca 1559, potwierdzającym prawa i przywileje Nowego Targu, czytamy: „...et damnum ipsoorum incolarum oppidi memorali Nowy Targ...“ „...et antiquam per Nowy Targ...“ „...et demceps cum per Nowy Targ...“ „...ac toti communitati memoratae oppidi Nowy Targ...“, — w dokumencie Zygmunta III z d. 19 września 1592, wyznaczającym rewizję w sprawie podwyższenia ceł na drodze, wiodącej przez lasy Obydowy, „...consulum tociusque communitatis oppidi nostri Nowy Targ...“, — w dokumencie tegoż samego króla z d. 10 lipca 1601, uwalniającym miasto Nowy Targ od podatków na przeciąg czterech lat z powodu doznanej klęski pożaru „...oppidanorum nostrorum de Nowy Targ...“ i t. d.

Nazwę polską, Nowy Targ, uważali królowie tak dalece za jedyną nazwę tego miasta, że słowo to polskie przerabiali na przymiotnik z łacińską końcówką. I tak czytamy w dokumencie Stefana Batorego z dnia 16 grudnia 1578, zakazującym pobierania od Nowotarżan nieprawego cła „...incolis Nowo-tarcensibus“ „...“, — w dokumencie Jana Kazimierza z d. 3 sierpnia 1658 „...oppidi nostri Nowy-targensis“... a w r. 1667 „...communitati oppidi nostri Nowo-targensis“... i t. d.

Nietylko akty wychodzące z kancelarii królewskiej, lecz także i inne urzędowe a stylizowane w języku łacińskim podają nazwę naszego miasta polską: Nowy Targ; np.:

Komisja asesorska, wydając w sprawie wójtostwa nowotarskiego dekret z d. 14 maja 1768, pisze: „...nova locatione oppidi Nowy Targ...“ „...in oppido Nowy Targ...“ „...tam in antiqua quam in novae locationis civitate Nowy Targ...“

W XVIII w. powstawały częste spory między Polską a Węgrami o granicę polskiego Spisza. Dla załatwienia tych sporów zjeżdżały komisje. Protokoły tych komisyj z r. 1755 i 1756 zwanych „Commissio Barkocziana“¹⁾, obejmują spis skarg ze strony węgierskiej. W jednej zarzucają Węgry, że państwo (t. j. starostwo nowotarskie) odjęło z posiadłości wsi Uj-Beli (t. j. Nowej Wsi) między rzekami Białką a Dunajcem znaczny obszar, na którym wsie założyło. „...In territorio possessionis Uj-Bela intra fluvios Bialka et Dunajec Nowo-targense Dominium occupavit notabilem plagam in qua etiam villas erexit“...

¹⁾ Protocolum Commissionis per sacras Caesaream et Regias Hungariae de Poloniae Maiestatis... anno 1755 et 1756. Rękopis znajduje się w bibliotece książąt Czartoryskich w Krakowie.

Również w dziełach, np. w dziele przyrodnika Rzączyńskiego z r. 1721 czytamy¹⁾: „...in capitaneatu Novotargovensi“... „...in eodem Novotargovensi Capitaneatu“... (t. j. w starostwie nowotaraskim). Długosz w spisie posiadłości, które należały do Cystersów, podaje także i nasze miasto, lecz o nazwie polskiej, a to Novitarg²⁾.

Na dokumencie z r. 1338, poprzednio przezemnie przytoczonym, występuje także jako świadek Piotr, kasztelan. Z tego wynikałoby, że w tym roku była w Nowym Targu kasztelanja.

* * *

Po wybudowaniu kolei Chabówka—Zakopane w r. 1899 umieszczono na budynku stacyjnym w Nowym Targu napis „Neu Markt in G.“ (t. j. Galizien), a pod tym i napis polski. Wskutek interwencji Sejmu Galicyjskiego ministerstwo kolei zarządziło usunięcie napisu niemieckiego z pozostawieniem tylko polskiego. Ministerstwo zaś sprawiedliwości w Wiedniu poleciło podwładnym organom, aby w pismach urzędowych nazwy Nowy Targ nie przeistaczano w języku niemieckim] na „Neu Markt“, lecz pozostawiono nazwę polską „in Nowy Targ“.

Zestawiając te wszystkie wiadomości, dotyczące lokacji i nazwy Nowego Targu, przychodzimy do tego pewnika, że przywileje z roku 1238 i z d. 6 czerwca 1252 są falsyfikatami, że o założeniu Nowego Targu przez Neumarga nie może być mowy, że Nowy Targ nie miał nigdy nazwy Neumarg, lecz Nowy Targ (Novum Forum), że miasto to osadzone zostało przed rokiem 1327, że w tym roku miało wójta i plebana, a zatem miało już pewną autonomiczną organizację, że przywilej Kazimierza Wielkiego miał na celu jedynie powiększenie obszaru pierwotnego miasta i utworzenia z niego miasta królewskiego:

Po objęciu przez Austrię po pierwszym rozbiórce Polski w r. 1772 Galicji, rozpoczęła się germanizacja nazw polskich. Losowi temu uległ Nowy Targ. Rząd austriacki przerobił nazwę polską Nowego Targu na Neu-Markt. Nie zastosował tego jednak do wiosek podhalańskich, których nazwy dałyby się na język niemiecki przetłumaczyć, np.: Długopole, Lasek, Międyczerwone, Niwa, Ząb, Brzegi, Dział, Podczerwone, Ciche, Stare i Nowe Bystre.

Skład słów Nowy Targ nadawał się rządowi austriackiemu do zgrabnego przetłumaczenia na Neu-Markt. Inaczej się rzecz ma z nazwami np. Biały i Czarny Dunajec. Rządowi austriackiemu brakło wyrażenia niemieckiego na określenie słowa Dunajec a przerabianie przymiotników Biały

¹⁾ Historia naturalis curiosa Regni Poloniae Magni Ducatus Lituaniae in tractatus XX. divisa. Sandomiriae 1721.

²⁾ Liber beneficiorum, T. III.

lub Czarny przy pozostawieniu rzeczownika o polskiej nazwie, nie zgadzało się z duchem germanizacyjnym.

Rozporządzeniem cesarza Franciszka II z dnia 12 listopada 1801 r. otrzymał Nowy Targ swój własny herb z wizerunkiem św. Katarzyny, patronki Nowego Targu, a według reskryptu c. k. Gubernjum Lwowskiego z d. 16 marca 1840 L. 13583 Nowy Targ należy do rzędu tych miast, które cesarz uznał za uprzywilejowane, i którym pozwolił nosić tytuł „Królewskie Miasto“.

Nawiasem teraz wspomnę, że międzynarodowy skorowidz telegraficzny wymienia aż 13 miejscowości o nazwie Neu-Markt, a 7 miejscowości o nazwie Neu-Mark.

W pocztowym spisie austriacko-węgierskim miejscowości o nazwie Neu-Markt jest 13, Neu-Markt1 jest 1. Zaś w niemieckim spisie urzędowym pocztowym jest miejscowości o nazwie Neumark 3 a o nazwie Neu-Markt1 6. Miejscowości Neu-Markt są w Salzburgu, Styrii, Tyrolu.

Archiwa odnośnych miejscowości wykazałyby, z kąd te miejscowości otrzymały tę nazwę Neu-Markt.

Niechaj się już tem Niemcy zajmą. W każdym razie nasze miasto królewskie, polskie, stolica Podhala, Nowy Targ nie będzie należało do ich towarzystwa.

Ignacy Moczydłowski.

Wiadomość o autorze.

Ś. p. Ignacy Moczydłowski, urodzony 1855 r. w Krakowie, zmarły w 1928 roku, radca sądu w Nowym Targu, przez szereg lat radny i wiceburmistrz, obywatel honorowy tego miasta, poza swą pracą zawodową i gorliwą działalnością społeczną w duchu narodowym, interesował się żywo etnografią i historią Podhala. Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem zawdzięcza mu szereg cennych darów, w „Gazecie Podhalańskiej“ drukował interesujące studjum o zbójnictwie w Tatrach, w Akademii Umiejętności złożył bardzo obfity zbiór zanotowanych przez siebie pieśni ludowych podhalańskich. Na niwie historycznej podejmował szereg bardzo pracowitych badań archiwalnych, z których oprócz rozprawki tutaj ogłoszonej pozostały jeszcze podobne badania o wsiach Białce i Gronkowie, „Historja funduszu pospółstwa w Nowym Targu“ z czasów wojen napoleońskich, „Historja kościoła parafjalnego w Nowym Targu od r. 1326“, — obszerna praca na 60-ciu stronach arkuszowych pisma maszynowego, podobnaż (niedokończona) „Historja kościółka św. Anny w Nowym Targu“; (w r. 1905 zajął się ś. p. M. odnowieniem tego kościółka pochodzącego z XIII w.). Zmarły pozostawił również pamiętnik ze swych przeżyć w czasie wojny, w którym to czasie werbował legionistów i zwracał do legionów poborowych wojska austriackiego, tudzież opiekował się Schroniskiem dla legionistów, które za jego staraniem zostało założone, czem naraził się na przykrości ze strony rządu austriackiego. Jemu również zawdzięcza swe powstanie Ochronka w Nowym Targu, założona w r. 1906. *Przyp. Redakcji.*

Z podziemi tatrzańskich

Grota Kasprowa Niżnia.

W najbliższej okolicy Zakopanego, w regłowych dolinach wapiennych Tatr Zachodnich, znajduje się, jak wiadomo, wiele grot i jaskiń. Obfituje w nie zwłaszcza Dolina Kościeliska oraz górne odgałęzienia Doliny Bystrej, jak Kasprowa, Goryczkowa i otoczenie Hali Kalatowej.

Z pośród gór i wierchów, okalających te doliny, w grotę i „dziury“ najbogatszem jest Gładkie Jaworzyńskie, wspaniały, strzelisty mur skalny, opadający dzikimi, poszarpanymi urwiskami ku Dolinie Kasprowej a stromemi, lesistemi i skalistemi stokami w stronę górnej części Doliny Jaworzynki. Szczyt ten jest podziurawiony i podrażony bardzo rozgałęzionym labiryntem szczelin, grot, komór i korytarzy, a suche łożyska potoków w obu wymienionych dolinach wskazują, że wody przeciekając przez łatwo przesiąkliwy grunt musiały wymyć pod ziemią potężne systemy jaskiń.

Już od najmłodszych lat zaglądałem z bratem mym Tadeuszem często w ten zakątek, zwiedzając dawno znane, lub też w poszukiwaniu za nowemi nieodkrytymi jeszcze grotami. Część nowych odkryć jaskiniowych w tych stronach opisaliśmy już w II. roczniku „Wierchów“ (str. 50) — w tym artykule chcę zająć się bardzo dawno, ale i bardzo powierzchownie, znaną grotą Kasprową, (obecnie z powodu znalezienia szeregu nowych jaskiń w tej okolicy zwaną przez nas Kasprową Niżnią). Grota ta położona jest u stóp Gładkiego Jaworzyńskiego, zupełnie nisko w lesie, prawie nad samym dnem doliny. Za ledwie parę minut drogi dzieli ją od Hali Kasprowej Niżniej, a owcze perci, prowadzące na upłazy pod Gładkiem Jaworzyńskim, przechodzą tuż obok wylotu grotę; to też górale wiedzieli o niej z dawien dawna. Według starych podań w grocie tej znajduje się jezioro, po którym pływa złota kaczka, znosząca raz do roku w noc świętojańską złote jajko. Juhasi z pobliskiej hali opowiadają o niesłychanej rozciągłości tej grotę: ma być ona połączona podziemnymi przejściami z grotą Magóry, a woda w niej się znajdująca płynąć ma aż ze Stawów Gąsienicowych.

Nimb tajemniczości, jakim grota Kasprowa jest otoczona, zawdzięcza ona swojej nieprzystępności. Jest to bodaj czy nie najtrudniejsza do zwiedzania ze znanych grot w Tatrach, a chociaż leży w łatwo dostępnem miejscu, sama natura broni jej przed najściem ciekawych, zalewając ją wodą przez całą wiosnę i prawie całe lato. Normalnie w tych okresach już w komorze wstępnej napotykamy stawek, odcinający dostęp do wszystkich w głąb prowadzących korytarzy, a w czasie wielkich deszczów i roztopów wiosennych cała grota wypełnia się wodą aż do wylotu; zdarza się nawet niekiedy, że

z otworu jej bije silny strumień, wypełniając wówczas suche zazwyczaj łożysko potoku. Widać ztąd, że grotę Kasprową ma połączenie z systemem podziemnych kanałów, odwadniających Dolinę Kasprową i spełnia względem nich zadanie „kłapy bezpieczeństwa“. W razie ich przepełnienia nadmiar wody gromadzi się w potężnych podziemnych zbiornikach grotę, a nawet — gdy to nie wystarcza — wydostaje się za pośrednictwem jej wylotu nazewnątrz.

Dopiero gdy długie i ciepłe dni w ciągu lata i w czasie przeważnie pogodnej u nas jesieni dostatecznie osuszają ziemię, albo gdy silne mrozy zimowe zamrożą w zarodku wszelki dopływ wilgoci — woda w grocie Kasprowej cofa się gdzieś, odpływa w nieznanne, tajemnicze podziemia i wstęp do dalszych komór grotę jest możliwy. Możliwy, ale bardzo utrudniony. Dzięki temu, że przez większą część roku grotę zalana jest wodą, panuje tam wilgoć znacznie większa jak w każdej innej jaskini. Liczne stawki i kałuże, z których nie wszystkie dadzą się suchą nogą ominąć, oraz ślizki i lepki namul — pokrywający ściany i dno większości komór i korytarzy — utrudniają ogromnie jej zwiedzanie. Przytem wszystkim charakterystyczne dla tej grotę są wysokie progi, stanowiące jakgdyby przegrody w jej wnętrzu. Z trudem, przy użyciu drabin drewnianych i całej skomplikowanej techniki wspinaczkowej wydostaje się zwiedzający na taki próg potę, aby po przejściu kilku metrów względnie równego korytarza znaleźć się nad kilkumetrowym opadającym w dół kominem, gdzie znowu schodzić po drabinach lub zjeżdżać na linach trzeba. Wymaga to wielkiego zasobu sił, umiejętności wspinania i obchodzenia się z liną. Nic dziwnego, że większość zwiedzających poprzestaje na łatwych stosunkowo komorach wstępnych, nie mając do dalszego zwiedzania ani ochoty, ani wreszcie odpowiednich przyborów, i znam zaledwie kilku ludzi, którzy zapuszczali się głębiej w dzikie, niedostępne, ale niezwykle ładne i ciekawe labirynty grotę.

Poza krótkimi wzmiankami jak np. w artykule J. G. Pawlikowskiego „Podziemne Kościeliska“, drukowanym w Pamiętniku Tow. Tatr. z r. 1887, lub w t. zw. „Kalendarzyku Tatrzańskim“ z r. 1904, pierwszy nieco obszerniejszy opis grotę zamieszcza w swoim przewodniku J. Chmielowski w r. 1906. Opisana tam jest dość dokładnie t. zw. dolna część grotę, gdzie na końcu miało się znajdować jezioro, i do dalszego zwiedzania potrzebna miała być rzekomo łódź. Wersja o wielkim zbiorniku wodnym w rodzaju jeziora w głębi grotę Kasprowej była w owym czasie bardzo rozpowszechniona. Opierano się zapewne na wyżej przytoczonej legendzie góralskiej i mniemano, że mały stawek, zamykający przejście w dolnych partjach grotę, jest odnogą wielkiego jeziora podziemnego, które tu miało się zaczynać. Późniejsze badania dowiodły, że w całej grocie żadnego jeziora, ani nawet większego stawku niema, są tylko kałuże, pozostałej we wgłębieniach wody, która spływać nie może, a paruje

z powodu zimna i panującej tu wilgoci bardzo wolno. Stale zalane wodą aż po sklepienie są także niektóre najniższe położone korytarze, którymi zapewne woda napływa w czasie zalewania grotty. Górne piętra, o wiele rozleglejsze i piękniejsze od dolnych, jak również znajdujące się poza „jeziorem“ korytarze, nie były wówczas jeszcze znane.

W górne korytarze pierwszy wspiął się p. Marjusz Zaruski z pp. Kornilowiczem i Oppenheimem w r. 1913. Dotarli oni wówczas do ciekawej, okrągłej salki poniżej wielkiego progu, o czym będzie dalej mowa, a uważając to miejsce za koniec grotty Kasprowej, nazwał je M. Zaruski „Gniazdem Żółtej Kaczki“ i opisał tę wycieczkę w swojej książce p. t. „Na bezdrożach tatrzańskich“. Nie znaleziono wtedy

bardzo ciasnego, często zasypanego piaskiem przejścia, przez które przecisnąwszy się dostać się można do dalszych, bardzo jeszcze rozległych korytarzy i komór. Według naszych informacji przejście to odkrył w r. 1921 dr. M. Świerż z towarzyszymi i dotarł aż do wielkiej sali nazwanej przez niego „Rycerską“. Również w tym czasie robił tutaj poszukiwania p. Dering i zwiedził jeszcze część kory-



Ryc. 1. Grupa „grotołazów“ pod progiem skalnym w grocie Kasprowej.

Fot. T. Malicki.

tarzy dolnych. Nasze wyprawy w latach 1924/5 przyniosły dalsze znaczne odkrycia, nie wyświetliły jednak należycie zagadki, z kąd przedostaje się woda zalewająca grotę. Nie znaleźliśmy również dotąd dostępu do starszych gałęzi jaskini, na czym nam specjalnie zależało. W naszym przewodniku po Tatrach poświęciliśmy grocie Kasprowej więcej miejsca, zamieszczając dość szczegółowy opis łatwiejszych jej partyj.

Każda grotka, tworząc się i trwając przez długi szereg wieków, zmienia w tym czasie powoli, ale stale i nieprzerwanie swój wygląd. A więc zaczątek przyszłego korytarza stanowi zazwyczaj jakaś mała, niepozorna szczelinka, którą woda stopniowo rozmywa coraz bardziej, wypłukując pomału korytarze, kominy i sale przyszłej groty. Proces ten trwa tak długo, aż obniżony poziom doliny odwadniającej teren zmusi wodę do szukania sobie innych, niżej położonych szczelin, któremi drąży swoje nowe łożysko. Grotka, która dotąd była czynną w całym systemie podziemnych kanałów wodnych, staje się wyeliminowaną poza ten czynny organizm, osusza się i staje się grotką tak zwaną martwą. A z tą chwilą zaczynają działać inne siły przyrody. Dzięki wydzielaniu się wapna z kapiącej i parującej ze sklepienia i ścian wody, która tu z powierzchni ziemi przesiąka, zaczynają tworzyć się najpiękniejsze ozdoby grot — utwory wapienne naciekowe i wykwity w postaci wiszących ze sklepienia stalaktytów, stojących stalagmitów i całej masy niezwykle misternych i bogatych w formy nacieków i rozlewin. Różnorodność kształtów i postaci, w jakich te zjawiska występują, jest tak olbrzymia, że niemożliwością jest wyliczyć je wszystkie. Oczywiście powyższy teoretyczny opis powstawania grot jest ujęty bardzo schematycznie, wiele jeszcze nieopisanych tu czynników i możliwości zachodzi w skomplikowanym procesie jaskiniotwórczym.

Dotychczas poznane przez nas korytarze groty Kasprowej wykazują jej przynależność do typu grot jeszcze czynnych. Wprawdzie są okresy, kiedy grotka osusza się prawie zupełnie, ale przez większą część roku woda zalewa grotę i niszczy wszelkie zaczątki tworzących się utworów stalaktytowych. Z tego powodu niema w niej prawie żadnych nacieków, nawet choćby tak małych, jak w innych grotkach Tatr Polskich, za wyjątkiem jednego wyżej położonego zakątka groty, gdzie woda widocznie już nie dochodzi. Ale i tutaj stalagmity i nacieki są bardzo niewielkich rozmiarów. Dążeniem naszym było dostanie się do starszych, dziś już zupełnie osuszonych komór, które gdzieś w górze zapewne istnieć muszą i gdzie już niczem niepowstrzymana mogłaby się rozrastać bogata powłoka wapienna. Niestety dotąd nie udało się nam znaleźć dostępu do tych partyj. A przede wszystkim w grocie Kasprowej są duże szanse na odnalezienie większych jaskiń stalaktytowych. Pomijam już warunki terenowe, jak duża rozpuszczalność tutejszego wa-

pienia, typowe zjawiska krasowe w okolicy, pokrywa leśna, obfitość wód podziemnych i t. p., i chciałbym tylko zwrócić uwagę na jeden szczegół, który rzucił się nam w oczy w czasie wycieczek do grot zagranicznych. Zwiedzając cały szereg grot w Czechosłowacji, obfitujących w misterne koronki stalaktytów, stalagmitów i inne o dziwacznych i fantastycznych kształtach nacieki wapienne — zauważyliśmy niejednokrotnie, że wszystkie te utwory większych rozmiarów występują dopiero w dość znacznej odległości od wylotu, głęboko pod powierzchnią ziemi. Zwykle grotka zaczyna się dość niepozornie i początkowe korytarze nie dają żadnego wyobrażenia o piękności dalszych partyj — aż dopiero w głębi, im dalej od wylotu, tem większa pojawia się obfitość wszelkiego rodzaju utworów wapiennych. Wszystkie znane u nas grotki można uważać w porównaniu z zagranicznymi za ładne ale drobne i skromne miniatury. Co znaczą 90 m długości, jakie ma grotka Mylna lub Zimna w Dolinie Kościeliskiej, uchodzące po naszej stronie za najdłuższe, w porównaniu do kilka, kilkanaście a nawet kilkaset kilometrów długich jaskiń, jakie w innych krajach nie są rzadkością. A właśnie jedyna z pośród grot Tatr Polskich — grotka Kasprowa — pozwala już obecnie na wdarcie się około pół kilometra w głąb skały, a ogólna długość dotąd znanych korytarzy wynosi około 900 m. Jest to zatem bezsprzecznie największa grotka po naszej stronie.

To były główne pobudki, które skłaniały nas do intensywnej poszukiwań w tych stronach. Już około r. 1911 odbywaliśmy cały szereg wycieczek do grotki i w jej najbliższe okolice w gronie młodocianych „grotołazów“, a po wojnie w ramach związanej przez nas i kilku miłośników grotki sekcji speleologicznej zorganizowaliśmy w te strony kilka dobrze przygotowanych i na szerszą skalę zakrojonych wypraw. Do grotki Kasprowej Niżniej odbyliśmy dotąd trzy wyprawy: jedną w zimie r. 1924 i dwie w r. 1925. Postanowiliśmy zwiedzić wszystkie korytarze, jakie tylko są do przejścia możliwe i sporządzić dokładny, szczegółowy plan. Pomiary i badania dokonywane były stopniowo i progresywnie w czasie naszego trzykrotnego pobytu w grotce, to też — nie chcąc się powtarzać — nie będę opisywał wszystkich wypraw, zamieszczam jedynie ogólny opis jaskini oraz kilka ciekawszych momentów z drugiej a zwłaszcza trzeciej wyprawy, gdyż dały one najwięcej materiału do wykonania załączonego planu i doprowadziły do odkrycia dalszych, niezbadanych dotąd gałęzi i komór.

Długi okres mroźnej pogody w styczniu r. 1925 dawał pewność, że grotka będzie już dostatecznie osuszona i dostępna do dalszych badań. Zaczęliśmy się więc zawczasu przygotowywać do wyprawy. Zaopatrzyliśmy się tym razem nadzwyczaj starannie i przewidująco. W skład naszych przyborów wchodziły dwie składane ze sobą drabiny drewniane, większy zapas lin, górnicze

latarnie acetylenowe z niezbędnym zapasem karbitu, ubranie nieprzemakalne, łopatkę saperską, przybory miernicze — a więc taśma, lunetka kątowna, kompas, deska rysunkowa na fotograficznym statywie — i cały szereg potrzebnych drobiazgów, których wyliczać wprost niepodobna. Przybory spakowało się do kilku plecaków i załadowawszy to wszystko na ręczne saneczki, wyruszyliśmy pewnego pięknego poranku zimowego z Kuźnic na nartach, ciągnąc za sobą opornie zapadające w śnieg głęboki sanie. Nasza mała karawana, składająca się z członków „klubu grotolazów“: dyr. Tadeusza Malickiego, towarzysza wielu naszych wypraw górskich i jaskiniowych, prof. Konstantego Steckiego oraz Tadeusza i Stefana Zwolińskich — posuwała się pomału w blaskach wschodzącego słońca, po świeżym śniegu drogą do Doliny Kasprowej. Śnieg zupełnie jeszcze nie uleżały, a bardzo ślizki dawał się nam porządnie we znaki. Sanki zapadały się i przewracały, nałożone na nie rzeczy trzeba było ciągle podnosić i poprawiać, a idąc na nartach trudno było sobie z tem wszystkim dać radę. Wreszcie dobrze już zmordowani przybyliśmy na miejsce, gdzie zwykle w lecie czerni się pod skałą otwór groty. W zimie charakter tej okolicy tak ogromnej uległ zmianie, że zastanawialiśmy się przez chwilę, czy na właściwe miejsce przyszliznęliśmy. Ale znaki na drzewach i inne wskazówki mówiły nam niewątpliwie, że pod tem zupełnie równym, silnie ku górze wznoszącym się zboczem śnieżnym musi się wylot groty znajdować. Niema rady. Zabraliśmy się zaraz do kopania przezornie przyniesioną łopatką oraz deskami z pobliskiego szałas. Robota to ciężka i męcząca; — co pewien czas wynurzała się ze śniegu czerwona, zasapana twarz kąpiącego, by przepuścić innego wypoczętego na przód rozpoczętego tunelu. Reszta naszej gromadki pomagała tymczasem, jak mogła, usuwając wykopany śnieg i poszerzając przejście. Cudowna słoneczna pogoda niezbyt dobrze nastrajała do pracy w coraz to głębszej i ciemniejszej jamie, a zbity i zlodowaciały śnieg w głębi sprawiał nam niemało kłopotu. Wreszcie, gdy niektórzy z nas zniechęceni i wyczerpani bezskuteczną jak dotąd pracą zaczęli sarkać i doradzać odwrót, wrócił nam energję i pogodę ducha zwycięski okrzyk znajdującego się na samym przodzie kopacza, że wreszcie — po 7 m. — tunel przebity i wstęp do groty wolny. Roboty te zajęły nam tyle czasu, że południe już dawno minęło i słońce chyliło się ku zachodowi. Mimo to pospieszyliśmy wszyscy do groty i niebawem, po rozdzieleniu między siebie przyborów, ruszyliśmy w głąb mrocznych i wilgotnych korytarzy. Tego dnia przebyliśmy bardzo znaczną część groty, ale pomiarów nie mieliśmy czasu dokończyć, mimo że wyszliśmy na światło dzienne, a względnie nocne, o godzinie 12, po 10-godzinnym pobycie pod ziemią. Powrót nocą w świetle latarni przypominał jakiś sekciarski pogrzeb, lub obchód Ku Klux Klan'u. Na sankach — jak na katafalku — spoczywała drabina, na niej wszystkie worki w szereg ułożone

robiły wrażenie trumny, udrapowanej wieńcami lin, a naokoło snuły się czarne, utarżane w błocie, zakapturzone cienie z kijami od nart i latarniami w rękach. Widok zaiste musiał być niesamowity, skoro na drodze z Kuźnic zauważyliśmy umykającą w las gromadkę spóźnionych przechodniów, wydających głośno okrzyki przestachu.



Ryc. 2. Kopanie tunelu śnieżnego przed wejściem do groty Kasprowej Niżniej.

Fot. T. Malicki.

W niedługi czas potem wybraliśmy się z bratem do groty po raz trzeci, wzięwszy ze sobą do pomocy tylko młodego p. Olbrychtowicza. Tym razem zadanie mieliśmy znacznie ułatwione, bo od czasu poprzedniej wyprawy większych śniegów nie było, to też nasze ślady jak i tunel były w nienaruszonym stanie. Bez większego trudu powciągaliśmy wszystkie rzeczy do komory wstępnej i tu przygotowaliśmy się do wyprawy. Przygotowania te polegają na grubym i miękkim owinięciu kolan i łokci, aby je ochronić od obicia przy pełzaniu po ostrych kamieniach oraz na nałożeniu „specjalnych“ t. j. już dostatecznie wyszarżanych i postrzępionych ubrań. Latarnie zapala się, rzeczy sprawiedliwie podzielone do worków, drabiny w ręce i dalej w drogę. Zapomniałem jeszcze wspomnieć, że czapka szanującego się grotolaza powinna być dobrze wypchana papierami, dla ochrony przed ewentualnem

uderzeniem głową o ostre zęby sklepienia. — Komorę wstępną¹⁾, oznaczoną na planie i przekroju l. 1, stanowi niezbyt duża, ale ładna salka, której dno opada lejkowato w kierunku wschodniej ściany. Na samym dole tego lejka czernią się pod skałą trzy małe i ciasne otwory. Tędy prowadzi droga w głąb grotu. Czołgamy się niskim korytarzem (l. 2) ciągle ku dołowi. Nie jest to ani przyjemne ani łatwe, jeśli się zważy na niezwykłą ostrość zalegających dno kamieni oraz na ciężar drabin i worków, które wlec za sobą trzeba, mając przytem ręce zajęte trzymaniem latarń, ciupag i innych przedmiotów. Na szczęście po jakich 15 metrach takiej drogi sklepienie zaczyna się stopniowo wznosić, korytarz rozszerza się, robi się mniej stromy i wreszcie można się już wyprostować i szybciej posuwać się naprzód. Po dalszych kilku metrach dochodzimy do małej salki (l. 3), gdzie odgałęzia się kilka ciasnych, bocznych korytarzyków, bez znaczenia, są one bowiem tak niskie, że zwiedzenie ich jest niemożliwe. Główny korytarz już tutaj zupełnie szeroki i rozległy prowadzi nieco ku górze i po dwóch małych zmianach kierunku doprowadza do stóp pierwszego progu (l. 4). Próg ten jest z tej strony niezbyt wysoki ($4\frac{1}{2}$ m) i pokonać go można dość łatwo przy pomocy znajdujących się tu starych ostrewek. Na szczycie mała platforma pozwala na wygodne rozejrzenie się i popatrzenie w dół na stromy, 6-cio metrowy komin, którym dalsza droga prowadzi. Przy pomocy ostrewek lub liny schodzi się na dno sali „Za progiem“ (l. 5). Jest to dość obszerna komora, długości około 8-miu a szerokości 4-ech metrów, a sklepienie wznosi się tu tak wysoko, że słabe światło latarń nie może już przebić mroku czającego się pod stropem. Dalszy obszerny i wysoki korytarz przechodzi pod t. zw. „mostem“ (l. 6), wymytm przez wodę ze wszystkich stron blokiem skalnym, łączącym boczne ściany grotu poziomym filarem i doprowadza do dość dużej komory (l. 7), która jest przeważnie kresem wycieczek do grotu Kasprowej. Za małym progiem — parę metrów dalej — tamuje przejście dość głęboki stawek (l. 8), który uważano do niedawna za odnogę wielkiego jeziora podziemnego. Miejsce to bardzo piękne; blade-zielona tafla wody, opasana ławą bielusieńkiego, miążkiego piasku, dziwny stanowi kontrast z ciemnymi, mułem oblepionymi ścianami i w fantastyczne zęby postrzępionem sklepieniem. Namuł, pokrywający tutaj dość grubą warstwą ściany, porzeźbiony jest przez wodę w ciekawe, niezwykle delikatne utwory, przypominające zarysy miniaturowych drzewek lub paproci. Próbowaliśmy przenieść kawałek tego mułu do Muzeum, jednak okazało się to niemożliwością, gdyż zaraz po wyschnięciu na wolnym powietrzu rozpadał się na proch. W górę od wspomnianej komory

¹⁾ Ważniejsze lub ciekawsze miejsca grotu oznaczone są na planie i przekroju liczbami od 1—30. Nie chcąc się ciągle powtarzać, będę podawał w odpowiednich miejscach opisu tylko same liczby w nawiasach, np. (l. 18) oznacza „Salę Rycerską“ i t. p.

wznoszą się potężne, niemal prostopadłe kominy prowadzące do wyżej położonych, nowo odkrytych części groty. Odległość od wylotu do stawku, to jest długość dawniej znanych korytarzy, wynosi dokładnie 152 m.

Po krótkim odpoczynku decydujemy się zwiedzić najpierw dolne, znajdujące się za stawkiem korytarze. Nie mocząc nóg udaje się nam przejść nad wodą po poziomo ustawionej drabinie i po ominięciu jeszcze jednej niewielkiej kałuży stajemy w części groty, zwanej przez nas „gąbczastą“ (l. 9). Korytarz zmienia tu kierunek i rozdwaja się na odnogi, biegnące w przeciwnieległe strony, a w miejscu rozgałęzienia cały szereg wąziutkich, do rur kanalizacyjnych podobnych chodników, drąży skałę we wszystkich kierunkach, poziomo i pionowo, łącząc i krzyżując się wzajemnie, upodabniając to miejsce do wnętrza ogromnej skamieniałej gąbki. Posuwając się korytarzem w kierunku północno-wschodnim trzeba zachować wielką ostrożność, aby nie wpaść w zdradliwie czające się pod nogami czeluście studzienek z wodą, niewiadomej głębokości, poprzedzielanych wąziutkimi i śliskimi grzbiecikami. Korytarz ten, długości 50 m, ma ciekawą komorę ze skrzelami filarowymi w kształcie muszli ślimaka-olbrzyma, a nieco dalej (l. 10) woda zalewa go aż po samo sklepienie, uniemożliwiając dalsze przejście. Wracamy więc, aby jeszcze pomierzyć drugie ramię korytarza, ciągnące się od „gąbki“ w kierunku południowo-wschodnim. Ale już po paru metrach i tu napotykamy wodę, która wypełnia go do połowy wysokości, a że korytarzyk ten jest niski i ciasny, nie pozostawałoby nic innego, jak tylko czołganie się na brzuchu we wodzie, na co jakoś nie mieliśmy ochoty się zdecydować. Skończywszy tedy swoje zadanie w tym zakątku groty wracamy do komory (l. 7) pod wielkim kominem. Po złożeniu i związaniu dwóch drabin ze sobą wspinamy się ostro w górę, pokonując pierwszą pionową, 4¹/₂ m wysoką ściankę; dalej niezwykle stromy i cały gliną wyklejony komin (l. 11) doprowadza nas wreszcie po 12 metrach na niewielką platformkę, z kąd już widać otwór górnego korytarza. Czarna czeluść pod nami wzrosła tymczasem do wysokości dwóch pięter, a usuwające się z pod nóg grudki gliny z głuchym stukiem rozbijają się gdzieś na dole, ostrzegając przed grożącym niebezpieczeństwem. Niemiłą rzeczą jest wspinanie się w takich warunkach po chwiejnej, powiązanej sznurkami i niedającej się pewnie ustawić drabinie, mając głęboko pod sobą najeżone ostreimi głazami dno groty; to też zastanawiamy się przez chwilę, jakby można było zaasekurować liną z góry wchodzących. Na szczęście natrafiamy na mały ciasny komin (l. 12), który wznosząc się spiralnie ku górze wyprowadza ponad wielki próg. Zaopatrzeni w linę wydoświadczając się z trudem tą drogą na górę i niebawem po umocnieniu drabiny, cała nasza trójka znalazła się cało i zdrowo w korytarzu nad progiem. Miejsce to jest jednym z najpiękniejszych w całej grocie. Wysoki i obszerny



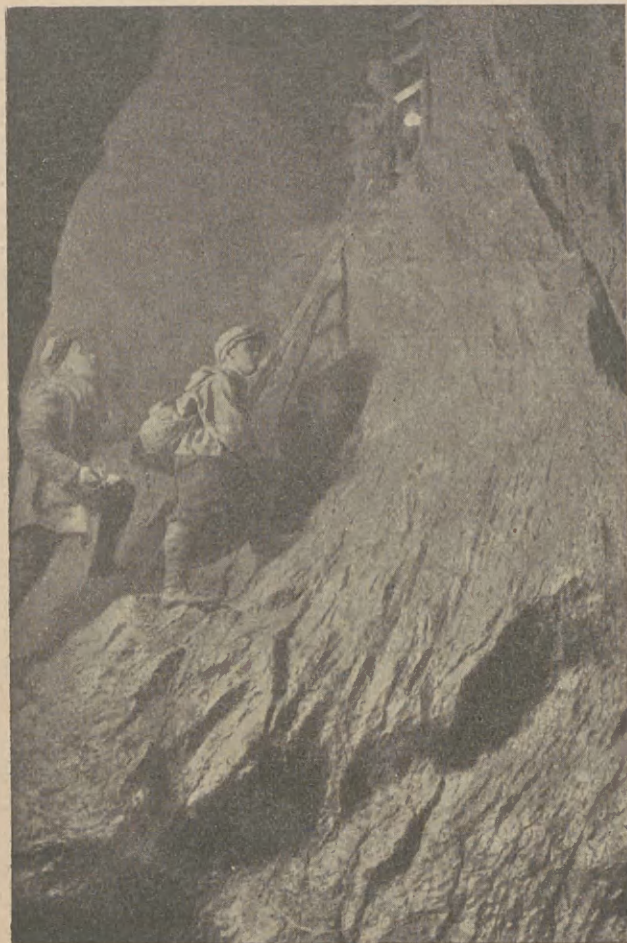
Ryc. 3. Przed wejściem do wielkiego komina.

Fot. Zwoliński.

korytarz rozszerza się tutaj w małą salę, zwaną „Komorą Stalaktytową“ (l. 23), której dno urywa się raptownie i zieje czarną czeluścią komina. Sklepienie pokryte jest białymi i żółtymi naciekami, które w węzowych splotach wiążą się po ścianach, tworząc nawet miejscami niewielkie stalagmity w formie niskich okrągłych słupków. Widocznie woda tu nigdy nie dochodzi, znalazłszy sobie inne odpływy. Zresztą — jak wynika z pomiarów — „Komora Stalaktytowa“ położona już jest ponad poziomem wylotu groty, podczas gdy wszystkie dotąd opisane korytarze znajdowały się dość znacznie poniżej.

Nasycający oczy wspinałem i groźnym widokiem, posuwamy się dalej, lekko ku górze wznoszącym się korytarzem. Po drodze przejść trzeba po kładce — którą ułożyliśmy poprzednio z niżej znalezionych bali — małe jeziorko, wypełniające owalne zagłębienie w dnie groty. Korytarz obszerny, wysoki i ciągle ładnie przybrany naciekami, doprowadza nas wreszcie znowu nad brzeg ogromnego i bardzo głębokiego komina (l. 14). Już wiemy z poprzednich wypraw, że jego głębokość nie pozwala na użycie naszych drewnianych drabin, które są za

krótkie i nie sięgają dna; radzimy sobie inaczej, umocowując do znajdującego się na górze głązu jedną z przyniesionych lin, i przy jej pomocy opuszczamy się na dół, pozostawiając na razie linę zawieszoną. Komin ten, 9 m wysoki, przechodzi w bardzo stromy, grubymi zwałami gliny pokryty korytarz, doprowadzający wreszcie do małej, bardzo ciekawej salki (l. 15), której dno wyściela białą, drobnoziarnisty piasek. Przyszedłszy tutaj



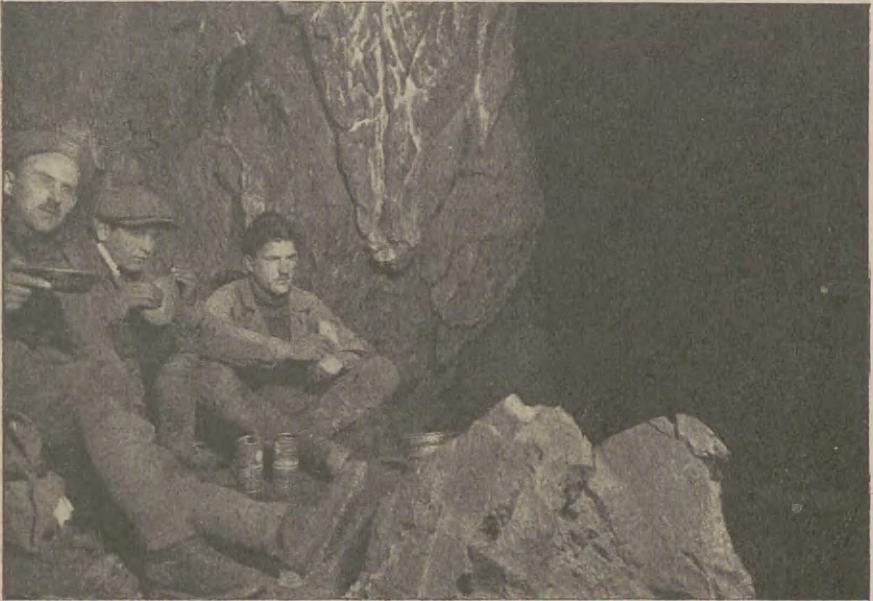
Ryc. 4. Wspinaczka na próg skalny w sali „za podkopem”.
Fot. Zwoliński.

ma się wrażenie, że jest się na dnie studni bez wyjścia, nokoło wznoszą się prostopadłe, w górze sklepienie ściany, a nawet korytarz, którym się tu dochodzi, urywa się dość wysokim, stromym progiem. Tu dotarł przed kilkunastu latami gen. M. Zaruski, a nie znalazłszy dalszego przejścia uważał to miejsce za koniec Groty Kasprowej i na pamiątkę starej legendy góralskiej nazwał je „Gniazdem Złotej Kaczki”. Ale byli po nim szczęśliwsi. Wypatrzone, że dno studni, choć całe równomiernie piaskiem pokryte, opada jednak w jednym określonym kierunku, a bruzdy na piasku wskazują, że tędy musi odpływać woda. Zaczęto kopać i istotnie po kilku metrach korytarzyka (l. 16), którego wyko-

panie w miękkim i sybkim piasku nie stanowiło wielkiej trudności, dostano się do dalszych znowu wielkich i wysokich komór. Widocznie w zależności od szybkości osuszania się groty po wiosennych i letnich zalewach ma woda więcej lub mniej czasu na osadzanie piasku w tej komorze. Ztąd też ilość jego tutaj jest zmienna. W wyprawie naszej poprzedniej, o której wyżej była mowa, piasku osadziło się tutaj tak wiele, że najmniejszy ślad nie wskazywał na to, aby mogły być dalej jeszcze jakieś groty. Dopiero trzeba było wykopać

pod skałą tunel $1\frac{1}{2}$ m głęboki i 3 m długi, aby módz przedostać się wraz ze wszystkimi rzeczami do sąsiedniej komory. Zaraz za tym przekopem grotą rozszerza się i wznosi stromo ku górze w formie przechodzącej w komin salki (l. 17). Cała ta część groty, składająca się z dwóch opadających w dół studni, połączonych ze sobą wązkim, zamulonym przesmykiem, stanowi typowy przykład układu syfonowego, tak często w grotach występującego. Po sforsowaniu dość trudnego proggu ukazał się przed nami prosty, biegnący ku dołowi korytarz, pokryty grubą warstwą mokrego i grząskiego błota. Błoto to jest tak śliskie, że mimo stosunkowo niewielkiej pochyłości trzeba bardzo ostrożnie schodzić, aby nie upaść i nie zesunąć się w lepkiej mazi, co nas zresztą wielką obawą nie napawało, bo i tak już od stóp do głowy byliśmy niem pokryci. Po czternastu metrach takiej drogi korytarz zwraca się ku wschodowi i ciągnie się około 100 m z małymi wzniesieniami i odchyleniami w tym kierunku (od l. 17 do 18). Korytarz ten nazwaliśmy „wielkim chodnikiem“. Idzie się tutaj zupełnie wygodnie. Dno pokryte grubym czystym żwirem miły stanowi kontrast z błotnistymi, mokremi bezdrożami które dotąd przebywać było trzeba. I tutaj nie spotyka się żadnych utworów stalaktytowych, a pokryte grubą warstwą namułu ściany świadczą, że partie te muszą być również przez wodę zalewane. Wreszcie wychyliwszy się z za małej ostrogi skalnej stajemy zachwyceni rzadkim w tej grocie widokiem. Przed nami rozpościera się obszerna i wysoka, strzelista jak kościół „Sala Rycerska“ (l. 18). Rozmiary jej są dość znaczne: szerokość $11\frac{1}{2}$ m, długość 16 m, a wysokość około 15 m. Sala o kształcie nieregularnego czworoboku ma dno pokryte głazami, spiętrzonemi pod ścianą południową. Po stronie wschodniej znajduje się na wysokości 6-ciu metrów obszerna i wysoka nisza. Po drabinie pokonujemy stromy próg skalny i po przekroczeniu maleńkiego stawku (l. 19), zawieszonoego na wąskiej półce między dwoma progami, wydostajemy się wreszcie na szeroką, gładką i zupełnie czystą platformę (l. 20). Spokojne, przeźroczyste jak kryształ wody stawku oblewają to miejsce z drugiej strony, a wysoko wzniesione sklepienie zamyka się kopulasto nad nami. Wymarzone miejsce na obóz. Rozpakowujemy szybko plecaki, wyciągamy maszynki do gotowania, kubki i inne przybory i niebawem niczem niezmacną ciszę tych podziemi przerywa syczenie i bulgotanie gotującej się wody. Miłe ciepło maszynki działa rozleniwiająco, zmęczone członki żądają wypoczynku, tylko oczy nie mogą się dość nasycić niepowszednim i przepięknym widokiem, jaki się ztąd roztacza. Naokoło nas lśnią się zwierciadła stawków, odbijając z dziwną wyrazistością wszystkie załomy fantastycznie poszarpanego sklepienia, w dole błyszczą w migotliwym świetle latarń tylko jaśniejsze krawędzie i bloki skalne, pozwalając na objęcie wzrokiem ogólnych zarysów wielkiej sali — reszta szczegółów zaciera się, ginie w nie-

przenikliwym mroku, który zdaje się pochłaniać i tę odrobinę światła, jaka została wniesiona przez niepowołanych... Gwałtowne syczenie i kłęby pary, wydobywające się z maszynki, odrywają nas od tych rozmyślań i zmuszają do szybkiego zajęcia się sprawami gospodarskimi. Gotujemy najpierw parówki konserwowe, które nigdzie mi tak jak tutaj nie smakowały, potem idzie kolej na kilka herbat, całą kolekcję chlebów z szynką, serem etc. Pierwszy



Ryc. 5. W obozowisku grotolazów nad „Salą Rycerską“.

Fot. Zwoliński.

to dziś i ostatni dłuższy odpoczynek, gdyż mamy jeszcze przed sobą sporo drogi i żmudne, zabierające wiele czasu pomiary dalszych korytarzy.

Już przy nabieraniu do gotowania wody z leżącego u naszych stóp stawku zauważyliśmy w najgłębszym zakątku niszy, że między powierzchnią wody a sklepieniem znajduje się pusta przestrzeń, robiąca wrażenie zalanego korytarza (l. 21). Postanowiliśmy zbadać tę rzecz bliżej, ryzykując kąpiel prawie po szyję w lodowato zimnej wodzie. Decyduję się iść pierwszy, zdejmuję więc ze siebie wszystkie rzeczy, które mają zostać w suchym stanie, ubieram się w „gumowce“ i z latarną w rękę pogrążam się w wodę. Chwila to bardzo niemiła, wszędzie czuć chłód wody, przesiąkającej przez t. zw. „nieprzemakalne“ ubrania, ale trudno — staram się o tem nie myśleć i peł-

zając na czworakach przedostają się pod nawisem w tym miejscu sklepieniem. Jeszcze kilka metrów brodzenia po wodzie i stają już na suchym gruncie w obszernej i wysokiej sali (l. 22). Rozmiarami dorównuje ona „Sali Rycerskiej“, a wysoki stożek gruzów, zajmujący prawie cały środek, nadaje jej wygląd niezwykle groźny i ponury. Nie można opanować uczucia pewnego



Ryc. 6. Przejście jeziorka za „Salą Złomisk“ w nowo odkrytej partji jaskini.

Fot. Zwoliński.

tryumfu, gdy się stanie po raz pierwszy, jak tutaj, na zupełnie jeszcze ludzką stopą nietkniętej ziemi. Obchodzę salę, nazwaną przez nas „Salą Złomisk“, od strony wschodniej szukając bocznych korytarzy. Parę metrów dalej napotykam otwór, prowadzący do mniejszej komory, której dno wypełnia ładne, owalne jeziorko (l. 23). Jest to największy zbiornik wody, jaki w całej grocie napotkaliśmy. Znowu brodzić trzeba w wodzie prawie po piersi, aby stanąć wreszcie na niewielkim progu skalnym, z kąd widać biegnący dalej, nieco w dół, obszerny i wysoki korytarz. Prowadzi on aż do stóp wysokiego w górze bardzo stromego komina (l. 24), którym wyjście umożliwia tylko boczny okrężny tunelik, przebijający najwyższy, przewieszony próg. Nad ko-

minem niższy i ciaśniejszy korytarz zalany wodą prawie do połowy wysokości dąży dalej w głąb skały. Wracam nie chcąc niepokoić towarzyszy długą nieobecnością, obiecując sobie przyjść tutaj w przyszłości. W drodze powrotnej porobiłem jeszcze, potrzebne do narysowania planu pomiary i wreszcie przemarznięty już porządnie powróciłem do naszego obozowiska. Naturalnie zaciekawieni towarzysze nie poprzestali na mojem opowiadaniu i po kolei przebierali się w zdjęte przezemnie mokre ubranie, aby zwiedzić nowo odkrytą część jaskini.

Wreszcie ciekawość zaspokojona, ciepła herbata rozgrzewa zziębnięte członki i po spakowaniu wszystkich naszych ruchomości schodzimy po drabinie na dno „Sali Rycerskiej“, aby dokończyć badań i pomiarów niżej położonych partyj groty. Dostać się tam można wążką, stromo w dół idącą szczeliną (l. 25), która zaczyna się w najbardziej północnym krańcu sali. Po kilkunastu metrach szczelina ta doprowadza do korytarza dolnego w miejscu oznaczonem na planie (l. 26). Korytarz ten niższy od górnych robi wrażenie rury kanalizacyjnej, odprowadzającej wodę z górnych pięter. Idziemy narazie w kierunku północno-wschodnim. Droga dość uciążliwa, ciągle napotyka się kałuże wody (l. 27), które po poziomo ustawionej drabinie przechodzić trzeba, małe wyślizgane kominki — miejscami tylko przez ciasne otwory przesłizgnąć się można do dalszych partyj. Przytem wiele czasu zabierały nam pomiary i rysowanie planu, co w ciemności jest rzeczą niezmiernie żmudną i skomplikowaną. Po przebyciu 120 m dotarliśmy wreszcie do miejsca, gdzie korytarz zwęża się bardzo i opada stromo w dół, a woda i piasek uniemożliwiają dalsze przejście (l. 28). Wracamy tedy aż do szczeliny, którą dostaliśmy się tutaj (do l. 26) i idziemy w przeciwnym t. j. południowo-zachodnim kierunku. Charakter korytarza ciągle podobny: owalne, wygładzone mokre od wody ściany lśnią w świetle jak z marmuru, dno nierówne pełne progów i zdradliwych szczelin napełnionych wodą. Po 50 m docieramy wreszcie do stóp bardzo wysokiego i ciasnego komina (l. 29). Próbujemy go forsować, co udaje się tylko dzięki szczęśliwemu pomysłowi umieszczenia drabiny kilka metrów wyżej na sterczącej tu, bardzo wybitnej ostrodze skalnej. Górne partje przechodzimy zapieraniem i wreszcie po wielkich wysiłkach znajdujemy się na szczycie; wysokość komina tego, najtrudniejszego z dotąd poznanych, wynosi 13 m. Dalej grota zaczyna się znowu obniżać i wreszcie po 40 m dochodzimy nad brzeg wody (l. 30), która ciasny w tem miejscu korytarz zalewa do połowy wysokości. Zmuszeni byliśmy zacząć odwrót nie wiedząc narazie co się dalej za tą wodą znajduje. I tu mieliśmy możność stwierdzić, jak wielką wartość mają porządnie wykonane pomiary. Gdy po powrocie do domu nakreślił mój brat szczegółowy plan, na podstawie poczynionych szkiców, okazało się z rysunku, że ten zalany wodą korytarz łączy

się z korytarzem opisanym wyżej w t. zw. „gąbczastej“ (l. 9) części grotu, gdzie również napotkaliśmy wodę i nie chcąc się gruntownie zamoczyć zaprzestaliśmy jego badania. Zaledwie 20 m mieliśmy do przejścia i gdyby nie woda możnaby tę drogę uważać za drugą, krótszą i wygodniejszą dostęp do „Sali Rycerskiej“.

Późna pora i zmęczenie zmusza nas do powrotu. Szybciej już przebyliśmy całą wyżej opisaną drogę w kierunku odwrotnym, robiąc jeszcze kilka pamiątkowych zdjęć. Na dworze powitała nas pogodna gwiazdzista noc zimowa. Wilgotne ubrania zaczęły marznąć na mrozie, to też wyciągaliśmy co sił nogi, aby jak najprędzej znaleźć się w ciepłym, zacisznym mieszkaniu i zrzucić ze siebie wszystkie te zabłocone i przemoczone szmaty. Tym razem pobiliśmy jeszcze nasz poprzedni rekord przebywając pod ziemią przeszło 12 godzin.

Jakkolwiek nasze nadzieje co do odkrycia w grocie Kasprowej większych jaskiń stalaktytowych narazie zawiodły, wyprawy nasze nie pozostały bez pozytywnego rezultatu. Dziś można stwierdzić stanowczo, że jest to największa i najbardziej interesująca ze wszystkich znanych grot po polskiej stronie Tatr. Największą zdobyczą jest szczegółowy i wierny plan i przekrój grotu, który ogromnie ułatwia orientację w tym zawiłym labiryncie podziemnym. Plan ten zamieszczamy przy niniejszym artykule na osobnej wkładce. Nam wycieczki te pozostawiły tyle różnorodnych wrażeń i emocji, że wspominalimy je zawsze z przyjemnością i obiecujemy sobie powtórzyć dawne wyprawy w najbliższej przyszłości. Być może, że opis ten przyczyni się do zwiększenia wśród taterników zainteresowania tą mało u nas uprawianą gałęzią turystyki, co byłoby dla nas dostateczną nagrodą za poniesione trudy.

Zakopane, w lutym 1929 r.

Stefan Zwoliński.

W „styrbnych miejscach“.

Przyczynek do psychologii taternictwa.

Każdemu z alpinistów zdawało się niewątpliwie być w czasie swoich wycieczek wysokogórskich w mniej lub więcej krytycznym położeniu; każdy przeżywał prawdopodobnie jeżeli nie identyczne to zbliżone do siebie uczucia i myśli, każdy walczył ze skałą i z sobą w sposób mniej lub więcej jednakowy. Mniej lub więcej, bo przecie indywidualność człowieka nie może nie odegrać tu roli wybitnej.

A nawet nie alpiniści — t. zw. niedzielni turyści przechodzą na swych drogach bezpiecznych przez podobne sytuacje.

Pamiętam pewnego profesora, który przy wejściu z piargów na ścianki Granatów nad Czarnym Stawem Gąsienicowym, na ścieżce łatwej i bezpiecznej znalazł się według swego mniemania w położeniu rozpaczliwym i leżąc na kamieniu o $1\frac{1}{2}$ m nad piargiem wołał o pomoc, którą też otrzymał.

Albo inny pan, który zgłosił się był do mnie, jako do naczelnika Tatr. Ochotn. Pogotowia Ratunkowego (przed wojną) w Zakopanem, uważając, jak sam to tłumaczył, za swój obowiązek złożyć mi o wypadku relację. Wypadku właściwie tutaj nie było, były natomiast przeżycia.

Sprawa według przedstawienia rzeczy świadka bardziej niż sam zainteresowany wiarogodnego, mianowicie zacnego Szymona Tatara, tak się miała:

Jakosik w czerwcu miesiącu wracał Szymon z Morskiego — był jako strażnik T. T. na obchodzie perci — gdzie piarg się usunął, gdzie klamra się obluźniła, albo i cały łańcuch śnieg zabrał. Wracał Szymon i był już w Pięci Stawach, a siompiło okrutnie i chmury po samej ziemi jak barany chodziły, aż tu słyszy — „cosik jajcy“, tak wprost, przed nim, jakby we Świnnicy. Poszedł Szymon na ten głos i doszedł ku nim; było ich troje: pani starsza, panna i ten pan. Niewysoko siedzieli — już drugi dzień — i zejść nie mogli. Nie bars tam dobrze było, ale nie było i źle. Tak bez nijakiej pomocy, z ciupagą tylko i w kierpcach, doszedł Szymon do nich i sprowadził na dół: po jednemu. Trzy razy wracał na to miejsce. Pani starsza — to nic: zesła dobrze, ino jej pomagał; panna już gorzej, a najgorzej — to pan. Całkiem Szymonowi ręce przy nim poodpadały. No nic, zabrał ich Szymon i przywiódł ku Zakopanemu.

Tak się przedstawiało zdarzenie.

Warto było jednak posłuchać opowieści samego bohatera przygody.

Był uszczęśliwiony. Nie dlatego, że nic mu się nie stało, lecz z głębokiego przeświadczenia, że teraz, po straszliwych tarapatach, z których wyszedł szczęśliwie, wszystkie góry świata, nie wyłączając Himalajów, stoją przed nim otworem. Niema już dla niego złej drogi w wysokich górach, niema ściany, któreby nie potrafił pokonać, niema okropności, którychby nie zdolny był przezwyciężyć.

Patrzyłem na cudaka — człowieka lat trzydziestu — z dużym zainteresowaniem i słuchałem uważnie jego natchnionego i niewątpliwie szczerego bajdurzenia.

Co on przeżył w ciągu kilkunastu godzin tam, na tej grance, na którą Szymon Tatar w kierpcach po rozmiękłym od deszczu gruncie bez trudu się dostał? Z pewnością w przybliżeniu to samo, co Wymper w czasie pierwszych swych prób zdobycia Matterhornu.

W szkicu poniższym pragnę na podstawie niektórych osobistych wrażeń dać próbę analizy przeżyć podobnych. Sądzę, iż taternicy, zestawivszy w pamięci własne swe doświadczenia, znajdą w nich wiele cech wspólnych; stosunek człowieka do gór, przynajmniej w niektórych momentach, znajdzie swe oświetlenie.

Gdy myślą przebiegam wrażenia swych wycieczek wysokogórskich, staje mi w pamięci cały szereg sytuacji trudnych, nawet bardzo trudnych, do których w zupełności można zastosować miano krytycznych. Tem łatwiej, zdaje mi się, z analizą psychologiczną uda mi się dać sobie rady, że wiążą się one organicznie z przeżyciami podobnymi z innej dziedziny: z morza i wojny. Na morzach skrajnej północy przebyłem jako marynarz na żaglowych okrętach szereg ciężkich przygód, a niektóre z nich były wręcz beznadziejne. Takiej np. nocy i świtu koło przylądka *Woronowa* na oceanie *Lodowatym*, gdy w czasie jednej z najstraszniejszych burz, jakie widziałem, uniknęliśmy cudem rozbicia, choćbym żył tysiąc lat, nie zdolny jestem zapomnieć. Albo chwil nieskończenie męczących i długich, kiedy, oczekując zgruchotania okrętu przez napór lodowców polarnych, spuszczailiśmy już szalupę, ażeby na niej szukać... chyba nie ocalenia, lecz śmierci głodowej w pustyni oceanu — takich chwil również nie można wyzbyć się z pamięci. Cztery lata frontu w czasie dwóch wojen, w dodatku w kawalerji, to znaczy zawsze w straży przedniej, gdy szliśmy naprzód i w straży tylnej, kiedyśmy się cofali, nie mogły rzecz prosta, nie nastreścić sposobności do sytuacji arcykrytycznych.

Wspominam o tych dziedzinach nie taternickich dlatego, żeby usprawiedliwić niejako przed samym sobą próbę dociekań psychologicznych; że mam dość danych do podjęcia próby podobnej.

Przejdźmy do rzeczy.

W najdawniejszych czasach zetknięcia się swego z wysokimi górami, po nieudanych próbach wycieczki w górach Libanu, widzę siebie wspinającego się bardzo stromemi upłazkami — coś w rodzaju upłazków *Giewontu* ponad doliną *Strązyską* — ku igle skalnej, która jak potężny obelisk odłupała się od pionowej litej ściany i tkwi obok niej jak ostrze włóczni olbrzyma. Rzecz dzieje się na krańcu północnym Europy, w górach *Finmarkenu*. Towarzysze moi, marynarze — płynęliśmy wtedy szalupą z *Bugtenu* do *Bosekopu* — usnęli na brzegu, ja zaś ruszyłem do góry. Po co? Jakaś siła, rzecz można, fatalna popychała mię naprzód, ku tej igle przepięknej. Opisałem już gdzieś tę przygodę, m. in. w książce: „Na bezdrożach tatrzańskich“. Nie idzie mi tu o sam czyn alpinistyczny, ponieważ, jak zaznaczyłem sam to w tytule rozdziału książki, był on głupstwem, lecz o psychikę własną.

Przetrawersowawszy w lewo i zsunąwszy się niesłychanie stromemi

trawnikami (pomogła mi tu i ówdzie kosówka) kilkanaście metrów na dół, znalazłem się tuż nad czubkiem igły. Podemną była już krzesana ściana góry. Taką ściana monolitu igły kilkadziesiąt metrów wysokości lśniła naprzeciw niej. Trawiasta czapka igły jakie dwa metry długości i szerokości i nieco — może 60 cm — poniżej nęciła mię ku sobie. Odległość czapki $1\frac{1}{2}$ m.

Tam nikt nie był napewno — przemknęło mi w myśli. Skoczyłem na dół, na czubek igły. Szczęśliwie.

Laurowo tu i powietrznie. Pięknie. Poczucie szczęścia, potem chwila zastanowienia: jak teraz wrócić? Skakać teraz trzeba z dołu do góry na bardzo stromy trawnik nad błyszczącą ścianą.

Uświadomiłem sobie, że jestem w pułapce. Myśl o tem, żeby wołać o pomoc i liny odrzuciłem odrazu. Rozterka trwała niedługo: sprężyłem się i w szaleńczym skoku cisnąłem się w górę na trawnik, w który odrazu wpiłem się „pazdurami“ i utrzymałem się.

Wszystko to trwało tak krótko i w takim naprężeniu czynu, że na refleksje czasu nie było.

Urok pierwszego wejścia (było to równo 30 lat temu kiedy nowoczesne taternictwo jeszcze się nie było zaczęło), a potem ambicja i wstyd przed wołaniem o pomoc sprawiły, że wykonałem te dwa prawdziwie śmiertelne skoki. Głos instynktu samozachowawczego odezwał się w chwilę potem, gdy byłem już bezpieczny i trzymałem się za kosówkę.

Obraz drugi — w tych samych górach, tylko w innem miejscu, na wyspie Stjern-ö. Wracałem z dalekiej i ciężkiej wycieczki na wspaniały lodowiec, pokrywający całą niemal wyspę. Odłączywszy się od dwóch swych towarzyszy, marynarzy, poszedłem na improwizowane skrót (w Finmarken nie ma żadnych ścieżek ani schronisk w górach niema) i goniłem już po 16-godzinnym marszu bez przerwy resztkami sił. Znalazłem się też, jak to bywa na „skrótach“, po długim schodzeniu w żlebie nad bezdenną przepaścią. Trzeba było wracać, a nie miałem już siły. Stromizna przytem, którą w zejściu przebyłem, była tak wielka, że raz po raz trzeba było wciągać się na rękach. Przyśiąść dla odpoczynku nie było gdzie. Siły musiałem wykrzesać z głuchego poczucia konieczności tego wysiłku, w przeciwnym bowiem razie musiałbym zginąć. Tak też uczyniłem. Decymetr po decymetrze w odrętwieniu posuwałem się naprzód, aż znalazłem się w miejscu, gdzie mogłem już leżeć. Pamiętam, że nie odwróciłem się nawet: leżałem twarzą do ziemi. Nie myślałem nic i nie czułem. Niejasne poczucie tego, że ztąd już nie wstanę, ogarniało mię coraz bardziej. I nagle spostrzegłem, że leżę na kobiercu z borówek. Spora doza zjedzonych wraz z liśćmi borówek powróciła mi siły, a wraz z nimi i chęć do życia i dalszej walki. Wróciłem szczęśliwie do szalupy, leżącej na brzegu, i swych towarzyszy.

Tu wyczerpanie fizyczne spowodowało zubożenie na wszystko.

Inne przygody w tych górach, jak wpadnięcie w czasie przeskoku w szczelinę lodowcową (serac), z której się sam wydostałem po dłuższych nieudanych próbach, pomijam, jako rzeczy mniej wybitne pod względem przeżyć alpinistycznych i przechodzę w Tatry.

Lawina pod Polskim Grzbieciem, odcięta, a raczej strącona moimi nartami na całej długości północnego stoku, była zjawiskiem potężnym i wspinałem. Jako taka też wryła mi się w pamięć. Momentów walki nie dała gdyż błyskawicznie stała się faktem już dokonanym. Jedna chwila wszakże była ciekawa. Oto, gdy stojąc bez ruchu, jak posąg narciarza na lodowatym podłożu stoku, na który w chwili oderwania się lawiny (pyłowej) opadłem z grubej warstwy śniegu młodszego, i nie mogąc odważyć się na wykonanie jakiegobądź poruszenia, gdyż obawiałem się strącić na siebie wiszącą nade mną resztę śniegu, medytowałem nad tem, jak uspić czujność czychającego na mnie wroga. Wreszcie kociami ruchami zacząłem narty kolejno zwracać w przeciwnym kierunku, a kiedy wszystko było gotowe, w radosnem poczuciu siły rzuciłem się jak kula na dół w zupełnej pewności, że nowa lawina mnie nie dopędzi, zanim wskoczę na skalną grządkę, na której leżał już mój towarzysz, p. R. Kordys. Niebawem i ja tam leżałem.

Długo jeszcze potem zjeżdżaliśmy na dół, lawirując pomiędzy grzędami i żlebami, a cała nasza jazda była właściwie grą w ciuciubabkę z drzeмиącemi w tym czasie na całym stoku gór lawinami.

A oto nowa przygoda.

Upadłszy w zalodzonem żlebieku powyżej Zmarzłego Stawu (pod Zawratem) sunę w pozycji leżącej dnem jego ku Czarnemu Stawowi. Bezładne narty na nic mi tutaj przydać się nie mogą. Kij (pamiętkowy), nie chcąc go złamać w głębokim śniegu, w który się wbił do połowy, świadomie z rąk wypuściłem, nie przewidując oczywiście następstw upadku: lód tutaj był zamaskowany cieniutką warstwą świeżego śniegu. Ratuję się rękami: próbuję raz łokciami zatrzymać się w pędzie, to znów palcami chwytam za drobne kamienie, tkwiące w lodowej oprawie, albo za trawki przeświecające przez lodowe szkliwo — wszystko daremnie: pęd coraz większy. Jak wichura śmierć do mnie na spotkanie pędzi. Wiem, że tam niżej — spaszty, urywające się do Czarnego Stawu. Sam lecę już ptakiem. Już mię przerzuciło przez sporą wantę, wyrastającą z lodu jak wyspa — zdążyłem tylko pomyśleć, że o nią właśnie nogi połamię, już krawędź ściany, już lecę w powietrzu czystem, mroźnem powietrzu. Naprzeciw mnie ściany granatów... ot tam zachód — widać go teraz dobrze pod śniegiem — którym wejść można na górny taras. Mignęły twarze ludzi blizkich i drogich — jedna, druga, trzecia... szkoła, maszty okrętu... Oszalałamiący pęd powietrza, a po-

tem szorowanie śniegu podemną... Cóż to jest? Leżę na śniegu, głowa wyżej, nogi niżej — ale nie tkwię na miejscu: sunę na dół z zawrotną szybkością. Coś dzwoni nademną? To mój kij bambusowy mię dogania.

Ująłem kij w ręce i zanim jeszcze w upadku zdążyłem zatrzymać się, powstałem na nogi i dalszą drogę do Stawu odbyłem już w charakterze jadącego narciarza.

Ocalenie swoje zawdzięczam temu, że głębokie śniegi w owym roku, oraz lawinki zasypały tak ściany progów, że języki śnieżne podchodziły bardzo wysoko. Na jeden z takich jęczorów spadłem, lecąc w powietrzu i zacząłem nim ześlizgiwać się, co złagodziło ogromnie siłę uderzenia. Cała ta jazda trwała zapewne nie dłużej niż 20 sekund — czas bez wątplenia „rekordowy“, jak dzisiaj się mówi.

Charakterystyczną rzeczą tutaj jest błyskawiczny przegląd całego życia w jego najistotniejszych zdarzeniach i ludziach, obok nedorzecznych, jak ten zachód, prowadzący na górny taras, zupełnie luźnych myśli.

Przegląd życia, jak zauważyłem w innych wypadkach, zarówno na morzu, jak i na wojnie, występuje zawsze w oczekiwaniu śmierci. Myśl pracuje tu szybciej, niż błysk pioruna.

Z okresu „odkrywania“ Tatr, otulonych grubym całunem zimowego śniegu, który to okres trwał okrągło niemal lat dziesięć, żyją w mej pamięci niezmiernie liczne rzeczywiście „styrbne“ momenty. Zagłębianie się jednak w ową przeszłość śnieżną naprowadziłaby mnie niechybnie na manowce ukochanych moich bezdroży tatrzańskich, „gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha“; w dobie „płaskich biegów“ narciarskich i skoków u podnóża regli jawiłbym się przed czytelnikami być może w postaci upiora z okresu Jana Gwalberta Pawlikowskiego, który co prawda zdobył Mnicha, ale chadzał też po owe kwiaty, co dla Boga kwitną; albo z czasów jeszcze dawniejszych, kiedy ludzie na szczytach skalnych umieli się modlić.

Pominę wrażenia spadania po polu lodowem w czasie zjazdu na nartach z Kościelca: byłem wówczas związany liną z wiernym towarzyszem moich ratunkowych wypraw tatrzańskich, St. Zdybem i, jakkolwiek sam ostrzem kija się zatrzymałem, miałem pewność, że w razie ostatecznym on nie zawiedzie. Również zażartą walkę z głębokim sytkim śniegiem prowadzę w pierwszym zimowem wejściu z Granatów na Orlą Basztę i przejdę od razu na suche, ogrzane letniem słońcem, a tak miłe w dotknięciu granity tatrzańskie.

Wspinając się w trzecim przejściu południowej ściany Zamarłej Turni, przebyliśmy już z p. A. Znamięckim najtrudniejsze jej miejsca, a zatem: dolny trawers, górny trawers z jego stojącym dębem nieosiodłanym, a ślizkim jak grzbiet foki, koniem i płytki komin pod obszernym trawnikiem, na którym

pierwszy raz można przysiąc dla odpoczynku, — przebyliśmy to wszystko i... zabłądzili. Wybacz mi, panie Aleksandrze, że zdradzam tu tajemnicę: zabłądziliśmy. Zamiast iść drogą pierwszych zdobywców ściany: na prawo nieco w dół poza żebro skalne, gdzie wejście nie nastrocza już żadnych trudności, ruszyliśmy do podnóża ostatniego wielce trudnego 25 m komina. „Złe“ nas tam poniosło. Od podnóża komina udaliśmy się na lewo, na gładką poprzerynaną wążutkami listewkami ścianę i tułaliśmy się po niej, jak pozbawione wzroku stworzenia. Tutaj pamięta Pan, po naradzie strąciliśmy oparty krawędzią na listewce głaz; wzrokiem śledziliśmy jego upadek: raz tylko stuknął o ścianę, a potem już długo leciał w powietrzu, aż gruchnął wprost w piargi. To było ładne.

Czuliśmy, że tutaj niedobrze: nie puści. I istotnie, wyżej utknęliśmy, jak się mówi, nosem w przewieszki. Zejść? Niesłuchanie ciężko. Trzeba trawersować w prawo ku kominowi, który, niewiadomo, czy puści.

Ogarnęło mię poczucie tego, żeśmy w złych miejscach zgubili drogę. Asekuracja liną bezwartościowa: trzymamy się obaj na centymetrowej szerokości listewkach.

Ze szczelin skalnych wypełzają oślizgłe, zimne, powolne w ruchach gady zwątpienia; szklanemi oczami patrzą i czekają. „Złe“ wskazuje palcem na niebieskawą mgiełkę powietrza, zaczynającą się od stóp naszych i coś szepce do ucha: „wyrwij się, wyrwij ztąd prędzej, śpiesz się... jeden skok na tamtą listewkę, tam palcami w szczelinę się wpijesz, a potem krawędź... to nic, że tam trzy metry, dosięgniesz... Tylko prędzej, prędzej, śpiesz się!“

Krótką, decydującą walką z szatańskim doradcą: pośpiech tutaj, to śmierć — i już siła woli powraca duszy tak konieczny tu spokój i opanowanie nerwów. Wzrok zaczyna na nowo oceniać ściśle odległości i układ punktów oporu; zimne wyrachowanie, zdecydowana wola pokonania trudności prowadzi nas dalej przez znikome wgłębienia w ścianie, gzymsiki i chwyty do górnej krawędzi komina, na której niebawem stajemy.

Dalej — droga już łatwa.

Przez pomyłkę przebyliśmy jeszcze tę część — ostatnią i bardzo trudną — drogi, która to część, podobno, włączona została później do całości.

Analizując przeżycia swoje na tym skrawku ściany, stwierdzić w nich muszę brak myśli ubocznych, nie wchodzących w zakres walki ze skałą. Głos instynktu samozachowawczego, skłaniającego do jaknajszybszego wyrwania się z pułapki, stanowił istotną treść zmagania się wewnętrznego z zimną rozważą tatelnika. Zwyciężyła wola dokonania czynu.

Inne wspomnienie prowadzi mię znowu z tym samym p. A. Znamięckim w ohydny Czerwony Żleb Szatana.

Są miejsca w górach złe, trudne i niebezpieczne, których pokonanie

pozostawia w pamięci alpinisty wrażenia grozy, połączonej wszakże z radosnem uczuciem dumy. Wspomnienia Czerwonego Żlebu nie dają mi tej radości.

Była to pułapka, do której zaprowadziły nas (razem z p. W. Jerominówną) błędne informacje przewodnika (drukowanego). Przez cały długi dzień sierpniowy widnokrąg nasz u góry ograniczał się do paru dziesiątków metrów wiszącego niemal nad głowami piargu, zamkniętego przeważnie bardzo trudnym progim. Co dalej — niewiadomo.

Wracać ze względu na kruchość skały i nagromadzone tu od początku świata (było to wymuszone pierwsze przejście) piargi, było wręcz niebezpiecznie, ambicja zresztą taternicka odsuwała od nas myśl o odwrocie.

Szliśmy więc do góry, pokonując wielkie trudności.

W pewnem miejscu tej szatańskiej czeluści, właśnie w miejscu najwęższem, bo jakie 1½ m szerokości pomiędzy ścianami żlebu, zaczął zsuwać się na nas olbrzymi głaz płaski i ostry jak krawędź noża (wycieczkę tę opisałem w „Bezdrożach tatrzańskich“).

Zatrzymaliśmy go i trzymaliśmy z p. Znamięckim na swych barkach.

Wysiłkiem wszystkich swych mięśni. Siły wyczerpywały się z minuty na minutę. Uskoczyć nie było gdzie.

Widmo okrutnej śmierci przez zmiążdżenie zbliżka już zaglądało nam w oczy.

W ostatniej chwili, gdy ręce już drżały nam z nadmiernego wysiłku, a pot kroplisty zalewał nam oczy, uratowaliśmy się: p. Aleksander przecisnął się z boku, pomiędzy ścianą a blokiem, ja — zrobiłem z siebie mostek, rozparłszy się barkami i jedną nogą na dwóch przeciwległych ścianach żlebu, pod którym głaz przeleciał.

Przez kilka długich jak wieczność minut sytuacja była rozpaczliwa.

Wysiłek fizyczny nadludzki nie dopuścił tu do sprecyzowania się myśli i uczuć. Kłębły się one bezładnie, ścierając się wzajem i niweczając. Była to raczej zwierzęca walka o byt — bezwzględna i rozpaczliwa aż do ostatka. Pomogła nam tu siła nasza fizyczna: ludzie słabsi mięśniowo zginęliby byli odrazu.

A oto jeszcze parę wspomnień z chwil ciężkich — tym razem nie ściśle taternickich, bo z wypraw ratunkowych. W grę tutaj wchodzi pierwiastki odmiennej już nieco natury — poczucia odpowiedzialności moralnej za życie ludzkie.

Pierwsze (w porządku chronologicznym odwrotnie) — to wspomnienie z wyprawy ratunkowej po troje ludzi, z których w momencie, gdy wyprawa Pogotowia Ratunkowego do nich dotarła, dwoje już zginęło.

Działo się to w kominie Drege'a.

Noc ciemna zupełnie. We dwóch z Jędrzejem Marusarzem dźwigamy

pozostała przy życiu uczestniczkę tej fatalnej wycieczki, M. Bandrowską ze środka komina do góry. Dźwigamy ją w ten sposób, że wspólnymi siłami wciągamy ją po ściankach po kilkanaście centymetrów na linie, poczem ją trzymam ją na rękach, zanim Marusarz wciągnie się sam po linie i zaczepi się gdzieś na gzymsiku. Wówczas znów dźwigniemy ją nieco.

Blizko godzinę trwa już ta nad wyraz ciężka praca. Siły się wyczerpują. Oddech staje się świszczący. Jeszcze trochę, a już nie zdolę. Poczucie odpowiedzialności za życie ratowanej osoby, która po spędzeniu czterech dni i pięciu nocy w tym tragicznym dla nich źlebie, chociaż zachowała moc ducha i przytomność umysłu, fizycznie niezdolna już była do żadnego wysiłku, nakazało mi wydobyć z siebie potrzebne do tej pracy siły. I rzeczywiście znalazły się one: z zaciśniętymi zębami, w głuchem poczuciu konieczności wydobycia ofiary z tej fatalnej czeluści i zupełnym milczeniu pracowaliśmy z Marusarzem tak długo na pionowych ścianach, aż teren pozwolił nam wziąć Bandrowską na plecy i na czworakach dźwigać ją dalej do miejsca, gdzie reszta Pogotowia czekała już na nią i wzięła ją w swoją opiekę.

Pobudką do walki wewnętrznej, jaką ją, a zapewne i Marusarz, stoczyć ze sobą musieliśmy, było poczucie obowiązku ratownika, członka Pogotowia, uroczystem przyrzeczeniem zobowiązanego do ofiarnej pracy, a ja wszak byłem naczelnikiem jego.

W takiej samej sytuacji znalazłem się był dnia 6 sierpnia 1910 roku w ową „straszną“ naprawdę sobotę, gdy, pławiąc się w lodowatej wodzie wśród ulewy, gradu i piorunów na północnej ścianie Małego Jaworowego na jednej linie z Klimkiem Bachledą i St. Zdybem, znaleźliśmy się po długiej i ciężkiej wspinaczce pod turnią Szczytową. Szliśmy na ratunek umierającego w chmurach Szulakiewicza; głos jego, rozpaczliwe ostatnie wołanie słyszeliśmy wśród zamętu żywiołów; resztkami sił, sami zamarzając stopniowo, parliśmy wciąż wyżej i wyżej, aż przyszedł moment, gdy twardy Zdyb osłabł zupełnie, w niedługą chwilę po nim osłabłem i ja — Klimek wówczas oddzielił się i w kilkanaście minut potem miał zginąć, — palce nasze niedołącznie się poruszały, szczęki z trudem przepuszczały nieliczne słowa, które zamienialiśmy, głos stał się tępy i dziki, ciała nieruchomiały stopniowo a znużenie podcinało nam nogi...

Okropna chwila!

Resztkami świadomości zarządziłem odwrót.

A on, Szulakiewicz, żył jeszcze wtedy nad nami! Jakie 80 m oddzielało nas od niego. Ale i 20 m niezdolni bylibyśmy pokonać. Był to kres możliwości.

Wróciliśmy we dwóch tylko, Klimek zginął, Szulakiewicz również.

Schodziliśmy ze Zdybem w sennej półświadomości lunatyków. Sam nie wiem, jak zesliśmy z tej ściany dzikiej i przepaścistej. Zesliśmy. Rzecz prosta, zjeżdżając nieustannie na linach.

Wspomnienie chwili, w której zdecydowałem się wydać hasło powrotu, przejmuję mię grozą, chociaż w sumieniu swem, jako naczelnika wyprawy, mam spokój zupełny. Bądź co bądź, wydałem wówczas wyrok śmierci na Szulakiewicza. Miałem jednak do wyboru: albo śmierć Szulakiewicza, albo śmierć nas wszystkich razem z Szulakiewiczem, gdyż niepodobna było myśleć o tem, ażeby w stanie w jakim wówczas się znajdowaliśmy, zdolni bylibyśmy noc na ścianie przetrzymać.

Śmiertelną tę wspinaczkę zaczęliśmy o świcie po całej nocy na wozach niespanej i przebyciu wśród lodowatej ulewy wielkiej Jaworowej Doliny.

Decyzję powziąłem po krótkiej walce wewnętrznej, w której skupiłem zamierające wraz z ciałem wszystkie swe siły duchowe.

Decyzji tej i dziś nie mam nic do zarzucenia: cofnąłem się przed fatalną siłą konieczności, która zaiste posiadała pierwiastki tragiczne. —

W szkicach powyższych nie starałem się objąć całokształtu psychologii alpinisty, chciałem tylko zapomocą wspomnień i analizy poszczególnych momentów dać obraz przeżyć jego w chwilach ciężkich, gdy w rozterce duchowej szuka wyjścia z sytuacji i musi stoczyć ze sobą walkę, stanowiącą najczęściej o życiu.

Jakiż będzie wynik analitycznego wniknięcia w głąb duszy alpinisty?

Zdaje mi się, że zagadnienie całe w najistotniejszej swej treści da się sprowadzić do walki dwóch potężnych pierwiastków: zwierzęcego instynktu samozachowawczego z wyrobionem przez kulturę alpinistyczną pragnieniem dokonania czynu.

Te dwa czynniki muszą zetrzeć się przedewszystkiem.

Instynkt nawołuje do odwrotu, zachęca do poniechania ryzykownego zamiaru; z pomocą mu przychodzą: błady strach, wyolbrzymiający każdą trudność spotkaną, niechęć do wydobycia z siebie największego wysiłku, czyli ordynarne lenistwo, odruchowe pragnienie unikania bólu w postaci nieuniknionych skaleczeń rąk i nóg, wreszcie wspomnienia pozostawionych w dolinie ludzi drogich i obowiązków społecznych.

Falandze tej alpinista-taternik przeciwstawić musi swe silne pragnienie dokonania czynu.

Ambicja własna człowieka i taternika popycha go naprzód, odsuwa od niego myśl rozsądną cofnięcia się; niestety, zbyt często przesłania mu wzrok obrazami źle pojętej sławy i prowadzi do zguby.

Jako silny czynnik występuje tu poczucie godności człowieka: „jak to?

tych kilka zębów, ta niebieskawa mgiełka powietrza podemną miałyby mnie istotę rozumną i silną, zatrzymać w pochodzie? przeszkoda martwa ma mnie zwyciężyć? Nie! pogardzam nią, ja ją zwyciężę! „Homo sum“. Wreszcie podświadoma nienawiść, nienawiść chwilowa do tego kawałka skały, jaką w momencie walki wręcz żywi każdy walczący do swego wroga lub przeciwnika, dodaje sił alpiniście: ogarnia go szal walki, ślepa chęć zwycięstwa. Chwilami zaciekłość walki może go doprowadzić do stanu, w którym zapomni o pobudkach i celu, a będzie widział przed sobą tylko skałę, która nastaje na niego: musi ją pokonać; gdy zaś pokona, dopiero wtedy odpowie sobie na pytanie, co i dlaczego uczynił.

Niekiedy też zupełnie już w wyjątkowych warunkach, jak w przytoczonych dwóch ostatnich obrazach, wybije się na czoło pobudek psychologicznych pierwiastek uboczny, jak w tych przykładach — humanitarny, poczucie obowiązku. To samo może być z poczuciem obowiązku żołnierskiego w ataku górskim, albo w ucieczce przed grożącym niebezpieczeństwem.

W konsekwencji ścierania się wszystkich wspomnianych pierwiastków w duszy alpinisty musi się odbyć wewnętrzna zażarta walka, w której jako czynnik decydujący występuje wola. Ona musi zwyciężyć wszystkie rozkładowe siły i opanować je ostatecznie. Musi przywrócić spokój nerwom, wzrokowi zdolność wyraźnego widzenia, mięśniom sprężystość i siłę, a myśli trzeźwość syllogistycznego rozumowania.

Jeśli tego nie uczyni, biada człowiekowi!

We wszystkich wypadkach krytycznych sytuacyj w górach, gdy znużenie lub ciężki trud fizyczny nie zaćmią jasności myśli, występuje jako cecha charakterystyczna, błyskawiczny przegląd całego życia: jakgdyby taśma filmu własnego życia, puszczona w ruch w tempie szalonym, przewijała się przed oczyma.

Nie mogę twierdzić, iż jest to cechą ogólną; mam wszakże dane do przypuszczenia, że stwierdzone niejednokrotnie u mnie przejawy występowania obrazów własnego życia w chwilach krytycznych, są zjawiskiem, że się tak wyrażę, powszechnem.

Dusza ludzka — to głębia dla wzroku] ciemna i niezbadana. Prawdopodobnie pozostanie zawsze taką.

Dlatego sędzę, że przytoczenie powyższych kilku przykładów z dziedziny przeżyć niecodziennych i kategorii ludzi, bądź, co bądź, nielicznych, jakimi są alpiniści, może obudzić wśród nich zainteresowanie; może przyczynić się do odsłonięcia jeszcze jednego rąbka tajemnicy.

Warszawa w maju 1929.

Marjusz Zaruski.

nych“ stworzeń. Pod zwisającymi gałęziami buka przygotowałem legowisko. Na kolację kawałek chleba z kiełbasą, czekolada. Spać! Zaczynałem już drze-
mać, aż nagle: „Tu coś łązi“ i żona już siedzi.

— Daj zapalki. Tu są mrówki.

Nie było rady. Wyświeciła pół pudełka zapalek, nic nie znalazła, wreszcie dała za wygraną. Zmęczenie wzięło górę. Spała mimo mrówek, twardej ziemi i plecaka pod głową.

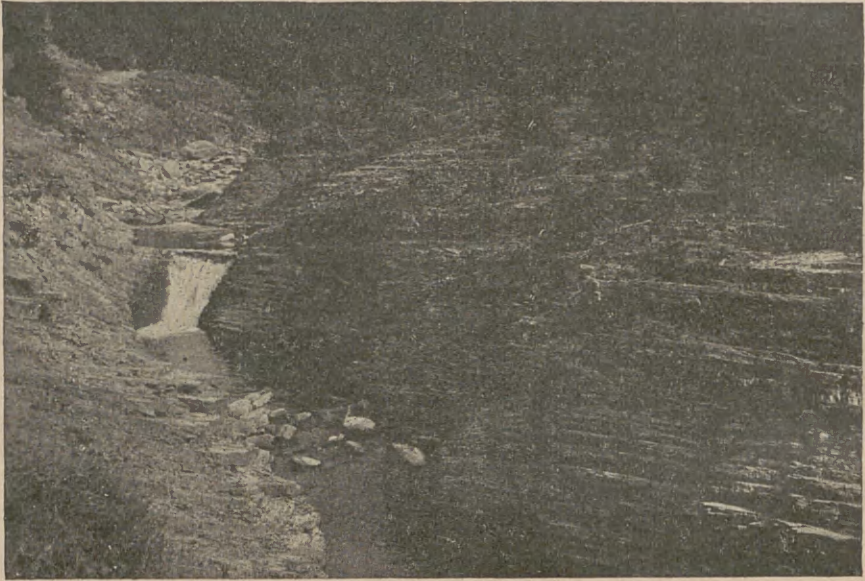


Stožek.

Zakł. fot. Pietznera w Cieszynie.

Skoro świt zerwaliśmy się na nogi. Woda z pobliskiej studzienki raz dwa zakipiała na maszynie, herbatka gotowa, chleb, sardynki, śniadanie zjedzone i dalej w drogę. Łagodnym stokiem wspinaliśmy się spacerkiem na grzbiet Cieślara. Od wschodu ciemna jeszcze sylweta Baraniej. Niebo nad nią szybko zmieniało barwę w czerwoną, ognistą, wreszcie strzeliło kilka promieni. Słońce wzeszło. Czerwone jego światło tworzyło śliczne plamy na pniach starych buków. W dolinie jeszcze ciemno. Barania stała się fiołkową, u podnóża sączyła się złota smuga Wisły. Wyszliśmy na brzeg lasu i sycili oczy i ducha. Ale tempus fugit. Wnet byliśmy pod Stożkiem. Od północy wyjście jest dosyć strome, a kształt góry, jak już nazwa wskazuje ma zarys stożka. Ale czyż Stożek jest dla nas trudną przeszkodą? Hop! i już stoimy na nim. Jest tu polskie nowe schronisko, coś w rodzaju zakopiańskiej willi. Odświeżyłem zapas chleba i poszliśmy dalej na Kiczere. Po drodze przechodzi się tuż koło charakterystycznych skałek, podobnych kształtem do przysadzistego grzyba. Pomiędzy nimi, jakby ujęte w ramy, widoczne jest schronisko na Stożku. Kąpiel słoneczna wymienita, ciepło z góry od słońca, a z dołu od

kamienia. Ale nie trwała długo. Z południowego zachodu wybiegło stado chmur deszczowych, niby rozhukanych koni; zagrzmiało, odpowiedziały echem kotły górskie. „Padła trwoga na puszcę“ i na żonę, lecz mimo wszystko twierdziła, że lubi burzę. Deszcz jeszcze nie lał, więc szybko spakowaliśmy manatki i pociągnęli lasem w stronę Kubalonki. Przed wyjściem na tę prze-



Biała Wisielka.

Zakł. fot. Pietznera w Cieszynie.

łęcz zaczął siąpić deszczyk, lecz jakoś niezdecydowanie, tymczasem bokami lało i grzmiało porządnie. Wyjąłem płaszcz gumowy, rozpiąłem na gałęziach i skurczyliśmy się pod nim na plecakach, jak Hannibal na gruzach Kartaginy. Główna nawałnica poszła w kierunku na Klimczok. Później dopiero, już w kolei, dowiedzieliśmy się, że właśnie podczas tej burzy gruchnął piorun w schronisko na Klimczoku, a uciekając przez okno zdołał porwać po drodze parę dusz ludzkich. Wreszcie przestało chlapać, więc manatki na plecy. Z Kubalonki skręciliśmy na drogę wiodącą do zameczku myśliwskiego na Zadnim Groniu, dawnej siedziby Ferdynanda. Droga ślicznie założona wiję się licznymi skrętami na zboczu, a od czasu do czasu, przez wycięte w ścianie boru okno, widać panoramy Fatry. O zmroku znaleźliśmy się pod zameczkiem, przeznaczonym narazie na lotnisko dla urzędników Ministerstwa Rolnictwa (zeszłego roku spalił się). To też gwarno tu jeszcze

było o tej porze. Nie pchaliśmy się tam, tylko przysiedli w stojącej na uboczu altanie, z blaszanym głuszcem na daszku. Postrzelony był biedaczysko okropnie, zapewne nemrodzi austriackiego dworu, nie upolowawszy głuszca w kniei, wyładowywali na tym skazańcu swoją pasję myśliwską. Altanka nadawała się wyśmienicie na nocleg, tem bardziej, że na pobliskiej łące stały kopki



Biała Wisielka.

Zakł. fot. Pietznera w Cieszynie.

siana. Wygoniłem wszystkie żaby, jakie siedziały po kątach, wniósłem pół kopki siana i po zasłużonej kolacji mieliśmy królewskie spanie. Raniutko, gdy się ledwie kosy budzić zaczęły, spakowaliśmy manatki, siano zaniósłem na miejsce i migiem byliśmy na dole, u zlewu obu Wisielek: Czarnej i Białej. Obmyć się, zjeść ciepłe śniadanie i dalej w drogę. Poszliśmy doliną Białej Wisielki, z początku szeroką, potem, po paru kilometrach, dość wąską. Huk wodospadów ściągnął nas nad rzekę. Burzyła się i pieniała, przeskakując progi skalne. Pod każdym z nich tworzył się stawek o wodzie czystej jak łąza, a zimnej jak lód, o czym wnet przekonaliśmy się na własnej skórze. Właził człek do wody z oddechem uwięzłym w gardzieli i z chęcią wycia dzikiego Indianina. Zimna kąpiel wypędziła zmęczenie (o ile jakie było!), słońeczko ogrzało, a żołądek zaczął mruzczyć o swoje mimo śniadania. W dalszym ciągu dolina zwęża się raptownie, wreszcie pozostaje miejsce tylko na drogę leśną i rzekę. Wnet i droga się kończy.

- Ja dalej nie idę.
- A tobie co się stało?
- Jestem głodna.

Nie powiedziałbym i ja, że byłem syty. Posiliwszy się nieśmiertelną kiełbasą, porzuciliśmy niepozorną już Wiselkę i zaczęliśmy się piąć przecinką



Skrzyczne i Klimczok z Magórki.

Zakł. fot. Pietznera w Cieszynie.

leśną pod górę. Na południe byliśmy już na Magórcie (1129), z kądem widać było drogę na Baranią jak na dłoni. Wnet byliśmy i na niej (1214). Barania jest najwyższym szczytem w Beskidzie Śląskim. Na północ widać Skrzyczne (1250), lecz jest ono mniej odwiedzane, bo leży nieco na uboczu, już w Małopolsce. Jeszcze bardziej na północ wznosi się Klimczok (1119), ulubiony punkt wycieczkowy Bielszczan.

Usiedliśmy pod tryjanglesem, zjedliśmy obiad, a na zakończenie połknęliśmy oczyma cały widnokrąg, zwłaszcza olbrzymi kocioł żywiecki z majaczącą na przeciwnej stronie Pilskiem. Niedługo cieszyliśmy się widokiem. Z początku jakby mgła, potem wał chmur zaczął się przetaczać przez grzbiet. Chłodno się zrobiło, więc w nogi. Minęliśmy schronisko na Przysłopiu (także dawniej zameczek myśliwski) i spadli w dolinę Czarnej Wiselki. Wypogodziło się jako tako, więc raźniej się szło. Powiedziałbym, że kaskady na

Czarnej Wisiełce są ładniejsze niż na Białej, tylko znać tu naokoło więcej rękę ludzką. Zamknęliśmy kółko przy zlewie obu Wisiełek, a ztąd już drogą dosyć monotonna przez lotnisko Wisłę zdążaliśmy do Ustronia. Tuż przed dworcem złapał nas deszcz ulewny i zmoczył do ostatniej nitki. Ot co znaczy pech! Żona zrobiła dzisiaj swój rekord wytrzymałości: z Baraniej do Ustronia bez wypoczynku. W Goleszowie przesiadać. Z przyzwyczajenia pytam, pokazując głową na pociąg, czy do Cieszyna.

— Do Cieszyna.

Wsiadamy, pociąg rusza, lecz drugi z przeciwnej strony stoi. Wchodzi konduktor.

— A państwo dokąd jadą?

— Do Cieszyna.

— O! to honornie państwo jadą.

— ???

— My jedziemy do Bielska.

Do bani z takim informowaniem. W Skoczowie przesiadamy i na 10-tą byliśmy w domu.

— Bolał cię nogi?

— Trochę.

— Można wytrzymać. Trening zakończony.

* * *

Dawno nasłuchiwała się żona odemnie o cudach Pienin i Dunajca, to też ledwie nogi wypoczęły po ostatniej wycieczce, a już zaczęła mnie molestować, żeby wybrać się w tamte okolice. Dobrze, ale po pierwszym. Nadszedł oczekiwany termin, a z nim, jak grom z jasnego nieba, ściąganie w czterech ratch jakoby niesłusznie wypłaconego nam dodatku (taki sam los spotkał też paru moich kolegów). Z lekką kieszenią, bo ledwie 96 zł pozostało z pensji, przyszedłem do domu. Żona opuściła nos na kwintę, bo z Pieninami „klapa“. Zacząłem obliczać. Po opłaceniu opału, światła i mieszkania pozostawało około 40 zł na życie. Tak ma być przez cztery miesiące? To wesoło!

— Przygotuj się popołudniu do drogi. Idziemy do Pienin.

— Jedziemy?

— Nie. Idziemy.

Myślałem, że się przestraszy i zechce zostać w domu, tymczasem zaczęła skakać z radości jak koza.

— Zkąd masz pieniądze?

— Mamy siedzieć za 40 zł w mieście, to już lepiej w górach.

Na ten argument nic już nie mówiła. Dwa plecaki (jeden okropnie mały, drugi tem bardziej pękaty) czekały już wieczorem gotowe do drogi Raniutko, o 4-tej drzwi na klucz, nogi za pas i w drogę. Nudnym i długim

gościńcem przez Puńców i Dzięgielów doszliśmy do Ustronia. Za tem żydowskim letniskiem zbczyliśmy na Orłowę. Lekki deszczyk przeczekaliśm-pod krzakiem, wieczorem byliśmy na górcie, gdzie i nocleg. Na kolację smakowały znakomicie pieczone w ogniu ziemniaki. Przed spaniem nie obeszło się bez szukania mrówek przy świetle zapałek. Oj! te „kubity“. W nocy straszło nas trochę grzmotami, lecz obeszło się bez kąpeli, a na rano niebo wypogodziło się zupełnie. Na drugi dzień przez Malinkę i Zawieczny znaleźliśmy się na Malinowskich Skałkach (1150). Dlaczego ta góra tak się nazywa, nie mam pojęcia. Może dlatego, że nie widziałem ani jednej maliny. Na szczycie parę skałek, lecz widoku z nich prawie że niema, bo las wszystko zasłania. Przez Baranią zeszlśmy do rzeczki Bystrej i tu zjedli obiad i kolację. Spać!

Świtem zerwaliśmy się uprzedzając słońce. Przez Węgierską Górkę weszliśmy do Żabnicy, typowej wsi górskiej, ciągnącej się kilometrami. Za nią trzeba było się „styrnać“ na Lipowską. Ostatnia część stoku dość stroma, za to z przecinki leśnej mieliśmy ładny widok na Żywiecczynę. Na szczycie góral spędzał już swoją trzódkę do koliby.

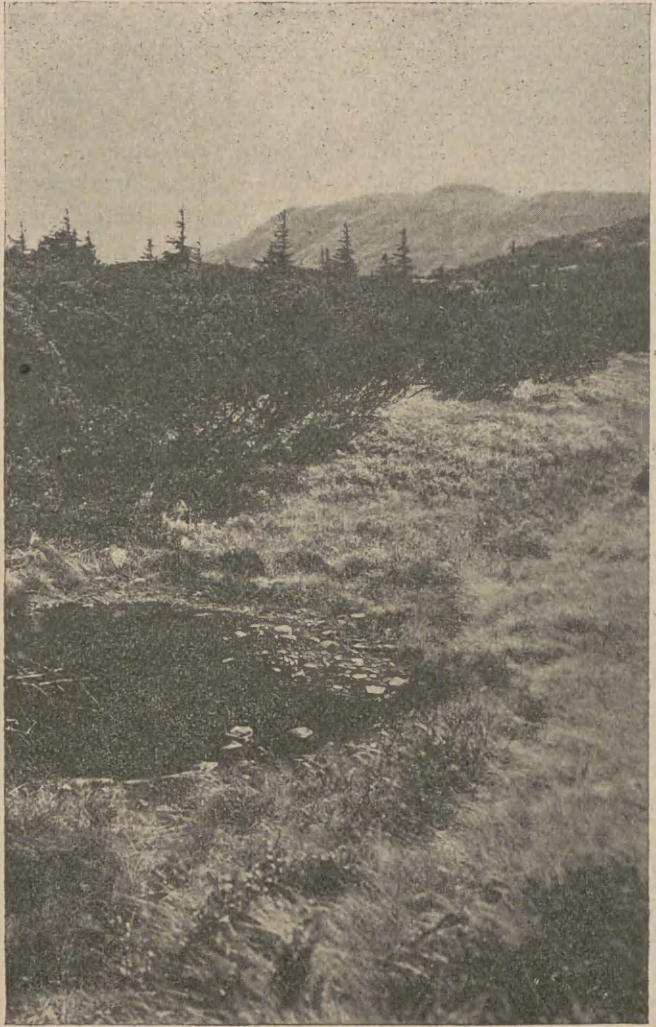
— Hej! Nocka ku wam idzie.

Jakoż i szła. Ostatnim tchem znaleźliśmy się już o zupełnym zmroku na Marszałowej. Mała halizna porośnięta psią trawką zapraszała do spania. Na środku rósł pojedynczy, przysadzisty świerk. Pod jego gałęziami ulokowaliśmy się.

Ciepła letnia noc szybko zaciągała swą ciemną zasłonę na nieboskłon. Coraz liczniejsze gwiazdy zdobiły jej szatę. Powoli usypiało życie, tylko rudziki i kosy długo się ruszały po krzakach, coraz nieśmiej pogwizdywały, wreszcie i one ucichły. Nic nie mąciło ciszy. Usnęliśmy bez troski o jutro. Szybko minęła noc. Na wschodzie ledwie poczynało jaśnieć, gwiazdy jeszcze uparcie mrugały, a już ptaki świergotem witały brzask. Znowu rudziki i kosy pierwsze zaczęły się odzywać, za nimi dopiero rozśpiewała się reszta kapeli leśnej. Wreszcie wzbął się w górę świergotek, by lecieć słońcu naprzeciw. Wstawało powoli, czerwone, zaspane, wnet jednak, ocuciwszy się zimną rosą, podskoczyło rażno w górę, zalewając obficie zielone stoki złotem.

Ochoczo ruszyliśmy na zdobywanie Pilska (1557). O siódmej byliśmy na szczycie. Żona pobiła swoje dotychczasowe rekordy wysokościowe. Na wschodzie wznosił się majestatycznie masyw Babiej góry. Po krótkim odpnięciu ruszyliśmy dalej, by zdążyć na Babią przed zachodem. Chyżo poniosły nas nogi granicą aż do Głuchaczki. Południe. Pyszne kwaśne mleko i jazda. Przed Braną (1517) (nazwa z mapy austriackiej) wyjście zaczyna być dosyć uciążliwe, lecz przypomnienie, że zachód słońca nam ucieknie, robi swoje. Język na brodzie, wreszcie wydobyliśmy się na siodełko między Braną a Babią, zkad wspaniały widok na potężny kocioł polodowcowy, po pół-

nocnej stronie góry, widoczny jest jak na dłoni. W promieniach zachodzącego słońca przybrała Babia fioletowo-czerwony odcień, gęsto pocięty kładącymi się cieniami ostatnich świerków. Zaisie swym ogromem wygląda imponująco. Często gęsto oglądając się za siebie na słońce wyszliśmy nareszcie na szczyt (1725, nowy rekord żony). Niebo wypogodzone, ani chmurki. U stóp naszych na południu rozciągało się lekko faliste Podhale w dali, nad niem, rysował się poszarpany grzebień Tatr. Na prawo majaczyła Fatra. Przycupnęliśmy na kamieniu, nad brzegiem kotła i żegnali słońce. Czerwone, ze zmęczenia po całodziennym biegu, powoli mrużyło oko; wzno-



Babia Góra.

Zakł. fot. Pietznera w Cieszynie.

szące się z dolin opary, okalały je niby sny koszmarne, wreszcie zgasło. Syci wrażeń powoli schodziliśmy do schroniska. Turystów pełno, niema prosto gdzie usiąść. Poco oni tu gonią? Żeby połykać kilometry? Siedzieć w zadymionej budzie, gdy w naturze dzieje się jeden z cudów, powtarzający się codziennie od stworzenia świata, lecz zawsze jednako wspaniały?

Całym schroniskiem (należącym do Beskiden-Vereinu) trzęsie Heródbaba, obfita w ciele, coś jak i góra, na której siedzi. Przechwala się, że o jej kawie państwo „w Warsiawie“ jeszcze godają. Pewnie! takie świństwo z baranich bobków i mielonej kory nie prędko się zapomina. Napiwszy się herbatki i zagryzłszy bułką, wyszliśmy ze schroniska.

— Gdzie oni będą spać? — słychać naokoło.

— A kajsi idą do koliby — rzucił „Heród“ w spódnicy.

Ciemno już dosyć, lecz jako tako widać kamienie pod nogami. Przypominałem sobie z przed pięciu laty, że niewiele niżej zaczyna się kosówka. Wreszcie ona. Wyszukaliśmy w niej dziurę, więc koce na wierzch. Nagle między kosówką mignęło coś białego — hyc — i kotek ze schroniska już siedzi między nami. Jakoś nie mogliśmy zasnąć, bo kamienie mimo naciętej kosówki gniotły, wiaterek zaczął pogwizdywać, jeden tylko kot mruczał z zadowolenia, bo mu ciepło, a żona wciąż stęka, że zimno. W nocy zerwał się porządny wiat. Wysuwam z pod koca głowę, a tu chmury gonią nad kosówką jak postrzelone. Żona się też „zbudziła“, zęby pobrzękują, więc i o dalszem spaniu ani mowy. Z kolanami pod brodą doczekaliśmy się świtu. Chmury gdzieś znikły, ale i Podhala ani śladu. Zaległo je ogromne morze mgieł. Zupełnie jakby kto wylał na nie ogromną konew mleka. Tem wyższą wydawała się szara sylwetka Tatr, jakby oderwanych od ziemi. Weszło słońce. Nareszcie! Obserwowaliśmy jedno z rzadkich zjawisk na Babiej Górze, czysty wschód słońca! O! bo to kapryśna baba ta Babia Góra. Prawie zawsze ma głowę ukrytą w chmurach, jakby się wstydziła pokazać swe zacne oblicze, należące do potężnie rozwiniętego masywu części dolnych. Słyszałem, że jakiś turysta wychodził kilkanaście razy z Jeleśnej, specjalnie żeby widzieć wschód, lecz zawsze tkwił w chmurach. Takie to są Babie Góry.

Przez Sokolicę zbiegliśmy granicą na dół, żeby się znowu wydrapać na długi i nie męczący już grzbiet Polic. Oryginalnością Babiej są wschody i zachody słońca, zaś Police mają swoje, jak je wuj z Jordanowa nazywa „dzikie dziwki“. Często echo w tamtejszych okolicach bawi się wesołym pokrzykiem dziewcząt, zaczynającym się wysokim trelem, spadającym w kaskadach coraz niżej. Przyznać trzeba, że jest w tem dosyć oryginalności, gdyż w okolicach Jordanowa nie słychać już tego. Gdy raz na górze Grapie (między Osielcem a Jordanowem) krzyknąłem sobie z całych płuc na sposób „dzikich dziwek“, usłyszałem nagle z za krzaka „bodaj cię kolka sparła“, rzucone przez starą górkę pod moim adresem. Stara, a jeszcze się z tem nie oswoiła, dowód, że im dalej na wschód, tem mniej „dzikich dziwek“.

Z Policy zeszedliśmy do Psiej Doliny. Nie poznałem jej. Przed pięciu laty wyglądała rzeczywiście uroczco i zacisznie. Teraz zeszepecona stosami

drzewa świerkowego, przeznaczonego na papier. Czemu prędzej uciekliśmy ztąd do Sidziny i przez Bystrą stanęliśmy późnym wieczorem w Jordanowie. Trzeba za gościć do wujostwa. W oknach się jeszcze świeci, więc pukam.

— Kto tam?

— To my, z Cieszyna.

Powoli otwierają się drzwi. Wchodzimy.

— A wy jak tu się wzięli? Teraz nie ma pociągu.

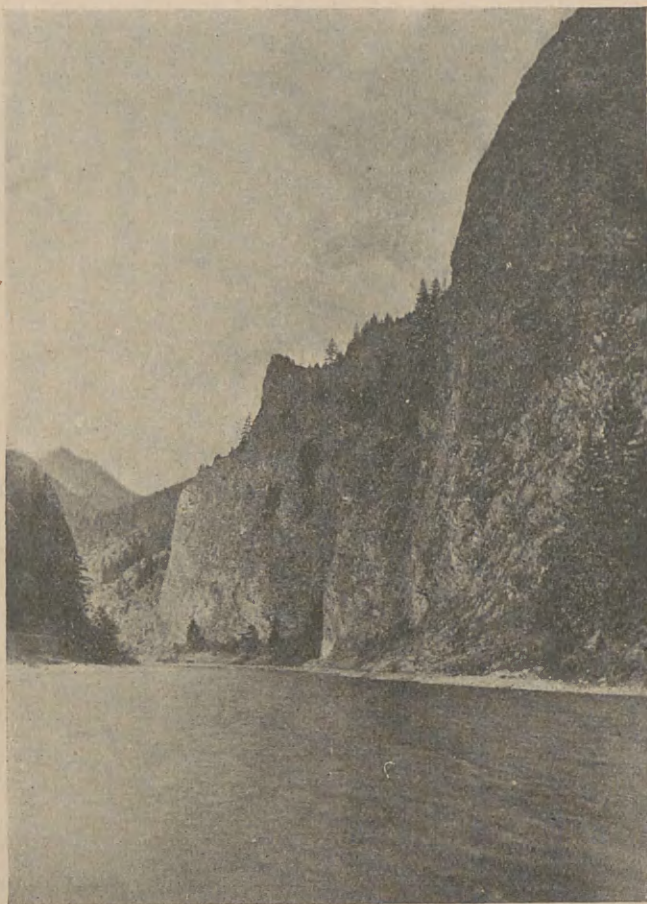
— My podróżujemy piechotą.

— O! O! O! — i zrobił się przeciąg, bo ile osób było, tyle się ust otworzyło. Pozostałem dla nich na zawsze tym, co to żonę piechotą oprowadza po świecie.

W stołecznym mieście Jordanowie zrobił się ruch.

— Hale! widzicie, piechty psiszli z Cieszyna.

Odpoczywaliśmy parę dni. Patynki żony trzeba było dać z bólem serca do szewca, lecz cóż robić, boso nie pójdzie. Knajpp i tak się z radości obracał, że jego patynki wytrzymały takie „sztrapace“. Przez tych parę dni padał deszcz. Wreszcie i słońce się pokazało. Pożyczyłem sobie potrzebne do Gorców mapy od kuzyna i wio! Na Obidowej pierwszy nocleg. Na drugi dzień w południe byliśmy na Turbaczu. Śliczny ztąd widok na panoramę Tatr. Występują już niemal zupełnie plastycznie. Po południu nadciągnęły chmury i w lesie złąpał nas deszcz z gradem. Zeszliśmy do rzeczki Łopusznej, a z nią



Pieniny. — Hutniańska Skała. Fot. M. Nunberg.



Petasites.

Fot. Z. Grodziński.

cem. Na wzgórzu za wsią stoją widoczne zdaleka ruiny starego zamku czorsztyńskiego. Hej! napatrzyło się to zamczysko na smutne i wesołe czasy, mało który oglądał tylu królów, lecz i jemu czas dał radę. W agonii wyciągnął sterczący jeszcze z murów palec ku górze, jakby chciał nim bóść XX wiek, walący mu się na głowę. Minęliśmy ruiny i zeszli nad Dunajec. Czyściutka, szmaragdowa woda przewalała się po kamieniach. Nie długo daliśmy czekać na siebie. Zimna kąpiel wyciągnęła zmęczenie. Na moście pod Niedzicą, niespodzianka. Nie chcą nas na Beskidówki puścić drogą do Czerwonego Klasztoru, więc radzi nie radzi musieliśmy porzucić plan obejrzenia Pienin z dołu i za niebieskimi znakami wyszliśmy na Trzy Korony. Do ostatniej niemal chwili nic się z Pienin nie widzi, dopiero ze szczytu. Wstęga Dunajca, białe, prostopadłe, na kilkaset metrów wysokie ścianki, zieleń lasów, wszystko to skupiło się razem na małej przestrzeni, dając cacko, którego nam zagranica może pozazdrościć. Nie będę się kuśli oddać słowami piękna Pienin. Trzeba je zobaczyć. To też wszystkim, chcącym widzieć coś ładnego, kładę je na wątróbkę. Nie odczuwa się w nich tego przynia-

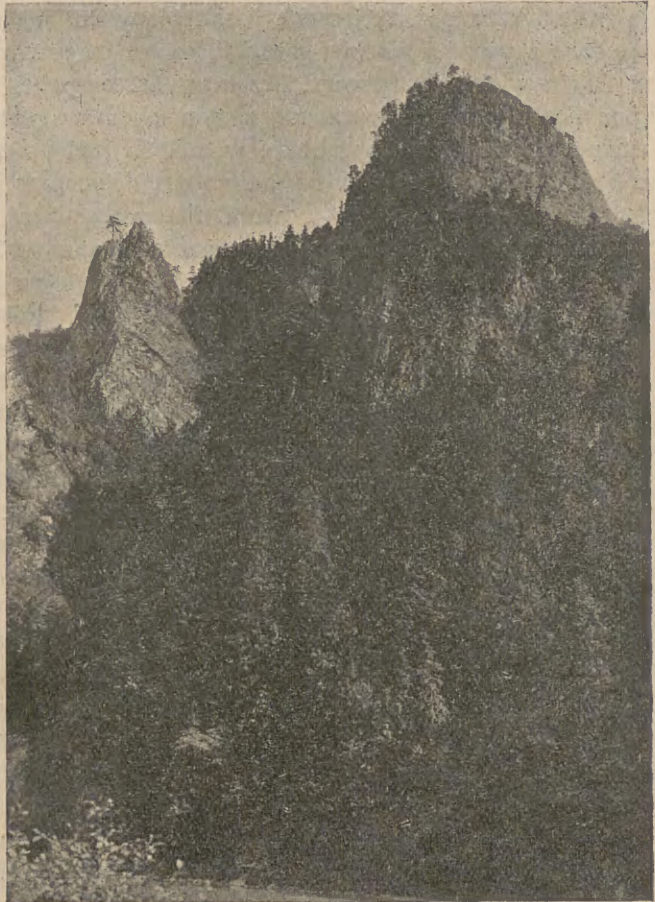
do wsi tej samej nazwy, przy gościńcu Nowy Targ—Szczawnica. Przenocowaliśmy w Harkłowy na strychu, u gospodarza. W nocy deszcz, więc mamy szczęście. Na drugi dzień pogoda ładna, lecz droga nudna, bo aż do Czorsztyna ciągle gościń-

Pomurnik (*Tichodroma muraria*).Rys. Nunberg (z Brehma $\frac{1}{2}$ nat. w.).

tającego ogromu, jaki wywierają np. Tatry, człowiek nie czuje się tu proszkiem. Pieniny ściągają do siebie nie tylko turystów, lecz i wielu badaczy. Dla geologów są one dzisiaj nierozwiązaną zagadką, z kąd się wziął ten trzon wapienny, wśród utworów piaszkowcowych. Odpowiednio do gleby, oryginalną jest też flora i fauna. Całe mnóstwo charakterystycznych storczyków, z pantofelnikiem na czele, paprocie, złoćcienie i t. d. są pożądanym objektem badań dla botanika. Mnie osobiście najbardziej się podobało mnóstwo ogromnych, jak parasol, liści rośliny, nazwanej przez botaników *Petasites*, w gwarze jednak turystycznej noszącej miano

necenzuralne... Fauna też nie pozostaje w tyle. Pieniny są dobrym środowiskiem dla motyla niepylaka Apollo (*Parnassius Apollo*), oraz dla ptaszka zwanego pomurnikiem (*Tichodroma muraria*). Tutaj też widziałem stadko rzadkich drozdów skalnych (*Monticola saxatilis*). Pierwszy występuje w Polsce tylko jeszcze w Tatrach.

Pod Trzema Koronami przenocowaliśmy. Nastraszył nas drobny deszczyk, lecz pod sianem z pobliskiej kopki nic nam nie zrobił. Na drugi dzień przez Czertezik, Bużynę, Czerwone Skałki i Sokolicę spadliśmy w dół, doszliśmy do granicy drogi, ażeby choć kawałek Pienin pokazać żonie z dołu (ja już



Pieniny. — Cukrowa Skała i Sokolica.

Fot. M. Nunberg.

je znałem z trzech wycieczek). Uspokojony tu już Dunajec, wrywa się wreszcie z wąskiej górskiej gardzieli, robiąc na przestrzeni trzech kilometrów w linii powietrznej, dziewięć, licząc wzdłuż biegu jego warjackich zakrętów (pod Facimiechem zawraca pod ostrym kątem w tył tak, że jadący łódkami mają wrażenie, iż rzeka gubi się w czeluści pod prostopadłą ścianą). Jeszcze coś mają Pieniny, mianowicie niezdobytą dotychczas iglicę Cukrowej Skały.

Z żalem zaczęliśmy odwrót. Przenocowaliśmy powyżej Krościenka, w lasku. Na drugi dzień pogoda nieszczęśliwa, a na uboczu Lubania o 4-tej



Na szczycie Sokolicy.

Fot. Z. Grodziński.

po południu zaczęło lać. Rozpiąłem na gałęziach płaszcz gumowy, plecaki ułożyliśmy na ziemi i posiadali na nich. Siedzimy i siedzimy, a deszcz jak lał tak leje. W nocy deszcz leje. Mam już dość siedzenia, tem bardziej, że sterczący przez plecak jakiś korzeń nagniół mi już porządnie... głowę. Dopiero przy pakowaniu rano plecaka zobaczyłem ku memu zdziwieniu, że gniotłem całą noc kawałek granitu, jaki mi żona w czasie kąpieli pod Niedziczą wrzuciła do plecaka, „na pamiątkę“. Nad ranem przestało śiać, więc nareszcie mogliśmy swobodnie wyprostować pedały. Powlekliśmy się na szczyt Lubania. Ścieżek tu mnóstwo, mapa mi się skończyła, więc z busolą w rękę idziemy wprost na północ przez las, w kierunku Ochotnicy. Kazała się jej kłaniać Żabnica z pod Żywca. Znowu kilkanaście kilometrów drogą wiejską, ale co tu mówić o drodze! Po wczorajszym deszczu Ochotnica (także rzeczka tej nazwy) płynie którą się jej podoba, drogą i nie drogą, więc kręcąc się wyłazimy nareszcie przez Jamną na Nowotarski gościniec. Patynki znowu się podarły, więc o dalszej drodze piechotą niema ani mowy. Pojechaliliśmy koleją do Jordanowa. Po przeszło tygodniowym wypoczynku odjechaliliśmy do Cieszyna, zaciągając przedtem na drogę krótkoterminową, a bezprocentową pożyczkę wewnątrzrodzinną.

Zaczęły się ciężkie trzymiesięczne borykania z losem. Ale czego urzędnik nie wytrzyma? Bieda prędzej się wścieknie niż on, to też przetrzyma-

Z Cieszyna do Szczawnicy.

Osiadłem na stałe w Cieszynie. Ożeniłem się. Lubiłem i lubię włączyć po różnych okolicach, zwłaszcza po górach. Wiedziałem, że z żony jest kiepski piechur, więc po ślubie powiedziałem sobie: no, teraz klapa z wycieczkami, będziesz musiał siedzieć w domu. Opowiadaniem wrażeń z odbytych wycieczek udało mi się jednak rozbudzić w żonie chęć poznania cygańskiego życia. Nie pozostawało więc nic innego do roboty, jak zacząć stopniowy trenning. Skoro tylko ustaliła się z wiosną pogoda i znikły śniegi, zrobiliśmy „próbę zdobycia“ niewielkiej góry, zwanej Tułem (około 600 m n. p. m.), leżącej kilkanaście kilometrów na południowy wschód od Cieszyna i tworzącej coś w rodzaju progu, po którym się wchodziło w łańcuch właściwych Beskidów Śląskich. Jest to tem ciekawsze wzniesienie, że ma podłoże wapienne, to też i roślinność jego jest dosyć charakterystyczna. Ma tu rósć nasz najładniejszy storczyk obuwik (*Cypripedium calceolus*), o pięknym fantastycznym kwiecie. Jesienią znowu całe północne zbocze jest liljowe od kwitnących ziemowitów (*Colchicum autumnale*). Jeszcze jedna osobliwość znajduje się pod Tułem. Rośnie tu kilka drzewiastych klonów polnych (*Acer campestre*), dochodzących do 80 cm średnicy, podczas gdy zwykle ma on postać raczej mizernego drzewka lub krzaka. Te pomniki natury są godne ochrony, gdyż niema w Polsce od nich grubszych okazów.

Wśród fuków i sapania z jednej strony, a ciągłego podpędzania z drugiej, znaleźliśmy się nareszcie na szczycie.

— Bolał cię nogi?

— Nie.

I już siedziała. Słoneczko przypiekało dobrze, więc wygrzaliśmy się jak koty na piecu. Szybko wypróżniał się plecak, a żona, ku swojemu zdziwieniu, zmiatała wszystko, nawet bez jednego powiedzenia „ja już nie mogę“, bez czego nie obszedł się ani jeden obiad zjadany przy stole. I poco jeździć na rozmaite kuracje żołądkowe? Brak apetytu? W góry! Zatłuszczenie? Precz z punktrollerem! W góry! Brak spokoju? W górach go aż za wiele (tylko nie podczas burzy). Wogóle góry to cudowny środek leczniczy. Czy widział kto chorego na żołądek turystę? Chyba, że zjadł na jedno posiedzenie pół łokcia suchej kiełbasy z chlebem, kilka surowych ogórków, puszkę sardynek, parę jabłek i wszystko to zalał lodowatą wodą ze strumienia. No! w takim razie mógł najwyżej narzekać na zbyt ni pospiech trawienia i pewne „zbozczenia“ z obranej drogi.

Po powrocie do domu miałem sposobność widzieć drugi koncert (ze strony żony), tym razem przy kolacji. Spała jak suseł. Na drugi dzień oj,

moje łydki! Nic nie szkodzi, następna wycieczka będzie trochę dalsza, powoli się przyzwyczaisz.

Przy najbliższej sposobności „wyskoczyliśmy“ na Wielką Czantorję (około 1000 m n. p. m.) od strony Dzięgielowa, przez Małą Czantorję. Ostatnia partja na nią jest dosyć stroma, pokryta złomami piaskowca, co po części przypominało mi w miniaturce gorgański grechot. Czantorja Wielka cieszy się ogromną popularnością. W niedziele i święta szczyt poprostu roi się od wycieczkowców. Polskie, czeskie i niemieckie wyrazy krzyżują się w powietrzu, gdzie spojrzysz, wszędzie wygrzewają się „ciała“, ale bo też na południowym stoku leży się jak na materacu, taka miękka psia trawka. Na spragnionego czeka w czeskim schronisku pilznerki i papierosy. Czantorja jako punkt orientacyjny jest dobrze położona. Widać z niej Stożek, Kiczere, Baranią, Malinowskie Skałki, Skrzyczne, a jak pogoda dopisze, to w mrugającym nad horyzontem powietrzu majaczy sylweta poszarpanych skalic Fatry. Stojąc twarzą ku południowi mamy po lewej ręce dolinę królowej rzek polskich — Wisły.

Nasyciwszy oczy widokiem wybraliśmy miejsce, gdzieby się można swobodnie wygrzewać. Wyjmuję z plecaka wnętrze — gdzie są moje „szwimki?“ Zostały w domu. Rad nie rad pożyczyłem sobie od żony pewnej części garderoby. Jakaś powracająca para przyglądała się ze zdziwieniem stworzeniu o męskiej fryzurze, tkwiącemu w damskiej garderobie. Chłopczyca, czy ki lichó?

Po parugodzinnej kąpieli słonecznej, z plecyma spalonymi na raka, wróciliśmy północnym stokiem Małej Czantorji do Goleszowa-Fabryki. Na Czantorję jest jeszcze wyjście od strony Ustronia, lecz zbyt dużo jazdy koleją, a mało chodu. Przed wakacjami byliśmy jeszcze parę razy na Czantorji, przyczem żona brała już górę „bez zmęczenia“.

Nareszcie przywlokły się wakacje.

— Idziemy?

— Pewnie! A dokąd.

— Gdzie oczy poniosą.

Napchałem swój plecak, żonie też coś wrzuciłem do worka „dla markowania“, zamknęliśmy chałupę i poszli. Pierwszy skok był tylko powtórzeniem wycieczki na Czantorję. Późnem popołudniem zeszlśmy z niej ku południowi na grzbiet wiodący na Stożek. Wieczór zastał nas w lesie.

— No! Trzeba iść spać.

— A gdzie?

— Tu.

— Ja się boję dzików.

Po długich perswazjach uspokoiłem żonę co do dzików i innych „okrop-

liśmy. Pozostały do dziś wspomnienia chwil spędzonych w górach. Narazie jesteśmy (zwłaszcza żona) niewolnikami syna, którego trenuję w chodzeniu i bieganiu koło stołu. Może mu się to kiedyś przyda...

W Cieszynie, 1929.

Marjan Nunberg.

Rohackie Stawy.

1. O szczególnym typie stawów tatrzańskich.

Wśród stawów tatrzańskich znajdujemy następujące typy: 1) kotłowe (np. Zmarzły Staw pod Zawratem), 2) ryglowe (bulowe), stojące w związku z ryglami poprzecznymi w środkowych częściach dolin (np. Wielki Staw z Pięciu Polskich, 3) międzygórskie morenowe, przynależne do faz stadjalnych lodowcowych (np. Morskie Oko, Popradzki Staw), 4) morenowe podgórskie, wśród których wyróżniamy: *a*) stawy moren czołowych (np. Toporowy), *b*) stawy moren bocznych, gdy moreny boczne spiętrzą wody sąsiedniej doliny (np. Stawek na Polanie pod Wołoszynem); *c*) stawki moreny dennej w zagłębieniach nierównomiernej akumulacji lodowcowej (tworzące obecnie tylko czasowo wysychające młaki) i wreszcie *d*) stawki moren bocznych dwu lodowców, np. Smereczyński Staw w dolinie Kościeliskiej.

Osobną kategorię tworzą stawy, zwane przezemnie upłaziańskimi (upłazowe), położone na wysokich terasach (upłazach), stanowiących resztki den dolin lodowcowych z poprzednich okresów zlodowacenia. Dzięki temu izolowanemu położeniu stawy te są zupełnie niezależne od dzisiejszej hydrografii, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich czterech kategorii jezior. Przykładem upłaziańskich stawów są stawy Rohackie w Zachodnich Tatrach, Staroleśniańskie w Wysokich Tatrach, Świstowe pod Polskim Grzebieniem i małe stawki u stóp północnej ściany Mnicha I-go, których nie należy utożsamiać z obecnie prawie wyschniętym stawkiem Staszica w dolinie za Mnichem. Tego rodzaju stawy znajdują się na wysoko położonych terasach, zwanych przez górali upłazami.

Są to wysoko położone terasy górskie, które z jednej strony opadają stromemi, nawet przepaścistymi ścianami ku obecnym dnom dolinnym, z drugiej zaś wznoszą się ponad ich płaszczyzny ściany właściwych grzbietów górskich. Płaszczyzny tych upłazów wykazują wszelkie cechy odkształcenia lodowcowego, tworząc typowy kraj garbaty, który w szczyłych granicach pionowych, bo czasem dochodzących tylko do kilkunastu metrów, wykazuje ogromne bogactwo i zmienność form, ogładzone wzgórza i wypukłości (t. zw. mutony) wśród wklęsłości, także oszlifowanych przez lód.

Do rzędu tego rodzaju form, występujących w Tatrach stosunkowo rzadko, należy upłaz u stóp północnych ścian Mnicha z maleńkimi stawkami, dalej upłaz Świstowy, również z maleńkimi stawkami u stóp Hrubej Turni w dolinie Białej Wody, upłaz tak zwanych Strzeleckich Pól w dolinie Staroleśnej, upłaz Szyndlowiecki w pobliżu Łatanej Doliny i niedaleko leżący od tegoż, najwybitniejszy, będący wprost klasycznym przykładem, wielki upłaz Stawów Rohackich w Zachodnich Tatrach. Poza temi wybitnemi terasami glacialnymi (lodowcowemi), którym najwięcej chyba należy się nazwa upłazów, tak zresztą często używana w Tatrach, reszta tychże określeń stosowaną jest do pochyłych trawników na skalistych zboczach górskich, które swemi zielonemi kobiercami stanowią poziome przerwy wśród nagich skalistych i przepaścistych ścian górskich. I te trawiaste upłazy, bardzo często zaśnane głazami narzutowemi, wskazują na dawne wyżej położone dna dolin lodowcowych tatrzańskich.

Wreszcie trzecia nomenklatura upłazów odnosi się czasami do grzbietów, stanowiących na swej wierzcholinie linę zrównania (np. Skupniów Upłaz, Upłaz Kalacki, Gładkie Upłaziańskie w Czerwonych Wierchach i t. d.).

Na zakończenie wreszcie ustępu, mającego być objaśnieniem do artykułu, należy słów parę powiedzieć o genezie stawów tatrzańskich, skoro wprowadzamy nowy typ tychże. Otóż zasadniczo wyróżnia się w Tatrach, jak i we wszystkich górach alpejskiego charakteru stawy erozyjno-glacialne (a więc zawdzięczające swe powstanie wgłębieniom polodowcowym w litej skale) i stawy akumulacyjne, zatamowane przez moreny lodowcowe. Natomiast wśród obu kategorii stawów są rozmaite typy morfologiczne i krajobrazowe na początku artykułu wymienione. Innym jest przecież wśród erozyjno-glacialnych wygląd takiego np. Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem, jeziora typowo kotłowego (karowego i innych stawów tatrzańskich), otoczonych w każdym razie z trzech stron górami, od stawów, zalegających na upłazach, nie mających przecież tego zamknięcia górskiego.

2. Opis topograficzny Stawów Rohackich.

W Zachodnich Tatrach w pobliżu powszechnie znanych szczytów Rohaczy, Ostrego i Płacznego, ponad rozległą doliną Zuberską (następna dolina północnych stoków ku zachodowi poza Chochołowską) wznosi się jeden z najwybitniejszych upłazów tatrzańskich. Jest on właściwie północnem odgałęzieniem głównej grani Tatr Zachodnich, odchodzącym od Przedniego Wierchu Zielonego. Główna bowiem grań Tatr Zachodnich biegnie szczytami, następującemi począwszy od granicznej przełęczy Liljowego (1.954 m), a mianowicie Beskidem, Kasprowym, Czubą Go-



„Wierchy“ r. 1929. do art. St. Zwolińskiego.

tor. Zwoliński

NIŻNI STAW ROHACKI

ryczkową, Kondratowym Wierchem, Czerwonemi Wierchami, Tomanową Polską, Smereczyńskim, Kamienistą, Bystrą 2.250 m, najwyższym szczytem Tatr Zachodnich, dalej Starorobociańskim, Kończystą nad Jarząbczą, Jarząbczym Wierchem, Wołowcem, Rohaczem Oстрыm, Płaczliwym, Zielonym, Banówka, Spaloną, Salatyńskim aż po Ostry Wierch, gdzie Tatry gwałtownie



Niżny Staw Rohacki; powierzchnia pokryta cienką jeszcze warstwą jesiennego lodu.
W tyle ściany Wołowca, na prawo Ostry Rohacz.

Fot. dr. A. Gadomski.

opadają, ku t. zw. Halom Liptowsko-Orawskim. Otóż cała ta wyżej wspomniana grań, począwszy już od Wołowca, zmienia zasadniczo swój krajobrazowy wygląd, charakterystyczny tak Zachodnim Tatom. Miejsce stromych, ale trawami pokrytych szczytów (tych tak typowych a zwanych przez Luzernę¹⁾ Graskantengipfel), o kształtach kopic i łagodnych przełęczy Zachodnich Tatr (np. Tomanowa, Smereczyński, Bystra, Starorobociański), zajmują począwszy od zachodnich zboczy Wołowca, nagie skrzęsane ściany, wąskie skaliste przełęcze, doliny wiszące i piargami zawałone, krajobraz zupełnie

¹⁾ Luzerna, Glazialgeologische Untersuchung d. Lipt. Alpen, 1908.
Wierchy VII.

wysoko-tatrzański, jakgdyby wyspa Tatr Wschodnich, przeniesiona na ostatnie krańce zachodnie. Tutaj to, w tym uroczym zakątku, mało odwiedzanym, znajdują się przepiękne stawy Rohackie, godne najpiękniejszych stawów Tatr Wschodnich, a umiejscowione na szczytowej powierzchni opisywanego upłazu Rohackiego i rzecz charakterystyczna dla ich genezy, są jakgdyby w ten upłaz wpuszczone, czy wgłębione w jego litej skalnej powierzchni. Należą więc do kategorii nowej stawów, zwanych przezemnie upłaziańskimi i tworzą może najbardziej charakterystyczny przykład tego rodzaju stawów w całych Tatrach.

Sam upłaz, jak już wspomniałem, jest orograficznie bocznem północnem odgałęzieniem głównej grani, które rozdziela najgórniesze piętro doliny Zuberskiej na tak zwaną dolinkę Rohacką, położoną ku wschodowi u stóp skrzęsanych szczytów obu Rohaczy i dolinkę zachodnią, Zieloną, poza Zielonym Wierchem. Otóż pomiędzy temi dolinkami wsuniętym jest potężny upłaz Rohacki, szerokości 2—3 km. a $1\frac{1}{2}$ km długości. Z góry np. z Wołowca, Rakonia i t. d. widziany przedstawia jedną terasową płaszczyznę, pewnego rodzaju górę stołową, w trzy strony ściętą ścianami skalnymi ku zachodowi, północy i wschodowi, podczas gdy czwarta strona jest ścianą głównej grani Tatr Zachodnich i opada ku samej płaszczyźnie upłazu przepaścią. Natomiast płaszczyzna upłazu zbliżka widziana przedstawia wielkie bogactwo form krajobrazowych wzgórz i zakłęśłości, w szczupłych jednak granicach pionowych, bo dochodzących do kilkudziesięciu metrów różnicy tylko. Formy te wszystkie są wyrobione na gruncie litej skały, przypominając wielce krajobraz moreny dennej, będący następstwem nierównomiernej akumulacji (osadów) pod dnem lodowca, podczas gdy formy, charakteryzujące się występowaniem dodatnich i negatywnych mutonów wskazują znowu na dzieło nierównomiernej erozji lodowcowej¹⁾ (Rundhöcker Landschaft).

Otóż w zagłębienia te wpuszczone są przepiękne stawy Rohackie w liczbie pięciu, których geneza złączona jest właśnie z owym procesem nierównomiernej erozji lodowcowej, stwarzającej zagłębienia, pogłębione niegdyś jeszcze skutkiem dodatkowego procesu marmitacji lodowej²⁾, zaznaczającej się występowaniem lejków i miednic. Stawy więc obecne, pobierające wodę od topniejących śniegów, utrzymują swe cudne zwierciadła wśród nierówności gruntu w litej skale i dzięki izolowaniu i odsunięciu od miejsc energicznej erozji wodnej polodowcowej, co jest wynikiem specjalnego położenia naszego upłazu, odsuniętego wysoko na bok od dna obecnych dolin tatrzańskich. Odsunięcie to nastąpiło w czasie młodszych zlodowaceń, równocześnie z wcięciem się nowych koryt i obniżeniem poziomu dolinnego.

¹⁾ Żłobienia lodowcowego.

²⁾ Czynność kłębujących wód podlodowcowych.

Upląz więc stanowi dawne dno dolinne lodowcowe, zachowane w relikcie wysoko, bo na 300—400 m ponad dnami obecnych dolin, a zachowane w nienaruszonym stanie dzięki odsunięciu od miejsc intensywnej erozji poglądalnej (polodowcowej) obecnych dolin Rohackiej i Zielonej, a w części dolnej Zuberskiej.

Do tak wielkiego urozmaicenia powierzchni upłazu, stwarzającego wybitny krajobraz nierównomiernej erozji lodowcowej przyczyniły się wielce warunki petrograficzne (odporność skał) Tatr Zachodnich, gdzie wśród granitów jest mnóstwo wtrąceń łupków krystalicznych (skał mniej odpornych), zatem miejsca słabsze petrograficznie prędzej uległy wymyciu i pogłębieniu, obecnie tworząc zakłęśności jeziorne.

Stawów na upłazie znajduje się pięć, a tworzą one rozdzielone nierównościami gruntu trzy oddzielne partie krajobrazowe. Dostęp całkiem dogodny z doliny Rohackiej z pod schroniska myśliwskiego, kierując się w górę kaskadami odpływowemi z jezior, które spadają z urwistego stoku upłazu¹⁾. Stanąwszy na szczycie upłazu, spostrzegamy pierwszą grupę stawów, którą tworzą Niżnie Jezioro Rohackie (1.590 m) i „maleńki“ stawek, przedzielony tylko groblą kamienną od jeziora, a stanowiący za czasów większych wodostanów tylko jego część składową. Niżnie Jezioro Rohackie, liczące 2 ha powierzchni, jest największym jeziorem Tatr Zachodnich, a co do piękności może być zaliczonym do jednego z najpiękniejszych wogóle tatrzańskich jezior, dlatego też. zyskało również nazwę „Orawskiego Morskiego Oka“. Położone na wschodnim skraju upłazu poza skalną groblą, poza którą odpływ jeziora w licznych kaskadach zlatuje na dół, uroku dodają mu odosobnione a bardzo wysokie położenie samego upłazu, dalej wspinałe otoczenie sąsiednich ścian Wołowca, obu Rohaczy i Przedniego Zielonego Wierchu. Jezioro narażonym jest na zasypanie jedynie od strony południowej, t. j. od strony Przedniego Zielonego Wierchu, który wysyła w kierunku jeziora swą ostrogę skalną z wielkimi piargami u stóp ściany skalnej, które to piargi suną w jezioro. Natomiast z innych stron nie zagraża jezioru żadne niebezpieczeństwo, co jest właśnie specjalną cechą otwartego położenia stawów. Odpływ znajduje się na jego brzegu północno-wschodnim, w którym to miejscu wody przedzierają się poprzez skalny wał, będący właściwie także już wschodnim rygłem upłazowym (progiem zamykającym). Jezioro pobiera wody od dwóch jezior wyżej położonych w środkowej części upłazu. Dopływ ten w postaci strumienia bystrego z kaskadami wpada do jeziora na brzegu południowo-zachodnim. Kierując się w górę biegiem tego dopływu możemy w ciągu kilku minut dostać się do dwóch środkowych stawów, położonych o 20—30 m

¹⁾ Obecnie droga jestznaczona znakami białoczerwonymi (w pół godziny od schroniska).

wyżej ponad taflą „Niżniego jeziora“. Stawy te położone są we wspólnym kotle, zagłębieniu, otoczonym trzema najwyższymi punktami upłazu, mamy tedy — morfologicznie rzecz biorąc — do czynienia z trzema wybitnymi muttonami i z jedną dość głęboką miednicą, wypełnioną obecnie dwoma jeziorami szczątkowymi, które wskazują na dawne większe jezioro, obejmujące całą miednicę skalną.

Na prawo i lewo od kotła dwóch stawków znajdują się dwa punkty szczytowe upłazu, tworząc pewnego rodzaju odosobnione wzgórze skalne, a w tyle poza nimi trzecie wzgórze, poza którym znajduje się już na wysokości 1840 m „Wyżni Staw Rohaczowy“, leżący w górnym końcu upłazu u stóp skrzęsanych ścian Średniego Zielonego Wierchu (2163 m).

Staw ten nie stoi w żadnej łączności hydrograficznej z pozostałą resztą stawów, gdyż oddaje swe wody już na zachód w inną dolinę „Zieloną“, leżącą pomiędzy Przednim Zielonym Wierchem a Banówką (2178 metrów), tak, iż przez nasz upłaz przebiega dział wód drugorzędny. Obniżenie jednak na wschodnim krańcu stawu, położone pomiędzy stromą ścianą Zielonego Wierchu a szczytem upłazu, wskazuje na drugi spływ w kierunku wprost przeciwnym, bo wschodnim, to jest ku reszcie Stawów Rohaczowych. Staw więc posiadał jakiś czas odpływy w dwie strony, a faza ta odnosiłaby się do czasu lodowca, zalegającego jeszcze powierzchnię upłazu. Wtedy to wody polodowcowe, stosownie do wysuwających się języków lodowcowych (charakter fjeldowy) wyrzeźbiły parę ujść dla topniejących wód. Po stajaniu lodów wody, zatrzymane w wannie jeziornej „Stawu Wyższego“, w czasie wysokiego początkowo wodostanu spływały jakiś czas w dwie strony: na wschód i zachód. Potem jednak po spłynięciu wód a dla braku nowego przybytku tychże, odpływ wschodni przestał fungować, a zachował się jedynie obecny odpływ zachodni, będący dawniejszą drugorzędną rynną polodowcową. Wyżni Staw Rohacki pobiera wody tylko od topniejących śniegów i dlatego też wodostany jego są zmienne zależnie od zimniejszych lub cieplejszych pór lata. Zadni (Wyżni) Staw Rohaczany przedstawia na swym terenie obecnie dwie anomalje hydrograficzne:

- 1) że przez upłaz przebiega dział wód u stóp głównego grzbietu Tatr Zachodnich;

- 2) odpływ Wyższego Stawu stanowi spływ wód w kierunku przeciwnym (zachodnim) od głównego kierunku odwodnienia (wschodniego) upłazu.

Rysy krajobrazu upłazowego, jak wielka przestrzeń, niezależność spływów wód od orograficznych głównych kierunków, wododziały w samym upłazie, wszystko to cechy „zgrzybiałego wieku“ w myśl Davisa¹⁾, gdyby nie

¹⁾ Geograf amerykański.

rozsiane jeziorne zagłębienia, strome ściany opadające z głównej grani i progi pomiędzy stawami, po których potok kaskaduje ku dołowi, nie przekonywały naocznie, że mamy do czynienia z krajobrazem w najwyższym stopniu młodzieńczym, dopiero co odsłoniętym z pod pokrywy ostatniego płaszcza lodowca wiszącego.



Wyżni Staw Rohacki całkowicie pokryty grubą warstwą jesiennego lodu. W tle widoczny szczyt Wołowca — na pierwszym planie ściana Zielonego Wierchu. Na tle Wołowca najwyższy punkt upłazu. *Fot. dr. A. Gadomski.*

Na zakończenie parę słów o stronie wycieczkowej, w te tak stosunkowo rzadko zwiedzane zakątki Zachodnich Tatr. Otóż poza opisanymi stawami, główne zainteresowanie wzbudza grupa góriska Rohaczy, jak to zaznaczyliśmy na początku. Grupa ta o pięknie zarysowanych turniach, poszarpanych graniach, stromych ścianach granitowych, wśród których mienią się w słońcu stawy, nadaje temu odległemu zakątkowi charakter zbliżony do najpiękniejszych miejsc Tatr Wysokich. Z tego powodu można gorąco polecić zwiedzenie tych stron tym wszystkim, co w Tatrach Wysokich nic nowego dla siebie znaleźć już nie mogą.

Z Zakopanego udajemy się drogą jezdną aż do schroniska Towarzystwa

Tatrzańskie w dolinie Starorobociańskiej, dalej drożynką leśną na polanę Chochołowską, razem $3\frac{1}{4}$ godziny. Minąwszy Polanę z jej miastem szafasów, kierujemy się na północ i zachód ku granicznej przełęczy Bobrowieckiej (1335 m), a z tejże granią bystro ku górze za świeżo zrobionymi znakami czeskosłowackimi na Długi Uplaz (1651 m). W miejscu, gdzie górne piętra doliny Łatanej przypierają do granicznych grzbietów, opuszczamy granicę i kierujemy się w prawo, trawersujemy w poziomej linii łuk doliny Łatanej po stożku Rakonia, by wkrótce dostać się na zbocze spadające już do doliny Zuberskiej i widzimy w dole schronisko pod Rohaczami. Ze schroniska w dolinie Rohackiej wiodą liczne znaki świeżo wykonane przez słowacki klub turystyczny w Św. Mikołuszu, a oko przybyszów z Polski mile wita napis na schronisku: „Budte nam vitiani bratia Polaki“. Znaki biało-czerwone prowadzą do stawów ($1\frac{1}{2}$ — $\frac{3}{4}$ godziny), przez nie na szczyt Banówki (2148 m) 4 godziny.

Inne znowu odgałęzienie tychże znaków prowadzi przez tak zwaną Smutną dolinę na Rohacz Płaczliwy 3 godziny, Rohacz Ostry 4 godziny, Wołowiec 5 godzin.

Trzecią turą będą za znakami biało-czerwonymi jeziora, dalej za biało-żółtymi, dolina Spalona $1\frac{1}{2}$ i za biało-zielonemi Banówka — 4 godziny.

4) Znaki biało-żółte Rohacz $1\frac{1}{2}$ godziny, biało-niebieskie Wołowiec — 2 godziny.

5) Biało żółte Rohacz, biało-niebieskie Osobita — $4\frac{1}{2}$ godziny.

6) Biało-czerwone, leśniczówka w Brestowie 3 godziny, Zuberzec 4 godziny, Biały potok $5\frac{1}{2}$ godziny, Podbiel, stacja kolejowa nad Orawą 7 godzin.

Do Św. Mikołusza droga znakowana prowadzi przez góry na południe i wynosi około 10 godzin marszu. Znaki te wszystkie wykonano niedawno, tak, że przyczynią się one do wzmożenia ruchu turystycznego w te zaniebane strony. — Najciekawsza zaś pod względem widokowym i turystycznym grupa Rohaczy przedstawia się następująco, a swój odrębny charakter od reszty Zachodnich Tatr przybiera zaraz od przełęczy między Wołowcem a Rohaczami. Trawiasta z początku grań poczyna się jeżyć od występów skalnych, a w pobliżu wschodniego szczytu Rohacza Ostrego przechodzi w wąską postrzępioną grań, bardzo eksponowaną, która doprowadza do pierwszego wschodniego szczytu. Szczyt wyższy zachodni oddzielony jest dość wąską przełączką i można się nań łatwo dostać, cofnąwszy się trochę granią i usunąwszy po skale na półkę trawiastą, biegnącą po stronie doliny Jamnickiej, która doprowadza nas na przełączkę a z tej na szczyt stromym trawiastym komiem (szczyt wyższy 2055 m).

Grań od Rohacza Ostrego do Płaczliwego jest również dość urozmaicona, opada zaś do doliny Rohackiej w kilku miejscach wspaniałymi ścianami.

Przełęcz między Rohaczem Oстрыm a Płaczliwym jest to pozioma, długa i dość szeroka grań, zdobna w wielkie porozrzucane głązy. Wejście na Rohacza Płaczliwego (2126 m) nie nastęrcza najmniejszej trudności, tak samo długa grań, ciągnąca się w stronę Przedniego Zielonego Wierchu (2163 m). Z przełęczy pomiędzy Płaczliwym a Zielonym można łatwo zejść do kotliny piarzystej (Smutna dolina), utworzonej przez ściany Płaczliwego a ramię Zielonego. By dostać się do stawu Nizniego Rohackiego, nie należy ciągle iść dnem tej kotliny, lecz w punkcie, który wyda się najdogodniejszym, przejść wspomniane wyżej ramię Zielonego i zejść do Nizniego Stawu.

Grupa Rohaczy od północy oddzielona jest od sadyb ludzkich olbrzymim borem, wypełniającym całkowicie dolinę Zuberską, a do podniesienia uroku tych okolic przyczynia się wspomnienie, iż groźne ściany Rohacza Ostrego posiadają swe ofiary. Na cmentarzu w Zuberku widnieje jasna tablica, rzucająca się przechodniom w oczy: Ludwig Koziczinski, 26. Juni 1911 vom Rohacz abgestürzt.

Adam Gadomski.

Gadeja.

Stary Tomek Gadeja siedział se na ławie, pod okne i modlił sie na korónce, kiek wseł ku niemu do izby. Beło święto, Zwiastowanie N. M. P. Baba i celadź jego posła do kościoła, ón ostoł som przy chałupie, bo i na statek trza zajrzyć i chałupy tak nie ostawis, a haniok ci z pod Blachówki chodzm tacy siargosie, to sie waruj, by ci co nie wzion.

Gadeje siedzieli u Cajków, a Cajki u Gadejów — to jedna drzewiej beła polana. Ino sie teraz świat drobni, a lud ozplenio, to nazwisk ludziom przybywo, a miana polanom rosnom. Przodek ik beł z Cerwienego rodem i do tej tu polany i do Sobickowej beł gazdą i lo tego oni hol nie majom, bo ik rodu te polany holami beły.

Musiol i ten przodek Gadejów mieć olej w głowie, kie se taki fajny placicek wybroł pod budynki. „Tu w cafej tej polanie i na Sobickowej nima cihsego i pikniejszego miejsca — mawiał Tomek — jako u nos. My se tu siedzimy, jak u Pana Boga za piece. Orawski wiatier nie dochodzi do nos, bo Blachówka zastawio, ani od Śpisa wiatry nie dujom — a te som jest naostrzejse — bo las na Symoskowej robi cisyne“. Od północy zaś stoki Gubałówki ik zaślaniały od mroźnych wiatrów i słonecko sie o wirk opiérało, to tez u nik noprędy na wiesne sie zieleniło. Jeden ino wiatier tam dochodzi — to halny — ale ten je ciepły.

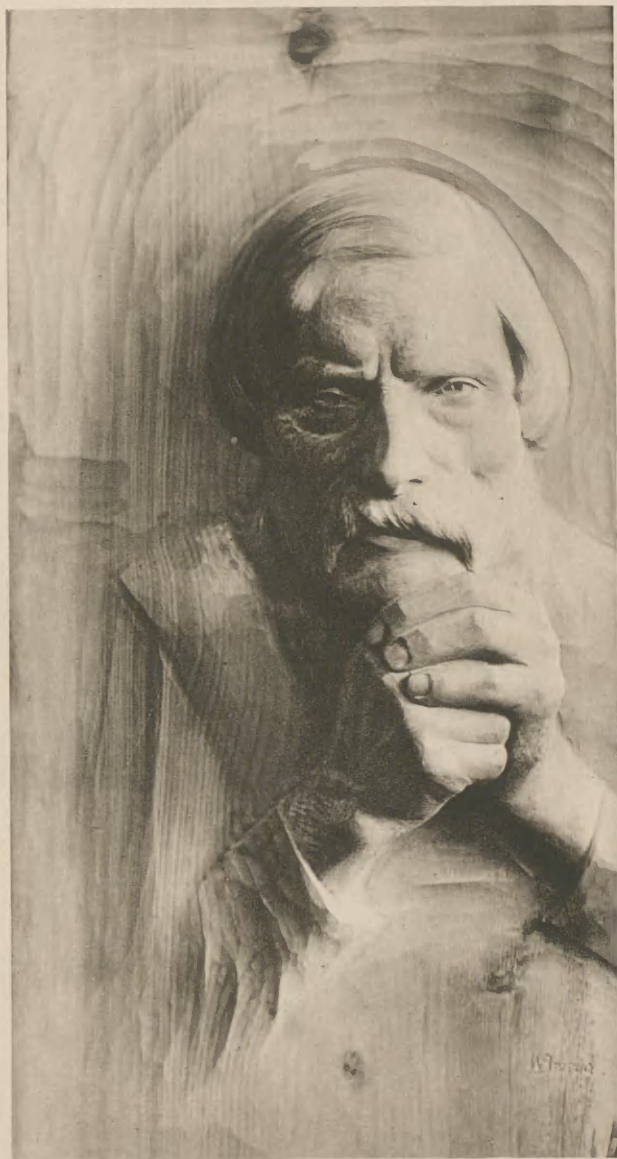
Poziorno z okna Gadei ku holom. Syroko się tuztela widzi; dolina zakopiańsko, zorana potokami, ciągnie się ku reglom polami; ponad reglami dźwigajom się wysokie krzesanice Tatrów. Widzioleś tuztela kozde scerbinke w Giewoncie, a kto zwyczajny gór, to pozno po nik na pogodzie. Ony som jest co kwila ine; roz siwe, to zaś, jakbyś je farbkom posuł, niebieskie, zaś mgieł tamok się nazbięra i tak się przewalujom... Gadeja wstoł z ławy, przywitani my się i poseł mówięcy przed krziz; dokończył paciorków, wzdychnon pore razy przed Pane Jezusem, poboškoł pasyjke i jagnuska u korónki, zawiesił jom na jednym ramieniu krziza, z drugiego zjon tórbkę i kie fajke naloz naphoł do niej habryki i zakurzeł — wyżroł okne ku Tatrom i pote zacyni my urodzać.

Gadeja to staroświecki chłop; dziś je juz rzodki, bo tez osiemdziesiątka mu dochodzi; to kupa roków i ciężko ik trzymać na grzybiecie; to się tez trohe przykrzywił, ale kiesi i ón beł chłope jakik się mało w tej tu dolinie rodziło. Gwarzyli, że Tomek kie parobcył, to se do jednego kierpca krzesiwo przypion, a do drugiego krzemień, co by się iskry suły kie krzesoł. „Syćko go widzom — pedała Kasia od Bednorza — jako tońcył; jaki świecny chłop beł. He! beł chłop! A piéniędzy nasuł w kiesionki, coby fyrcały od niego kie się zwyrtnon“. Tomek wte z „hornemi chłopcami“ chodzieł, to dość miol piéniędzy. Nie dusno mu beło polecieć hoćkany ku wsi, w Ratułów abo na Bukowine i tamok se tońceł w karcmie, co się ino izba trzęsła — a starzy gazdowie siedzieli po ławak i wołali: „Tońc chłopce, niek ci się napatrzymy“.

A kielo się nabijoł, napijoł, a kielo lasu z brate Jędrzke wyrąbali! Całe doliny pokosem za nimi legły. Kie w Orawicak zamkli syktarnie, to Gadeje się wzieni do Gorców. Kie Gorce wycyścili, pod Babiom Górze pošli syktować. Lasy beły hrube, stare jedliska, to trza beło mieć siłę i spryt by dać rady. Nogorse beło tulanie na składy. „Jo tak dźwigoł, co w prawe połędnie noc się mi w ocak robięła“ — gwarzył Tomek i co robięł, to robięł jak się patrzy. To tez go ludzie mieli za co i hyr o nim seł po dziedzinak. Jak Janosik beł nad Janosikami, tak Gadeje byli chłopami nad chłopów. I dziś się jesce tak mówi, jak idom chłopcy z Polon drógom, a co śwarnie idom — to się gwarzy: „E, idom tez hań Gadeje“. A ftóry z młodyk wyrośnie siumnie, to się pado: Dyc je teli, jak Gadeja“. Jak się zaś chłopcy pasujom to się im dokwaluje: „he, seta Gadeje! Gadeje“ — co siłę, wzrost i zgrabność oznaco a chłopcy radzi, kie się tak o nik gwarzy.

Dyc i orali sobom. Roz jednej wiesny nie mogli nika napytać koni, a tu juz trza beło sioć; niewiele myślęcý, zaprzągłi się do pługa i tak ciągneni, co ino rzegotały płuzne kółka za niemi. Cysto piknie zorali stajanie sobom.

Gadeja jest ostatni z rodu; bracia mu juz syćka wymarli, a synowie



„Wierchy” r. 1929. do art. W. Brzega.

WOJCIECH BRZEGA: RZEŹBA
Portret Tomasza Gadei

juz nie som jest tego fajtu. Ponoć ś nim zejdzie do grobu jeden z ostatnik, co to zbójnickim chadzali chodnike. Jaki beł Gadeja chłop staroświecki, taki i wizerunek Pana Jezusa miol. Ciekawo to beła rzeźba, żek sie go spytoł, ka jom nabył. „To mi Kuba z Bukowiny zrobiół, kie my siedzieli w Munkacowie na Węgrak. Ten, com wom to nieroz o nim gwarził.

Kuba beł w hareście w Lewocy i tamok sie świętyk robić naucel. Potwora, miol mature do tego. Ino noze strugoł i takimi dłućeckami co se ik z piór — wicie z takik, co sie pise niemi — narobieł. Jak ino nabrakował kany miękkiego drzewa z topoli abo lipowego, to zaroz śniego świętyk strugoł. A co namajstrowoł, to poseł i fechtrom za chleb przedawoł. Jak przyniós chleba, to mie wołoł — ba, haj — wołoł ku sobie, coby my raze jedli. Tok sie śmioł śniego — padom: „He, Kuba! dyj nom ci święci chleba donosom“. Kie my zjedli, to Kuba struze różne święte i świętyk i znowu przynosi chleba. I tak nos wej święci zywili. Ón miol huć ku temu. Choćkiedy, kie ik narobieł, to mie wołoł i pokazowoł, a ozprawioł, jacy to som święci; — pado: „Wis Tomek, to św. Hana, a to Matka Bosko“. A jo sie pytom: „E, po cym ze ik poznajes?“ — tak ino na dezpet — wicie — to Kuba beł zły — ościskoł sie.

E, niek mu ta Pon Jezus grzychy odpuści! Kubisko beł fajny chłop, i towarzyski i śmiały. E! śmiały beł. Ón w biały dzień w ocy broł! Teli ino miol sfańek, ze jak sie napił, to przygłupioł, no i roz my sie wycupkali, choć my sie tak radzi śnim widzieli. Fajny beł towarzys, pokiela sie nie napił, ale jak naloł do rzyci, to mature miol za pasy wyzywać, a śpasów nie znoł, ba zaroz do bitki. Jo Kube wyprógowoł, wiedziółek do niego sposób. Roz mie djasi zanieśli na Bukowine, do Jurgowa, a Kuba juz pił w karcmie. No, i pijemy ta, jaze Kuba sie opił i pado: „Podź Tomek za pasy!“ — Jo godom: „Daj mi pokój, ledwiek haw zywıy“. Ale Kuba sie upar — ino „hybaj i hybaj“ i sarpie mie za cuhe. Ozgniwołek sie — „Podź!“ — prasnonek cuhe na stół i wzieni my sie. I tak sie bieremy, co jaze odzinie trzescy. Ludzie sie patrzom, postaneni — ale ani ten tego, ani ten tego nie móg prasnać. Bo Kuba beł chłop przy huci, a i mnie pary nie hybiało. Jaze my sie oba prašli na ziemie. Jo kcem wstać, a Kuba mi głowe przycisnon do dyli i trzymie. Zgniwołek sie, przewinonek głowe, a Kuba jesce przycisnon i tak mie zabolalo kiebyś cerwonem zelaze przyparzel. Tęgok głowe przewinon i miezdra z cola na dylak ostała. Kie mie spiekło! Kie nie pringnę! Odrazu bełek na Kubie. Kie zacne bić po kufie... Dobiłek, dokopołek — „tu mos — padom — pasy!“ A ón sie ozpłakoł: „Pocóżeś mie tak dobił?“ „Ha! Kiebyk ci sie beł doł, to byś ty mi tak zrobieł!“ On wzion i poseł dó domu — ocy mało mu widno beło, tak mu pysk spuchnon. Jo ostoł. Kie ón wysel, to przyseł ku mnie taki stary chłop, gazda z Bukowiny i pado mi:

„Hybaj chłopce do mnie spać! boś mu dobrze zrobieł! Ón tu wcora całom karcme wybieł i wygnoł ludzi s'niej do pola. A i nos staryk wygnoł, choć my ta cicho siedzieli i swoje pili“.

Jo sie pote z Kubom stykoł, ale sie nie gniwoł, nie. I raze my beli zasądzeni i siedzieli my wroz. To jak nos rano z cymrów wypuścili, to Kuba zaroz ku mnie przylecioł.

„A za co zeście siedzieli?“ „Mhu! za co? ze za bdź... ućciwszy Pana Boga i wos tu. Wyzdajali my sie z chłopami w jedno miesce, ale sie tamok nie dało i trza beło sie wrócić. Idziemy nazod, tu koło Cérwonego Klastoru, a chłopi mrucom, ze tak po próznicy miondlic się drógami to nie worce i darmo kierpce drzeć, to grzych — coby sie ta co jako nie dało, coby wicie, choć dróga sie zapłaciła. No i uradzili do zyda, tamok. Śladno beło wleść i wzieno sie ta co ta beło. Ta piéniędzy nie mioł — ale płótno, gęsi — zje co ta mioł, to zezbiérali i w porządku my pošli dó domu. Idziemy tu juz bez Olcański potok a Kubowi wiater wzion kapelus z głowy. Sukomy, łazimy, ale cobyšta kabyšta w nocy naloz. Niehali my to tak i pošli w swojom strone. Kapelus cosi na drugi dzień nasło i zaniesło do wójta. A wójt w niedziele poseł do kościoła — wzion kapelus — i po sumie wyseł przed kościół, dźwignon go w góre i woło: „Cy wy ludzie nie wicie, cyj to moze być kapelus; wto se go stracił?“

A beło takie chłopcátko z Bukowiny i poznoł go myrsina! Bely takie drobne kostecky na niem i po nik se uwozył — i zawołoł: „Dyj to Kubów z Bukowiny!“

Wójt posłoł przysięznego na Bukowine, a Kuby doma niema. Pošli w Zokopane i tamok z urzédnikami, wicie z radnemi, krok za kroke spihujom za Kubom.

A ón mioł takie figle w opasku, co ik tamok pozbieroł i przedawoł to ta pomiędzy zydami i seł od karcmy do karcmy, jaze przyseł na Ustup. Moi urzédnicy za nim i tamok go przysiedli i zabrali do wójta, do Wyćwickich — zagnali. U wójta go powięzali i zaceni bić i nie wiem ki sie djasi stało, co sie przyznoł.

Ón w nietakik beł opałak, a nie wydoł ani sobie ani towarzisy. Juści jak sie przyznoł, tak wzieni i dopiero go tez pote pucowali. Jo sie dowiedziół — spiektó mnie — to źle — myśle se — ale nic nie godom, ino siedze doma, a poziérom okne, skoro ta po mnie przydom. Ale ta dłuogo nie trza beło cekać, bo ledwie z wiecora usło — jo legnon i śpie jak mys na pójdzie — a słuchom — i za kwile słysem tup, tup, tup, koło chałupy — myśle se: toś juz Tomku tam! Ani pomyślenia nie usło, a tu sarpiom dźwirzami. Puscojta!“ Jédrek wyseł i otworzeł — i wešli, ka jaki przysięzny urzédnicek z gminy. „Zbiéroj sie! — my tu nocami za tobom chodźć musimy“ „Wto

cie wygania?“ — myślem — obłóćem sie; toby mi sie hnet obuć byli nie dali, tak sie im piliło! No i wzieni mnie. Józka Sawickiego juz mieli — i zagnali nos do wójta, tamok do Wyćwickich, kany juz Kuba beł. Tak kie nos zagnali — chłopci sie schodzm — tacy wiecie wyjadace. Kube juz tak obrali, co mu syćko wzieni i opasek i kierpce z nóg zobóli, a dali dziurawe świńscoki i rzemień do kierpcy. Dyj mu i pasek z portek wyciągli, a powróz-cysko nawlekli. U nos to som jest nowiękse hóncofoty.

Kie ziadary na trzeci dzień przysli po nos, to jak jamioty sie widzieli. Bo chłopci to som jest łupirze — ani nie wiedzieć co pedzieć — do cego ik przyrównać. A im sie nic nie wzieno, ba jesce sie do gminy przyniesło i swoje wieś sie bogaciło — ale powiedzze to takiemu — kie ón by cie kcioł juz zjeść! Ale kieby tak trafił beł na takiego jako wicie — toby mu pokozoł. Ka inęndy toby wyfejali.

Józka to związali i bili, a przewracali jako owce do strzyżenio. Mnie dali pokój, bo Pęksa zaroz przysel do wójta, kie sie zwiedziol ze mie wzieni, i pedziol mu: „Odpowiecie za niego, jak mu hybe na zdrowiu zrobicie — podom vos do miasta!“ Ón mie zratowol co mi na sucho usło. Ale Kube to juz przez spamiętanio bili. Cudecki śnim wyrobiali; to wiązali u powały i tak nim huziali, coby głowom bił w tragorz, to go spuscali na ziem, na łeb. Tutón z Olce to z ławy skokoł na Józka, radby go beł ozpucyc. Juz nie wiedzieli jako ik męycć majom. To smrecki parzyli — jak na obręce do kadzi — i niemi bili, co jaze sie włóknily.

Takie to wej downiej chłopskie rzędy u wójtów bely. Niek ta Pon Bóg zachowa, coby cie we swojej gminie chłopci sądzili. Kie nos pote do Lewoce zagnali, to Kuba sie wypor syćkiego. Pedziol co go strasnie bili i lotego gwarzel co mu ino do głowy przisło. Jo zaś pedziol, ze jo nic nie wiem, wto więcyl beł, bo my sie nocami zganiali. I tak my Wojtka Matejowego i Goryla z Białki ognali — i Gorylisko to biédok juz stoł w mieście, kie nos tamok przysykowali, coby nom co podać, a i do Lewoce chodziel.

Zasádzili nos tamok po dwa roki kozdemu i w Munkacowie my odsiadowali. Dyj nom ta nie źle beło — nie powiem — ino sie cnenno — no-gorzej wte, kie wiesna przychodziła, abo ten cas, kie som zbiórki u nos. Bo kie se przybocys, jako to choć kiedy przy miesiácku gmyzajom ludzie przy owsie, e, to sie cnie! e, cnie!

Ale nom sie jesce nie kotwiło, kielo sie cyganom cnyno. Cały kierdel ik siedziáło; niby za podpolenie wzieni ik. To juz kie sie ciepło na polu zrobielo, to bidoki ani jeść ani spać, ani chodzieć, ino tacy zieloni tłukli sie jako duchy po hareście. To sie mi ik uzoliło, tok ik poseł pociesać. Gwarzę: „Wos ta puscom, bo mi kaprol gwarzel zeście niewinni. He, puscom vos, puscom!“ To odrazu poweseleli. Jak sie zaś nanowo za-

ceni trapić, tok znowu ik poseł ozweselić. I puścili ik, bo niewinowaci beli; to wom powiem, ze kie ik uwolnili, to tak tońcyli na hofie, co sie beło cemu napatrzeć. Kozde sie wej wolności ciesy. A zyd to wom juz przez hanglu nie wysiedzi. To obieś! Choć tabackom abo bagom bedzie kupcył. coby choć selonga na dzień zarobić.

Jo tamok Kubie pedzioł: „He, Kuba, trza sie warować, coby tu juz nie przyjść!“ Ale ta, wicie, jakie ci Pon Jezus do przeznacenie, takie mos. Jesces w zywoce matki, a Pon Bóg ci przeznacy, jako zył bedzies i jako ci bedzie. To syćko od Pana Boga, — taki los i śmierzć i syćko. I zbójnicy od Pana Boga. Óni ta jacy beli, tacy beli, ale robieli dóm Panu Bogu. Dyc w mieście kościół wybudowali, tamok kany to św. Hanna. I w Siaflarak óni postawili kościół.

Lasy, w te casy, w całej tu dolinie beły — ino. skądśi z dólnyk wsi ludzie uwidzieli, co sie dymiło z lasu i przyśli w to miejsce, a tamok zbójnicy kościół stawiali.

To ino trza do Pana Jezusa tak ciężko wzdychnąć, jak mos co kónać, a Ón ci dopomoze. Jo wom wiem pedzieć, he, bo jo juz beł w różnem zohyceniu. To wom powiem, ze jak Pon Jezus kce kogo ukorać, to zbójnika na niego pośle.

Juz taki, co to przy różnyk hanglak cygaństwo ludzi nazarywa, to w prawe połędnie idź do niego, a włos ci z głowy nie spadnie“.

„A jako sie pote z Kubom stało?“

„Zje przezmała, ze tamok umar. To jakosi tak beło; — wiecie kany jest Kałusowa?“

„Ba nie!“

„Jak sie do Sąca idzie na nogak, to bez niom sie przechodzi.

Wybrali sie chłopci i Kuba beł śnimi i Jasiek Mocarnego — co go to kłapistym nose nazywali — i ta jesce różni; a i Nędza Józek beł śnimi. No i jak sie wybrali, tak sie wybrali; jaze tamok zaśli i béli stoli koło jakiejśi kopy; to beło w nocy, a im sie tak wydawało, jakby sie drugo kompanijo zastrzegąła. Tak ik już mamić zacéno i juz nie pošli kónać, ka sie zabrali, ba wzieni i wrócili sie. Idom dó domu drogami i przyśli ku Starej Wsi i pošli do zyda na myto i zacéni ze zydem narobiać, a jakiesi dziwcencisko sie wymknyno po cichu z karcmy i poleciało po chłopów. Nieprecki beł browar. Ludzie sie zbiegli, różni robotnicy otocyli karcme.

Kieby sie béli towarzysio trzymali kupy, toby sie ta moze jako tako wyłomali, ale nie beło jedności między nimi; z poru uciekło, ostoł ino Kuba i Jasiek Mocarnego; — Jasiek sie im długo brónieł i mierwił śnimi, ale sie mu pote toporzysko złomało i ciupoga fyrkła, a i postrzoł dostoł; wtosi cy ziander strzelił do niego, i wte osłob i wzieni go, a Kube juz związanego mieli. Wte Kuba dostoł cosi z osiem roków i dó domu juz nie wrócił.

To nogorse jak mos płonyk towarzisów. Ale jak sie chłopi wyzdajom co chłop do chłopa wié mature, to nie ustąpi. Pudzies go ta odganiać! e, cie w rzyć kopnie, to cie na kierpcu na dak wyruci! To sie niéma cego bać, ani śmierzci.

Jakeś sie juz na to zabroł, to nie bees ozmyślowoł — „kielo mi téz dadzom — co mi tez zrobiom?“ ale ró b śmiało, na coś sie zabroł. Ty sie śmierzci nie bó j, bo co sie jej ta nabois! Jak jej nie mos od Boga przernaconej, to cie ominie. Jak Pan Bóg palce nie rusy, to nie zginies.

Kuba chodzieł jesce z temi Sulkami z Grónia, to mu to nie pirse béto. Kiebyście go béli widzieli, to byście pedzieli: „e, idzie dziadu!“ tak bez włosy patzoł i tak sie pomału rusoł; udawoł głupiego! Ale to béł chłop, nie dwa dudki — a i ci Sulkowie jacyśi béli. Na Gróniu karcme mieli i utrzymowali se jom. Warte postawili i tońcyli i pili bez całom noc. Sulkowie béli z Grónia i Sobek Smolec, co umar na Wiśnicu. A Wajda z Białki, co béł na całe zycie zasądzony, ale ino dwadzieścia roków wysiedzoł — bo jakiesi uwolnienie przysło — i puścili go dó domu.

Gwarzéli ze pote poseł na Orawe i tamok go Orawcy zabili.

O nik to béła tako dłu go śpiewonka:

„Horni chłopczy béli, na Gróniu pijali,
Biaścańscy wójtowie na nik śpihowali.
Iak ośpihowali do miasta znac dali,
Miescańscy panowie wojoków posłali“.

To juz za mojego zycio, alek wte takim chłopce béł, to bace jako mi nieboscyk ociec gwarzył o nik. Kuba béł starsy, to chodzieł śnimi. Ón béł z Matejami i wte kie to Jędrasiowemu Kubowi ręke postrzelono. To téz głupio béła sprawa; Mateja Wojtek przedtem przyseł ku mnie i pado: „tak a tak; jo mom babe i dzieci — som nie mogem — trza śmiałego, coby okne hipnon. Cy byś ty Tomek nie poseł?“ Jo se myślę, kie sie ty bois, to pocoz jo mom piérsy phać łeb? „Nie pude — rzekę — bo musem isć w miasto; mom ta terminy o bitki“.

Tak jek sie ino kcioł wykręcić. Ón pote pozbiéroł chłopów, jakik ino mó g — i pošli. Jo pote cosi w dwa dni zaseł do Bednorza; dziewcenta gwarzom: „Śli tez tu chłopi wcora ku wieczorowi, z torbami, — cy ty nie wis Tomek, ka pošli?“ „Jo ta z takiemi nie narobiom“ śmiejem sie. No i dobrze nie bardzo, jak pošli tak pošli, a mie korci; jako téz ta — co téz ta bedzie? Zlatujem na dół do Bednorza — niby ku dziewcentom na posia dy — a słu hom, skoro ta jakom piosnecke uslyse — jaze mi Kaśka gwarzy: „Seł téz tu przed wiecore Kuba Jędrasiów, taki juz doponiéwirany, dobiédzony co ledwie loz!“ „No wis! — myśle — mos dziadu bol!“

Jo sie pote z Jędrasiem zeseł i opedzioł mi, jako to béto. Jak tamok

zašli, tak Ignaców Jędrək piérsy hipnon okne do izby, a Kuba miał drugiém okne wskocyc. Ale sie trohe obowoł, i tak sie zastrzégó a gazda sie przyryktował tymcase i palnon z flinty i jakosi co ino w ramie Kubowi strzoł poseł. Jak gazda strzełił, tak chłopi się ozfyrkali, a Jędrək widzi, ze towarzysio nie robiom swojego, tak hipnon pod młynice i ciupagom sie wyrąboł bez kómore do pola. Chłopi, co mieli zywność uciekli z torbami, a ty Kuba hybaj o głódzie dó domu, jesce sie waruj — bo drógami nie pudzies w takim zohyceniu. — To juz jak chłopi sie nie zdadzom do huci to nima co! Lepiej przy piecu lezeć w chałupie.

To ino takie oprystki uciekajom, ale dobry chłop nie ustąpi.

Jędręcysio Ignacowe téz śmiałe bęło, a i wytrzymały chłop! Kie go Chochołowianie bili — wte kie im to zbójnicy kościelne piéniądze wzieni — to go bez trzy dni pucowali, a nie przyznał sie; nie wydoł ani towarzysy, ani na siebie nie pedzioł, ba, kie go pytali, to im gwarzył „Dyc sie pytojcie rzyci — ućwiwszy Pana Boga i wos tu — kie po niéj bijecie!“ Jędrək do niedowna zył; beł w Cichym, nakupił zagonów i gazdował se jak sie patrzy, jaze do samej śmierzci. A i Józek Matejów fajny bét chłop; na Józka to jo nic nie powiem — ale Wojtek to bét dobry — ale lo sobie; — pote juz chłopi nie kcieli śnim chodzić. Nazganiół gawiedzi i tak mu tez pote wyjechało. E, różnie to bywało.

Nie ma za co pijać, pódźmy chłopcy zbijać,
bo sie juz zacéna bucyna ozwijać.

Tak se Kubisko przyśpiwowoł, kie my se choćkany w karcmie pijali. Ale ta wej starości nie dozył, trza béło w grodce skapać. To kiebyś przestoł wcas, tobyś bét; bo syćkiemu miarka nieprawości sie przebiere. Nowobilski Józek z Białki to przestoł w som cas; nakupiét polan, grontu i gazdował. Kie my z Bartke pérci robiéli poza Mniche, to my zašli na Józka zajrzeć — to my se ta usiedzieli i uśmioli sie.

Jak słonecko od połednia sie znizo i coraz chłodniej sie robi, tak téz i z cłowieke — od pół wieku zimno i biéda na starość po harestak siedzieć, ba we swoim kąciku. Do pół wieku rób co kces, cłowieku — gwarzył ksiądz nieboscyk — ale od połówki trza sie wracać i naprawiać.

Mnie luto béło Kuby, markotno sie mi widziało, ze nie przestoł, ale to taki los miał. I teraz, kie popatrzem na to umęcienie, co mi go Kuba zrobiét, to se wse o niém przybace i wzdychnem za nim do Boga, bo to fajny bét towarzys, e, niek mu ta Pon Jezus grzyhy odpuści!

Teraz to wój dość chlebiga momy; nom tu ze światu dowiezom kolejami; to téz dobre. To sie Pon Jezus obezrół na ludzi. Bo to u nos, to sie ino na śniodanie urodzi, a na połedniny i na wieceze trza sprowadzać.

A chłopów to już niema takich śmiałyk, jako to bywowali; to dzisiejsy lud by wykapał. Drzewiej, kie chybiło zycia, to tak śli chłopci w Luptów jak na odpust; cysto piknie kcieli Luptów znieść i głodu nie marli.

Juz wom powiem, ze Luptocy mieli robote, bo sie nie mogli tej zjédzi ognąć; syćko im bez rozum przechodzili. Jak porobili zelazne dźwirze do sypanców, to juz myśleli, co to majom. Ale i to dobremu chłopu nic nie płaciło; wzion zawozył u spodku, zagion jak babie spodnice i wseł do nuka

Tak to wój bywowało drzewiej.

Ale zeby sie ino wiesna zrobięła i Pon Bóg doł jaru dobrego, to se hoćkany na brzysku posiedzimé do słonecka i uozprawiomé, bo jo rod uradze, ba o chłopskik rzecak, a figli to ani nie rod słuhom“.

Zakopane.

Wojciech Brzega.

Przyp. Redakcji. — objaśnienie niektórych wyrazów gwarowych.

bagą: tytoń do żucia, prymka. — bez rozum przechodzili: wyprowadzali w pole. — bośkać: całować. — cymra: z niem. Zimmer, izba, cela (w więzieniu). — dusno: trudno. — fajt: ród, gatunek. — fechter: z niem. Wächter, strażnik. — fyrceć: rozlatywać się. — gmyzać: wiązać snopy — gródkka, gródź: miejsce ogrodzone, może więzienie w grodzie (?). — habryka: tytoń. — hangel: handel. — harny, horny: pyszny; o zbójnikach się mówi: harni chłopcy. — hyr: sława, rozgłos, wieść. — jagnusek: medalik. — jar: pierwsza trawa z wiosną na halach. — mierwić: mieszać, szarpać, szamotać. — mo wić: mówić pacierz. — miezdra: głębsza warstwa skóry, skóra. — myrsina: brzydal. — poziorno: gdzie szeroki, otwarty widok. — seta: okrzyk zachęcający do bójkii, pracy i t. p. — sfanek (= szwank): błąd, słabość. — sładno: snadno, łatwo. — siargosie: hultajstwo, włóczęgi. — świcny: piękny, okazały. — śpihować: szpiegować. — pringać: podskoczyć (o sprężynie). — wyfejali: wygorzeli. — zachycenie: zaskoczenie, być w z. = być w opałach. — zawozył: podważył. — zjédz: gawiedz objadająca kogos.

Przez siedm gór i przez siedm dolin — na nartach.

Ze wspomnień narciarza.

Początek turystyki zimowej we wszystkich górach polskich poza Tatrami schodzi się z początkiem narciarstwa. Może kiedyś — zanim jeszcze nauczone się jazdy na chyżych deskach — udało się komuś wczesną zimą, kiedy biały pył śnieżny dopiero przyprószył szczyty Karpat, wydostać się „letnim sposobem“ na jakiś wierzchołek. Może zrobił to ktoś i w pełną zimę, gdy śnieg, po odwilży mrozem chwycony, skrzepł w twardą skorupę — ale wypadków tych — z pewnością zupełnie wyjątkowych — żaden kronikarz nie zapisał i nic o nich, choćby z ustnej tradycji, nie wiemy. Najwcześniejsze daty, które możemy tu podać — to zwiedzenie Chomiaka (1.544 m) 26 lutego 1897 r. i najwyższego wierzchołka Karpat Wschodnich, Howerli (2.058 m) dnia 16 marca

tegoż roku, należą już do historii narciarstwa. Są to nie tylko pierwsze znane wycieczki w Karpatach dokonane w zimie, ale i pierwsze w Polsce wyprawy szczytowe przedsięwzięte na nartach. Możemy tedy przyjąć, że przed wprowadzeniem narciarstwa nie było w Karpatach turystyki zimowej.

Nie tylko początek, ale też i cały dalszy rozwój turystyki zimowej odbywał się pod znakiem nart. To też z bezwzględną słusnością należy stwierdzić, że wprowadzenie narciarstwa w Polsce jest tym czynnikiem, któremu polska turystyka górską zawdzięcza jedną ze swoich najpiękniejszych kart t. j. świetny rozkwit karpackiej turystyki zimowej w latach przedwojennych. Nie można jednak równocześnie zapominać, że tymi, którym sport polski zawdzięcza zaklimatyzowanie i spopularyzowanie nart, nie byli ani zawodnicy, ani skoczkowie narciarscy, ale wyłącznie polscy turyści.

Turystami byli pp. Małaczyński i Schnaider, którzy w 1897 roku podjęli wspomniane już pionierskie wyprawy na Chomiak i Howerłę. Turystą i znanym alpinistą był dr Tadeusz Smoluchowski, który w kwietniu 1900 r. samotnie wyszedł na nartach na Bliźnicę, najwyższy szczyt Świdowca. Z grona taterników polskich wyszli zdobywcy Doboszanki (1.757 m) we Wschodnich Gorganach, którzy w lutym 1906 r. dali początek należącemu już dziś do historii okresowi bujnego rozkwitu karpackiej turystyki zimowej.

W ciągu dziewięciu zim od 1905 r. do 1914 r. zostały zwiedzone przez lwowskich turystów-narciarzy wszystkie grupy Karpat Wschodnich, leżące na obszarze dawnej Galicji i na granicy galicyjsko-węgierskiej, ponadto zaś szereg szczytów wznoszących się już na terytorjum dawnych Węgier (dziś Rusi Zakarpackiej i Rumunji). Można powiedzieć, że w przededniu wybuchu wojny — „odkrywanie“ zimowych Karpat Wschodnich było w ogólnych zarysach ukończone. Wyprawy te, skierowywane w pustkowia górskie, na wichrem chłostane szczyty, w okowy zimy zakute, w okolice najczęściej prowadzącym nawet nieznanym, odbywane oczywiście bez przewodnika i dlatego następczające uczestnikom pierwszorzędne trudności orientacyjne, — zmuszające do noclegów — w mroźne noce zimowe — w przygodnych szałasach, lub wręcz pod gołym niebem, wymagające noszenia na własnych plecach i odpowiedniego okrycia i żywności na dni kilka — były przeżyciami w wielkim stylu, pełnymi przygód i wrażeń, pozostawiającymi głębokie, niezatarte wspomnienia. Ten typ wycieczek skończył się jednak z wybuchem wojny. Powojenne narciarstwo odwróciło się od wypraw zimowych. Nie tylko dlatego, że główne zadanie „zimowego odkrycia Karpat“ zostało w zasadzie zakończone już przed wojną, ale w większej może mierze z tej przyczyny, że ambicje młodego pokolenia poszły po linii nierównie łatwiejszego i bardziej uproszczonego narciarstwa czysto sportowego, kulminującego w biegach i skokach narciarskich. To spowodowało, że poważne narciarstwo tu-



W knieji zimowej.

Fot. A. Lenkiewicz.

rystyczne w Karpatach należy dziś już do historii. Sporadyczne wyjątki — spotykane od czasu do czasu — potwierdzają tylko regułę.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że zamilowanie do poważnej turystyki zimowej powróci, skoro minie owczy pęd szukania emocyj narciarskich na zawodach i skoczniach. Nie mogą bowiem powaby sportowego narciarstwa mierzyć się z niezrównanym urokiem i romantycznym pięknem zimowej „przygody“ w górach, z zaprzepaszczeniem się na dnię całe w bezkresnym morzu szczytów, z upajającą poezją bezpośredniego zetknięcia się z nieujarzmioną ręką ludzką, częstokroć zupełnie dziewiczą przyrodą, z czarem długich nocy zimowych, spędzonych przy wiatrce ponad ukrytymi w morzu chmur dolinami... Dlatego udała zimowa wyprawa górską zawsze pozostanie szczytową formą rozkoszy, jaką dać może człowiekowi umiejętność jazdy na nartach.

* * *

Dobiega ćwierć wieku od dnia, w którym poraz pierwszy założyłem narty. Było to w okresie uświadomionych już i rozżarzonych do białości zapalców taternickich niewielkiego grona młodych ludzi, związanych na lwowskim gruncie w „Kółko Taterników“. Gdzieś wyczytałem opis wyprawy górskiej zimowej, odbytej przy pomocy nart. Możliwość wychodzenia na szczyty gór, otulonych szatą śniegową, była fascynująca: należało spróbować. Za-

Wierchy VII.

danie jednak nie było prostem: nigdy na oczy nie widzieliśmy nart. O żadnym narciarzu nie słyszeliśmy nawet. Skąd zatem dowiedzieć się najogólniejszych choćby szczegółów, skąd wziąć narty — ów legendarny przyrząd, nazywany wówczas „ski“. Oto troska najważniejsza.

Przyjaciel mój, J. M., przed którym zwierzyłem się z pomysłu, oświadczył z radością, że myśli o tem samem i że spróbuje dowiedzieć się coś bliższego o nartach. W dzień później przyszedł ze znalezioną w bibliotece domowej książeczką, napisaną przez Józefa Schnaidra p. t.: „Na nartach skandynawskich“ (był to ofiarowany przy jakiejś okazji egzemplarz autorski tego zupełnie nieznanego i przez nikogo nie kupowanego dziełka, którego historyczne znaczenie, jako drugiego na świecie — po Zdarskim — podręcznika narciarstwa, dopiero przez współczesną literaturę fachową zostało docenionem). Przeczytaliśmy broszurę jednym tchem i znaleźliśmy w niej adres firmy śląskiej, wyrabiającej narty, sprowadziliśmy na spółkę — za 13 koron — jedną parę, zaopatrzoną w oglądaną dziś jeszcze tylko w muzeach uprzęż trzciniową. Był to w kabłąk wygięty pręt przeciętej trzciny, obsyty skórą, otaczający wokół stopę i uchwycony z przodu w śrubę. Na tych nartach, które na ulicach miasta wywołały zdumienie gawiedzi ulicznej, stawialiśmy nasze pierwsze kroki zimowe. Było to w grudniu 1904 r.

Trud tych pierwszych prób był wielki, postępy mało zachęcające. Ale już tej samej zimy znalazłem w jakimś piśmie niemieckiem inserat reklamujący narty ze znaną stalową uprzężą Zdarsky'ego. Uprząż ta sprowadzona do Lwowa wydała się nam szczytem doskonałości, zwłaszcza w zestawieniu z prymitywem trzciniowego wiązania. Z prospektu przysłanego z nartami dowiedzieliśmy się o książce Zdarsky'ego „Alpine Skilaut-Technik“, z książki znowu — o kursach, prowadzonych przez samego mistrza wszędzie tam, gdzie znajdzie się chociażby dziesięciu kandydatów. Lwowskie Towarzystwo Zabaw Ruchowych, na którego czele stał wówczas zasłużony dr. E. Piasecki, późniejszy profesor uniwersytetu poznańskiego i kierownik instytutu wychowania fizycznego — wpisało naszą małą gromadkę na członków „Alpen Skiverein'u“ i niedługo potem — na przełomie stycznia i lutego 1906 roku — sam Zdarsky wtajemniczał nas przez dwa



Na stacji w Jaremczu (luty 1906).

Fot. R. Kordys.

dni w cudowności swej metody narciarskiej. Działo się to na Pohulance, dokładnie w tym miejscu, gdzie dzisiaj rozciąga się Cmentarz Obrońców Lwowa.

W dwa tygodnie po kursie wyruszyliśmy poraz pierwszy w góry. My, to znaczy Zygmunt Klemensiewicz, Jerzy Maślanka, Maks Dudryk i piszący te słowa. Byliśmy wszyscy dziećmi miasta, o zimie w górach nie mieliśmy pojęcia. Przerazały nas dwa przedewszystkiem niebezpieczeństwa — zimno i... dzikie zwierzęta. O wilkach i niedźwiedziach w górach czytało się wszak tyle! To też przygotowaliśmy na nie broń, składającą się aż z dwóch rewolwerów starej konstrukcji.



Pierwsza narada (Jaremcze, luty 1906).

Fot. R. Kordys.

Zagadnienie stosownego ubrania było przed wycieczką tematem niezliczonych dyskusyj. Każdy z nas przygotował sobie kurtkę futrzaną, albo co najmniej — grubą, watowaną z futrzanym kołnierzem. Dopiero na dzień przed wyprawą, zdecydowaliśmy się po dokładnem odważeniu ciężaru tych ciepłości — na przyjęcie jako podstawy — letniego stroju turystycznego, wzbogaconego o ciepły sweater. Peleryna lodenowa uzupełniała komplet. Klemensiewicz miał również serdak. Wszystkie inne szczegóły sprzętu turystycznego, jakoteż pożywienia były szczegółowo omówione i co do grama odważone. Nocy ostatniej przed wycieczką nikt z nas oka nie zmrużył. Tak byliśmy podnieceni.

Celem naszej wyprawy była Doboszanka we Wschodnich Gorganach. Wybraliśmy ją dlatego, bo napisał o niej ś. p. Hoffbauer w swoim przewodniku po Wschodnich Karpatach, iż „możnaby Doboszankę śmiało porównać z wyprawą na wysokie turnie w Tatrach lub na szczyty Dolomitów w Alpach“. Jakżeż honornem celem była dla nas ta wspaniała góra i to jeszcze w okowy zimy zakłętą? Byliśmy wszyscy nastroszeni na ton najczystszej entuzjazmu i na wszelakie trudy gotowi.

Wyruszyliśmy z Jaremcza w południe 18 lutego 1906 r. Zaraz za wsią weszliśmy na teren wszystkim nam zupełnie obcy. Mapa i intuicja wskazywały drogę.

Niebawem utknęliśmy na niespodzianej przeszkodzie: gorliwość nowicjuszków kazała nam napuścić narty pokostem na gorąco; zrobiliśmy to tak dokładnie, że marsz do góry okazał się prostem niepodobieństwem. O fokach i włazolach nikt jeszcze nie miał pojęcia. Z tej pierwszej próby

wynieśliśmy podstawową zasadę narciarską: że każdą wysokość da się pokonać przy pomocy choćby bardzo nieznacznie idących w górę, ale długich i szeroko na prawo i lewo — prowadzonych zakosów.

Gdyśmy stanęli wreszcie na grzbiecie góry, na połoninie Szczewce, ukazała się przed nami w całym majestacie zaróżowiona blaskiem zachodzącego słońca — Doboszanka. Daleka i wspaniała, opadająca w naszą stronę potężną ścianą śniegową. Z ciemnych lasów wypełniających głębokie doliny zaczęły się podnosić ku szczytom białe mgły...



Doboszanka z Szczewki (luty 1906).

Fot. M. Dudryk.

Z niepokojem przebiegliśmy polanę, aby szukać drogi w ciemną otchłań Doliny Zielenicy, gdzie dole kryła się leśniczówka Ilma. Przed groźnym i stromym lasem cofnęliśmy się z powrotem w górę, na połoninę. Na niebie zaświeciły już pierwsze gwiazdy...

Noc na Szczewce! Ile lat dzieli mnie od niej, ile przygód i wspomnień! A jednak obraz tej niezapomnianej, przewspaniałej nocy —

stoi dotąd przedemną tak świeży i wyraźny, jakby to było wczoraj niedługo...

Zalęknieni, pełni niepokojących przeczuc, skupiliśmy się przy małym daszku z kory, z trzech stron otwartym. Mróz był siarczysty, już koło godziny 6 wieczorem termometr wskazywał minus 17 stopni. Ktoś rzucił słowo o odwrocie. Noc czarna, las, pomysł szalony. Z ciężkim sercem zabraliśmy się do pracy i urządzenia naszego „hotelu“.

Na wycieczkach nie mieliśmy nigdy „wodza“, nikt nie miał prawa komendy. Jednakże wewnętrzna karność i instynktowny zmysł organizacyjny pozwalały nam przewycięzać trudne sytuacje, przy pomocy przedziwnej zgodnej współpracy całego zespołu. Jeden, wprawny w siekierze, ścinał pnie świerkowe, drugi ściągał drzewo ku szałasowi. Pod szałasem pracował już trzeci nad uprzątnięciem śniegu. Czwarty kopał w śniegu dół na ognisko.

Za chwilę zapłonął mały ogienek, szybko rozrastając się w potężny słup ognia. Pod daszkiem leżała rozestana gruba warstwa cetyny, na maszynkach smażyły się różne smakołyki. Nadzieja i wesołość powoli wracały.

A potem podzieliwszy noc na cztery „straże“ i losiem wyznaczywszy je między siebie, ułożyliśmy się do snu. Jeden czuwał przy ogniu.

Polana opadała łagodnie białym całunem śniegu ku dolinie, której widać nie było. Zginęła zupełnie w rozciągającym się u stóp naszych morzu chmur, nad którym rysowały się mroczne cienie szerokich szczytów. Szmer śpiących pod grubą warstwą potoków nie dochodził oczu naszych, żaden wietrzyk nie mącił ciszy, tylko trzask płonących gałęzi. A nad nami przeczyste, nieprawdopodobnie roziskrzone miliardem gwiazd niebo.

Po północy ukazał się bładny sierp księżyca i powoli wspinał się na kopułę niebios. Z lasu wyszło jakieś zwierzę — słychać było szelest jego ostrożnych kroków, — zatrzymało się na widok ognia, poczem umknęło szybko. Nad ranem mróz ścisnął straszliwie. Zaczęły z hukiem pękać pnie drzewne na brzegu lasu. Nam było ciepło. Trzy wyniosłe świerki i trochę drobiazgu spłonęło już w ogniu rozłożonym u stóp naszych. Ognisko wżarło się w śnieg i zapadało się weń coraz głębiej, odsłaniając w przekroju wszystkie warstwy śniegu, tak jak się od początku zimy przy każdej śnieżycy układały.

Na posłaniu z gałązek świerkowych, mając nogi niemal włożone w żar ognia, z podłożonym pod głowę workiem turystycznym, spało się doskonale. Ale ten z nas, który wyznaczony losiem, czuwał przy ogniu, nie zazdrościł śpiącym towarzyszom. Przeciwnie — olśniony wspaniałością górskiej nocy zimowej i do najgłębszych fibrów duszy wzruszony — patrzył i słuchał. I wchłaniał wszystkimi zmysłami czar tej nocy, jakiej nigdy jeszcze nie miał i nie przeczuwał, że może być tak piękna.



Miejsce noclegu na Szczewce (luty 1906).

Fot. J. Maślanka.

* * *

Potem przyszedł dzień słoneczny i bezchmurny. Przez stromy, rzadki las wyszliśmy w niezliczonych zakosach na skalisty wierzchołek Syniaczki (Czar-



Pierwszy zjazd (luty 1906).

Fot. R. Kordys.

nohorec, 1.402 m). Na szczycie parogodzinny odpoczynek w ciepłym słońcu, na wygrzanych płytach skalnych. Widok z tej skrajnej baszty Gorganów, opadającej gwałtownie w tysiąc metrów niżej leżące przedgórze — był przepyszny. Odwrócenie na południe mieliśmy przed sobą wyniosły wał Gorganów i Czarnohory. Rozłożywszy mapę z trudem orjentowaliśmy się w morzu szczytów, jakie otworzyło się

przed nami. Nastąpił zjazd w dolinę Zielenicy — 600 metrów różnicy wysokości.

Ten zjazd — pierwszy zjazd narciarski w życiu — pozostanie niezapomnianym. Jeżeli bym zliczył wszystkie upadki na nartach na przestrzeni 25 lat mojej narciarskiej kariery — a było ich tysiące — na tę pierwszą naszą wycieczkę przypadnie chyba połowa. Jeszcze u góry — między szczytem a Szczawką było jako tako, sam zjazd przez połoninę — mało stromą i otwartą — napełnił nas dumą. Ale stromy, gęsty, podszyty las, ku leżącym o 400 m niżej Komornikom był katorgą. Odnaleźliśmy w nim słaby ślad perci, znaczonej zacięciami siekierą na drzewach. Znaków tych trzymaliśmy się skrupulatnie, a że szły w dół stromo i kręto, a nasz kunszt narciarski był jeszcze w powijakach — upadaliśmy w śnieg co kilka, w najlepszym razie co kilkanaście kroków. Z początku było to bardzo wesołe, ale w miarę upływu godzin przyjemność ciągłego gramolenia się w śniegu z ciężkim workiem na plecach stawała się coraz węższą. Kiedyż raz już będzie koniec? — pytaliśmy jeden drugiego. Las tymczasem stał się jeszcze straszliwym, zato jednak coraz rzadszy. Niespodzianie przezierny przed nami dno doliny i potok w głębokim jarku, poprzez który przerzucony pień wskazuje dalszą drogę. Przez „most“ ten przejechaliśmy — wśród ogólnej wesołości — okrzakiem z nartami na nogach i za chwilę staliśmy na wyraźnej drodze, przemierzonej starami, zasypianymi śniegiem, śladami człowieka. Zachodzące słońce oświetlało wysokie szczyty gór.

Noc była zupełna, gdyśmy w jakiś czas później zblizali się ku leśniczówce w Ilmie. Dochodziło nas wściekłe ujadanie psa, daremnie jednak nadsluchiwalismy głosu człowieka. A zatem pies, pozostawiony samotnie na straży leśniczówki! Zapewne groźny wilczur — będzie jej bronił do ostatka.

Wydostaliśmy rewolwery, aby utorować sobie drogę do zagrody, która

miała nam dać nocleg. Dwóch z nas idzie odważnie naprzód. W ciemności rysuje się przed nami szeroki cień domostwa. Psa jednak niema... Zwinąwszy ogon pod siebie skrył się za ścianę; nie był to — jak się później okazało — żaden wilczur, ale mały piesek domowy, którego szczekanie powiększone wielokrotnem echem wydało się nam ujadaniem wściekłego zwierzęcia. Za szybą okna ukazuje się przerażona śmiertelnie dziewczyna huculska. Ją to wraz z psem zostawił leśniczy na zimę przy krowach. Rządząc się, jak zdobywcy, okupujemy izbę leśniczego, żądamy światła, drzewa i mleka, co wszystko przynosi trzęsąca się ze strachu Hucułka. Szybko robi się ciepło. Z rozkoszą wciągamy na siebie suche rzeczy, potem gotujemy i najadamy się. Wonnem sianem zaścielamy dwa zestawione razem łóżka i spać.

A potem przyszedł dzień Doboszanki. Znowu słońce, bezchmurne niebo, silny mróz. Wesołą, przestronną doliną zśliśmy powoli w górę. Wokoło nas lasy. Na widnokręgu biały grzbiet Połomów. Za stromymi lasami, na prawo od nas krył się groźny — zdawało się nam — cel naszych wysiłków, Doboszanka. Mijamy Klauzurę Zubryńkę. Właściwie tylko jej resztki: wysoka ściana śluzu przzerwana, stawek dawno spłynął. Ale strome brzegi, pokryte stwardniałym śniegiem, który narty niedobrze chwytają, nakazuje ostrożność.

W jaki kilometr dalej kierunek doliny zmienił się, byliśmy zatem niedaleko połoniny Niżnej, wymienianej we wszystkich opisach Doboszanki. Potok pozostał w dole na lewo. Krótkie poszukiwania w stromym lesie i otworzyła się przed nami przestronna, łagodnie pochylona polana, tak zalana słońcem, że aż oczy bolały. Tu, nie bez dumy, włożyłem poraz pierwszy w życiu — ciemne okulary śniegowe.

Połoninę przeszliśmy w poprzek, kierując się ku górnemu brzegowi. Stok nad nami, rzadkim lasem pokryty, był coraz stromszy. Doboszanki ciągle jeszcze nie widać.

Na klinometrze odczytujemy 40° pochylenia. Ukazuje się już kosodrzewina, nad nią niewysoki biały cypel. W kwadrans jesteśmy na nim. Przed nami — wysoko w górze... Doboszanka!

Więc to ona — ten szeroki, stromy wał piargów, obnażony ze śniegu, ale łatwo dostępny. Więc to jest ta chluba Gorga-



W drodze na Doboszanke (luty 1906).

Fot. J. Maślanka.



Na grani.

Fot. A. Lenkiewicz.

nów, ich wierch najniebezpieczniejszy, postawiony zuchwale obok turni tatrzańskich i wież dolomitowych?...

Zgoła inaczej przedstawialiśmy sobie ten końcowy etap walki o szczyt, który teraz najwyżej ze Skupniowym Uplązem możemy porównać. Zjeżdżamy na malutkie siodelko, gdzie przywalony śniegiem krył się ostatni szałas pasterski. Kilka zakosów doprowadza nas do gołego piargu, tu zostawiamy narty. W kutyh butach, z kijem bambusowym w rękę przecinamy skośnie piarżyska, kierując się ku widocznemu zdaleka znakowi triangulacyjnemu.

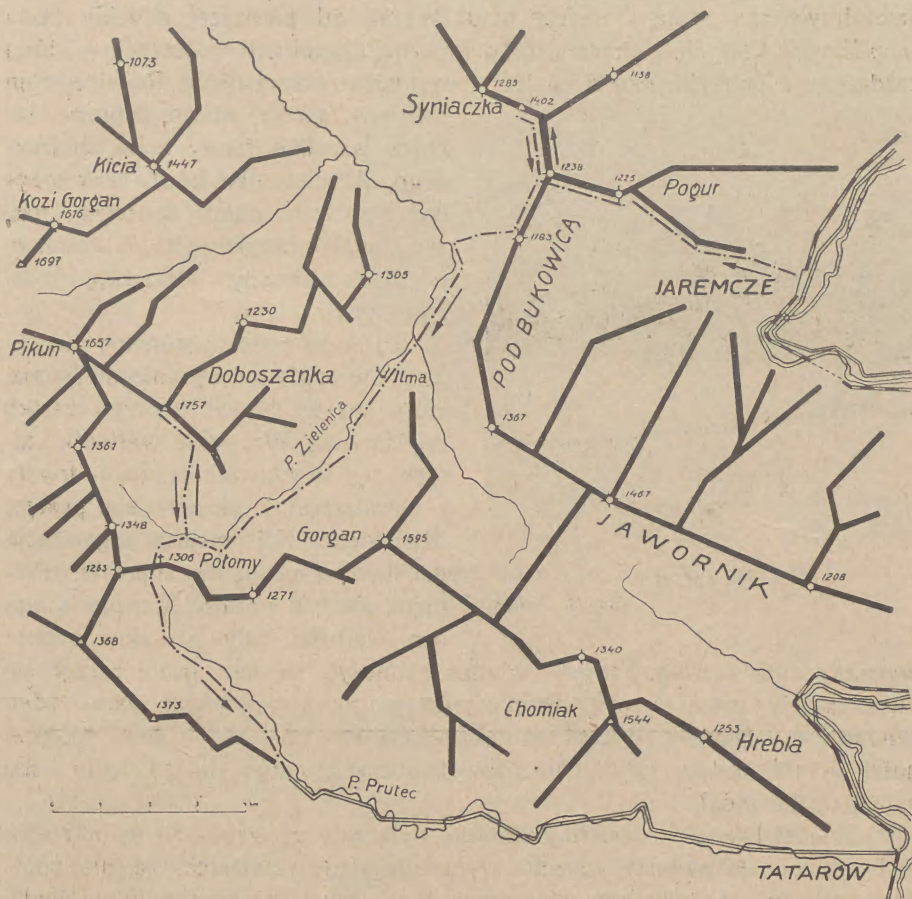
Na grani powitał nas wichur, a urwisko spadające ku północy nakazywało ostrożność. Słońce dawno już zakryło się chmurami. Polatywał drobny śnieg. Widok był groźny i ponury, ale czysty i daleki.

O trzy kwadranse na drugą popołudniu 20 lutego 1906 roku stanęliśmy na szczycie Doboszanki.

Wichur dał potężny. Nierozjaśnione słońcem, blade-szare, poważne wierchy otaczały nas wokoło, ciemne lasy głęboko w dole, a na niebie cudowna gra barw i świateł przedartych przez kłębiące się chmury.

Nic to, że nie wiedzieliśmy, jak z tej góry zjeździemy, jaka noc nas czeka. Świadomość, że jesteśmy pośrodku ogromnego pustkowia górskiego, nigdy dotąd w zimie nie dotkniętego stopą ludzką, że śmiało nasze marzenia stały się rzeczywistością, że udało nam się — jak nikomu dotąd — wtargnąć w to sanktuarjum zimy, że odkryliśmy tajemnicę wypraw zimowych w Karpaty, które legły teraz otworem przed nami — wszystko to oszałamiało nas.

Wokoło — na wschód, zachód i południe — wszędzie jak okiem sięgnąć — góry i góry. Wysoko ponad lasami wznoszą się ich białe kopuły. Nigdzie śladu osiedla ludzkiego. Jesteśmy w amfiteatrze stworzonym przez



— — — Marszruta wycieczki na Doboszankę 1906 roku.

naturę i nie popsutym przez człowieka. Z doliny nie dochodzi nas nawet szum potoków, zakrzepłych pod grubą warstwą śniegu. Tylko poświst wichru gra symfonię szczytów.

Do dziś dnia pamiętam ten wspaniale groźny widok i tę chwilę uroczystą, wzruszająco piękną, gdyśmy ściskali sobie dłonie na szczycie Doboszanki.

Żaden z nas nie miał jeszcze lat 20. I -tem świeżem, wrażliwym, młodzieńczem sercem czuliśmy, że dokonała się rzecz dla nas niezwykła, że świat, w którym urodziliśmy się i wychowali, którego częścią stanowiliśmy — został za nami, że stanęliśmy z drugiej strony wszystkiego, co wydawało się nam dotychczas istotą i treścią bytu. Wszak od pierwszej godziny życia weszliśmy w krąg niesłychanie skomplikowanej organizacji społecznej, w której każda nasza potrzeba mogła znaleźć natychmiast zaspokojenie. Rodzice, dom



Na szczycie.

Fot. M. Dudryk.

rodzinny, szkoła, miasto, państwo, jakoteż wszelkie formy życia społecznego, ułatwiały nam każdy krok w życiu, kierowały nami i kształciły nas, zapewniały bezpieczeństwo, ustalały porządek prawny, hierarchję ludzi i godności.

Tu w tej puszczy górskiej znaleźliśmy się nagle poza granicami świata, który nas wychował i którego częścią czuliśmy się. Wszystkie wartości, których byt wydawał się nam trwały i niezniszczalny okazały się pustym dźwiękiem. Najsilniejsza organizacja państwowa nic tu nie znaczyła. Pieńdz był bez wartości, a razem z nim bez wartości cały genialny system

wymiany dóbr i usług. Prawo i władza skończyły się tam, gdzie zaczął się nieprzerwany całun śniegu. Bezpieczeństwa nie gwarantował nam żaden żandarm, czy żołnierz. Wszystkie dobrodziejstwa, cała siła i sens społeczności — nie istniały tu zupełnie. Świat pozostał o dwa dni za nami i nic nam dać nie mógł.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy skazani wyłącznie na siebie, że w potrzebie nikt nam nie da pomocy, że zima wypędziła stąd wszystkich, że nie spotkamy nikogo, i że nikt nam nie zamąci tego uczucia bezgranicznej swobody, jakiego nigdy jeszcze nie mieliśmy. Uczucia tego nie dawały nam inne góry, w szczególności Tatry. Bo z każdego tatrzańskiego szczytu widać wsie i miasta, białe linie gościńców i dymy pociągów; we wszystkie zakątki wspinają się ścieżki utorowane przez człowieka, wszędzie znajdziesz znaki kolorowe na kamieniach i drzewach, a o dwie, trzy godziny niżej — schroniska i hotele.

Dwa dni temu stawialiśmy pierwsze lękliwe kroki w to państwo Zimy i Swobody. Teraz — na Doboszance — wiedzieliśmy, że mróz i śnieg metrowy, krótki dzień i zupełna pustka w górach nie powstrzymały naszego pochodu. Odetchnę-

liśmy powietrzem precudnej Wolności, odrzuciliśmy do-brodziejstwa, ale z niem także i pęta społeczności. Zbudził się w nas poraz pierwszy pełny człowiek, skazany wyłącznie na siłę swych mięśni i swój własny rozum. Wypełniała nas świadomość wy-soko podniesionej sprawności i wartości osobistej, poczucie wartości przyjaźni, która nas tu złączyła — i na znak której złączyliśmy nasze dłonie.

Doboszanka była dla nas wielkiem wydarzeniem, krórego pamięć zachowa z nas każdy do końca dni swoich.

I nie trzeba się dziwić, że potem przez szereg lat zśliśmy corocznie w „nasz świat“, w te połogie, trawą porośłe, pozbawione indywidualności postaci górskich, dlatego lekceważone — ale w zimie honorne i precudnie piękne — Karpaty Wschodnie.



O wschodzie słońca. *Fot. M. Dudryk.*

* * *



W Czarnohorze (1908).

Fot. M. Dudryk.

Od dnia, w którym stanęliśmy we czterech na Doboszance minęło lat siedm. W ciągu tych lat wiele się zmieniło. Ruch narciarski, u którego kolebki staliśmy, rozwinął się szeroko i potężnie. Powstały towarzystwa narciarskie, powstała obfita literatura. Szybko i skutecznie wtajemniczano każdego, kto chciał tylko, w arkana narciarstwa. Sklepy dostarczały sprzętu, w górach zaczęto budować pierwsze schroniska dla narciarzy. Kluby wywodziły swych członków każdej niedzieli na wycieczki górskie. I co raz częściej gromadki wysokogórskich

turystów wychodziły na odkrywanie nowych, niezведzonych dotąd w ziemie grup Karpat Wschodnich, zaczynając od historycznego Halicza, góry, na której wedle kroniki polsko-węgierskiej schodziły się niegdyś dzierżawy Polski, Rusi i Węgier, — aż po Czywczyn na wschód od Czarnohory.

W tem bujnym życiu narciarzy lwowskich, nasza mała, czterosobowa gromadka nie zostawała na szarym końcu. Ona założyła pierwsze polskie stowarzyszenie narciarzy i dostarczyła mu najgorliwszych pracowników. Ona pisała o nartach, wykladała, prowadziła kursy. Z jej łona wyszła inicjatywa, kierownictwo i wykonanie wszystkich niemal wypraw odkrywczych zimowych w Karpatach Wschodnich¹⁾.

I teraz w siedm lat od Doboszanki czwórka nasza znalazła się znowu w komplecie na lwowskim dworcu kolejowym, aby przystąpić do rozwiązania największego „problemu zimowego“ owych czasów, jeżeli wogóle można mówić o „problemach“ w tych dla każdego narciarza dostępnych terenach karpackich. Problematycznym mogło być tylko zadanie przejścia tych gór

¹⁾ Podaję poniżej zestawienie najważniejszych zimowych wypraw odkrywczych w Karpatach Wschodnich, odbytych w latach 1907 do 1912, ułożone wedle grup górskich.

Czarnohora. Pietros (2.022 m) — M. Dudryk i tow., marzec 1907 r.; Pożyżewska (1.822 m) — M. Dudryk, Z. Klemensiewicz i tow., grudzień 1907 r.; grzbiet Czarnohory od Pożyżewskiej po Pop Iwana (2.026 m) — M. Dudryk, J. Maślanka i tow., marzec 1908 r.; Czywczyn (1.769 m) — ci sami; przejście granią z Pietrosa na Howerłę — M. Dudryk i tow., grudzień 1908 r.; Szezul (1.728 m) — M. Dudryk i tow., kwiecień 1909 r.

Karpaty Marmaroskie. Pop Iwan Marmaroski (1.940 m), Żerban (1.765 m) — Z. Klemensiewicz, R. Kordys, J. Maślanka, kwiecień 1911 r.; Michajlekul (1.920 m) i Far-chaul (1.961 m) — prof. dr. Marjan i dr. Tadeusz Smoluchowscy, kwiecień 1911 r.

Świdowiec. Bliźnica (1.883 m), Stik (1.707 m), Tatulska (1.774 m), Trojaska (1.707 m), Todjaska, Tataruka — M. Dudryk, Z. Klemensiewicz, R. Kordys, kwiecień 1908 r.

Czarna Połonina. Bratkowska (1.792 m), Mała Bratkowska (1.684 m), Czarna Klewa — ci sami; Durny (1.709 m), Grofa (1.763 m) — M. Dudryk i tow., grudzień 1910 r.

Gorgany. Gorgan (1.595 m), Syniak (1.664 m) — M. Dudryk i tow., marzec 1908 r.; Jawornik (1.467 m) — M. Dudryk i tow., marzec 1909 r.; Sywula (niższy wierzchołek 1.818 m) — M. Dudryk, prof. dr. M. i dr. T. Smoluchowscy i tow., luty 1909 r.

Borsawa. Stoh (1.679 m) — po dwukrotnej nieudanej próbie — zdobyty dnia 22 marca 1908 r. (M. Dudryk, Z. Klemensiewicz i tow.). Pozostałe szczyty Borsawy — M. Dudryk i tow. w marcu 1908 r. i w styczniu 1911 r.

Bieszczady. Trościan (1.235 m) — M. Dudryk i tow., luty 1907 r.; Wysoki Wierch (1.245 m), Zielony Wierch („odkrycie“ Sławska) — Z. Klemensiewicz, R. Kordys, marzec 1907 r.; Paraszka (1.271 m) — dr. T. Smoluchowski i tow., 1907 r., pozatem dziesiątki szczytów wzdłuż linii kolejowej Stryj—Ławoczne, zwiedzonych na nartach w latach 1908 do 1912 na wycieczkach Karp. Tow. Narciarzy, prawie bez reszty pod wodzą M. Dudryka; Pikuj (1.402 m) granią od przełęczcy Użockiej po Wołowiec — M. Dudryk i tow., styczeń 1911 r.; Halicz (1.335 m) — dr. Z. Klemensiewicz i dr. T. Smoluchowski, marzec 1909 r.



Gorgany widziane od Czarnej Połoniny. *Fot. Z. Klemensiewicz.*

w tak znacznej rozciągłości, jaką założyliśmy sobie i poprzez okolice równie mało udostępnione i następujące niemałe trudności orientacyjne.

Chodziło o przejście grzbietem Karpat z doliny rzeki Oporu do źródeł Cisy. Dokładniej mówiąc — od Sławska, stacji kolejowej na linii Stryj—Ławoczne, po Jasinę (Körösmező), stacji granicznej na linii Stanisławów—Marmarosz-Siget. Na tej szerokiej przestrzeni zgromadziły się nie tylko szczyty całej potężnej grupy Gorganów, ale także: od zachodu — wschodnie krańce Bieszczad z Czarną Repą, od strony zaś źródeł Cisy — grupa Czarnej Połoniny, geograficznie należąca do Gorganów, krajobrazowo zupełnie od nich różna.

Trudności takiej wyprawy były przede wszystkim natury organizacyjnej. Należało najpierw ustalić marszrutę, a można ich było — w tych nadzwyczaj rozczłonkowanych, z licznych grzbietów składających się górach — wytyczyć kilkanaście, a z tego kilka, nie mających wręcz punktów stycznych ze sobą. Niema bowiem w tych górach głównego grzbietu, jest tylko dział wód, którym i to niezawsze ściśle — idzie granica państwowa. Ten dział wód jednakże z wielu względów nie nadawał się na drogę narciarską. Marszruta nasza musiała odpowiedzieć szeregowi warunków: powinna była iść poprzez najwybitniejsze i krajobrazowo najciekawsze grzbiety, prowadzić terenem odpowiednim pod narty, być względnie krótka, dać się podzielić na szereg



Ślad narciarski.

Fot. A. Lenkiewicz.

etapów, wyzyskując naturalne możliwości noclegowe. Główna trudność leżała w fakcie, że na całej przestrzeni nie mogliśmy nigdzie uzupełnić zapasów żywnościowych, a ponieważ trzeba było nieść wszystko ze sobą przez cały ciąg podróży, było jasnym, że — o ile nie mieliśmy utracić możliwości swobodnego poruszania się na nartach, co przy nadmiernym obciążeniu było nieuniknione — sześć dni stanowiło górną granicę długości wyprawy. Tem bardziej, że na zbyt długi okres pogody w górach, — co było jeśli nie zasadniczym, to w każdym razie ważnym warunkiem udania się wyprawy — trudno było liczyć.

Natomiast nie obawialiśmy się zupełnie trudności technicznych i orientacyjnych. Wprawdzie poza grupą Czarnej Połoniny, oraz niższym wierzchołkiem Sywuli — cała puszcza górską, w którą mieliśmy się zagłębić była nam najzupełniej nieznaną. Jednakże wieloletnie doświadczenie, wysoka stosunkowo sprawność narciarska i wydobyta już dawno na jaw, a tkwiąca w duszy każdego „człowieka gór“, intuicja orientacyjna naszej gromadki — dawały nam pewność, że z tej strony nie spotkają nas żadne niespodzianki.

Rezultatem tych wszystkich przesłanek było — po najsumienniejszym przedstudjowaniu map — wytyczenie szlaku w ten sposób, że przyjęliśmy jako punkt środkowy wyprawy, dzielący dwa okresy trzydniowe — Osmołodę,

malutką miejscowość, leżąca w samym sercu Gorganów. Do Osmoły mieliśmy dojść poprzez grzbiet Czarnej Repy i Gorganu Ilemskiego (Arszycy), względnie Jajka Lolińskiego. Drugi zaś okres trzydniowy — niewątpliwie uciążliwszy i trudniejszy — miał nas poprowadzić poprzez najwyższe wierzchołki Gorganów — Wysoką i Sywulę oraz szczyty Czarnej Połoniny, na znaną nam dobrze przełęcz Okole, skąd już było niedaleko do Jasiny.

Tak nakreślona marszruta, łącząca oddalone od siebie w prostej linii okrągło o 100 kilometrów punkty krańcowe, przedstawiała na mapie linię długości przeszło 150 km. Założona na niej trasa narciarska, uwzględniając wszystkie podchodzenia do góry i zjazdy wynosiła ok. 200 km, co podzielone na sześć dni wyprawy, dawało przeciętnie trzydzieści kilka kilometrów na dzień marszu. Na całej przestrzeni trzeba było pokonać około 4.600 m wzniesienia, co było niewątpliwie wysiłkiem znacznym, jeżeli się uwzględni wysokie obciążenie każdego z uczestników.

W rzeczywistości okazało się, że wyzyskując ułatwienia komunikacyjne (sanie), zdołaliśmy pierwszy, założony na trzy dni etap wyprawy, wykonać w dwóch dniach. Dawało nam to jeden dzień zysku. Przy dyskusji, jak ten dzień wykorzystać, zaproponowałem, aby wstawić w program trzeciego dnia półdniowy odpoczynek, a drugie pół dnia poświęcić na dojście możliwie wysoko pod szczyt Wysokiej, gdziebyśmy zanocowali pod gołym niebem. W ten sposób mielibyśmy walenie ułatwiony — czwarty, najtrudniejszy dzień wyprawy, obejmujący przejście długiego grzbietu Ihrowyszcz (Wysokiej) aż po głęboko wciętą przełęcz Borewki, stąd znowu do góry przez Łopuszną na punkt kulminacyjny wyprawy — Sywulę (1835 m), poczem zjazd daleko w dolinę Płajską, pod przełęcz Pantyrską. Projekt ten zaakceptowany jednomyślnie, okazał się bardzo racjonalny i ułatwił nam walenie składne przeprowadzenie programu. Jak się bowiem okazało, — mimo, że wyszliśmy z biwaku, odbytego zaledwie 300 metrów poniżej szczytu Wysokiej, przed wschodem słońca, zdołaliśmy — idąc prawie bez odpoczynku — zakończyć program dnia czwartego dopiero przy zupełnej nocy, po godzinie 7 wieczór.



O świcie w drodze na Wysoką.

Fot. Z. Klemensiewicz.

Po ustaleniu marszruty nasze przygotowawcze narady zajęły się uzgodnieniem odpowiedzi na ważne — jakkolwiek dla dzisiejszych narciarzy zupełnie niezrozumiałe — pytanie: „jeden, — czy dwa kiję?“

Przy ówczesnym stanie rozwoju narciarstwa było to zagadnienie wybitnie doniosłe, którego znaczenie ilustruje fakt, że aż do omawianej wyprawy naszej (luty 1913) nie odbyto na ziemiach polskich ani jednej poważnej wycieczki narciarskiej z użyciem dwu kijków¹⁾. Były rozważone wszystkie argumenty pro i contra, wkońcu zdecydowaliśmy — głównie z powodu dużych przestrzeni płaskich, które mieliśmy przebyć — że obowiązuje wszystkich



W drodze. Fot. Z. Klemensiewicz.

dwukijek, przyczem wolno każdemu wybierać między kijami składanemi i nieskładanemi. Większość miała kijki składane, co dawało przy zjazdach znaczną korzyść na czasie.

Kwestja sprzętu turystycznego i wyboru żywności nie była przedmiotem narad, wobec pełnego zaufania do doświadczenia każdego z uczestników²⁾.

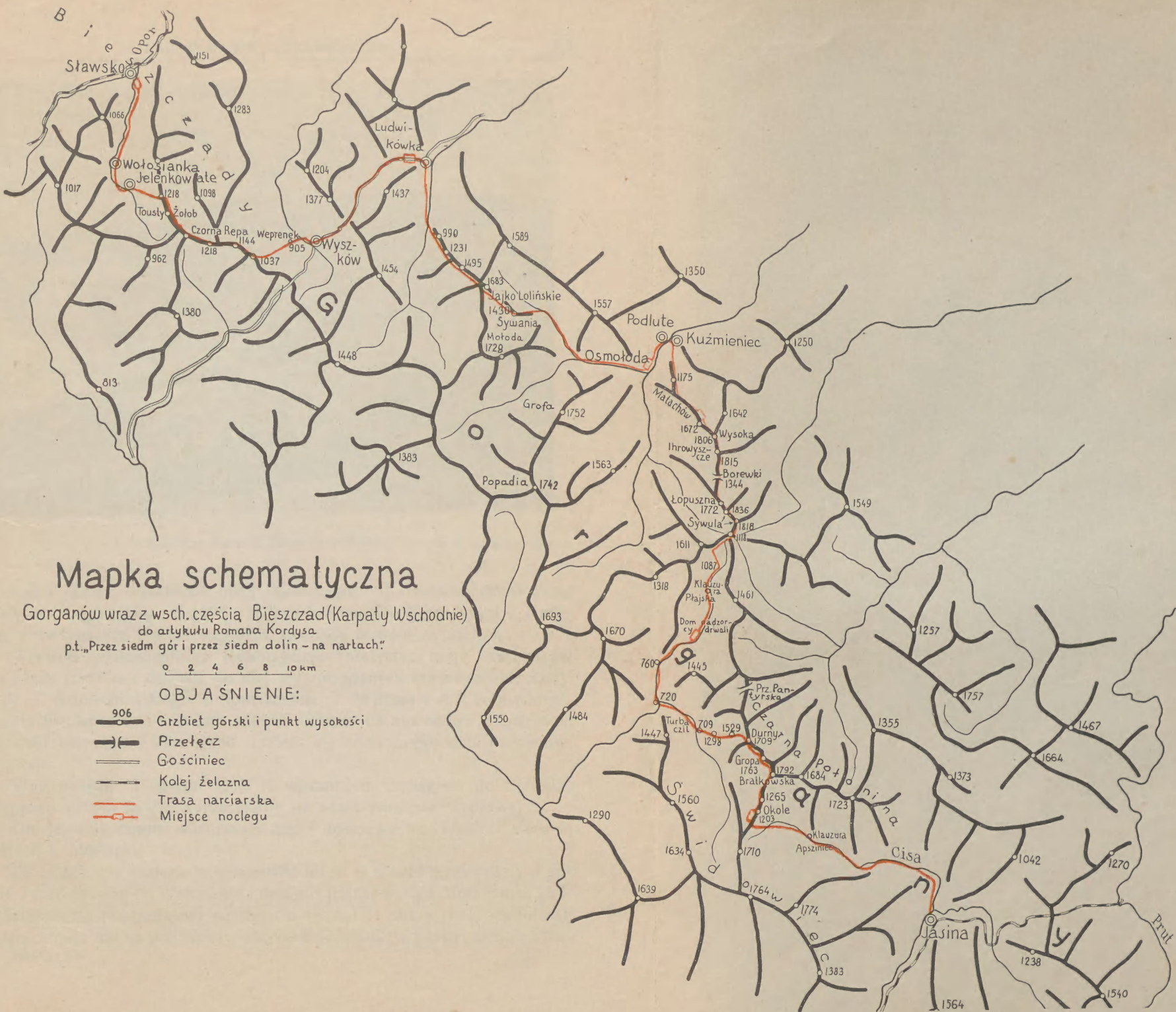
Ustaliliśmy tylko listę rzeczy

wspólnych (siekiera, łopata, piłka składana, przybory do naprawy nart, dwa aparaty fotograficzne, aneroid, termometr, mapy, apteczka), które następnie już

¹⁾ Poraz pierwszy — o ile mi wiadomo — użyto u nas dwu kijków w grudniu 1910 r. na wycieczce na Czarną Połonę, z ujemnym jednak rezultatem. W marcu 1911 r. byłem z dwoma kijkami na dwóch łatwych wycieczkach tatrzańskich (Goryczkowa Przełęcz), przyczem stwierdziłem, że zarówno zakopiańscy jak i krakowscy narciarze używają wyłącznie jednego kija. Należy wspomnieć jednak, że za wprowadzeniem norweskiego sposobu jazdy, uprząży Huitfeldta i dwukijka działał wówczas gorliwie dr. A. Kroebl. W ciągu lat 1912 i 1913 zyskały dwa kiję w Sławsku szerokie prawo obywatelstwa, ale na większych wyprawach posługiwano się ciągle jeszcze bambusem, lub conajwyżej składanemi kijkami z odpinanemi talerzykami.

Dopiero po wyprawie omawianej w niniejszym artykule — dwa kiję weszły w powszechne użycie.

²⁾ Jeżeli chodzi o moje osobiste zwyczaje w zakresie prowiantu wycieczkowego, kładłem zawsze największą wagę na słodczych (leguminy, torty, marmoladę, czekoladę, owoce suszone, cukierki, kakao) i tłuszcze (ślonina, masło). Mięsa brałem stosunkowo niewiele najczęściej w formie gotowej, które przygrzewało się na maszynie spirytusowej, jaja na twardo, lub surowe (w łuskach aluminiowych), ser tłusty. Oczywiście herbata (cukier, cytryna). Natomiast chleba bardzo niewiele (na omawianej wycieczce miałem 400 gramów t.zw. „kra-kie“, które w zupełności wystarczyły). Konserw z reguły nie brałiśmy. Kapusta kiszona świetnie smakuje. Bardzo praktyczne są pastylki alkaliczne do wody zwykłej, lub topionej ze śniegu. Alkohol — wykluczony.





Widok z Czarnej Repy na południe.

Fot. Z. Klemensiewicz.

w pociągu zostały rozdzielone między towarzyszy. W rezultacie worki nasze wahały się w granicach od 14 do 16 kg, co stanowiło górną granicę obciążenia, pozwalającego jeszcze względną swobodę ruchów na nartach.

Wreszcie postanowiliśmy jednomyślnie rozszerzyć ramy uczestników poza naszą czwórkę i zaprosić do niej wypróbowanych towarzyszy-narciarzy, pp. dr. T. Smoluchowskiego, Z. Ritterschilda, T. Wilusza i A. Czeżowskiego. Panowie Smoluchowski i Wilusz natrafili niestety na zawodowe przeszkody. Czeżowski natomiast i Ritterschild znaleźli się oznaczonego dnia na dworcu kolejowym.

Wyjechaliśmy 21 lutego 1913 r. wieczornym pociągiem do Sławsku. Następnego dnia o świcie wyruszyliśmy na naszą pamiętną wyprawę.

Oto jej opis, oparty w znacznej części dosłownie na „kronice“ spisanej przez inż. J. Maślankę.

22 lutego. Po noclegu w schronisku KTN. w Sławsku ruszyliśmy o godzinie 7 rano saniami do Wołosianki i dalej do Jelenkowatego. Mróz minus 23'5° zwiększył się od poprzedniego wieczoru o 1°. Był to dobry znak, jakkolwiek z drugiej strony stał na pogodzie wielki znak zapytania w postaci chmurek lek-

kich i mgieł włóczących się po górach i przysłaniających co chwilę słońce. Na saniach jechało dwóch, reszta na sznurku za saniami. W Jelenkowatem, które nie mając lasów aż oślepiało od słońca, byliśmy o godzinie 9:30. Wobec ciekawie patrzących grup chłopów, znających zresztą dobrze narciarzy i bardzo uprzejmych, założyliśmy zaraz narty i ruszyli w drogę. Pierwszem spostrzeżeniem było, że worki są diabło ciężkie, prawdziwe „kataryny“, a myśl, że czeka nas z nimi sześć dni forsownego pochodu, zjazdów i t. d. działała deprymująco. Okazało się jednak, że można się do wszystkiego przyzwyczaić.

Szerokim, niezalesionym garbem schodzącym na pd.-zach. od p. 1.218 grzbietu głównego (Hnyłyszczce) aż do Jelenkowatego — wyszliśmy na grani nieco na południe od Hnyłyszczca i podążaliśmy bez przerwy przez Tousty Żołob na Czarną Repę (1.288 m), gdzieśmy stanęli o godzinie 12:40. Śnieg na grani bardzo mocno sfalowany, miejscami szreń, wiatr, słońce za chmurami. Widok jednak otwarty i daleki. Aner. 1.310 m, temp. minus 10°.

Dalej zjazd granią, miejscami śliczny, leśniami polankami. Pod stogiem siana główny odpoczynek. W międzyczasie wypogodziło się znowu.

Nastąpił doskonały zjazd po śniegu, naogół dobrym — z głównej grani jednym z grzbietów ku północnemu wschodowi poprzez punkty 896 i 903 (po drodze nieco podchodzenia), a następnie kawałek drogą do Wyszkowa, gdzie stanęliśmy o godzinie 17:30. Zaszliśmy do karczmy, czekając na sanie, które mieliśmy jechać do Ludwikówki na noc (13 km). Droga ta wiodąca prześliczną okolicą pomiędzy Gurgulatem z jednej a Kruchłą i Pustym Horbem z drugiej strony, odbyta przy pogodzie, która jakby wiedząc po rannych próbach, że nas nie zrazi byle czem, towarzyszyła nam odtąd stale najwspanialsza, jaką sobie można wymarzyć, — pozostanie w niezatartem wspomnieniu. Zaśnieżenie nie spotykane wprost w naszych górach, przeszło metr na samej drodze — a bywa dwa i więcej. Mróz był około minus 20°. Na niebie wspaniały księżyc.

O godzinie 21:30 jesteśmy w Ludwikówce, sympatycznej wiosce odznaczającej się porządnymi zabudowaniami, gdzie znaleźliśmy nocleg u żyda, patryjarchalnie nazywającego się Efroimem Jakóbowiczem. I tu nie dostaliśmy nic oprócz herbaty i kawy, a tłoczyliśmy się w małej izdebce, w drugiej obok cała liczna rodzina żyda. Wreszcie około godziny 23-ej poszliśmy spać po dwóch na łóżku, a właściwie na t. zw. szlabanie.

23 lutego. Wyruszamy w drogę o godzinie 7. Mróz minus 24°, pogoda bez chmurki. Idziemy drogą przez Leopoldsdorf, wzdłuż rzeki Świcy na południe aż do miejsca, gdzie się odgałęzia płaj do klauzury Prawicz. Minęliśmy leśniczówkę, aby nieco dalej przejść rzekę na drugą stronę, tymczasem, jak się okazało, płaj zaczyna się właśnie bliżej, t. j. prawdopodobnie koło leśniczówki. Stąd (godz. 9:30) gęstym lasem przez bardzo stromy grzbiet

ku Wielkiemu Lisakowi (1.432 m). Z początku idziemy na przełaj wykrotami z wielkim trudem — wreszcie znajdujemy płaj i nim dalej. Miejscami las rzednął, ukazując sąsiednie masywy Arszyicy i Gorganu Ilemskiego, lub w drugą stronę Menczul i Pusty Werch.

Było już popołudnie, gdyśmy zostawili Wielki Lisak obok i poza sobą i weszli w obręb połonin.

Ujrzeliśmy stąd w całej okazałości Jajko Lolińskie (właściwie jego niższy szczyt). Od dzisiejszego dnia lekkie mgły przesłaniały dalsze szczyty i słońce, ukazując co chwila zalotnie białe morze szczytów i rzucając nań olbrzymie złote, a dziwnie lekkie lotne plamy, jakby zarzucały złocisty płaszcz na barki jednego, to drugiego z dostojnych potentatów tych gór. Z kończącym się lasem nastawała też szreń coraz silniejsza. Z piargów ani z kosówki niema śladu. Wszystko pokryte śniegiem.



Widok z Jajka Lolińskiego.

Fot. Z. Klemensiewicz.

Na szczycie stajemy o godz. 14:15 i zatrzymujemy się chwilę tylko, bo wiatr jest silny. Musimy zjeżdżać w dolinę potoku Mszany — bardzo stromym lasem na szczęście rzadkim. Nastąpiła dłuższa pozioma grań Sywani, urywająca się zrazu stromo przez rzadkie wyręby. Tu odkryliśmy boczną zasypaną olbrzymim śniegiem kotlinkę. Tworzył ją dość stromy jarek, wysłany głębokim i tak znakomitym śniegiem, że zjazd nim wydał się bajkowym marzeniem. Od jednej pionowej niemal ściany jaru niosły nas narty ku drugiej i wystarczyło zatoczyć lekki łuk, aby bez zatrzymania powtórzyć zjazd w odwrotną stronę. Zaprawdę nazbyt rychło skończył się ten pyszny epizod zjazdowy, gdy poprzez bramę utworzoną przez zwalonego wichrem olbrzyma leśnego wyniosły nas narty na dno doliny, gdzie z pod skorupy lodowej przebijał się tu i ówdzie bystry nurt Mszany. Dochodziła godzina 17.

Droga była wyraźna, narty niosły doskonale. Po jakimś czasie wybiegliśmy na gościniec wytarty na szkło przez ciągnięte z wyrębów pnie drzewne. Po godzinie było już ciemno, gdyśmy natrafili na osadę drwali z Mszany i tam zaczęli godzić sanie do Osmołody. Sami tymczasem wstąpiliśmy do

koliby, w której było już ze 30 Huculów drwali. Przypadkiem ujrawszy w konewce kapustę kiszoną skorzystaliśmy z pierwszego zaproszenia i w jednej chwili wyjedliśmy wszystko — tak byliśmy spragnieni po całodziennym marszu bez dłuższej przerwy i tak wilczo głodni. Tymczasem zaczyna się trudna rozmowa z ludźmi, ich zapytania i spostrzeżenia. Ciekawym był jeden filozof huculski, który niczemu się nie dziwił, lecz tłumaczył innym, że na to chodzimy po górach, aby „szukać swego rozumu“, którego nas książki nie-nauczyły. Ale na wszystko przychodzi czas, tak i wreszcie na zaprzęzenie sań. Ruszyliśmy w ciemną noc, marznąc silnie na mrozie. Nagle — stop.



W państwie zimy.

Fot. A. Lenkiewicz.

aresztuje nas, w Osmo-łodzie zbada nasze legitymacje. Byliśmy na tę ewentualność przygotowani, nie daremnie bowiem miało się już wtedy ku wojnie, jakkolwiek nikomu nie śniło się jeszcze o morderstwie w Sarajewie.

Sanie stanęły przed kantyną, dzierżawioną przez kolonistę Fischera. Wydobyte z worków legitymacje i dokumenty wojskowe rozczarowały gorliwego żandarma, który już cieszył się nadzieją, że schwytał niebezpieczną patrol szpiegowską. Po tym wesołym incydencie rozgościliśmy się w wygodnej kantynie. Doskonała kawa, mleko i herbata. Była nawet kapusta kiszona.

24 lutego.

Następny dzień był dniem wypoczynku. Po zasięgnięciu wiadomości



Matachów od strony Wysokiej.

Fot. Z. Lenkiewicz.

u tubylców postanowiono podejść grzbietem Matachowa pod Wysokę i tam przenocować. O godzinie 10:45 opuszczaliśmy gościnną kantynę.

Przez Matachów wiedzie płaj zaczynający się w Podlutym. Pierwsze szafasy zaznaczone na mapie znajdują się na połoninie ok. 1.300 m. Dalsze na granicy lasów na wysokości ok. 1.500 m. W tych ostatnich mieliśmy nocować.

Pogoda była znów przepyszna, temperatura plus 2°. W godzinę przybyliśmy do leśniczówki w Podlutym, skąd zaczyna się świetny płaj doprowadzający w dwie godziny na właściwy grzbiet Matachowa. Tu przy pierwszych szafasach, pod które wjeżdżamy na nartach, robimy krótki popas i ruszamy w dalszą drogę.

Wędrówka ta była rozkoszna. Płaj doskonale prowadzony najpierw wysokopiennym lasem, potem na przemian polami, otwierającymi wspaniałe widoki i gęstem podszyciem leśnym na wąskiej i stromej grani, na którym modelowały się wspaniałe rozmaite formy zaśnieżeń, wreszcie świeża nasza wrażliwość po wypoczynku, wszystko razem dawało całą sumę przyjemności zimowej wędrówki karpackiej.

Słońce zapadało za dalekie góry, rzucając na pożegnanie cały przepych



Szałas i „daszek“ na Matachowie.

Fot. Z. Klemensiewicz.

i blask swych promieni na ten świat gór tak piękny, jakby to był krajobraz z innej planety, nie tej, na której życie swe codzienne pędzimy. — I mimo całej siły logiki trzeźwego rozumu, trudno było uwierzyć, że to jednak ta sama ziemską skorupa, zaledwie o dzień, dwa drogi od stałych naszych

siedzib. Szałasów jeszcześmy jednak nie widzieli. Zaczynaliśmy się obawiać, czyśmy ich gdzie nie minęli. Ale niedługo to już trwało, bo wraz z ostatnim promieniem słońca ujrzeliśmy na małej polanie, wśród zamierających już drzew, które najwyżej się wdarły w sferę wicherów graniowych, mały szałas zbudowany z okrągłaków, a obok schron otwarty (daszek), jakich wiele w Karpatach.

Odkopanie drzwi do szałasu z pod mas śniegowych wymagało dłuższej pracy. Wykonali ją jedni, drudzy zakrzęcali się za drzewem, cetyną i t. d. Szałas bardzo porządnie zbudowany z sufitem z belek i stryszkciem, wewnątrz z pryczą i stołem, wybraliśmy na jadalnię, a otwarty daszek na spanie, gdyż w szałasie niepodobna było rozpaścić ogniska. Temperatura, mimo nieba bez chmurki, wynosiła zaledwie minus 4°.

25 luty. Po noclegu tym nadspodziewanie wygodnym i przyjemnym zaczęliśmy zbierać powoli swoje graty, wyszukując z pomiędzy cetyny różne drobiazgi, zdejmując suszące się pod daszkiem skarpetki, rękawiczki i t. p. Te ranne czynności, w ciemności jeszcze dokonane, urozmaicali nasi towarzysze śpiewem operowym i deklamowaniem wierszyków Boya.

Wyszedszy z ogrzanego wnętrza daszku, zdziwiony był każdy ciepłem powietrza, mimo najpiękniejszej znowu pogody. Jeszcze przed świtem jeden z nas opuściwszy szałas zaskoczył towarzystwo przykrą prognozą, że zapewne będzie odwilż, bo aura jest bardzo ciepła. Termometr wskazywał istotnie tylko 6° mrozu. Okazało się, że byliśmy świadkami bardzo interesującego zjawiska, zwanego inwersją (przewrotem) temperatury: masy zimnego powietrza spłynęły ze szczytów w doliny, gdzie było jak poprzednio poniżej 20° mrozu. Na szczytach zaś — zdumiewające ciepło, gdyż kilka stopni poniżej zera odczuwaliśmy jak pokojową temperaturę. Ta inwersja temperatury towarzyszyła nam stale przez cały ciąg wycieczki.

O 7 godzinie byliśmy w drodze. Na Wysoką (1.808 m) mieliśmy tylko



„Wierchy“ r. 1929, do art. R. Kosiński.

Fot. Z. Klemensiewicz

SYWULA Z IHROWYSZCZA

300 metrów. Resztki lasu wkrótce się skończyły i szliśmy dalej otwartą połoniną. W niskim oświetleniu porannem rysowały się dalekie góry nadzwyczaj wyraziście i ostro. Brak błękitnej mgły, jaka przesłania dalekie widoki w południe, czynił odległe szczyty tak bliskimi, że można było nawet rozpoznać szczegóły stoków. Szczególnie zwracał uwagę Negrowiec swojemi ostremi, plastycznie się modelującymi — zdaje się skalistemi żebrami.

Wkrótce występować zaczęły coraz silniejsze fale śniegu i szreni. Wiatr poranny dął niemiłosiernie. Za to byliśmy odrazu bardzo wysoko i o godzinie 8 stanęliśmy już na niższym wierzchołku Wysokiej. Niezatrzymując się idziemy dalej ciągle szrenią, ciągle w silnym wichrze. W niecałą godzinę stajemy na głównym szczycie Wysokiej, a wkrótce potem na szeroko rozsiadłym wierzchołku Ihrowca. W całej okazałości wznosiła się przed nami dwuszczytowa smukła Sywula, oddzielona głęboką przełęczą Borewki, niższą o 500 metrów od naszego stanowiska. Natychmiast przystąpiliśmy do zjazdu, najpierw po szreni i falach śniegu, potem po doskonale nośnym śniegu zalegającym szerokie polany, przerywane kępami drzew. Nagle otworzyła się pod nami linja leśna, prosta jak strzała, a na jej końcu głęboko w dole przełęcz Borewki. Wspaniały „szus“ narciarski zakończył przepyszny, tylko stanowczo zbyt krótki zjazd (przełęcz 1.344 m, godz. 10:15—10:45).

Po krótkim odpoczynku na grzejącem przyjemnie słońku (temperatura powietrza minus 2°), ruszamy w dalszą żmudną drogę, klnąc ciężkie worki. Najpierw w górę — dość wygodnie aż pod strome stoki Łopusznej. Mozolny trawers po niezupełnie zasypanych kosówkach, przy ciągłym usuwaniu się nart i przy stale rosnącej stromiznie terenu, wyprowadza nas wreszcie na grań. Grzbiet jest szeroki i wygodny, tu i ówdzie wystają kamienie. Wychodzimy na pierwszy garb grani. Z niego dopiero otwiera się widok na główny wierzchołek Siwuli, w kształcie ostrej piramidy, szklący się z daleka gładką skorupą lodu. Jesteśmy przed główną trudnością wyprawy: w obie strony opada grań bardzo stromo, zwłaszcza ku wschodowi ekspozycja jest zupełnie wysokogórska. Sama grań jest dość szeroka, ale tak stroma i zlodowaciała,



Na siedle Ihrowca.

Fot. Z. Klemensiewicz.

że właściwie należałoby zdjąć narty i iść w butach, co byłoby jednak niemożliwe bez użycia raków. W tej sytuacji nie pozostawało nic innego jak schodkować do góry, zacinając narty w twarde, jak lód szreń.

W pewnym momencie jeden z naszych towarzyszy nagle usunął się, ratując się w ostatniej chwili na ostrzu kija. Położenie jego było istotnie „głupie“: do góry iść niepodobna, obrót wykluczony, zsunięcie się w dół mogło skończyć się bardzo smutno w kotle o 500 metrów niżej. Dopiero spieszący z pomocą towarzyszy umożliwił — wbijając kijki pod narty — ostrożne zejście przez miejsce krytyczne. Potem udało nam się obejść wierzchołek od strony południowo-zachodniej, gdzie śnieg był lepszy i „od tyłu“ wyjść na najwyższe wzniesienie Gorganów (aner. 1.835 m, godz. 14). Nie jest ono kotowane na mapie i niema znaku trjangułacyjnego, jest jednak na oko nawet wyższe od drugiego, mniej stromej wierzchołka, na którym stanęliśmy pół godziny później.



Trawers pod Łopuszną.

Fot. Z. Klemeniewicz.

Nie zatrzymując się wobec olbrzymiej jeszcze drogi przed nami i nieustannie na grani dującego wichru rozpoczęliśmy zjazd ku połoninie Bystrej (1.426 m), gdzieśmy stanęli w pół godziny, t. zn. o godzinie 15, zatrzymując się na krótki odpoczynek. Jest to miejsce

topograficznie niezmiernie ciekawe. Siodło rozległe, połogie, niezalesione, punkt zwornikowy czterech grani i miejsce wypływu tyłuż potoków (Bystrzycy Sołowińskiej, Bystrej, Salatruku i Płajskiej).

Musieliśmy iść dalej i to do góry, aby dojść na płaj, oznaczony na mapie a prowadzący w dolinę Płajskiej. Okolica ta jest szczególnie pusta, pozbawiona zupełnie szalaśców i najbardziej bodaj odległa od siedzib ludzkich. Jedynie w Dolinie Bystrej na wzniesionej polanie leśnej (zdaje się p. 1.286 mapy) widać było z daleka jakieś solidne zabudowanie.

Podszedłszy kawałek grzbietem, którym idzie granica państwowa ku Końcowi Gorganów zjechaliśmy wspaniałym „szusem“ aż do lasu. Obecność tegoż niemile nas zaskoczyła, gdyż mapa szczegółowa kreśliła tu otwarty aż do dna doliny grzbiet górski. Las jednak wysokopienny, niepodszyty okazał się

przy świetnym śniegu tak dogodnym pod narty, że kreśląc sprawnie ostre łuki między drzewami, w zdumiewająco szybkim czasie znaleźliśmy się na dnie doliny. Godzina 17:05.

Znaleźliśmy się u samego górnego końca doliny Płajskiej. Jar był głęboki, ciasny, potok zupełnie zasypany śniegiem, piękne skałki zdobiły ściany parowu.

To, co ujrzeliśmy było prawdziwą bajką i żaden opis nie odda niezemskiej piękności obrazu. Blaski zachodzącego słońca pokryły wszystko dookoła najdelikatniejszą różową poświatą. Śnieg stracił swą zimną biel i jaśniał subtelną barwą listka różanego, tak doskonałą, że człowiek dech w piersi zatrzymywał, aby nie spłoszyć wrażenia, w którego realność nie chciał wierzyć. Wokół była zupełna cisza, żaden wietrzyk nie muskał gałązek nakrytych ogromną okiścią. Dolinka wydała się ze wszystkich stron zamknięta, nie było widać jej ujścia. Zaprawdę, gdyby istniały jeszcze bóstwa leśne i górskie, nie byłyby znalazły piękniejszej kryjówki na swój sen zimowy.

Poświata różowa zaczęła gasnąć i blednąć. Za chwilę śnieg wokoło był znowu biały i zimny.

Świeciły już gwiazdy na niebie, gdy stanęliśmy na szerokiej polanie przy niewidocznej w mroku nocy klauzurze Płajskiej. Porządne domostwo, oczywiście niezamieszkałe, zachęcało bardzo do noclegu, ale program wycieczki kazał nam jeszcze odbyć kilkukilometrową drogę do oznaczonego na mapie domu dozorczy wyrębów. Mróz był znowu potężny, a narty cicho sunęły po wyraźnej drodze. Nagle Maks zatrzymał się, wciągnął kilka razy powietrze nosem i wyrzekł z gestem trapera w puszczech kanadyjskich: „Czuję dym, ludzie niedaleko“. To niedaleko miało wprawdzie najmniej dwa kilometry długości, powonienie jednak nie zawiodło naszego towarzysza, gdyż w kwadrans później stanęliśmy przed oświetlonymi oknami domostwa. Okazało się, że dozorczy nie było, tylko jego żona, starsza kobieta z dziewczyną służącą i przerażona nie chciała nas wpuścić, odsyłając do klauzury Płajskiej, gdzie jakoby było bardzo dobrze. Nie przypuszczała nawet, że właśnie z góry idziemy. Po dłuższych dopiero pertraktacjach zdecydowała się zatelefonować do zarządu węgierskich dóbr państwowych w Bruszturze z zapytaniem, czy może nas przenocować. Na szczęście odpowiedź przyszła przychylna i po rozmowie naszej jeszcze przez telefon z owym zarządem było już wszystko dobrze. Zażądano tylko od nas, abyśmy się osobiście następnego dnia zameldowali w zarządzie o 15 kilometrów oddalonym. Mimo pomyślnego napozór załatwienia sprawy byliśmy przekonani, że nie obejdzie się bez wysłania żandarmów węgierskich, niezmordowanych w tępieniu szpiegów. Tak więc przybyła jeszcze jedna emocja, jeden jeszcze pieprzyk do

wrażen wycieczki. Oprócz mleka, kawy i nieco chleba, oraz kilku jaj nie dostaliśmy nic.

26 lutego. Na następny dzień i ostatni właściwej wycieczki przeznaczylimy trzy najwyższe szczyty Czarnej Połoniny: Durny (1.709 m), Gropę (1.763 m), i Bratkowską (1.792 m) ze zjazdem do doskonałego i dobrze nam znanego schroniska na Okolu. Czekaliśmy jednak przedtem kilkunastukilometrowe dojście do klauzury Turbaczil, skąd dopiero wiodła droga na Durny.



Czarna Połonina: Durny.

Fot. Z. Klemensiewicz.

O godzinie 6:45 ruszyliśmy w drogę przy bezchmurnej znowu pogodzie i przy silnym zimnie (minus 19°, zatem zgodnie z prawem inwersji). W Turbaczilu stanęliśmy o godzinie 10:15 — z rozczarowaniem nie spotkawszy nigdzie żandarmów węgierskich. Od leśniczówki wiedzie wygodna droga na przełęcz Pantyrską, schodząca dalej do Rafajłowej, gdzie można było stanąć w trzy godziny. My jednak weszliśmy na grzbiet wiodący na Durny i trafiliśmy odrazu na bardzo szeroki i porządny płaj, którym jednak nie długo cieszyliśmy się, bo okazało się, że wiódł stokiem, równoległe do doliny Turbatu. Porzuciliśmy go i poszliśmy wprost do góry lasem pośród olbrzymich wykrotów, między którymi zapadaliśmy się tu i ówdzie potężnie. Ale ponieważ wszystko ma swój koniec, więc i mordęga skończyła się wreszcie. Dopiero o godzinie 3 popołudniu osiągnęliśmy połoninę na wysokości, wedle aneroidu 1.340 m. Jest już diablo późno — przed nami trzy szczyty i trudny zjazd na Okole. Trzeba było zacisnąć zęby i „wrywać“.

Szczyt Durny podnosi się stromo w górę i mimo słoniowatych kształtów wygląda imponująco. Bierzemy go w doskonałym czasie trzech kwadransów. Na szczycie chwytą nas wichry i oczywiście — szreń. Teren jednak jest już łagodny, bo to nie Gorgany, ale połoga rozległa Czarna Połonina. Z Durnego, dalej granią poprzez szczyt Gropy dochodzimy o godzinie 17:30 na Bratkowską.

Słońce właśnie dotyka horyzontu. Śnieg jest wściekle zbity i poorany przez wichry. Ostrożnie skacząc po „kalafiorach“ śnieżnych zjeżdżamy kopułą

szczytu ku granicy lasu. Rozbiegają się wszyscy, aby w ostatnich chwilach zmroku znaleźć zaczynającą się tu linię leśną, prowadzącą do Okola. Noc przychodzi tak szybko, że przez chwilę jesteśmy w kłopotcie. Ale już dochodzi nas radosny okrzyk — linja znaleziona.

Teraz jesteśmy spokojni: do Okola wprawdzie daleko i bardzo stromo, ale drogi

zmylić nie sposób. Zjazd jednak nie zostawił przyjemnych wspomnień. Przy zupełnej ciemności i nadzwyczaj stromym terenie — dłużył się w nieskończoność. Jedynym urozmaiceniem było obserwowanie niezmiernie delikatnego cienia rzuconego na śnieg przez planetę Wenus, świecąca majestatycznie na nieboskłonie.

Wreszcie zjazd się skończył, ale zaczęły się jakieś ströme pagórki do góry i na dół. Dziwimy się, że ostatni dzień wycieczki daje nam taką „szkołę“. Linja zakręca w lewo, ogarnia nas potężny gęsty las, spotykamy jakieś kopce i na koniec otwiera się obszerna polana, a na niej — na tle gwiazdzonego nieba — kontury schroniska. Okole! Witamy je radosnym okrzykiem, jak przed wiekami żołnierze Xenofonta — morze. Jest godzina 8 wieczór.

W schronisku zagospodarujemy się na dobre. W otwartej kuchni jest moc opału i wytrych, którym otwieramy inne ubikacje schroniska. Ściągamy do kuchni wygodne stoliki, tak że każdy z nas może doskonale rozłożyć swoje drobiazgi. Nakarmieni i napojeni — w błogiem zadowoleniu z dokonanego dzieła zasypiamy dość późno, bo dopiero o godzinie 11-tej,



Świdowiec ze stoku Durnego.

Fot. Z. Klemenstewicz.



Bliźnica, główny szczyt Świdowca.

Fot. M. Dudryk.



W zimowym słońcu.
Fot. K. Przetocki.

po to jednak, aby za chwilę obudzić się z uczuciem niesłychanego gorąca. Okazuje się, że podnieśliśmy temperaturę wnętrza do... 30° i jeden z naszych towarzyszy dostał silnego krwotoku z nosa. Potem przy otwartych drzwiach spaliśmy do rana. Temperatura nazewnątrz wieczorem była minus 1° (wysokość około 1.240 m).

27 lutego. Rano znów śliczna pogoda. Po śniadaniu gromadzimy skrupulatnie wszystkie pozostałe prowianty; są tylko same resztki, zapewniające jednak trzem z nas jeszcze jeden dzień w górach. Trzej pozostali, którym urlopy się kończyły, zjeżdżają o godzinie wpół do dziewiątej na przełęcz, a stamtąd niemylną drogą w gęstym lesie do klauzury Apszynieckiej, uważanej za źródło Czarnej Cisy. Tu rozpoczyna się wyjeżdżony już gościniec prowadzący do odległej o 14 km Jasiny (Körösmező) i stacji kolejowej tejże nazwy. Pociąg odchodzi o godzinie 1:30 popołudniu, po 9 wieczorem są we Lwowie.

Trzej zaś na Okolu oddają się rozkoszom wypoczynku, wobec którego niczem jest „dolce far niente“, gdzieś na Rivierze. Okole jest precudnie położone. Wokoło pod nami niezmierzone morze lasów, a widok na szlachetne w linjach szczyty Świdowca — rzadko piękny. Pogoda cudna, odcięcie od świata zupełne, nie dochodzi tam żadne echo nizin.

Dzień na Okolu! Za nami wszystkie trudy i niepokoje wyprawy. Na wygrzanej słońcem werandzie drzemimy bez troski, jemy, o ile jeszcze mamy co do jedzenia, golimy się poraz pierwszy od tygodnia i ćwiczymy bez koszul na nartach w gorących promieniach słońca, ciesząc się, jak dzieci pełnią radości życia.

Nadchodzi wieczór. Na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy. Wysoko nad nami jaśnieją białe szczyty Świdowca. Nieprawdopodobna cisza wokoło. Z doliny wychodzi ku nam noc — ale na wyżynach zalega jeszcze jasność. Jasność i cisza na górach.

I tak samo jasno i cicho było w duszach naszych.

Kraków, sierpień 1929 r.

Roman Kordys.

Z lat dawnych.

Pobył w Karpatach.

Dnia 25 sierpnia 1823.

Upał dzienny ustał i słońce schylało się ku zachodowi, gdyśmy wyruszyli z Nowego targu, celem zdążenia na noc do Bukowiny, dokąd Jego Césarzewic. Mość Arcy-Xiążę Franciszek Karol, z całym swoim dworem wcześniej o parę godzin udał się.

Wyjeżdżając z miasta, uderza zaraz widok ogromnych Karpatów, które mając za podstawę równinę nader rozległą i przyjemną, przedstawiają się tutaj w całej swej olbrzymiej wielkości i wspaniałości. Szczyty ich niebotyczne zdają się głosić całemu światu ich moc i potęgę. Postronne góry przytłumione wielkością tamtych, zdają się czołgać po ziemi i stoją w jakimś oddaleniu. Dumne Karpaty odsunęły je od siebie, dla nadania tem więcej świetności i ozdoby swojej majestatycznej podstawie.

Gubiąc wzrok nasz w tym cudotwornym widoku, z szybkością po równym i dobrym gościńcu pędziliśmy, dążąc zawsze ku tej ścianie odwiecznej, która nam Węgry zasłania, to jest do Karpat.

Te zdają się być bardzo blisko, są jednak pięć mil od Nowego targu odległe. Przebywszy piękne dobra Szaflary, należące do W. Uzańkiego, ze zmrokiem stanęliśmy w Poronimie, dokąd chociaż prowadzi jednostajna i nieprzerwana równina, ta jednak w nieznacznym sposobie, ciągle ku Karpatom podwyższa się i wioska Poronim jest już w daleko wyższym położeniu. Dalszy ciąg drogi przy pięknym świetle księżycy odbywaliśmy. Wieczór pogodny sprzyjał nam, lecz zimno tak czuć się dało, iż byliśmy zmuszeni mocno w płaszcz obwinąć się; ta nagła zmiana, iż po nader skwaranych dziennych upałach, ostre i chłodne wieczory następują, zdrowiu najszkodliwszą stawać się zwykła.

Droga ciągle dobra, lecz od Poronima staje się bardziej górzystą i podwyższa się ciągle aż do wierzchołka góry, na której leży wieś kameralna Bukowina, o trzy mile od Nowego targu odległa, jest to osiadłość nędzna, domki jednak pokryte wszystkie deskami lub gontami, wyglądają dosyć porządnie. W tych mieszka lud piękny, zręczny, ale ubogi, pracujący na roli, która im się za ledwo mizernym plonem wypłaca i często ich zboża nim dojrzeją, nagłym nadejściem mrozów i zimy pozostają zniszczone.

W tej biednej wiosce stanawszy, już późno w nocy, na jej obszernem błoni, mnóstwo pojazdów, bryczek i koni zastaliśmy, a wśród nich liczne

zgrupowanie osób, które powróciwszy od stołu Arcy-Xięcia Imci, zamyślały o spoczynku. My zaś poszliśmy dla oglądania domu Nadleśniczego, który uświetniony dostojną osobą Jego Cesarzewic. Mości był pięknie illuminowany. Udaliśmy się ulicą wysadzoną drzewami, ta skierowana w prostej linii do bramy pięknie zrobionej u wierzchu której, wśród licznych lamp jaśniała cyfra Arcy-Xięcia, sprawiła oku widok nader powabny. Dziedzieniec i dom w którym Arcy-Xięzę nocował, pięknie był przyozdobiony i oświetlony. Sala dla stołu dostojnego gościa umyślnie wręczce wystawiona, odznaczała się gustem wyborym. Ściany jej zewnątrz wyłożone choiną, i sufit zielonemi girlandami gustownie przyozdobiony, przedstawiały obraz prawdziwie piękny, wiejskiej, niewinnej prostoty.

Ten lichy domek leśniczego, wyrwany nagle ze spokojnego letargu i obdarzony ruchem dworskim, dostojna osoba wysokiego gościa, spoczywająca u podnórza Karpat w tem tak dzikiem, posępnym ustroniu, i te nędzne chatki biednych mieszkańców Bukowiny, wszystko to wystawiało w jednym obrębie obraz wielkości i ubóstwa i rodziło w nas niezwyčajne uczucia.

Tak przejęci mocno tym podwójnym widokiem, wróciliśmy na miejsce, gdzie nam posłanie do spoczynku przysposobiono, a znużeni podróżą, z ławością poddaliśmy się pod lekkie skrzydła Morfeusza, uleciawszy zaraz w krainę snu i słodkiego marzenia, w którym częstokroć tak szczęśliwi bywamy. W słabych rysach i właśnie przez mgłę, widziałem jeszcze pomieszkowanie Arcy-Xięcia, gdy moc wyobraźni, która we śnie jest tak dzielna, przedstawia mi je nagle w tem większem świetle blasku i okazałości, spostrzegam przy tym wspaniałym domie, także chatkę mizerną, której pierwwej nie uważałem, a z mojem wielkiem zdumieniem słyszę właśnie te słowa najdobitniejszym tonem żalu od tej chatki wyrzeczone:

„Jakaż mnie zazdrość porywa!

Ten dom wczoraj był niczem, dziś w wszystko opływa,

Błyszczący światłem rześnistem, zgoła z każdej strony,

Wygląda tak wspaniale, jest tak przystrojony!

Najjaśniejszy pod jego dachem odpoczywa,

A mnie na wszystkim zbywa!

Dom, słysząc nędznej chatki głośne narzekania,

Temi kilkoma słowy stan jej swój odsłania:

„Twoja mowa, sąsiadko, mocno mnie zadziwia;

Myślisz, że blask dzisiejszy tak mnie uszczęśliwia?

Że te światła, któremi me ściany przybrano,

Ukoją rany, które dla nich mi zadano?...

Ach, nie ten jest szczęśliwy kto ma blasku wiele,

Lecz kto lubą spokojność pozyska w udziale!

Ty, czem byłaś, czem jesteś, w tem przetrwasz do zgonu.

Ja zaś, choć dziś tak świetny, jutro spuszcze z tonu“.

Wtem lekki hałas przebudził mnie, a pomnąc na sen, który tak mocno utkwiał w mojej pamięci, iż go nawet czytelnikom udzielam, w samej istocie, pomyślałem sobie, ten dom dziś tak świetny i okazały, powróci jutro do swego skromnego stanu, wraz z odjazdem Arcy-Xsiażęcia, blask jego zniknie, smucić go będzie utrata przepychu i okazałości, która już może w dumę go uniosła, lecz poniekąd będzie szczęśliwszy, odzyskawszy swą miłą i spokojną prostotę. O ludzie! nie uganiajcie się za próżnością i blaskiem, jest to dym, który uchodzi i znika. Już słońce w swoim rubinowym półkręgu zaczęło się ukazywać na błękitnym horyzoncie, gdy Arcy-Xiażę Imć, wsiadwszy w lekką dorozkę, udał się w drogę.

I my wszyscy gotowi, wszyscy niecierpliwie oczekując wyjazdu, ruszyli z miejsca. Do Morskiego Oka mieliśmy jeszcze dwie mile, droga z początku gorzysta i jednostajna, dalej staje się nader przyjemną, przez rozmaite widoki i położenia, nakoniec wjeżdża się w długą i krętą dolinę, pomiędzy ogromne, straszne, najeżone skały, a tu rozlała natura tysiące zachwycających powabów, które widza w zdumienie wprawiają.

Tu widać groźne skały, okropne urwiska,
Przez które promień słońca ledwo się przeciska,
Tu strumień czysty i kręty,
Słodkie rozwija ponęty,
A pędzony bystrym zwrotem,
Ginie z łoskotem.

Wśród tych miejsc dzikich, dają się widzieć wysmukłe jodły i świrki, których kolor ciemny i ponury, odbijając smutnie przy skałach najeżonych, sprawia widok nadzwyczajnie posepny. Drzewa mając tutaj grunt płytki, krótko istnieją i większa część ich, mocą czasu i wiatrów zniszczona, kształci ogromne zwaliska, których widok wprawia w melankolię.

Tak to moc przeznaczenia każdego dosięga,
Trudno się oprzeć, słaba jest nasza potęga —
Wszystko zniszczeniu podpada na świecie,
Giną młodzieńce w najpiękniejszym kwiecie
Giną narody — upadają miasta,
Nowa wspaniałość na ich gruzach wzrasta,
Lecz wiecznotrwałę Karpaty
Wznoszą się nad inne światy!

Zbliżając się coraz bardziej do celu naszej podróży, okolica zmieniła nam się w dziką pustynię i zdawała się niedostępną. Drogę jednak tyle tu naprawiano, iż ta nietylko łatwą do przybycia ale nawet dosyć wygodną nazwać się mogła. Upał mocny czuć się dawał i śnieg po górach w małych tylko płatkach spostrzedz było można. Przy drodze znajdowaliśmy

mnóstwo dziko rosnących malin, które były w zupełnym stopniu dolirzałości i smak miały przyjemny. Nakoniec ukazała nam się góra przykra i kamiennista; na tę zwolna wydobywszy się, wjechaliśmy w las którego chłodem mocno orzeźwieni, i spuszczać się ciągle na dół, ujrzelśmy obszerne błonie, zewsząd ogromnemi skałami otoczone, a na tem mnóstwo osób przybyłych z Węgier i z Galicyi. Tu, za najłaskawszem zezwoleniem Jego Cesarzowic. Mci oczekiwała deputacya starostwa Spiskiego, dla powitania Jego dostojnej osoby. To grono magnatów i szlachty węgierskiej, składało się z osób 25, odznaczając się swym narodowym i bogatym ubiorem. Przy powitaniu, hr. Almassi miał mowę w języku niemieckim, której Jego Cesarzewic. Mość dobrotliwie wysłuchać raczył a w najłaskawszych wyrazach wynurzywszy swoje podziękowanie, na przedstawienie członków tejże deputacyi zezwolił, przyczem z każdym z osobna rozmawiał nader uprzejmie i łaskawie. Ztąd dostojny Xiążę udał się pieszo ku bramie, między dwiema skałami, zaraz nad Morskiem Okiem wystawionej; a tu przedstawił się nam nagle cud natury w całej swojej wielkości i wspaniałości, tu człowiek wpadając w głębokie odurzenie, poznaje co może dzielność natury i woła Wszechmocnego! — Tu wzrok natężony słabiej, myśl błądzi i znika, a duch ulatuje ku niebu!

To piękne jezioro zwane Morskie Oko, ma do dwóch tysięcy sążni w obwodzie i niezarasta żadnemi krzewy. Z trzech stron wznoszą się nad niem ogromne góry skaliste, a to tak blisko iż obejść jeziora naokoło niepodobna. Ich szczyty zaostrome zdają się niknąć w obłokach i przedstawiają widok prawdziwie straszny i wielki. W łonie tych gór skalistych, lecz w położeniu daleko wyższem, jest także drugie mniejsze i nader głębokie jezioro, zwane Czarny Staw, od tego woda ciągle strumieniem spływająca, wpada do Morskiego Oka, co między temi odludnemi sąsiadami sprawia związek wieczysty i nieprzerwany.

Głębokość Morskiego Oka jest niezmierną, woda w niem czysta, słodka i dosyć dobra do picia, na brzegu znajdują się małe muszle, któremi sobie górale kołpaki swoje świąteczne przybierają.

Szczególniejsza także i cudowna tych miejsc osobliwość, jest skała, mająca zupełną postać mnicha klęczącego z książką, ta wznosi się z prawej strony jeziora w najnieдоступniejszej wysokości, szczególnież twarz z długą brodą, kaptur, ręce z książką wyciągnięte i krzyż zdający się wisieć na boku, takiej podpada doskonałości, iżby to wszystko za dzieło rzeźby wziąć można. Ogrom tej masy jest tak wielki iż zupełnie oddzielną górę stanowi. Jest to pobożny opiekun tych miejsc dzikich i tak cudownych, modlący się nieustannie o ich wiecznotrwałe istnienie. Piórem zgoła niepodobna opisać, trzeba to widzieć by uczuć całą piękność, wspaniałość i doskonałość, jaką się to cudotworne miejsce zaleca. Z lewej strony jeziora stoi tu także krzyż piękny na pagórku,

skromna pamiątka bytności i fatygi, szanownego pasterza JW. Biskupa tyńieckiego.

W słabych rysach wystawiwszy to miejsce, którem cudotwórcza ręka obdarzyła Karpaty, przystępuję do dalszego opisu. Arcy-Xiążę Imć krótko bawiąc nad jeziorem wsiadł na bat, w towarzystwie hr. Czakki i innych kilku osób, muzyka uprzyjemniała mu podróż po tej bezdennej przepaści a mōdzierze po górach porozstawiane, huczniemi odgłōsy wzajemnie sobie odpowiadały. Wystrzał wydaje się tu precudownie, gdyż odgłōs odbijając się ze skały na skałę, trwa kilka minut i sprawia grzmot ciągły, który powoli zmniejsza się i niknie bardzo nieznacznie. Jego Cesarze. Mość, po odbytej przejazdce, wysiadłszy na łąd, był od grona Węgrzynów zaproszony na śniadanie, które nad brzegiem jeziora przygotowano. Na tem znajdowało się także wiele Dam galicyjskich i każdy miał wolny przystęp do stołu, przy którym panowała tak znana wszystkim gościnność i uprzejmość węgierska.

Podczas śniadania spełnili wszyscy z hucznym okrzykiem toast za zdrowie i pomyślność N. Cesarza Imci i jego najjaśniejszego domu, poczem Arcy-Xiążę wypił na zdrowie całego Spiskiego komitatu i powtórnie za zdrowie Galicyanów; i tu ze swą zwykłą dobrocią i uprzejmością, rozsiewał w całym zebnanem towarzystwie przyjemność i wesołość. Po skończonem śniadaniu grono pasterzy owiec popisywało się w zręcznych skokach z swym tańcem narodowym, który przez naturalną prostotę, zdawało się iż Arcy-Xiącia mocno ubawił. Nakoniec dostojny Arcy-Xiążę, zostawiając w tej dzikiej puszczy świetne wspomnienie bytności swojej, pożegnał czule wszystkich przytomnych i oddalił się przy odgłōsach powszechnego wielbienia.

My także, ruszywszy z miejsca, późno wieczorem do Nowegotargu zdążyliśmy.

Nazajutrz równo ze świtem, udaliśmy się znowu w podróż za Arcy-Xiąciem Imcią do Kościelisk, które to miejsce znane z swej pięknej okolicy i hamerni należącej do J. W. Barona Homulatza położone jest o pięć mil od Nowegotargu, także w Karpatach, lecz bardziej ku zachodowi. Droga do Kościelisk przerzyna ciągle i nieprzerwanie równiny. Wieś zwana Czarny-Dunajec położona nad rzeką tegoż imienia zachwyca swem ślicznem położeniem. Od niej widok na Karpaty i na ogromną, tak zwaną Babiągórę, jest cudny. Tu piękna brama była wzniesiona, przy której oczekiwało kilka osób szlacheckiego urodzenia w pięknych góralskich ubiorach i ci konno przewodniczyli Jego Cesarzewic. Mości aż do Kościelisk. Za Czarnym Dunajcem odśłania się znowu równina nieprzejrzana, ciągnąca się aż ku Szląskowi. Mała ilość drzew, która tu widzieć się daje, nadaje jej postać posępną a nikczemność urodzajów zwiększa jej nieprzyjemność. Smutny stan tej rozległej płaszczyny nadgradza miły widok wiosek, które się tu odznaczają nader po-

rzędnem zabudowaniem; dachu słomą pokrytego nigdzie tu nie zobaczy te są wszędzie pod deskami lub gontem, lecz to brak słomy niestety przywoździ ich do tak miłego porządku. Na drzewach owocowych brakuje tu zupełnie, ich miejsce zastępują osiki, jesiony, jawory i jarzębiny, wznoszące się w mnogiej liczbie przy domach, te choć dzikie drzewa mocno przyjemniają tutejsze wiejskie osady i nadają im postać powabną i romansową. Już też zbliżyliśmy się do lasu, który nam się ukazywał zdaleka; a ten przy dobrej drodze prędko przebywszy, stanęliśmy w Kościeliskach. Tu ze strony JW. Barona Homulacza, przygotowane śniadanie, dla wszystkich zastaliśmy, którem siły wzmocniwszy, udaliśmy się za śladem Arcy-Xięcia Imci dla oglądania tutejszej tak wstawionej okolicy. Wązka droga prowadziła nas cokolwiek w górę, gdzie pomiędzy dwiema ogromnymi skałami była wystawiona piękna brama, ozdobiona portretem N. Cesarza i dostojnej jego terażniejszej Małżonki, pomiędzy którymi portret obecnego Arcy-Xięcia był umieszczony a pod nim wiersze następujące:

Auch in dieser karpatischen von Natur festen Burg,
Wird tief verehrt der kaiserlich Stamm von Habsburg.

Nach Verlauf vieler tausend Jahren, erschien auch uns Siberiten die Sonne
In dieser Felsenwüste den hohen Sprössling von Habsburg zu erblicken.
O was konnte unser Inneres erfüllen mit grösserer Freud und Wonne,
Als den zu verehren, der viele Millionen Menschen thut beglücken.

Z tej bramy uderzył nas znowu widok na skaliste niebotyczne Karpaty, których ogromne masy przedstawiają się tutaj w tak cudownym i zachwycającym sposobie iż zdaje się że natura wysiliła się już w ostatnim i najwyższym stopniu.

Z prawej strony ukazuje się góra w ogromnej massie skalistej, zupełny kształt sowy mająca, cokolwiek dalej z strony lewej widzieć się daje sędziwy staruszek z brodą, siedzący zupełnie w tej postawie jak malują Saturna, zdaje się iż to jest dzieło najdoskonalszego artysty, tymczasem jest to tylko skała wznosząca się w niedostępnej wysokości. Wstępując dalej w te góry, ciągle odkrywały nam się nowe szczególne widowiska, tu widok skał wiszących przerażał nas, tam znowu masy ogromne kształcące w wzorach skalistych zamki, wieże, ruiny i t. d. ściągały na się wszystkich uwagę i tak wśród tych cudów natury ciągle dalej postępując doszliśmy do ogromnej ściany skalistej, w której głęboka ukazała nam się jaskinia, mały otwór mająca, w ten spojrzawszy widać bezdenną przepaść w zakrzywionym kierunku w głąb skały ciągnącą się i w większej części napełnioną wodą, która z tych podziemnych nurtów bystrym pędem wydobywając się, płynie naprzód małym strumieniem,

coraz dalej powiększa swoje łożysko i nakoniec formuje rzekę znaną pod nazwiskiem Dunajca.

Jego Cesarzowic. Mość zastanawiał się długo nad tym szczególnym widokiem i srebrnym puharem skoształ wody, która tu jest nadzwyczajnie czysta i zimna, z tą nakoniec udaliśmy się za przykładem Arcy-Xięcia Imci aż do miejsca z którego się wspaniały widok na górę zwaną Babie-Nogi odsłania; a tą ostatnią pięknością zadziwieni i odurzeni, z miłym upodobaniem tę samą drogę napowrót obraliśmy; wielbiąc moc najwyższego, która tu tyle cudów zdziwionemu oku przedstawia.

Po lewej stronie bramy którą nazad powracaliśmy, wznosi się skała ogromna i wspaniała; w tej była wprawiona czarna marmurowa tablica, pod którą piękną terasę wyłożoną murawą i dokoła różami obsadzoną, umyślnie przygotowano, a gdy Arcy-Xiążę przybył w to miejsce, podano mu na srebrnej tacy ołówek, którym dostojny Arcy-Xsiażę na umieszczonej w skale tablicy Imię swoje podpisać raczył. Oby ta droga i szacowna pamiątka do najpóźniejszych istniała wieków!

Wstąpiwszy do tutejszej hamerni, mieliśmy także wiele przyjemności, gdy w oczach naszych rozpalone tafle żelaza pod silnym młotem w szyny przekształcały się, z resztą niema tu nic szczególniejszego.

Rozstawszy się nakoniec z tem miłym miejscem i jego i dziką okolicą, drogę naszą ku wsi Zakopane zwróciliśmy, gdzie jadąc dał nam się widzieć przy drodze ogromny kamień graniasty, na którym napis wyryty przypomina tkliwe spotkanie JW. Hr. Goessa byłego Gubernatora Galicyi z bratem swoim, którego od kilkunastu lat nie widział.

W Zakopanem oglądaliśmy także hamernią, gdzie rudę na żelazo przetapiano. Tu są warte widzenia miechy żelazne sprowadzone świeżo z Anglii i odznaczające się szczególną i kosztowną mechaniką. Jak mi mówiono kosztują one 50.000 Ryń. w M. K. Przy nas puszczano rudę z pieca a wolne płynienie tej ognistej materyi sprawiło nam widok zachwycający.

Wieczór się zbliżał, jego Cesarzo. Mość krótko tutaj zabawiwszy, odjechał i my za jego śladem na noc do Nowego targu pospieszyliśmy. Naza jutrz, to jest 27 Sierpnia, Jego Cesarzo. Mość w dalszą swoją drogę ku Wiedniowi udał się, unosząc z sobą wszystkich błogosławieństwa.

(Przedruk z „Rozmaitości“ Iwowskich
nr. 61 z dnia 20 października 1823 r.).

W.....

Z rękopisu Baltazara Szopińskiego: „Z góralami na Podole. Szkic z podróży“.

Rękopis ten obejmujący 39 stron papieru listowego pochodzi ze zbiorów Leonarda Zwolińskiego i przez pp. Zwolińskich właścicieli Księgarni w Zakopanem ofiarowany został Muzeum Tatrzańskiemu. Był on widocznie przeznaczony do druku, wydany jednak nie został. Z treści dowiadujemy się, że rzecz dzieje się jesienią, kiedy już śnieg przypadł na górach, 22 do 23 lat od czasu powstania chochołowskiego, które jak wiadomo miało miejsce w końcu lutego 1846 roku. Znaczy to że opowieść odnosi się do roku 1868.

Autor, wielki miłośnik gór przybył do Zakopanego z Galicyi wschodniej na wakacje i zabawiał do jesieni. Wracając, spotkał w Krakowie partje górali, którzy wybrali się na roboty przy budowie kolei żelaznej Lwów—Tarnopol. Przewodnik który miał im towarzyszyć na miejsce, gdzie się zapodział, a Szopiński, wielce zakochany w góralach a jadący i tak na wschód ofiarował się im za przewodnika. Siadłszy tedy wieczorem do pociągu jechali razem do trzeciej godziny nazajutrz, do Złoczowa. Celem ostatecznym była wieś Tustogłowy, o ćwierć mili od Zborowa; tę część drogi przebyli pieszo częściowo już nocą.

Treścią opowiadania są rozmowy z góralami, które nie przedstawiają nic szczególnie ciekawego. Najbardziej interesującą jest wzmianka o powstaniu chochołowskiem w którym jeden z górali brał udział. Przytaczamy jego opowiadanie: „Będzie temu ze 22 lub 23 lat, jak to Polacy chcieli Niemców z kraju wykurzyć. Była wtedy w Chochołowie wielka rebelia. Dowodził nami nasz ukochany ksiądz proboszcz Kmietowicz i organista Andrusikiewicz. Biliśmy też tych zatraconych przybłędów, co to jakim słyshał weszli do kraju, jak nieprzymierzając gdy kto wejdzie przez płot do cudzego ogrodu. Aż się hale trzęsły z uciechy, gdyśmy zaczęli wywijać ciupagami i kosami, ale wszystko na nic się nie zdało. Nadciągnął komisarz Fintowski ze strażnikami z miasta i z chłopami z całej okolicy i otoczył Chochołów łańcuchem ludzi na milę długim. Nie było rady. Nasi przewodcy kazali nam broń złożyć, a my ich usłuchali, bośmy ich kochali jak ojców. Wtedy Niemcy okuli najszumniejszych chłopców i zagnali kajsi do Berna na wieczny kryminał. Oh! żebyście widzieli co się oni napastwili nad organistą poczciwym! Przywiązali go do drabiniastego wozu i powlekli w świat, że aż cała gromada za nim płakała. Po dwóch latach wrócili nasi chłopcy do kraju, ale proboszcz i organista — jak kamień w wodę przepadli. Należałem i ja do tej ruchawki i straciłem na granicy węgierskiej pod Suchą Horą trzy palce, kiedyśmy natarli na strażników granicznych. Gdy się ruchawka skończyła uciekłem w hale, gdzie nigdy nie powstała niemiecka noga, i tak uszedłem Berna“.

Szopiński podaje jeszcze od siebie następujące wiadomości: Komisarz Fintowski, który zebrawszy chłopów i strażników z okolicy wyruszył przeciw Chochołowu, za co otrzymał order, jest obecnie na pensyi, mieszkał do niedawna w Zbarażu a potem we Lwowie. — „Jeszcze przed 9-ciu laty stał na cmentarzu nowotarskim pomnik ofiary z Chochołowa. Już wówczas z trudnością odczytać można było napis pomnika: „Hier ruhet Gregor Kogut k. k. Finanzwachaufseher, aus Krępna, Jasloer Kreises gebürtig, gefallen in der Revolution von Chochołów, am 23-ten Feber 1846. Er starb dem Kaiser treu, in der Erfüllung seiner Pflicht, betrauert von seinem Kameraden und Vorgesetzten, die ihm dieses Denkmal setzten. Ruhe seiner Asche!“

Wspomina dalej Sz. o tem, że za Jana Kaźmierza górale podhalańscy pod wodzą Wąsowicza dali pomoc Nowosądeczanom przeciwko Szwedom, tudzież przytacza za Kitowiczem o ich udziale w konfederacji Barskiej. Twierdzi przy tem, że dotąd, tj. do jego czasów, „w kilku wioskach tatrzańskich są familje do których nie dopytasz się inaczej, jak „do Konfederata“; jasny dowód, że przodkowie służyli ojczyźnie, podczas konfederacji“.

W drodze ze Złoczowa wstąpili podróżni do karczmy gdzie odbywało się wesele; to daje asumpt do dyskusyi kto piękniejszy podolanki czy górali; spór oczywiście rozstrzygnięty został na korzyść góralek. Inna dyskusja powstaje znowu na temat urodzajności Podola ale i tu pokazuje się ostatecznie, że góral nie zamieniłby się za swoją ziemię. Sz. przytacza kilka piosenek zaimprovizowanych na miejscu na ten temat; ich wierność etnograficzna pozostawia zdaje się jednak nieco do życzenia. Przy rozstaniu jeden z górali ofiarował Szopińskiemu ciupagę, na której z jednej strony wryty był Janosik z drugiej grupa górali tańczących.

Pismo Starostwa Nowotarskiego do gromady Dzianisz z roku 1817.

Chcąc zrozumieć poniżej dosłownie przytoczone pismo z dnia 10 czerwca 1817 r. wydane do gromady Dzianisz przez starostwo nowotarskie, należy uprzytomnić sobie czasy z których ten akt pochodzi.

Nie było wówczas dzisiejszych środków komunikacyjnych, a urządzenia kulturalne — od dzisiejszych o wiele uboższe — do wsi, tembardziej do wsi górskich, nie docierały wcale. Po wsiach świecono łuczywami, szczapami smolnemi, tak zwanemi karkoszkami w bogatszych domostwach kagankami, rzadko świecami łożowemi, które były właściwie w użyciu tylko po miastach, dworach i gospodach. Przy domostwach psy zastępowały dzisiejszą służbę bezpieczeństwa publicznego i zawiadaniały o zjawieniu się w pobliżu domu obcego. Wysokie płoty, zbijane z drągwin lub tarcic, stanowiły do pewnego

stopnia obronę osiedla, łącząc w jednym skupieniu po kilka domostw razem. Piesi lub konni posłańcy krążyli tylko co pewien czas jako łączniki między miastem powiatowym a poszczególnymi gminami.

Czasy te, to czasy po wojnach napoleońskich, po przejściu strasznej burzy, która wstrząsnęła do głębi państwami Europy. Plątało się w kraju dużo żywiołów niespokojnych, rekrutujących się przeważnie z byłych wojskowych, którzy ukończyli swą długą, kilkunastoletnią służbę, lub zostali z niej zwolnieni, gdy już byli niepotrzebni, lub gdy skarb był pusty. Co będą robić dalej ci ludzie, o to się nie troszczono. Obcy już swemu naturalnemu środowisku, z którego przed laty wyrwani zostali, odwykli od sposobu życia i pracy temu środowisku właściwych, przesiąknięci nałogami, które w normalnych warunkach tolerowane być nie mogły, przyuczeni patrzeć z lekceważeniem na „cywilów“, zmuszeni żyć pośród nich stawali się żywiołem parasorzytnym, a łącząc się niekiedy w grupy na wzór wojskowy, bywali postrachem całej okolicy, jako złodzieje i rabusie. Władze wydawały tedy przeciw nim edykty i polecenia, aby przeciwdziałać złu, którego same były przednimi sprawcami.

Przytoczone tu pismo jest właśnie tego rodzaju edyktem wystosowanym do gromady Dzianisz. Oryginał tego dokumentu jest własnością p. Józefa Krysiaka, zarządcy lasów w Witowie.

Podał *M. A. Liberak.*

Gromada Dzianisz.

1-sze: Wszelkich Urlaubników po nazwisku w Gromadzie spisać, takowych co tydzień przed Woytem przeczytać, a któryby nieprzytomny był, takowego ślakować, i tutaj do Urzędu dostawić.

2-gie: Za każdym 10-tym domem ma zaufany gospodarz ustanowiony bydź, który nadspodziewanie wszystkich Urlaubników, dwa razy w tygodniu zwołać, czyli takowi wnocy przy domu nocowali, albo nie! wostatnim razie natychmiast śledzić, i tutaj do Urzędu dostawić.

3-cie: Każdy Urlaubnik ma o 10-tej godzinie wieczór w domu znajdować się — i razem z gospodarzem nocować, gdyż gospodarz za Osobę Urlaubnika odpowiedzialnym się czyni.

4-te: Przy każdym 10-tym domie ma warta utrzymana bydź, i ta na wszystko w dzień i w nocy uważać — przy każdym domie zaś tablica na dwóch palach z dwiema pałeczkami zawieszona, aby w momencie nocna warta Rozgłos dać mogła, gdyby napaść, Rabunek, lub Złodziejstwo okazać się miało.

Gdzie Kościół znajduje się — tam ma bydź na ten czas we Dzwony dzwoniono aby to dokonać, Zbóyników naśladować i podług możności tako-

wych zchwytać. Takowy Ogłos ma we wszystkich wsiach, naraz, iak daleko tylko słyszany będzie naśladowany bydź, aby wszystko wiedziało, że coś niepewnego wczynności iest.

5-te: Gdy takowy Larum uczyniony, lub dzwoniło będzie mają wszelcy Urlaubnicy natychmiast przez Woyta, lub Przysiężnego zgromadzić się, który takowych przerachować i przeczytać ma, a którego by brakowało, gospodarza donieść który na to baczości niedał — należy.

6-te: Nocne Warty ma Woyt, Przysiężny, lub zaufany z gromady często napadywać i do pilnowania Stróży nakłaniać, a kto Wartę zaniedba takowego tu do Urzędu dostawić, aby takowy z baczością vel Surowością ukarany został.

7-me: Przy uczynionym Ogłosie mają podeyżrane domy zeszukane, i rewidowane bydź, czyli wszyscy domownicy znajdnią się, brakujący ma zaraz wyszukany, aresztowany, i do tutejszego Urzędu dostawiony bydź.

8-me: Woycia i Przysiężni, którzy nocne Warty utrzymywać zaniedbali, będą natychmiast od Urzędu oddalonemi, i do tego 20 kijami obłożonemi. Gromada zaś, osobliwie gdzie warty Okrąg tylko z 10. Domów składa się, gdyby napadnienie, Rabunek, lub Złodzieystwo z Zaniedbania warty stało się za wszelką szkodę odpowiedzialną, i cała gmina tę zapłaci.

9-te: Urlaubnicy nie mają się do gór udawać, lub przez noc od Domu oddalać się — w górach czyli Halach albo odległych domach równie mają Tablice ogłosowe z dwiema pałeczkami zawieszone bydź, aby każdej godziny nocney ogłos czynić, i Rabusiów przez czuwanie oddalać. Nieprzystanny odgłos znaczy Rabustwo, albo gwałtowność, dlaczego wszystko wychodzić ma, aby zbiegów ślakować i złapanemi uczynić.

10-te: Każda Gromada, która nad 100. Domów liczy, ma, dwóch konnych chłopów pod czas nocy na pogotowiu mieć, aby wszystko wzruszyło się do prześladowania, i na takowy sposób całe Państwo wprzeciągu dwóch godzin do odgłoszenia wzbudzić.

11-te: Duchowieństwo względem gwałt dzwonięcia przy Rabukowych niebezpieczeństwach uprasza się — takowe nie wzbraniać, gdyż przezorność do powszechnego bezpieczeństwa należy.

12-te: Każdy 10-ty Dom musi w Latarnią sklaną i świecą zatkniętą zaopatrzony bydź, aby gdzie potrzeba, natychmiast domową Rewizyą od Woytów, i Przysiężnych przedsięwziąć, a że Latarnie znajdują się, zostaje Woyt i Przysiężny za każdą brakującą z 10. Ryń. policyjną karą bez względu odpowiedzialnym.

13-te: Takowe Rozporządzenie będzie od ustanowionego Pana Officyalisty i Leśniczych często nocną porą rewidowane, a zatym każde przestępstwo i nieposłuszeństwo przeciwko Zwierzchności Rozporządzeniom iako ciężkie

Policyjne Przepięstwo podług okoliczności — Aresztem, cielesną lub pieniężną karą bez względu na ukarane zostanie.

14-te: Każdemu P. Oficjalności, albo Leśniczemu któremu Okolicyca do Policyi bacznosci oznaczona jest, mają potrzebne Fury lub wierzchowe konie natychmiast bezpłatnie dodane bydź, które tylko że od Gromady do Gromady użyte zostaną — rozumieć się ma.

Nowy targ dnia 10-go Czerwca 1817.

Karykatury Jacka Malczewskiego.



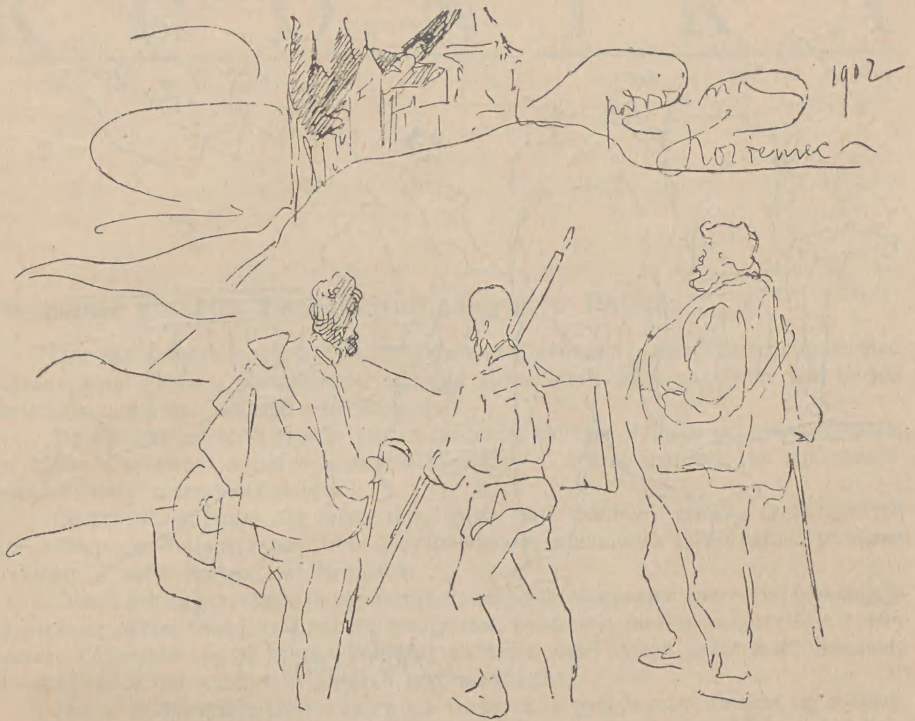
W roku 1902 miałem przyjemność gościć przez dni kilkanaście w domu moim „Pod Jedlami“ na Kozieńcu Jacka Malczewskiego. Stanisław Witkiewicz bywał moim codziennym gościem, a za tymi dwoma ścigali się i inni — czy artyści czy miłośnicy stworzonego przez Witkiewicza z motywów ludowego budownictwa „stylu zakopiańskiego“, którego dom

„Pod Jedlami“ był typowym okazem. Między innymi przychodził też i Stanisławski, który malował z „przyłapu“ domu widok na Tatry. Malczewski był w doskonałym humorze i z tego artystycznego sympozjonu na przyłapie narysował kilka karykatur. Podajemy tu reprodukcję czterech. Nie wiem, czy istnieją gdzieś jeszcze jakie karykatury Malczewskiego; w każdym razie te, tak wyborne w ruchu i wyrazie, a związane z Zakopanem, będą miłą pamiątką dla wielbicieli świeżo zgasłego wielkiego artysty.

J. G. Pawlikowski.

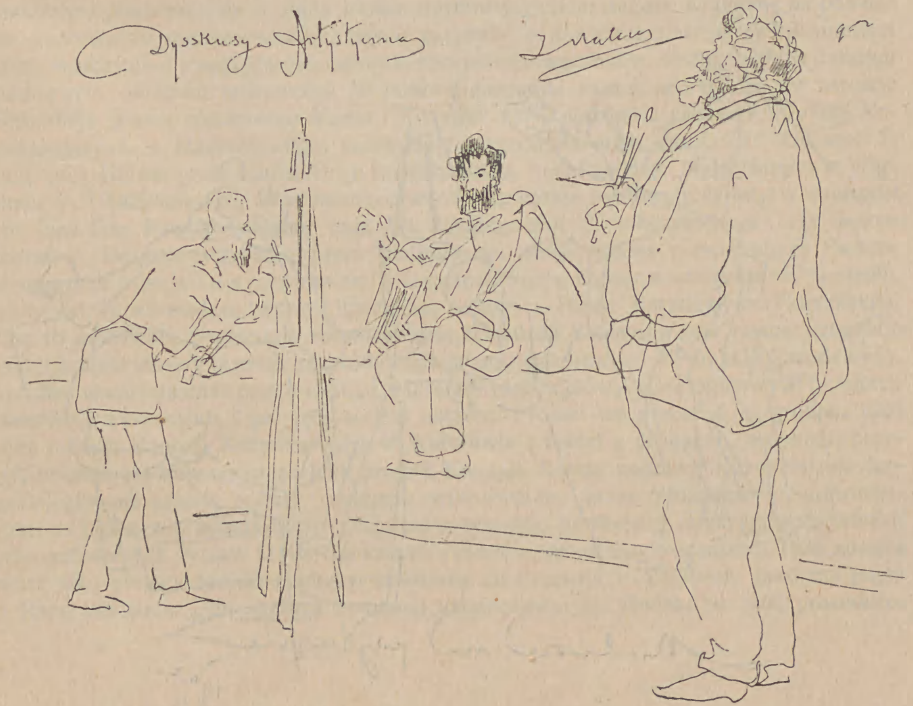
(Rysunki zmniejszono do połowy; osobami przedstawionymi są: Witkiewicz, Malczewski i Stanisławski).

Wszystkie prawa zastrzeżone.



Дискусия в Истикъна

Знамен





Atahunam³
Prof Stanistashin

Malawar



Malawar and pythagore
1902

K R O N I K A

Tworzenie górskich Parków Narodowych w Polsce.

Gdy zastanawiałem się, jaki dać tytuł memu tegorocznemu opowiadaniu o pracy nad pogranicznymi Parkami Narodowymi, przyszło mi na myśl, że w nagłówku tym można już śmiało zaznaczyć moment realizacyjny.

To nie jest już teraz mowa tylko o rzeczach, które są dopiero w przygotowaniu, ani nawet o sprawach blizkich urzeczywistnienia, — dzisiaj możemy już coś powiedzieć o dziele urzeczywistnionem.

Co prawda to stało się to nie tam, gdzie skierowaliśmy główną część naszych wysiłków, — w Tatrach, — ale w okolicy łatwiejszej, aczkolwiek także bardzo poważne problemy w sobie kryjącej, w Pieninach.

Zanim jednak przystąpię do wydarzeń terenowych zaczynając znowu od przedmiotu największej naszej troski, Tatr, muszę wspomnieć, że istnieją niektóre zagadnienia natury ogólnej, odnoszące się do całości Podhala, lub nawet całej Polski, które mają znaczenie pierwszorzędne dla wszystkich naszych prac parkowych.

Jest to przedewszystkiem ustawa o ochronie przyrody. Projekt tej ustawy, opracowany przez prof. dr. F. Zolla z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie na podstawie gruntownego studjum ustaw ochrony przyrody w innych krajach, przy znakomitem jednak wniknięciu i uwzględnieniu naszych specjalnych warunków, został poddany dalszemu gruntownym obradom fachowców. W połowie listopada 1928 r. zebrała się we Lwowie Podkomisja prawa rzeczowego Komisji Kodyfikacyjnej złożona z członków Komisji Kodyfikacyjnej: ś. p. Mańkowskiego, przewodniczącego podkomisji, autora projektu prof. F. Zolla, prof. Uniwersytetu Lwowskiego Longchamps'a, sędziego Sądu Najwyższego w Warszawie p. Dbałtowskiego, oraz rzeczoznawców dla spraw ochrony przyrody w osobach: prof. Jana Gw. Pawlikowskiego, prof. Wł. Szafera, prof. S. Sokołowskiego oraz autora tych słów. Po przedstawieniu przez podpisanego stanu sprawy pogranicznych Parków Narodowych w związku z rokowaniami z Czechosłowacją, doszła konferencja do wniosku, że nie należy wprawdzie tworzyć specjalnej ustawy o Parku Narodowym Tatrzańskim, którą to możliwość poprzednio rozpatrywano, że jednak konieczną jest rzeczą uzupełnić ogólny projekt ustawy ochrony przyrody rozdziałami, traktującymi o Parkach Narodowych. Prof. Zoll uzupełnienia te przeprowadził, poczem w pięciodniowych szczegółowych obradach konferencja opracowała i przyjęła projekt ustawy. Projekt ten przeszedł w grudniu 1928 przez plenum Komisji Kodyfikacyjnej w Warszawie i został z drobnymi zmianami przyjęty, poczem wydrukowano go jako projekt Komisji. Dalsze poprawki i uzupełnienia formalnej głównie natury, zostały następnie wprowadzone przez Ministerstwo Sprawiedliwości na podstawie urządzonych specjalnie w tym celu konferencji międzyministerjalnych i sformułowanych życzeń zainteresowanych resortów, aż wreszcie w marcu 1929 została całość jako gotowy projekt rządowy wniesiona do Prezydium Ministrów, skąd ma pójść na Radę Ministrów i do naszych instytucji ustawodawczych. Zwłoka w całej procedurze

tłumaczy się okolicznością, że Sejm i Senat nie są obecnie od dłuższego czasu zwoływane i musimy aż do momentu zebrania się tych ciał czekać. Ażeby jednak zapewnić dla projektu ustawy życzliwe przyjęcie, szczególnie w Sejmie, rozwinęliśmy już obecnie działalność w tym kierunku. Oświadczenie, które uzyskałem od Marszałka Sejmu I. Daszyńskiego oraz przywódców i poważniejszych posłów z rozmaitych obozów parlamentarnych, pozwalają żywić nadzieję, że tak upragniona przez nas ustawa zostanie ostatecznie wprowadzona w życie i Parki Narodowe zyskają prawną podstawę. Z chwilą tą możliwe będzie tworzenie poszczególnych Parków na podstawie przepisów wykonawczych, które w każdym wypadku zależnie od warunków miejscowych muszą być osobno opracowane.

Wiadomo jednak, że i bez osobnych ustaw można tworzyć w praktyce Parki Narodowe, jak to się dzieje w wielu państwach, a także i u nas. Dla tych Parków i rezerwatów, istniejących na obszarach państwowych, jak w Białowieży, w różnych punktach Pomorza i t. d., a ostatnio w Pieninach, brakowało dotychczas należytego kontaktu kół rządowych i społecznych ze sferami naukowymi. Ministerstwo bowiem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, które prowadzi sprawy ochrony przyrody w Polsce, z natury rzeczy może dawać tylko urzędową opiekę i kierunek, nie może jednak wchodzić w szczegóły organizacyjne rezerwatów, istniejących na własności wprawdzie państwowej, ale zarządzanej przez Ministerstwo Rolnictwa. To też jako bardzo ważne wydarzenie należy podkreślić fakt, że z początkiem bieżącego roku, głównie dzięki inicjatywie PP. Dyrektorów Departamentu Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa inż. Miklaszewskiego i inż. Loreta, rozpoczęto prace nad utworzeniem specjalnego naukowego ciała doradczego dla spraw Parków Narodowych i rezerwatów państwowych. Organizacją tej instytucji mają się zająć przewodniczący Państwowej Rady Ochrony Przyrody prof. W. Szafer oraz niżej podpisany. Prace odnośne są w toku.

Stałe stykanie się przedstawicieli nauki i ochrony przyrody z organami Ministerstwa Rolnictwa będzie miało nie tylko znaczenie dla samych rezerwatów. Ministerstwo Rolnictwa jest bowiem resortem, który opiekuje się także działami tak podstawowego znaczenia dla całej naszej pracy, jak gospodarka leśna, łowiecka i rybna.

Już w zeszłorocznym mojem sprawozdaniu („Wierchy“ tom VI 1928, str. 133) wspominałem, że dla gospodarki leśnej w całym państwie, a także na Podhalu wprowadzona w ostatnich latach w życie drogą opartego na pełnomocnictwach rozporządzenia P. Prezydenta Rzeczypospolitej ustawa o zagospodarowaniu lasów prywatnych, zaznaczyła się dodatnio, o ile chodzi o obszary większe, już choćby z powodu wprowadzenia przymusu planów urzędzenia lasów — ujemnie jednak, o ile chodzi o małe laski, tworzące głównie własność włościańską i gminną. Wyniki tej gospodarki prowadzą na Podhalu do dewastacji, która w okresie sprawozdawczym urosła do rozmiarów katastrofy. Jak okiem bowiem sięgnąć, leżą przy wszystkich, najmniejszych nawet stacjach kolejowych Podhala, olbrzymie składy drzewa i to cienkich okrągłaków z niewyrośniętych drzew, przeznaczone na wywóz. Ilość tych składów od ubiegłego roku, gdy już była nadmierna, tak urosła, że coraz to nowe pola orne włościańskie są wynajmowane pod nie; małe laski włościańskie i gminne zaczynają przedstawiać obraz zupełnego zniszczenia, a po drogach wiodących do stacyj kolejowych widać długie sznury furmanek, zwożących drzewo, dookoła których kręcą się jak czarne robactwo różnorodni handlarze i pośrednicy, wydzierający sobie towar. Ze ten stan rzeczy przynosi ludności tylko chwilową korzyść, a w dalszej perspektywie nieszczęście, już dzisiaj zaznaczającej się w niesłychanej drożyznie i wprost braku drewnianego materiału budowlanego na Podhalu, z tego zdają sobie także sprawę rozumniejsi miejscowi włościanie; wyrazem ich zaniepokojenia były

wielokrotne w tej sprawie delegacje i głosy prasy miejscowej. Podnoszę też tę rzecz jako jedną z najpilniejszych na całym Podhalu, a więc na najważniejszym dla górskich Parków Narodowych obszarze i apeluję do Departamentu Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa, Województwa Krakowskiego i Starostwa Nowotarskiego, aby tej sprawie zechcieli poświęcić całkiem szczególną uwagę i obmyślić sposoby odwrócenia panoszącej się na Podhalu klęski. A może moglibyśmy pohamowanie tej dewastacji lasów otrzymać z rąk miejscowych organów ochrony lasów w Nowym Targu i Zakopanem zreorganizowanych w ostatnich czasach, jako najbardziej w tym kierunku powołanych?

Ogólnopolska ustawa łowiecka, pomyślana w duchu wybitnie ochronnym, zaczyna wydawać wszędzie, a więc i na całym łuku karpackim, swe dobre owoce. Wyrazem tego jest znaczna poprawa zwierzostanu tak we Wschodnich, jak przedewszystkiem w bardziej wyniszczonych Zachodnich Karpatach. I tak nawet w Pieninach pokazały się znowu jelenie, a w Tatrach Polskich niemal stale utrzymują się obecnie wygnane z nich podczas wojny, kozice. Istnieją jednak w gospodarce łowieckiej na Podhalu mimo to pewne niedociągnięcia, których poprawy spodziewamy się od Starostwa Nowotarskiego.

Rybołówstwo na górskich rzekach naszych, a z nich najcenniejszych Czeremoszu i innych wschodnio-beskidowych wodach, oraz na Popradzie i Dunajcu nie może się dotychczas doczekać opieki ustawodawczej w postaci ogólnopolskiej ustawy rybackiej. Opracowanie i wprowadzenie w życie takiej ustawy jest jednym z wielkich zadań, o którego dokonanie oddawna upraszamy Ministerstwo Rolnictwa i Rząd. Narazie gospodarka rybna jest regulowana na rzekach karpackich dawną galicyjską ustawą rybacką. Najważniejsza jednak jest w tym dziale działalność społeczeństwa, rozwijająca się szczególnie na Podhalu. Jeżeli dotychczas istnieje w Dunajcu łosoś i pstrąg, a to pomimo dewastacji lasów, związanego z tem obniżenia stanu wód, zanieczyszczania rzek i innych klęsk, to jest to niewątpliwą zasługą grona ludzi dobrej woli i zwolenników racjonalnego rybołówstwa, zorganizowanych w Krajowe Towarzystwo Rybackie, względnie Towarzystwo Miłośników Sportu Wędkowego. Towarzystwo to, utrzymując wzorową wylęgarnię w Nowym Targu oraz wpuszczając rokrocznie wielkie ilości narybku pstrąga i łososia do Dunajca i jego dopływów, jest podstawą dla całej ochrony rybostanu na Podhalu. Z uznaniem też podkreślić należy, że Starostwo w Nowym Targu i Województwo Krakowskie umożliwiło w ostatnim czasie rozszerzenie działalności Towarzystwa przez przydział dalszych rewirów rybackich, a przedewszystkiem tak doniosłego rewiru pienińskiego. Było to tem ważniejsze, że ustawa o rybołówstwie na rzekach granicznych polsko-czeskosłowackich, opracowana przez delegację dla umów granicznych i podpisana przez pełnomocników obu państw na rokowaniach w Katowicach w styczniu 1928 r., dotychczas jeszcze nie jest ratyfikowaną w obu państwach. Po ratyfikacji i wprowadzeniu w życie tej umowy będziemy mieli ustawodawczą, a tem mocniejszą, że o wiążącym charakterze międzynarodowym, podstawę prawną do ściśle ochronnej gospodarki przynajmniej na Popradzie i Dunajcu oraz ich dopływach. Zadaniem naszym będzie wówczas zwrócenie szczególnej uwagi na gospodarkę rybną na rzekach wschodniobeskidowych, gdzie dotychczas źle się dzieje.

W dziale propagandy naszej akcji ostatnie czasy przyniosły nareszcie przełom. Opinia publiczna, a pod jej naciskiem nawet niechętna nam część prasy została przekonana, że ochrona przyrody ojczystej i tworzenie Parków Narodowych to postulaty kulturalne i gospodarcze pierwszorzędnej doniosłości i od dłuższego już czasu nie napotykamy ataków na nas w rodzaju zeszlórocznych przynajmniej programowych i na większą skalę przeprowadzanych. Natomiast coraz częściej na drodze naszej znajdujemy poparcie organów prasowych wszelkich odcieni, częstokroć małych ośrodków prowincjonalnych, do

których dotychczas trudno nam było dotrzeć. Również ilość artykułów, poświęconych pogranicznym Parkom Narodowym, silnie wzrosła, przyczem autorami tych artykułów okazują się częstokroć jednostki zupełnie nowe i nam nieznanne. Te pocieszające objawy łączą się z ogólnym wzrostem zainteresowania ochroną przyrody w Polsce. Wszelkie wykłady, konferencje poświęcone Parkom Narodowym, które prof. Szafer, Limanowski, Wodziczko, autor tego artykułu i i. urządzali w dalszym ciągu w różnych miejscowościach Polski, cieszyły się wielkim powodzeniem. Szczególnie zaś triumfalnym był przebieg tygodnia ochrony przyrody, urządzonego w Krakowie w marcu 1929 r. przez Akademickie Koło Ochrony Przyrody w łączności z wystawą ochrony przyrody. Na wystawie tej jedno z głównych miejsc zajmowały eksponaty, ilustrujące nasze prace nad pogranicznymi Parkami Narodowymi; akcji tej poświęcony był również wykład niżej podpisanego na ten temat. Cały tydzień cieszył się nadzwyczajną popularnością i wielotyśzną frekwencją, szczególnie zaś entuzjastycznie był przyjęty przez młodzież, co budzi w nas szczerą radość, jako dowód, że przyszłość do nas należy. Również podczas dorocznego Zjazdu Państwowej Rady Ochrony Przyrody w styczniu 1929 r. odbytego w Warszawie przy licznych udziałach delegatów z całej Polski, sprawa utworzenia pogranicznych Parków Narodowych była jednym z najważniejszych przedmiotów obrad, któremu były poświęcone osobne sprawozdania a potem wykład, wygłoszone przez autora tych słów; sprawie tej poświęcony był również szereg rezolucji zjazdowych. Nie brakło nam też poparcia ze strony różnych organizacji społecznych. Wprawdzie Związek Nauczycielstwa Szkół Powszechnych nie ukończył jeszcze swej tak dla nas pożądanej akcji zliczania podpisów na adres do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej o utworzenie Parków Narodowych, ale do akcji naszej zgłosiło przystąpienie i uchwalilo gorące rezolucje Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych na swym Walnym Zjeździe w styczniu 1929 r. P. dr. A. Kozłowskiej, asystentce Instytutu Botanicznego w Krakowie, która wygłosiła na ten temat referat na Zjeździe T. U. R., składałam serdeczne podziękowanie.

O pracach Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego na polu ochrony przyrody szczegółowiej mówić nie będę, gdyż obszernie są one przedstawione w dorocznym sprawozdaniu P. T. T. w tym roczniku „Wierchow“. Wystarczy zaznaczyć, że ruch za ochroną przyrody i górskimi Parkami Narodowymi w Polskiem Towarzystwie Tatrzańskiem nie tylko nie słabnie, ale się rozrasta, tworząc coraz bardziej jądro aktualnych zagadnień turystyki górskiej.

Działalność Ligi Ochrony Przyrody nie rozwinęła się dotychczas należycie, a to pomimo wszelkich danych dla pomyślnego rozwoju tej niezmiernie dla nas ważnej instytucji. Przyczyny szukać należy w zagadnieniach organizacyjnych. Znalazienie pomyślnego rozwiązania istniejących dzisiaj trudności jest jednym z doniosłych naszych zadań na przyszłość. W każdym razie już dzisiaj zanotować wypada, że Liga jako jeden z głównych swych celów wytyczyła sobie zbieranie funduszków na wykupno zagrożonych terenów w Tatrach i pracę zbiorczą w tym kierunku przeprowadza.

Stałem zainteresowaniem cieszy się nasza akcja u towarzystw naukowych, a przede wszystkim przyrodniczych. Uchwalone w okresie sprawozdawczym rezolucje za utworzeniem pogranicznych Parków Narodowych przez Polskie Towarzystwo Geologiczne, Botaniczne i i., podane do wiadomości odnośnych ministerstw, były dla nas cennym poparciem.

Przechodząc do zagadnień terenowych i rozpoczynając je od Tatr na pierwszym miejscu ze względu na doniosłość dla wszelkich naszych poczynań, należy postawić odwiedzin, jakie Tatrom poświęcił w lutym 1929 r. Pan Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ignacy Mościcki. W wycieczce do Morskiego Oka, przeznaczony specjalnie dla

zagadnienia Parku Narodowego, wzięli udział z naszej strony prof. W. Szafer, Mjr. Romaniszyn i podpisany i przy wspianiałej, acz bardzo mroźnej, słonecznej pogodzie mieliśmy sposobność przedstawić Panu Prezydentowi całokształt zagadnienia tatrzańskiego. Pan Prezydent okazał wielkie zainteresowanie i życzliwość dla naszych prac, a wyrazem tego było silne poparcie, jakiego udzielił niektórym z przedstawionych przez nas ustnie, a potem w pisemnym memorjale postulatów, za co najwyższej głowie naszego państwa jesteśmy głęboko wdzięczni. Do szczerzej podzięki zobowiązał nas P. Rotmistrz Jurgiewicz, adiutant przyboczny Pana Prezydenta, za okazaną przy tej okazji uczynność i pomoc.

Ważnem również wydarzeniem na terenie tatrzańskim była ankieta poświęcona zagadnieniom rozwoju Podhala, jako terenu uzdrowiskowego i letniskowego, urządzona w Zakopanem w marcu 1929 r. przez Ministerstwo Robót Publicznych. Czyż nie wyrazem zmienionych czasów i zwycięstwa naszej idei była okoliczność, że ankietę tę uznało Ministerstwo Robót Publicznych za stosowne rozpocząć referatem o pogranicznych, górskich Parkach Narodowych? Wygłaszając też ten referat stwierdziłem z radością, że gdy podczas poprzedniej ankiety zakopiańskiej z przed 10 lat głos prof. Pawlikowskiego był jeszcze mimo całej życzliwości dla ochrony przyrody, jaka ożywiła ogólnie tę ankietę, głosem wołającego na puszczy, to dzisiaj życie wysunęło na Podhalu akcję, której promotorem był prof. Pawlikowski, na plan pierwszy. Ankieta obecna przyniosła szereg uchwał, rezolucji i postanowień pozytywnych dla naszych prac nad Parkami Narodowymi w Tatrach, Pieninach i na Babiej Górze, a ważnych dlatego, że tworzyć one będą jedne z wtycznych dla dalszych akcji rządowych na Podhalu.

Ale nie tylko dla tych wyników ankietę tę należy określić jako pomyślne dla nas wydarzenie. Przyniosła ona również inny charakterystyczny objaw. W ankiecie brali udział obok reprezentantów władz centralnych, i lokalnych organizacji społecznych i t. d. także wójtowie i poważniejsi gazdowie z licznych gmin podhalańskich. Otóż przedstawiciele ci tak referat o Parkach Narodowych, w którym zresztą wykazywałem, że Parki Narodowe przyniosą Podhalu dobrobyt, przyjęli spokojnie, jak w dyskusji podnieśli szereg momentów rzeczowych, dalekich od demagogicznych wystąpień i demonstracji z poprzednich czasów. Nawet, gdy w imieniu samowwłaściwych zresztą przedstawicieli gmin, do których należą dobra Chochołowskie, wniesiono pod koniec ankiety rezolucję przeciw utworzeniu Parku Narodowego w Tatrach, a w odpowiedzi na to oświadczyłem, że rezolucje tego rodzaju przyjmujemy spokojnie, nie zamierzając w utworzeniu Parku w niczem szkodzić ludności góralskiej, przy rezolucji tej nie upierano się i ostatecznie ją cofnięto. Wszystko to było wyrazem niewątpliwego uspokojenia występującego obecnie na Podhalu po nieszczęsnych wydarzeniach zakopiańskich z jesieni 1928 r. Do tej poprawy nastroju przyczyniło się niewątpliwie pokojowe załatwienie przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie sprawy z gazdą Wojciaszkiem, właścicielem zniesionego przez Stारostwo na Hali Królowej schroniska, który w zakończeniu ugodowego postępowania z nim złożył na ręce prezydium Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego następujące oświadczenie:

„W związku z zawartem dzisiaj porozumieniem pomiędzy Polskim Towarzystwem Tatrzańskim a podpisanym w sprawie zniesionego budynku na Hali Królowej Wyżnej, oświadczam co następuje:

Kiedy na skutek zarządzonego przez władze zburzenia zbudowanego przezemnie domu na Hali Królowej Wyżnej znalazłem się w trudnem położeniu życiowem, przyszło mi z pomocą Towarzystwo Tatrzańskie, zakupując odemnie materiał ze zburzonego domu

po cenie, która pozwoliła mi wyrównać doznaną stratę i uzyskać podstawę do znalezienia innego sposobu zarobkowania.

Za powyższą dobrowolną pomoc, do której Towarzystwo Tatrzańskie nie było w niczem zobowiązane, wyrażam Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu podziękowanie. Całe nieporozumienie, które na tem tle wynikło, uważam za całkowicie załatwione“.

Kraków, dnia 6 listopada 1928 r.

Stanisław Król Wojciaszek.

Odczytanie tego oświadczenia na ankiecie zakopiańskiej zrobiło widoczne korzystne wrażenie na przedstawicielach góralskiej ludności. Również podnieść należy obiektywną rolę obu pp. postów podhalańskich ks. prałata Madeja i redaktora F. Gwiżdża, z których pierwszy odegrał poważną rolę w przeprowadzeniu polubownej akcji z Wojciaszkiem, a drugi występowaniem stanowczym, ale spokojnym w obronie interesów ludności góralskiej przy równoczesnym uwzględnieniu konieczności państwowych zjednał sobie powszechne uznanie. Na podstawie też formuły ułożonej przez posła F. Gwiżdża, w myśl której akcja Parku Narodowego Tatrzańskiego nie może w niczem krzywdzić ludności góralskiej, ani też szkodnie czy gwałtownie szkodzić gospodarce ludności w górach, którą uprawia od wieków, nastąpiło uzgodnienie podstaw całej akcji. Formułę tę przyjęło również najpoważniejsze stowarzyszenie miejscowych czynników, Związek Podhalań, na odbytem przez nas w zimie b. r. ze Związkiem posiedzeniu w sprawach tatrzańskich i w ten sposób osiągnęliśmy znaczną poprawę w stosunku ludności góralskiej do akcji Parkowej. Wyrazem tej poprawy są również głosy głównego organu miejscowego „Gazety Podhalańskiej“ przy zdecydowanej obronie ludności, spokojne i uwzględniające nasze konieczne postulaty. Wreszcie posiedzenie odbyte w lutym 1929 r. w Zakopanem przez delegatów prezydium Pol. Tow. Tatr. w osobach autora tych słów i mjr. Romaniszyna z komitetem współwłaścicieli Hali Gąsienicowej, regulujące rozmaite miejscowe sprawy i układające sposób postępowania na najbliższą przyszłość w atmosferze zgodnej i pojednawczej, było dowodem polepszenia stosunków. Zapisując w kronice naszych prac to uspokojenie, pragnę stwierdzić, że nasza polityka jasna i zdecydowana, a zarazem gotowa do możliwych ustępstw i ofiar, odniosła powodzenie. Dążeniem naszym będzie i w przyszłości postępować w sposób taki sam, zdaniem mojem jedynie prowadzący do celu. Zdaniem jest bowiem wyobrażać sobie, że można utworzyć Parki Narodowe naruszając jakkolwiek stan posiadania ludności miejscowej. Idei takich wprawdzie miarodajni przedstawiciele ochrony przyrody nigdy nie prezentowali, ale padały czasem ze strony czynników, nie znających stosunków miejscowych, słowa możliwe do takiej interpretacji. Z drugiej strony muszą sobie niektóre czynniki miejscowe dotychczas tego nierozumiejące zdać sprawę, że sprawy lokalne muszą być w interesie samego Podhala uzgodnione z celami kulturalnymi i turystycznymi. Jakże na Podhalu ma cała Polska i że niewolno na idei starać się czynić jakichkolwiek kombinacji prywatnych czy materialnych. Pomimo osiągniętego drogą znacznego wysiłku i ofiar wyjaśnienia sytuacji i gotowości z naszej strony do dalszej pracy w kierunku pojednawczym, nie jesteśmy pewni, czy wobec skomplikowanego zagadnienia naszej akcji i szczególnych stosunków miejscowych, znowu kiedyś nie wybuchnie jakies nieporozumienie. Jeżeli się tak mimo naszej dobrej woli stanie, będzie naszym niezmiennem dążeniem zachować mimo wszystko tę samą linię działania, co dotychczas.

Na samym terenie Tatr ponieśliśmy jak zawsze zyski i straty, przyczem bilans w ostatnim okresie wypada na korzyść zysków. Na pierwszy plan wysuwa się tu zasadnicze posunięcie się naprzód sprawy zakupna dóbr pp. Uznańskich Szaflary i Poronin na rzecz skarbu Państwa. Po wstępnem oszacowaniu tych dóbr oraz sporządzeniu pla-

nów leśnych w jesieni 1928 r. przez p. insp. W. Lewickiego rozpoczęły się rokowania z p. Jerzym Uznańskim, właścicielem dóbr Szaflary, działającym już to osobiście już to za pośrednictwem swych pełnomocników pp. Dacha i Rotha. W żmudnych tych rokowaniach, w których występowałem z ramienia Państwowej Rady Ochrony Przyrody, jako jej delegat dla spraw pogranicznych Parków Narodowych, doprowadziliśmy wreszcie do określenia wzajemnych stanowisk obu stron co do terenu, mającego być nabytym. Ostatecznie jednak po usunięciu największych rozbieżności pozostały jeszcze poważne różnice zdań, zlokalizowane obecnie do dolnych partii obszaru Murzasichle, oferowanego na sprzedaż przez właściciela tylko częściowo. Dalsze różnice wyłoniły się w Ministerstwie Rolnictwa co do ceny, a nadto pewne różnice natury raczej proceduralnej przy sposobie rokowań. Pomimo to wszystko akcja cała jest w zasadzie postawiona i w toku i mam nadzieję, że ostatecznie trudności zostaną przewyżczone i zakupno tej części Tatr przez Ministerstwo Rolnictwa uskutecznione.

Jak w roku ubiegłym pisałem, właściciel dóbr Poronin, p. Józef Uznański, nie chciał się początkowo zgodzić na sprzedaż swych dóbr Skarbowi Państwa. Natomiast rozpoczęto w dobrach Poronin akcję, zmierzającą do utworzenia spółek włościańskich, które zakupywałyby drzewo z lasów poronińskich celem jego wyrębu i sprzedaży. Ponieważ obawialiśmy się wzmoczenia w ten sposób dewastacji i tak już zniszczonych lasów, poczyniliśmy starania o przyspieszenie określenia na podstawie nowej ustawy leśnej części lasów poronińskich za ochronne. Na podstawie też uzgodnionych wniosków inspektora inż. M. Lewickiego oraz naczelnika wydziału ochrony lasów w Krakowie inż. Mitschkego, Województwo Krakowskie wydało w Dzienniku Ustaw Województwa Nr. 2, 1929, orzeczenie, uznające znaczną część lasów poronińskich za ochronne i to nie w myśl ochrony przyrody, ale na zasadach normalnej gospodarki leśnej w terenach górskich, Spółki włościańskie więc, eksploatujące drzewo w tych lasach, musiałyby się liczyć, podobnie jak każdy właściciel z rocznym etapem rębnym ograniczonym ochronnością lasów, co z pewnością ograniczyłoby silnie zyskowność całej transakcji. Zanim jednak doszło do ostatecznej realizacji kontraktów ze spółkami, zaszła w sytuacji w ciągu wiosny 1929 zmiana i po przeprowadzonych wstępnych rokowaniach, w których starałem się przedstawić stanowisko czynników ochrony przyrody, najdalsze od chęci wywierania jakiejś presji na właścicieli, w kwietniu b. r. wpłynęła do Ministerstwa Rolnictwa oferta p. Józefa Uznańskiego, reprezentowanego przez pełnomocnika dr. Dąbrowskiego, znanego adwokata z Czarnego Dunajca, oferująca na sprzedaż część leśną majątku Poronin, położoną w gminie Murzasichle, a obejmującą część doliny Suchej Wody, dol. Pańszczycy z otoczeniem, masyw Kosistej i okolicę Kopek Sołtysich aż poniżej drogi do Morskiego Oka. Rozpoczęte rokowania doprowadziły do sporządzenia planów i przeprowadzenia szacunku, które wykonali na miejscu w maju b. r. pp. naczelnik inż. Stankiewicz i insp. Lewicki, poczem w toku dalszych pertraktacji nastąpiło pewne zbliżenie się punktów widzenia Ministerstwa Rolnictwa i właściciela. Jakkolwiek różnica zdań co do ceny obiektu okazała się tak znaczna, że chwilowo doprowadziła do zawieszania pertraktacji, należy się spodziewać, że i te różnice zostaną wyrównane i transakcja dojdzie do skutku.

Nie mogę nie podkreślić dostatecznie wielkiego znaczenia, jakie miałyby dla akcji Parku Narodowego Tatrańskiego zakupno przez Skarb Państwa tak ważnych i pięknych górskich okolic zawierających terenów dóbr Szaflary i Poronin oraz wejście w ten sposób Rządu w Tatry, jako właściciela i siłą faktów regulatora stosunków, jak to istnieje już po stronie czeskosłowackiej. Będziemy też apelowali i nadal do czynników rządowych, jak to czyniliśmy dotychczas, najusilniej o nabycie zaofiarowanych obiektów i pracowaliśmy usilnie, aby zakupno to doszło do skutku za sprawiedliwą cenę, odpowiadającą właściciel

wartości majątków. Z drugiej strony staramy się właścicielom stale przedstawiać, że żądania finansowe muszą odpowiadać rzeczywistemu stanowi rzeczy, a nie idealnemu „praetium affectionis“. Sądzę, że tylko na tych podstawach może dojść do finalizacji nawiązanych rokowań ku pożytkowi właścicieli i dobru naszej umiłowanej akcji. Na każdy wypadek podkreślam, że cała transakcja jest ściśle dobrowolna i nie ma nic wspólnego z jakimikolwiek wywłaszczeniami. Jeżeli właściciele na sprzedaż swych obiektów ostatecznie się nie zgodzą, nie mamy zamiaru zabiegać o zmuszenie ich do tego.

Pomyślną dla naszej akcji zmianę uzyskaliśmy ze strony Fundacji Kórnickiej. Po zeszlórocznych niepokojących objawach w stosunku do Parku Narodowego Tatrzkańskiego, wyrażonych w pewnych enuncjacjach Fundacji, nastąpiło po przeprowadzonej różnorodnej akcji oświadczenie Zarządu Fundacji zakomunikowane czynnikiem rządowym oraz Polskiemu Towarzystwu Tatrzkańskiemu na Walnym Zjeździe Delegatów w Krynicy w r. 1929, że Fundacja Kórnicka stoi na stanowisku utworzenia z Tatr Parku Narodowego i gotowa jest do czynnej akcji w tym kierunku w zakresie dopuszczalnym na podstawie statutów Fundacji. Witamy z uznaniem to oświadczenie Fundacji, na które oczekiwaliśmy od instytucji, mającej tak zaszczytne, czysto kulturalne i naukowe cele, a założonej przez wielkiego obywatela ś. p. hr. Władysława Zamoyskiego, któremu cała Polska jest wdzięczna za dzieło odrodzenia lasów tatrzkańskich, zakupionych przez ś. p. Zamoyskiego z rąk obcych w stanie zupełnej dewastacji. Wszak wówczas przestrzeń lasów od Zasadni po Waksmundzką legła pod siekierami niszczycieli, a okolica ta i regle zakopiańskie przedstawiały tak rozpaczliwy widok, że z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Tatrzkańskiego zawiązała się osobna spółka dla wykupienia Tatr z rąk obcych celem ochrony ich przyrody od zagłady, i utworzenia Parku Narodowego. Spółka ta jednak z powodu szczupłości funduszy nie była w stanie zadania tego wykonać i gdy zjawił się hr. W. Zamoyski i dobra zakopiańskie zakupił, udała się do Niego osobna delegacja Pol. Tow. Tatr. wyrażając najgłębsze podziękowanie zbawcy Tatr za ocalenie naszego górskiego klejnotu od zamiany na pustynię. W. Zamoyski delegacji tej oświadczył, że lasy tatrzkańskie będą ochronione i życiem swem to zapewnienie stwierdził. Pod troskliwą jego ręką zazieleniły się w ciągu długich lat napowrót zbocza Tatr i turyście, wędrującemu dzisiaj od Zasadni w stronę Morskiego Oka szumi po obu stronach gościńca wspaniały las, a regle zakopiańskie porasta gęsta szata smreków. Gdy też w ziemie jednego z powojennych lat miałem szczęśliwą możność jazdy do Morskiego Oka z ś. p. W. Zamoyskim w towarzystwie ówczesnego premiera gen. Sikorskiego i marszałka Sejmu Rataja, W. Zamoyski z dumą pokazywał swe lasy doskonale zaszanowane i zagospodarowane, zestawiając ich piękny stan dzisiejszy ze zniszczeniem czasów, w których dobra zakopiańskie zakupił. Wspominam to wszystko dlatego, aby zaznaczyć, że nie mogło być dla nas żadnej wątpliwości, że Fundacja Kórnicka pójdzie po drodze, wytyczonej przez swego założyciela. A przecież Park Narodowy Tatrzkański w swym programie jest jakgdyby zrodzony z ducha ś. p. Zamoyskiego, idąc w całości po linii Jego wzniosłych ideałów, jakkolwiek za czasów Jego życia idea Parku nie była jeszcze zupełnie skryształizowana.

Praca Fundacji nad ochroną przyrody w Tatrach wyraża się oprócz gospodarki ochronnej w lasach także na polu gospodarki łowieckiej. Ustanowiony przez Fundację w tym celu inspektorat łowiecki, prowadzony przez p. J. Domaniewskiego, mającego do dyspozycji straż łowiecką, w swej dotychczasowej działalności wykazał racjonalność i pożyteczność tej instytucji. Zmniejszenie się kłusownictwa, stała poprawa zwierzostanu w Tatrach, są widocznymi tego objawami. W szczególności dopomógł inspektorat wydatnie zwierzynie tatrzkańskiej do przetrzymania straszliwej zimy 1928/1929, w której temperatura wielokrotnie spadała poniżej 30° a nawet 40° C, a to przeprowadzając systema-

tyczne karmienie. Zwracamy się do Zarządu Fundacji Kórnickiej o dalszą rozbudowę inspektoratu oraz o odpowiednie dotowanie celem wydatniejszego karmienia zwierząt i wszelakiej ich ochrony.

Dalsze trudności wywołuje sprawa kamieniołomu pod Capkami. Jakkolwiek zmiana kierownictwa tego kamieniołomu i przejście pod całkowity zarząd Fundacji wpłynęły na poprawę stanu rzeczy, szkody jakie ten kamieniołom wyrządza najbliższej okolicy oraz konflikty z uzdrowskim charakterem Zakopanego doprowadziły do stworzenia na Podhalu jednolitego frontu przeciwko kamieniołomowi. Front ten objawił się w rezolucjach zwalczających dalsze istnienie kamieniołomu, a uchwalonych podczas ankiety w Zakopanem w marcu 1929 r. przez wszystkie instytucje zakopiańskie, tak społeczne, jak urzędowe. Wytworzenie tego nastroju, z którym niepodobna się nie liczyć, jak również fakt, że kamieniołom szpeci urocze pasmo regli, jakkolwiek tylko na samym jego skraju, zmusza nas do krytycznego stanowiska wobec kamieniołomu. Od dalszego sposobu prowadzenia przedsiębiorstwa i rozwoju wypadków, zależy sposób postępowania w tej drażliwej sprawie.

Na terenie lasów Chochołowskich nie zaszły w ostatnich czasach zmiany. Dobrym jednak objawem jest wzrost uświadomienia u ludności gmin, do których obszary te należą, że dalsza eksploatacja w czasie wojny bardzo zniszczonych lasów, byłaby zgubną w skutkach, jeżeli nie dla dzisiejszego, to dla późniejszych pokoleń. Pokolenia te, pozbawione drzewa budulcowego i materiałowego, musiałyby ciężko zapłacić za grzechy swych ojców. W tym duchu dają się obecnie często słyszeć zdania poważniejszych gospodarzy gmin dóbr Chochołowskich, a na posiedzeniach rad gminnych podnoszą się głosy ostrej krytyki poprzedniego zarządu dóbr, który do nadmiernego wykorzystania lasów dopuścił. Do dalszej poprawy sytuacji przyczyni się niewątpliwie wprowadzenie planów gospodarczych zarządzone na podstawie nowej ustawy lasowej przez Województwo Krakowskie. Narazie większe użytkowanie lasów chochołowskich jest wstrzymane i wyrażamy przekonanie, że reorganizujący się Zarząd tych lasów pójdzie po linii gospodarki ochronnej, jedynie wskazanej dla interesów ludności pojętych niekrótkowzrocznie, ale na właściwą, dłuższą metę.

W innych małych lasach włościańskich, rozsianych po Tatrach, gospodarka pozostawia nadal wiele do życzenia; niektóre z tych lasów są głównym rozsadnikiem kornika, ciągle pojawiającego się w Tatrach i opiekę nad nimi polecamy szczególniejszej uwadze organów ochrony leśnej, działających w starostwie nowotarskiem.

Akcja zakupna części idealnych na współwłasnościach halnych w Tatrach jest dalej prowadzona przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i osiąga w niektórych okolicach poważne wyniki. Akcję tę powinna prowadzić także Fundacja Kórnicka, dla której jest ona doniosła ze względów gospodarczych, oraz Liga Ochrony Przyrody.

W sprawach schronisk górskich w Tatrach wydarzyły się rozmaite, częściowo niepomysłne wypadki. I tak dały się zauważyć dążenia do prymitywnej odbudowy zamkniętego, z powodu opłakanego stanu, schroniska Burego nad Morskim Okiem. Dążenia te zostały ułatwione nieporozumieniem wynikłym na tle pewnych zarządzeń Starostwa nowotarskiego. Starostwo wydało te zarządzenia, nie będąc poinformowane o stanie własności przy Morskim Oku, gdzie schronisko Burego zostało swego czasu zbudowane na terenie współwłasności bez zezwolenia jednego z najpoważniejszych współwłaścicieli tj. Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego. Towarzystwo to z powodu bezprawnego zbudowania schroniska Burego wytoczyło swego czasu proces zakończony wygraną P. T. T. Sądzimy, że uwzględnienie prawnego stanu rzeczy umożliwi należyte załatwienie tej

ważnej sprawy, w której zresztą gotowi jesteśmy do szukania drogi polubownego załatwienia, o ile tylko właściciel schroniska zechce także wykazać ugodowość.

W dolinie Chochołowskiej ma zamiar przystąpić do budowy schroniska, przeznaczonego głównie dla narciarzy, Warszawski Klub Narciarski. Towarzystwo to wniosło odpowiednie podanie do Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Z ramienia P. R. O. P. udałem się w kwietniu b. r. wraz z przedstawicielami W. K. N. do Doliny Chochołowskiej celem dokonania oględzin terenu, przeznaczonego pod budowę schroniska, gdyż sam plan budynku, prosty i dostosowany do krajobrazu, zastrzeżeń nie budził. W wyniku oględzin spisano protokół, zatwierdzony następnie przez P. R. O. P., który wyraża się odmownie co do terenu projektowanego pierwotnie przez Warsz. Klub Narc. pod budowę schroniska na Polanie Chochołowskiej, natomiast wskazuje inne tereny w najbliższym otoczeniu Polany odpowiednie do budowy, oraz określa warunki, pod jakimi budowa może dojść do skutku. Osiągnięte porozumienie pozwala przypuszczać gładkie rozstrzygnięcie tej kwestji.

Materiał ze schroniska na Hali Królowej został, w myśl uzgodnienia z właścicielem Królem Wojciaszkiem, całkowicie zwieziony na dół, tak, że ze schroniska tego zbudowanego w tak nieodpowiednim miejscu, nie pozostało śladu.

Całkowite wykończenie systemu ścieżek tatrzańskich przez Pol. Tow. Tatr. dozwoliło na zaprzestanie budowy, czy też znaczenia nowych ścieżek. Również przy rekonstrukcji Orlej Perci, przeprowadzonej w roku 1928, ograniczyło się P. T. T. do najkonieczniejszych tylko sztucznych udogodnień. W najbliższej przyszłości przewidziana jest odpowiednia budowa ścieżki do Pięciu Stawów Polskich, aby do tamtejszego schroniska umożliwić dowóz drzewa opałowego z lasu i w ten sposób zapobiec niszczeniu kosodrzewiny.

Staraniem Oddziału Krakowskiego Pol. Tow. Tatr. i przy czynnym współudziale oddanego naszej sprawie dzierżawcy schroniska p. T. Janikowskiego przystąpiono do prac nad zalesieniem dalszych części zniszczonej moreny nad Morskiem Okiem.

Również wydały rezultat nasze paroletnie zabiegi o zainicjowanie zalesienia ogolonej i rozpaczliwy przedstawiającej obraz, doliny Jaworzynki. Gmina Murzasichle, do której dolina ta należy, na zalesienie się zgodziła, odnośne formalności zostały załatwione i prace nad zalesieniem mają się niebawem rozpocząć pod kierownictwem doświadczonego i zasłużonego dla zalesienia moreny nad Morskiem Okiem, leśnika inż. Liberaka. Koszty tych prac, obliczonych na szereg lat, pokrywane będą z ogólnopaństwowego funduszu zalesienia.

Uzgodnienia z postulatami ochrony przyrody wymagała również sprawa budowy rozszerzenia wodociągu dla Zakopanego przy ujściu doliny Jaworzynki. Sprawę tę powierzyła P. R. O. P. do referatu autorowi tych słów. Na podstawie przeprowadzonych w jesieni 1928 r. oględzin lokalnych i przestudjowania planów opracowanych przez inż. Chudobę z Krakowa, wytyczyłem plan działania, przyjęty przez P. R. O. P. a potem przez Starostwo nowotarskie i przedsiębiorstwo budowy. Kierownictwo tej budowy, pozostające w rękach wytrawnego fachowca, a przytem człowieka znającego miejscowe stosunki i życziwego dla naszych postulatów, p. E. Polaka z Nowego Targu daje gwarancję należytego wywiązania się z poczynionych przyrzeczeń. Spodziewamy się więc jak najdalszego poszanowania lasu i przyrody przy tych koniecznych dla rozwoju Zakopanego budowach wodociągowych. Przy okazji pragnę podkreślić, że Zarząd gminy Zakopane pod kierownictwem nowoobranego burmistrza p. inż. L. Winnickiego, okazuje naogół zrozumienie i przychylność dla dzieła Parku Narodowego, co jak ufamy, w przyszłości utrwali się jeszcze i rozwinie.

Celem uporządkowania nieustannie wyłaniających się spraw minutowych fotografów, wędrownych kramarzy i t. d. zaśmiecających Tatry, interwenjowaliśmy parokrotnie u władz naogół z dobrym skutkiem.

Na Babiej Górze nie mamy do zanotowania zmian w wytworzonej tam w ciągu ostatnich lat sytuacji. Zaznaczam tylko, że wykupno pozostałych części komposesorjatu orawskiego, analogicznie do przeprowadzonej akcji po stronie czeskosłowackiej, jest stale rozumiane w naszym Ministerstwie Rolnictwa i ma widoki urzeczywistnienia — oby w niedalekim czasie.

W Pieninach utworzenie Parku Narodowego stało się faktem dokonany. Po zatwierdzeniu przez Radę Ministrów zakupna głównej części przełomu pienińskiego, o czym pisałem w zeszłorocznym mem sprawozdaniu, przeprowadzono wymagane formalności zakupna. W czasie tej akcji były do przewyciężenia rozmaite jeszcze, częściowo niespodziane trudności, aż wreszcie wszystko zostało załatwione i w marcu 1929 r. podpisano w prokuraturze generalnej w Krakowie akt, mocą którego spadkobiercy ś. p. hr. Drohojowskiego: pp. S. Drohojowski, B. Dłuscy, Olga Guillaume i pułk. Nowiczy odstąpili na rzecz Skarbu Państwa część Pienin o obszarze 400 hektarów, obejmującą przełom pieniński od Trzech Koron włącznie aż po Potok Pieniński, a nadto część skałek i lasów na zachód od Przełęczy Wymiarki. Cena kupna została od razu w gotówce wypłacona i miło mi było słyszeć od zebranych właścicieli słowa zadowolenia z dokonanej transakcji, pierwszej tego rodzaju, a opartej na podstawie postępowania zupełnie swobodnego i bez jakiegokolwiek przymusu, co jest zresztą stałą naszą zasadą. Z uznaniem też pragnę podkreślić pojednawcze, ustępliwe i nacechowane szczerą chęcią przyczynienia się do doniosłego dzieła Pienińskiego Parku Narodowego postępowania wymienionych właścicieli podczas całej trudnej i długotrwałej akcji, dzięki czemu sprawa mogła być pomimo wielkich przeszkód pomyślnie załatwiona. Z drugiej strony nie można dostatecznie silnie wyrazić naszego podziękowania i wdzięczności dla Departamentu Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa, a w szczególności dla pp. dyrektorów inż. Miklaszewskiego i inż. Loreta oraz naczelnika inż. Stankiewicza, a wreszcie Lwowskiej Dyrekcji Lasów pp. prezesa inż. Kaczkowskiego i insp. inż. Lewickiego, które to instytucje i osoby w zakupnie Pienin i utworzeniu Parku Narodowego Pienińskiego wybitnie działały. Serdeczne też podziękowanie należy się Ministerstwu Oświaty Wydziałowi Nauki, a przedewszystkiem pp. naczelnikowi Wydziału F. Dzikowi, radcy min. Przybyłowiczowi i referentowi ochrony przyrody Karpowiczowi, a dalej Ministerstwu Spraw Zagranicznych, a to pp. naczelnikowi wydziału południowego dr. Günterowi, radcy min. dr. Starzewskiemu, referentowi p. Fickiemu oraz kierownikowi referatu dla spraw komunikacyjnych i granicznych radcy min. Łacińskiemu za wybitne poparcie i współdziałanie w utworzeniu Parku Pienińskiego. Nazwiska tych osób zostaną związane stale z dziełem Parku Narodowego Pienińskiego.

Wobec uzyskania podstawy pod utworzenie Pienińskiego Parku, należało wypracować plan działania w całej tej sprawie. W tym celu udała się w dniu 30 maja 1929 r. do Szczawnicy komisja, złożona z przedstawicieli Ministerstwa Rolnictwa pp. inż. M. Stankiewicza i Lewickiego, Ministerstwa Oświaty i Państwowej Rady Ochrony Przyrody w osobach prof. W. Szafera i niżej podpisanego oraz jako reprezentanta Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego mjr. B. Romaniszyna, która przeprowadziła dokładne studjum zagadnienia pienińskiego i obejście terenu. Komisji towarzyszyli p. inż. Dziewolski, właściciel Krościenka, a nadto kierownik nadleśnictwa ze Starego Sącza i miejscowe organy nadzoru leśnego. Wynikiem komisji było opracowanie protokołu, ujmującego program dalszej pracy nad Parkiem Narodowym Pienińskim. W myśl tego protokołu Park ma

obejmować w pierwszej fazie swej realizacji w rezerwacie zupełnym całą partję, zakupioną od spadkobierców s. p. Drohojowskiego od Przełęczy Wymiarki i Potoku Sobczańskiego do Pienińskiego Potoku oraz drugą część właściwego przełomu Dunajca, obejmującą Sokolicę, Czertez i skałki aż ponad stary most w Szczawnicy Niżnej. Tę ostatnią część oferował na sprzedaż Ministerstwu Rolnictwa właściciel inż. Dziewolski. Ministerstwo ofertę tę do rozpatrzenia przyjęło i w najbliższym czasie ma być przeprowadzony przez Lwowską Dyрекję Lasów Państwowych szacunek tego obszaru. Jest rzeczą wielkiej wagi, że doszło do rozpoczęcia tej transakcji, której przeprowadzenie będzie miało dla Parku Pienińskiego ostatecznie rozstrzygające znaczenie. Z chwilą bowiem nabycia tej przepięknej części Pienin od inż. Dziewolskiego, cały przełom pieniński będzie w rękach Państwa i całość tego jedyne go na ziemiach polskich przyrodniczego i turystycznego zjawiska będzie mogła być ochronioną. Prócz kwestji zakupna części pienińskiej majątku inż. Dziewolskiego, program Parku przewiduje stopniowe wykupno lub wymianę istniejących na obszarze Parku enklaw; na ten cel mają być zakupione przez Min. Rolnictwa wraz z obszarami leśnymi inż. Dziewolskiego, przylegające grunty orne, celem stworzenia zapasu ziemi na wymianę. Na całym terenie zakupionym już przez Skarb Państwa zostaje zaprowadzoną gospodarką ściśle ochronną; w szczególności na przestrzeni na wschód od Przełęczy Wymiarki nie będzie las wogóle w jakiegokolwiek formie eksploatowany, a polany i łąki nie będą koszone. Także jednak na wschód od Wymiarek, gdzie ma być zaprowadzony rezerwat częściowy, eksploatacja lasów będzie nadzwyczaj ograniczona. Z uznaniem należy powitać dokonane w ostatnich miesiącach w tej okolicy przez nadleśnictwo starsządeckie z wielkim nakładem pracy i kosztów trudne zalesienie wyciętej w ostatnich czasach stromej, wapiennej skałki. Protokół komisji przewiduje również odpowiednie uregulowanie turystycznego ruchu, przyczem w myśl oświadczeń Pol. Tow. Tatr. uznano sieć ścieżek i szlaków pienińskich za całkowicie wystarczającą, tak, że więcej ścieżek i znaczeń wykonywać się nie będzie, a nawet zniesie się niektóre istniejące ścieżki i niepotrzebne ulepszenia. W obrębie rezerwatu zupełnego i częściowego nie będą budowane schroniska, ani żadne budynki. Jedynie w okolicy na wschód od Wymiarek powstanie leśniczówka, w której mieszkać będzie odpowiednio wyszkolony w sprawach ochrony przyrody i posiadający wyższe fachowe wykształcenie, funkcjonariusz leśny dla zarządu Parkiem. Zarządcy temu dodana będzie do pomocy specjalna straż Parkowa. Przy leśniczówce powstanie małe, poglądowe muzeum pienińskie i pokoje dla pracowników naukowych. W przyszłości rezerwat zupełny może zostać ogrodzonym, a to celem skuteczniejszej ochrony zwierzyny. Schronisko turystyczne ma powstać poza obrębem rezerwatu, najlepiej w okolicy Sromowiec Niższych, co ze względu na małe rozmiary Pienin jest całkowicie wystarczające, a korzystne dla turystycznego rozwoju Sromowiec, mających wybitne letniskowe kwalifikacje. Oczywiście niewykluczeniem, a nawet prawdopodobnym jest w przyszłości dalsze rozszerzenie Pienińskiego Parku Narodowego. Z programem Parku łączy się uregulowanie spraw komunikacyjnych i turystycznych pogranicza w kierunku ułatwienia i usprawnienia ruchu w całych Pieninach, co nastąpi w opracowywanej umowie polsko-czeskosłowackiej. Jako ważny moment podkreślić należy, że ludność miejscowa przyjęła utworzenie Parku Narodowego z radością, rozumiejąc, że Park Pieniński zabezpiecza jej raz na zawsze utrzymanie pięknego przełomu Dunajca, które jest głównym źródłem dochodu gmin okolicznych przez przyciąganie ruchu turystycznego i gości, pragnących odbyć słynną przejażdżkę łodziami Dunajcem przez Pieniny. To też po zakupnie Pienin udała się do Warszawy osobna delegacja, złożona z najpoważniejszych przewoźników pienińskich zainteresowanych gmin w osobach pp. Piotra Salomona ze Szczawnicy, Józefa Koterby z Krościenka

i Tomasza Waradczyna ze Sromowiec Niżnych. Delegacja ta, prowadzona przez prezydium Pol. Tow. Tatr. w osobach prezesa inż. J. W. Czerwińskiego, autora tego artykułu i mjr. B. Romaniszyna, złożyła podziękowanie za utworzenie Parku Pienińskiego pp. ministrom: Rolnictwa Niezabytowskiemu, Oświaty Czerwińskiemu, Robót Publicznych Moraczewskiemu, oraz wiceministrowi Spraw Zagranicznych Wysockiemu, a nadto w Sejmie, przedstawiając zarazem lokalne postulaty ludności. Postulaty te zostały przy uznaniem poparcia Pol. Tow. Tatr. częściowo już uwzględnione, częściowe ich przeprowadzenie jest w toku. W tym celu, jak również wogóle celem ujęcia i usprawnienia łódkarstwa w Pieninach, odbyły się z inicjatywy Zarządu Głównego Pol. Tow. Tatr. dwie konferencje z przedstawicielami ludności w obecności reprezentantów władz, pierwsza w lutym 1929 r. w starostwie w Nowym Targu, druga w maju w Szczawnicy. Na konferencjach tych, na których P. R. O. P. i Pol. Tow. Tatr. reprezentowali autor tych słów, mjr. B. Romaniszyn i prof. Sosnowski, ułożyliśmy całkowity program uregulowania łódkarstwa w oparciu o Park Narodowy. Wykonanie tego protokołu jest powierzone Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu.

Wśród niebezpieczeństw, które groziły Pieninom, najgorszym był projekt „zmodernizowania“ przełomu pienińskiego przez uruchomienie na nim łodzi motorowych, mających stopniowo zastąpić dzisiejsze „przestarzałe“ łódki, drażone z pni drzewnych. Niebezpieczeństwu temu zapobiegliśmy, a to w myśl gorącego życzenia zagrożonych w swym bycie przewoźników pienińskich, uzyskując przy wspólnym wysiłku P. R. O. P. i P. T. T. zakaz władz kursowania motorówek w przełomie Pienin.

W sprawie zamierzonej budowy restauracji nad Dunajcem po polskiej stronie naprzeciw Czerwonego Klasztoru wydaliśmy z P. R. O. P. korzystną opinię dla Starostwa Nowotarskiego po przedstawieniu przez właścicieli planów budynku i sytuacji oraz określeniu pewnych warunków.

Jak z tego wszystkiego widać, Pieniny są pierwszym, w zasadzie już utworzonym, pogranicznym Parkiem Narodowym. Dalsza praca nasza na tym wspaniałym obszarze opiera się już na podstawach tak mocnych, że spokojnie możemy patrzeć w przyszłość.

Ale i w Czarnohorze stoimy w obliczu pomyślnych wydarzeń. Wstępem jest tu decyzja Ministerstwa Rolnictwa, uwzględniająca odnośny wniosek Państwowej Rady Ochrony Przyrody i rozszerzająca dotychczasowy mały rezerwat czarnohorski do powierzchni około 600 ha, obejmujących najbardziej interesujące partie grupy Howerli. Jest to jeszcze i tak niewielki obszar w stosunku do wielkości tamtejszych łańcuchów górskich, ale daje podstawę do działania. Po tej decyzji odbyliśmy wspólnie z prof. W. Szaferem w listopadzie 1928 r. we Lwowie konferencję z p. inż. Kaczkowskim, prezesem lwowskiej dyrekcji lasów, na której ułożyliśmy ogólny plan dalszego działania co do rezerwatu czarnohorskiego. Z początkiem kwietnia i w czerwcu b. r. odbyły się we Lwowie i w terenie Czarnohory dalsze konferencje z udziałem przedstawicieli dyrekcji lasów, P. R. O. P., Pol. Tow. Tatr., Towarzystwa Gospodarczego i i., na których omawiano w szczególności kwestję gospodarki na Polanie Pożyżeskiej, wchodzącej w skład rezerwatu. W jesieni b. r. planowane jest wreszcie odbycie w terenie komisji o składzie analogicznym, jak ostatnia komisja pienińska, na której ułożyliśmy całkowity plan działania co do rezerwatu czarnohorskiego. Mamy nadzieję, że po komisji tej również Park Narodowy Czarnohorski ostatecznie i formalnie powstanie, jako drugi Park na pograniczu polsko-czeskosłowackim.

Sytuację po stronie czeskosłowackiej za cały czas mego sprawozdania należy określić jako zastojową. Zastój ten odnosi się oczywiście do organizacyjnej strony zagadnienia, gdyż pod względem terenowym jest nadal Czechosłowacja naogół w lepszym

od nas położeniu, będąc w Tatrach i na Babiej Górze posiadaczem większej powierzchni terenów państwowych, jak my, w Czarnohorze wyrównując się z nami, a jedynie w Piecinach już dzisiaj nam ustępując. Ta korzystna sytuacja Czechosłowacji wzmocniła się w ostatnich czasach dzięki energicznej działalności departamentu leśnego Min. Rolnictwa w Pradze. Dyrektorowi tego partamentu inż. Simanowi miałem niedawno miłą sposobność złożyć w Pradze serdeczne życzenia z powodu finalizacji zakupna na rzecz Parku Narodowego w Tatrach pięknego terenu w masywie Gałtucha oraz dalszego posunięcia naprzód rokowań o zakupno wspaniałego obszaru Jaworzyńskiego.

W stosunku jednak do tej wydatnej pracy terenowej strona organizacyjna akcji Parkowej i to na wszystkich niemal, tak różnorodnych jej polach, nie posunęła się w ostatnich miesiącach w Czechosłowacji naprzód. Przyczyny tego niepomyślnego objawu należy szukać w szczególnych warunkach, które wytworzyły się tam na polu ochrony przyrody. Również częste zmiany osobowe w rządach przyczyniły się do fluktuacji prac czeskosłowackich. Nasi przyjaciele i współpracownicy, po tamtej stronie granicy, w osobach prof. K. Domina, szefa sekcji inż. Roubika i prof. R. Kettnera a nadto senatora prof. Nemeca, rozpoczęli akcję, zmierzającą do zmiany wytworzonego stanu rzeczy, reorganizacji i takiego ujęcia agendy ochrony przyrody w Czechosłowacji, aby strona organizacyjna odpowiadała terenowej. Gdy to nastąpi, będziemy mogli w należyty sposób skoordynować prace polskie z czeskosłowackimi, jak tego wymaga dobro wspólnej naszej sprawy.

Pozatem należy stwierdzić całkowitą zgodność opinii wszystkich czeskosłowackich czynników urzędowych i społecznych, nie mówiąc już o naukowych, co do racjonalności i konieczności utworzenia Parków Narodowych, a w szczególności tatrzańskiego. Wszystkie oświadczenia tak oficjalne, jak nieoficjalne, poczynione w tych sprawach ze strony czeskosłowackiej w ostatnim także okresie, nie pozostawiają co do tego żadnej wątpliwości. Na pierwszy plan wysuwa się tylko zagadnienie: jak Parki te mają być utworzone? Co do Parku Tatrzańskiego jest w zasadzie postanowione powołanie go do życia po stronie czeskosłowackiej, drogą osobnej ustawy o utworzeniu tego Parku. Ważną okolicznością jest fakt, że najwyższe władze utworzonej po wewnętrznej reorganizacji administracyjnej Czechosłowacji Ziemi Słowackiej są zamiarom przychylnie. W szczególności życzliwie odnosi się do akcji Parkowej, jak to nas zawiadomili koledzy czeskosłowaccy, nowy minister oświaty dr. Stefanik, słowak z pochodzenia.

Na terenie tatrzańskim dotkliwą stratę poniosła ochrona przyrody przez śmierć długoletniego dyrektora dóbr Jaworzyna Spiska, Arpada Kegla, który zmarł w zimie bieżącego roku. Ś. p. A. Kegel był wiernym strażnikiem powierzonego przez ks. Chrystjana Hohenlohego Jego pieczy zwierzyńca jaworzyńskiego i prowadził go w duchu ścisłej i głęboko pojętej ochrony przyrody. O Jego życiu mówimy obszerniej na innym miejscu „Wierchów“. Tu pragnę jedynie stwierdzić Jego wielkie zasługi dla stworzenia podstaw Parku Narodowego tatrzańskiego po stronie czeskosłowackiej.

Rozmaite pomniejsze sprawy terenowe po stronie czeskosłowackiej reguluje Klub Czeskosłowackich Turystów w zasadzie w duchu ochrony przyrody. Na konferencji, którą w różnych tych sprawach odbyłem w Pradze w grudniu 1928 r. z prezydium Klubu, miałem sposobność ponownie tę okoliczność stwierdzić. Dzięki temu stanowisku Klubu zostało zażegnane już niejedno niebezpieczeństwo grożące Tatrom po stronie czeskosłowackiej, a wśród nich niektóre, o których była mowa w poprzednim mem sprawozdaniu. Największe niebezpieczeństwo jakim był projekt kolei linowej na Gałtuch, narazie przestało być aktualnym, jakkolwiek należy się mieć w tej sprawie ciągle na baczności.

Na dorocznym Zjeździe Polskiego Towarzystwa Geologicznego, w odbytym w maju b. r. w Pieninach, w którym wzięli udział, jako mile witani goście, nasi koledzy czeskosłowaccy, miałem sposobność przedstawić na wycieczce na stronę czeskosłowacką Pienin, stan sprawy Parku Narodowego po obu stronach granicy. Prof. R. Kettner z uniwersytetu praskiego, jeden ze współautorów protokołu krakowskiej i praskiej Akademii z grudnia 1925 r., określającego naszą wspólną akcję Parkową, na podstawie obserwacji poczynionych na tej wycieczce, przyrzekł poruszyć u miarodajnych sfer w Pradze postulaty ochrony przyrody po stronie czeskosłowackiej Pienin. Chodzi tu przede wszystkim o jak najszybsze zaprzestanie wycinania drzew w obu państwowych rewirach czeskosłowackich Pienin, co jak stwierdziliśmy nieustannie ma jeszcze miejsce, jakkolwiek w sposób przerebowy.

W dalszym przebiegu akcji propagandowej, przeprowadzanej w Czechosłowacji, udałem się w kwietniu b. r. do Berna Morawskiego na zaproszenie tamtejszego Klubu Przyjaciół Polski i wygłosiłem odczyt o Parku Narodowym Tatrzańskim, ilustrowany wielu przezroczami. Odczyt zgromadził liczną i doborową publiczność, między innymi profesorów szkół wyższych i średnich, przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych, członków towarzystw naukowych i kulturalnych, oraz młodzież akademicką. Tak podczas odczytu, do którego wstęp wygłosili prezes Klubu Przyjaciół Polski, nasz zacny i gorliwy sprzymierzeniec, prof. Kolaja i prof. geologii Uniwersytetu w Bernie dr. Woldrich, jak podczas późniejszego bankietu z licznych przemówień miałem sposobność z radością stwierdzić, jak powszechną życzliwość cieszy się idea Parku Narodowego Tatrzańskiego wśród tamtejszego społeczeństwa. Ten sam objaw napotkałem w Pradze, gdzie analogiczny odczyt wygłosiłem w Akademickim Kole Przyjaciół Polski, pracującym wydatnie pod sprężystem kierownictwem dr. Michla.

Obserwując pilnie całokształt prac parkowych po stronie czeskosłowackiej, wyrażam przekonanie, że akcja ta mimo chwilowych organizacyjnych niedomagań ma wszelkie widoki dobrego rozwoju i kończę wyrażeniem serdecznego życzenia kolegom czeskosłowackim, aby z istniejącymi trudnościami się uporali ku pożytkowi naszego wielkiego wspólnego zadania.

Dalszym dowodem zainteresowania się zagranicą naszymi pracami było zwrócenie się do autora tych słów najpoważniejszej instytucji międzynarodowej na polu ochrony przyrody, jaką jest „Office international pour la documentation et pour la corrélation de la protection de la nature“ w Brukseli o nadesłanie materiałów, dotyczących naszej akcji. W toku korespondencji, która się wywiązała następnie pomiędzy dyrektorem „Office“ prof. Derscheidem a autorem tego sprawozdania oraz w czasie wizyty, jaką miałem sposobność złożyć prof. Derscheidowi w Brukseli w czerwcu b. r. miałem możność przekonania się, jak uważnie są śledzone nasze prace przez kulturalny świat zachodni. Jednym z najciekawszych szczegółów, który podniósł prof. Derscheid, jest okoliczność, że analogiczne zagadnienia międzynarodowej ochrony przyrody oraz tworzenia pograczniczych Parków Narodowych, jak u nas, istnieją w świecie — zdawałoby się jakże dalekim i odmiennym, bo... w Afryce Centralnej. Tam w mitycznym wnętrzu czarnego kontynentu wysiłek naszych belgijskich przyjaciół stworzył Park Narodowy w górach i wulkanach Kirungu nad Jeziorem Kiwu. Przez wulkany te przebiega jednak granica państwowa belgijskiego Konga i angielskiej kolonii Uganda, — jak to często bywa — granica poprowadzona przez grzbiety górskie.

Myślą więc nasi belgijscy współbojownicy o utworzeniu i tam pod równikiem słońcem pogracznicznego Parku Narodowego. Dziwne wydadzą się te rzeczy: Wszak w przeciętnym wyobrażeniu Europejczyka z Centralną Afryką związane jest pojęcie dziewiczej

puszczy: A jednak i tam niszczycielska działalność człowieka dała się tak we znaki, że tworzenie Parków Narodowych stało się koniecznością, jeżeli pierwotna przyroda tropikalnej Afryki nie ma należeć do bezpowrotnej przeszłości.

Przybwszy w dniu dzisiejszym do wrót Południowo-Zachodniej Afryki myślę o tych niezwykłych analogjach i czerpię z nich otuchę do wytrwania na naszej drodze.

*Zatoka Wielorybia (Afryka południowa).
5 lipca 1929 r.*

Walery Goetel.

Muzeum Tatrzańskie. Rok 1928/29 i plany na przyszłość.

Brak pieniędzy nie pozwala Muzeum Tatrzańskiemu na drukowanie rocznych sprawozdań, tak samo jak nie pozwolił dotąd na wydanie zarysu jego czterdziestoletnich dziejów lub przynajmniej przeglądu działalności w pierwszym polskim dziesięcioleciu. Tem chętniej więc korzystamy z gościny „Wierchów“, gdzie w najogólniejszych bodaj rozmiarach możemy się pochwalić skromnym postępem, wylać nieco żółci na temat chronicznego niedostatku i snuć plany na lepszą przyszłość — oby niezbyt daleką!

Od dziesięciu lat datuje się w życiu naszej instytucji nowy okres rozwoju. Charakteryzują go następujące czynniki: 1) przeniesienie Muzeum z niewielkiego drewnianego domu do wykończonej zgrubsza murowanicy, którą z roku na rok uzupełnia się i wyposaża w niezbędne instalacje; 2) przemiana instytucji w towarzystwo o charakterze regionalnej naukowej placówki, w rodzaj stacji, posiadającej personel o naukowych kwalifikacjach, lokale dla pomieszczenia pracowników, małą pracownię i własne wydawnictwa; 3) uzyskanie opieki i finansowego poparcia władz centralnych, przedewszystkiem zaś podporządkowanie Departamentowi Nauki.

Wszystkie te czynniki wpłynęły dodatnio na życie i ekspansję instytucji. W ciągu dziesięciu lat Muzeum rozwinęło się wcale znacznie. Że nie osiągnęło tego stopnia rozwoju, jakiegoby można oczekiwać po tak długim czasokresie, — to zupełnie zrozumiałe w związku z ogólnym położeniem naszej muzeologii, która ciągle jeszcze odgrywa rolę zaniedbanego kopcuszka. Hamulcem były oczywiście finansowe trudności i dochody niewystarczające nieraz na najkonieczniejsze potrzeby.

Dziejom pierwszego dziesięciolecia i zmaganiu o rozrost należy się osobny rozdział. Tutaj zaznaczam tylko fakt, iż nawet w najcięższych latach, nieraz wprost rozpaczliwych, uwidaczniał się stały, choć powolny postęp. Skala jego była różna: od rzucających się każdemu w oczy posunięć aż do pocznań, zauważonych jedynie przez dokładnie wtajemniczonych w wewnętrzne życie muzealnej placówki. Zależnie od stanu kasy robiło się rok w rok raz mniej, raz więcej, o ile możliwości we wszystkich kierunkach, któremi ma kroczyć Muzeum Tatrzańskie. Uzupełnianie budynku, wewnętrzne instalacje, wyposażanie i europeizowanie pomieszczeń dla pracowników naukowych, powiększanie zbiorów i biblioteki, inwentaryzacja i katalogowanie, pomnożenie personelu naukowego i administracyjnego, wydawnictwa, — oto najgłówniejsze pozycje, do których przelewano dochody z zasiłków, wstępów, oraz z pożyczek. Te ostatnie stały się, niestety, charakterystyczną cechą naszej gospodarki. To jednak pewne, iż bez uciekania się do symbolicznego już weksla rozwój Muzeum byłby w wymienionem dziesięcioleciu o połowę wolniejszy. Haracz, złożony w odsetkach od znacznych długów, oprocentował się stokrotnie w postaci tego stanu, w jakim się dziś znajduje nasza instytucja. W porównaniu z upływem aż dziesięciu lat, trudno mówić o „ogromnym“ postępie. Zato w porównaniu

z nieprawdopodobnymi czasem trudnościami wolno nam ten rozwój nazwać dużym wysiłkiem. W stosunku do naszych finansowych zasobów zrobiliśmy bardzo wiele.

Wspomniałem, iż rozwój Muzeum w ubiegłym czasie dokonywał się bardzo wolno; zważywszy rozmach młodej instytucji i jego personelu, zważywszy braki a braki, oraz bogaty program działalności — drażniąco powoli. Pocięszający wyjątek stanowi rok administracyjny 1928/29, w którym dzięki znaczniejszej gotówce raz wreszcie można było w pewnej mierze dać ujście programowemu rozmachowi. Rok ten jest pierwszym, w którym instytucja posunęła się bardzo znacznie i szybko. Prawda, że zdołała nadrobić ledwo część swych zaległości. Prawda, że podobnie tłustych lat potrzebuje jeszcze wielu, zanim sama uzna się za „wzorowe muzeum“, bo dotąd tak ją nazywają jedynie życzliwi i współczujący troskom przyjaciele, my zaś sami nie możemy tak łaskawej i pobłażliwej opinii uważać za słuszną i zgodną z faktycznym stanem. Jednak mimo tych zastrzeżeń — krok naprzód był duży. Ktokolwiek przejdzie dziś przez budynek od suterenu aż po trzecie piętro i zestawia i zestawia stan z przed dwóch lat z obecną chwilą, ten musi zauważyć, iż przesunęły się przez muzealną kasę „grubsze kapitały“.

— Wyście musieli mieć w tym roku znaczną forszę — powiada ten i ów bywalec.

Ano mieliśmy! Raz wreszcie. I sprawiedliwie nam się należała za chude lata. Była istotnie. Wydaliśmy ją do grosza. Może nieco inaczej niż pierwotnie zamierzaliśmy, gdyż bieżące potrzeby i nieodzowne postulaty nakazały rewizję uprzednich projektów. Wydaliśmy i mamy to głębokie przekonanie, iż każdy grosz ulokowaliśmy celowo, z korzyścią dla kultury i nauki, ze świadomym związaniem wydatków z całokształtem naszego programu.

Tym skarbcem, z którego do zakopiańskiego muzeum przypłynęła dawno pożądana gotówka, był Fundusz Kultury Narodowej. Dyrektorowi Funduszu p. Stanisławowi Michalskiemu, jesteście bardzo zobowiązani za znaczne posunięcie się naprzód i za kilka miesięcy, w czasie których odetchnęliśmy od szukania kapitałów w bankach lub kieszeniach prywatnych kapitalistów. Weksel, ten nieodłączny składnik muzealnej gospodarki, wyszedł na pewien czas z mody. Niestety, aby znowu powrócić z podwójną złożowością, jakgdyby mszcząc się za chwilowe zaniedbanie.

Obok tego spiritus movens, jakim był dla ubiegłego roku administracyjnego dopływ z Funduszu Kultury Narodowej, do ogólnego rozwoju przyczyniły się subwencje Departamentu Nauki, nieco podwyższone w porównaniu z poprzednimi latami, oraz zasiłek Referatu Turystyki, specjalnie zużytkowany na rzecz tatrzańskiego krajobrazu i jego propagandy. Część zakupów zagranicznej literatury tatrzańskiej zawiądzamy niezawodzącej pomocy Oddziałów Pol. Tow. Tatrzańskiego w Poznaniu i Warszawie. Natomiast odpadł zupełnie zasiłek gminny, zaś subwencja Zarządu Uzdrawiska uległa znacznej redukcji. O ile opłakane finansowe położenie gminy może jeszcze usprawiedliwić skreślenie zasiłku, o tyle postąpienia t. zw. „klimatyki“ nie można niczem wytłumaczyć. Muzeum należy do tych instytucji, które — wedle definicji w ustawie uzdrowskiej — mają na celu „uprzyjemnienie“ pobytu przyjezdnym, a w propagandzie Podhala, Tatr i jego turystycznych wartości odgrywa poważną rolę. Wreszcie specjalnie przyrodniczemu działowi przychodzi z pomocą Fundacja Kórnicka.

Zdawałoby się, że dzięki tylu ofiarodawcom Muzeum powinno opływać w wielkie dostatki. Gruba pomyłka! Z całej tej zebrany akurat tyle się ueziera, aby roczny deficyt nie przekraczał zbyt wielkiej kwoty. Dołączony do wszelkich subwencji dochody ze wstępów i pomniejszych własnych źródeł, rok w rok nie możemy się obejść bez ucieczki do weksla i banku. Wszakże Muzeum jest już dzisiaj instytucją niemałą i bardzo żywotną, to też byle jakimi wpływami kasowymi wyżyć nie może. Kto orientuje się

w licznych zadaniach i programie działalności regionalnej placówki, kto oceni, ile zdołała osiągnąć mimo niewesołych stosunków, ten zdziwi się raczej, iż po dziesięciu latach borykania się nie tylko o rozwój, ale czasem nawet i o codzienną egzystencję, tak nieznaczne deficyty obciążają nasze konto.

Niepodobna nużyć czytelnika wyliczaniem wszystkiego, co jest nowością w naszym gmachu po owym tłustym roku, tem więcej, iż połowa tych nowości jest bardzo szara, nieefektywna, dla nieobeznanych ze sytuacją obojętna. Jest to jednak szarzyzna bardzo kosztowna i bardzo potrzebna.

Kto zwiedza nasz budynek, ten napewno sobie wyobraża, iż już od chwili otwarcia był tak urządzony, jak się teraz przedstawia. Kto jednak, tak jak podpisany, spisał w tym gmachu w czasach, kiedy nie było tu ani jednego jeszcze pieca, ani jednej futryny okiennej, tylko surowy mur i obok improwizowanego łóżka imponująca ilość świec, zdmuchiwanym przez złośliwe halniaki, kpiące w żywe oczy z pierwszego lokatora — ten oceni odpowiednio, jak ta szarzyzna stopniowo zamieniała domostwo w cywilizowaną ostoję regionalnej kultury.

Naprzykład — piec! „Wielka mi rzecz!“ — powie taki pan, który posiada pieniądze i na mury i na piec i na wodociąg i na „seliniejakie“ domowe potrzeby. Tak, ale dla Muzeum taki piec był już „problemem“ finansowym. Albo poręczce schodów. Najcodzienniejsza chyba sprawa! No tak, ale jak dla kogo. Owszem, chodziło się przez cały rok na piętra schodami, które nie miały balustrady i poręczy. Mieszkiwało się bez pieca. A gdy stanął już ten piec, to znowu palić w nim czem nie było. Istnieje o tych „poważnych problemach“ opałowych wesoła nowelka Orkana i feljeton Goetla. Zresztą co tu powoływać się na beletrystykę, skoro są tacy, którzy na sobie doświadczyli ówczesnych rozkoszy. Znam wybitnego krytyka literackiego, znaczną obecnie figurę w Departamencie Sztuki, który ongiś jako muzealny lokator tak wymarzył podczas pewnego września z przesadną ilością deszczów i śniegów, iż do dziś dnia wogóle nie wierzy, aby w Muzeum mogło być ciepło, a piece w tym przybytku uparcie uważa za legendę.

Więc w tę i podobną szarzyznę, zapewniającą istnienie i pracę instytucji, weszło sporo grosza w ciągu lat, a przede wszystkim w ubiegłym roku. I jeszcze dużo nam brakuje, ażeby z zadowoleniem stwierdzić, iż w obecnym budynku już niczego nie chybia. Przeczytamy poniżej, do jakich inwestycji jeszcze pretendujemy.

Pokostowaliśmy więc okna i drzwi, pomalowali trochę podłóg, wymienialiśmy „wojenny“ materiał w instalacjach i urządzeniach na uczciwe „pokojowe“ wyroby. Rozszerzono znacznie sieć wodociagową i elektryczną, postawiono 8 kafłowych pieców, umeblowano kancelarję kustosa-przyrodnika, salę konferencyjną, pracownię przyrodniczą, ciemnię fotograficzną i uzupełniono poważnie umeblowanie muzealnego „hotelu“ t. j. pokojów, oddawanych bezpłatnie do dyspozycji pracownikom naukowym, badającym Tatry i Podhale. Remontowano, naprawiano i uzupełniano budowę od suterenu po trzecie piętro, m. i. w celu stworzenia nieistniejących dotąd ubikacyj, jak sala konferencyjna, ciemnia fotograficzna i pracownia przyrodnicza. O pożytku z tych nabytków wiadomo. Choćby tylko nadmienić, iż w ciągu jednego sezonu w nowej sali, będącej przedtem zalonym po sufit magazynem, znalazło się pomieszczenie dla obrad Międzynarodowej Wycieczki Botaników, dla wykładów Pol. Tow. Tatrzańskiego i Państw. Rady Ochrony Przyrody, dla kursu polonistów włoskich i rządowej konferencji granicznej polsko-czeskiej. Niestety, ciasnota, jaka nas srodze gnębi w obecnym budynku, zagraża poważnie owej sali wykładowej i zmieni ją napewno ponownie w smętny magazyn.

Tak się w grubszych zarysach posunęła naprzód oprawa, wewnątrz której rozwija się różnorodna działalność regionalnego Muzeum. O jednym ze składników wewnątrz-

nego życia, t. j. o „hotelu uczonych“ już wzmiankowałem, podając, iż rozbudował się znowu i „zeuropeizował“. W dalszym ciągu powrócę jeszcze raz do jego niezwyklej użyteczności.

Biblioteka wzrosła o kilkaset pozycji w książkach, broszurach i czasopismach i o tyleż w zbiorze wycinków z gazet. Jak nakazuje jej główne zadanie, przyrost dotyczy w trzech czwartych wydawnictw o Podhalu i Tatrach. Z najważniejszych nabytków wymieniam druki węgierskie i niemieckie, oddawna wyczerpane, a nabyte za dość słoną cenę w antykwariach budapeszteńskich. Sprawiono nową szafę specjalnie na przechowywanie zbioru wycinków, których liczba wzrosła do kilku tysięcy, a z których tylko część otrzymała pudła i tylko część jest uporządkowana. Posunęło się naprzód katalogowanie biblioteki, przyczem broszury i czasopisma przede wszystkim były uwzględnione. Czynności katalogowe wykonywali, jak co roku, bibliotekarze kontraktowani na pewien okres czasu, inne zaś prace, jak eliminowanie dubletów, porządkowanie wycinków i t. d. należą do zakresu obowiązków muzealnego personelu.

Biblioteka nasza otrzymuje rok rocznie czy z darów, czy też drogą wymian znaczną ilość wydawnictw, które nie odpowiadają swoją treścią programowi naszego księgozbioru. Staramy się te nabytki przekazywać innym instytucjom, jak np. Bibliotece Publicznej w Zakopanem, bibliotekom uniwersyteckim i t. p., gdzie znajdują się we właściwym miejscu i spełniają swoje przeznaczenie. W ten sposób już od kilku lat parcelujemy często bardzo cenne druki między kilkanaście bibliotecznych placówek.

Ze stałych ofiarodawców wymieniam prof. dra Chybińskiego, oraz pp. Tadeusza i Stefana Zwolińskich, których księgarnia w u. r. skreśliła nam zastarzałe należności za dostarczone książki.

P. Zwolińskim zawdzięcza też Muzeum dar stu kilkudziesięciu powiększeń fotograficznych, ilustrujących krajobraz Tatr, Pienin i Gorców. Piękne te zdjęcia, przy pomocy subwencji Referatu Turystyki zaopatrzone napisami, podklejone, oprawione i oszkłone, zajęły ściany klatki schodowej i hallu w regionalnym układzie, który objaśniają duże napisy nad każdą grupą. Osobno zatem oglądamy Gorce, osobno Pieniny; oddzielne partje tworzą Zakopane, doliny w reglach, Hala Gąsienicowa z otoczeniem, Morskie Oko, Tatry spiskie i t. d. Oprócz estetycznej wartości fotografii, nabytek ten jest znakomitą propagandą turystyki górskiej i budzi duże zainteresowanie u zwiedzającej Muzeum publiczności. Odgrywa przytem rolę moment uczuciowy, mianowicie osobiste przeżycia turysty. „Tu właśnie byliśmy!“ albo „Tam jutro pojedziemy!“ lub „Trzeba to zobaczyć“ słychać stale wśród widzów.

Do tego działu, który nazywamy turystyczno-krajoznawczym, zaliczają się także nowo rozwieszone mapy tatrzańskie, oraz mapy z odpowiedniami objaśnieniami i rysowaniami szczegółami, jak np. granice i pojęcie terminu Podhale, granice administracyjne i polityczne wraz z linią polsko-czeskiej konwencji turystycznej, wielka własność na obszarze Tatr, posiadłości Pol. Tow. Tatrzańskiego, podział Tatr, wreszcie rozmiar i znaczenie Parku Narodowego. Dział ten, który można dziesięciokrotnie powiększyć wykresami i objaśnieniami, przyczynia się dużo do zainteresowania publiczności naszym regionem. Projektowane jednak rozszerzenie jest trudne, gdyż ciasnota paraliżuje na równi z brakiem pieniędzy racjonalne urządzenie części wystawowej.

Domena kustosa-przyrodnika, p. Janusza Domaniewskiego, zrobiła duże postępy. Podobnie jak w opisanym dziale turystyczno-krajoznawczym, w sali przyrodniczej najwięcej wpadają w oczy zmiany na lepsze. Są to owe „widzialne“ zyski, które przeciwstawiłem zdobyczom niewidocznym dla niewtajemniczonych. I właśnie rozwój części przyrodniczej jest tym głównym punktem topograficznym na terenie muzealnym, w któ-

rym bywalec wygłasza sąd apodyktyczny: „Wyście musieli mieć w tym roku pieniądze“. Święte słowa! Obym co roku je słyszał!

Przybyły więc tutaj trzy duże szafy i wielkich rozmiarów dębowa gabłota. Wszystko odznacza się nietylko solidnym wykonaniem, ale i zewnętrznym estetycznym wyglądem. Nowym nabytkiem jest również kilkanaście gabłotek ściennych na zbiory entomologiczne.

Jak w całym niniejszym sprawozdaniu, tak i odnośnie do działu przyrodniczego nie poruszam tych prac, które są dopiero w toku lub w zakresie projektów. O tem potem. Tutaj tylko o faktach dokonanych.

Przybył przede wszystkim wspaniały okaz jelenia, dar Fundacji Kórnickiej, upolowany dla Muzeum przez p. Domaniewskiego. Śliczne zwierzę zajęło ową ogromną gabłotę. Ściśnięte niemożliwie w dawnych szafach ptaki i ssaki przewędrowały częściowo do nowych pomieszczeń, przyczem dział ornitologiczny otrzymał naukowe ugrupowanie, napisy i interesujące objaśnienia. Wzbogaciły się także inne części sali przyrodniczej przy pomocy pracujących w Tatrach i na Podhalu przyrodników. Chrząszcze uzupełnił i urządził p. Szymon Tenenbaum, motyle p. Witold Niesiołowski, płazy i gady dyr. Wacław Roszkowski. Geologiczne zbiory, skompletowane okazami zebranymi przez p. Eugenjusza Panowę, rozmieścili w gabłotkach pp. Ferdynand Rabowski i Edward Passendorfer. Botaniczna część wzrosła o kilkadziesiąt okazów porostów, dar p. Józefa Motyki, urządzony przez p. Irenę Domaniewską. Kustosze-przyrodnik dokonał również rewizji zoologicznych zbiorów i usunął kilka nietatrzańskich przedmiotów, które z dawnych czasów tułały się jeszcze wśród regionalnych kolekcji. Przekazano je odpowiednim instytucjom, np. szkielet kamczackiego niedźwiedzia Państwowemu Muzeum Zoologicznemu. Usunięto również kilka takich okazów, które wypchane niegdyś nieudolnie, kompromitowały instytucję swoim oplakanyim wyglądem. Z biegiem czasu w ich miejsce przyjdą godziwe preparaty.

Dla naukowego życia naszego towarzystwa wielkie znaczenie ma powstanie pracowni przyrodniczej, wyposażonej w komplet najpotrzebniejszych przyrządów. Nie posiadaliśmy dotąd absolutnie nic dla pracy badawczej, bo przecież staroświeckie mikroskopy nie były przydatne do badań i prosiły się o miejsce w jakimś muzeum optycznych narzędzi. Obecnie w osobnym pokoju, zaopatrzonim w odpowiednie umeblowanie, znajdzie przyrodnik nowoczesne instrumenty, więc mikroskop, lupy binokularne, przyrządy rysunkowe, termostat, mikrotom, suszarkę, lupę statywową, chemikalja i mnóstwo innych drobniejszych różności.

W przeciwieństwie do działu przyrodniczego bardzo znaczne wzbogacenie części etnograficznej pozostało dotychczas niewidzialne, gdyż nie wyszło poza szafy magazynowe. Na pociechę trzeba jednak dodać, iż lada dzień staną w sali wystawowej cztery duże szafy na stroje, poczem dopiero nastąpi ruch w magazynie i stopniowa reorganizacja w ugrupowaniu eksponatów. Jest ona z jednej strony bardzo trudna z powodu rozpaczliwego braku miejsca w sali etnograficznej, z drugiej jednak strony nowe zakupy ułatwią należyte skompletowanie wystawowej części.

Przybyło nam około tysiąca okazów z Podhala i Orawy, najmniej ze Spisza. W trzech czwartych są to rzeczy wykupione z rąk agentów i przeznaczone dla handlarzy nawet zagranicznych. Stąd też i ceny zapłacone za eksponaty były wyższe od tych, które płaci się bezpośrednio w chłopskiej chałupie. Niezależnie zatem od zadowolenia z powodu wzrostu naszych kolekcji, mamy i satysfakcję obrony wielu cennych zabytków przed wywozem poza granice kraju.

Gromadzenie okazów, które zawdzięczamy i Funduszowi Kultury Narodowej i zaślówi Departamentu Sztuki, szło jak zwykle w kierunku wykupywania przedmiotów

rzadkich i ginących, a nadto w kierunku kompletowania pewnych działów, tak aby się mogły stać podstawą do monograficznych opracowań, podobnie jak się to już stało z instrumentami muzycznymi i spinkami. Wreszcie ruszyliśmy skąpy dotąd dział strojów ludowych, tak że dziś posiadamy już dosyć dużo materiału z tej dziedziny z różnych okolic góralszczyzny. Nieocenionej pomocy w zakupach udzielili nam pp. Jan Wiktor (Szczawnica), Henryk Dobrowolski (Nowosądeczyna) i Ferdynand Rabowski, który przedzierżnawszy się z geologa w etnografa wyekspluatował sumiennie okolice Jaworek. I tutaj zakupy szły w kierunku wychwywania najstarszych typów odzieżowych.

Łącznie z gromadzeniem okazów i ich opracowaniem postępowała naprzód numeracja i inwentaryzacja. Najdoskonalej w tym zakresie przedstawia się inwentarz metalowych spinek, dzieło pp. Jadwigi i Włodzimierza Antoniewiczów.

W związku z przyszłym rozmieszczeniem okazów przygotowano rysunki kolorowe lub jednobarwne, tyżące stroju, ornamentów i używania narzędzi. W tym samym celu skompletowano również trochę zdjęć fotograficznych.

Jak z tego widać, akcja wystawowa w sali etnograficznej należy jeszcze do zadań przyszłości i narazie ograniczała się do działalności kolekcjonerskiej i inwentaryzacji. W dziale wystawowym, oprócz modelu pasterskiego szałas, nie dodano ani jednego eksponatu i dopóki urządzeń t. j. szaf i gablot brakuje, póty ze względu na bezpieczeństwo okazów żadnych zmian nie przeprowadzę.

Z innych dziedzin obowiązków regionalnego naukowego towarzystwa wymieniam nowy tomik naszych wydawnictw, tym razem treści historycznej. Jest nim praca prof. dra Teofila E. Modelskiego p. t. „Spory o południowe granice djeceji krakowskiej od strony Spisza (od w. XIII do XVIII)“. Dziwnym był los tego przyczynku do polskich praw na spiskiej ziemi. Autor napisał go przed wojną dla wydawnictw muzealnych, które przygotowywał ś. p. Bronisław Piłsudski do „Rocznika Podhalańskiego“. Podczas wojny rękopis zginął, szczęśliwie jednak został odszukany, poczem znowu lata całe czekał w tece Muzeum Tatrzańskiego na wydanie. Również niemało czasu upłynęło, zanim Kasa im. Mianowskiego przyznała na druk niedostateczny zresztą zasitek. Wreszcie po wielu cierpieniach ukazały się „Spory“ z mapą oraz obszernym francuskim streszczeniem, z którego zagranica jeszcze raz może się dowiedzieć, iż polskie pretensje do południowych stoków Tatr i Spiskiej Magury nie były z palca wyssane. Muzeum wydając niniejszy tomik, spełniło także obowiązek wdzięczności wobec zasłużonego zmarłego inicjatora naszych publikacji.

Ważnem dla naukowych badań zdarzeniem jest sprawa własnego schroniska w głębi Tatr. Od dr. Bronisławy i Kazimierza Dłuskich, tak już zasłużonych dla naszej instytucji, otrzymaliśmy w darze parcelę na Palenicy, polanie znajdującej się za Łysą przy drodze do Morskiego Oka, oraz zobowiązanie pieniężnego daru w tym celu, aby — w myśl dawnych naszych projektów — wybudować skromne schronisko dla pracujących naukowo w głębi Tatr. Taki punkt oparcia, zapewniający spokojny odpoczynek i możność naukowej pracy, posiadający łazienkę, ciemnię fotograficzną i magazyn na zebrane okazy, uchroniłby badacza przed koniecznością powrotu do Zakopanego w razie niepogody, oszczędziłby mu obozowania w zgiełkliwych schroniskach i przyczyniłby się walnie do wypraw naukowych w góry. Ułatwiłby on również długotrwałe badania wysokogórskie, np. meteorologiczne, wymagające nieraz znacznego okresu czasu. Ponieważ Muzeum jest jednocześnie właścicielem fundacji dla malarzy, zwanej „Siedzibą Malarską“, przeto zwróciliśmy się do ofiarodawców parceli z życzeniem, aby z przyszłej stacji wysokogórskiej korzystali również i artyści, idący w góry na malarskie studja. Tem się też tłumaczy, iż na cele budowy uzyskaliśmy pewną pomoc finansową z Departamentu Sztuki.

Sprawa budowy utkwiała jednak chwilowo na martwym punkcie. Mianowicie Muzeum na podstawie ogólnej opinii woli budować schronisko na Łysej Polanie, gdyż ta znajduje się w lepszych warunkach, niż Palenica (bliskość wody, dostęp w ziemie od Zakopanego, zamieszkałość Łysej i lepsza opieka). Ponadto doszliśmy do przekonania, iż parcela na Palenicy jest tuż przy ruchliwej szosie i że postawiony tam choćby skromny budynek będzie szkoda dla krajobrazu. Staramy się więc za zgodą ofiarodawców sprzedać palenicką parcelę i albo kupić podobną na Łysej, albo poddzierżawić od Fundacji Kórnickiej. Niestety, jeden i drugi projekt idzie opornie.

Autonomicznie rządzona i na osobnym funduszu i statucie oparta fundacja „Siedziba Malarska im. Alicji i Zygmunta Mińskich przy Muzeum Tatrzańskim“, przeznaczona przez fundatorkę p. Alicję Mińską dla artystów-malarzy i zapewniająca każdemu bezpłatny kilkotygodniowy pobyt wraz z kompletnym utrzymaniem, rozwijała się w u. r. nadal pomyślnie. Administruje sprężysto tym bezpłatnym malarskim pensjonatem p. Kazimiera d'Alphonsowa.

Blizsze stosunki łączą nasze Muzeum ze Stacją Meteorologiczną, alpinarjum i Państwową Radą Ochrony Przyrody. Do utrzymania rozwijającej się stale Stacji przyczyniamy się oddawna bezpłatnym odstąpieniem pokoju dla jej kierownika i przyrządów, wraz ze światłem i opałem, oraz drobnymi inwestycjami i ulepszeniami. Alpinarjum nie jest jeszcze własnością Muzeum. Znajduje się na parceli Pol. Tow. Tatrzańskiego obok naszego budynku, a opiekę wykonuje nad nim komitet, złożony z P. T. T., Komitetu rozbudowy alpinarjum i Muzeum Tatrzańskiego. W poprzednim i obecnym roku przyczyniliśmy się do utrzymania i rozbudowy tego obiektu kwotą paruset złotych. Wreszcie ochroniarska akcja P. R. O. P. ma w naszej instytucji punkt oparcia z jednej strony w sprawach propagandowych, z drugiej przez pośrednictwo kustosza-przyrodnika, który jest delegatem P. R. O. P. na terenie Podhala.

Na tem kończę zarys działalności w 1928/28 roku. Można by jeszcze sporo wypisać o drobnych sprawach i zajęciach, o współpracy Muzeum w Międzynarodowej Wycieczce Botaników, referatach na ankietach i konferencjach, o setkach ułatwień i udogodnień, które co roku robimy czy naukowemu, czy to artystycznemu światkowi, kursom i wycieczkom. Ale to chleb codzienny i rzecz zwykła dla pojmującej należycie swoje zadania regionalnej placówki. Ilość tych drobnych, ale absorbujących agend rozrasta się co roku ogromnie, tak że już i teraz w pełnych sezonach trudno im sprostać wobec szczupłości personelu. Są one dużym utrudnieniem w pracy naukowej i w wewnętrznej muzealnej twórczości, która mimo wysiłków nie posuwa się w pożądanym tempie.

Przechodzę do zagadnienia przyszłości Muzeum Tatrzańskiego. Musimy się zająć tym problemem nie tylko dlatego, że na podstawie spostrzeżeń z ostatniego dziesięciolecia, na podstawie dotychczasowego rozwoju i kierunków tego rozwoju można już ująć w konkretny program działalność zakopiańskiej placówki na następny okres, ale także i dlatego, iż wszystko wskazuje wyraźnie, że w dotychczasowych ramach instytucja nadal nie może się rozrastać i że dotychczasowe warunki egzystencji muszą ulec radykalnej poprawie, o ile niema nastąpić załamanie i zastój. A do tego groźnego momentu nie jest zbyt daleko.

Przedewszystkiem niepodobna rzecz, aby Muzeum, nawet takie, jak się obecnie przedstawia, mogło się utrzymać i rozwijać wśród ustawicznych kłopotów finansowych t. zn. przy dotychczasowych dochodach. Można przez dłuższy okres czasu lawirować wśród deficytów, łątać dziury pożyczkami i sztukować wędrowką do banków, ale przecież „kiejsi się to musi skończyć“, bo dziury są coraz większe, a możliwość ekwilibrystyki jest ograniczona rubryką niezwiększających się należycie wpływów. Zresztą — niekaż-

demu zechce się nadwierać na łataninę, a w takim razie o rozroście niema mowy. Bo to, co w monecie z kilku źródeł otrzymujemy, na dobrą sprawę nie starczy nawet na normalny bieg życia instytucji. Wystarczy zbadać, ile kosztuje konserwacja, uzupełnianie i opalenie budynku, jakich wydatków wymaga „hotel“, utrzymywanie czystości, spłata pożyczek, a już niewiadomo, skąd czerpać na remonty i ulepszenia, na zakup zbiorów i wyposażanie ich w szafy i gabloty. Cóż dopiero mówić o wydawnictwach lub naukowych badaniach!

Muzeum Tatrzańskie nie jest małą instytucją i stąd też byle czem nie wyżyje. Jest nadto regionalną placówką, a ten charakter nakłada nań różnorodne obowiązki, zarówno w kierunku naukowym, jak i popularno-naukowym. W tych warunkach nie jest w stanie podołać swoim zadaniom. Dochodzimy właśnie do ostatnich granic wytrzymałości, a dalej „non possumus“. Za rok najpóźniej staniemy przed raptownym załamaniem linii rozwojowej i zaczniemy z konieczności likwidację agend i działalności, redukując obowiązki wobec nauki i popularyzacji wiedzy — napewno nietylko z własną szkodą.

W takim położeniu już dziś nasuwają się rozważania, czy Muzeum wogóle może istnieć nadal jako prywatne towarzystwo. Czy nie lepiej zawczasu rozpocząć starania o przejęcie na etat państwowy? W zasadzie jest chyba dopuszczalną kombinacją, iż państwo — oprócz centralnych zbiorów — posiada mniejsze typowo regionalne muzeum, które może doprowadzić do wzorowego stanu jako przykład dla innych podobnych placówek. Czy też może połączyć się z inną naukową instytucją jako jej filija? Oczywiście pod warunkiem, iż instytucja ta jest na tyle zasobna, aby taką filję utrzymać i wzorowo rozbudować, i pod drugim warunkiem, aby nie zatracił się regionalny charakter zakopiańskiego instytutu i wynikające z tego charakteru obowiązki i czynności.

Każdy projekt ma dobre i ujemne strony. Niema powodu rozwodzić się już teraz nad nimi. Wystarczy zaznaczyć, iż bierze się różne ewentualności na rozwagę.

Po prawdzie „wielkie“ kłopoty muzealne, istotnie dla nas wielkie i przykre, są śmiesznie małe, o ile idzie o ich cyfrową wysokość. Wogóle zdumiewające, iż pozwolono im tak dokuczliwie wyrosnąć. Przecież naprawdę tak skromnych sum było nam potrzeba w ostatnim dziesięcioleciu, aby nie kończyć deficytowo każdego administracyjnego okresu.

Najważniejszą dla nas sprawą jest nietylko wydatne podwyższenie subwencji, ale i zgładzenie długów. Czy Muzeum ostoi się nadal samodzielnie, czy „przejdzie w jakiegokolwiek troskliwe ręce, musi nieodzwrotnie skończyć z dziesięcioletnim deficytem. To jest jasne, gdyż przedstawia on największą kulę u nogi. Chcąc ją odtrącić, rozpoczęliśmy już dwa lata temu starania o pożyczkę w Banku Gospodarstwa Krajowego, długo-terminową, a więc nieprzenoszącą naszych rocznych zdolności płatniczych, z której pomocą mieliśmy skonwertować mniejsze zobowiązania, za resztę zaś kwoty pokryć blachą gontowy dotąd dach. Dach murowanego Muzeum kryty dotąd gontami!!!

Nie było wówczas gospodarczego kryzysu i restrykcji kredytowych, a poszukiwana kwota przedstawiała wprost drobniąg. A jednak nie znaleźliśmy oddźwięku. Podanie odrzucono. Tłumaczono nam, że stało się to z powodu braku funduszy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności odmowa zbiegła się z datą wielkiego pożaru drewnianych zabudowań o pięćdziesiąt kroków od muzealnego budynku. Gdyby tak tej nocy wiatr wiał w naszą stronę i niósł snopy iskier na ten nieszczęsny dach... Nie wiem czem się wtedy więcej martwiłem, czy tem gontowem pokryciem, czy ubóstwem Banku, który nie mógł nam pożyczyć niewielkiej sumy.

Wnieśliśmy ponownie podanie i czekamy.

Kilka tygodni temu mieliśmy znowu wielki nocny pożar, dla odmiany z innej

Wierchy VII

strony budynku. Także tuż pod nosem. Zato kierunek wiatru ku naszemu dachowi. Zmobilizowawszy hydranty, węże i gaśnice na najwyższym piętrze, bardzo brzydtko mówiłem o tym Banku, który jeszcze nie zdołał zgromadzić potrzebnej nam kwoty.

Nie same długi i nie sam dach są naszymi bolączkami. Mamy jeszcze i inne budowlane kłopoty. Mniejsze pomijam, zatrzymam się nad brakiem centralnego ogrzewania. Wskutek tego w suterenach, gdzie jest także magazyn, w przedsionku, całym hallu i korytarzach w zimnych porach roku panuje temperatura lodowni. Raczej skład mrożonego mięsa, a nie muzeum. Bardzo podobne stosunki spotyka publiczność w obu salach wystawowych. I tu lodowate zimno wypędza widzów na gorącą herbatę do pobliskich kawiarni. A potem w pensjonatach ostrzega jeden drugiego: „Nie choć tam i nie narażaj zdrowia“!

Prawda, w salach są piece. Ba, kiedy na węgiel nie było. Sale są duże i wogóle niewiadomo, poco się je w ubiegłym grudniu i styczniu poraz pierwszy codziennie opalało. Piece zjadły nieprawdopodobne ilości węgla, rezultat zaś był mocno problematyczny. Nie stać nas było na dalsze podgrzewanie i rzucanie w te cztery nienasycone paszce całych wagonów opału.

Nieciekawie też wyglądało zwiedzanie zbiorów przez zagranicznych gości, którzy przybyli na Międzynarodowe Zawody Narciarskie do Zakopanego. Kilkudziesięciu cudzoziemskich korespondentów i wojskowych attaché marzło w kość, dziwiąc się mocno wysokogórskiej temperaturze w muzealnym przybytku. Między zwiedzeniem dolnej i górnej sali była interesująca przerwa: zaproszenie gości do ciepłej kancelarii i do pokojów mieszkalnych na odtajanie. Kto odtajał i był mężny, ten po „posiadach“ koło pieca szedł oglądać klusem resztę zbiorów. Ale byli tacy, którym brakło odwagi. Najodważniejszy fotografował w salach. Temu własnoręcznie naparzyłem kilka herbat w kancelarii.

Chciałbym, aby to wszystko było wyssane z palca. Niestety, są liczni świadkowie opisanych i nieopisanych scen. Wyjątkowo ostrą zimą nie można ich tłumaczyć, bo taką samą lodownie mamy co roku. Nie zapomnę, jak kilka lat temu w listopadzie marszałek Francji Franchet d'Espèrey wkładał na siebie sweater po zwiedzeniu dolnej sali, aby w tym rynsztunku bezpiecznie zwiedzać górna.

Rób tu propagandę kulturalnych i turystycznych wartości Polski i Podhala, kiedy skostniały cudzoziemiec zwiewa czempredzej i pędzi do ciepłego lokalu!

Trudno w takich warunkach i o frekwencję krajowców. A oczywiście, że o pracy muzealnej, porządkowaniu, inwentaryzacji, badaniach naukowych mowy nawet niema przez kilka miesięcy. Chcąc pracować, trzeba wszystko wywlekać, wynosić i przenosić z lodowni do cieplejszych regionów. Ileż tu jałowych zajęć i zbytecznego marnowania czasu przez muzealny personel!

A o chronicznym zamarzaniu instalacji wodociągowej i kosztach naprawy lepiej nie mówić.

Dla instytucji w tutejszym klimacie centralne ogrzewanie jest nieodzowne. Jego brak do tego stopnia paraliżuje naszą działalność, iż chętnie zgodzilibyśmy się na opkiwanie z „Zielonego Balonika“, że

„Najwięcej pożarł cyfer
Sam kaloryfer“.

Boy jest „mędrce“, a to chroni od zajmowania się muzeologią na Podhalu. Gdyby jednak znalazł się na naszym miejscu, napewno zatęskniłby za kosztownym kaloryferem wbrew własnej przedwojennej piosence.

To są nasze najważniejsze bolączki w obecnej chwili, oczywiście oprócz postula-

tów, odnoszących się do zbiorów, gablot i witryn. I w tym zakresie mamy jeszcze rażące braki. Pisaliśmy jednak o nich już nieraz, więc oszczędzam czytelnikom i sobie ich wyliczania.

Nie koniec na tem. Nasz program idzie znacznie dalej — poza mury dzisiejszego budynku.

Jest nam w nim oddawna ciasno, a za rok już niewiadomo, co będzie z miejscem. Wzrastający corocznie brak przestrzeni nie tylko nie pozwala się rozwijać, nie tylko uniemożliwia należyte rozmieszczenie części wystawowej (np. w dziale etnograficznym), ale nawet zmusza do stopniowego likwidowania niektórych już bardzo posuniętych agend i składników naszej ekspansji.

Proszę zwrócić przytem uwagę na ważny szczegół, że budynek muzealny właściwie nie posiada suchych magazynów i nie ma ogniotrwałej sali bibliotecznej.

Przedstawiłem poprzednio los sali konferencyjnej i odczytowej. Był tam przedtem magazyn okazów etnograficznych, obrazów, przyrządów i t. d. Usunięto wszystko na próbę do sutereny i z wielkim kosztem przemieniono skład na salę, wkładając sporo grosza w przebudowę, instalację elektryczną i umeblowanie. Niestety, najsuchsza sutere-na okazała się przecieź wilgotną. I zmuszeni jesteśmy do odwrotu. Sala jest znowu magazynem, konferencyj i odczytów niema gdzie urządzić.

Posiadamy cenną bibliotekę, ale nie mamy osobnej sali dla ustawienia szaf bibliotecznych, ani dla spokojnej lektury. Księgozbiór jest rozparcelowany w kilkunastu punktach: w hallu, w sali przyrodniczej, w kancelarji, w magazynie. Gdy zachodzi konieczność sprawienia nowej szafy na książki, obchodzi się cały budynek i rozmyśla, czy wogóle jeszcze można ją gdzieś ulokować. Skoro dodamy, że dotąd tylko część biblioteki jest skatalogowana, można sobie wyobrazić, czem pachnie wyszukanie potrzebnej komus książki: kilkugodzinną nieraz wędrowką od szafy do szafy, z parteru do drugiego piętra.

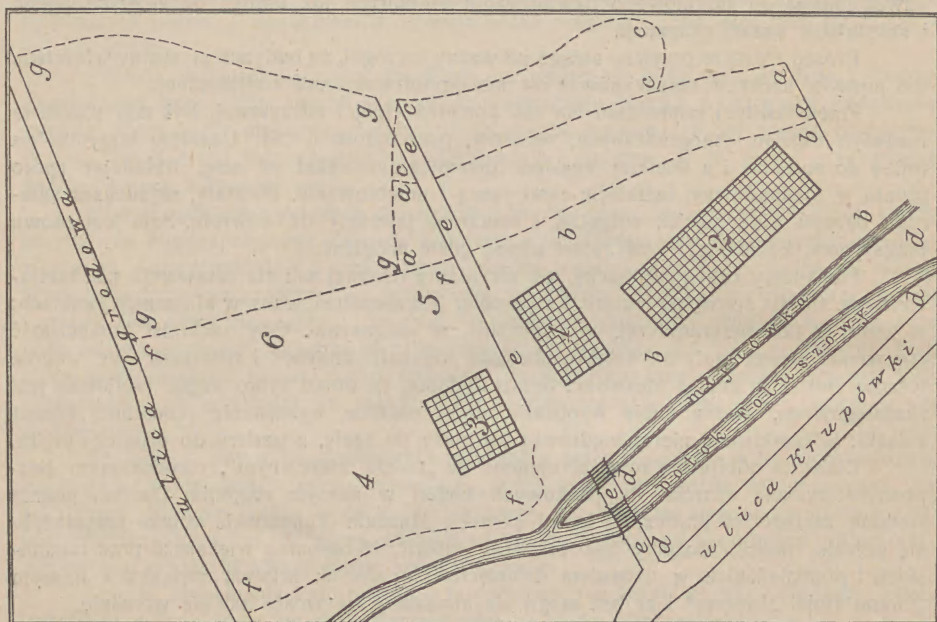
Ciasnota odbija się również ujemnie na „hotelu muzealnym“, nieocenionym bezpłatnym punkcie oparcia dla naukowych badań w naszym regionie. Osobno podam rzetelne zasługi tej imprezy, z której pomocą Muzeum Tatrzańskie dobrze przysłużyło się polskiej nauce. Możemy bez przesady mówić, iż ogromna większość prac tatrzańskich i podhalańskich w ostatnim dziesięcioleciu stoi w ścisłym związku z naszym „Grand Hotel Muzeum“ i że bez niego nie ukazałaby się wcale lub tak wcześnie.

Mieszkańowie środowisko muzealne zmniejsza się gwałtownie. Niedgdyś zajmowało ósem pokoiów, po odstąpieniu jednego na stałe pomieszczenie Stacji Meteorologicznej i jej kierownika — siedem. Z biegiem czasu zredukowaliśmy ich liczbę do pięciu, gdyż jeden przeznaczono na kancelarję kustosa-przyrodnika, a zarazem na mniejsze konferencje i obrady, drugi zaś przemieniono na pracownię przyrodniczą. W ostatnim czasie pada ofiarą jeszcze jeden, który obróciliśmy na konieczny magazyn etnograficzny, a także i na pomieszczenie części biblioteki. Pozostała akurat połowa z dawnego stanu posiadania. A i ta resztką redukuje się w zimnych porach roku tylko do trzech pokoiów, gdyż czwarty na najwyższem piętrze jest tak zbudowany, iż pieca wogóle nie można w nim postawić.

A ruch naukowy w Tatrach i na Podhalu nie maleje wcale, przeciwnie wzrasta. W odwrotnej proporcji kurczy się hotel. Jest to fakt groźny i dla nauki wogóle i dla regionalnych badań i dla samego Muzeum, które ponosiło i ponosi wielkie ciężary w związku z mieszkalnymi pokojami, ale też zato żyje niemi i dzięki nim ma osobliwe znaczenie.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa sal wystawowych. Już dziś część sali przyrodniczej jest tak załozona szafami, iż trudno się w niej poruszać. W wąskich przejściach

tłoczy się publiczność, mimowoli uszkadzając szafy i ich oszklenia. Niech tylko przybędą tutaj cztery nowe gabloty na zbiory geologiczne i mineralogiczne — skończyło się z miejscem. W sali etnograficznej ciasnota jest rzeczą dawniejszą. Tam rzeczywiście niewiadomo, jak zreorganizować eksponaty po przybyciu szaf. W każdym razie o tem, aby dać pełny obraz ludoznawczej strony Podhala, aby dział wystawowy naprawdę celowo urządzić, niema mowy. Na nic się tu nie przydadzą dobre rady, gdyż murów nie przebijają i szczupłej przestrzeni nie rozszerzą.



Sprawa nowego budynku jest zatem kwestją bliską, już teraz aktualną, najbliższą po uzupełnieniu obecnego gmachu wykazanymi powyżej potrzebami.

Gdzie go stawiać? Zorientujemy się w tej przyszłości na podstawie szkicu mapki naszej własności i sąsiednich terenów.

Liczba 1 oznacza dzisiejszy budynek muzealny. Parcela, opisana literami *a*, jest również naszą własnością dzięki darowiznie dra Bronisławy Dłuskiej. Wrzyna się ona między parcelę *b*, należącą do Pol. Tow. Tatrzańskiego, a parcelę prywatną *c*. Na gruntach *b* stoi drewniany i stary budynek Szkoły Przemysłu Drzewnego (numer 2) również własność P. T. T. Otóż jedynym wyjściem jest zakupienie dla Muzeum parcel *b* i *c*, oraz wybudowanie drugiego gmachu w tem miejscu, gdzie teraz stoi budynek szkolny.

Sytuacja jest o tyle pomyślna, iż prywatna parcela *c* jest za wąska i nie może być budowlaną. Szkoła zaś otrzymuje mурowany budynek przy ulicy Kościeliskiej po fabryce „Strug“. Po rozszerzeniu i przebudowie tego pofabrycznego obiektu nasz obecny sąsiad wyemigruje całkowicie z drewnianej rudery, a że P. T. T. odnosi się życzliwie do naszych projektów, przeto kupno stanie się rychło aktualnem, a właściwie już i teraz jest na czasie,

Nowy budynek mógłby z obecnym muzealnym gmachem łączyć się za pośrednictwem pergoli. Ale to rzecz architektów. Na gruncie *c* i częściowo na parceli *a* stałyby wtedy oryginalna góralska zagroda, drewniany kościółek, kapliczki, słowem muzeum na wolnym powietrzu.

W związku z tym planem, który powstał już dziesięć lat temu i który inż. Karol Stryjeński uwzględnił całkowicie w swoim projekcie regulacji Zakopanego, muszą pozostać niezabudowanymi te parcele przed dzisiejszym i przyszłym budynkiem Muzeum, które przylegają do samej ulicy Krupówki. Tutaj stały właśnie owe spalone rudery bazarowe. Te grunty są oznaczone na szkicu mapki literami *d*. W konsekwencji musi też nastąpić regulacja Foluszowego potoku i rzucenie nad nim przyzwoitych mostków. Niezabudowane parcele *d* powinny być przemienione na skwery.

Od mostków na Foluszowym potoku prowadzi przejście *e* na ulicę Kasprusie. Ta droga, doprowadzona do możliwego stanu kosztem obu jej właścicieli t. j. P. T. T. i Muzeum, nie przedstawia się teraz jako linja prosta i dlatego musi być również przerobiona.

Dla skompletowania całego obrazu przyszłości terenów otaczających budynek Muzeum, podaję zaprojektowane również dziesięć lat temu rozwiązanie sytuacji po drugiej stronie przejścia *e*.

Stoi tu Dworzec Tatrzański (numer 3) na parceli P. T. T., oznaczonej literami *f*. Rozbudowa Dworca, który nawet po zamierzonym obecnie przebudowaniu napewno w niedługim czasie okaże się ciasnym, posuwałaby się w kierunku południowo-wschodnim ku ulicy Ogrodowej. To przypuszczalne rozszerzenie wypada w miejscu, opisanym liczbą 4. Punkt 5 — to dwie grupy skalne obecnego alpinarjum, punkt 6 — klatki i maszty Stacji Meteorologicznej. Tutaj cały wycinek Muzeum, P. T. T., komitetu rozbudowy alpinarjum i Państw. Instytutu Meteorologicznego idzie w tym kierunku, ażeby duża parcela *g*, własność gminy Zakopane, pozostała również niezabudowana i oddana na powiększenie alpinarjum. Sprawa jest bardzo trudna. Gmina, której położenie nie jest godne zazdrości, posiada zaledwie dwa place w swoim majątku i zamierza na jednym z nich t. j. na parceli *g* postawić budynek szkoły powszechnej. Wzniesienie w tym miejscu takiej budowli przekreśliłoby zupełnie przyszłość alpinarjum, zniweczyłoby długoletnią pracę Stacji Meteorologicznej, zagroziłoby spokojnemu odcinkowi, na którym gospodarują oddawna towarzystwo turystyczne i naukowe.

W chwili, w której to piszę, odbywają się konferencje między gminą a interesowanymi instytucjami. W obronie idealnych celów i kulturalnych spraw zakopiańskich wniesiono memorjały do władz o przyjęcie z pomocą finansową, gdyż wobec zrozumiałych trudności w gminnej gospodarce jedynie wykup owej parceli uratowałby sytuację.

Tak się obrazuje przyszłość. Plan to szeroki, a na polskie stosunki kosztowny i niełatwy do wykonania. Mamy go jednak stałe na oku i staramy się przygotować grunt podatny, uporczywie broniąc całości projektu i pilnie śledząc, czy nie grozi mu jakaś szczyrba. Wiemy, że rzecz jest przemyślana, realna i wykonalna. A jeśli my jej zrealizowania nie doczekamy, to nasi następcy powinni o nią walczyć i osiągnąć ziszczenie naszych postulatów. Chyba że zaprojektują lepsze rozwiązanie dla przyszłych dziejów Muzeum Tatrzańskiego.

Wyobrażam sobie, iż obecny budynek w całości — z wyjątkiem hotelu i sali konferencyjnej — stanie się wyłącznie działem przyrodniczym. Dopiero wtedy w posiadaniu dwóch sal można naprawdę po europejsku rozwijać i rozmieszczać poszczególne działy, gromadzić oprócz eksponatów wystawowych naukowe kolekcje, oraz rozszerzyć zarówno naukowe, jak i wystawowe zbiory na Pieniny, Gorce, ewentualnie w pewnej przynajmniej

mierze dla porównań na całe Beskidy Zachodnie. Dopiero w tej przestrzeni zmieściłyby się bez natłoku dział zoologiczny, botaniczny, geologiczno-mineralogiczny, meteorologia, dział ochrony przyrody, część geograficzna — wszystko w pełnym zobrazowaniu, a nie jak dotychczas w najkonieczniejszych t. zn. bardzo szczupłych rozmiarach.

Nowy budynek musi posiadać obszerne magazyny i salę biblioteczną wraz z czytelnią, oraz ubikacje mieszkaniowe. A wtedy odciążamy obecny gmach z balastu magazynowego i z rozparcelowanych w kilkunastu miejscach schowków na książki. Odzyskujemy w ten sposób ponownie salę konferencyjną; zyskujemy sporo przestrzeni w salach, w hallu i w różnych zakamarkach; przyjąwszy zaś, iż Stacja Meteorologiczna na stałe u nas pozostanie, powracamy do siedmiu mieszkalnych pokoi. Można już dziś przewidzieć, iż jeden z nich odpadnie na rzecz rozszerzonej pracowni przyrodniczej. „Hotel“ zatem składałby się z sześciu ubikacji, t. zn. wracając do dawnej chwały zaspokoiliby w zasadzie naukowe zapotrzebowanie.

Do nowego budynku przენosi się cała etnografia i dopiero tam występuje w całej swojej wartości. W szczegóły urządzenia nie wchodzę, gdyż program jest tak obfity, iż powstałby z niego obszerny „traktat“. I taki też przygotowuję.

Prócz ludoznawczej części musi mieć osobne pomieszczenie dział turystyczny wraz z Pogotowiem Ratunkowym, kartografią, mapami, ekwipunkiem taternika, dziejami taternictwa i t. d. I tu pomysłowość potrafi bez trudu zająć sporą salę. A gdzie, jak gdzie, ale w muzeum pod Tatrami taki dział jest koniecznym składnikiem wystawowym. W innej instytucji muzealnej na całym terenie Polski nie da się urządzić i nawet nie byłby „na miejscu“.

Niemniej ważną przestrzenią jest sala, przeznaczona na stałą i ruchomą wystawę współczesnego przemysłu artystycznego na Podhalu. Wszystko, co w doborowej produkcji tworzy Zakopane i Podhale, powinno tu być pokazane. Wyroby Szkoły Przemysłu Drzewnego, ceramika, koronkarstwo, kilimy, galanterja, wyroby skórnicze raz w okazowych próbkach, raz w wielkich kolekcjach. Z wykluczeniem tandety. Byłby to pokaz pedagogiczny, gdyż jedynie wartościowe przedmioty mogłyby się tu znaleźć i stawać wzorami dla producentów. Byłby to przegląd propagandowy dla wytwórczości artystycznej Podhala w zakresie przemysłu, a zarazem umożliwienie krajowcom i cudzoziemcom dostępu do pierwszorzędnego towaru.

Zdaję sobie sprawę z niechęci tandeciarzy do takiej wystawy. Już raz się z nią spotkałem, projektując przed laty założenie w Muzeum Tatrzaskim działu „złego smaku“, który widzimy w nieprawdopodobnie wielkich dawkach w każdym zakopiańskim sklepie „pamiątek“. Nic nie szkodzi. Oczywista korzyść z ożywienia instytucji taką imprezą i z poparcia rodzimego przemysłu artystycznego trochę więcej znaczy niż wymyślania rozmnożycieli tandety i paskudztwa.

Zdaje się, iż nic nie szkodziłoby wyzyskać w takim dziale przyływ sezonowych gości i przyjazdy cudzoziemców, a zarazem pokazać tubylcom artystyczną produkcję innych stron Polski. Możliwy byłby zatem zorganizować czasowe wystawy wyrobów kaszubskich, krakowskich, huculskich i t. d. Że taka odmiana ma powodzenie, mieliśmy przykład w tym roku podczas Międzynarodowych Zawodów Narciarskich. I w tym projekcie moment pedagogiczny ma znaczenie tak samo duże, jak i handlowe korzyści.

Nie byłaby to jedyna ciągle zmieniająca się część Muzeum. Wiadomo, jak podobne instytucje ożywiają się przez czasowe wystawy. Gdzież można myśleć o nich w dzisiejszym naszym budynku! Urządziłem tylko jedną dotąd letnią wystawę czasową, mianowicie przed trzema laty fotograficzną („Tatry i Podhale“), kiedy jeszcze w muzealnym gmachu nie było tak ciasno, kiedy do dyspozycji stała obecna sala konferencyjna,

cały hall i część ścian w wystawowych salach. Już wtedy brak miejsca i odpowiednich ściennych przestrzeni powodował ogromne trudności i wprost zniechęcał do powtarzania takich imprez. Cóż dopiero dzisiaj, skoro najkonieczniejszych eksponatów stałych niema gdzie rozwiesić!

Musi więc znaleźć się w nowej budowlu godna przestrzeń na czasowe wystawy. Raz się pokaże zmagazynowane okazy muzealne, nieumieszczone na stałe w wystawowych działach, raz urządzi wystawę kolekcji importowanych z innych muzeów. Nie zaszkodzi dla porównań urządzić pokaz ludoznawczych osobliwości innych stron Polski lub zaprosić do współdziału sąsiadów góralszczyzny, robiąc np. rewję słowackich lub rumuńskich eksponatów. Są to imprezy bardzo pouczające.

A sztuka? Przecież można wtedy przygotować retrospektywną wystawę malarstwa dotyczącego Tatr i Podhala, można pokazać wybitnych artystów, których twórczość z naszego regionu czerpała tematy, można zaznajomić publiczność, bardzo nieraz ubogą na duchu, z Wyczółkowskim, Skoczylasem, Stryjeńską, Jarockim i wielu innymi twórcami.

Muzyka przyszości! A jednak w żywotnem muzeum tak być powinno. I tak być musi, gdy tylko nowy gmach stanie.

O magazynach, składach i salce bibliotecznej już wspomniałem. Dalszym postulatem jest pracownia etnograficzna (m. i. z fonografem i kinematografem) i warsztat dla remontów i konserwacji okazów. Wreszcie mieszkania.

Bo trzeba się także liczyć z powiększeniem muzealnego personelu, zarówno naukowego, jak i administracyjnego. Dwa budynki, dwa duże działu, ruchliwość wystawowa, badania terenowe. Nie może być inaczej. Ale nie można przypuszczać, aby instytucja była w stanie ofiarować swym pracownikom takie wynagrodzenie, aby bez troski mogli się wyłącznie poświęcić pracy zawodowej bez ucieczki do „dorabiania“. Może im jednak zabezpieczyć swobodę w naukowych zajęciach przez pomoc w naturze w postaci skromnych mieszkań. W przeciwnym razie Muzeum będzie mieć prawie zawsze poważne trudności w werbowaniu personelu do drogiego Zakopanego, gdzie za kulturalne mieszkanie płaci się więcej niż wynosi pensja kustosa.

Gdyby ten cały projekt dało się wykonać, to w życiu Muzeum Tatrzańskiego nastąpiłaby znowu nowa era rozkwitu i ekspansji, w dziejach nauki i kultury na Podhalu nowy impuls. Wtedy możnaby dopiero mówić o „wzorowym“ muzeum, o wartościowej stacji naukowej, przy której powstałaby napewno stacja hydrobiologiczna, z którą w ścisłym kontakcie pracowałyby inne naukowe zakłady, a m. i. Instytut Badań Lasowych, jaki ma założyć Fundacja Kórnicka. To zestrzelenie naukowego ruchu, jakie już dziś koncentruje się w naszej placówce, wzmogłoby się ogromnie, a przybyłaby jeszcze koncentracja w zakresie sztuki i kultury. Wtedy dopiero możnaby mówić o całkowicie zorganizowanym i pełnowartościowym prądzie, jaki ma w siebie wchłaniać i z siebie wytwarzać regionalna placówka. Nie może ona być — i dziś nią na szczęście nie jest — owem muzeum-trupiarnią z przed kilkudziesięciu lat. Musi żyć wszechstronnie i w kulturalnym życiu prowincji odgrywać wielką rolę. W przeciwnym razie jest zbyt cenna i bez znaczniejszej szkody może wywedrować do centralnych ośrodków.

I znowu nasuwa się cały „traktat“ o znaczeniu, roli i obowiązkach regionalnych instytucyj wobec regionu i całego kraju. Jest i taka rozprawa na warsztacie, więc damy tu pokój tym rozważaniom. Poruszę tylko jeden szczegół w związku z programem naszego Muzeum.

W X. roczniku „Nauki Polskiej“ prof. Czekanowski przewiduje dalszy rozwój Muzeum Tatrzańskiego i uważa za bardzo prawdopodobne, „że w muzeum zakopiańskim zesrodokują się zczasem nasze badania nad Karpatami, wychodząc daleko poza granice Podhala“.

Pochlebiałaby nam wielce tak świetna i szeroka perspektywa. Nie wydaje się jednak prawdopodobną i wykonalną ze względów praktycznych, ze względu choćby na geograficzne położenie Zakopanego. Przyszłość Muzeum Tatrzańskiego jest istotnie w Karpatach, ale tylko zachodnich, wschodnia jednak połać karpackiego pasma musi otrzymać nową, osobną podstawę operacyjną. Nasuwa się myśl, czy nie znajdzie się ten punkt oparcia w zagłębiu naftowym, gdzie już istnieje Stacja Geologiczna P. I. G. w Borysławiu i gdzie w ostatnim roku z rozmachem powstaje nowe muzeum w Truskawcu. Taki podział sfery zainteresowań naukowych i podział zasięgu kolekcjonowania byłby jedynie racjonalny.

Wyobrażam sobie, że oprócz stacji naukowej, jaką jest Muzeum Tatrzańskie, powstaną na Podkarpaciu mniejsze muzea o charakterze wyłącznie prawie wystawowym. Byłoby bardzo wskazane, aby i one mogły się zdobyć bodaj na jeden, dwa pokoiki hotelowe, tworząc w ten sposób małe punkty oparcia dla pracy badawczej i kolekcjonerskiej. W toku tworzenia znajduje się Muzeum Ziemi Sądeckiej, słychać o projekcie muzeum żywieckiego, a Oddział P. T. T. w Rabce już przystąpił do organizowania lokalnych zbiorów. Prosi się jeszcze kolekcjonowanie w Szczawnicy, Jabłonce, w ziemi limanowskiej i na Spiszu.

Wyobrażam sobie również, iż te wszystkie muzealne placówki zjednoczą się ze sobą w związek pod — słuszną czy niesłuszną — nazwą „Związku muzeów podhalańskich“ dla ujednostajnienia programu i działalności. Coś w tym kierunku już się zarysowuje. Kiedy przed kilku laty przedstawiono mi zarys projektu muzeum ziemi limanowskiej, wysunąłem koncepcję, aby naukowy kierunek przyszłej placówki w Limanowej przypadł Muzeum Tatrzańskiemu. W tym zaś roku inicjatorowie muzealnych zbiorów w Rabce nawiązali już z nami kontakt i prawdopodobnie stosunek ułoży się w przyszłości jako stosunek filii do centrali.

Co do innych punktów góralszczyzny, to pomysły zakładania lokalnych zbiorów datują się nie od dzisiaj. Co więcej, pomysły te tu i ówdzie realizowano. Istniało np. ongiś zaczątkowe muzeum pienińskie w Krościenku. Gromadzono eksponaty i na Orawie. Otóż właśnie brak organizacji, brak opieki, brak przewodniej myśli i wytyczenia granic kolekcjonerskiego zasięgu spowodował zmarnowanie jednostkowych wysiłków i skazał niewielkie na szczęście kolekcje na rozprószenie i zagładę. W ramach projektowanej tutaj organizacji nie doszłoby do tak smutnych wyników, gdyż nad dobrem kulturalnym rozciągałby się nadzór nie tylko centrali, ale i całego „Związku“. To też mimo pełnego uznania dla różnych muzealnych projektów na góralszczyźnie i mimo pragnienia, aby powstała owa sieć organizacyjna, przestrzec trzeba przed przedwczesnymi krokami. Tam, gdzie niema bezpiecznego lokalu, zapewnionej opieki, jasnego planu i odpowiedniego środowiska, trzeba wstrzymać się w zapale, odwlec sprawę do właściwej chwili, ewentualnie w razie zasadniczo niepomyślnych warunków całkiem zamiar zlikwidować.

Stworzenie sieci małych muzeów lokalnych z najskromniejszym choćby przytułkiem dla naukowych pracowników rozszerzyłoby rzeczywiście ekspansję na całe Zachodnie Karpaty.

I w tym projekcie niema nic nierealnego. Realnym jest przecież istnienie i rozwijanie się naukowej stacji w Zakopanem, realnym powstawanie lokalnych zbiorów, realnymi ambicjami posiadania małych regionalnych kolekcji. Trzeba tylko całość podkarmić zasiłkami, ująć w organizacyjne ramy, wyszukać odpowiednich ludzi, nakreślić program ogólny i indywidualny dla każdego ogniwa i popchnąć samorządy powiatowe i gminne do świadczeń na rzecz kultury. Napewno te świadczenia nie zrujną kasowych zasobów władz autonomicznych.

Nie zrujnuje napewno i skarbu państwa przeprowadzenie całego planu rozbudowy Muzeum Tatrzańskiego, zwłaszcza jeżeli wykonanie rozłoży się na kilka lat. Nazwałem wprawdzie pomysł kosztownym na polskie stosunki i trudnym do realizacji. Ale nie są to znów takie sumy, żeby aż żebrać pomocy amerykańskich fundacyj. Rocznie zaś nie wydanoby chyba na utrzymanie i rozwinięcie rozbudowanej instytucji więcej niż potrzebuje jedno dobrze urządzone gimnazjum.

Na zakończenie jeszcze jeden projekt.

W dziejach Muzeum przewinęło się kilka osobistości, których nazwiska związały się ściśle z jego rozwojem i jego istnieniem. Przedewszystkiem nazwiska z tej epoki, w której jedynie ofiarność społeczna budowała i dźwigała wielkie kulturalne dzieła. Nie wymieniając wszystkich zasłużonych, wspomnę tylko, że gdyby nie Adolf Scholtze z Warszawy, nie istniałoby może wogóle Muzeum Tatrzańskie. Gdyby nie dar parceli pod dawny budynek drewniany ze strony rodziny Chałubińskiego i gdyby nie pomoc Władysława Zamoyskiego, nie miałaby instytucja dachu nad głową. Gdyby nie Dłuscy, nie mieścilibyśmy się dzisiaj w murowanym gmachu i nie mielibyśmy perspektyw dalszej rozbudowy. Gdyby nie dary w okazach Bronisławy Kondratowiczowej, Zygmunta Gnatowskiego, Józefa Lesieckiego, Marji Dembowskiej, Ksawerego Praussa i innych, byłibyśmy o wiele, wiele ubożsi.

Czy nie godziłoby się w przyszłym muzealnym budynku zarezerwować poczesny kąt — może w owej pergoll — na zobrazowanie dziejów Muzeum i dla uczczenia zasług tych, dzięki którym z niepozornej kolekcji, przechowywanej przeszło czterdzieści lat temu tam, gdzie dziś znajduje się apteka p. Tabeau przy Krupówkach, urosiliśmy w znaczną i znaczącą placówkę, dzięki którym sięgamy po dalszą przyszłość.

Szczególnie zaś zasłużonym — tych nazwisk nie potrzebuję wskazywać, gdyż są powszechnie znane — powinno Muzeum okazać wdzięczność jeszcze dobitniej, mianowicie przez nazwanie poszczególnych działów lub sal wystawowych ich nazwiskami. Gdy sięj teraz posiada tylko dwie sale, to lepiej ich nie dedykować nikomu. Skoro jednak rozbudowa pozwoli stworzyć naprawdę działy i otworzyć kilka nowych sal, w tym wypadku rzecz byłaby właściwa i na miejscu.

Gdyby do tego doszło, to specjalnie dla działu ludoznawczego oddawna jako etnograf projektuję związanę z nazwiskiem zasłużonego dla Muzeum etnografa. Tylko tu, gdzie pracował cicho a wydatnie ś. p. Bronisław Piłsudski, założyciel Sekcji Ludoznawczej T. T., jest właściwe miejsce dla uczczenia jego zasług. Dzieje owej Sekcji i zarys działalności „pana Bronisława“ przygotowałem osobno do druku. Tu przypominam, iż był pierwszym, który w Muzeum Tatrzańskim zajął się gorliwie ludoznawczymi zbiorami, który kierował ich gromadzenie i urządzenie na właściwe tory, tworząc naukowe podwaliny i cenne projekty, który zapoczątkował nasze wydawnictwa z ogromnym trudem, uważając je słusznie za jedno z najważniejszych zadań regionalnej placówki.

Chciałbym, aby Muzeum składając kiedyś hołd wielkim twórcom swojego znaczenia, uczciło pamięć świetlanej postaci cichego pracownika i nazwało dział ludoznawczy nazwiskiem Bronisława Piłsudskiego.

Juljusz Zborowski.

Zagrożone źródła Wisły.

Wisła! — drogie dla Polaka słowo, drogie, jak słowo Wawel, Częstochowa, Kościuszkow. Źródła i ujście rzeki naszej macierzystej nie w polskich niestety znajdowały się rękach; pierwsze szczęśliwem losu zrządzeniem stały się znowu naszą własnością naro-

dową, własnością Państwa polskiego. Spodziewałyby się należało, że miejsca te, gdzie źródła Wisiełek tryskają, otoczone będą staranną pieczołowitością, że strzeżone będą jak cenny klejnot, który ma pozostać takim, jakim dali nam go Bóg i natura, tem więcej, że przecież hasła ochrony przyrody stają się coraz głośniejsze i popularniejsze.

Dawniej pędzili od źródeł Wisły turystów, żądnych widoku „wykapów“, alpejscy strzelcy dumnego arcyksięcia, który koło źródeł Wisiełek zbudował sobie letni pałacyk i urządził zamknięty rewir myśliwski. Dziś, kiedy pałacyk stał się schroniskiem P. Tow. Tatrzańskiego, kiedy rozłogi Baraniej góry stanęły otworem dla turystycznego ruchu, spieszy tam każdy letnik, każdy turysta, spieszą wędrowki młodzieży z całej Polski, ażeby zobaczyć jak powstaje Wisła, jak w mrocznej kniei kąpią leniwe „wykapy“ Czarnuchy, jak tryskają żwawe poniki Białki. Każdy z nich mówi z dumą: byłem, gdzie Wisła tryska, piłem z jej źródełek wodę — bo źródła Wisły, to miejsce przez Polaków otoczone czcią i umiłowaniem.

Swemu osobistemu zachwyтови i pietyzmowi dla źródeł Wisły i jej dolin, dałem wyraz w „Pamiętniku Tow. Tatrzańskiego“ z r. 1913, a następnie w mym „Przewodniku po Beskidach“. Toteż tutaj opisywać ich nie mam zamiaru, lecz chcę dać tylko ujście żalowi, jaki mię ogarnął, gdy w bieżącym roku znowu zapuściłem się w te strony. Nie przypuszczałem, iżby w ciągu lat kilkunastu, ba nawet kilku, bo przed laty czterema tam byłem, dzieło natury tak mogło zmienić swą postać. Rozległy płaskowyż szczytowy i cały zachodni, stromy stok Baraniej aż do samego podnóża, stał się jedną pustką i golizną tak, że dziś dla niej trafniejszą byłaby nazwa Łysej góry. Tak bowiem przedstawia się ona ze strony letniska Wisła i z okien budującego się zamku dla prezydentów Rzeczypospolitej. Jedyne dolina Czarnej Wisiełki i jej teren źródłowy czernieją w powodzi borów.

To masowe ogołocenie góry Baraniej z jej prześlicznych lasów nie pochodzi na szczęście z winy „rabunkowej gospodarki lasowej“. Sądu o niej wydawać nie chcę, bo nie znam jej szczegółów, ani tajników. Słyszałem, że w roku 1925 nawiedziła zimą stoki i szczyt Baraniej niebywała huraganowa nawałnica, która wykrociła i połamała jej lasy do tego stopnia, że następstwem tego musiało być ich masowe wycięcie. Nie chodzi zresztą o to, co się naprawić nie da, lecz o to, co jest i co będzie. Otóż teren źródłowy Białej Wisiełki, to jest olbrzymi i stromy stok zachodni Baraniej, nieomal aż po same wodospady jest pustym wyębem, pełnym pniaków, tramów, zaśmieconym odpadkami drzewnymi, zeszlęmi gałęziami i korą. Śliczne, przejrzyste, obramione kwiatami źródełka Białki, są obecnie pogniecionemi, zaśmieconemi bagienkami, odartemi z uroku. W dolnych dopiero częściach góry strumyczki są podobne do samych siebie. Na to narazie nic poradzić nie można, to się naprawić nie da. Jedyne na to rada, zasadzić cały ten teren znowu lasem jodłowym i czekać, aż sama natura naprawi to, co natura i ludzie zniszczyli.

I jedną jeszcze krzywdę, do nieba o pomstę wołającą, źródłom Białki naprawić trzeba, a to znieść pokopane rowy odwadniające, któremi jej górny teren pocięto. Choćby gospodarcze względy sto razy domagały się odwodnienia terenu, to sto jeden razy muszą one w tym wypadku ustąpić miejsca względem estetycznej i uczuciowej natury.

Teren źródłowy Czarnej Wisiełki znajduje się w o wiele korzystniejszym stanie, choć go także dokoła obgryzła siekiera. „Wykapy Czarnuchy“ znajdują się na południowo-zachodnim, łagodnym skłonie góry, od burzliwych huraganów osłonięte. To też rozległy teren wykapów i roztoka, do której się one zlewają pomiędzy schroniskiem a szczytem, zachowała w zupełności swój dziewiczy las. Jedyne górna, podszczytowa część jego została wycięta i obsadzona młodnikiem świerkowym. Niefortunny przypadek, czy niewaga ogołociła z otoczenia drzewnego tylko najwyższe wykapy, a główny „wykap“ z pod

smreka“ pozbawiony został swego pnia opiekuńczego, i przecięty także — o zgrozo — rowkiem odwadniająca. Tu wszystko prawie jest tedy do ocalenia i naprawienia możliwe. Zasypany rowek porośnię mchami, grupa młodych smreków otuli znowu grząskie uroczysko, jednego tylko potrzeba, aby na kilkunasto — czy choćby tylko kilku — hektarowy teren wykopów, ani tej zimy, ani następnej, ani żadnej nie zawitały piły i siekiery. Niech z pod mchów puszystych, z pod korzeni smreków, z gąbczastej, czarnej próchnicy kapią i bulgotają sobie czarne wykopy — tak, jak je stworzyła natura — po wieczyste czasy.

Trzecim miejscem, które wymaga ochrony, jest dolina Białej Wisłki. Jest to bezsprzecznie najpiękniejsza, najoryginajniejsza i geologicznie najciekawsza dolina nietylko na Śląsku, ale w całym Beskidzie Zachodnim. Jej pionowe ścianki po lewym brzegu, uwarstwowanie jej łożyska, nadbrzeżna roślinność, życie i temperament hucznego potoku, siklawy i wodospady — nie mają równych sobie. W łożysko to wtargnęła bita droga i ograniczyła stan posiadania uroczej rzeczki. Z tą koniecznością zgodzić się musimy. Nie można atoli zgodzić się z budowaniem mostów na wysokiej żelaznej konstrukcji, tak nie harmonizującej z dzikiem otoczeniem, nie można zgodzić się z progami drewnianymi wbijanymi w łożysko, z tamami o okrągłaków, z podporami od ścian gościńca do przeciwniejszej ściany potoku. Konserwacja drogi, zdaje mi się, da się skutecznie bez szpecących krajobraz urządzeń.

Reasumując powyższe wywody, stwierdzam, iż na Baraniej Górze należy: 1) zalesić łożyskami z limbowym pasem ochronnym teren źródłowy Białej Wisłki i uznać go za rezerwat, 2) również za rezerwat uznać teren wykopów. Czarnuchy, 3) pozostawić w stanie pierwotnym i dzikim dolinę Białej Wisłki, jeżeli nie całą, to przynajmniej po osiedle Fojtule. Towarzystwo Tatrzańskie zainteresowało się tą sprawą i jest nadzieja, że za pośrednictwem Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Województwa Śląskiego, którego ingerencji powyższe tereny przedewszystkiem podpadają, celu swego dopnie.

Kazimierz Sosnowski.

„Droga Orkana“.

Związek Podhalań, nowotarski Magistrat i limanowska Rada Powiatowa wysuwają od pewnego czasu projekt zbudowania drogi bitej przez Gorce i szczyt Turbacza, któraby łączyła Nowy Targ z Niedźwiedziem i Mszaną Dolną, — i rzekomo znacznie skracająca automobilowe połączenie Zakopanego z Krakowem i Warszawą. Nie dość na tem jednak, bo są jeszcze tacy, którzyby trakt ten chcieli poprowadzić przez główny grzbiet Gorców i połączyć z Ochotnicą.

Inicjatorzy tego planu obiecują sobie z tego gościńca wiele korzyści ekonomicznych dla Podhala, a przedewszystkiem rozwoju Kowańca i połudn. stoku Gorców jako lotniska. Cel zaiste dobry, ale droga do niego wcale nie musi prowadzić przez Turbacz i „szczytowy wał Gorców“.

W ub. roku odbyła się w tej sprawie konferencja w krakowskiej Dyrekcji Robót Publicznych, na której w myśl wywodów przedstawicieli Tow. Tatrzańskiego, plan ten uznano za nierealny i nieekonomiczny, a ewentualną budowę nowego gościńca uchwalono poprowadzić przez wieś Obidową, przełęcz Stare Wierchy, wieś Porębę Wielką i Niedźwiedź do Mszany Dolnej.

Zwolennicy drogi przez Turbacz nie dali jednak za wygraną i występują w prasie z dalszą agitacją za „drogą Orkana, któraby była najpiękniejszą drogą wycieczkową

w Polsce, jedną z najpiękniejszych w Europie“ i koniecznością gospodarczą dla połączenia Podhala z Mszaną, Limanową i Sączem.

Co więcej, dnia 20 lipca 1928 r., pomimo uchwał krakowskich, odbyła się w Gorcach komisja z delegatem Ministerstwa inż. Mizerskim, która ustaliła, iż droga ta ma wznosić się ponad doliną Hucisko i wychodzić na przełęcz Suchory (takiej niema) pod Obidowcem, złąd przez szczyt Obidowca i dalej wierchem do schroniska pod szczytem Turbacza z zejściem na Kowaniec. Na szczycie Turbacza „ma mieć nawiązanie do szczytowej drogi turystycznej wałem Gorców aż ku Ochotnicy“.

Że byłaby to droga piękna, temu zaprzeczyć nie można; że jednak skazałaby ona na zagładę Gorce, jedną z najpiękniejszych grup beskidzkich, temu też zaprzeczyć nie można. Wpuszczenie jarmarków samochodowych na szczyt Turbacza równałoby się odebraniu tej górze wszelkich cech ustronności, ostatków dzikości i pierwotności.

W ślad za podrutowaniem Gorców gościńcami poszłoby wycięcie doszczętne ich lasów, zniszczenie szańnictwa, wypłoszenie resztek zwierzyny, odarcie tych gór z górskiego oroku. Dziś, gdy hasła poszanowania przyrody i tworzenia parków natury coraz rozgłośniej i skuteczniej rozbrzmiewają tak, że i w Gorcach hr. Wodzicki tworzy prywatny rezerwat w prastarą knieję na Kopieńcu, żądanie budowy kolejek i gościńców przez szczyty górskie należy uznać za nieaktualne i zbankrutowane.

Prócz tego i względy gospodarcze przemawiają przeciw projektodawcom.

Nowotarski Kowaniec, miejscowość letniskowa piękna i zdrowa, wcale dla swego rozwoju nie potrzebuje gościńca przez Turbacz i tumanów samochodowego pyłu, smrodu i huku; wystarczy mu bowiem parę kilometrów dobrych dróg dojazdowych w dolinę Robowa, Gazdów i w Oleksówki, do podnóża gór doprowadzonych. Również i letniskowy rozwój połudn. stoków Gorców wcale nie potrzebuje szczytowego gościńca. To samo odnosi się do Niedźwiedzia i Poręby Wielkiej, których połączenie ze stacją w Mszanie wymaga tylko rzetelnej poprawy istniejącej już drogi; a zresztą jeszcze w lepszy sposób sprawę połączenia tych miejscowości z Podhalem rozwiązałyby gościńiec przez Stare Wierchy i wieś Obidowa, prawie zupełnie pozbawioną drogi, gdzie ludzie i konie łamią nogi, jeżdżąc i chodząc łożyskiem potoku.

Budowa gościńca przez Turbacz — to przedsięwzięcie bardzo kosztowne, luksusowe, a mało rentowne. Gdybyż to ono było jeszcze nieodzowną koniecznością, ale tak bynajmniej nie jest. Wszak stoki Gorców są już przecięte znanym gościńcem Chabówka—Obidowa—N. Targ, który przebiega najwyżej 10 km od szczytu Turbacza, z którego odgłosy trzasku samochodowego aż do schroniska dochodzą, a który w porze zimowej częstokroć zawałony śniegami staje się dla komunikacji beзуżyteczny. Z tego to powodu poprowadzono równoległy gościńiec znacznie niżej przez dolinę Raby i przełęcz Sieniawską do Klikuszowy, który domaga się dostosowania do ruchu samochodowego jako komunikacyjna rezerwa w razie beзуżyteczności pierwszego.

Skróć połączenia drogowego Krakowa i innych miejscowości, jak N. Sącza lub Krynicy z Zakopanem przez wybudowanie gościńca na Turbaczu byłyby minimalny, a po doliczeniu różnicy poziomu — żaden. Różnica ta między Obidową a Turbaczem wynosi bowiem tylko okragłe 600 m! A ileż kilometrów długości trzeba by dodać w serpentynach, prowadzonych na wysokość 1300 m?!

Drogi, po grzbietach Gorców prowadzone, szłyby na wysokości 1000—1300 m, a zatem przez 6—7 miesięcy w roku byłyby nieużyteczne, bo zawałone nieprzebytym śniegiem.

Poświęcić zniszczeniu grupę uroczych gór, wyłożyć sporo milionów na budowę

drogi rzekomo poetycznej, a w rzeczywistości poezję gór niszczącej, gospodarczo zaś nieproduktywnej, z którejby w porze letniej tylko korzystać mogły spacerowe auta, a w dni jarmarczne parę żydowskich furmanek — to nic innego, jak fantastyczna zachcianka, zarówno ekonomicznie jak i estetycznie chybiona.

Ze względu na projektowaną nazwę drogi sprawa ta osobiście dotyczy Władysława Orkana, w Górcach zamieszkałego i ich pięknem w twórczość pociągniętego. Wielce pożądaną byłoby tedy rzecz, ażeby o projekcie wypowiedział swe zdanie także Orkan sam.

Oczywiście Państwowa Rada Ochrony Przyrody także będzie tu mieć coś do powiedzenia.

Kazimierz Sosnowski.

Gospodarka turystyczna w Beskidzie Zachodnim. — 1928/29.

O minionym okresie gospodarczym w Beskidzie można się wyrazić naogół dodatnio.

Do historii przeszły już czasy, w których szereg grup górskich w Beskidzie był turystycznie bezpańskim, bo żaden z Oddziałów P. T. T. nie miał odpowiednich środków, czy też wręcz nie chciał brać nowego kłopotu na prowincjonalną głowę. — Dziś Beskid Zachodni, to jakby świeżo odkryte pola złotonośne, na których nawet odbywa się czasami swoisty wyścig o pierwszeństwo.

W związku z tem jednak, uwydatnia się coraz bardziej możliwość popadnięcia z jednego ekstremu w drugi — Beskidowi zaczyna grozić przekulturzenie.

Kilka lat temu plaga ta nawiedziła poraz pierwszy — Pieniny, w których „zafarbiło się“ i „zadeszczyło“ (wyras ten pochodzi od — deski drogowskazowej), w przerażający sposób. — Ale planetnicy, pastuszkowie i dobrzy ludzie, opętani przez ducha ochraniarskiego, byli łaskawi i Pieniny na czas odratowano. — Dziś są już one Parkiem Narodowym, a na polanie Wymiarki pod szczytem Trzech Koron (stara nazwa — Troisty Szczyt Korony), które to miejsce chciała genialna myśl ludzka obdarzyć schroniskiem, nadal będzie krzewić się wiosną prześliczna flora pienińska, a turyści powędrują po „papu“ i „lulu“ — do Sromowiec.

Ale demon farby i drogowskazu z długim ogonem wszelakiego śmiecia — nie zginął. Gdzieś w Śląskim Beskidzie żywot rozkoszny pędzą, już jedną swą łapę kładzie na Górcę, urokliwy kraj roztok szumiących i legendy starodawnej.

Górcom, w związku z ich specyficznym charakterem, wystarczyłyby najzupełniej dwa szlaki dalekobieżne, przecinające je wzdłuż i wszerz — od Rabki po przełęcz Knurowską i z N. Targu ku Beskidowi Limanowskiemu. — Tymczasem, zaczyna się tam nawykiem każdego młodego Oddziału prowadzić szlaki przez najpiękniejsze roztoki, które, z o wiele niższym uczuciem przeszedłby nawet przeciętny turysta nie widząc tych natrętnych śladów cywilizacji.

Okazuje się, iż rozumowania różnych Oddziałów P. T. T. nie są jednakowe. Ci chcieliby znakować tylko dla dobrych turystów, tamci znowu dla stawiających pierwsze kroki w turystyce górskiej, czyli dla t. zw. „matloków“.

Sens leży jak zwykle w pośrodku — szlaki winno się znakować, mając na względzie turystów średniej miary (zrozumiałe, iż wyłącza się tu szlaki siłą faktu specjalnie popularne), a więc nie znakować ich ani za wiele ani też za gęsto, a zwłaszcza w terenach przyrodniczo i krajobrazowo wybijających się ponad przeciętność. — Pamiętajcie o tem ofiarni „pacykarze“ i opamiętajcie się gdzieniegdzie!

Tyle o Górcach — zupełnie poważnie natomiast trzeba by się zastanowić nad Beskidem Śląskim.

Grupa ta sama w sobie niebrzydka, zwłaszcza w partjach Stożka, Czantorji i Skrzycznego, traci w ostatnich latach z zatrważającą szybkością charakter, że się tak wyrażę — beskidzki — zamieniając się w jakiś swoisty park, ale nie ten „Narodowy“.

Gordyjskie węzły szlaków znaczonych, które wprost nie chcą pomieścić się na mapie, na których potrafiłyby chyba zabłądzić i sam ich twórca (a już zwykły „matlok“ staje z otwartymi ustami i błędnym okiem toczy dokoła) — istna hodowla tablic drogowo-wskazowych, od porządných metalowych aż do tych swojskich z kawałka starej paki — i śmiecie — papierowe, blaszane, szklane, różnokolorowe, wielkie i małe — wszędzie śmiecie. — (Obok schroniska „Naturfreund“ na Błatni cała łąka jest literalnie pokryta rozbitymi fiaskami z wódki — tak, że przejście bosą nogą jest wogóle wykluczone). — Wycieczki gremjalne, składające się niejednokrotnie z kilkuset osób, z orkiestrą dętą, z chorągiewkami, z kuchnią polową (sic! — „raz widzieć a potem umrzeć“), wędrują ze strasliwym hałasem po grzbiecach górskich, niszcząc kultury, łamiąc gałęzie drzew i krzewów. — Trochę to przypomina najazd Hunnów, trochę festyn w Podłężu, a w całości stanowi widok niezmiernie żalony.

Są rzeczy, w których dopóki kultura pewnych odłamów społeczeństwa nie podniesie się, mogłaby interwenjować tylko policja względnie odosny Zarząd Lasów, — organizacje turystyczne jednak nie powinny, choćby nieświadomie, pośrednio, popierać takowych, wyznaczając za wiele szlaków i budując schroniska w punktach drugorzędnych.

Część Beskidu Śląskiego, a więc prawie całą grupę Wiślańską, możnaby już uznać za straconą dla turystyki beskidzkiej (nie „familijnej“!). — Należałoby jednak póki jest jeszcze czas po temu — uchronić dla niej grupę Skrzycznego i małopolskie stoki Baraniej Góry. — Potem może już być za późno! — Nie do każdej stajni Augiasza znajdzie się Herkules — a cóż dopiero cały ich bataljon.

Wśród zachodnio-beskidzkich Oddziałów P. T. T., wybił się w ostatnich latach na pierwsze miejsce Oddział Żywiecki.

W swych olbrzymich terenach, od Białej i Zwardonia sięgających po N. Targ i zakopiańską Gubałówkę, potrafił on zaprowadzić i utrzymać wzorową gospodarkę, a dziś oparty na paru tysiącach swych członków dysponuje czterema schroniskami, projektując budowę piątego.

W pracach Oddziału tego złączyło się niemal wszystko: praktycznie przemysłany rozmach organizacyjny, z umiejętnem (ilościowo i jakościowo) znakowaniem szlaków, logicznem rozłożeniem ich kolorów i drogowo-wskazów, wreszcie z celowem zakładaniem stacyj turystycznych i schronisk. — Nie sposób tu nie wspomnieć o syzyfowej wprost pracy jednego z głównych filarów Oddziału — prof. Stanisława Merty i jego syna Józefa, słuchacza U. J. — którzy tygodniami całymi znakując i kontrolując szlaki oraz schroniska (prof. Merta jest głównym inicjatorem wspaniałego schroniska na Pilsku), zasłużyli sobie na trwałą pamięć w historii turystyki beskidzkiej.

W minionym sezonie wykończył Oddział Żywiecki budowę schroniska na Hali Miziowej pod szczytem Pilska, które nie będąc żadnym zameczkiem czy willą w stylu „restauracyjnym“, tylko piękną budowlą opartą w konstrukcji na motywach podhalańskich i miejscowych¹⁾, w niczem nie szpeci otoczenia, a oddaje nieocenioną wprost przysługę zwiedzającym potężną grupę Pilska. — Schronisko po całkowitem urzędzeniu go, pomieści śmiało stukilkudziesięciu turystów, a stare schronisko na przełęczy Korbiewskiej stanie się punktem pomocniczym dla turystów udających się w dalszym ciągu ku Babiej Górze.

¹⁾ Zbędną jest tylko sygnaturka, która psuje charakter dachu, niczem się nie tłumaczy i nadaje budynkowi pozór jakiejś kapliczki (przyp. redakcji).

Uznania godnym czynem Oddziału Żywieckiego było przejście z powrotem w gospodarkę turystyczną całego pasma Wielkiej Raczy, które po długich latach wyczerkiwań tak polskiej turystyki jak i czeskiej, zostało wreszcie — w lipcu b. r. — należycie zagospodarowanem. — Ze szlaków przez nie prowadzonych należy wymienić przedewszystkiem wielki, niebieski szlak okrężny z Zwardonia na Pilsko (60 km), który rozpoczyna się na Baraniej Górze i przez Zwardoń, W. Raczę i prz. Ujsolską, faluje



Nowe schronisko Oddziału Żywieckiego P. T. T. na hali Miziowej pod szczytem Pilska.

Fot. St. Merta.

wzdłuż granicy państwa, na Pilsko. — Drugim ważnym i ciekawym szlakiem jest czerwony szlak łącznikowy z Małą Fatrą, rzucony z Rajczy przez Rycerzową i Okruhlicę, do Zázrivy pod Rossudzcem. — Jest to najkrótsze i najpiękniejsze połączenie z M. Fatrą, wyznakowane w porozumieniu z czeskosłowackim Klubem Turystów.

Ponadto założył Oddział w paśmie powyższem stację turystyczną w Przegibku (993 m), będąca w związku ze spalonym schroniskiem Č. S. K. T. na W. Raczy, jedynym punktem noclegowym w tej długiej i wyjącej turze — oraz zorganizował swe lokalne Koło w Zwardoniu.

Zwardoń — owo przemile letnisko górskie, położone na wys. 700 m n. p. m., na głównej przełęczy karpackiej, i ważny punkt węzłowy dla turystyki letniej — odegra w niedalekiej przyszłości rolę głównej stacji sportów zimowych dla całej Żywiecczyny i Śląska. Posiadając dokoła w rozległym promieniu bardzo dobre tereny narciarskie, skocznię wybudowaną poprzedniej zimy i specjalne pociągi turystyczne letnie i zimowe, z Górnego Śląska, (na rok 1931 projektuje tam Oddział Żywiecki budowę schroniska narciarskiego), przyciągnie on niewątpliwie liczne rzesze śląskich narciarzy, tracących w przeważającej części czas na eksploataowaniu Baraniej Góry, conajmniej czwartorzędnego terenu narciarskiego w Beskidzie Zachodnim.

Zagospodarowanie turystyczne pasma Wielkiej Raczy, wywlekło na światło dzienne¹⁾ nieco spóźniony, a swojski projekt czegoś, co miałyby nosić nazwę „rezerwatu turystycznego“ i polegać li tylko na nieznakowaniu kilku ważnych szlaków, w najnormalniejszej zresztą, przyrodniczo, części Beskidu. — „Rezerwat“ taki, w założeniu swem i pomysłach przeprowadzenia par force, nie nadający się do rzeczowej dyskusji, należałoby chyba zastosować w Beskidzie Śląskim.

W minionym sezonie, Beskid Zachodni zyskał nowego współgospodarza. Jest nim **K r a k o w s k i e K o ł o A k a d e m i c k i e P. T. T.**, które — w porozumieniu z Oddziałem Żywieckim — objąwszy w gospodarkę południową część Zasolskich Gór, wytyczyło przez nie głównym grzbietem t. zw. „szlak północny“ (czerwony) ze Skawiec, przez Leskowiec, Madohorę i prz. Kocierską, do Porąbki w przełomie Soły, otwierając tem samem Beskid Mały dla turystyki krakowskiej — oraz żółty szlak narciarski z Leskowca do Lachowic. — Równocześnie Koło Wadowickie Oddz. Żywieckiego wytyczyło ze swej strony szlak niebieski z Wadowic, na Leskowiec, który w roku 1930 zostanie dołączony przez Madohorę, Śmień i grzbiet Pewelski, do babiogórskiego szlaku w Hucisku. W ten sposób jeden dalekobieżny szlak niebieski wieść będzie z Wadowic, przez pięć pasm górskich, na Babią Górę.

Władysław Midowicz.

Zakopanie u Focha.

(Przemówienie na Akademii ku czci Focha w Zakopanem dnia 13 kwietnia r. 1929).

Przed sześciu laty, w maju r. 1923, Foch, marszałek Francji, Anglii i Polski, odbył dziesięciodniową podróż po naszym kraju. Był w Warszawie, Poznaniu, we Lwowie i na koniec w Krakowie.

W pierwszym dniu pobytu w grodzie podwawelskim, w parę, chwil po powitaniu przez gospodarza miasta, ś. p. prezydenta Fedorowicza, złożyli Mu hołd nasi górale.

Staliśmy przy wyjściu z Barbakanu w stronę bramy Florjańskiej: Ks. Józef Swątek, ówczesny proboszcz z Olczy, były kapelan armii wileńskiej generała Żeligowskiego, Józef Curuś, Stanisław i Wacław Krzeptowscy, Jan Krzysiak, Józef Topór i ja.

Przyłączył się do nas jakiś prawdziwy czy rzekomy gazda z pod Żywca, ale, że miał strój prawie teatralny, raczej stylizowany, niż istotny, zdawało mi się, że to ktoś dowcipny, co chciał zobaczyć zblizka Focha a stroju goralskiego użył zamiast karty wstępu.

Ówczesny wojewoda Gałecki, zanim nas przedstawił marszałkowi, wyprzedził go o kilka kroków, aby zapowiedzieć stanowczo, że wolno mi przemówić tylko jedną minutę.

Pojmiecie nagły niepokój mój, czy zamiast przygotowanego starannie, w śnie poprzedniej nocy powtarzanego powitania, potrafię odrazu powiedzieć to samo inaczej, w kilku zdaniach..

Tymczasem Foch nadchodził. Średniego wzrostu, krzepki, spokojny, pogodny — w prostym płaszczu żołnierskim bez ozdób — on, największy wódz w największej wojnie.

Uśmiechnął się życzliwie, gdy Jemu, Pirenejczykowi — wojewoda powiedział, że ci „zastępujący Mu drogę“ barwni ludzie — to górale tatrzańscy.

Opanowawszy wzruszenie, przemówiłem w trzech zdaniach, dziękując najpierw, że raczył nam poświęcić parę chwil w czasie tryumfalnej podróży po Polsce, stwierdzając,

¹⁾ Z poza sfer Oddziału Żywieckiego.

że przyjaźń francusko-polska istnieje nie tylko w miastach stołecznych, ale wszędzie w kraju, od Bałtyku do Tatr, — zapewniając wreszcie, że jesteśmy szczęśliwi z oglądania go twarzą w twarz...

Stanisław Krzeptowski podał Fochowi ozdobną ciupagę, zrobioną w naszej Szkole Przemysłowej według pomysłu jej ówczesnego dyrektora, Karola Stryjeńskiego.

Marszałek, trzymając ją w rękę, cofnął się o krok, i głosem donośnym, w tonie bardzo serdecznym odpowiedział nam w tych słowach:

„Wiem o patriotyzmie ludności tatrzańskiej jeszcze z czasów byłej Galicji. Dla odrodzonej Ojczyzny pracujcie wytrwale. Służcie jej wiernie. Patriotyczna Polska może liczyć zawsze na współdziałanie i pomoc Francji. Powiedzcie to tym, którzy Was wysłali“.

Po drodze do bramy wyjściowej Barbakanu Foch z żywym zainteresowaniem oglądał strój górali, odginając ich cuhy i serdaki, aby zobaczyć parzenice.

Hołd Zakopian, którzy na życzenie wojewody towarzyszyli marszałkowi aż do stopni powozu, zwrócił uwagę szczególną serdecznością i malowniczością.

Nazajutrz rano widziałem Focha na nabożeństwie, odprawionem wobec całej załogi krakowskiej na rynku, pod Sukiennicami.

Modlił się skupiony.

Po mszy dekorował osobiście Legją Honorową kilku naszych oficerów.

Później pod gmachem Collegium Novum Wszechnicy Jagiellońskiej przyjmował defiladę. Wspaniały, posągowy, zdawało się, Wódz bystremit oczyma czynił przegląd naszych doborowych żołnierzy, strażników nowej polskiej historii, której kartę odwrócił...

Zupełnie inaczej wyglądał wieczorem na raucie w Starym Teatrze. Dobrotliwy, pobłażliwy dla cisnącego się doń tłumu, każdemu odpowiadał uprzejmie.

Gdy ś. p. Federowicz chciał mnie przedstawić Fochowi, odrzekł śmiejąc się:

— Nie trzeba, Pan był wczoraj z góralami. Proszę jeszcze raz pozdrowić tych dzielnych ludzi.

Na prośbę moją podpisał się na bilecie wizytowym, odwróciwszy się i mówiąc wesoło:

— Schowajmy się, bo inni prosić będą o to samo — a to trwałoby zbyt długo...

* * *

Zakopane złożyło hołd Fochowi, jak umiało i mogło w Krakowie — Foch dał jego przedstawicielom wspomnienie bezcenne, najdroższe z całego życia.

Oto danem nam było widzieć największego bohatera naszych czasów, jednego z przodowników pokolenia francuskiego, które mając w roku narodowej klęski, w r. 1870, lat dwadzieścia, podniosło wytrwałym wysiłkiem lat męskich — ojczyznę swoją z upokorzenia, wzmocniło jej siłę wewnętrzną, dało przymierza, przygotowało na wszystkie możliwości i próby, niepowodzenia i zdobycze — a u schyłku swego życia uratowało cywilizację, dając ojczyźnie i światu całemu zwycięstwo w imię ideałów wolności i sprawiedliwości dla wszystkich.

Patrząc na Focha, klęczącego podczas Podniesienia, u stóp ołtarza, pod Sukiennicami, które pamiętają hołd pruski i przysięgę Kościuszki — oglądaliśmy nowe wcielenie rycerza chrześcijańskiego, który tak samo w czasie wojny nieraz godziny całe spędzał w kościele, słuchając głosu sumienia, prosząc Boga o natchnienie.

Jak święta juhaska z Domremy, Joanna D'Arc, Dziewica Orleańska, która ocalała Francję przed pięciuset laty — tak samo i Foch przed wojną i po zawarciu pokoju potwierdził, że ludzie tylko walczą, zwycięstwo daje Bóg...

A że odwiecznym przywilejem jest Francji walczyć o ideały wszechludzkie, stwarzać wiekopomne „gesta Dei per Francos“ — genjusz jej zwycięskiego wodza ocalił nie tylko własny kraj, ale wyzwolił z jarzma niewoli narody mniejsze i większe.

Odrodzenie naszej Rzeczypospolitej, która jako państwo udzielne skupiła prawie wszystkich Polaków, którzy katastrofę niewoli przetrwali, wskreszenie innych narodów słowiańskich — oto zapowiedź nadejścia przyszłej epoki sprawiedliwości, oto zadanie przeznaczone przez Opatrzność pokoleniu Franków, które ziściło je pod wodzą nieśmiertelnego Rycerza.

Od grobu Focha, pochowanego obok trumny Napoleona, po wieki bić będzie blask, rozjaśniający przyszłość wielu narodów, wdzięcznych, bo z woli Boga za sprawą francuskiego Wodza — wolnych i szczęśliwych.

Józef Diehl.

Zmarli.

Ś. p. Mieczysław Świerż

Dnia 5-go lipca b. r. zginął odpadłszy od ściany Kościelca najwybitniejszy z czynnych obecnie taterników, dr. Mieczysław Świerż. Szczegóły katastrofy podajemy na innem miejscu, (w dziale „Turystyka“, sprawozdanie Pogotowia Ratunkowego). O znaczeniu zmarłego jako taternika i przymiotach jego charakteru pisze poniżej jeden z towarzyszy jego wypraw. Nr. 12-ty i 13-ty czasopisma „Zakopane“ z dnia 13 lipca 1929 w artykule wstępnym dr. A. Lewickiego i w przemówieniach pogrzebowych dr. Stefana Komornickiego i prof. Zygmunta Miryńskiego podaje charakterystykę jego jako człowieka, taternika, pedagoga i polonisty. Tu zestawiamy kilka dat biograficznych.

Ś. p. dr. Mieczysław Świerż, urodził się w Krakowie dnia



25 maja 1891 r. jako trzeci, najmłodszy syn prof. gimnazjum Leopolda Świerża, długoletniego zasłużonego sekretarza Tow. Tatrzańskiego. Egzamin dojrzałości złożył w Krakowie w gimnazjum św. Jacka w r. 1908. Doktorat filozofii uzyskał w Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1917, pełniąc równocześnie służbę wojskową. W wojsku służył od roku 1915 w armji austriackiej zaczynając od szeregowca; następnie odkomenderowany został jako kapral

z Baonu wartowniczego do Styrii. Szkołę oficerską odbył w Temeszwarze. Aż do końca roku 1919 pełnił służbę etapową w Bośni i Albanii. Następnie jako chorąży wstępuje do wojska polskiego z przydziałem do plutonu wysokogórskiego 2 pułku strzelców podhal. w Zakopanem. W r. 1921 zwolniony w randze porucznika rezerwy, pracuje jako nauczyciel literatury polskiej w gimnazjum w Zakopanem, następnie przez dwa lata jako nauczyciel w państwowej szkole przemysłu drzewnego w Zakopanem i ostatnio półtora roku w Katowicach w gimnazjum miejskim im. Kopernika.

Prace ogłoszone drukiem: „44 — Mickiewicz“ („Czas“ 5. XI. 1913), „Seweryn Goszczyński i Moja rozmowa z Mickiewiczem“ (Pamiętnik literacki z 1914 r.), „Jerzy Żuławski“ (Pam. Tow. Tatr. 1915—16), „Poeta Tatr“ (Taternik 1920 Nr. 5), „Z przeszłości Zakopanego“ (Rzeczposp. z 3. lutego 1922). Pięć wydań Przewodnika po Tatrach a mianowicie pierwsze w 1911 r., 2-gie w 1919 r., 3-cie w 1921 r., 4-te w 1923 r., i ostatnie w 1927 r.

Od roku 1913—1928 redagował „Taternika“, organ Sekcji Turyst. Tow. Tatr. W księdze zbiorowej wydanej przez Uniwersytet lubelski ku czci Stanisława Staszica umieścił pracę swoją „Stanisław Staszic w Tatrach“, kilkadziesiąt artykułów treści sportowej i turystycznej w różnych czasopismach, jak „Przegląd Sportowy“, „Ill. Kurjer Codz.“, „Wędrowiec“ i w rocznikach P. T. T. „Wierchy“. Poza Tatrami przedsięwzięł wyprawy w Alpy na sławne „Igły“ w okolicy Mont Blanc. I w tym sezonie wybierał się na wycieczkę naukową w grupę Mont Blanc.

Na pracę doktorską wybrał był studjum o Sewerynie Goszczyńskim, później pracę tę poprawiał i dopełniał, nosząc się z myślą wydania jej kiedyś w książce. — „Wierchy“ zasiliał stale bądź doskonale pisanymi dłuższymi artykułami, bądź notatkami kronikarskimi. Dzisiaj, świeżo po jego zgonie, szczególnie wzruszające wrażenie czyni wspomnienie jego o pierwszej, jeszcze z ojcem odbytej wycieczce, umieszczone w roczniku V. „Wierchów“, p. t. „Dwa pokolenia“.

Zmarły był prezesem Sekcji Turystycznej i wiceprezesem Sekcji Ochrony Tatr. Trzeba zaznaczyć, że był on zaciętym „ochroniarzem“, co wyróżniało go wybitnie od całego szeregu taterników-wspinaczy, którzy uważając Tatry za narzędzie sportu pozostają obojętni wobec sprawy dla prawdziwych miłośników gór najważniejszej, sprawy zachowania ich w ich pierwotnej krasie.

Ś. p. Świerz osierocił żonę i dwoje nieletnich dzieci.

Wspomnienie o Mieczysławie Świerzu.

Nie czuję się na siłach gromadzić materiałów biograficznych ś. p. Mieczysława Świerza, ustalać chronologję wydarzeń tego młodego i pracy poświęconego życia, zbierać skrzątnie notatki o jego czynach taternickich, aby potem módz przeprowadzić łatwy dowód rzeczy powszechnie wiadomej, że Mieczysław Świerz był przez całą swą działalność czołowym przedstawicielem naszego alpinizmu. Uczynią to zapewne inni na łamach organu Sekcji Turystycznej T. T., omówią działalność literacką i naukową zmarłego, jego prace publicystyczne poświęcone taternictwu, jak Przewodniki i liczne artykuły, wreszcie zestawię jego imponujące dzieło sportowe, oparte na tak zupełnej i wszechstronnej znajomości Tatr, jaką nie może się pochlubić nikt ze współczesnych taterników.

Podkreślić tylko pragnę, jako długoletni towarzysz wypraw i przyjaciel zmarłego te cechy jego charakteru i jego dzieła taternickiego, które decydują o indywidualności świetnego badacza i entuzjasty naszych gór, chcę ująć sylwetkę Mieczysława Świerza w tych rysach, które wydają mi się najistotniejsze.

Gdy po ustaniu wojennej zawieruchy powrócił Mieczysław Świerż do gór — z którymi przez szereg lat był rozdzielony — i do czynnego taternictwa, zastał zupełnie zmienione warunki na terenie polskiego alpinizmu. Reprezentanci naszego bojowego taternictwa przedwojennego, do których sam należał, odsuwali się powoli od zdobywczych czynów taterniczych. Niektórych rozdzieliły od gór zajęcia zawodowe, inni stracili ów impet sportowy, który pchał ich ku trudnym problemom skalnym. Nie było nic dziwnego w tem zjawisku. Lata wojny liczą się podwójnie nie tylko w wojskowej ustawie emerytalnej. Ludzie ongiś młodzi i stawiający czoło niebezpieczeństwom gór ze wspaniałą brawurą, znaleźli się po wojnie w nowych warunkach bytu, które wymagały od nich troski o innych, a więc zmniejszenia niebezpieczeństwa w górskich wyprawach. Byli tacy, którzy uprawiali dalej taternictwo, odważając wszakże na szali rozsądku te ilości ryzyka, jakim dawniej nie poświęcaliby żadnej uwagi. Byli i inni, między nimi najśmielsi, najświetniejsi przed wojną wspinacze, dla których myśl sama o trudach wycieczek skalnych stawała się przykrą. Wojna zmęczyła ich doszczętnie.

W tej to zamarłej atmosferze taterniczej rozpoczął Mieczysław Świerż swą — najświetniejszą bodaj — działalność powojenną. Tatry, a zwłaszcza partje skalne stały odłogiem, na trudnych szlakach nie przesuwaly się liny asekuracyjne i nie dzwoniły echa od zabijania haków w szczeliny. W opustoszałych od taterników górach przedsiębrał Świerż pierwsze swe wycieczki po długiej przerwie. Towarzyszyli mu nieliczni dawni i nowi koledzy. Z nimi powtarzał pierwszorzędných trudności szlaki, z nimi dokonywał nowych zdobyczy. Padaly po kolei rozmaite problemy i problemiki, ruch się zaczynał na nowo w taternictwie. Młode pokolenie taterników inaugurowało swą działalność, organizowało się w sekcje taternicckie, nabierało doświadczenia i rozmachu.

Łącznikiem między tem pokoleniem a starszemi generacjami, coraz mniej czynnemi alpinistycznie stał się siłą swej całej pracy dla taternictwa, swego uznanego autorytetu i sprawności sportowej — Mieczysław Świerż. Redagując „Taternika“ i pisząc wspólnie z Januszem Chmielowskim pomnikowy „Przewodnik po Tatrach“, przebywając przez pewien, dłuższy okres czasu w Zakopanem, był z pomiędzy polskich taterników najbardziej au courant wszystkiego, co się na tem polu u nas działo. Znakomita znajomość literatury taternicckiej, świetne wczucie się w ideologję poprzednich pokoleń, którą znakomicie rozumiał, nosząc ją zresztą w krwi własnej w dziedzictwie po ojcu, łączyły się u Świerża z najpierwszorzędną formą sportową, w której aż po najświeższe czasy nie prześcignął go nikt z najmłodszych.

Mimo pełni lat męskich, mimo sporej wagi, która powinna była utrudniać mu wspinanie się, odbywał wycieczki w takich czasach i takiej formie, jak gdyby miał ciągle jeszcze lat dwadzieścia. Miał też w tym kierunku specjalnie zaostrzoną ambicję, aby powtarzać wszelkie najtrudniejsze wyjścia, aby być wszędzie i zawsze pierwszym. Ambicja ta, tak dobrze zrozumiała u prawdziwego sportowca, stała się przecież później przyczyną jego przedwczesnej śmierci.

Młodzi taternicy uznawali w pełni prawa Świerża do przewodnictwa i mimo drobiazgowych spraw ideologicznych i formalnych, jakie z nim miewali, podziwiali w nim zarówno dojrzałego i świadomego swych celów ideologa alpinizmu, jak i świetnego technika skalnego.

Jako alpinista, który opanował wszystkie arkana trudnego sportu górskiego, nie wielu miał Mieczysław Świerż równych sobie. Starsi wychodzili z formy, a młodszym brak było jeszcze doświadczenia. Świerż dysponował obojgiem w nadmiarze. Zdolność orjentacji w trudnym i nieznanym terenie, zaostrzona przez wycieczki alpejskie, była u Świerża, mimo że miał wzrok krótki, wręcz nadzwyczajna, w labiryncie rzeźby skal-

nej umiał wyszukać zawsze właściwą drogę z niezwykłym znuwaniem i intuicją. A wyszukawszy ją raz, potrafił z konsekwencją przeprowadzić aż do końca.

Tutaj właśnie było mu pomocne opanowanie samej techniki wspinania się, wprost niewiarygodnie doskonałe. Jego sposób posuwania się naprzód cechowało cierpliwe, systematyczne i spokojne zdobywanie wysokości. Rozkładał rozumnie i pewnie chwytły i stąpienia łącząc je w logiczną linię wyjścia. Przez stosowne przemieszczanie ciężaru ciała, proste a genialne w pomyśle tricki techniczne pokonywał, przeszkody napozór nie do zwalczania.

Cechował go przytem absolutny spokój, płynący nietylko z niewrażliwości na ekspozycję lecz przede wszystkim z nakazu chłodnej inteligencji. W najtrudniejszych miejscach zachowywał się ze swobodą wręcz imponującą. Widziałem go jak na ścianie Kopy Lodowej okrążał na fikcyjnych prawie chwytach ruchomy blok, byle go się tylko nie dotknąć. Umiał w najcięższej sytuacji zdjąć worek, trzewiki, przewiązać się; — gdy na Zamarłej Turni zacięła mu się lina właśnie w momencie pokonywania najtrudniejszego kominka, rozwiązał się z zupełnym spokojem, i póty manewrował liną aż ją uwolnił. Potrafił przytem przechodzić miejsca trudne i niebezpieczne z konieczną szybkością a zarazem i pewnością. Jasność i trafność jego decyzji była przysłowiowa.

Wreszcie ostatni i najchlubniejszy rys: Świerz jako towarzysz. Nie było w Tatrach lepszego. Opiekował się kolegą, zwłaszcza słabszym, jak matka. Pomagał mu nie dotykając jego ambicji. Umiał zachęcić do wysiłku. W wypadku niebezpieczeństwa można nań było liczyć z nieograniczoną pewnością. Świerz był istotnie towarzyszem, który potrafiłby oddać własne życie, byle cudze ocalić. Niepowodzenia i przykrości wycieczki umiał znosić ze stoickim spokojem; nie skarżył się, gdy marudztwo czyjeś zmuszało go do niepotrzebnego biwaku w skale i na deszczu, gdy kaleczyło go nieostrożne stąpienie rakiem lub zrzucony kamień. Drogi, niezapomniane towarzysz!

Swój gorący i entuzjastyczny stosunek do gór krył chętnie pod maską zrównoważenia, podobnie jak i stosunek do kolegów, których lubił. Ale w niejednej, niezapomnianej chwili zachwyty wobec cudownego piękna gór, wobec dziewiczego czaru przyrody, spadała ta maska, a wówczas płonęły radością oczy i silnie biło tętno tego spokojnego człowieka o gorącym i niespokojnym sercu marzyciela i poety.

Kazimierz Piotrowski.

Ś. p. Arpad Kegel.

Dnia 28 stycznia b. r. zmarł w Jaworzynie Spiskiej dyrektor dóbr Arpad Kegel. Zeszła z nim do grobu postać znana szeroko w naszych turystycznych kołach.

Gościnnie dom pp. Keglów miał otwarte podwoje dla wszystkich taterników i pracowników naukowych polskich, którzy pragnęli zwiedzić okolice Jaworzyny otoczone najwspanialszymi grupami górskimi Lodowego, Jaworowych Szczytów i Tatr Bielskich. W pogodę i niepogodę, w lecie i w zimie nawiedzali nasi wędrowcy tatrzańscy dom pp. Keglów znajdując zawsze u nich szczerą gościnność i z niezwykłą uczynnością udzielane informacje. Również ekspedycje ratunkowe poszukujące zaginionych w okolicy Jaworzyny turystów miały tu stałe podstawę swej działalności i znachodziły różnorodną pomoc.

Dyrektor Kegel urodzony w Jaworzynie dnia 17 lipca 1875 r. pochodził z rodziny stale w Tatrach osiadłej. Już ojciec jego prowadził zwierzyńiec ks. Hohenlohego, a młody Arpad wzrastał w atmosferze miłości gór i przyrody. Tatrom też całe życie pozostał wierny. Rzadko można było spotkać człowieka tak serdecznie kochającego swój rodzinny ką, a przytem tak doskonale znającego teren i przywiązanego do swego zawodu leśnika

Był on prawdziwie stworzony na dyrektora dóbr Jaworzyna i nikt od niego nie mógł pełnić lepiej odpowiedzialnej tej i trudnej funkcji. Za rządów Arpada Kegla przed wojną, gdy troskliwa o rozwój Jaworzyny i hojna ręka ks. Chrystjana Hohenlohego dawała dyrekcji dóbr należyte poparcie, zwierzyniec jaworzyński doszedł do wspaniałego rozkwitu. O czasach tych, kiedy w lasach Jaworzyńskich przebywało stale kilkadziesiąt niedźwiedzi, kozice liczyło się na wiele setek, a jelenie na tysiące, opowiadał zawsze dyrektor Kegel z entuzjazmem i rozrzewnieniem. Gdy później konieczności finansowe zmusiły ks. Hohenlohego do rozmaitych ograniczeń w prowadzeniu parku, odczuł to ś. p. Kegel dotkliwie, popadł zaś w przygnębienie gdy czasy wojenne i powojenne przyniosły rozpanoszenie kłusownictwa, znaczne wytępienie zwierzyny i szkody w lasach. Z trudnościami temi walczył jak mógł. Szczególnie wzruszającą była dbałość o karmienie zwierzyny. Okazało się to z całą siłą w okresie, gdy po śmierci opiekuna i dobroczyńcy parku ks. Chrystjana Hohenlohego, który zmarł na rękach oddanego swemu szefowi całą duszą dyrektora Kegla, zabrakło środków na dostateczne utrzymywanie zwierzynca. Jeżeli też zwierzyna w Jaworzynie Spiskiej nie tylko przetrwała te katastrofalne czasy, ale w ostatnich latach poczęła się ponownie rozmnażać i powiększać i jeżeli dzisiaj rząd czesko-słowacki, zakupując Jaworzynę otrzyma zwierzozstan znowu od czasu wojny powiększony i lepiej utrzymany, jest to w lwiej części dziełem tego prawdziwego miłośnika przyrody. Tę jego wielką zasługę oceniamy w całej pełni, my wszyscy przyrodnicy tatrzańscy i taternicy. Wyrazem uznania naszego była delegacja Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego złożona z pp.: Jana Gwalberta Pawlikowskiego (syna) i Ignacego Bujaka, która wzięła udział w pogrzebie dyrektora Kegla w Jaworzynie, oraz depesze kondolacyjne, wysłane przez Prezydium PTT do rodziny. O zasługach zmarłego dla Tatr wspominac też będziemy stale przechodząc przez Jaworzynę i oddając pokłon pochowanemu na swej umiłowanej tatrzańskiej ziemi, skromnemu a znakomitemu na jej niwie pracownikowi.

Walery Goetel.

BADANIA NAUKOWE.

Konferencje Tatrzańskie. — Staraniem Pol. Tow. Geograficznego, Oddziału Krakowskiego, odbyły się w dniach 4 i 5 maja b. r. w Krakowie „Konferencje Tatrzańskie“, — zebrania poświęcone dyskusji nad aktualnymi potrzebami badań naukowych w Tatrach, na podstawie fachowych referatów, opracowanych przez zaproszonych specjalistów z różnych dziedzin wiedzy. Celem było stworzenie racjonalnych programów pracy dla dalszej, planowej akcji badawczej, gwarantującej postęp wiedzy o Tatrach. — Przygotowane zostały referaty z dziedziny: kartografii, klimatologii, hydrografii, morfologii, geologii, petrografii, botaniki, zoologii, etnografii, antropogeografii, toponomastyki i historii. Obrady odbywały się w Instytucie Geograficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, udział w nich wzięło kilkadziesiąt bezpośrednio badaniami tatrzańskimi zainteresowanych przedstawicieli nauki oraz delegacji towarzystw i instytucji naukowych. Polską Akademię

Umiejętności reprezentował prof. W. Szaffer, przewodniczył zebraniom prof. J. Smoleński.

Pierwsza konferencja poświęcona była morfologii i hydrografii. Referaty w sprawie programu badań morfologicznych w Tatrach i na Podtatrzu wygłosili dr. B. Halicki i dr. A. Gadowski, (referat prof. E. Romera nadszedł już po zebraniu — podobnie jak referat klimatologiczny). Ustalono problemy najbardziej aktualne, jak między innymi określenie stosunku zlodowaceń tatrzańskich do północnych, rozstrzygnięcie w Tatrach zagadnienia erozji glacialnej, paralelizację żłobów glacialnych, dotychczas niepewną, od utworzenie dawnych den dolinnych na podstawie studjum mikroform i inne, podniesiono konieczność pracy zespołowej. W dyskusji prof. Nowak, Kreutz i Goetel zwrócili uwagę na związki zachodzące między strukturą a rzeźbą — podkreślali potrzebę uwzględnienia geologii. Prof. Szaffer omówił zagadnie-

nia związane z paleoklimatem Tatr i wyniki badań paleobotanicznych, ważne i dla morfologów ale zbyt mało przez nich uwzględniane. Przedstawił rezolucję, by opublikować bibliografię literatury naukowej tatrzańskiej i co roku ją uzupełniać. Rezolucję tę przyjęto — dla jej zrealizowania powołano komitet, złożony z prof. Szafera, Goetla, Domanińskiego, dr. Gadomskiego i J. Zborowskiego. — J. Smoleński podjął się stworzyć na gruncie krakowskim porozumienie pracujących w Tatrach geo-morfologów celem ujednostajnienia metod i podziału pracy. (Nb. porozumienie to doszło do skutku). Referat hydrograficzny wygłosił inż. dr. L. Kowalski, ograniczając się do omówienia problemów hydrogeologicznych, poczem przedstawił szczegółowy program badań w zakresie hydrografii i hydrologii tatrzańskiej. Program dotyczył głównie pomiarów termiki, obfitości przepływu oraz składu chemicznego źródeł i potoków tatrzańskich. J. Smoleński i uzupełnił to uwagami w sprawie dalszego badania jezior, W. Goetel: opracowywania wód podziemnych i grot. — W dyskusji W. Szafer zwrócił uwagę na doniosłość badania wód tatrzańskich dla biologii, przypomniał prace prof. Włodka nad chemizmem potoków. Zaznaczając potrzebę ochrony wód tatrzańskich zgłosił rezolucję przeciw nieracjonalnej gospodarce temi wodami, do której przyczynia się rabunkowe wycinanie lasów. Dla zinventaryzowania wód już zanalizowanych, ustanowienia planu poboru wody i podziału pracy w przeprowadzeniu dalszych analiz postanowiono urządzić osobne zebranie, w którym wzięliby udział również chemicy.

Drugą konferencję dnia 4. V. rozpoczął referat prof. W. Goetla o stanie obecnym i potrzebach badań geologicznych w Tatrach. Wywody referenta uzupełnili uwagami prof. J. Nowaki i dr. E. Passendorfer. Stwierdzono, że polskie prace geologiczne w Tatrach odznaczają się wyjątkowo racjonalną organizacją, a użyta przy nich metoda badań zespołowych najlepsze daje wyniki. — Prof. S. Kreutz omówił program badań mineralogiczno-petrograficznych, zwracając głównie uwagę na zagadnienia związane z krystalinikiem tatrzańskim. Wynikiem dyskusji było stwierdzenie potrzeby umowy co do elementów, które należałoby uwzględnić przy kartowaniu wyspy krystalicznej. Stan i potrzeby badań botanicznych zarówno w zakresie florystyki jak fitosocjologii przedstawił w treściwym referacie dr. B. Pawłowski, poczem prof. S. Sokółowski rozwinął program badań nad lasem, oraz omówił potrzeby badań gleboznawczych. Postulat zakładania

„ogrodów alpejskich“ podniósł prof. W. Szafer oraz uzasadnił konieczność stworzenia w Tatrach górskiej stacji badawczej, obejmującej muzeum, alpinarium, zwierzyniec i pracownię. Przypomniał również sprawę ochrony Tatr i zakończył rezolucją tyczącą rychłego zrealizowania Parku Narodowego w Tatrach. W dyskusji prof. J. Smoleński zaznaczył, że do spełnienia roli wspomnianej stacji badawczej powołane jest Muzeum Tatrzańskie im. Chałubińskiego w Zakopanem, które wymaga jednak większego poparcia ze strony rządu i społeczeństwa i na poparcie to zasługuje. — O badaniach zoologicznych wygłosił referat dr. J. Fudakowski; w tej sprawie przemawiali prof. J. Stach i dr. J. Domaniński, przedstawiając wyjątkowe trudności systematycznych opracowań w tym kierunku oraz wymagane dla ich przeprowadzenia warunki.

Trzecią konferencję rozpoczął prof. W. Goetel omówieniem obecnego stanu zdjęć kartograficznych w Tatrach, w zastępstwie prof. inż. B. Piątkiewicza, którego referat o pracach nowych fotogrammetrycznych nie nadszedł na czas. Zebrani uchwalili wyrazić uznanie Ministerstwu Robót Publicznych z powodu postępu tych prac, mających dla badań naukowych w Tatrach pierwszorzędne znaczenie.

Przewodniczący odczytał nadesłane w międzyczasie uwagi prof. E. Romera nad potrzebami morfologii i klimatologii tatrzańskiej. Sprawa etnografii, która miała być omawiana na tej konferencji, spadła z porządku dziennego, gdyż referat w tej kwestii opracowany przez dyr. J. Zborowskiego nie został na czas dostarczony z przyczyn od autora niezależnych. Ogłoszony on zostanie drukiem — podobnie jak reszta referatów — w sprawozdaniach z Konferencji. Żywą dyskusję wywołał referat dr. Z. Pacewiczowej, tyczący toponomastyki tatrzańskiej. Brali w niej udział między innymi prof. W. Semkowicz ze stanowiska historycznego, prof. K. Nitsch językoznawczego, prof. J. G. Pawlikowski turystycznego. Podniesiono konieczność udziału w zbieraniu nazw zarówno etnografów jak językoznawców względnie lingwistycznego przygotowania pracowników, potrzebą współpracy turystów. Materiał winien być wnoszony w mapę, ale poza umiejscowieniem ważne jest badanie znaczenia nazwy i dokładny opis zjawiska względnie przedmiotu. Praca objąć winna cały obszar Tatr. Na wniosek prof. W. Semkowicza postanowiono wybrać Komisję, która ma wejść w porozumienie z Polską Akademią Umiejętności i rozpocząć systematyczne badania. O rozpoczętej w tym kierunku akcji prof. B. Piątkie-

wicza udzielił informacji J. Smoleński. Program badań antropogeograficznych przedstawiła dr. M. Dobrowolska, geograficzno-gospodarczych dr. W. Ormicki, którego projekt mapy gospodarczej Podhala był przedmiotem szczegółowych rozważań metodycznych. Wyrażono opinie, że badania antropogeograficzne z uwzględnieniem osadnictwa, etnografii i ruchów ludności, obejmować powinny prócz Podhala dolinę Popradu i dorzecze górnej Orawy. Odnośnie do badań geograficzno-gospodarczych dr. K. Dobrowolski i prof. J. G. Pawlikowski podnieśli potrzebę opracowań monograficznych poszczególnych osad, na wzór studjów prof. Bujaka, lecz z silniejszym podkreśleniem momentów geograficznych. Szeroko ujęty referat o postulatach badań historycznych nad obszarem Tatr i Podtatrza wypowiedział dr. K. Dobrowolski. Dr. Buczek przypomniał potrzebę zbadania, jak Tatry odżyły się w geografii i kartografii polskiej. Dr. W. Olszewicz podniósł kwestię studjów nad dawnym górnictwem i hutnictwem w Tatrach; w myśl jego rezolucji uznano badania w tym kierunku za ważne i powierzono zorganizowanie ich Śląskiemu Oddziałowi Polskiego Towarzystwa Geograficznego w porozumieniu z Muzeum Tatrzańskim im. Chałubińskiego. Prof. W. Semkowicz omówił sprawę źródeł historycznych i przedstawił wniosek, by przy Muzeum Tatrzańskim założyć oddział archiwalny, zawierający oryginały (choćby z XIX wieku) i fotografie dokumentów odnoszących się do historii Tatr i Podhala. Na zakończenie przewodniczący i organizator Konferencji prof. J. Smoleński, dziękując imieniem Polskiego Towarzystwa Geograficznego referentom i uczestnikom, zwrócił uwagę na działy przez Konferencję nieuwzględnione: geofizykę, meteorologię i klimatologię, badania niwalne, limnologię i speleologię, dla których omówienia zwołać trzeba będzie osobne zebrania w przyszłości. Streściwszy wyniki obrad wyraził nadzieję, że Konferencje Tatrzańskie dając obraz problemów i potrzeb badawczych przyczynią się do racjonalnej organizacji i postępu badań naukowych w Tatrach i na Podtatrzu. Szczegółowe sprawozdania z Konferencji z tekstem referatów i przebiegiem dyskusji zostały wydrukowane w organie Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Geograficznego: „Wiadomościach Geograficznych“ w Nr. IX/X z r. 1929.

S.

Prace zespołowe Instytutu Geograficznego Uniw. Jagiell. w Tatrach. W ciągu sierpnia i września 1929 r. czynna była stacja badawcza Instytutu Geograficz-

nego Uniw. Jagiell. w dolinie Białej Wody, obozująca na Polanie pod Wysoką. Prowadzono trojaki badania: glacialno-morfologiczne, limnologiczne i geograficzno-gospodarcze. Udział w nich brali asystenci i słuchacze Uniw. Jagiell. z dr. W. Ormickim jako kierownikiem stacji. Przeprowadzono szczegółowe zdjęcie glacialno-morfologiczne dolin: Świsłowej, Litworowej, Kaczej i Czeskiej, stosując przy tem zasady przyjęte przez zespół geomorfologów z okazji Konferencji Tatrzańskich Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Prace limnologiczne obejmowały zdjęcia linii brzegowych, pomiary batymetryczne, termiczne i optyczne, oraz studjum nad zjawiskiem zanikania jezior. Opracowano w ten sposób Zielony Staw i Mały Kaczy w dolinie Kaczej, Litworowy w dolinie tej samej nazwy, oraz Czeski i Zmarły w dolinie Czeskiej. Osobne pole pracy stanowiły studia geograficzno-gospodarcze na terenie gmin Poroniec i Bukowina, tyżące wzajemnego stosunku i rozmieszczenia kultur. Prace te rozszerzono następnie w kierunku zagadnień związanych z górną granicą osadnictwa, obejmując niemi Nowotarszczyznę i górne dorzecze Skawy.

Badania antropogeograficzne Instytutu Geograficznego Uniw. Jagiell. w Karpatach. Niezależnie od badań nad życiem pasterskim w Niżnych Tatrach, prowadzonych w r. b. przez dr. Zofję Pacewiczową, a będących dalszym ciągiem jej studjów nad szałasnictwem tatrzańskim, oraz obok przeprowadzanych w ciągu lata badań antropogeograficznych dra W. Kubijowicza, doc. Uniw. Jagiell., na terenie Słowaczyny — szereg pracowników Instytutu Geograficznego Uniw. Jagiell. rozpoczął w r. b. systematyczne opracowanie stosunków osadniczych, a w szczególności górnej granicy osadnictwa Karpat Polskich. Prace obejmują na razie Czarnohorę, Gorgany i dorzecze Oporu w Beskidach Wschodnich, Gorce, górne dorzecze Skawy i obszar Czadecki w Beskidach Zachodnich.

Badania morfologiczne w Zachodnich Karpatach. W związku z programem pracy Polskiego Komitetu badań dyluwialnych podjęte zostały w r. b., z inicjatywy i pod kierunkiem prof. Uniw. Jagiell. Jerzego Smoleńskiego, systematyczne zdjęcia teras rzecznych oraz starych poziomów dolinnych w obszarze Dunajca, Popradu, Orawy, Soły i Skawy. W pracach tych prócz zespołu asystentów i pracowników Instytutu Geograficznego Uniw. Jagiell. wzięli udział dr. B. Halicki, dr. A. Gadomski i M. Gotkiewicz.

Zimowe badania klimatologiczne w Tatrach Wysokich. Ubiegłej zimy zainicjował krakowski Instytut Geograficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego badania nad klimatem zimowym Tatr Wysokich, ze specjalnym uwzględnieniem obserwacji niwalnych. Ekspedycja złożona z pracowników Instytutu pp. Stanisława Leszczyckiego, Władysława Midowicza i Witolda Pawlika, wyruszyła z końcem stycznia do Doliny Pięciu Stawów Polskich, gdzie założoną została doświadczalna stacja klimatologiczna oraz główna baza wypadowa wyprawy.

W ciężkich stosunkowo warunkach terenowych (wyprawa była pierwszą polską ekspedycją tego typu na terenie wysokotatrzańskim), przeprowadzono obserwacje i badania nad szatą śnieżną, termiką powietrza i wód płynących, insolacją, ciśnieniem, wilgotnością, mgłą i wiatrem (a w szczególności nad wiatrem halnym), oraz badania mikroklimatu i obserwacje fenologiczne.

Obserwacje i badania porównawcze prowadzono sporadycznie w Dolinie Białej Wody, w Morskiem Oku (Dolina za Mnichem), w Roztoce i na Hali Gąsienicowej.

Wyprawa posiadała połowę radjostację odbiorczą, która w tej skalnej pustaci była prawie jedynym łącznikiem ze światem i którą to drogą otrzymywano za pośrednictwem radjostacji krakowskiej, dodatkowe dyspozycje.

Badania trwały do końca maja i dały bardzo obfity materiał naukowy, z tej zupełnie nieznaney w ziemie, partji Polskich Tatr Wysokich.

Badania te, o zakresie ustawicznie rozszerzonym potrwać jeszcze przez szereg zim.

M.

Prace botaniczne prowadzone w górach w r. 1928/29.

Badania tegoroczne prowadzone były w Tatrach, na Babiej Górze oraz w Karpatach Wschodnich. Czynnymi w tym kierunku byli przede wszystkim współpracownicy Zakładu Botanicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie pp. Pawłowski, Walisch i Walas. Dr. Pawłowski i Walisch badali zespoły roślinne doliny Kondratowej w Tatrach i czynili poszukiwania florystyczne uwieńczone szeregiem nowych znalezisk, w Tatrach Zachodnich (głównie Chocz) oraz w Karpatach Wschodnich (głównie Czywczyń). Pozatem obaj wymienieni pracownicy rozpoczęli ciekawe, a do dziś dnia niemal nietknięte studia nad ekologicznymi warunkami życia roślin w ziemie, w piętrze snubniwalnym Tatr.

Dr. Walas prowadził kartograficzne badania nad szatą roślinną Babiej Góry.

W stacji rolniczo-botanicznej na Czarnej

Horze czynny był dr. Br. Szafran, który dokonał szeregu wierceń w torfowiskach wysokogórskich na Czarnej Horze. Dr. T. Wilczyński gromadził materiały do krajobrazów roślinnych Czarnej Hory.

S. K.

Prace faunistyczne tatrzańskie.

Na liście poniższej, prócz prac wydanych po zestawieniu wykazu zeszlórocznego, znajdzie czytelnik kilka prac dawniejszych, w zestawieniach poprzednich opuszczonych, z powodu niedostępności w owym czasie tych prac dla referenta. Tego rodzaju opuszczenia są rzeczą niemal nieuniknioną, gdyż biblioteki nasze są, niestety, nadzwyczajnie niekompletne, nawet gdy chodzi o wydawnictwa krajowe (o komplecie wydawnictw obcych marzyć nawet nie możemy). W spisie poniższym świadomie opuściłem pewne artykuły, ogłoszone w roku ubiegłym, tyżące się prac nad Tatrami, które jednak same przez się nie wnoszą żadnych konkretnych danych do faunistyki Tatr; są to dyskusje między niektórymi badaczami, sprowadzone jednak na teren wycieczek nieraz osobistych. Po tem ograniczeniu lista tegoroczna przedstawia się, jak następuje:

1. Chappuis P. A. Die Tierwelt der unterirdischen Gewässer. (Wydawnictwo: „Die Binnengewässer“, tom III), Stuttgart, 1927.
2. Domaniński J.: Park Narodowy w Tatrach. *Łowicz Polski*, XXII, 1929.
3. Fudakowski J.: O nowym dla fauny polskiej gatunku ważki *Aeschna subarctica* Walker. *Spraw. Kom. Fizjogr. Polsk. Ak. Um.*, 63, 1928.
4. Heinrich G.: Beiträge zur Ichneumoniden Polens. I Nachtrag. (*Ichneumoninae* u. *Pimplinae*). *Polskie Pismo Entom. VI*, (1927) 1928.
5. Jeannel R.: Monographie des *Trechinae*. *L'abbelle*, XXXV.
6. Kaucki T. F.: Motyle t. zw. Większe, rzadsze lub nowe dla Małopolski. *Polsk. Pismo Entom. VII*, (1927) 1928.
7. Kulmatycki Wł.: Próba szkicu fizjografji rybackiej Polski. *Roczniki Nauk roln. i leśn. XV*, 1926.
8. Kuntze R.: Studja biostatystyczne nad zmiennością geograficzną Biegacza *Carabus arvensis* Hrbst. (Col.) na ziemiach polskich. *Kosmos*, LII, 1927.
9. Mierzeyewski W. Szeliga: *Dermaptoptera et Orthoptera polonica*. Rozprawy i Wiadom. Muz. Dziedusz. X, 1928.
10. Niesiołowski W.: Cechy charakterystyczne kilku trudniejszych do oznaczenia gatunków motyli. *Polsk. Pismo Entom. VI*, 1927.
11. Niesiołowski W.: Motyle Większe Tatr

- Polskich. Prace Monogr. Kom. Fizjogr. Polsk. Ak. Um. V, 1929.
12. Nunberg M.: Biologische Beobachtungen über Borkenkäfer. Bull. Intern. Acad. Polon. Sc. Lettr. Cl. Sc. Math.-Natur. S. B. (Zool.). 1928.
 13. Nunberg M.: Rozsiedlenie geograficzne *Scytoleidea* na ziemiach Polski. Spraw. Kom. Fizjogr. Polsk. Ak. Um. 63.
 14. Schäferna, K.: Blešivci (*Gammaridea*) našich vod. Časopis Narodn. Musea. XCIX, 1925.
 15. Schechtel E.: Łosoś (*Salmo salar* L.) i troć (*Salmo trutta* L.). Rocznik Nauk roln. i leśn. XIV, 1925.
 16. Scholz R.: Beitrag zur Kenntnis und Verbreitung paläarktischer *Dytisciden* (Col.). Coleopter. Centralbl. Bd. 4, 1929.
 17. Siemaszko J. i W.: Owadorosty polskie i palearktyczne. Polsk. Pismo Entom. VI, (1927) 1928.
 18. Sitowski L.: Do biologii pasorzytów borecznika (*Lophyrus* Latr.). Roczn. Nauk roln. i leśn. XIV, 1925.
 19. Smreczyński St. jun.: Kilka uwag o krajowych ryjkowcach. Polsk. Pismo Entom. VII, (1928) 1929.
 20. Stach J.: Die Gattung *Branchyostomella* Agr. (*Collembola*) und ihre Arten. Bull. Intern. Acad. Polon. Sc. Lettr. Cl. Sc. Math.-Natur. S. B. (Zool.) 1928.
 21. Tenenbaum Sz.: Nowe dla Polski gatunki i odmiany chrząszczy. IV. Polsk. Pismo Entom. VII, (1928) 1929.
 22. Udziela Wł.: Odmiany geograficzne wiewiórki w Polsce, jej rozsiedlenie oraz znaczenie gospodarcze. Roczn. Nauk. roln. i leśn. XII, 1924.
- Praca Udzieli [22] zajmuje się rasami (czy innymi jednostkami)? — autor pod tym względem jest bardzo chwiejnym, raz używając nomenklatury trinomialnej, uważa więc owe „rasy“ za podgatunki, w innym miejscu zaś mówi o odmianie, *varietas* wiewiórki na ziemiach polskich i ich geograficznego rozmieszczenia. Z pięciu „ras“, występujących, podług autora, w Polsce, w Tatrach spotykamy trzy: czarną karpacką *Sciurus vulgaris carpathicus* Pietr., zamieszkującą poza Tatrami całe Polskie Karpaty i Podkarpacie; ztąd schodzi ona do Jury Krakowskiej, poza-tem występuje w Górach Świętokrzyskich i na Wileńszczyźnie. *Sc. vulg. varius* Kerr. zajmuje całą Polskę, zachodząc i w Tatry, przyczem ruda barwa tej odmiany na wyżynach i w górach nieco ciemnieje. zbliżając się do ubarwienia formy typowej. Wreszcie trzecia forma tatrzańska to *Sc. vulg. italicus* Bonap.
- Artykuł Domaniewskiego [2] zajmuje się

fauną Tatr z punktu widzenia tworzenia Parku Narodowego. Umieszczony w piśmie łowieckim, aczkolwiek podkreśla konieczność ochrony całego zespołu fauny i flory tatrzańskiej, uwzględnia przedewszystkiem gatunki interesujące myśliwych, a więc łowne ptaki i ssaki. Poza wymienieniem tych zwierząt i określeniem charakteru pożądanej ochrony (bez-względna, czy tylko względna, konieczność, lub możność odstrzału), podaje autor nieco szczegółów z życia niektórych ssaków tatrzańskich.

Kulmatycki [7] omawia rozmieszczenie ryb na ziemiach polskich, wymienia więc między innymi i ryby tatrzańskie. Zgodnie z Nowickim stwierdza brak w naszych górach lipienia, ale ze względu, że ryba ta występuje w niektórych okolicach Polski, obejmuje górny bieg rzek nazwą krajiny ryb łososiowatych (a nie krajiny pstrąga, jak proponował Nowicki), wyróżniając następnie dwie podkrajiny: 1) pstrąga i 2) lipienia. Jeśli chodzi o Tatry, to ich strumienie należą całkowicie do podkrajiny pstrąga. — Schechtel [15] stara się rozstrzygnąć zawiłą kwestję gatunkowej przynależności wiślanych i dunajcowych „łososi“. W literaturze istnieje ogromne zamieszanie w kwestji odrębności gatunkowej łososia właściwego (*Salmo salar* L.) i troci (*Salmo trutta* L.). Autor ustala szereg różnic między obu gatunkami, podając zarazem wiele ciekawych obserwacji biologicznych: łosoś, podług autora, wstępuje z morza do rzek tylko w jesieni — troć zaś przez cały rok; łosoś wędrówkę do tarlisk odbywa w tempie szybkim (około 3 miesięcy, — troć wolniej (ok. 6 mies.); łosoś odbywa tarło w grudniu w roku wejścia do rzeki — troć w październiku roku następnego; łosoś przebywa w rzece tylko tak długo, jak długo trwa wędrówka w obie strony wraz z tarłem, t. j. ok. pół roku — troć przebywa przez cały rok; łosoś węduje w liczbie niewielkiej — troć licznie. Ciekawą jest rzeczą, że, wbrew utartemu pogładowi, autor nie znalazł w Wiśle mieszaińców między obu gatunkami. Zaznacza jeszcze, że w swych badaniach miał autor z Dunajca tylko troć, łososia zaś spotkał w Wiśle przy ujściu Skawy.

Jak zawsze, największą ilością prac mogą się pochwalić owady. Sitowski [18] w swej pracy nad pasorzytami poznańskich boreczników wymienia występowanie jednego gatunku tej błonkówki w Tatrach, gdzie gaśienica jej żyje na świerku. — Heinrich [4] podaje nową dla Tatr, jak zresztą i dla Polski, błonkóvkę *Triptognathus unidentatus* Berth., gatunek wybitnie górski, znany dotychczas tylko z Alp, oraz gór północnej Persji i Armenji. Pierwsza praca Niesiołowskiego [10] wymie-

nia dla Tatr dwa gatunki motyli z rodzaju *Larentia*. — Najważniejszą w spisie tegorocznym jest druga praca tegoż autora [11], obejmująca całość fauny motyli w Tatrach Polskich. Praca zawiera rezultat sześcioletnich badań autora; w części ogólnej, której dla braku miejsca nawet pobieżnie, streścić tu nie mogę, są omówione warunki klimatyczne Tatr i ich ciekawy wpływ na morfologię i biologię motyli, dalej ich rozmieszczenie w Tatrach, poczem następuje wyliczenie elementów zoogeograficznych fauny tatrzańskiej. Część specjalna zawiera wykaz 348 gatunków (dotychczas znano 159) z Tatr polskich. — Kuntze [8] poddaje analizie statystycznej chrząszcza *Carabus arvensis* z całej Polski, ustalając, że osobniki tatrzańskie zbliżają się do czarnohorskich. Te ostatnie są najbardziej zgodne z opisem rasy *C. arv. carpathus*, podczas gdy zachodnio-karpackie, oczywiście wraz z tatrzańskimi, odchylają się w stronę rasy *germaniae*. — Jannel [5] daje monografię chrząszczy z podrodziny *Trochinae*, wymieniając i formy tatrzańskie (praca ta jest mi znana tylko z recenzji). — Scholz [16] wymienia dla Tatr dwa gatunki pływaków, *Smreczyński* [19] i *Tenenbaum* [21] również w swych spisach uwzględniają Tatry. — Nunberg [12] dzieli się swymi obserwacjami nad biologią korników, przyczem obserwacje były częściowo prowadzone w Tatrach; chodziło przede wszystkim, obok innych kwestyj, o ilość generacji każdego gatunku w ciągu roku. W części ogólnej autor zwraca uwagę, że korniki powodują klęskę tylko wtedy, gdy równowaga w lesie zostaje naruszona przez inne przyczyny, np. przez zbyt obfite wyłomy lasu spowodowane przez wiatr i t. p. Pewna, „normalna“ ilość korników może być w lesie nawet pożyteczną. Zasadniczo korniki napałają tylko na drzewa osłabione, odgrywają więc rolę czyszciciela lasu z niepożądanych jednostek drzewnych. Mniejsze gatunki korników napałają głównie na dolne, obumierające gałęzie, powodując ich szybsze schnięcie, co drzewu tylko na dobre wychodzi. Pnie i gałęzie pocięte przez korniki szybciej się rozpadają i zamieniają na humus, aniżeli zdrowe, co ma duże znaczenie w życiu lasu, szczególnie w górskiego, rosnącego na stromych zboczach, gdzie warstwa gleby jest bardzo cienka i wymaga ciągłego odnawiania. — Drugą pracę tegoż autora [13] cytuję podług wykazów literatury z innych źródeł; odpowiedni tom Sprawozdań Komisji Fizjograficznej jeszcze nie jest rozesłany, wobec tego tylko autorskie odbitki są niektórym zoologom znane i umieszczane w wykazach. Omówienie tej pracy nastąpi w roku następnym. — Przy chrząszczach wspomnę jeszcze pracę Siemaszków

[17], pracę właściwie botaniczną, Daje ona pierwszy dla Polski spis owadorostów (*La-boulbeniales*), roślinnych zewnętrznych pasorczytów, występujących na owadach, najczęściej na chrząszczach. Zawierając między innymi 4 gatunki owadorostów, znalezionych na chrząszczach tatrzańskich, których nazwy i pochodzenie autor przytacza, praca ta tem samem musi wejść do literatury faunistycznej. — Fudakowski [3] znalazł w Tatrach nowy dla Polski gatunek ważki *Aeschna subarctica*, opisany pierwotnie z Ameryki północnej, a dopiero niedawno zauważony w Europie; w tej ostatniej znany jest dotychczas z Holandji, Niemiec i Estonji. — Szeliga-Mierzeyewski [9] w swym spisie prostoskrzydłych wymienia dla Tatr dwa gatunki. — Stach [20] znalazł poraz pierwszy dla Polski gatunek skoczogonka *Branchystomella parvula* na Podhalu.

Chappuis [1] w wykazie systematycznym zwierząt zamieszkujących wody podziemne całego świata wymienia opisane przez Wrześniowskiego skorupiaki tatrzańskie: *Boruta tenebrarum* i *Niphargus tatrensis*. — Schäferna [14] omawiając filogenezę niektórych skorupiaków czesko-słowackich, wyprowadza Borutę z rodzaju *Synurella*.

W. Roszkowski.

Program badań etnograficznych

na góralszczyźnie. Referat w tym przedmiocie przedstawił p. Juliusz Zborowski, dyrektor Muzeum tatrzańskiego na „konferencjach tatrzańskich“, zwołanych przez Instytut Geograficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w maju b. r. Jako teren badania określił on poza właściwem Podhalem także Gorce, Orawę, Spisz i obszar pieniński z pograniczem Nowosądecką; wskazał przytem, że byłoby wysoce pożądanem, aby badacze polscy zajęli się Spiszem i Orawą także poza granicami naszego państwa, gdyż ziemie te należą do tego samego obszaru etnograficznego, względnie geograficznie pokrewnego. W obecnym stanie rzeczy najważniejszym zadaniem jest zbieranie materiałów, które szybko giną. Chodzi tu o zbieranie okazów oryginalnych, o zdjęcia fotograficzne, kinematograficzne, fonograficzne, rysunki kolorowe, ścisłe inżynierskie pomiary, bibliografię; wszystko to wymaga nakładów. Ośrodkiem tej pracy powinno być Muzeum tatrzańskie, którego rozszerzenie i należyte wyposażenie jest rzeczą pierwszorzędną wagi (o tem zob. artykuł J. Zborowskiego w pierwszej części naszej Kroniki). — Za najpilniejsze na dziś zadania uważa referent: 1. badanie budownictwa ludowego. Praca Matlakowskiego dotyczy tylko Zakopanego i okolicy; teren badania należy

rozszerzyć na cały wyżej określony obszar. Stare formy konstrukcyjne zanikają, zwlekać zatem z tą pracą nie można. — 2. Tak samo ma się rzecz ze strojem; na tem polu mało jeszcze zrobiono; — w ostatnich czasach Muzeum, w związku z kolekcjonowaniem okazów, zajęło się badaniem interesujących form przejściowych, na Spiszu, na Orawie, pod Pieninami na pograniczu Sądecko-żywieckiego. — 3. Badanie ostatnich resztek dawnych form życia i kultury materialnej, jak rolnictwa, życia domowego, obrzędów, łowiectwa, prawa spadko-

wego i pasterskiego. — 4. Zbieranie nomenklatury topograficznej na żywym materiale, z pozostawieniem na przyszłość badań archiwalnych. — 5. Zbieranie z pomocą nowoczesnych środków (kinematograf, fonograf) szybko zanikających pieśni, melodj i tańców. Ponieważ potrzebne tu przyrządy są kosztowne, należałoby założyć centralę połączoną z archiwum, gdzie zbieranoby materiały z całej Polski, zwiłokrotniano filmy i utrwalano płyty fonograficzne w materiale metalowym. — 6. Zbieranie słownictwa gwarowego.

OCHRONA PRZYRODY.

Działalność Państw. Rady Ochrony Przyrody w r. 1928/29 w odniesieniu do spraw górskich.

— Po dokonaniu przez Rząd w ubiegłym roku zakupu najważniejszej części Pienin na rzecz Pienińskiego Parku Narodowego, skierowane były w roku 1929 usiłowania Państwowej Rady Ochrony Przyrody w kierunku doprowadzenia do końca akcji wykupu Pienin. W dniach od 31 maja do 3 czerwca b. r. odbyła się w tym celu konferencja z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Rolnictwa, Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego oraz Państwowej Rady Ochrony Przyrody, na której rozważono dokładnie, na podstawie zwiędzenia terenu, projekt zakupu od właściciela Krościenka p. inż. Dziewolskiego reszty Pienin t. zn. potoku Pienińskiego oraz pasma Pieninek z Czerzecem i Sokolicą. Pertraktacje o nabycie tego obszaru przez Ministerstwo Rolnictwa znajdują się obecnie w toku i mamy nadzieję, iż rychło będą doprowadzone do pomyślnego zakończenia.

Wobec utworzenia z Pienin Parku Narodowego staje się bardzo aktualną sprawą budowę schronisk, domów wycieczkowych i t. p. budowli, służących celom turystycznym, naukowym i wychowania fizycznego. Państwowa Rada Ochrony Przyrody stoi na tem stanowisku, iż podobnie, jak w Tatrach, tak i w Pieninach Polskie Towarzystwo Tatrzńskie powinno wyłącznie odgrywać rolę gospodarza, o ile chodzi o ruch turystyczny. To też z troską i niepokojem patrzy na to, iż zarówno w Krościenku, jak w Sromowcach, planowane są rozmaitego rodzaju budowle, o charakterze turystycznym, lub zbliżonym do niego, które jednakże nie są budowane, a nawet planowane za zgodą i poparciem Pol. Tow. Tatrzńskiego. W chwili, gdy piszemy to sprawozdanie, aktualną stała się budowa wielkiego, bo 4-ropiętowego, domu wycieczkowego, który ma być wybudowany przez Śląski Urząd Wojewódzki w Sromowcach, tuż przy ścianie Parku Narodo-

wego na tle masywu Trzech Koron. Dla Towarzystwa Tatrzńskiego posiada ta budowla nietylko dlatego wielkie znaczenie, iż odbiera mu ona w pewnym stopniu swobodę co do przeprowadzenia własnych zamiarów budowlanych na terenie Sromowiec, ale również dlatego, iż stać się może zasadniczą przeszkodą dla wybudowania schroniska przez Towarzystwo na ważnym szlaku turystycznym w samych Pieninach.

Prace nad realizacją Parku Narodowego w Tatrach prowadzone były nadal z ramienia Państwowej Rady Ochrony Przyrody przez jej członka prof. Walerego Goetla. Długotrwałe pertraktacje pomiędzy Rządem i pp. Uznańskimi nie doprowadziły wprawdzie w bieżącym roku do pozytywnego wyniku, jednakże przygotowały one sprawę tę do załatwienia, które mamy nadzieję osiągnąć w roku 1930. Wśród szeregu mniejszych, lecz równie ważnych spraw związanych z ochroną Tatr, podnosimy, iż dzięki stanowisku Województwa Krakowskiego i wielkiej przychylności, z jaką odnosi się do bieżących kwestyj w Tatrach p. starosta w Nowym Targu, doprowadzono do częściowego zburzenia szpecących krajobraz budynków drewnianych Burgo nad Morskiem Okiem, zapobieżono wybudowaniu niewłaściwego budynku, który zamierzali wznieść w dolinie Białki sołtysi kilku wsi podhalańskich; usunięto szpecące budy przy wodospadach Mickiewiczza oraz ograniczono zbytnią swobodę zawodowych fotografów w głębi Tatr. Państwowa Rada Ochrony Przyrody zgodziła się na wykonanie robót wodociągowych dla Zakopanego w dolinie Jaworzynki pod warunkiem niezniszczenia lasu i zboczy górskich, które to warunki — mamy nadzieję — będą przez właściwe władze dotrzymane.

Dzięki usilnej i z fachową znajomością rzeczy prowadzonej pracy nad ochroną zwierzyzny przez p. Janusza Domaniewskiego, członka Państwowej Rady Ochrony Przyrody i urzędnika Fundacji „Zakłady Kórnickie“, po-

prawił się stan zwierzenia w Tatrach w sposób dla każdego widoczny.

W sprawie ochrony przyrody na Babiej Górze mamy do zanotowania to, iż dzięki staraniom prof. Stanisława Sokołowskiego, członka P. R. O. P., powzięto ważne decyzje co do obszaru lasu ochronnego w lasach w Zawoji i w Makowie. Ogólny obszar wyznaczonych tutaj lasów ochronnych wynosi około 300 ha i obejmuje m. i. kilka nader cennych naukowo oddziałów leśnych w pobliżu, gdzie rosła dawniej t. zw. „Gruba Jodła“ zwana również „Jagiellońską“.

Prace nad rozszerzeniem Parku Narodowego na Czarnohorze weszły dzięki przychylności Ministerstwa Rolnictwa oraz Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie w nowe stadium. Nadleśnictwo w Worochcie opracowało plan powiększenia rezerwatu, który ma objąć 472 ha lasu i 350 ha łąk. Dnia 3 kwietnia b. r. odbyła się w Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie konferencja, na której P. R. O. P. reprezentowali członkowie Rady: S. Kulczyński, J. G. Pawlikowski i Sz. Wierdak. Uzupełnieniem tej konferencji miała być komisja w terenie, która wszakże nie doszła w bieżącym roku do skutku i odłożona została do wiosny roku przyszłego. Sądząc ze stanu prac przygotowawczych, można się spodziewać, iż w roku 1930 granice Parku Narodowego na Czarnohorze zostaną znacznie rozszerzone i ostatecznie ustalone.

Projekt znacznego rozszerzenia istniejących już w głównym paśmie Gór Świętokrzyskich dwóch rezerwatów doznał w bieżącym roku poparcia ze strony Ogólnego Zjazdu Literatów Polskich w Poznaniu, który na wniosek Bernarda Chrzanowskiego powziął jednomyślną uchwałę, domagającą się od

Rządu utworzenia z całego pasma głównego Gór Świętokrzyskich Parku Narodowego imienia Stefana Żeromskiego. Gdy także i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszecznych na zjeździe regionalnym w Radomiu powziął analogiczną uchwałę, z którą zwrócił się do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państw., żywymy uzasadnioną nadzieję, iż Park Narodowy imienia Stefana Żeromskiego zostanie niebawem zrealizowany.

Propagandzie ochrony przyrody górskiej oraz górskich Parków Narodowych służyły w roku bieżącym w pierwszej linii wystawy, organizowane przez P. R. O. P. Na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w Pałacu Rządowym mieliśmy osobną salę, w której górskie Parki Narodowe w Polsce były przede wszystkim reprezentowane. Również na wystawie Ochrony Przyrody, urządzonej staraniem Rady oraz Akademickiego Koła Przyrodników U. J. w Krakowie oraz na analogicznej wystawie urządzonej w czasie Zjazdu lekarzy i przyrodników w Wilnie, propagowano ochronę przyrody górskiej i popularyzowano ideę polskich Parków Narodowych wobec kilkunastu tysięcy obywateli, którzy wystawy te zwiedzili.

Na osobną wzmiankę zasługuje wystawa ochrony przyrody, zorganizowana w Zakopanem w czasie „Tygodnia Tatrzańskiego“ z pomocą Towarzystwa Tatrzańskiego oraz Muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem.

W zapiskach naszych, dotyczących głosów prasy w ciągu roku 1929, okazuje się, iż sprawom górskich Parków Narodowych w Polsce poświęcono około 90 artykułów, co oznacza znaczny wzrost zainteresowania się temi sprawami w społeczeństwie.

W. S.

TURYSTYKA

Postulaty turystyki na Podhalu przedstawione imieniem P. T. T. na ankiecie zakopiańskiej w marcu b. r. przez p. Osieckiego, przedstawiają się w streszczeniu następująco: Tatry należy uważać za teren specyficznie turystyczny, na którym przed interesami turystyki muszą ustąpić wszystkie inne; także pod względem gospodarczym ta zasada jest najracjonalniejsza. Stworzenie Parku Narodowego tatrzańskiego leży w interesie podniesienia turystyki. Towarzystwu Tatrzańskiemu należy przyznać prawa gospodarza w Tatrach i prace jego poprzeć wydatniejszymi subwencjami ze źródeł publicznych. Dla prywatnej przedsiębiorczości właściwym terenem jest strefa podtatrzańska. — Postulatami w strefie górskiej na razie najpilniejszymi są: wybudowanie obszernego,

nowoczesnego schroniska w okolicy Morskiego Oka, — wybudowanie schronisk narciarskich w dolinie Pysznej i Chochołowskiej, — urządzenie dobrej ścieżki z Kuźnic na Halę Gąsienicową, ścieżki z Morskiego Oka do Pięciu Stawów i do Czarnego Stawu, — ścieżki „Nad regłami“; — stworzenie aparatu umożliwiającego organizację wycieczek obcych, tudzież biura informacyjnego; — w Pieninach wybudowanie schroniska i organizacja łódkarstwa; — na Babiej Górze przeniesienie schroniska na lepsze miejsce i powiększenie go; — urządzenie stacji noclegowej i informacyjnej w Lipnicy Dolnej na Orawie; — wyposażenie wewnętrzne schroniska na Turbaczu.

W strefie podgórskiej najważniejszymi postulatami ze względów turystycznych są:

regulacja i „zeuropeizowanie“ Zakopanego, — wzniesienie tu wielkiego hotelu turystycznego, — rozszerzenie noclegarni dla wycieczek zbiorowych, — stworzenie biura kwaternikowego, — wybudowanie wyciągu na Gubałówkę i hotelu tamże, — uporządkowanie dojazdu do Morskiego Oka, — urządzenia dla sportu jako środek atrakcji dla turystyki (tor saneczkowy z Gubałówki, ćwiczebna skocznia narciarska, ślizgawka, tor hokejowy, pływalnia, korty tenisowe). — Dla ułatwienia dostępu na Podhale: rozszerzenie żużli kolejowych na wycieczki sześcioosobowe, zniżki dla młodzieży, zniżki dla biletów powrotnych, (to wszystko istnieje już w Czechosłowacji); — odpowiednie urządzenia w wagonach dla przewożenia przyrządów narciarskich. Wreszcie dla ożywienia ruchu obcych należałoby pozyskać współpracę światowych biur turystycznych, poczynić ułatwienia w biletach okrężnych, rozszerzyć granicę konwencji turystycznej z Czechosłowacją, etc... — Należałoby wreszcie utworzyć osobny referat turystyczny przy starostwie w Nowym Targu, względnie jego ekspozyturę zakopiańskiej (urzędzie klimatycznym).

W związku z postulatami turystycznymi stoją postulaty komunikacyjne przedstawione imieniem P. T. T. i Krakowskiego Automobilklubu przez pp. Romaniszyna i Bukowieckiego. Najważniejsze z tych postulatów są następujące: a) linja kolejowa Nowy Targ—Szczańnica, ważna zarówno turystycznie jak i ze względu na eksploatację andezytu w Kluszkowcach. (Eksploatacja tego wyrobego kamienia znajdującego się w położeniu daleko dogodniejszym jak wszelkie możliwe kamieniołomy tatrańskie, odwróciłaby ciągle ponawiające się zakusy na eksploatację tatrańskiego granitu, która z ideą Parku Narodowego pogodzić się nie da; — z tego powodu ta linja kolejowa jest zarówno w interesie Tatr jak Pienin postulatem ze wszystkich najważniejszym). — b) przypomniano potrzebę skrócenia połączenia Zakopanego z Krakowem przez budowę linii kolejowej Myślenice—Mszana Dolna. — c) budowa tramwaju elektrycznego Jurgów—Zakopane—Witów, z ewentualnością połączenia na wschodzie z czesko-słowacką podtatrzańską linją tramwaju elektrycznego, tudzież połączenia na zachodzie przez Podczerwone z koleją Nowy Targ—Sucha Hora. — d) z uwagi że całe Podhale zamienia się w teren letniskowy, podniesiono potrzebę całego szeregu dróg zapewniających dogodny dojazd do letnisk i połączenie ich między sobą. — e) podniesiono potrzebę szybkiego uregulowania sprawy drogi pienińskiej w porozumieniu z Czechosłowacją, również jak uregulowania

łódkarstwa, i rozmaitych spraw komunikacji pogranicznej z Czechosłowacją, między innymi komunikacji automobilowej z Zamkami Orawskimi. — f) ankieta wita z zadowoleniem projekt budowy okrężnego gościńca dookoła Tatr, który w związku z powstaniem Parku Narodowego będzie ogromną atrakcją dla turystyki zagranicznej; w pierwszym rzędzie należy jak najszybciej wykończyć odcinek Kościelisko—Witów—Chochołów z odgałęzieniem do Suchej Hory. — g) wreszcie domagano się przebudowy dworca kolejowego w Zakopanem, rozszerzenia linii telefonicznych na ważniejsze letniska i przebudowy połączeń z Morskim Okiem i Halą Gąsienicową systemem kabli podziemnych, — zabezpieczenia gościńców od kurzu przez użycie odpowiedniego materiału, — poprawienie ścieżki spacerowej pod regłami etc.

Tatrańskie Ochołnicze Pogotowie Ratunkowe w roku 1929.

— Rok sprawodawczy obfitował w niebywałą dotychczas ilość tragicznych wypadków w Tatrach. Śmiertelne żniwo obejmuje dziewięć wypadków, których epilogiem były cmentarne krzyże, dwa wypadki ciężkiego potłuczenia i jeden dotąd niewyjaśniony wypadek zaginięcia bez wieści. Prócz powyższych było jeszcze kilka wypadków, przez T. O. P. R. nienotowanych. Dwukrotnie zostało T. O. P. R. fałszywie zaalarmowane, raz do Morskiego Oka, drugi zaś raz na Halę Gąsienicową. W obydwu wypadkach alarm spowodowały hałaśliwe okrzyki turystów w górach. To niekulturalne zachowanie się niektórych turystów może być kiedyś przyczyną prawdziwego nieszczęścia, gdyż o tej samej porze może być Pogotowie wzywane na inne miejsce, gdzie każda minuta opóźnienia decyduje o śmierci lub życiu człowieka lub nawet kilku ludzi. Ilość wypadków wzrastająca z roku na rok świadczy zarówno o wielce wzmószonym ruchu turystycznym jak i o pewnym niedocenianiu trudności wypraw skalnych, o braku doświadczenia i techniki taternictwa i o lekceważeniu przygotowania fizycznego lub przecenianiu swych sił.

A teraz przejdźmy kolejno poszczególne wypadki, w których Pogotowie Ratunkowe interwenjowało:

Dnia 17 marca br. około godz. 11 rano zdążyło dwóch narciarzy Józef Rój, syn Stanisława Roja z Zakopanego i Tadeusz Stasina drogą przez Skupniów, Upiąż na Halę Gąsienicową, na nartach. Kilkadziesiąt metrów przed miejscem, gdzie droga na Skupniowym Upiąże łączy się ze żlebem pod Kopą Królową, narciarze ci skuszeni doskonałym śniegiem zjechali z drogi w dół kilku

łukami, wskutek czego podcięli duży płat sypkiego śniegu, powodując obsunięcie się lawiny. Lawina ta porwała obydwu narciarzy znosząc ich do żlebu, gdzie zostali zasypani również i druga lawina, która spływała równocześnie żlebem z pod Kopy Królowej. Tragedja ta dokonała się w przeciągu kilku sekund w oczach paru turystów zdążających na Halę Gąsienicową. Część tych świadków wypadku natychmiast zjechała na nartach do żlebu i dzięki wystającej ze śniegu nartcie należącej do Tadeusza Stasiny wydobyła go z lawiny w stanie półprzytomnym. Rozpoczęto natychmiast poszukiwania za Józefem Rojem. Druga część turystów udała się spiesznie na Halę G. z doniesieniem o wypadku i celem zabrania kilku łopat do odgrzebywania śniegu. Z Hali G. zawiadomiono również telefonicznie Pogotowie Ratunkowe, które w przeciągu półtorej godziny przybyło na miejsce wypadku, (5 km sankami i 3 km na nartach, po bardzo zapadającym się śniegu w lesie). Lawina swą wielkością, długością i głębokością przedstawiała obraz niesamowity. Długość jej wynosiła około 500 m, głębokość zaś od 3 do 5 m. Poszukiwania w tych warunkach przedstawiały nieprawdopodobne trudności przerastające siły nie tylko członków T. O. P. R. lecz wszystkich turystów i ludności, która na wieść o wypadku tłumnie gromadziła się wciąż przy lawinie. Ponieważ nikt ze świadków osuwającej się lawiny nie zdołał zobaczyć, w którym miejscu w żlebie strumienie śniegu zasypały drugiego narciarza Roja, przeto prace nad rozkopywaniem śniegu prowadzono naraz w kilku miejscach licząc tylko na przypadkowe natrafienie na ciało Roja, o znalezieniu bowiem w stanie żywym nie mogło być mowy ze względu na to, że od wypadku upłynęło już dużo godzin, a śnieg lawiny był niezwykle twardy. Poszukiwania trwały do późnej nocy bezskutecznie. Na drugi dzień również wcześniej z rana rozpoczęto pracę trwającą cały dzień. Dopiero w trzecim dniu sondowaniem śniegu długimi prętami żelaznymi udało się natknąć na zwłoki Roja, które natychmiast odkopano i zwieziono do Zakopanego. Zwłoki leżały w pozycji skulonej, siedzącej na głębokości 5 m w górnej połowie lawiny, w miejscu, w którym najmniej spodziewano się je znaleźć. Tragiczny ten wypadek zbiegł się dziwnym trafem z ilustracją przedstawiającą s. p. Mieczysława Karłowicza, którą podał „Ilustrowany Kurjer Codzienny“ w niedzielnym wydaniu z 17. III. 1929 r.; jak wiadomo s. p. Karłowicz zginął był również pod lawiną na Hali Gąsienicowej.

Dnia 16. VI. b. r. w dzień świąteczny wybrała się Motykówna Marja lat 22, siostra



Transport zwłok s. p. M. Świerza.

znanych narciarzy na spacer do Doliny Białego. Tu wspięła się dostępną ścieżką na jedną z wysokich i stromych turni. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Motykówna czytała na szczycie turni książkę, którą obok niej później znaleziono, poczem zasnęła, straciła równowagę i spadła z wysokości około 30 m. Mogł również zająć wypadek potknięcia się na szczycie i upadku. Przechodzący turyści znaleźli ją nieprzytomną parę metrów od drogi prowadzącej do Białego. Pogotowie Ratunkowe zawiadomione o wypadku zniósł nieszcześnieśliwą do wylotu Doliny Białego, zkad karetką odwieziono ją do szpitala. Motykówna doznała złamania obydwu nóg i bardzo ciężkich obrażeń wewnętrznych, tak że po trzech dniach męczarni, nie odzyskawszy przytomności zmarła 18 czerwca.

Dnia 5 lipca b. r. poniosło społeczeństwo polskie, literatura tatrzańska i szerokie koła taternicze stratę, o której rozmiarach wypowiedzą się na innym miejscu powołane do tego czynniki oraz przyjaciele Zmarłego. Zginął dr. Mieczysław Świerz, polska sława

taternicka, pionier alpinizmu polskiego. Około godz. 2-giej popołudniu alarmujący dzwonek telefoniczny nerwowo poruszył pozostałych o tej porze przypadkowo w biurze P. T. T. piszącego te słowa i p. Józefa Oppenheima. To z Hali Gąsienicowej doniesienie o wypadku na Kościelcu. W pierwszej chwili nie wiemy, o kogo chodzi, gdyż na Hali G. nie mają dokładnej wiadomości, a tylko podają, że na Kościelcu od strony południowo-zachodniej jakiś turysta w ścianie woła o pomoc. W tym dniu, jak nas dalej telefonicznie informują, wybrał się na Kościelec dr. Świerz i Tadeusz Ciesielski. Ponieważ nie wydawało się nam prawdopodobnym, aby tu chodziło o wymienionych, przeto prosimy, aby sprawdzono jeszcze dokładnie, gdyż nie chcieliśmy wprost wierzyć w możliwość konieczności niesienia pomocy tak wytrawnemu taternikowi, jakim był Świerz. Niestety — ponowny telefon w pół godziny później niesie hjobową wieść „dr. Mieczysław Świerz zabity — leży u stóp Kościelca, Ciesielski tkwi w połowie ściany — wzywa pomocy”.

W dwadzieścia minut wyruszają samochodem do Kuźnic Ignacy Bujak, J. Oppenheim, przewodnik Józef Gąsienica Tomków, Bronisław Czech. Pod Boczaniem spotykamy wracającego z Hali G. Ferdynanda Goetla, który o wypadku jeszcze nic nie wiedział. Uścisk dłoni jako wyraz wzajemnego głębokiego wzruszenia — idziemy dalej. Na Hali G. przyłącza się do nas grupa turystów i skautów. Dwaj turyści, Bernadziekiewicz i Mogilnicki udają się wprost na Kościelec, aby od szczytu zejść na ścianę do Ciesielskiego i pomódz mu asekuracją do wyjścia. My tymczasem od Zielonego Stawku zbliżamy się pod ścianę Kościelca. Spieszymy, aby za światła dziennego dotrzeć do zwłok. Pierwszy przy zwłokach stanął podpisany, poczem nadszedł p. Oppenheim i inni. Ciało ś. p. Świerza leżało na wznak, głową w dół na piargach. Głowa lekko podwinięta pod tułów. Śmierć musiała nastąpić momentalnie. Zwłoki od pasa w górę obnażone, koszula zwinięta pod pachami, okrecona liną, której kawałek był ostro obcięty. Badamy linę. Jest prawie nowa, końce czterech silnie kręconych sznurów przecięte są na równej wysokości, ostro, bez strzępów. W odległości około 10 m w górę od miejsca, na którym leżą zwłoki ś. p. Świerza znajduje się pochyła płyta kamienna z dużymi śladami krwi. Na tę płytę upadł ś. p. Świerz i zjąd dopiero ciało Jego zostało ukośnie odbite i rzucone na miejsce niżej położone. Mrok zapada, więc otulamy drogą głowę Zmarłego w nieprzemakalne ceraty, układamy ciało na materacach, owijamy siatką, następnie linami, przez

które przeciągamy bambus. O godz 9-tej wieczór już o zmroku, przy świetle latarek rusza ekspedycja w dół na ścieżkę Wielki ciężar ciała zmusza niosących do ostrożnego stąpania. Zmieniamy się co chwilę, gdyż nikt nie jest w stanie w tych warunkach długo przedzierać się z ciężarem po pochyłości przez maliniaki. W międzyczasie wciągnięto Ciesielskiego na Kościelec i sprowadzono do schroniska P. T. T. Transport ciała Zmarłego trwał cztery godziny, O godz. 1-szej w nocy złożyliśmy zwłoki w kosówce przed schroniskiem i udaliśmy się do budynku na wypoczynek. Tu spotkaliśmy Ciesielskiego w stanie zupełnej depresji. Według jego opowiadania przebieg tragicznego momentu był mniej więcej następujący: od piargów zmierzali obaj południowo-zachodnią ścianą w górę, pokonując przy wzajemnem asekurowaniu się wielkie trudności. Gdy doszli mniej więcej do połowy ściany, ś. p. Świerz asekurowany liną przez towarzysza, w odległości około 5 m trawersował odcinek będąc w danej chwili o jakiś 1 m wyżej od Ciesielskiego. Na drugim odcinku trawersu, po przejściu załamania ściany do komina, ś. p. Świerz chowa się według opowiadania towarzysza za ścianę komina, a Ciesielski widzi tylko Jego rękę, szukającą chwytu. Nagle daje się słyszeć krzyk „oho — leceć” i Ciesielski czuje szarpnięcie liny, którą trzyma zabezpieczoną u haka, a zarazem widzi w tym momencie opadającego towarzysza swego od ściany z blokiem w ręce. Przez kilka nieskończenie długich sekund ciało odbija się od ściany kominka i spada na płytę. Wysokość ściany mogła wynosić około 80 m. Drugi koniec przerwanej liny pozostaje w rękach oszołomionego Ciesielskiego, który woła następnie o ratunek. Przygodni turyści dają znać o alarmie z Kościelca na Halę G. i do T. O. P. R. Na drugi dzień zwłoki ś. p. Świerza składamy na wóz kompanji wysokogórskiej, odbywającej ćwiczenia na Hali i wozimy końmi przez Karczmisko—Skupniów—Uptaz do Kuźnic, gdzie oczekiwała już wdowa z 11-letnim synkiem i 6-letnią córeczką Zmarłego. Ciało ś. p. Mieczysława Świerza zostało złożone w kaplicy cmentarnej. Na trzeci dzień odbył się pogrzeb, na który przybyły delegacje P. T. T., Sekcji Turystycznej P. T. T., Karpathenverein'u z Czechosłowacji i i. Przy trumnie ustawionej na katafalku w kościele parafjalnym zebrała się olbrzymia ilość publiczności, delegacje, młodzież szkolna, przewodnicy tatrzańscy w strojach góralskich z linami, rzesze młodych i starszych turystów i ludność góralska. Smutny obrzęd kościelny odprawił towarzysz wielu wypraw Zmarłego, ks. Jan Humpola. Trumnę złożono na drabi-



„Wierchy“ r. 1929. do Wspomnień o M. Świerzu.

For. Zwoliński

KOŚCIELEC OD ZIELONEGO STAWU

(Miejsce zgonu ś. p. Mieczysława Świerza)



Z pogrzebu ś. p. M. Świerza.

niastym wozie ubranym zielenią i tonącym w kwiatkach i wieńcach. Za trumną postępowała żona, syn i córka Zmarłego oraz bracia, poczem reszta oddających popularnemu i powszechnie znanemu Taternikowi ostatnią posługę. Muzyka wojskowa poprzedzała kondukt. Nad grobem przemawiali: delegat Pol. Tow. Tatr. i S. T. P. T. T. dr. Stefan Komornicki, prof. Zygmunt Mirtyński imieniem ciała pedagogicznego oraz dr. Michał Guhr imieniem Karpathenverein'u w języku słowackim i niemieckim. Pogrzeb ten był olbrzymią manifestacją uczuć dla Zmarłego oraz dowodem Jego wielkiej popularności wśród szerokich warstw mieszkańców Zakopanego. W parę dni później złożył w biurze P. T. T. pewien akademik zegarek ś. p. Świerza, który znalazł opodal miejsca upadku ciała. Wskazówka zegarka stanęła na godz. 1-szej.

Dnia 17. lipca spadł z Nosala robotnik kamieniołomów tatrańskich Franciszek Janiczek, lat 27, który z towarzyszem swoim Fabianem Hołdą wybrał się tam na szarotki. Cieżko rannemu udzielił pierwszej pomocy wysłany przez T. O. P. R. na miejsce wypadku, przewodnik Józef Gąsienica Tomków. Janiczek przewieziony do szpitala zmarł na drugi dzień wskutek ran w głowie

Dnia 24. lipca wybrał się z Hali Gąsienicowej na Niebieską Turnię od strony Zie-

Wierchy VII

lonych Stawków Gąs. niejaki Józef Plitzko, lat 26, nauczyciel szkoły powszechnej mniejszościowej w Królewskiej Hucie, stale zamieszkały w Bytomiu. Plitzko zamierzał robić zdjęcia fotograficzne. Nie znając trudności, jakie piętrzą się z tej strony na Niebieskiej Turni wspiął się coraz to wyżej, aż utknął na trawiastej, mocno nachylonej półce, której już nie zdołał przejść. Obsunął się tu i spadł w przepaść z wysokości około 150 m na śnieg, ponosząc śmierć na miejscu. Ciało jego wydobyla kompania wysokogórska, która odbywała na grani Swinicy ćwiczenia. Towarzysz Plitzki, bawiący chwilowo w ten dzień w Zakopanem, zawiadomił rodzinę, która z włóki zmarłego dostarczone przez T. O. P. R. do ko-

stnicy w Zakopanem, przewiozła do Niemiec.

Tego samego dnia, 24. VII. b.r. zaszedł drugi nieszczęśliwy wypadek na Hawraniu. Kolonja Koła Oświatowego z Warszawy, przebywająca na letniku w Białce, urządziła pod kierownictwem p. M. Węgrzyckiego zbiorową wycieczkę w dwanaście osób na Hawrań. Uczestnicy wycieczki nie byli wyposażeni w przybory turystyczne, ani też nie przygotowani fizycznie do tego rodzaju uciążliwej tury. To też jedna z pań p. Okraszewska stoczyła się z przełęczy Hawrania żlebem ponosząc bardzo ciężkie obrażenia na głowie i na całym ciele. Jedną z uczestniczek zawiadomiła Pogotowie Ratunkowe telefonicznie z Jaworzyny o wypadku, podając miejsce, gdzie ranna leży. Wyruszył tam natychmiast samochodem przewodnik Józef Krzeptowski Wawrytko, tamże udali się również żandarmi



Ostatnie pożegnanie ś. p. M. Świerza.

czescy na pomoc, których Wawrytko prześcignął i pierwszy przybył do rannej. Okrąszewska dawała już bardzo słabe oznaki życia i w godzinę później zmarła. Czeszy zandarmi znieśli jej zwłoki do Jaworzyny, gdzie odbyła się następnego dnia komisja sądownolekarska, poczem władze czeskie odesłały ciało zmarłej do Białki.

Dnia 7 sierpnia b. r. spadł z północnej strony Lodowego prof. Henryk Altman lat 32 z Warszawy, Zielna 25. i doznał silnego potłuczenia nogi, tak dalece, że o własnych siłach nie mógł ruszyć się dalej. Na miejscu upadku pozostał 5 dni i dopiero dwóch turystów inż. Friedrich Trapper i inż. Hans Wettrich, którzy wskutek mgły zbłądzili i schodzili do Suchej Doliny również tym szlakiem, gdzie Altman zleciał, znaleźli go w dniu 11. VIII. całkiem przypadkowo. Altman oznaczył im na mapie miejsce, w którym się znajduje — niestety — zupełnie fałszywie. Turyści wrócili do Jaworzyny, z kąd p. dyr. Karol Kummer wystął ekspedycję po Altmana. Ekspedycja jednak nie znalazła go na wskazanem na mapie miejscu, które określone było po południowej stronie Kopy Lodowej nad stawkiem pod Przełęczą. I znów tylko przypadkowo znaleźli Altmana dwaj chłopcy z Jaworzyny, którzy zaprowadzili ekspedycję czeską i wysłaną przez T. O. P. R. na poszukiwanie Altmana, polską ekspedycję (w składzie: Marusarz Andrzej, Stanisław Gąsienica Byrcyn, Stanisław Gąsienica z Lasu, Jan Gąsienica Tomków i Andrzej Krzeptowski Wawrytko) na miejsce, gdzie leżał ranny. Ztąd zniesiono go w dniu 12. VIII. do Łysej Polany, a dalej samochodem przewieziono do szpitala. W tymże dniu zgłosiła się do T. O. P. R. żona i szwagier Altmana, zaniepokojeni dłuższą jego nieobecnością. Wracający w samą porę z wyprawy przewodnicy udzielili żonie Altmana wyczerpujących wiadomości o chwilowo zaginionym i szczęśliwie odnalezionym turyście.

Dnia 9. VIII. b. r. zginął na Granatach, w żlebie Drege'a uczeń gimn. Zbigniew Krzyszkowski lat 20. W dniu krytycznym wybrał się on z siostrami na Halę Gąsienicową i miał się z nimi spotkać na Granatach, celem zaś jego wycieczki było „zrobienie kilku ścianek“. Ponieważ siostry jego nie spotkały się z nim, przeto wróciły do Zakopanego na Ustup, gdzie mieszkała ich matka. Rodzina Krzyszkowskiego nie była początkowo zaniepokojona jego nieobecnością, gdyż Krzyszkowski miał w dniu 11 sierpnia (niedziela) przejść na trasę wyciągu Automobility Tatrzańskiego i potem dopiero wrócić. W dniu 13. VIII. zwróciła się siostra

Krzyszkowskiego do T. O. P. R. z prośbą o telefonowanie do schronisk z zapytaniem o brata. Na Hali G. nic nie wiedziano, zaś telefon do Morskiego Oka był zepsuty. T. O. P. R. poleciło równocześnie strażnikom lasów Władysławowi Suleji przeszukanie ścian Granatów, Fajek i Kościelca, które miał Krzyszkowski robić. Jednak poszukiwania nie dały chwilowo żadnych pozytywnych rezultatów, wobec tego miało wyruszyć T. O. P. R. na poszukiwanie zaginionego, lecz w ostatniej chwili matka Krzyszkowskiego telefonicznie wstrzymała ekspedycję, oznajmiając, że syna jej pójdą szukać koledzy jego będący na Hali G. Wreszcie dnia 15. VIII. doniósł Władysław Suleja do T. O. P. R. telefonem, że zwłoki Zbigniewa Krzyszkowskiego znalazł p. Zarzycki w żlebie Drege'a. S. p. Krzyszkowski miał rozbitą głowę i strzaskane ciało, z czego wynika, że śmierć nastąpiła w czasie upadku momentalnie. Świadkiem upadku Krzyszkowskiego był ppłk. Korp. Kontr. M. S. Wojsk. dr. Ludwik Tangl, zdążający z towarzyszką p. Anną Zeisberger na Zawrat. Zauważyli oni bowiem jakiś czarno-biały przedmiot leżący z Granatów, lecz nie mogli rozróżnić, czy to był człowiek, czy plecak. Spotrzymaniem podzielili się z turystami zdążającymi de Zakopanego i turyści ci przyrzekli wstąpić do schroniska i zawiadomić o powyższem zarząd schroniska. Niestety jak ppłk. Tangl wieczorem tego samego dnia sprawdził, turyści ci do schroniska wcale się nie zgłosili.

Dnia 19. VIII. b. r. wyruszył z Bukowiny Tadeusz Krzemiński lat 20. zamieszkały w Warszawie Nowogrodzka 7, na wycieczkę na czesko-słowacką stronę Tatr. Celem wycieczki, jak to kolegom oznajmił, był Gałuch i Łomnica. Ponieważ dwa tygodnie nie było o nim żadnej wiadomości, przeto koledzy zaginionego, Kazimierz Percyc, Warszawa Wąski Dunaj 10 i Janusz Wilden, Warszawa Marszałkowska 140, zaniepokojeni zgłosili do T. O. P. R. i prosili o pomoc. Dano znać do Kezmarskiego Pogotowia Ratunkowego celem poczynienia poszukiwań po tamtej stronie Tatr jak również wyruszyła i polska ekspedycja w składzie sześciu przewodników i naczelnika Pogotowia p. Oppenheima.

Kilkudniowe wysiłki nie naprowadziły na żaden ślad zaginionego.

Dnia 5. IX. b. r. o piątej popołudniu doniesiono telefonicznie z Hali G. do T. O. P. R., że spadł ze ścieżki na Świnicę turysta i odniósł ciężkie rany na głowie i ciele. Natychmiast wyruszyła ekspedycja ratunkowa, która późnym wieczorem spotkała grupę turystów znoszących rannego na Halę G. Rannym okazał się prof. Edward Festen lat 30 zamieszkały w Warszawie. Pogotowie zniosło

prof. Festena do schroniska, poczem do Kuźnic, z kądem przewieziono go karetką do szpitala na opatrunek i rekonwalescencję.

W chwili, gdy sprawozdanie powyższe zostało opracowane, gdy lista ofiar zdawało się być definitywnie zamknięta, jakby dla dopełnienia i tak już przebranej miary śmierci, dwie młode istoty giną na Zamarłej Turni, siostry Marzena i Lida Skotnicówna, w wiśni życia i wśród radości wzruszeń, jakie daje nie zawsze bezkarnie obcowanie z pięknem i grozą Tatr. Dnia 6. października b. r. wyruszyły Marzena i Lida Skotnicówna rano z Hali Gąsienicowej przez Kozią Przełęcz celem zrobienia Zamarłej Turni. Należy tu wspomnieć, że młodszą z nich t. j. Lidę przesza Zamarłą Turnię w r. ub. Rónocześnie zdążyła na Zamarłą Turnię druga grupa od Pięciu Stawów Polskich złożona z Bronisława Czecha, Józefa Wójcika i Jerzego Ustupskiego. Wzajemnie grupy te o sobie nic nie wiedziały. Grupa Br. Czecha, w której Ustupski szedł ostatni znajdowała się już pod dolnym trawersem ściany, gdy zauważono podążające w ich ślady dwie turystki. Po dościsiu ich na odległość około 50 m poznano w nich Skotnicównę i głośno wymieniono pozdrowienia, nadto Ustupski zapytał, czy mają haki, naco Lida S. odrzekła twierdząco. Po krótkim czasie doszły Skotnicówna do Ustupskiego, który znajdował się na końcu dolnego trawersu i tu częstowały go cukierkami. Br. Czech był w tym czasie pod drugim trawersem z Wójcikiem. Ustupski doszedł do grupy Czecha, a Lida Skotnicówna posuwała się tymczasem jako pierwsza wolno naprzód. Przy drugim haku Lida zapinając karabinek na hak wypuściła go z ręki i karabinek zsunął się po linie. W kilka sekund później Br. Czech zobaczył lecącą w powietrzu, głową w dół Lidę i falującą wężykowatym ruchem linę, Marzeny zaś, z powodu zaśnaniającej ściany skalnej nie widzieli. Dopiero przy przekraczaniu t. zw. nżyzy zobaczył Br. Czech i jego towarzysze dwa ciała leżące w przepaści u stóp Zamarłej Turni, Lida upadła na śnieg, Marzena zaś opadał na piargi. Świadkowie tej tragedji, zupełnie wyczerpani psychicznie z trudem pokonując nawet najłatwiejsze miejsca, wyszli na szczyt, poczem okreśną drogą zeszli do martwych ciał. Nie mieli już co ratować. Późnym wieczorem dali znać z Hali G. telefonicznie o wypadku. Pogotowie Ratunkowe wyruszyło na drugi dzień na miejsce katastrofy i zniosło ciała doliną Roztoki na szosę, z kądem przewieziono je do kaplicy cmentarnej. Dwa dni później odbył się pogrzeb ofiar, który był wielką manifestacją uczuć dla matki. Śmierć Skotnicówn i Ho-

nowskiej i Krukowskiej w r. ub. jest groźnym memento dla młodych taterniczek biorących sobie za cel wycieczki przerstające ich młodociane siły i doświadczenie taternicze. Nie wolni od zarzutu są i ci taternicy, którzy siostry Skotnicówny zbyt wcześniej wtajemniczali w trudności wypraw skalnych.

Zagadkowe zniknięcie Loli Hirschówny w r. ub. w sierpniu dotąd nie zostało wyjaśnione. Zdawało się, że znalezienie plecaka Hirschówny nad Stawem Jaworowym przyniesie pewne rozwiązanie. To też Pogotowie Ratunkowe wybrało się w połowie sierpnia b. r. ponownie na poszukiwania — niestety — bezowocnie. Miejsce, na którym czescy żandarmi znaleźli plecak zaginionej, znajdowało się powyżej stawu Jaworowego około 70 m, na zboczu, w niewielkim zagłębieniu. Plecak zawierał legitymację Uniw. Jag. Hirschówny jej przepustkę tatrzańską, ręcznik i przybory do manicure.

Koszta wypraw T. O. P. R. tylko w znikomej części zostały pokryte przez poszkodowanych lub ich rodziny, po największej części koszta te zostały pokryte z fundusów Pogotowia. Fundusze te to subwencje różnych instytucji spieszących z finansową pomocą tej tak potrzebnej na terenie Tatr organizacji. Skład zarządu Tatrzańkiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego nie uległ od r. ub. zmianie.

Ignacy Bujak

Zakopane, dnia 10. X. 1929. *sekretarz T. O. P. R.*

Zagadkowa śmierć Kaszniców i Wasserberga

na górnym piętrze Doliny Jaworowej pod Lodowym, w sierpniu 1925 r. (zob. Wierchy IV., 1926 r. art., J. A. Szczepańskiego) znalazła nową próbę wytyśmaczenia w artykule dr. R. Kordysa, pomieszczonym w r. b. w krakowskim Il. Kurjerze Codziennym. Dr. K. przytacza własną przegodę doznaną przed kilku laty w Karpatach Wschodnich, gdzie kilka osób wyczerpanych długim marszem i o czczym żołądku zatruli się małą dawką alkoholu, która doprowadziła je aż do omdlenia. Podobne warunki znajduje autor w wypadku Kaszniców, — omdlonych dobiło zimno. Przeciw tej hipotezie występuje w nadesłanem nam piśmie p. St. K. Zaremba, podnosząc że młodszy Kasznica nie pił koniaku, że turyści nie byli o czczych żołądkach i że wedle relacji pani Kasznicowej koniak użyty był dopiero jako środek ratunku przeciwko nadwycieczynemu — zwłaszcza u wytrawnego taternika Wasserberga całkiem niewytyśmaczonym — osłabieniu, nie był więc powodem osłabienia. Te zarzuty stwierdzają tylko, że dane faktyczne, na których opiera się dr. K., nie są stwier-

dzone; trzeba jednak powiedzieć, że również nie są wykluczone, a tak bądź co bądź, hipoteza dr. Kordyasa wydaje się być ze wszystkich dotąd stawianych względnie najprawdopodobniejszą. — Niezależnie od tego sama przygoda karpacka przez niego opowiedziana jest bardzo ciekawa i pouczająca.

Zaznaczyć trzeba, że już przedtem, zaraz po wypadku, podobną hipotezę postawił był dr. T. Mischke; nie rozporządzał jednak tak wymowną analogją własnych przeżyć jak dr. K. i dlatego opinia jego nie wywarła wówczas głośniejszego echa.

Polskie Tow. Turystyczne „Beskid Śląski“, powstało w r. 1909 z siedzibą w Cieszynie. Nabyło ono kilka parcel górskich na Wielkim i Małym Stożku na Wielkim Jaworowym i na Ropiczce. Na Ropiczce wybudowano w r. 1913 piękne schronisko w stylu zakopiańskim; niestety schronisko to zbudowane z wielkim wysiłkiem tutejszego społeczeństwa polskiego, spłonęło 4 kwietnia 1918 r., podpalone ręką zbrodniczą. Niestety to niezłamało szeregów polskich, przeciwnie, stało się pobudką do naszej pracy. Z wiosną 1920 r. przystąpiono do budowy nowego schroniska na Wielkim Stożku. Otwarcie tego schroniska nastąpiło 9 lipca 1922 r.

Tymczasem zanim budowa schroniska ukończoną została, zapadła dnia 28 lipca 1920 roku znana uchwała Rady ambasadorów, rozdzielająca Śląsk Cieszyński na część polską i czeską przyczem schronisko na Stożku i siedziba Towarzystwa t.j. Cieszyn przypadły Polsce, zaś znaczna część członków znalazła się w Czechosłowacji.

Ci członkowie „Beskidu Śląskiego“ wnieśli w lipcu 1921 roku podanie do Rządu krajowego w Opawie o nostryfikację statutu Towarzystwa z siedzibą w Orłowej. Ukonstytuowanie się nowego zarządu głównego nastąpiło 26 marca 1922 r. Nowo wybrany Zarząd postanowił podjąć się budowy nowego schroniska w Czechosłowacji. Rozpoczęto w tym celu zjednywać dalszych członków i gromadzić fundusze.

Jesienią roku 1925 zakupiło Towarzystwo dwumorgową parcelę na Kozubowej i wybudowało w roku następnym kilkukilometrową drogę górską kosztem 17.350 Kcz. Następnie przystąpiono w r. 1927 do łamania kamienia we własnym kamieniołomie, do zakupu i zwózki drzewa i cegły. W r. 1928 dokupiono dalszych 10 morgów terenu na wierzchołku Kozubowej. Łączne kosztu zakupu wszystkich parcel wyniosły 20.892.44 Kcz. Tegoż roku rozpoczęto kopanie fundamentów i poświęcono uroczyste założenie kamienia

węgielnego. Do końca września było schronisko już pod dachem.

Z wiosną 1929 r. przystąpiono do dokończenia budowy. Dotychczas wyplącono na konto 299.977 Kcz. Po ukończeniu budowy i obliczeń przypadnie Zarządowi Głównemu do wyrównania jeszcze dalsza poważna kwota. Tak wysokie kosztu parcel, budowy drogi i budowy schroniska nie mogły być przy tak małym naszym stanie liczebnym pokryte ze zebranej gotówki. Zarząd Główny zmuszony był przystąpić do zaciągnięcia pożyczki. Stwierdzić musimy, iż całe społeczeństwo polskie w Czechosłowacji w miarę swych sił pospieszyło „Beskidowi Śląskiemu“ z wydatną pomocą. Gdzie tylko „Beskid Śląski“ zapukał pod strzechę polską, wszędzie znalazł pomoc chętną w gotówce, w doradzie i w pracy.

Schronisko polskie na Kozubowej w Czechosłowacji. — Na terenie niewysokich, ale przemiłych śląskich Beskidów po czeskiej stronie, idą w zawody o lepsze trzy towarzystwa turystyczne: Klub czeskosłowackich turystów, Beskiden Verein i polski „Beskid Śląski“ w Orłowej.

Zasoby ich atoli, siły moralne i materialne są wielce nierówne. To też, gdy dwa pierwsze usiały śląskie góry mnóstwem, może nadmiarem schronisk, a raczej paradnych hoteli, trzecie borykało się przez kilka lat z trudnościami, zanim zdołało pochlubić się czynem poważnym, zasługującym na uwagę i uznanie nie tylko świata turystycznego, ale całego polskiego społeczeństwa.

Turystyka śląska ma charakter demokratyczny, masowy. Nie jest ona udziałem nielicznych, wybranych, czas i pieniądze mających jednostek ale roboczego ogółu, pracowników znojných, którzy odpoczynku świeżego szukają wśród górskiej przyrody.

Nie inteligenci, nie bogacze, których znokomo mało jest wśród czeskiej Polonji, wzniesli ten dom turystyczny nad miastem Jablonkowem, ale polscy robotnicy z Zagłębia Karwiny, z hut Trzyńca, rękodzielnicy, rolnicy, sklepikarze — za swe drobne grosiki. Oni bowiem stanowią podstawę członków „Beskidu Śląskiego“.

Dnia 8 września 1929 r., w którym polski „Beskid Śląski“ poświęcił i dla publicznego użytku otwarł swe schronisko, jest zaiste ważnym i doniosłym nie tylko dla turystów, ale i dla całej Polonji czeskosłowackiej, w dniu tym bowiem zdała ona egzamin ze swej żywotności, spoiści i sił twórczych, podniosła swój prestige wobec swoich i obcych.

Inicjatorzy budowy, z insp. Wład. Wójcikiem i prof. G. Zielińą na czele, rozumieili

to dobrze, iż skromna chałupa wobec wspinających tamtejszych schronisk czeskich i niemieckich obniżałaby godność śląskich Polaków, to też dołożyli starań i wysiłków całą górę — i postawili górski hotel, którego im nie tylko powinszować, ale pozazdrościć można. Prócz Hali Gąsienicowej żadne ze schronisk Tow. Tatrzańskiego nie stoi na poziomie Kozubowej, ani co do pojemności, ani trwałości, ani wewnętrznego urządzenia.

Postawiono dom nowoczesny, muirowany, duży i okazały na motywach podhalańskich stylizowany, według projektu arch. E. Dawida z Cieszyna. Poza urządzeniami gospodarczymi, jak piwnice, kuchnia, lodownia, wodociąg, łazienki, magazyny, bufet — mieści w sobie budynek dwie jadalnie z werandą oszkloną, 13 pokoi sypialnych na 62 łóżek, i trzy sypialnie zbiorowe na poddaszu. Pokoje sypialne i jadalnie mają kaflowe piece do ogrzewania zimną dla narciarzy. Kondygnacyj ma budynek dwie, z poddaszem i podziemiem cztery. Urządzenie wewnętrzne czeka jeszcze na uzupełnienie, zależne od napływu funduszy.

Wewnętrzny komfort budynku idzie w parze z jego okazałością zewnętrzną, a zdaje się — jedyny zarzut, jakiby mu z punktu widzenia estetycznego zrobić można — jest ten, iż czerwony dach i jasno malowane ściany nie harmonizują z otoczeniem zielonym.

Prócz nowoczesnych wygod wartości schroniska podnosi panoramiczny widok, jaki się z jego okien i ze szczytu góry, o kilkadziesiąt kroków odległego, rozciąga, a także i obszerne tereny narciarskie, dokoła domu, po zboczach i ramionach góry się ciągnące. Kozubowa, niespełna 1.000 m n. p. m. wzniesiona, jest górą widokową i narciarską. Od łańcucha swego w szeroką dolinę Olzy wysunięta, prawie odosobniona, średnio zalesiona, śląciami dolinami bocznymi Łomny i Kopytnicy okolona, daje panoramę całego śląsko-morawskiego Beskidu, gór żywieckich, tatrzańskich, a przy szczególnie pomyślnych atmosferycznych warunkach nawet Tatr.

Szczególno uroku dodaje Kozubowej (976 m) dwukilometrowa aleja, która z jej szczytu ciągnie się na drugorzędny wierzchołek Kamiennej (938 m) wśród młodych smreków, limbek, kosówki i jarzębiny. Zład spada ostro grzbiet góry i falistym wałem łączy się od zachodu z głównym masywem Beskidu, t. j. ze Słowiczem, Połomami, Białym Krzyżem, pasmem Ropycy, usianiem gęsto niemieckimi i czeskimi schroniskami. Właśnie przez to napół wyspowa ukształtowanie jest Kozubowa najlepszym punktem widokowym nad doliną Olzy.

W nocy z okien nowego schroniska mi-goce świetlista plama Jabłonkowa, nieco dalej

ognista wyspa hut Trzyńieckich, a z ciemnego pasma Czantorji, po drugiej stronie doliny Olzy spiętrzonego, błyska z lasu światłeko. To schronisko Tow. Tatrzańskiego na Stożku, z drugiej strony Jabłonkowa wprost naprzeciw Kozubowej stojące, śle pozdrowienie pobliskiej, bratniej placówce.

Ze Stożka poprzez Jabłonków w 4/5 godziny można stanąć pieszo na Kozubowej. Z polskiego Cieszyna za legitymacją P. Tow. Tatrzańskiego w pół godziny dostajemy się koleją do Jabłonkowa (bilet 5 kor. c.), a z dworca wprost na zach. przez Milików i Liście za żółtymi znakami ządzymy za 2 1/2 g. na szczyt Kozubowej Milsza, lecz nieco dalsza ścieżka z zielonymi znakami wiedzie z przyst. Łomna przez Kamienną (3 g.); trzecia z Bystrzycy przed Jabłonkowem, też zielono znakowana, przez Koszarzysko i Kopytną (3 1/2 g.). Kraków za punkt wyjścia biorąc, można wycieczkę na Kozubową wygodnie w dwóch, a nawet w półtora dnia odbyć. Niechże więc polskie schronisko na Kozubowej nie zostaje dla nas egzotycznym i dalekim echem, lecz blizkim i kochanym, a do tego bardzo wygodnym domem turystycznym, który często nawiedzać będziemy.

Kazimierz Sosnowski.

Przebudowa Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem.

— Zarząd Główny P. T. T. przedłożył w kwietniu br. na Walnym Zejeździe Delegatów P. T. T. w Krynicy plany przebudowy Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem, które Walny Zjazd Delegatów aprobował. Dworzec Tatrzański bowiem nie odpowiada już swemu zadaniu ani też wymogom turystycznym. W Dworcu mieści się biuro Zarządu Gł. P. T. T., sala noclegowa dla turystów, Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, oraz Biblioteka Publiczna nie mająca z Pol. Tow. Tatr. nic wspólnego, a zajmująca połowę parteru budynku Dworca za opłatą minimalnego i nieregularnie uiszczanego czynszu miesięcznego (60 zł).

Piętro Dworca jest zupełnie bezplanowo budowane. Dziewięć maleńkich pokojków, niezaopatrzonych na zimę, nie odpowiada również warunkom mieszkaniowym. Niebezpieczeństwo pożaru wskutek wadliwej budowy kominów wisi wciąż grozą nad zamieszkującymi Dworzec.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie mające dziś w Tatrach dominujące stanowisko w zakresie turystyki i jej organizacji musi mieć u podnóża tych Tatr reprezentacyjny budynek. Niema bowiem turysty krajowego czy też zagranicznego, któryby przed wycieczką nie skierował kroków swych do biura P. T. T. w Zakopanem celem zasiągnięcia informacji

o schroniskach, noclegach, warunkach przejść górskich i t. p. Tu istnieje w biurze stały dyżur Pogotowia Ratunkowego, które na każdy alarm interwenjuje w górach ratując nieszczęśliwych turystów lub znosząc ich zwłoki z niedostępnych miejsc.

Koszt przebudowy dzisiejszego Dworca wyniesie około 200.000 zł i pokryty będzie częściowo subwencjami Rządu (Min. Rob. Publ.), opiekującego się turystyką polską i jej propagandą oraz z funduszków Pol. Tow. Tatr. Planowana przebudowa Dworca obejmie



Dworzec tatrzański w Zakopanem przed przebudową w roku 1929.

Fot. I Bujak.

Zakres działania P. T. T. w Tatrach opierający się o Dworzec Tatr. musi mieć odpowiednio ku temu podstawy. Warunkiem sprawnego działania jest w dużej mierze należyte i celowo rozbudowany Dworzec. Plany rozbudowy Dworca opracowali pp. inż. Meyer w Zakopanem i inż. Treter w Krakowie.

rozszerzenie lokalu biura, restauracji, pokoi noclegowych dla turystów na parterze i na piętrze, z uwzględnieniem wszelkich wymogów kulturalnych i sanitarnych.

Zdjęcie obok ilustruje dzisiejszy stan Dworca Tatrzańskiego z wielce niepraktyczną konstrukcją pokoi i dachów. I. B.

KRONIKA ZAKOPIAŃSKA.

W Zakopanem nic nowego... Przypomina się przy tych słowach tytuł słynnej obecnie książki Remarque'a „Im Westen nichts neues“. I tak jak za tym obojętnym tytułem, naśladowującym banalne biuletyny wojenne, kryje się całe kłębowisko wszelakich trosk, bied i zamięgów, podobnie i w Zakopanem.

W Zakopanem nic nowego — te same bowiem małe i wielkie sprawy, te same troski, kłopoty sezonowe, te same narzekania, utyskiwania, obmowy, projekty, regulacje, kanalizacje, rujnacje, sanacje, prywacje, akuzacje, turbacje, warjacje — powtarzają się z roku na rok. Zmiany częste atmosferyczne, ciśnienie barometryczne mniejsze lub większe, zmienna pogoda, opady, wiatry, poglądy, prądy i rządy... a na to wszystko ten sam Giewont — z za chmury, patrzy ponury.

A teraz kronikarskim porządkiem przystępujemy do sprawozdania. — Kwestja pierwsza: kto teraz „gazduje“ w Zakopanem? — Otóż na początku roku bieżącego przywrócono wreszcie samorząd gminny, w czwartym zaś

kwartale samorząd w uzdrowisku, „klimatykę“ t. j. Komisję Klimatyczną, złożoną według nowego statutu z dziesięciu nominatów wojewody. — Okresowi przeszło dwuletnich rządów komisarzskich należy się wspomnienie szczerze. Zamiast — jak to chyba jest racją bytu takich rządów — pozostawić po sobie wzór postępowania i rozpocząć nową erę rozwojową, komisarze nasi niczego tu naprawdę nie poprawili, ani w gminie, ani w „klimatyce“. Może nie mogli, może nie umieli...

Nowa Rada gminna powierzyła ster rządów p. Leopoldowi Winnickiemu, jako naczelnikowi, a p. Wojciechowi Rojowi, byłemu posłowi sejmowemu, jako jego zastępcy. Nowa Komisja Klimatyczna wybrała w kwietniu przewodniczącym swoim naczelnika gminy, zastępcą dotychczasowego komisarza rządowego, p. Tadeusza Piątkiewicza. Po różnych zakulisowych akcjach i reakcjach — wybór ten został zatwierdzony przez wojewodę dopiero w połowie października.

Zdawało się, iż będzie spokój, tak po-

trzebny do pracy rzeczowej — bodaj przez trzy lata, na taki bowiem okres powołuje Komisję Klimatyczną ustawa uzdrowiskowa. Tymczasem zaczęto już zabiegać o „unifikację”, t. j. powierzenie agend klimatycznych (czytaj: taksy klimatycznej, pobieranej od kuracjuszy i turystów) gminie, zadłużonej ponad miarę i nie mogącej wybrnąć z trudnej sytuacji finansowej bez pomocy z zewnątrz.

Jako przestrożę przed nową szkodliwą „zawieruchą” przypomnę, co sądził o tem już w roku 1926-ym Zarząd Główny P. T. T. i co wciąż jest aktualne:

„Nie przesadzając możliwości przyszłej reorganizacji opieki nad uzdrowiskami tatrzańskimi, a w szczególności w drodze ewentualnego utworzenia „powiatu tatrzańskiego” ze Starostwem w Zakopanem i kierując się szczerą troską: 1) o jak najkorzystniejszy i należyty rozwój Zakopanego i przyległych gmin, stanowiących w obecnych stosunkach do pewnego stopnia organiczną całość z Zakopanem,

2) o należyte, w nowożytnym duchu pomyślane, ukształtowanie stosunków sanitarnych powyższego obszaru,

3) o należyty i zgodny z obecnymi wymaganiami rozwój ruchu turystycznego tatrzańskiego i

4) o ochronę przyrody w Tatrach polskich i na Podhalu:

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego sądzi, że wykonanie odnośnych postanowień ustawy o uzdrowiskach z dnia 23 marca r. 1922 stanowi jedyną drogę zabezpieczającą spełnienie powyższych postulatów, nader ważnych nie tylko dla społeczeństwa polskiego, zainteresowanego w wysokim stopniu w należytnym rozwoju tego jedyne w kraju obszaru uzdrowiskowego, lecz także dla samego Zakopanego. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie musi zatem przed jakąkolwiek reorganizacją domagać się usilnie:

„1) zatwierdzenia planu regulacyjnego Zakopanego,

2) wydania przepisów budowlanych dla Okręgu sanitarnego tatrzańskiego,

3) wprowadzenia w życie rozporządzenia z dnia 1 października r. 1924 o okręgu ochrony sanitarnej, obejmującym cały obszar polskich Tatr.

Celem utrzymania stałej, dalszej opieki nad powyższymi działaniami ustawy o uzdrowiskach uważa Zarząd Główny Pol. Tow. Tatr. za niezbędne jak najrychlejsze powołanie po myśli postanowień powyższej ustawy stałych rzeczoznawców dla omawianego okręgu sanitarnego w sprawach: a) ochrony przyrody, a w szcze-

gólności lasów — b) rozbudowy miejscowości tegoż okręgu sanitarnego i c) opieki nad kuracjuszami i ruchem turystycznym“.

W sprawach, o których tu mowa, nic się od tego czasu właściwie nie zmieniło. Ogólny plan regulacyjny, zatwierdzony staraniem Tymczasowej Komisji Uzdrowiskowej — to jedyna zdobycz trwała w tem trzecieciu. Ale już pierwszy plan szczegółowy, dotyczący mianowicie Równi Krupowej, dotychczas leży dopiero w drugiej instancji... Jeśli z takim pośpiechem regulować będziemy Zakopane, niebawem nie będzie już wiele do uratowania.

To samo stanowisko co P. T. T. zajęła i Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, oświadczając, że oddanie agend klimatycznych gminie „przyniosłoby jak największą szkodę sprawie ochrony przyrody tatrzańskiej, gdyż czynniki gminne, jak to wiemy dobrze — nie mogłyby, a może i nie chciałyby, sprostać tym zadaniom. Jest przytem rzeczą oczy-



Dworzec tatrzański w Zakopanem przed przebudową w r. 1929.

wista, że gmina Zakopanego, gdyby na nią zostały przelane funkcje Komisji Uzdrawiskowej, nie mogłaby działać na terenie innych gmin tatrzańskich, a jednolitość władzy administracyjnej na terenie całych Tatr polskich jest warunkiem koniecznym spełnienia w Tatrach obowiązków ochrony przyrody“.

Zagadnienie administracji Zakopanego i Tatr powinno być rozwiązane w imię interesu ogólnego i trwałego, nie szczególnego i przejściowego, jak ratowanie złych finansów jednej miejscowości.

Nowy wójt z nową Radą gminną gospodarowali, jak mogli, przez ten rok. Położenie finansowe gminy za kilka miesięcy nie mogło się naprawić, a trudno gospodarzyć bez pieniędzy. Z wydaniem sądu o nowej Radzie musimy więc poczekać. Dotąd zaznaczyła się zabiegami o pieniądze w postaci podatków. Pomysłowość w tym kierunku idzie tak daleko, że — jak powiadają — nawet nazwiska mają być opodatkowane. Ludzie tedy, aby się uchylić od tych ciężarów, mają zamiar pozbyć się nazwisk. Bo i poco? — wystarczy sam numer, nawet tak schowany, jak na domach w Zakopanem, że go odsukać nie można. — Zaznaczyć trzeba dla słuszności, że niesłuszne były tak często powtarzane w prasie zarzuty za rozkopanie Krupówek w czasie sezonu letniego, gdyż drogę tę naprawiała nie gmina, ale Okręgowa Dyrekcja Robót Publicznych w Krakowie.

Drugim ważnym faktem, mającym decydować o rozwoju Zakopanego — w mrocznej przyszłości — była ankieta, zwołana przez Min. Robót Publ. w dniach 8, 9 i 10 marca. Odbyła się ona przy mniejszym zainteresowaniu ogółu, jak pamiętna ankieta w r. 1919. Poza delegatami kilku ministerstw w ankiecie uczestniczyli przedstawiciele najrozmaitszych stowarzyszeń, ciał samorządowych, instytucyj, ugrupowań zawodowych Zakopanego i innych letnisk Podhala, zainteresowanych najżywotniejszymi jego sprawami i problemami rozwojowemi.

Sprawozdanie z ankiety wychodzi poza ramy mych zadań — stwierdzam tylko, że echa, jakie przedostały się zza ścian „Bristolu“, gdzie ankieta w pocie czoła pracowała, niezbyt entuzjastycznie zostały przyjęte przez Zakopian. „Radców“ mamy już dość, projektów aż nadto — brak tylko... pieniędzy i czynu, któryby to biedne — jak pisze Makuszyński, suchotnicze, ledwo dyszące Zakopane, odrzuca na nogi postawił. Podobnie, jak nad tą matką chorą w przypowieści Mickiewicza, radzili lekarze różni — a ona wciąż umierała. Aż przyszedł syn kochający ją bardzo i zawołał: „o matko moja wstań!“ — I owa niewiasta wówczas powstała. I takiego

„syna“ potrzeba Zakopanemu w chwili obecnej!

Namiastka, czy surogat już istnieje pod nazwą „Związków Przyjaciół Zakopanego“. To nie jeden będzie syn wołał: „Zakopane wstań! odpok się!“ Ale cały legion tych synów, jak tak wraźnie przy dźwiękach własnej, symfonicznej orkiestry — to dopiero będą się działy cuda. Ziemia się zatrząśnie i runą wszystkie resztki „kozich stajni“, płoty się wyprostują, kamienie wystające na chodnikach lub brakujące same uporządkują, Diesla motory zaczną pracę dziesięciokrotną i wskutek tego rozjaśni się wszystko na ziemi — i w głowach Zakopian. Zakwitną kwiaty na wszystkich podwórkach, a na ulicach zamiast kucpek śmieci będą pieniądze, wyrzucane z kasy „Monte Gewonto“ przez cudzoziemców zostawione...

I Makuszyński wygra jakie sto tysięcy dolarów od jakiegoś bęcwała z zagranicy i wystawi tu śliczny dom, gdzie będzie restauracja z prawdziwym winem z borówek. I „Borowino“ stanie się tak sławne, jak conajmniej Chianti... No i będzie wogóle wszystko to, o czym pisał Makuszyński w swym fejletonie, drukowanym w „Świecie“ p. t.: „Monte Gewonto“.

Tak, to wszystko będzie kiedyś, ale i dziś już jest coś nie coś za sprawą „Przyjaciół Zakopanego“. A więc pierwszym, widomym znakiem istnienia „Przyjaciół“, to wydawnictwo czasopisma p. t.: „Zakopane“. Pismo to nie różni się wiele od dawniej wydawanego „Głosu Zakopiańskiego“ — jest apolityczne i ostrożnie zaleźnione i urekawiczone. Wskutek tych zalet dotychczas jeszcze wychodzi i każdy je czyta z przyjemnością — lub bez. Nawet komisarz policji — bo dowiadyuje się z niego, że to nie bylejakie miasteczko to Zakopane, skoro okradają kasy w centrum miasta i nie można złodzieja schwytać!.. Międzynarodowe występy kasiarzy-specjalistów, to już pachnie zagranicą. Byłby materiał dla Wallace'a: kasiarz jasnowidzący i filantrop. Z pomiędzy dwóch kas na pocście rozpoznał pełną i pustą — bogatą rozpruł a biednej nie ruszył. Res sacra miser. Potem pewny już bezpieczeństwa za swe poglądy humanitarne zoperował kasę u notariusza. W komisarjacie policji zdaje się kasy żelaznej niema, przynajmniej nic dotąd o tem nie słychać.

Marzyciele i idealisci znajdują też pociechę w tym organie prasowym... W szeregu artykułów prof. Seelieb przedstawia malowniczo, a czasem też nawet cyfrowo, co mogą zdziwiać „Przyjaciele Zakopanego“. A więc jest w projekcie własna orkiestra (było cymbalistów wielu, może się jeszcze znajdzie tu

na orkiestrę), teatr regionalny-amatorski, związek związków (aby jeszcze pomnożyć prezesów, a właściwie stworzyć kandydaturę na „nadprezesa“), bibliotekę (bo te co są, ledwie dyszą, o ile nie szerzą pornografii), czytelnię (bo ogół oprócz „Kurjerka“ nic nie czyta) i Biuro koncertowo-improwezowe. To wszystko ma zasilać Kasyno gry i być złotodajną żyłą.

Tegorocznym plonem pracy „Przyjaciół Zakopanego“, oprócz tych projektów i dobrych chęci, którymi możnaby już od najdawniejszych lat liczyć wybrukować i wyasfaltować całe Zakopane aż po krzyż na Giewoncie, jest urządzenie kramu, czy stoiska na Wystawie poznańskiej. Piszę kramu, bo tak mi się przedstawił ów kącik w pawilonie uzdrowisk, reprezentujący Zakopane. Niewątpliwie trudnym było zadanie, aby bez odpowiednich funduszy stworzyć coś pięknego i charakterystycznego tę miejscowość, więc też małymi środkami stworzono to, co właściwie znamionuje dzisiejsze Zakopane. Był sobie kramik z fotografiami, rzeźbami, kilimkami, plecakami, ciupagami, nartami, pugilaresami ze skóry i t. p. drobiazgami, a nad tem wszystkim górowała słoneczna tarcza meteorologicznej stacji, wykazująca wyraźnie, że w Zakopanem słońce prawie nie zachodzi. A zatem kto spragniony słońca, albo kto chce z motyką porwać się na nie — niech jedzie do Zakopanego.

Aby się nie zdawało, że „kronika zakałpianiska“ składa się tylko z tego co byćby mogło, albo nie mogło — trzeba teraz przystąpić do tego, co istotnie było.

Otóż na oba sezony, tak zimowy, jak i letni, wszyscy zainteresowani narzekali. Przyczyniła się do tego i aura — w zimie ciężkie mrozy (choć w Zakopanem było stosunkowo cieplej jak gdzieindziej), w lecie mokry lipiec. To jednak jeszcze nie decydowało. Ale pieniędzy jest zamała w Polsce, aby ci sami ludzie mogli być na Wystawie w Poznaniu i w Zakopanem. Ztąd mniejsza frekwencja w sezonie letnim, ubyło nawet wycieczek szkolnych. Zakupno też niektórych większych will i budowa nowych dla pewnej kategorii urzędników, jak np. „Sanato“ dla pocztowców, sanatorium Dłuskich dla wojskowości, „Pod Blachą“ dla policji i wielu innych, mniejszych domów zdrowia i kas chorych dla swych pracowników, przyczyniło się do opustoszenia innych, prywatnych pensjonatów. A pensjonaty te, zmieniając co roku lub co sezon dzierżawców — bankrutują jawnie i skrycie. Minęły te lata tłuste Zakopanego, kiedy przy paru gościach wyżywić się mogła cała, liczna rodzina właściciela. Z tych lat została jeszcze pogłoska o tem, że w Zakopanem można złote interesa robić,

prowadząc pensjonat. Namnożyło się też pensjonatów i pensjonacików, tyle, że trudno dostać mieszkania bez pensji. Pensjonaty, prowadzone bez kapitału, nie mają warunków żywotności i upadają, wytwarzając aurę ciągłych narzekañ.

Znamionnym objawem jest również, że całe Zakopane można kupić — każdy dom jest do nabycia, tylko kupców brak.

Ze strony interesowanych oraz bezinteresownych opiekunów Zakopanego są usiłowania różne, aby urozmaiczeniem przedsięwzięć sportowych wzmóc frekwencję. W tym roku w sezonie zimowym odbyły się wielkie, międzynarodowe zawody narciarskie, zorganizowane wzorowo, ale że to wypadło podczas najsilniejszych mrozów, więc frekwencja nie była taka, jakiej oczekiwano. Zawody zaszczylił swą obecnością p. Prezydent Rzeczypospolitej. Odbyły się też zawody hokejowe i pierwsze zawody hippiczne, urządzone przez Małopolski Klub Jazdy, które, jako nowość i że „chłopcy jak malowni ci nasi ułani“ — miały duże powodzenie.

W letnim sezonie wysuwa się na pierwsze miejsce wycieczki tatrzańskie, urządzone przez Krakowski Klub Automobilowy. Przez ulicę Zakopanego przeszła dwudniowa burza błysku reflektorów, ryku trąb i syren, warczenia motorów. Zawodników było jednak tym razem znacznie mniej jak w latach poprzednich. Wśród rześkiej ulewy, burzy i gromów rozpoczął się start. Parę wypadków, ale bez znaczenia; nowością w tym względzie były, spowodowane burzą — na szczęście przelotne — porażenia przy telefonach. Wiczcorny raut w sali „Morskiego Oka“ zakończył ten dzień triumfu zwycięzcy — p. Rippera.

Gości zagranicznych mieliśmy w tym roku dość wiele. Bawili tu wycieczki zagraniczne, jak: przemysłowców belgijskich, zagranicznych lekarzy z kongresu chirurgów, oficerów jugosłowiańskich, uczniów szkoły handlowej z Czechosłowacji, zagranicznych przemysłowców, dziennikarzy, francuskich parlamentarzystów i inne.

Program przyjęcia wycieczek już jest ustalony: muzyka góralska, tańce góralskie, obiad lub wiecekierza w „Bristolu“. Poza tem przygodny jakiś amator z grzeczności prowadzi na wycieczki i objaśnia co wie i co uważa za stosowne. Ten sposób jeszcze nie jest prawdziwą propagandą dla zagranicy. Należałoby mieć w zapasie kilka osób, mówiących biegle językami: francuskim, angielskim i niemieckim a zarazem uświadomionych, co i jak należy gościom pokazywać, aby zwrócić ich uwagę na prawdziwe i istotne wartości naszych gór i Zakopanego.

Pod hasłem: „wszystko dla gości!“ Zakopane dancinguje dalej u Trzaski, w „Morskim Oku“, w „Bristolu“ (gdzie nowością były dancingi w ogrodzie), u Karpowicza wreszcie. Dancinguje się rano, popołudniu i wieczorem, dancinguje zimą, wiosną, latem i jesienią. I śpiewa przy marzącym bluesie... Kiedy zakwitną bzy... i wyje z wichrem jesiennym saksofonem, że opadają złote liście z drzew... Urządzają zabawy, benefisy i wybory na „Miss Zakopane“ w „Bristolu“ i konkursy taneczne u Trzaski i w „Morskim Oku“.

I konceptów nie brak, aby tylko tańczyć i tańczyć zawsze w kółko, raz ciśniej — raz luźniej... Tańczą przez wszystkie dni w roku — zdaje się tylko z wyjątkiem Wielkiego Piątku...

Takie są teraz obyczaje w Zakopanem. Pewna garstka niedancingujących już osób z znacnym apostołem-eugenistą zabawia się inaczej. Otóż dwa lata temu zorganizowany Klub Dyskusyjny ożywił w tym roku swoją działalność. Być może, że to się jednak powoli rozwinię. Cierpliwością woda skały drąży... Zresztą są ludzie, którzy lubią się wygadać i takim Klub Dyskusyjny sprawia chwilową ulgę... Z tych więc przyczyn Klub trwa. W tym tedy roku było kilka interesujących wieczorów. Jeden z nich zorganizowano na szerszą skalę; tematem było: „Jak to w Zakopanem drzewiej bywało“. Na wieczorze tym zgromadzono sporą ilość pamiętających dawne czasy górali i bywalców Zakopanego a z późniejszych pokoleń miłośników ztracających się coraz bardziej cech przyrodzonych i etnograficznych. Opowiadano wspomnienia z lat ubiegłych, rzucono myśl zaopiekowania się grobami zasłużonych etc. Była i muzyka góralska. Przepędzono bardzo miły wieczór i wybrano komitet, który ma się zająć zorganizowaniem dorocznych „Dziadów“ zakopiańskich.

Podobne cele, jak Klub Dyskusyjny, postawił sobie „Klub Francuski“, założony przed rokiem przez prof. Seelieba i utrzymywany dzięki jego wytrwałości. Klub ten, choć nie znalazł w społeczności naszej zrozumienia i poparcia, na jakie zasługuje — bo liczył od 10 do 20 członków, płacących miesięcznie po 2 zł. — stale pracował. Były gazety w czytelną, jest biblioteczka, urządzone popularne kursa języka francuskiego, odczyt francuski i wreszcie Akademię ku czci Marszałka Focha. Ta ostatnia była jedną z najstaranniej urządzanych dość często z okazji różnych obchodów akademii. Oprócz przemówień po francusku prof. Seelieba i wice-konsula francuskiego z Krakowa, chóru „Echa tatrańskiego“, bardzo pięknie było przemówienie dra Diehla, który zrecznie nawiązał do wspomnień o Mar-

szałku Fochu — epizod przeżycia osobistego, a mianowicie, jak to z góralami witał Marszałka Francji na przyjęciu w Krakowie w r. 1923.

O innych tutejszych stowarzyszeniach i organizacjach niema co pisać. Wegetują naogół słabo, a teraz nawet „kwiatkiem z puszką“ nie dają znać o sobie. Ten zwyczaj na szczęście zanika powoli. Założony w r. z. „Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet“ jest ruchliwszy (bo młodszy) od „Narodowej Organizacji Kobiet“, osieroconej w tym roku przez śmierć prezesowej ś. p. Marji Kopetschnowej, osoby bardzo czynnej, oddanej całemu sercem każdemu dobremu dziełu.

Pisząc o uświatach pobudzenia życia umysłowego w Zakopanem, trzeba też wspomnieć o gimnazjum tutejszem, kierowanym przez dyr. Turowskiego, które jako „wyższa uczelnia“ w tem miasteczku zaznaczyła swoją pracę na polu kultury wystawiając „Ifigenię w Aulidzie“ wcale udanie.

Kino „Sokoła“ przeniesiono do nowego budynku. Urządzenie tego budynku jest bez zarzutu — takie kino stoi już na poziomie, jaki się Zakopanemu należy.

Z imprez przygodnych, jak teatr, koncerty — to tylko występy Solskiej, „Reduty“ z Osterwą i koncert Egona Petri miały istotne powodzenie. Zakopane, jakie jest, to jest, ale zna się na rzeczy i albo zadowolony się byle czem w kawiarni, albo wymaga prawdziwej sztuki.

O naszej sztuce malarskiej nie można nic nowego powiedzieć. Wystawa była, ale mało odwiedzana a jeszcze mniej kupowano obrazów. Nic dziwnego, że artystom brak natchnienia do jakichś innowacji na tem polu. Są zawsze ci sami i malują to samo — Gałek wody błękitno-szafirowe, Terlecki jasnozłono patrzy na świat, Rykała przez szronem osłonięte drzewa, Kłosowski przez misternie tkane pajęczce koronki, Witkiewicz przez swoje własne, pełne niesamowitych wizji oczy, maluje i tworzy ze zwykłych twarzy jakieś dziwne... twory. Jeden może Rafał Malczewski na nowe wszedł tory.

Tradycyjny „tydzień tatrański“, urządzany od lat kilku co roku przez Pol. Tow. Tatrańskie, poświęcony był w tym roku wyłącznie ochronie przyrody, a w szczególności sprawie Parków Narodowych. Mówiono nietylko o „Parku“ tatrańskim, ale też o zagranicznych amerykańskich, włoskich a nawet o idei ochrony przyrody urzeczywistnionej w Ogródzie Boga w Indjach i Tybecie. Mówili prof. J. G. Pawlikowski, prof. Wł. Szafer, mjr. Romaniszyn, dr. Marjan Sokołowski, inż. Jasiński, Ferdynand Goetel. Wykłady odbywały się tym razem w sali hotelu „Morskie Oko“,

ilustrowane były projekcjami i cieszyły się znacznie liczniejszą frekwencją jak lat poprzednich; wielka sala była szczelnie zapelniona.

W dniach 21 i 22 września obradował pod Tatrami V. Międzynarodowy Kongres Turystyczny. P. T. T. spełniało w Zakopanem rolę gospodarza. Imieniem zakopiańskiego Oddziału witał gości na dworcu kolejowym dr. Diehl a na bankiecie, wydanym przez Zarząd Główny P. T. T. — prezes Czerwiński. Goście odbyli wycieczkę do Morskiego Oka wśród śniegu, padającego wielkimi płatami, ale w wesołym nastroju po poważnej pracy dwudniowych narad.

Dwie sprawy, zakopiańskie niby, ale ogólnopolskie w istocie, poruszyły opinię przez gazety: Sprawa grobowca Kasprowicza na Harendzie — oraz umieszczenie tablicy Asnyka w Tatrach.

Otóż co do grobowca Kasprowicza, to narzeczcie trzeba już raz skończyć jego budowę i zdać sprawę z rachunków publicznie, skoro publiczne płyną nań ofiary. Tablica Asnyka została uroczystie oddana P. T. T. przez Komitet asnykowski i wmurowana w ścianę schroniska na Hali Gąsienicowej w dniu 11 września. Mogłaby być piękniejsza; możeby ją przetopić i poprawić? Ale powiadają: jest wprawdzie nieładna, ale zato znacznie za dużo. Właściwa uroczystość asnykowska ma się odbyć na Hali w roku przyszłym.

A zatem do widzenia za rok.

Krystyna Brudzińska.

Zakopane, dnia 25 października 1929.

Ankieta zakopiańska. — Są tacy chorzy, którzy chodząc od lekarza do lekarza zbierają recepty, aby sobie nimi wytapetować pokój. Niektórzy idą nieco dalej, kupują lekarstwa i tworzą z nich muzeum. Podobno to im przynosi ulgę. Podobnie postępuje Zakopane ze swemi ankietami ministerjalnymi, z których trzecia odbyła się w tym roku w dniach 8-ym, 9-ym i 10-ym marca. Skutek doraźny polega na powstaniu nowej zabawy towarzyskiej na martwy sezon, rodzaju totalizatora, gdzie stawia się na numera porządkowe rezolucyj — która też z nich doczeka się przed następną ankietą realizacji. Przed numerem 1-szym idzie 0, zero czyli „dziura“. I ta jest najwięcej obstawiona, tak gęsto, że gra już nie przedstawia interesu. W ten sposób stawianie na „dziurę“ zdepopularyzowało się nieco, jakkolwiek z drugiej strony trzeba przyznać, że „dziura“ miewa swoje dobre strony w zestawieniu z numerami pozytywnymi. I tak np. przed jakimiś dwoma laty dokonano czynu pozytywnego, uszczęśliwia-

jąc Zakopane — zresztą wbrew jego woli — kamieniołomem. A oto teraz ankieta powzięła jednogłośnie rezolucję, domagającą się jego zamknięcia. Oświadczyli się za ten właściciel pensjonatów, Związek górali, burmistrz, a nawet p. Komisarz klimatyczny. Niezawsze t. zw. „Besserwisserei“ przynosi pożądane owoce, czasem i „misera contribuens plebs“ miewa rację. Podobny wypadek owej „Besserwisserei“ zaszedł i teraz na ankiecie. Kiedy prof. S. chciał zabrać głos w sprawie zachowania cech etnograficznych w zabudowaniu Zakopanego i poszanowania z takim entuzjazmem niegdyś przez całą Polskę przyjętego dzieła Witkiewicza, p. przewodniczący oświadczył, że „powołane czynniki“ mają o tem już wyrobione zdanie i rady nie potrzebują. Jednym słowem „gęba na guzik“ kiedy cię nie pytają. Tak było i z kamieniołomem. Ale trzeba naprzód napaskudzić zanim przyjdzie opamiętanie — często po niewczasie.

Na ankiecie wypowiedziano wiele rozsądnych rzeczy — (przez co nie chcę powiedzieć, aby wszystkie były rozsądne) — opatrzone dokładnie „dziurę“ — wiedza jest bezinteresowną — i pokrzepiono ducha przy symbolicznym huku wystrzałów z kamieniołomu — niby na rezurekcję. Do poruszonych projektów i programów powrócimy w przyszłości — gdy będziemy mieć w rękę oryginalne protokoły ankiety. W tym roczniku ograniczymy się do streszczenia (w dziale „turystyka“) postulatów, obchodzących najbliższej tych, dla których Tatry są główną rzeczą a Zakopane tylko bramą do nich. Z pomiędzy projektów dalszych najważniejszym dla nich będzie niewątpliwie projekt rozbudowy i zorganizowania Podhala jako terenu letniskowego (referat p. Stryjskiego), co otwiera widoki na możliwość ucieczki od uszczęśliwiających kamieniołomów i rozwieleniającej się w Zakopanem bezzasowej, ciperskiej tandety, albo może — jeśli nie chcemy być marzycielami — raczej widoki na dalsze zapaskudzenie Podhala. Czy tak być musi? Czy do dwóch stref ochronnych projektu „Parku narodowego“ nie możnaby dodać trzeciej, podtatrzańskiej strefy z ochroną przyrody i etnograficznego charakteru? Ręka śmiała, mocna a polska i miłująca, mogłaby jeszcze tego cudu dokonać, ale takiej właśnie nie widać... Tymczasem Zakopane „eu ropejsuje“ się. Chałubiński chciał je światu otworzyć — przyszli inni dobrodziejnie z inną poradą: puść się, zejdź do półświatka, a będzie cię stać na modne kiecki. Zaczniij od domu gry... Ogródka dla samobójców można sobie oszczędzić, są przecież Tatry — zresztą tylko darne bilety powrotne dla tych, co się do gołego spłukają. Za to za

ulubieńcami fortuny napłyną dawczyni uciech, cały sztab sutenerów, rycerzy przemysłu, spanszonych chamów „fyrkających” pieniędzmi, albo głuptasków do oskubania... Powstaną i nowe domy t. zw. „publicznej” użyteczności, które się też może usamorządowia... Pecunia non olet. „Trzeba z żywym naprzód iść, po życie sięgać nowe...” — pisał Asnyk — a dano mu tablicę na Hali Gasienicowej... Czyż nie żyją jeszcze idealne porywy?! — Na uboczu zaś od tych ideałów prezes Klubu dyskusyjnego, dr. Mischke, urządził „Dziady” — poświęcone „niebożycze” dawnemu Zakopanemu — i tym, których dzieła tak pięknie uszanowano i rozwinięto: Chałubińskiemu, Witkiewiczowi, Matlakowskiemu i.

J. G. P.

Międzynarodowe Zawody Narciarskie F. I. S. w Zakopanem. Międzynarodowa Federacja Narciarska (F. I. S.) na X-tym Kongresie odbytym w r. 1928 w St. Moritz, poleciła urządzenie swych zawodów w r. 1929 Polskiemu Związkowi Narciarskiemu. Z zadania tego wywiązał się P. Z. N. doskonale, pokonywując chwalebnie ogromne trudności związane zarówno ze stroną sportowo-techniczną która musiała osiągnąć najwyższy europejski poziom, jak i reprezentacyjno-propagandową. W oczach przedstawi-

cieli całej Europy, w dniach od 5—10 lutego 1929 r. w Zakopanem zmagali się z sobą zapasnicy 15-tu narodów. W zapasach tych użyskała Polska w ogólnej klasyfikacji miejsce 4-te, tuż za 3-ma narodami skandynawskimi, zwyciężając w poszczególnych punktach programu wszystkie narody; sukcesy zawodników polskich a w pierwszym rzędzie zakopianina Bronisława Czecha, pierwszego obecnie narciarza środkowej Europy — a pod względem uniwersalności techniki narciarskiej, istotnie najlepszego narciarza świata, sukcesy Komitetu Organizacyjnego Zawodów, piękność gór polskich i polskiej zimy, gościnność Zakopanego, które postarało się w tym okresie połączyć atrakcję egzotyczności swojej z zaspokojeniem europejskich wymogów gości — wszystko to zwróciło na nas uwagę świata nie tylko sportowego i przyczyniło się waleśnie do propagandy zagranicznej. Dowodem tego liczne artykuły pism europejskich zdających sprawę z Zawodów F. I. S. a w pełnych entuzjazmu słowach opisujących krajobraz Tatr, oryginalność etnograficzną, polski zmysł organizacyjny.

Szczegółowy opis Zawodów F. I. S., niki, fotografie oraz wyjątki z głosów zagranicy znajdują czytelnicy w III-cim roczniku „Narciarstwa Polskiego” wydawanego przez Polski Związek Narciarski.

PIŚMIENICTWO.

O poemacie góralskim Goszczyńskiego. — Jak wiadomo, „Sobótka” Seweryna Goszczyńskiego miała być tylko częścią większej całości, noszącej tytuł „Kościelisko”. Oprócz Sobótki posiadamy z tego utworu tylko kilka luźnych fragmentów, z których niepodobna odtworzyć sobie jego planu. Obecnie podjął to zadanie prof. St. Pigoń (Pamiętnik Literacki r. 1929, zeszyt I), opierając się na odnalezionych w zbiorach rapperswylskich notatkach poety, które też w dodatku do swej rozprawy ogłasza. Odsyłając ciekawych do cennej pracy prof. Pigoń, podajemy tutaj główne jej wyniki.

Pomysł poematu góralskiego doznawał w umyśle Goszczyńskiego różnych przekształceń. Pigoń odnajduje trzy plany, czyli, jak nazywa, trzy formacje poematu. W formacji pierwszej, czasem akcji jest wiek XVII, jej osią walka z najazdem szwedzkim, scenerją okolice podpienińskie między Nowym Targiem a Czorsztynem. Główny bohater nosi nazwisko Garasz. Rzecz zaczyna się od obrzędu Sobótek. Przy ogniskach górale opowiadają sobie o zagrożającym najeździe Szwedów. Garasz, zbójnik, zostaje na to obojętnym. W pieśni drugiej do spoczywającego w grocie Małogór-

skiej na Wyżni Garasza przychodzi dziwożona, w której on poznaje zmarłą dawną swą kochankę Kasię. Ta czyni mu wyrzuty za jego życie zbójnicze i obojętność na los braci. Pobudza go do czynu, do poświęcenia się dla ich ocalenia. Pieśń trzecia mówi o bitwie, której zwycięstwo okupuje poświęcenie Garasza. Natury tego poświęcenia bliżej nie znamy. — Ślad formacji drugiej odnajduje Pigoń w pomysle opowieści wędrownego dziada, który pobudza górali do oporu Szwedom, opowiadając im dawne dzieje podobnego najazdu Tatarów na tę krainę. — Formacja trzecia przenosi całą opowieść w wiek XIII-ty, a najazd szwedzki zastępuje najazdem tatarskim. Niewątpliwie słusznie twierdzi Pigoń, że na tę zmianę pomysłu wpłynął wzgląd na bardzo znaczną rolę przyznaną światu duchów, jak dziwożon, Mnicha i t. p., które to duchy są zabytkiem wierzeń pogańskich i daleko lepiej się tłómaczą przy cofnięciu akcji w wieki odległe. Scenerją przenosi się w znacznej części z okolic podpienińskich w głąbę Tatr, do Doliny Kościeliskiej, gdzie górale chronią się ze swym dobytkiem i gdzie spodziewają się dać skuteczniejszy odpór najeźdźcom. Pigoń twierdzi nawet, że w formacji pierwotnej

nie było wcale mowy o Kościeliskach, a poemat musiał mieć inny tytuł. To jednak wydaje mi się wątpliwem, gdyż w dochoowanym z tej formacji fragmencie (zob. lwowski wydanie zbiorowe pism S. G. opracowane przez Z. Wasilewskiego), dziwożona Kasia ukazując Garaszowi z Wyżni Tatry, mówi bardzo wiele o źródłach Dunajca, o Smytni, Ornaku, Stawie Smreczyńskim, wszystko okolice Kościelisk, których z Wyżni wcale widzieć nie można, a zatem musi być szczególnie powód wskazywania na te okolice, zapewne jako na miejsce przyszłego boju. — Bohater w tej trzeciej formacji nosi miano Janosza. — Elementy pierwotnego opowiadania pozostają w zasadzie te same, ale mają być daleko szerzej rozwinięte.

Rzecz zaczyna się od Sobótki, tej, którą dziś znamy, a która niewątpliwie została przerobiona — może z małemi tylko modyfikacjami, z redakcji dawniejszej, należącej do formacji pierwszej. Wskazują na to nawet niektóre przeoczenia poety, zwroty odpowiadające XVII-mu a nie XIII-mu wiekowi. Janosz bierze udział w bitwie stoczonej w okolicach Wyżni, w której chwilowo zwycięstwo okupili górale ciężkimi stratami i muszą przed nawałą najeźdźców chronić się w głębie Tatr, w dolinę Kościeliską. Scenerja przenosi się w te okolice. Rannego w bitwie pod Wyżną Janosza widzimy tutaj w grocie Zbojcekiej w Uplązie, gdzie go przynieśli towarzysze; jest to oczywiście grot „Zbojcekie okna”. (W grocie tej Goszczyński widocznie nie był, gdyż nie byłby twierdził, że „okna” w niej wykute zostały ręką ludzką). Kasia topielica, po śmierci dziwożona, przychodzi do niego nakłaniając do poświęcenia się i złożenia życia w ofierze za współbraci. Sama będąc duchem, tylko w świecie duchów z nim połączyc się może, a zatem po jego śmierci. Chodzi o to, aby obudzić gniewne duchy mieszkające w pieczarach pod Pisaną, z których wyżyła Czarna Dunajec; (wiadomo, że Goszczyński pieczarę tę odwiedzał, co opisuje w swym Dzienniku podróży do Tatr i Pienin). Obudzone duchy rzuca straszliwą burzę na Tatry, która wygubi najeźdźców. W tej krainie podziemnej Kasia jest przewodniczką Janosza. Oczywiście musiał tu następować opis owej drogi, strachów podziemnego świata, bitwy, w której walczą ludzie i żywy... Dzięki poświęceniu Janosza lud górski zostaje ocalony, on sam w bohaterskiej ofierze życia znajduje odpokojenie za dawne zbrodnie.

Zapiski Goszczyńskiego nie przedstawiają bynajmniej jakiegos planu dzieła, mają charakter fragmentaryczny i dorywczy. Rekonstrukcja Pigionia jest zatem tylko hipotezą, przedstawia się jednak bardzo prawdopodob-

nie. Niewyjaśnionemi zostają niektóre szczegóły w zapiskach zawarte, jak n. p. zagadkowa postać „Mnicha”, złego ducha Tatr, lub zapiska o tem, że Janosz po śmierci krąży po pobojowisku jako „kościelisko”, co ma znaczyć tyle co kościotrup, co zresztą gwarowo jest zupełnie wątpliwe; od tego właśnie „kościeliska” miała otrzymać nazwę dolina. Zdaje się to być w niezgodzie z całym pomysłem już choćby dlatego, że Janosz nie ginie w bitwie, a następnie że wyglądałoby to raczej na pokutę za niespełniony obowiązek. W zapiskach jednak mogą się mieścić ślady różnych chwilowych, niezgodnych nawet ze sobą pomysłów.

Poemat, tak jak nam się w tej rekonstrukcji przedstawia, nosi wybitne cechy romantycznej epoki. Taką cechą jest najprzód wielka rola jaką odgrywa świat nadprzyrodzony, ze swemi dziwożonami, Mnichem, duchem Dunajca etc. Zdaje się, że ta cała aura zaziemskiego świata nie owionęła poety z góralszczyzny, ale odwrotnie, że została tu przez niego przyniesiona zgodnie z romantycznym duchem czasu. W jakieś 40 lat później, w epoce pozytywizmu, Asnyk, w wierszu do Macieja Sieczki, podnosi ku chwale poetyczności góralstwa, że wolna jest ona od zwietrzałych rekwizytów romantyczności, od elementów baśniowych i nadprzyrodzonych... Drugą wybitną cechą epoki jest charakter bohatera. Jest to „natura wyższa”, w gruncie szlachetna i bohaterska, która, w rozdzwisku ze światem i losem zgorzkniała, staje światu na opak i rzuca się w odmet zbrodni. „ródła tego zgorzknienia okryte są — (obowiązkowo wedle formuły romantycznej!) — tajemnicą, w której jednak oczywiście gra rolę miłość. Jest to typ wywodzący się od Byronowskiego „Korsarza” a rozrodzony obficie. Trzecią wreszcie cechą epoki, na co kładzie nacisk Pigoń, jest pomysł poświęcenia się jednostki dla ogółu, w szczególności dla narodu, i zbawca rola tego poświęcenia; Pigoń przytacza jako analogie Wallenroda, Kordjana, Irydiona.

Mniej przekonującym jest wywód Pigionia dotyczący przyczyn poniechania poematu przez Goszczyńskiego. Wydaje mi się, że przyczyną tą było po prostu oderwanie się od podłoża, na którym się pomysł urodził; w miarę oddalenia własny pomysł stawał się pocie coraz to bardziej obcym i zerwane nici nie dały się nawiązać. Coś wruszającego ma fakt, że poeta po kilkudziesięciu latach tułaczki, starcem już, znalazłszy się w Tatrach, ma jeszcze nadzieję nawiązanie zerwanego wątku i myśli o dokończeniu „Kościeliska”. Tak jakby się dały wykreślić z życia lata, a nie tylko lata same ale ogłuszający wpływ towianizmu z jego praktyką „hory” i bezczynności

„wewnętrznych czynów“!... Pamiętam z owych at — moich lat chłopięcych — Goszczyńskiego błądzącego samotnie w zadumie po dolinach reglowych. Spotykałem go w Strążyskach i Białem i choć znałem go dobrze z domu rodziców i był zawsze bardzo — można powiedzieć nadmiernie — zważywszy różnicę wieku — uprzejmy, omijałem go zdaleka, mając niejasne wrażenie, że nie wypada mu przerywać zadumy, może zadumy twórczej. Ze spadku po romantycznej epoce przeszła była bowiem na ówczesne kiełkujące pokolenie część szczególniejsza dla twórczości poetyckiej i poetów. Znałem już Sobótkę — a jednak mimo całej czci tradycyjnej, odczuwałem ją już wtedy jako coś należącego do minionej epoki. Poezja gór i góralszczyzny w innym już zaczęła się objawiać światło, w tem, w jakim miał ją później pokazać Kazimierz Tetmajer; Goszczyński błądzący po dolinach tatrzańskich z myślami o podjęciu wątka „Sobótki“, podobnym się wydawał do owego Janoszowego „kościeliska“.

J. G. Pawlikowski.

Pieśń o standrechcie y Proćpakowej Bandzie w r. 1795.

— Juliusz Zborowski ogłosił w „Ludzie“ (1929, t. VIII, zeszyt 1—2) utwór pod powyższym tytułem, znajdujący się w zbiorach Akademii Umiejętności między papierami pozostałymi po prof. Lucjanie Malinowskim. Proćpak był słynnym zbójnikiem grasującym pod koniec XVIII w. w Żywiecczyźnie. Zborowski we wstępie podaje o nim krótką wiadomość, przytacza literaturę, tudzież dwie piosenki ludowe zanotowane jeszcze w połowie ubiegłego wieku przez Delaveaux, w jego „Góralach beskidowych“ (Kraków 1851). Ogłoszona obecnie pieśń o Proćpakowej bandzie, obejmująca przeszło 700 wierszy, jest dokumentem współczesnym, napisanym niewątpliwie przez naocznego świadka. Dokładność nazwisk, dat i szczegółów nie pozwalają o tem wątpić. Jak świadczy język utworu, autorem jego był Niemiec, inteligent czy pół-inteligent, osiadły na góralszczyźnie i nauczony jej języka, oczywiście wykoszlawionego wszelakimi germanizmami, prawdopodobnie jakiś urzędnik leśny dóbr dominikalnych. Tego rodzaju figury pamiętają jeszcze i starzy bywalce Zakopanego; były to zabytki po Homolacsach i Eichbornie. Wygasły one dopiero pół wieku temu. Pan taki, z brodą, nosił „Hubertusjacke“ zielono obszywaną z rogowemi guzikami, kapelusik tyrolski opasany zielonym sznurkiem z wiszącymi pomponkami, z zakrzywionem piórkiem głuszcą i borsuczym pendzlem — w zębach trzymał porcelanową fajkę z ukasaną tyrolką, kwiatkiem lub portretem cesarza, i mówił z niemiecka

po góralsku, powtarzając co dwa słowa „haj“. Uważając Galicję za Bärenland i tęskniąc teoretycznie do „Vaterlandu“, żywił on jednak podświadomą sympatię dla góralszczyzny, a gdyby był wrócił między swoich z owem „haj“ na ustach, można przypuszczać, że zadziobałiby go jak wrony swoją towarzyszkę, którą łobuzy wypuścili pomalowaną na zielono.

„Poemat“ o Proćpaku, będąc dziełem takiego gatunku autora, jest dokumentem nie tylko owych zbójnickich zdarzeń, ale — właśnie przez owo autorstwo, styl i język — nieoszacowanym dokumentem czasu. Co więcej — niech to brzmi jak paradoks — zdaje mi się, że wydawca nie docenia poetyckich wartości tego dzieła... Poezja tkwi w niem wprawdzie nie jako sztuka ale jako fakt. Partnerem nie jako zbójników, owym upiorem, który snił im się w złych snach i z szubienicznym humorem wywoływanym był w piosenkach o Lewoczy, Mikołaszu, Budzynie, Orańskim zamku lub Nowym Targu, a w nim o „siaflarskiej uliczce“ wiodącej na plac stracenia, partnerem tym była biurokracja austriacka, taką właśnie gwarą gadająca. Po niej w opowieściach zbójnickich zostały takie terminy jak: hof, cimra, fechter, gwer, ryhtar, banki, i t. p., wszystko terminy mające pewne zabarwienie tragiczne, o ile ich nie rozjaśnia niezwyty humor i junactwo „harnych“ chłopców.

W Nowym Targu'k siedział,
Nic mi nie zrobili,
Ino finfuncwancik
Na portki wycieni.

Kiedy mi wycieni
Pięć dwadzieścia palic,
To ja se poprawił
Na zadku nohawic.

Ci burzyciele porządku prawnego idą „w porządku“ wisieć na szubienicy, każdy zaprotokolowany i za swoim numerem; przy standrechcie (t. j. sądzie doraźnym) w Proćpakowej sprawie numerów tych było 21, nie licząc tych, których jako dezertarów odesłano właściwym regimentom do ukarania; — na chłostę skazano 77, na więzienie w Wiśniczu (często dożywotnie) 41. Porządek był jak się patrzy:

Zjechał syndyk z Kęt i z Cieszyna i z miasta [Biały,
Wzywani na pomoc byli od urzędu kryminalny.
Pozwani także kat wiśnicki pensjonowany,
Przyjechali także katy z Bielska i Cieszyny.
Dość porządnie byli kaci w fraki ubrani,
Zegarkami opatrzeni, czysto spucowani.

Była nawet parada; występowało wojsko w czworoboku jak na „maniubrach cysarskich“.

Oberlejtant Chotting woła, karre się obróci,
Marsz nakaże, zwolna bliżąc do szybienicy
[rzuci.

Pan hrabia i pan kapitan zewnątrz karre dalej
Wedle obóh boków będąc na koniach jechali.
Zaś na miejscu sędzia delegowany,
Od niego znowu kryminalny dekret przeczytany.

W wyobraźni zbójnika, w jego snach nie-
spokojnych, jawi się na tle szubienic ów jego
partner straszliwy, groteskowy upiór śmierci
w postaci austriackiego urzędnika w czapce
z bączkiem, z zatabaczonym nosem, gęsiem
piórem za uchem, w wełnianych „pulswärme-
rach“, z drapieźnemi pazurami „zaplamionemi
atramentem.

Wyobraźmy sobie teraz powieść albo epo-
peję zbójnicką; czyż sam kunszt opowiadania
nie wymagały postawienia dla kontrastu
naprzeciw „harnych chłopców“ tego ich par-
tnera, tej strony drugiej? Do tego pieśni
o Proćpaku daję tak znakomity materiał, że
gdyby wprost niektóre jej strofy poeta w intu-
icji artystycznej wymyślił, intuicję tę pocz-
taćby można za genialną. Oto dlaczego mówię
o poetyckiej wartości tej straszliwej ramoty...

Materiał faktyczny zawarty w tym utworze
nie przynosi nic zasadniczo nowego, ale może
właśnie dlatego jest ciekawy, że potwierdza
w sposób autentyczny znane typowe rysy
zbójnictwa. Zbójnictwo powstawało najczę-
ściej z potrzeby ukrywania się, więc skutkiem
ucieczki z aresztu lub dezercji. Proćpak zaczął
od kradzieży cielęcia; osadzony w więzieniu
wyłamał kraty i uciekł, a mając jako więzień
ogoloną głowę i nie mogąc się z takim zna-
mieniem pokazać między ludźmi, błakał się
po lasach, gdzie wkrótce stowarzyszył się
z innymi wyrzuconymi podobnie przez los
z pośród społeczeństwa, przeważnie z dezer-
terami. Oczywiście potem przyłączali się i inni
z czystego amatorstwa. — Dezercja zdaje
się być głównym źródłem zbójnictwa; niemal
całe życie trwająca służba wojskowa i to
w otoczeniu obcem, gdzie człowiek dogadać
się nie może, gdzie ludzie wogóle nie mówią,
ale „fafrają“, była zwłaszcza dla górala czemś
straszliwym. Świadczą o tem i piosenki lu-
dowe.

Hej góry, moje góry, okoliczne skały,
Kiebyście się zeszyły mój świat oglądały.

Hej świecie, mój ty świecie, nie używał ja cię,
Jakże cię mam użyć, kiedy muszę służyć.

Nie dziw, że skazany na taką mękę wołał
góral skazywać się raczej na życie dzikiego
zwierza, trwające lata całe; — o ile wcześniej
nie zginął, dopiero w niedołężnej starości

odważał się wrócić między ludzi. Nad honor
cesarskiego żołnierza przekładał honor zbój-
nicki.

Cesaru, cesaru, wielkomożny panie,
Daleś mi siablicku nas...ek ci na nie.

Opowiadał mi Maciej Sieczka, który był
chłopiątkiem nie dużem i łagodnym, jak w mło-
dości uciekając od branki poszedł między
zbójniki. Tułał się wtedy po lasach pocho-
dzący z rodziny Tatarów dezertler i zbójnik:
Myśliwiec. Do niego to, siedzącego wtedy
w „Zbójeckiej Kuchni“, kolebie pod nacy-
loną skałą w Kwaśnym Żlebie na Orawie,
zaprowadził Maćka ojciec, pokłonił się „har-
nasiowi“ i prosił o opiekę nad synem i dba-
łość o jego wychowanie... Jakoś branka szczę-
śliwie minęła i Maciej nie został zbójnikiem. —
Myśliwiec zaś w późnej dopiero starości
wrócił do Tatarów, gdzie życia dokonał.

W czasie lata życie dla zbójnika układało
się wesoło. Wałęsał się swobodnie po lasach
i górach, schodząc niekiedy na szatały lub
do karczmy, gdzie darami i poczęstunkiem
jedną sobie stronników. Ci donosili mu pro-
wiant i amunicję. Bieda przychodziła dopiero
w zimie, gdy trza było szukać ciepłej izby.
Takie zimowe leże, podobne do niedźwie-
dziego, bo z izby na świat nosa wytknąć nie
można było, nabywał zbójnik za pieniądze
lub... miłość. Tu też najczęściej czychała
zdrada lub niby niewinna ale niemniej śmier-
telna pułapka, nieposkromiona gadatliwość
kobięca. Do takiej pułapki wpadł właśnie
i Proćpak.

Proćpak nie należał do zbójników honor-
nych. Wyciągnięto go za kudły z pod łożka
u dziewczyny i związano jak barana, chociaż
miał przy sobie flintę i dwa pistolety. Dla
uniknięcia chłosty przy indagacji przyrzekł
dobrowolnie wyjawić wszystkich wspólników:
powieszono go też na samym końcu, aby
można stawić przed nim dla konfrontacji
wszystkich podejrzanym. „Najsympatycz-
nym“ z całej bandy — a to o ile sympatycz-
nym jest tygrys — ze względu na swą deter-
minację i odwagę, jest dezertler Smyrak. Wraz
ze swoją dziewczyną bronili się zajadle żo-
łnierzem, a dziewczyna drągiem złamała ba-
gnę atakującemu żołnierzowi, poczem gęsto
ostrzeliwani oboje uciekli w lasy. Tu urządzono
na zbójnika formalną oblawę jak na wilka,
aż go nareszcie znaleziono ukrytego w wy-
próchniałem drzewie. Musiały też to być drze-
wa, po których dziś śladu niema!... Gdy skre-
powanego przywieziono na wozie przed wię-
zienie, skoro tylko powrozy z niego zdjęto,
rzucił się na wartę i uciekł. Nie uszedł jednak
pogoni. Gdy indagowany do późna w noc

znalazł się na chwilę sam na sam z sędzią, skoczył na niego z kajdanami.

Taka złość tego Smyraka. Miałby zysk [sowity
Onże sędzia, gdyby od dezertera szelmy był [zabity.
Bo ktoby zabitemu nagroził tę stratę?
A zbrojca gorszą nie miałby zapłatę.

Przyznał nareszcie, co narobił złego,
I liczone pięćdziesiąt dziewięć rabunków jego,
Z mordami sześciu, z których miał pieniądze
Dwieście czterdzieści ryńskich schowane
Za piecem w chałupie. [pieniędzy

Czwartego dnia przyszła Hanka, dziwka tej [Sołtycki,
U której Proćpak był łapany, na którą mieli [spiski,
Że zbrojów była wydała. Ta do aresztu była [wpuszczona
Z drugą jeszcze babą, aby z nimi rozmawiać [się miała.

Przysąpił Smyrak z jednej, Proćpak z drugiej [strony.
Oba na rękach mając łańcuch i kajdany:
Razem oba łańcuchy jej o szyję rzucili,
A byliby ją na śmierć byli zadusili.

Już piany toczyła, już wszystka czerniała,
A zbroje jej mówią: „Tyś pocziwa Hanka,
Serdecznie cię ściskamy, tyś nasza kochanka“.
Aż warta spostrzegła i ją ratowała.

Myślała pierw, że żarty widziała; już umarła
Z gwałtem ją z rąk zbrojecznych wyrwali.
Z tych dwóch przypadków łatwo pomiarkować [można,
Jak śmiała dezertera zła dusza bezbożna.

Tak przedstawia się ta „Pieśń o standrechcie y Proćpakowej Bandzie“, za której wydobycie z pyłu archiwalnego należy się wdzięczność p. Zborowskiemu.

J. G. Pawlikowski.

Ze wspomnień o Bartoszu Obrochcie. — W nrze 6-tym „Ziemi“ z roku 1929 ogłosił p. Juliusz Zborowski artykuł p. t. „Z opowiadań i przeżyć Bartusia Obrochty“.

Bartuś, który przechował całą tradycję muzyczną Podhala — (zob. art. prof. A. Chybińskiego w roczn. IV „Wierchów“, str. 151), należał do pokolenia, które zatracalo już tradycję gwary i obyczaju. Narratorem też nie był. To też te jego opowiadania nie mają szczególnej wartości artystycznej, ani nawet etnograficznej. Interesujące są jako dokumenta o człowieku, a także do pewnego stopnia jako dokumenta historyczne z przeszłości Zakopanego. Pewną woń dawnej góralszczyzny

ma jeszcze opowiadanie o tem, jak to ks. Stolarczyk dyspenzował Bartusia na granie w post na weselu żydowskim, tudzież pokrewna tematem dysputa z babą, grożącą piekłem Bartusiowi za to, że w adwent ze skrzypcami chodzi; — „przed jej ze skrzypcami do nieba zajdę, niż ty z pyskiem“. Poza tem są to same wspomnienia o „gościach“ zakopiańskich. A więc jak to Bartuś grywał Sienkiewiczowi i Paderewskiemu, który nuty jego zapisywał, jak wodził Bolesława Prusa do Czarnego Stawu i jak „redagował gazetę“, t. j. podpisywał jako redaktor odpowiedzialny „Gońca Tatrzańskiego“, wydawanego w roku 1894 czy też 1895 przez Jana Grzegorzewskiego, a którego wyszło całe dwa numery.

Do tych wspomnień pozwolę sobie dorzucić parę komentarzy.

Nie wiedziałem, że Bolesław Prus chodził z Bartusiem do Stawów Gąsienicowych. Wiedli go Bartuś i Gronikowski przez Skupniów Uplaz — i zrazu szło jako tako; na Karczmiku jednak spojrzawszy w Jaworzynkę Prus usiadł, zasłonił oczy i dalej iść nie chciał. Wywiedli go innym razem przez dolinę Olczyską. Z prawdziwym podziwem czytam o tym czynie bohaterskim. Prus cierpiał nie już na zwykły zawrót głowy, ale na „chorobę przestrzeni“; trudno mu było przejść nawet przez szeroki plac, zwłaszcza o ile go nie znał. Opowiadano mi, jak Chałubiński chciał go zaprowadzić do Morskiego Oka, lasami przez dolinę Waksmundzką — dzisiejszego gościńca jeszcze nie było. Na brzeżku już jednak nad Jaszczurówką (być może, że było to na Cyrli), Prus doznał takiego przerażenia, że dalej prowadzono go z zawiązanymi oczyma, dopóki nie znalazł się w lesie... Jeśli taki człowiek upiera się pójść na Hałę Gąsienicową, to jest to czyn daleko bardziej podziwu godny, aniżeli wyjście na najstraszliwszą ścianę, dokonane przez zawodowego wspinacza. Ileż miłości dla piękna gór musiało być w tem sercu! Ze wstydu niejako za swoją niemoc i za fatygę, jaką mieli z nim przewodnicy, zapłacił też sowicie ze swej niezasobnej kasy polskiego literata, ofiarowując im dwie dubeltówki. Swoją drogą nie wiedział pewnie, do jakich grzesznych czynów podał im pokusę...

Sprawa Bartusiowego „redaktorstwa“, o którym tak zabawnie opowiada Zborowski, nasuwa mi następujące wspomnienie.

Zimą z r. 1894 na 1895 spędziłem na urlopie od mych ówczesnych profesorskich obowiązków, lecząc się na malarję, w Zakopanem. Mieszkałem w pensjonacie „Marja“, dzisiejszym hotelu Poraj. Tutaj spotkałem się z Grzegorzewskim. Był to dziwny człowiek. Niewiadomo czem właściwie się trudnił

i z czego żył, znikając nieraz na całe lata, aby się włóczyć po Bałkanach między Słowiany i Turki. Dla poznania Słowiańszczyzny południowej położył pewne zasługi, był jednak fantasty i niewiadomo było nigdy napewne, jak należy przyjmować jego relacje. Owóż wspomnianej zimy ten wieczny włóczęga rozbił namioty swoje w Zakopanem. Strzeliła mu do głowy jakaś myśl, o zakroju zupełnie mesjanicznym, że Tatry stać się mają źródłem odrodzenia narodowego i że zład wyjdzie zmartwychwstanie Polski. Polska musiała się niejako zgóralścić, począwszy od ducha a skończywszy na stroju. To też Grzegorzewski, dając z siebie przykład, przyodziął się po góralsku. Chadzał zresztą w różnych przebraniach, spotykałem go bowiem później na Wysokiem Zamku we Lwowie w jakichś opankach bułgarskich, w burce czy guni brązowej obcego kroju i w dziwnym nakryciu głowy. Strój góralski, ażeby być przyjętym przez inteligencję, miał być zmodyfikowany: sukno miałoby być cienkie i śnieżno-białe, kierzce zastąpione trzewikami w rodzaju „kierpców orawskich“, koszula wyrzucona starym obyczajem na portki nie wydawała się dość przyzwoitą: zastąpił ją Grzegorzewski czerwonym trykotem. W takim to przyodziewku poznałem go — pięknego, wysokiego pana o słowiańskim wąsie — w salonie właścicielki pensjonatu, p. Makswaldowej.

Spotkanie to było zresztą umyślnie zaaranżowane. Kilka dni przedtem p. M. dała mi do czytania memorjał, doręczony jej przez Grzegorzewskiego, który memorjał ten obnosił po pensjonatach, szukając w ten sposób zwolenników dla „wielkiej idei tatrzańskiej“. Oczywiście chodziło i o zebranie środków na wydawnictwo „Gońca Tatrzańskigo“, który miał tę ideę propagować, zadając zrazu zwolna, ostrożnie, po łyżeczce, dopóki by nie rozbłysła nareszcie w swym pełnym, mesjanicznym blasku. Właścicielki pensjonatów, pod obuchem tego mistycznego memorjału zastraszona i niepewna, skupiały się jak spłoszone gęsi, cicho i żałośnie gęgając. Hasło było „podaj dalej“, a chodziło przytem o zasięgnięcie zdania „ludzi kompetentnych“. Tak to trafiło i do mnie...

Podpis Bartłomieja Obrochty jako redaktora odpowiedzialnego na „Gońcu Tatrzańskim“ nie był wcale dziełem przypadku ani prostym sposobem podstawienia — jak się to mówiło — „sztramana od kozy“, ale był to symbol udziału ludu góralskiego w wielkiej akcji szerzenia „idei tatrzańskiej“. Skończyło się na dwu numerach „Gońca“ a Grzegorzewski, złożwszy swój przydziewek przyszłości, po pewnym czasie powędrował znowu na Bałkany.

Do wspomnień o Bartusiu dołączę tu jeszcze jedno, własne. Nie miałem z nim szczególnie blizkich stosunków, — chodziliśmy razem raz czy dwa razy, — kiedy pobudowałem się w Zakopanem, grywał u mnie czasem w domu. Skrzypce to była jego wymowa, o opowieści mi nie chodziło. Jedna przecież, niezmiernie ciekawa, utknęła mi w pamięci... Opowiadał Bartuś, że kiedy był niedużym chłopcem i pasał na hali — a już wtedy grywał na skrzypcach — przyszedł do niego jednego razu Wojtek Mateja (słynny swego czasu zbójnik) i powiedział ino tela: „Bartuś, podz“. Cóż było robić wie taki każe. I Bartuś poszedł. Chodzili tak razem po Tatrach przez trzy dni. Wojtek go żywił, a mało się obzywał. Kiedy zaś przyszli na jakie pikne miejsce, to se kazal grać. Uhipkał się, uhipkał i zaś szli dalej... aż go nareszcie od siebie puścił... Tak to p. redaktor „Gońca“ otarł się i o zbójnictwo. A to jego wspomnienie ze wszystkich chyba najciekawsze. (Rzecz tę opowiedział już K. Tetmajer w „Bajecznym świecie Tatr“; ja ją powtarzam tak, jak od Bartusia słyszałem).

J. G. Pawlikowski.

Konstanty Kietlicz-Rayski. — Sztuka góralska na Podhalu. (Wyd. Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie 1928).

(Wyd. Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie 1928). — Jest to pokłosie pośmiertne zmarłego w r. 1924 artysty malarza, zawierające artykuły odnoszące się do Podhala, głównie do sztuki ludowej góralskiej, w szczególności szczawnickiej. Rayski (ur. 1868 r. w majątku rodzinnym Biała Błotna w Kieleckiem), odbył studia malarskie w Krakowie, Warszawie i za granicą, gospodarował czas jakiś na wsi, poczem osiadł w Lublinie i tu poza swoją pracą zawodową, (prześliczne są jego typy ludowe z lubelskiego), rozwinął wielostronną działalność kulturalną. Lublin zawdzięcza mu bardzo wiele. Na Podhale zagnała go już prawie pod koniec życia choroba. Sam tak o tem pisze: „Studja nad góralszczyzną zacząłem w Szczawnicy, dopełniłem w Zakopanem. Wyjechałem z Lublina podobno beznadziejnie chory, farby wzięc wziętem ze sobą jedynie z przyzwyczajenia. Świat, w którym się nagle znalazłem, wydał mi się tak nowym i pięknym, że postanowiłem przedłużyć życie swoje już przez lekarza na zagładę skazane“. W istocie należał on do tych ludzi, w których dusza zdaje się przewyżczać słabość ciała. Cały żył w umiłowaniu piękna i jego wyrazie swojskim, przekazanym zwłaszcza w sztuce ludowej. Pisał o nim Orkan („Cichy Pan“, „Gaz. Zakopiańska“ Nr. 33. z r. 1922): „Cicho mówi... Zaiste — głośni są często jak cymbały brzmiące. A on mówi

cicho trzeży ważne... Jest on z Sokratesowskich ludzi, jakim wysoce był Witkiewicz. Promieniować pragnąłby duszą, czynem, by życie w piękno przemienić". — Dobrą charakterystykę tej szlachetnej natury daje we wstępie do książki dr. Kamiński. Zamieszczona tamże bibliografja pozwala zorientować się w pracy Rąskiego, we wszechstronności jego zainteresowań i żarliwości, z jaką szerzył propagandę piękna, jako czynnika uszlachetniającego życie. — Zainteresowawszy się sztuką podhalańską, szczególnie szczawnicką, pragnął stworzyć dla niej warunki twórczości i rozwoju. Nosił się z myślą założenia Muzeum i Warsztatów szkolnych w Szczawnicy i przedstawił w tym kierunku memoriał Ministerstwu Sztuki i Kultury. Użala się gorzko, że Ministerstwo wykrcęło się sianem poprzestając na nabyciu od niego pewnej ilości rysunków odnoszących się do sztuki szczawnickiej. Sztukę góralską propagował w licznych artykułach, zwłaszcza w pismach ludowych podhalańskich, chcąc przekonać górali o wartości ich sztuki rodzimej i powstrzymać rozwielniające się „zceprzenie" góralszczyzny.

Książka, o której tu mówimy, zawiera rozdziały o sztuce szczawnickiej, o strojach i o malowidłach na szkle. Spis rzeczy nie daje jednak właściwego wyobrażenia o jej treści, gdyż przy każdej sposobności wpada w dygresję zawierając bądź to osobiste wspomnienia, bądź charakterystykę górali, bądź rozważania natury ogólnej, wszystko zaś przenika gorąca miłość ludu i jego sztuki rodzimej, a styl żywy i „podłożony sercem" czyni lekturą nie tylko pożyteczną ale i nader miłą¹⁾. Książka wydana jest nader wytwornie i zawiera więcej ilustracji.

Dodać trzeba, że w tece pośmiertnej Rąskiego znajduje się 66 barwnych plansz odzwierciedlających malowidła na szkle, 68 plansz haftów, 32 plansze „klocków" czyli sztanc służących do wyciskania wzorów przy barwieniu tkanin, 11 plansz ceramiki, 16 plansz swoistej sztuki Szczawniczanki wykładania ornamentów ze słomy, 7 plansz rzeźb, 12 plansz gajd i sprzętów, a wszystko wykonane z wysoką maestrią, skrupulatnością i wiernością. Należałoby, aby czynniki powołane zaopiekowały się tą cenną spuścizną, która o ileby na razie nie mogła być publikowaną, powinna być przynajmniej nabytą i znaleźć bezpieczne przechowanie w Muzeum Tatrzańskim.

J. G. Pawlikowski.

„Wspomnienia z życiaowieckiego" Kazimierza hr. Wodzickiego

— ukazały się obecnie w trzecim wydaniu (Lwów, Gubrynowicz). Wspomnienia te wyszły z pod pióra znakomitego znawcy fauny polskiej w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Znajdują się tu też opisy polowań w Karpatach wschodnich. W obecnym roczniku drukujemy pracę St. Barabasa o niedźwiedziu w Tatrach, — „Wspomnienia" Wodzickiego stanowią cenne jej uzupełnienie, mówiąc o niedźwiedziu w naszych górach wschodnich. Zestawienie takie jest tem bardziej interesujące, że niedźwiedź w rozmaitych okolicach zachowuje się różnie. I tak Wodzicki przytacza zdanie Barabasa w jego artykułach o polowaniach na Litwie, drukowanych w „Łowcu", gdzie B. zaprzecza, jakoby niedźwiedź kiedykolwiek atakował podnosząc się na tylnych nogach; chodził on i walczył jak inny zwierzę tylko na czworakach. B. naśmiewa się nawet z przeciwnego zdania, uważając je za wytwór fantazyi. Tymczasem zarówno Wodzicki w Karpatach jak Barabasz w Tatrach stwierdzają zgodnie coś całkiem przeciwnego. Widocznie niedźwiedzie litewskie mają inne obyczaje jak małopolskie, może stanowią nawet inną odmianę. Małopolskie zaś na zachodzie i na wschodzie nie różnią się w obyczajach.

J. G. P.

R. Nitribitt i Z. Hetper: Krynica, Żegiestów, Muszyna i okolice. Przewodnik turystyczny po Beskidzie Sądeckim i okolicznych górach słowackich. Nakładem Krynickiego Oddziału Pol. Tow. Tatrzańkiego. Lwów. Księgarnia Polska.

Choć autorzy proszą o „wrozumiałość dla braków swej małej broszurki", to spora ich, bo 210 stronicowa książka, zdozna w 38 bardzo udatnych zdjęć na kredowym papierze, żadnej prawie wrozumiałości nie potrzebuje. I autorzy i młody Oddział Krynicki mogą się pochlubić swem wydawnictwem. Nie twierdzą, iżby to była praca doskonała, nie mająca usterek i nie podlegająca zarzutom, których sam poniżej sporo naprowadzam, stwierdzam atoli, iż jest to praca poważna i rzetelna, daleka od partactwa i dyletantyzmu, oparta na materiale rzeczowym, skrzętnie przez lata zebrany, napisana przez prawdziwych turystów, rozmiłowanych w swych stronach rodzinnych i w pięknie górskiej przyrody.

Bliskość trzech zdrojowisk: Krynicy, Żegiestowa i Muszyny, których frekwencja roczna przenosi 40.000 osób, dała świetną sposobność do wydania pełnego treści przewodnika regionalnego, zdawna potrzebnego. Nie ograniczyli się atoli autorowie, jak to bywało w dawnych przewodniczkach zdrojowych, do

¹⁾ Czytelnikom naszym przypominamy artykuł Rąskiego o sztuce szczawnickiej pomieszczony w pierwszym roczniku „Wierchow".

podania kuracjuszom informacji mieszkaniowych, leczniczych i spacerowych, ale uwzględniając także i te potrzeby, poszli za duchem czasu daleko dalej i w książce swej uwzględnili z rozmachem potrzeby wycieczkowe letników, turystów, narciarzy i automobilistów.

Rozmach samochodowy zaprowadził autorów daleko, jak na regionalną sprawę nawet tak daleko, bo aż do Orawskich Zamków. Czy przewodnik ten ma prawo do nazwania się „turystycznym“, oczywiście górskim, czy w tej dziedzinie przynosi coś nowego?

Bez wątpienia — tak.

Wierchy Krynickie, od 700 do 1100 m wysokie, są górskim i malowniczym terenem turystycznym, a w większości swej nie uwzględnione w ogólnym Przewodniku beskidzkim, domagały się opisu, bo przewija się koło nich dziesiątki tysięcy ludzi, bo są także świetnym terenem narciarskim. Sporo nowych szczegółów przynosi też omawiany Przewodnik odnośnie do pasma Jaworzyny, a nowy materiał turystyczny daje w fragmentarycznych opisach Beskidu Środkowego, gór Szaryskich i Lewockich. Szkoda, że są to tylko fragmenty, nie ujęte w pewien choćby ogólny całokształt, zwłaszcza co do pierwszej grupy. Prócz opisu okolic Wysowy wiele pożądanym byłby opis okolic, pobojowisk, terenów naftowych, wierchów Gorlickich i Duklańskich.

Za najślabszą stronę książki p. Hetpera i Nitribitta uważam mniej trafnie dobrany kierunek jej ekspansji, a mianowicie zachód, zamiast wschodu i południa. Autorowie zdaniem moim niepotrzebnie zapuszczają się w szczegółowych opisach na daleki Spisz, w słowackie miejscowości podtatzańskie, do Dobszyny, a nawet na Orawę. Opisy te są nam już znane z wielu Przewodników, a przede wszystkim z wyczerpującego Przewodnika po Spiszu i Orawie Dra M. Orłowicza. Dla tur samochodowych wystarczyłoby podanie ogólnych wytycznych z powołaniem się na powyżej wymienioną książkę.

Zamiast Spisza i Orawy wolałbym był wiele czytać w nowej książce opisy okręgu Szaryskiego, wiele osobliwości przyrodniczych i kulturalnych obejmującego, a bezpośrednio z Krynicą od południa graniczącego.

Prócz migawkowej wycieczki samochodowej do Bardjowa i Zborowa nie znalazłem w niej opisów wspaniałych i olbrzymich ruin zamku Rakoczego w Wielkim Szaryszu (jest zaledwie krótka wzmianka mimochodem), i innych zwalisk historycznych zamków, których jest tam koło 50, opisu Preszowa, siedziby generalicji Konfederacji Barskiej, choć tak pięknie i szczegółowo opisują autorowie inne Barskie pamiętki, Koszyc (nęcaca tura samochodowa), Obiszowiec z doliną Hernadu

i jaskiniami; daremnie szukałem też wzmianki o ważniejszych wierchach Braniska, dolinach Tarczy i Topli, o warzelni soli, kopalni opalów, miejscach kąpielowych, o wysepkach ludności polskiej w Szaryskiem, lub choćby o Sobinowskich morelach i brzoskwiniach, dla krynickich letniczek pewnie bardzo miłej. W opisach tur górskich zauważyć się daje pewne nieuporządkowanie; cel wycieczki, widoki, wyjścia i zejścia zlewają się częstokroć w ustęp, jednym tchem wypowiedziany. Cel wycieczek zwłaszcza bywa niedopowiedziany, nawet pomijany, a przecież bodaj czy nie najważniejszą jest rzeczą powiedzieć turystyce, dlaczego i po co ma on wycieczkę na dany szczyt przedsięwziąć, jaką daje mu ona korzyść, przyjemność, widok, emocję i t. d., bo inne szczegóły może mu powiedzieć i sama mapa. Jako typowy przykład bez określenia celu dwudniowej wycieczki podają ustęp 31, na Igłę w Lewockiem.

Rozwlekłe i zbyt drobiazgowo bywają znów opisy dróg na małe wierchy prowadzących, lub spacerów, przy których wystarczyłoby wskazanie początku drogi, czasu i kierunku. Drobiazgowość ta dochodzi za daleko, bo niekiedy do podawania liczby kroków, drzew, mnóstwo zakrętów i wielu ubocznych szczegółów, które powinny się znaleźć w dopiskach. Wynikają z tego dysproporcje takie, że Jaworzyna Krynicka, najwyższy szczyt okoliczny, ma znacznie krótszy opis, niż inne podrzędniejsze góry, lub nawet przechadzki, wynikają także ustępy, będące niejasną gmatwaniną szczegółów. Za taki uważam n. p. ust. 8 o górze Parkowej, podczas gdy znów ust. 29 o wycieczce górskiej do Lubowli może uchodzić za typowo dobry, jasny i zajmujący.

W parze z rozwlekłością opisów idzie też rozwlekłość stylistyczna. Autorowie nie zawsze pamiętają o tem, że jasność i zwięzłość są główną zaletą przewodnikarskiego stylu, to też przeważają opisy, podane stylem rozwlekłym, gawędowym, a czasem i niejasnym. Jak np. rozumieć szczegółowy obszar przewodnikowy, podany na str. 82, zdanie 5-te na str. 94, lub 1-sze zdanie w opisie okopów na str. 126?

W innych znów miejscach spotykamy się z niezręczną kwiecistością i koturnowością stylu, której typowym okazem są niektóre zdania w ust. 19, n. p. „Gdy tylko wędrowiec wydotanie się z lasu, uderza go widok jej (hali) zachwycający — słodki urok pada na słabe zmysły człowieka. Z trawiastej powierzchni, zachłannie biorącej, niby olbrzymie zwierciadło wklęsłe, promienie słońca w swój obręb — z powodzi ziela rozlepiętego przedziwnie wysnuwa się wonny opar rozżarzony i ciężki“ — albo też z mniej fortunnymi wy-

rażeniami, jak „potok bierze swój dwuramienny początek“, co jednak nie wyklucza faktu, że są też ustępy, pisane gładko i pięknie.

Z drobniejszych usterek zwróciłbym uwagę na to, iż dominujący szczyt tatrzański, widziany z Malnika (str. 74) to raczej Lodowy, niż Łomnica, iż dla spójności organicznej, która jest naogół dobra, należy też ponumerować ustępy w pierwszej połowie książki, iż przy opisie tur samochodowych pożądane byłoby dokładniejsze informacje o stanie i rodzaju gościńców, iż granice Beskidów, podane we wstępie Dra Gadomskiego, nie są zgodne z ustalonymi normami, iż charakter Beskidu Zachodniego nie jest wysoko- ale średniogórskim. Druk i format książki są nieco za duże; konieczne jest także dodanie spisu nazw.

Bez zarzutu wychodzi część informacyjna o omawianych lotniskach, choć i w tej — zamiast zbędnej litanji łacińskich nazw botanicznych — widziałbym chętniej ważne dla każdego informacje o cenach, kosztach i tak-sach, czego wcale niema.

Za najlepszą część książki uważam dział ostatni p. t. Zima; związane informacje o narciarstwie, o technice jazdy, o terenach narciarskich Krynicy, Muszyny i Żegiestowa są wyśmienite, natomiast dalsze tury za ogólnikowe.

Przez wypowiedzenie swych uwag nie mam zamiaru obniżyć wartości omawianego Przewodnika. Szanownych Autorów proszę, by przyjęli je z taką życzliwością, z jaką wypowiedziane tu zostały, bo celem moich uwag jest tylko to, aby ich zasadniczo dobra i pożyteczna książka mogła w drugim wydaniu stać się jeszcze lepszą.

Kazimierz Sosnowski.

Midowicz Wl. i Augustynowicz M.: Przewodnik narciarski po Beskidzie Zachodnim. Nakładem Koła Narciarzy przy Oddziale Polsk. Tow. Tatrzańskiego w Żywcu.

Rozwijająca się żywiłowo, w ostatnich latach górską turystyka narciarska z radością powitała pojawienie się tej książeczki, pierwszego przewodnika polskiego dla Beskidu Zachodniego. Przewodnik prof. Sosnowskiego zawiera wprawdzie wskazówki co do najlepszych terenów narciarskich w Beskidzie Zachodnim, ale rozrzucone pomiędzy opisami letnich szlaków i nie ujęte w pewną systematyczną całość nie przedstawiają one równej wartości dla narciarza, jak opisy szlaków letnich tego zasłużonego pioniera turystyki letniej w Beskidzie Zachodnim. Toteż narciarze polscy wdzięczni będą obu wydawcom przewodnika, którzy — sami doskonałi znawcy terenów przez siebie opisanych — podjęli

się trudu ujęcia w pewną systematyczną całość terenów narciarskich Beskidu Zachodniego i wydali w zimie 1928/29 powyższy przewodnik za poparciem Kół narciarskich przy oddziale Babiogórskim P. T. T.

Obejmuje on — jak sami autorzy w przedmowie zaznaczają — nie cały Beskid Zachodni, lecz jest przewodnikiem raczej regionalnym. Opisuje bowiem przede wszystkim teren objęty działalnością Oddziału Babiogórskiego P. T. T. t. j. pasmo Babiogórskie i Jałowieckie, Beskid Żywiecki (grupę Piłska i Raczy) i Beskid Mały, a zaokrąglą ten teren z zachodu grupą Baraniej Góry i od wschodu pasmem Gorców.

Autorzy, przystępując do wydania przewodnika, postawili sobie za cel — stworzenie książeczki, jak najmniejszej rozmiarami, a przytem przejrzystej i dającej możliwość dobrej i dokładnej orientacji w terenie. Ząd też zwarty i lapidarny, prawie że telegraficzny — styl opisów szlaków, czyto wyjściowych, czy też zjazdowych. Wychodzą autorzy ze słusznego założenia, że narciarz, wybierając się na wycieczkę górską nie lubi zabierać z sobą ciężkich i grubych książek; nie będzie on również w czasie mroźnych wichrów na grzbietach górskich czytał opisów przyrody, której piękno samo się musi narzucić jego oczom, w czasie szybkiej nieraz jak wicher jazdy na nartach. Nie może również przewodnik narciarski podawać szczegółowych opisów szlaków zimowych; bo zimową porą każda wolna przestrzeń w górach może być doskonałym szlakiem narciarskim. Chodziło więc autorom o zestawienie i podanie głównych kierunków najlepszych szlaków, jakie w tym terenie istnieją. Rzeczą narciarza, wybierającego się na wyprawę zimową w nieznane góry, przeczytać sobie przedtem dokładnie przy pomocy mapy specjalnej opis danego odcinka, wbić sobie w pamięć główne kierunki opisanego szlaku i pewne wybitniejsze punkty orientacyjne, zapamiętać sobie czasy potrzebne do wyjścia lub zjazdu, a wówczas nawet w zupełności nieznanej okolicy nie będzie bezradny, gdy trzeba zdecydować o wyborze właściwej drogi. Chyba że najgorszy wróg narciarza — mleczna mgła otuli wszystko w swe objęcia. Wówczas jednak nawet najdokładniejszy przewodnik na nic się nie zda i tylko zimna krew i przytomność umysłu, wraz z dobrym kompasem mogą narciarzowi coś pomóc.

Przewodnik, który pojawił się już w czasie pełnego sezonu zimowego 1928/29, przy swych zaletach treści i układu cieszył się wielkim wzięciem u narciarzy i ze względu na bardzo dogodny format kieszonkowy oraz piękną zewnętrzną szatę, jak też i tanią cenę (3 zł). Toteż cieszyć się należy z zapowiedzi autorów,

że mają zamiar opracować w podobny sposób i inne tereny narciarskie Beskidu, a zwłaszcza Beskid Śląski i zachęcić ich do wykonania tego zamiaru. A tym wszystkim towarzystwom, które umożliwiły finansowo autorom wydanie przewodnika, zwłaszcza Oddziałowi Babiogórskiemu i jego Komom należy się, szczerze podziękowanie, za pełne zrozumienie swych zadań turystycznych i popieranie tak pożytecznych wydawnictw.

S. M.

Z literatury pięknej. Emila Zegadłowicza „Ballady o powsinogach Beskidzkich” wyszły w nowym wspólnym wydaniu Tow. Bibliofilów Polskich, z drzeworytami barwnymi Zbigniewa Pronaszki. Do dawnych ballad (zob. „Wierchy” rok III, 1925), znanych z poprzednich wydań, przybyła tu jeszcze jedna, dziesięcią „O powsinodze beskidzkim jałowczarzu”. Jałowczarz po słonecznych, jałowych grapach zbiera jagody jałowcowe i warzy z nich sok wonny i leczący słabości ludzkie. Jałowcowego dymu pełna jest cała chata, wychodzi on przez dach i bije wioną ku niebu jak z kadzielnicy kościelnej. Poemat oddycha przebóstwionym oddechem ziemi, ziemi naszej... W czasach kiedy poezja zesłała do poziomu sztuki galanterijnej — i to operującej nie klejnotami ale czeskim szkłem i rzeszowskiem złotem konceptu w treści a rymu na „mniej więcej” w formie — zjawisko takie jak Zegadłowicz i jego poezja jest rewelacją czegoś, co się gdzieś zapodziało: rewelacją miłości gleby rodzimej, rewelacją wiary, rewelacją duszy. Poemat o jałowczarzu jest symbolem; jałowczarz pisze się Kasper Koźbiała, góralskim zaś obyczajem woła się całkiem inaczej jak się pisze, woła się Emil Zegadłowicz... Oto jałowczarz boży... Dajże mu Boże jałowcowe zdrowie!

J. G. P.

— Ukazała się trzecia część beskidzkiej powieści E. Zegadłowicza — „Żywota Mikołaja Srebremisanego” — pod tytułem „Cień nad falami” (Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1929).

— W nrze 19 poznańskiej „Tęczy” z 11 maja b. r. znajduje się piękny „wierchow” wiersz Gałuszki p. t. „Na graniach Tatr” (z cyklu: „Tęczowa droga”).

— Powieść góralska J. G. H. Pawlikowskiego (syna): „Bajda o Niemrawcu” (z drzeworytami Skoczylasa), wydana w roku zeszłym nakładem „Biblioteki medycznej”, doczekała się szeregu bardzo pochlebnych ocen. I tak pisze Władysław Kozicki w „Słowie Polskim”: „Autor Bajdy wystąpił odrazu jako artysta dojrzały, posiadający pełną samowiedzę swoich środków artystycznych i władający nimi po mistrzow-

sku. To są naprawdę klejnoty epickiej swady... A wszystko to nie jest etnografia ale tworzeniem swobodnej fantazji... staje się poezją idealistycznie wzniosłą, a dziwnie czystą i szlachetną... Zygmunt Wasilewski w „Kurjerze Poznańskim”: „Wszystko jest użyte w stylu jednolitym, z zupełną świadomością artystyczną... Do szczytu uniesienia poetyckiego dochodzi w opisie wędrowania Ewy w mgłach... Sceny rodzajowe w nizinach, pejzaże, są dziełami malarza, widowsko tańców góralskich uchwycił znowu jak muzykantancerz od wnętrza rytmu, na obrazy zajęć domowych patrzy jak gospodarz... A wszystko jest materiałem budowlanym użytym do celów poetyckich, do pokazania, jak na przyziemnym życiu duchowem nadbudowuje się życie wyższe w poszukiwaniu sił nadziemskich... St. Pieńkowski w „Gazecie Warszawskiej” zestawiając „Bajdę” ze „Skalnym Podhalem” Tetmajera zauważa, że Tetmajer maluje górali ze świadomością artysty-inteligeny, od zewnątrz, u Pawlikowskiego zaś dźwigają się Tatry w całej surowej potędze... a ludzie w nich i stwory żywiołów w drzewie jakoby cięte i w kamieniu kute, albo z lodowców, śniegów i mrozów wyczarowane, wichrami rzeźbione, zachowują nieskałaną pierwotność ciał i dusz. Pawlikowski osiągnął wielkość, grozę i surowość Tatrom i ich ludowi przyrodzoną”. A. M. w „Prager Presse”: „...Jest to ściśle zwarta budowa, która w rozdziale końcowym wznosi się na szczyt żywiołowej potęgi... Mistrzowskie dzieło twórczości poetyckiej. Z niepokonaną siłą mówi przez nie dusza Podhala”. Podobnie pochlebne oceny wyszły z pod pióra Zdzisława Dębickiego w „Kurjerze Warszawskim”, Jana Parandowskiego w „Tęczy”, Rytarza w „Głosie Prawdy” i i.

Zygmunt Wasilewski: Pieśń w górach (Warszawa. „Patria”. 1930). — Książka wyszła z końcem października b. r. Notujemy jej ukazanie się, pozostawiając nasze omówienie do następnego rocznika. Autor, którego główną troską zarówno w znakomitych pracach publicystycznych jak historyczno-literackich jest dotarcie do podstaw duchowej kultury narodu, zebrał tutaj szereg studjów złączonych jedną myślą: stosunku kultury do przyrody, w szczególności przyrody górskiej; sprawa, która oczywiście dla miłośników gór ma pierwszorzędne znaczenie.

T. E. Modelski: Spory o południowe granice diecezji krakowskiej od strony Spisza (w. XIII—XVIII) z mapą. — Wydawnictwo Muzeum Tatrzańskiego Nr. 5. Zakopane 1928.

Czasopisma turystyczne. „Przegląd Turystyczny” w roku bieżącym nie wyszedł. Sprawozdania P. T. T. zamieszczają „Wierchy” w dodatku do obecnego rocznika. „Taternik” zakończył swój rocznik XII. czwartym (4—6) zeszytem, wydanym dopiero w maju 1929 r., a poświęconym, dwudziestopięciocleciu Sekcji Turystycznej P. T. T. Oprócz sprawozdania z obchodu jubileuszowego i rysu historycznego Sekcji, mieści szereg wspomnień stanowiących cenne przyczynki do dziejów rozwoju taternictwa. Zeszyt zdołał liczne potrzeby taterników, z różnych epok. — W roku 1929 (rocznik XIII.) wyszły dotąd (październik) dwa zeszyty. Redakcję przy współdziałaniu Komitetu redakcyjnego, objął St. K. Zaremba. Oprócz zwykłych sprawozdań o nowych wariantach, ważniejszych wyjściach i kroniki zdarzeń, zawierają te zeszyty dwa opisy wycieczek (jedna w Alpach) i interesujące rozważania natury ogólnej St. Komornickiego i St. K. Zaremby. Zaznaczyć trzeba, że przełamany został jak się zdaje charakter ezoteryczny pisma — gdyż ogłoszono tym razem adres administracji (biuro P. T. T. w Krakowie) i cenę prenumeraty (6 zł.). Bardzo to miłe jest redakcji naszej, gdyż z chwilą gdy „Taternik” staje się dostępnym dla wszystkich, tem bardziej uwalnia nas od zajmowania się taternictwem w ściślejszym znaczeniu, a wprowadzenie racjonalnego podziału pracy oszczędzi miejsca, tak nam skąpo wydzielonego uchwała Zarządu Głównego P. T. T. — Oby tylko „Taternik” pod nową redakcją zmienił również swój „ezoteryczny” sposób wychodzenia i przystosował się do warunków „empirycznego” kalendarza.

W ostatniej chwili przed zamknięciem druku (15 listopada) otrzymaliśmy 3-ci zeszyt „Taternika” z datą 15 października. Omówienie go musimy odłożyć do przyszłego roku. Jako zeszyt 4-ty zapowiada Redakcja zeszyt specjalny, poświęcony w całości pamięci s. p. M. Swierza.

Organ P. Rady Ochrony Przyrody „Ochrona Przyrody” w zeszycie 8-ym, który wyszedł z końcem roku 1928, zawiera wśród bogatej treści obszerną pracę Wład. Midowicza p. t. „Przyszły Park Narodowy na Babiej Górze”. — Z pomiędzy innych artykułów spraw Podhala dotyka relacja maj. Br. Romaniszyna o „Umowie między Polską a Czechosłowacją o rybołówstwie i ochronie ryb na wodach granicznych i na wodach ich zlewisk”.

Z literatury ochraniarskiej. — Ze względu na powstające u nas „Parki Narodowe” szczególnie interes przedstawia prze-

śliczna książka prof. Wł. Szafera p. t.: „Yellowstone — kraj gorących źródeł i niedźwiedzi” (Książnica Atlas 1929).

Z pomiędzy świeżych nakładów P. Rady Ochrony Przyrody zwracamy uwagę na niewielką książeczkę przerobioną z dzieła szwajcarskiego Emanuela Riggerbacha p. t. „Jak może młodzież chronić przyrodę?”. Książeczka ta powinna znaleźć się w rękach wszystkich chłopców i dziewcząt. — Inną książeczką o szerszym interesie jest: Jana Sokolowskiego „Ochrona ptaków”.

Czasopiśmiennictwo na zachodnim Podkarpaciu. — W bieżącym roku wydawano na zachodnim Podkarpaciu następujące czasopisma:

1. „Głos Ziemi Żywieckiej”. Rok II, wychodzi trzy razy w tygodniu.
2. „Gazeta Podhalańska”. Rok XVII, tygodnik, wychodzi w Nowym Targu. Pismo jest organem „Związku Podhalań”.
3. „Zakopane”. Rok I, tygodnik, organ „Związku Przyjaciół Zakopanego”.
4. „Kurier Podhalański”. Rok IV, tygodnik, wychodzi w Nowym Sączu, zlikwidował się w 3-im kwartale b. r.
5. „Głos Podhala”. Rok I, tygodnik, wychodzi w Nowym Sączu.
6. „Echo Krynickie”. Rok IV, wychodzi w Krynicy.

„Orawa”. — Z początkiem marca 1929 r. poczęło wychodzić na Podtatrzu (w szerokim znaczeniu tego słowa) nowe pismo, a mianowicie dwutygodnik „Orawa”, wydawany w języku słowackim w Dolnym Kubinie (Orawa słowacka). Pismo to, spełniające po tamtej stronie granicy rolę poniekąd podobną do naszej „Gazety Podhalańskiej”, choć może stojące pod niektórymi względami na poziomie nieco wyższym a w każdym razie mniej popularnym, zajął nas winno z dwóch względów. Pierwszym z nich jest przebijająca w treści pisma przyjaźń do Polski a specjalnie nuta serdecznej łączności kulturalnej, gospodarczej i myślowej z polskiem Podhalem. Drugim motywem są liczne artykuły, odnoszące się do turystyki po Orawie a obejmujące też m. i. kwestje dalszego rozwoju szeregu miejscowości i okolic podtatrzańskich na Orawie, z punktu widzenia turystyki pieszej i samochodowej, racjonalnej polityki uzdrowiskowej i t. d.; szczególnie tu ciekawe są ustępy, powracające co kilka numerów, odnoszące się do konieczności przedsięwzięcia niezbędnych kroków do corychlejszego przystąpienia rozbudowy Orawic pod Osobitą jako naturalnego przedłużenia na zachód zbyt już ciasnego dziś Zakopanego.

Dla dalszej charakterystyki dwutygodnika „Orava“ przytoczyć się godzi obecność w nim artykułów o charakterze naukowym, jak np. w nr. 5 i 9, odnoszących się do etymologii nazw wsi orawskich, (w znacznej mierze odnosi się to do polskiej części Orawy), lub jak w nrze 9 o etnografii Orawy; (artykuł wyraźnie stwierdza polskość ludu góralskiego na czechosłowackiej Górnej Orawie!). Sympatyczne wzmianki o działalności Pol. Tow. Tatr. (np. o nowym schronisku P. T. T. na Piłsku) i kronika bieżąca, wśród której wiele odnosi się do polskiego (jeśli nie politycznie to etnicznie) Podhala, zamknąć mogą pobeżny przegląd tych kilkunastu numerów sympatycznego i zapowiadającego dalszy pomyślny a ciekawy rozwój pisma.

Witold Mileski.

Nieco polemiki. — W V-tym roczniku „Wierchów“ (r. 1927) pomieszczeń był recenzję z „Ilustrowanego Przewodnika po Pieninach i Szczawnicy“, wydanego przez pp. Alhę, Marczaka i Wiktora. W końcu grudnia 1928 r., gdy już rocznik VI-ty był wydrukowany, otrzymałem od p. Alhy (Alfreda Hammerschläga) list zawierający uwagi polemiczne, z prośbą o ich umieszczenie w „Wierchach“. Gdy dopiero dzisiaj, po upływie dwóch lat, mogę na te uwagi odpowiedzieć, niepodobna chyba umieszczać całego tak opóźnionego a obszernego listu in extenso. Ograniczę się do rzeczy zasadniczych. — 1. W „Przewodniku“ twierdził p. A., że czuchy zakopiańskie odznaczają się wyjątkową białością, z powodu szczególnie jasnej wełny tamecznych owiec. Wyraziłem był co do tego powątpiewanie. Oióż p. A. twierdzi, że wyjątkowa białość czuch zakopiańskich jest notoryczną, a co do owiec, to jest jakoby rzeczą uznaną, że pod wpływem paszy nizinnej, średnio lub wysokogórskiej zmieniają się odcienie barwne wełny. Nie wdaję się w ocenę tych twierdzeń; co do pierwszego zwracam się z prośbą do czytelników, aby zechcieli przy sposobności (n. p. na jarmarkach w N. Targu) sprawdzić, czy rzeczywiście czuchy zakopiańskie bielsze są od innych, względnie czy taką szczególną białością odznaczają się czuchy innych jeszcze, i których miejscowości; prócz tego, niezależnie od własnej obserwacji, byłoby pożądanem zbadanie, jaka jest w tym względzie „opinja

publiczna“ góralszczyzny. Jest to fakt etnograficznie interesujący i warto go wysświetlić. Co do drugiego twierdzenia (o wełnie owiec) to podkreślam następujące fakty: oprócz Zakopanego inne jeszcze wsie leżą w tem samym położeniu klimatycznym, — Zakopane nie prowadzi samochowu, ale wymienia owce z innymi wsiami, kupuje je i sprzedaje na jarmarkach, — na halach tatrzańskich pasają się tak dobrze owce z Zakopanego jak i owce z innych wsi, często nawet od Tatr wcale odległych; to chyba dosyć aby powątpiewać o „szczególnej białości zakopiańskich owiec“. — 2. P. A. reklamuje zakwestjonowaną przezemnie nomenklaturę: „owce jasnowłose“; co do mnie słyżałem o jasnowłosych angielkach, ale nie o jasnowłosych psach, świniami i owcach — i przytem obstać. 3. Skoro p. A. znalazł kieszeń w portkach góralskich, to oczywiście temu zaprzeczać nie myślę. Natomiast twierdzą, że „klasyczny“ krój portek, kieszeni takiej nie zna; wiem o tem netylko z autopsyi, ale i z doświadczenia, chadzałem bowiem w takich portkach przez szereg lat. Kieszeń zatem jest albo specjalnością lokalną, a wtedy należało to zaznaczyć, albo produktem nowoczesnego, sceprzenia góralszczyzny; jeden i drugi fakt etnograficznie interesujący, z przedstawienia jednak pana A. nie można powziąć wiadomości jaki tu wypadek zachodzi. — 4. Że „parzenie“ nazywają gdzie indziej „parzelnicami“, o tem nie wiedziałem i za wskazówką p. A. postaram się to sprawdzić, oczywiście wysłuchując samych górali a nie przybyszów między nimi osiadłych Ci bowiem potrafią przez lat 50 pod rząd mówić krypcie zamiast kierpce, kołbuk zamiast kłobuk, a nawet — jak gdzieś niekiedy — kapusz zamiast kapelusza. — 5. Że naturalistyczna szarotka jest nowoczesnym wrętem w tradycyjną ornamentyką góralską, a kolorystycznie na tle serdaka raz, jest to rzeczą dość znaną aby się nad tem rozwodzić: przeciw temu wrętom występował jeszcze Witkiewicz. — 6. Co do wytkniętych przezemnie błędów językowych, to dotyczą one artykułów nie podpisanych — to też w recenzji nie wskazywałem wcale nazwiska winowajcy, zrobiłem tylko zarzut redakcji — a przecież istnienia tych błędów p. A. nie zaprzecza.

J. G. Pawlikowski.

RÓŻNE SPRAWY.

Założenie muzeum w Truskawcu.

W połowie sierpnia b. r. poświęcono i otwarto nową placówkę naukową podkarpacką, mianowicie muzeum przyrodnicze w Truskawcu. Idea założenia takiej instytucji sięga jeszcze

przedwojennych czasów, zrealizował ją jednak dopiero obecny właściciel Truskawca, Rajmund Jarosz, przy czynnym współudziale swego brata dra Jana Jarosza, profesora geologii. Już od dwóch lat rozpoczęto groma-

dzenie zbiorów, tak iż obecnie nabierało się ich tyle, że mogły stać się poważną podwaliną instytucji i przemienić się w istotne muzeum. Na jego czele stoi dr. Jan Jarosz, jako stali pracownicy Zdzisław Stuglik i Jan i Marek Saganowie. Ponadto czasowo pracowali tutaj pp. Premik, Józef Fudakowski i Eugeniusz Panow. Kierownictwo muzeum zamierza co roku angażować specjalistów dla gromadzenia i opracowywania kolekcji. Zbiory znajdują się w budynku muzealnym i zajmują cztery obszerne, wzorowo urządzone sale; oprócz nich jest pracownia i preparatoria. Dla pracowników znajdują się pomieszczenia w sąsiednich willach. Oficjalna nazwa muzeum brzmi „Muzeum Truskawieckie im. Emmy Jaroszewej”. Doniosłe dzieło stanęło wyłącznie sumptem ofiarnego i wysoce kulturalnego właściciela uzdrowiska.

Nie ulega wątpliwości, iż nowa podkarpacka placówka ma wielkie znaczenie dla nauki i zbadania bogatej fauny i flory zagłębia boryslawskiego. Napewno też rozwinię się szybko w poważną naukową stację, tworzącą pendant do Stacji Geologicznej Państw. Instytutu Geologicznego w Boryslawiu. Warto by może pomyśleć w przyszłości o dziale historycznym zagłębia naftowego, przedstawić w wykresach, fotografiach i modelach dzieje wydobywania ropy od początku aż do dzisiejszych dni, rozwój miejscowości, produkcji naftowej, techniczną stronę wierceń i t. d. i t. d. Właściciele tamtejszych przedsiębiorstw naftarskich powinni wziąć na siebie znakomite wyposażenie takiego muzeum w ekspozyaty i przyczynić się do dzieła p. Jarosza.

Zapewne w przyszłości i dział etnograficzny znajdzie uwzględnienie. Musiałby on w znacznej mierze zająć się życiem naftowego górnika, legendami, strojem, obrzędami

i t. d. Może w okolicy uda się jeszcze wyłowić te i owe zabytki wiejskiego życia. A w takim razie, oprócz etnograficznych właściwości regionu, wartoby pokusić się o rzut oka na zmianę życia okolicznej ludności pod wpływem wielkiego przemysłu naftowego.

To, czego dokonano w tak krótkim czasie i tak wzorowo, jest dziełem znacznym i rokuje najlepsze nadzieje na przyszłość. Z.

Czterdziestolecie śmierci Chałubińskiego — (ur. 1820, zm. 1889), przypada w roku bieżącym. Przypomina o tem Zygmunt Wasilewski w „Lwowskim Kurjerze Porannym” (Nr. 521 z 29 października), drukując przy tem mowę Jana Kasprowicza, wygłoszoną przy odstonięciu pomnika Chałubińskiego w Zakopanem w r. 1903. Piękna ta mowa nie była dotąd ogłoszoną pośród pism Kasprowicza.

P. Stefan Jarosz — znany propagator piękności Tatr, który wyjechał był przed trzema laty z ramienia P. T. T. i Związku Podhalan w podróż propagandową do Ameryki, powrócił teraz do kraju, mogąc się poszczycić bardzo dodatnimi rezultatami swej pracy. Urządził on w 108 miejscowościach 363 „Wieczornic góralskich“, wypełnionych wykładami i opowiadaniem wygłaszanem w stroju góralskim, urozmaiconemi przeżyciami i nawet muzyką i tańcami góralskimi, wykonanemi przez Podhalan w Ameryce zamieszkałych. W samem Chicago występował — zwłaszcza w czasie wystawy turystycznej w r. 1927 — 76 razy. Zorganizował też amerykańskie Towarzystwo Tatrzzańskie, posiadające kilkanaście kół. Należy się spodziewać, że o rezultatach swej podróży opowie bliższe a niewątpliwie bardzo interesujące szczegóły w wykładach i publikacjach.

OD REDAKCJI.

W sprawach redakcyjnych należy zwracać się pod adresem: Dr. Jan Gw. Pawlikowski, Lwów, ul. Trzeciego Maja 5, od 15 lipca do 1 października zaś: Zakopane, Bystre, na Kozińcu.

Zastępstwo w Krakowie: Dr. Walery Goetel, ul. Szlak 4.

Sprawy administracyjne załatwia Biuro Polskiego Tow. Tatrzńskiego, Kraków, ul. A. Potockiego 4.

* * *

Uprasza się o jak najwcześniejsze zgłaszanie artykułów. — Nadsyłać należy artykuły do Redakcji od kwietnia do końca czerwca, gdyż druk rozpoczyna się w kwietniu. Pisma przeznaczone do kroniki przesyłać można do 15 września. Na rękopisach należy zostawiać marginesy wolne. Pismo winno być czytelne, słowa obce, nazwy, wyrażenia techniczne wykalgrowane.

SPRAWOZDANIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO z działalności za czas od 1 marca 1928 do 28 lutego 1929 roku.

KRONIKA ŻALOBNA.

W roku ubiegłym poniosło Towarzystwo ogromną stratę. W dniu 1 sierpnia zmarł w Jaworzu, na Śląsku b. prezes Towarzystwa i jego członek honorowy prof. geologii Uniw. Jagiellońskiego w Krakowie dr. Władysław Szajnocha.

Jako Prezes w czasie od 1912 do 1922 r. przeprowadził gruntowną reorganizację administracji Towarzystwa, za jego prezesury i z jego inicjatywy wybudowane zostało nowe schronisko nad Morskim Okiem, a Towarzystwo rozwijało się w szybkim tempie, które przerwała wojna.

Z powodu przecięcia pracą zawodową zgłosił rezygnację w r. 1922 i nie przyjął godności prezesa na dalszy okres, mimo to jednak nie przestał zajmować się sprawami Towarzystwa i na każde ze strony Zarządu wyrażone życzenie spieszył z radą i pomocą.

To też śmierć ś. p. prof. Szajnochy odczuwa boleśnie całe Towarzystwo.

W ostatnim roczniku „Wierchów“ znajduje się obszernie wspomnienie poświęcone Zmarłemu.

Cześć Jego pamięci!

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE I ADMINISTRACYJNE.

Na podstawie wyborów na Zjeździe Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem dnia 22 kwietnia 1928 r. ukonstytuował się Zarząd Główny P. T. T. w następującym składzie:

Prezes: inż. Jan Czerwiński, Wiceprezesa: Stanisław Osiecki, prof. dr. Walery Goetel, dr. Wacław Majewski, Sekretarz: dr. Emil Stofła, Zastępca sekretarza: prof. Franciszek Sykutowski, Skarbnik: Stefan Porębski, Zastępca skarbnika: dyr. Józef Dorawski, Członkowie: inż. Adam Konopczyński, dr. Adam Lardemer, inż. Mieczysław Mączyński, prof. Kazimierz Sosnowski, dr. Jan Nowicki, Tadeusz Bukowiecki, ks. Walenty Gadowski, prof. Józef Braszka, inż. Karol Stryjeński, dr. Roman Kordys, dr. Tadeusz Smoluchowski, ks. Jan Humpola, Edmund Kaźmierczak, mjr. Bronisław Romani-szyn, dr. Mieczysław Orłowicz, dr. Emil Stofła, dyr. Jan Galicz, Zastępcy: Stefan Porębski, inż. Stanisław Krawczyk, Jan Kazimierz Dorawski, dr. Marjan Sokołowski, Stanisław Zaremba, prof. Feliks Rapi, dr. Henryk Szatkowski, Delegaci Sekcyj: Henryk Szatkowski, im. Sekcji Narciarskiej: dr. Marjan Sokołowski, im. Sekcji Tury-stycznej: prof. Stanisław Sokołowski, im. Sekcji Ochrony Tatr. Członkowie Komisji Rewizyjnej: Władysław Skórczewski, dr. Faustyn Jakubowski, Jan Fischer.

Wobec coraz liczniejszych spraw P. T. T. prawnej natury uchwalił Zarząd Główny w roku ubiegłym zamianować p. dr. Krygowskiego długoletniego swego członka syndykiem P. T. T.

W łonie Zarządu Głównego utworzono referat filmowy i powierzono go p. Buko-wickiemu.

Od szeregu lat notujemy z roku na rok potęgający się rozwój Towarzystwa. Wpraw-dzie liczba 22 Oddziałów nie zwiększyła się, jednak rozrost liczebny poszczególnych Od-działów jest bardzo znaczny. Ogólna liczba członków Towarzystwa wynosi 11.558. W rzeczywistości jednak liczba członków jest znacznie wyższa, gdyż Oddziały podały

tylko ilość tych swoich członków, którzy wkładkę za 1928 rok zapłacili, a wiadomą jest rzeczą, że wielu członków wpłaca wkładkę nieregularnie i często z wielkim opóźnieniem. To też należy przyjąć, że ogólna liczba członków P. T. T. wynosi przeszło 12.000 osób. W szczególności liczba członków poszczególnych Oddziałów była następująca:

Kraków 1.415, Cieszyń 1.850, Jarosław 42, Bochnia 37, Katowice 1.666, Kielce 40, Kołomyja 60, Lwów 305, Łódź 75, Nowy Targ 35, Nowy Sącz 259, Poznań 220, Stanisławów 210, Szczawnica 100, Tarnów 283, Warszawa 1.205, Wilno 66, Zakopane 363, Żywiec 3.052, Rabka 30, Radom 45, O. Akad. w Warszawie (brak danych).

Rozrost Towarzystwa uwidacznia się również w rozwoju kół i sekcji Oddziałowych. Zasadniczych zmian organizacyjnych nie dokonano żadnych.

Wysokość wkładki członkowskiej w roku 1928 wynosiła jak w latach poprzednich 6 Zł. dla Zarządu Głównego z 50% zniżką w postaci subwencji dla Oddziałów liczących poniżej 200 członków, a pracujących czynnie w Beskidach.

Nowi członkowie opłacali nadto jednorazowo 2 Zł. za blankiet na legitymację konwencyjną i 5 Zł. na inwestycje w połowie dla Zarządu Głównego i Oddziału. Wkładki na rzecz poszczególnych Oddziałów nie były jednakowe.

Ostatni Zjazd Delegatów w Zakopanem w dniu 22 kwietnia 1928 r. odbył się przy licznym udziale zastępców Oddziałów i Sekcji.

Zjazd zaszczytliwi nadto swą obecnością reprezentanci miejscowego społeczeństwa jak burmistrz dr. Stefan Góra, ks. proboszcz Tobolak, dyr. Mochnacki, dr. Diehl, A. Sobczak i inni.

Po powitaniu Zjazdu przez Prezesa J. Domaniewskiego imieniem Oddziału Zakopiańskiego jako gospodarza, zagał Zjazd Prezes Czerwiński imieniem Zarządu Głównego, witając gości i zaznaczając, że ich obecność jest dowodem ogólnego uznania i doceniania prac Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego na gruncie Zakopanego i Tatr.

Po serdecznych przemówieniach ks. proboszcza Tobolaka, dr. Góry, imieniem gminy Zakopane, dr. Marjana Sokołowskiego imieniem Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Stanisława Zaremby imieniem Sekcji Tatarnickiej A. Z. S. uczcili obecni przez powstanie pamięć ś. p. zmarłych zasłużonych członków P. T. T. Mieczysława Białkowskiego i Henryka Hoffbauera. Porządek dzienny obrad był następujący: 1) otwarcie Zjazdu, 2) odczytanie protokołu ostatniego Zjazdu, 3) sprawozdanie Prezydium, 4) sprawozdanie Komisji dla robót w górach i program prac na rok 1928, 5) udzielenie absolutorjum ustępującemu Zarządowi, 6) wybory, 7) zatwierdzenie preliminarza budżetowego na rok 1928, 8) wnioski.

Z powyższych spraw zasługują na wzmiankę sprawozdanie z działalności Komisji dla robót w górach oraz liczne wnioski i rezolucje uchwalone przez Zjazd, o czym będzie mowa niżej przy poszczególnych działach sprawozdania.

Obrady były bardzo ożywione.

Tutaj należy wymienić następujące uchwały:

1) Zjazd Delegatów w uznaniu wielkich zasług dla rozwoju turystyki w Beskidzie Wschodnim ś. p. Henryka Hoffbauera, długoletniego Prezesa Oddziału Czarnohorskiego i członka honorowego Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego, uchwała, aby wmurować tablicę pamiątkową w kościele parafjalnym w Worochcie i powierza Zarządowi Głównemu wykonanie tej uchwały.

2) Zjazd Delegatów uchwała wmurować w kościele parafjalnym w Zakopanem tablicę pamiątkową ku czci ś. p. Leopolda Swierza wielkiego patrioty, znawcy i miłośnika Tatr, oraz długoletniego zasłużonego sekretarza Polskiego Tow. Tatrzańkiego i powierza przeprowadzenie tej uchwały Zarządowi Głównemu.

3) Zjazd Delegatów wzywa wszystkie Oddziały do przedłożenia Zarządowi Głównemu najdalej w terminie trzech miesięcznym opisu statutu Oddziału z podaniem daty i liczby zatwierdzenia przez władzę administracyjną, pod rygorem zastosowania § 20 statutu lit. d.

4) Zjazd Delegatów zwraca się do Sekcji Ochrony Tatr o przeistoczenie się na Sekcję Ochrony przyrody górskiej z objęciem w swój zakres działania wszystkich gór polskich oraz o opracowanie statutu i wyjednanie zatwierdzenia przez Zarząd Główny i władzę administracyjną.

5) Zjazd Delegatów powierza Zarządowi Głównemu zbadanie potrzeby powołania na nowo do życia Sekcji Przyrodniczej.

6) Z uwagi na to, że korzystanie Oddziału Krakowskiego z lokalu Zarządu Głównego w porównaniu z Zarządem Głównym jest stosunkowo nieznaczne oraz wydatki administracyjne Oddziału Krakowskiego również są niewielkie, w porównaniu z wydatkami administracyjnymi Zarządu Głównego, Zjazd Delegatów obniża udział Oddziału Krakowskiego w wydatkach za lokal na 25^{0/0}.

7) Zjazd Delegatów poleca Zarządowi Głównemu zorganizowanie działu finansowego Towarzystwa na nowych zasadach, odpowiadających rozrostowi Zarządu Głównego i Oddziałów.

Oraz następującą rezolucję:

Zjazd Delegatów wyraża uznanie i serdeczne podziękowanie Prezesowi P. T. T. za nieustrudzoną pracę we wszystkich kierunkach działalności P. T. T., prof. dr. Janowi Gwałbertowi Pawlikowskiemu za trudy poniesione przy redagowaniu „Wierchów“, a Komitetowi redakcyjnemu za współpracę oraz prof. dr. Waleremu Goetlowi, Kazimierzowi Sosnowskiemu i Stanisławowi Fächerowi za trudy przy redagowaniu „Przeglądu Turystycznego“ i dr. Mieczysławowi Orłowiczowi za prace w związku ze Zjazdami Polskich Towarzystw Turystycznych, wreszcie podziękowanie dr. Emilowi Stoffie za prace sekretarskie i Stefanowi Porębskiemu za jego prace skarbnika Zarządu Głównego P. T. T.

Po ukończeniu posiedzenia Oddział Zakopiański ugościł uczestników Zjazdu śniadaniem wśród serdecznego nastroju, przyczem przemówienia wygłosili: Prezes Czerwiński, Wiceprezes Goetel, Prezes Oddziału Zakopiańskiego Janusz Domaniewski i inni.

II. KOMISJE MIĘDZYODDZIAŁOWE.

Instytucja Komisji międzyoddziałowych, nieprzewidziana w statucie, okazała się bardzo żywotną i pożyteczną, ułatwiając uzgodnienie pracy sąsiadujących Oddziałów i odciążając pracę Zarządu Głównego przez podawanie mu dokładnie przedyskutowanych i opracowanych wniosków.

W dniu 25 marca 1928 odbyło się posiedzenie Międzyoddziałowej Komisji Zachodnio-Beskidzkiej w Rabce pod przewodnictwem prof. Sosnowskiego, na którym ustalono granice działalności dla Oddziału w Rabce od Chabówki linią kolejową do przełęczy Sieniawskiej, stąd głównym grzbietem Gorców przez Obidową i Obidowiec na Turbacz przez szczyt Kudłońa do przełęczy Przystop, dalej potokiem Stradomka do Lubnia i gościńcem przez Krzczów do Chabówki.

Oddział w Bochni otrzymał teren biegnący od Bochni wzdłuż Raby do potoku Stradomka następnie ku południowi między Snieżnicą a Lubogaszczem do Kasiny Wielkiej, dalej linią kolejową do Mszany Dolnej, potokiem Mszanka do Przystopia, dalej biegiem potoku Rzeki do Kamienicy, wreszcie gościńcem przez Tymbark i Tymową do Brzeska.

Następnie delegaci Oddziałów w Nowym Sączu i Tarnowie złożyli sprawozdanie z wyznaczenia głównego szlaku od przełęczy Knurowskiej do Krynicy, wybrano Komisję dla budowy schroniska na Prehybie oraz uznano za rzecz konieczną wybudowanie schroniska w Pieninach z tem, że do wykonania tego dzieła najodpowiedniejszy jest Oddział Krakowski przy pomocy całego P. T. T.

Dalej omawiano potrzebę uregulowania przewozu turystów Dunajcem i budowy przystani dla łódek w Sromowcach Niżnich oraz zniesienia niektórych ścieżek w Pieninach.

Wreszcie uchwalono program znakowania ścieżek na Luboń i Dobczyc do Kasiny Wielkiej, z Mszany Dolnej na Turbacz i z Poremby Wielkiej na Turbacz, dla Oddziału w Bochni ścieżki z Dobrej na Mogielnicę, Snieżnicę, Cwilin i Łopień, z Tymbarku przez Łopień na Mogielnicę i z Jasienia przez Kudłoń na Turbacz.

W dniu 29 lipca odbyło się posiedzenie Komisji Międzyoddziałowej Zachodnio-Beskidzkiej w Szczawnicy Niżnej, na którym uchwalono znieść nowe dojście do szlaku na Czertezik, znaki od mostu Szczawnickiego do altany Sienkiewicza przez dolinę Kras i kilka innych. Następnie omawiano szeroko sprawę budowy nowego schroniska w Pieninach i na Prehybie oraz przebudowy altany Sienkiewicza.

Dalej uchwalono zwrócić się do Państwowej Komisji Ochrony Przyrody, do Starostwa w Nowym Targu i do Komisji Zdrojowej w Szczawnicy o zamknięcie dla ruchu autobusowego drogi Pienińskiej i polewanie jej w dni bezdeszczowe, gdyż chmury pyłu i hałasy na tej drodze są tam niedozniesienia.

Ze sprawozdań delegatów poszczególnych Oddziałów okazuje się, że cały szlak główny z Rabki do Krynicy został już wyznakowany.

W dniu 5 sierpnia 1928 odbyła się w pustelni Pienińskiej Komisja Międzyoddziałowa w sprawie wyboru miejsca pod schronisko, która uchwaliła, że na ten cel najwięcej nadaje się t. zw. Szopka, przełęcz na ścieżce z Krościenka do Sromowiec Niżnich, gdyż tędy na skrzyżowaniu 8 ścieżek przechodzi główny szlak Pieniński, widok jest rozległy, znajdują się tam źródła i budynek nie zeszpeci krajobrazu, Komisja zakwalifikowała na Szopce 3 miejsca. Ostateczna decyzja w tej sprawie jeszcze nie nastąpiła.

W dniu 20 sierpnia odbyło się na szczycie Prehyby nad Rytrem zebranie Komisji Międzyoddziałowej Zachodnio-Beskidzkiej, celem wybrania miejsca pod budowę schroniska. Za najodpowiedniejsze uznano miejsce na hali Prehyby na gruntach gminy Szlachtowa na linii głównego szlaku beskidzkiego, na drugim miejscu postawiono polaną Konieczną, na trzecim miejscu plac tuż za halą Prehyby w młodym lasku hr. Stadnickiego. Decyzja w powyższej sprawie jeszcze nie zapadła.

W dniu 28 października z. r. odbyła się w Krakowie Komisja Międzyoddziałowa Zachodnio-Beskidzka pod przewodnictwem prof. W. Goetla, w sprawie porozumienia z Beskidenvereinem co do uzgodnienia działalności turystycznej.

Nie osiągnięto zgodnego poglądu na całokształt tej sprawy, wobec czego zachodzi potrzeba dalszego omawiania tej sprawy na następnej Komisji Międzyoddziałowej.

W dniu 16 listopada z. r. odbyła się we Lwowie Komisja Międzyoddziałowa Wschodnio-Beskidzka z następującym przebiegiem:

W komisji wzięli udział, pod przewodnictwem wiceprezesa Zarządu Głównego prof. W. Goetla, delegaci Oddziałów we Lwowie, Kołomyji i Stanisławowie, omawiając wszystkie sprawy dotyczące tych oddziałów, a więc przedewszystkiem sprawy budowy schronisk i znakowania ścieżek. Oddział Lwowski schronisko na Jalu ma wykończone, jest tylko kwestja urządzenia wewnętrznego. Na ten cel oraz na zaadaptowanie domków na grani Sywuli Oddział Lwowski ma około Zł. 4.000.—, tak, że prace te wykona o własnych siłach. Konieczne do pokonania są trudności z zarządem tego schroniska, gdyż leśniczy nie wywalał się ze swych zobowiązań. Co do Oddziału w Stanisławowie to ma on Zł. 12.000 długu, z tego 6.000 Zł. długu krótkoterminowego. Oddział wykończa schronisko i zakupuje urządzenie wewnętrzne. Oddział Kołomyjski ma również 12.000 długu, z tego 4.000 Zł. długu krótkoterminowego.

Celem umożliwienia sobie spłacenia długów Oddział Kołomyjski wynajmuje schronisko (Dworek Czarnohorski nowy) w zimie kursom narciarskim, prowadzonym przez P. U. W. F., w lecie zaś letnikom. Stary Dworek w Worochcie został zaadaptowany kosztem Zł. 3.000.

Co do sprawy znakowania ścieżek, stwierdzono, że szlak główny Wschodnio-Beskidzki wymaga rewizji w niektórych punktach, tak w Gorganach jak w Czarnohorze. Po zatwierdzeniu definitywnym trasy szlaku głównego, przystąpią Oddziały do jego wyznakowania po poprzednim ustaleniu, które odcinki wykonane być mają w roku 1930. Oddział Kołomyjski wyznakował 2 szlaki poboczne, łącznej długości 300 km.

Następnie zgodzono się na wniosek prof. Goetla, celem sanowania finansów, aby w r. 1929 nie podejmować większych prac budowlanych. Wyłoniła się jedynie dość pilna sprawa adaptacji leśniczówki pod Doboszanką na schronisko, którą to sprawą zająć się ma nowopowstałe a żywotne Koło Doliniańskie.

Omawiane też były sprawy rozdziału terenu działalności oraz sprawy kompetencji Oddziału Lwowskiego i Stanisławowskiego z wynikiem pomyślnym. W sprawach tych został zastrzeżony arbitraż Zarządu Głównego i został ułożony regulamin postępowania.

Następnie szczegółowo była omawiana sprawa Parku Narodowego w Czarnohorze.

Ministerstwo Rolnictwa na wniosek Państwowej Rady Ochrony Przyrody zdecydowało się na ustanowienie w partii Howerli rezerwatu i przeznaczyło na ten cel 900 ha lasów i połonin przylegających do granicy czeskosłowackiej. Wprawdzie obszar 900 ha nie rozwiązuje jeszcze sprawy Parku Narodowego w Czarnohorze, w każdym razie jest to duży krok naprzód. Szczyt Howerli i grunta okalające schronisko na Zaroślaku są w rękach prywatnych, ale istnieje możliwość zakupu tych gruntów, oraz terenów od Szpyci ku Dancerzowi. W sprawie tej przewidziana jest konferencja we Lwowie w Dy-

rekcji Lasów państwowych przy współudziale przedstawicieli Tow. Rolniczego i Oddziałów P. T. T. Lwowskiego, Stanisławowskiego i Kołomyjskiego, oraz ogledziny lokalne terenu na wiosnę 1929. Departament leśny Ministerstwa Rolnictwa odnosi się bardzo życzliwie do całej tej sprawy, co jest okolicznością niezwykle pomyślną. Nasze schronisko będzie u wejścia do tego Parku na terenie, na którym znajdowałyby się tylko stacja doświadczalna na Pożyżewskiej

Wreszcie Komisja Międzyoddziałowa uznała projekt ankiety w sprawie rozwoju letnisk w dolinie Prutu za niedojrzały.

W dniu 29. grudnia 1928 odbyło się w Krynicy pod przewodnictwem prof. Sosnowskiego posiedzenie Komisji Międzyoddziałowej Zachodnio-Beskidzkiej II. przy współudziale reprezentantów Zarządu Głównego, Oddziałów P. T. T. w Tarnowie, Szczawnicy, Nowym Sączu, Poznaniu i Koła Krynickiego oraz Komisji Zdrojowej, gminy Krynica, Urzędu Wychowania Fizycznego i Polskiego Związku Narciarskiego. Ustalono zasady budowy nowego schroniska na Jaworzynie, uchwalając nazwą ten szczyt Jaworzyną Krynicką dla odróżnienia od innych szczytów tej samej nazwy w Beskidach. Zebrani stwierdzili wielkie znaczenie dla turystyki i narciarstwa budowy schronisk na Jaworzynie, w Pieninach i na Prehybie, wobec czego czynniki rządowe, samorządowe i społeczne winny użyzyć temu przedsięwzięciu finansowego poparcia.

Pułk. Ulrych, Dyrektor Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego oświadczył się również imieniem Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego za budowę powyższych schronisk i przyrzekł udzielić zapomogi zł. 20.000 na budowę schroniska Krynickiego i po 2.500 zł. na schronisko w Pieninach i na Prehybie, zaznaczając, że w następnym roku te ostatnie schroniska będą mogły otrzymać wydatniejszą pomoc. Udzielenie subwencji przyrzekła również Komisja Zdrojowa i Zarząd gminy Krynica.

Zwrócono się nadto z prośbą do Oddziału Poznańskiego P. T. T. o współpracę przy budowie schroniska na Jaworzynie i do Oddziału Łódzkiego P. T. T. o współpracę przy budowie schroniska na Prehybie.

Co do budowy schroniska w Pieninach nie powzięto ostatecznej decyzji w sprawie miejsca, gdyż z powodu nabycia przez Rząd części Pienin i zamiaru utworzenia tam nadleśnictwa należy rozważyć, czy nie możnaby wybudować schroniska łącznie z nadleśnictwem.

Wreszcie omawiano sprawę uregulowania ruchu kołowego, samochodowego i łódkarstwa w Pieninach, oświadczając się stanowczo przeciw uruchomieniu łodzi motorowych.

W dniu 16. lutego 1929 odbyło się w Krakowie posiedzenie Komisji Międzyoddziałowej Zachodnio-Beskidzkiej I. pod przewodnictwem prof. W. Goetla.

Głównym przedmiotem obrad było załatwienie sporu między Kołem Oddziału Żywieckiego w Białej a Kołem Oddziału Cieszyńskiego w Bielsku co do przyjmowania przez Koło w Białej członków z terenu śląskiego.

Po obszernej dyskusji uchwalono następujące wnioski na Zarząd Główny:

1) Wobec trudności, które wyłoniły się przy przyjmowaniu członków na terenie pogranicznym województw krakowskiego i śląskiego, uchwała się uregulować przyjmowanie członków na tym obszarze w następujący sposób:

a) Koło w Białej przyjmuje członków zamieszkałych wyłącznie w Białej i powiecie bielskim, Koło w Bielsku członków zamieszkałych wyłącznie w Bielsku i powiecie bielskim, Oddział w Cieszynie członków zamieszkałych w Cieszynie i powiecie cieszyńskim, Oddział w Katowicach członków zamieszkałych w powiatach pszczyńskim, katowickim, rybnickim, świętochowskim, tarnogórskim i lublinieckim, oraz miastach Katowice i Królewska Huta.

b) Koło Oddziału Górnośląskiego w Dąbrowie Górniczej przekształca się na osobny Oddział Towarzystwa.

Powyższy sposób przyjmowania członków odnosi się tylko do przyjmowania członków po dniu niniejszej uchwały i jest zarządzeniem tymczasowym do odwołania w miarę zmiany stosunków przez uchwałę Zarządu Głównego i wobec tego nie wymaga zmiany statutu.

2) W związku z koniecznością zachowania jednolitego frontu Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego na zewnątrz w sprawach związanych z konwencją turystyczną, uchwała się, że wszystkie oddziały i koła Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

w jakichkolwiek sprawach związanych z konwencją turystyczną nie mogą czynić żadnego kroku na zewnątrz a przedewszystkiem wysyłać jakichkolwiek pism w tej sprawie bez uzgodnienia na Zarządzie Głównym.

Wnioski powyższe zostały przyjęte następnego dnia przez Zarząd Główny, przy czem uchwalono wyrazić Wydziałowi Koła w Białej, a w szczególności pp.: prof. Mercie i Braszce głębokie uznanie za ich tak skuteczną i ideową pracę, dzięki której Koło w Białej rozwinęło się nadzwyczaj pomyślnie, a całe P. T. T. umocniło swe stanowisko na trudnym terenie kresowym.

Następnie uchwalono program robót w górach na rok bieżący a mianowicie:

a) dla Oddziału w Katowicach:

- 1) ustawienie kilkunastu tablic orjentacyjnych w okolicy Ustronia i Szczyrku,
- 2) wyznakowanie szlaku z Równicy na Baranią przez Kamienny,
- 3) zainstalowanie wodociągu w schronisku na Baraniej Górze i na Równicy,
- 4) rozbudowa schroniska na Baraniej Górze i zwiększenie jego pojemności z 40 na 80 łózek,

5) urządzenie uroczystego poświęcenia schroniska na Równicy, które projektowane jest na dzień 2 czerwca b. r.

b) dla Oddziału w Cieszynie:

- 1) zaadaptowanie schroniska na zimę i zainstalowanie oświetlenia elektrycznego,
- 2) wyznakowanie szlaku Cieszyn—Czantorja—Stożek—Kubalonka, oraz sieci ścieżek w partji Czantorji,

3) prace przygotowawcze do budowy schroniska na Kamiennym,

c) dla Oddziału w Żywcu:

- 1) konserwacja dróg i ścieżek,
- 2) dokończenie budowy schroniska pod Pilskiem i wewnętrzne urządzenie,
- 3) uroczyste poświęcenie schroniska pod Pilskiem,
- 4) adaptacja stacji turystycznej na Żarze nad Porąbką.

III. SPRAWY TURYSTYCZNE.

Najistotniejszym zadaniem Towarzystwa jest ułatwianie, popieranie i propagowanie turystyki górskiej. Wszystkie zamierzenia P. T. T. zdążają do tego pośrednio lub bezpośrednio. Najważniejszymi są prace nad budową i znakowaniem ścieżek górskich, nad budową i konserwacją schronisk i nad stwarzaniem ułatwień komunikacyjnych.

Przeważną część powyższych prac wykonują od chwili reorganizacji P. T. T. jego oddziały, o czem częściowo była mowa wyżej w ustępie II-gim i jeszcze będzie mowa w osobnem sprawozdaniu z działalności oddziałów.

Tutaj należy jedynie zaznaczyć, że działalność oddziałów, a nawet poszczególnych kół na tem polu jest nader żywa i dzięki temu przedewszystkiem obecny okres jest dla Towarzystwa okresem wyjątkowego rozwoju, okresem pracy dla następnych pokoleń, który w dziejach Towarzystwa niezawodnie będzie chlubnie zapisany. Wielka to zasługa odnośnych Oddziałów w Katowicach, Cieszynie, Żywcu, Nowym Targu, Zakopanem, Nowym Sączu, Tarnowie, Lwowie, Stanisławowie, Kołomyji, Krakowie i Warszawie, przedewszystkiem zaś wybitnych jednostek, pracujących w tych oddziałach, których rozmyślnie się nie wymienia, aby przez przeoczenie kogoś nie opuścić. Wszystkim tym pracownikom ideowym należy się szczerą i serdeczną wdzięczność za ich pełną poświęcenie pracę.

Niestety fundusze Towarzystwa nie pozwalają na dostateczne finansowanie potrzebnych urządzeń turystycznych. W 1928 r. wyniosły subwencje z kasy Zarządu Głównego dla Oddziałów na roboty i budowy w górach łącznie z opustem części wkładki 25.666 50 Zł.

W roku ubiegłym podobnie jak poprzednio przysługiwała członkom P. T. T. 50% zniżka cen za noclegi w schroniskach P. T. T., żonom zaś członków zniżka 25% z prawem pierwszeństwa przy zajmowaniu noclegów przed nieczłonkami. Na mocy układu z Klubem Czeskosłowackich Turystów przysługują członkom P. T. T. te same ulgi w schroniskach K. C. S. T. po stronie czeskosłowackiej, jakie mają członkowie powyższego Klubu.

Wycieczkom szkolnym przyznawano zniżki, przysługujące członkom P. T. T. w zbiorowych ubikacjach schronisk.

Również przyznano zniżki 33% w cenach noclegów w sezonie zimowym dla członków Polskiego Związku Narciarskiego, a to celem ułatwienia rozwoju narciarstwa.

Co do budowy i znakowania szlaków górskich powołujemy się na wyżej omawiane sprawozdania z posiedzeń Komisji Międzyoddziałowych i na osobne sprawozdanie z działalności oddziałów.

Roboty górskie w Tatrach przeprowadzał wyłącznie Zarząd Główny, w szczególności wykonał szereg adaptacji w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem i w schronisku w Roztoce, wyznaczył wszystkie szlaki z wyjątkiem grupy Czerwonych Wierchów i wykonał gruntowny remont Orlej Perci, Swinnicy po Krzyżne z wymianą i naprawą lin, haków i drabin żelaznych.

Ruch turystyczny w roku ubiegłym był dosyć ożywiony, ciągle jednak nie odpowiada on jeszcze rozmiarom i liczbie ludności państwa polskiego. Jest to dowodem przedewszystkiem braku zamożności ludności miejskiej, z której rekrutuje się główny kontyngent turystów. Obok tego jednak władze państwowe naogół nie doceniają jeszcze dostatecznie znaczenia turystyki dla państwa i społeczeństwa. Ujawnia się to zwłaszcza w polityce komunikacyjnej i taryfowej. Mimo ustawicznych zabiegów P. T. T. i innych towarzystw turystycznych a zwłaszcza Związku Pol. Tow. Turystycznych Ministerstwo Komunikacji nie dało się dotychczas skłonić do przyznania wydatniejszych zniżek członkom towarzystw turystycznych i nie dało się przekonać, że straty Skarbu Państwa z tego powodu byłyby tylko pozorne, gdyż zwiększony przepływ turystów w rezultacie musi przynieść Skarbowi Państwa zyski, jakkolwiek one mogą się kryć częściowo w rozmaitych przychodach z opłat i podatków. W roku ubiegłym zarówno poszczególne oddziały jak Zarząd Główny przedłożyły władzom centralnym wnioski tak co do udogodnienia połączeń kolejowych, jak też co do ulg taryfowych.

O ile nam wiadomo, akcja ta odniesie wreszcie może w bieżącym roku jakiś skutek, gdyż Ministerstwo komunikacji przygotowuje podobno pewne wnioski co do zniżek kolejowych dla turystów w większej mierze niż dotychczas.

Od dłuższego czasu okazuje się nagle potrzebą rozbudowy Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem. Sprawę tę omawiał Zarząd Główny i uchwalił zażądać od architektki Meyera w Zakopanem na razie ogólnego projektu przebudowy w kierunku jego rozszerzenia i adaptacji na sezon zimowy i podania przybliżonego kosztorysu, a to celem zorientowania się co do rozmiarów przebudowy Dworca lub ewentualnie budowy osobnego budynku.

Zarazem wybrano dla tej sprawy Komisję budowlaną, do której zaproszono pp.: inż. Czerwińskiego, inż. Krawczyka, prof. Goetla, mjr. Romaniszyna, dr. Nowickiego, dr. Stolfę i T. Bukowieckiego z prawem kooptacji.

Zarząd Główny uchwalił dalej zmienić w Tatrach tablice orjentacyjne i ulepszyć ścieżkę do Pięciu Stawów celem dowozu opału i środków żywności koniem, następnie uchwalił Zarząd Główny P. T. T. uczcić dziesięciolecie niepodległości Polski przez wzniesienie w możliwie najbliższym czasie obszernego i europejskiego schroniska z odpowiednim dojazdem i możliwie na własnym gruncie w Pieninach, którego budowa w tak ważnym i wspaniałym punkcie turystycznym jest palącą potrzebą. Zarząd Główny sprawę tę oddaje w ręce Oddziału Krakowskiego wyrażając nadzieję, że Zarząd tegoż wstawi w budżet tegoroczny na ten cel wydatną kwotę, zarazem celem zainteresowania nią całego Towarzystwa postawi Zarząd Główny odpowiedni wniosek najbliższemu Zjazdowi Delegatów i wstawi w swój budżet tegoroczny odpowiednią kwotę na cele budowy schroniska w Pieninach.

Starania Towarzystwa o otwarcie stacji straży celnej w Niedzicy i Piwnicznej odniosły skutek co do Niedzicy, natomiast odmówiono umieszczenia posterunku celnego w Piwnicznej z powodu rzekomego małego ruchu na tym odcinku. P. T. T. zwróciło się również do Fundacji Kórnickiej o przyspieszenie budowy schroniska w dolinie Kościeliskiej z tem, że, o ileby Fundacja nie miała zamiaru schroniska tego wybudować, to budowę tę podejmie P. T. T.

Konwencja turystyczna z Czechosłowacją i układ z Klubem czechosłowackich Turystów działa nadal ożywczo na ruch turystyczny. Wielką troską Zarządu Głównego i oddziałów jest, aby uniknąć przyjmowania na członków osób nieodpowiednich. Ostrożność w tym kierunku była stosowana we wszystkich oddziałach. Nie mniej jednak Za-

rząd Główny uważa za swój obowiązek jaknajczęściej przypominać konieczność zachowania ciągle jak najdalej idącej ostrożności i kontroli w tej sprawie.

W sprawach turystycznych powziął zeszłoroczny Zjazd Delegatów następujące uchwały:

1) Zjazd Delegatów, powołując się na Polski Związek Narciarski, uważa za rzecz konieczną dla rozwoju turystyki przyznanie członkom towarzystw turystycznych indywidualnych zniżek kolejowych dla wyjazdu do uczęszczanych stacyj turystycznych, narazie zaś przynajmniej dla wycieczek złożonych już z 4 osób, nadto zaprowadzenie trzydniowych zniżkowych, indywidualnych biletów powrotnych do miejscowości turystycznych za okazaniem legitymacji towarzystw turystycznych.

2) Zjazd Delegatów wyraża uznanie dla oddziałów pracujących w górach, przede wszystkim zaś Oddziałem we Lwowie, Stanisławowie, Kołomyży, Nowym Sączu, Tarnowie, Zakopanem, Żywcu, Cieszynie i Katowicach za wykonane prace nad budową schronisk i znaczeniem dróg.

3) Z uwagi na konieczność dalszej rozbudowy schronisk, przyspieszenia innych robót w górach, zwłaszcza w Beskidzie Wschodnim, oraz z uwagi na słaby stan finansowy odnośnych miejscowych Oddziałów, Zjazd Delegatów wzywa silniejsze oddziały niez zaangażowane w pracy w górach, a w szczególności Oddziały Poznański i Łódzki, do możliwie wydatnego finansowego poparcia wspomnianych Oddziałów Beskidowych jeszcze w sezonie letnim b. r.

4) W związku z konwencją turystyczną z Czechosłowacją, zwraca się Zjazd Delegatów do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Skarbu z prośbą o otwarcie w sezonie letnim 1928 r. odprawy celnej dla samochodów w Piwnicznej i wpłynięcia na władze czechosłowackie w kierunku utworzenia takichże odpraw celnych w Piwnicznej i Niedzicy.

5) Zjazd Delegatów poleca Zarządowi Głównemu wdrożenie potrzebnych kroków u władz dla zapewnienia członkom Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego swobody poruszania się w tak zwanej strefie nadgranicznej na podstawie swych legitymacji członkowskich.

6) Zjazd Delegatów P. T. T. poleca Zarządowi Głównemu rozwinięcie kontroli, czy schroniska i domy P. T. T. są odpowiednio zaasekurowane i opatrzone w przyrządy pożarnicze.

7) Zjazd Delegatów postanawia, że wkładki członków wszystkich oddziałów do kasy Zarządu Głównego mają być jednakowe z tem, że dla oddziałów, dla których wkładki zostały obniżone przez Zarząd, cała suma zniżki ma być zapisywana w księgach Zarządu Głównego jako subwencja.

8) Ze względu na reorganizację straży celnej i możebność opróżnienia przez Straż celną niektórych budynków jako zbędnych w Karpatach wschodnich nad granicą Zjazd uważa za konieczne wykupno względnie wydzierżawienie tychże budynków dla celów turystycznych P. T. T. n. p. jako domy noclegowe dla młodzieży i t. p.

9) Zjazd Delegatów P. T. T. poleca Zarządowi Głównemu poczynienie starań u kompetentnych czynników o budowę kolei Worochta—Żabie—Kosów—Kuty.

Oraz następujące rozsolucje:

1) Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zwraca się do Ministerstwa W. R. i O. P., z prośbą, aby z uwagi na wychowawczy wpływ, jaki wycieczki wywierają na duszę ludzką, otoczyło szczególną opieką ruch wycieczkowy młodzieży szkolnej, a w szczególności, aby zapoznawano młodzież tę z pojęciem treści i kultury turystyki, aby wycieczki poddano odpowiedniej kontroli, aby kierownictwo tych wycieczek powierzano jedynie wychowawcom posiadającym dostateczne doświadczenie górskie, aby wreszcie w wycieczkach tych wprowadzano młodzież stopniowo i z wielką ostrożnością w trudności terenu górskiego.

2) Z uwagi na potrzebę stworzenia odpowiednich warunków dla rozwoju turystycznego w Beskidzie Wschodnim Zjazd Delegatów uważa za konieczne jaknajrychlejsze wydanie przepisów w sprawie racjonalnej rozbudowy letnisk w dolinie Prutu oraz Popradu.

3) Ze względu na olbrzymie zasługi dla rozwoju turystyki letniej i zimowej w Karpatach wschodnich Zjazd Delegatów uchwała gorące uznanie prof. dr. Waleremu Goetlowi i dr. Mieczysławowi Orłowiczowi.

4) Zjazd Delegatów uważa za rzecz konieczną rychłą odbudowę zniszczonego gościńca za Worochtą w dolinie Prutu, poczynszy od km 19 przez Foreszczenkę, przyczem jedynie jest wskazana trasa koło placówki straży celnej na Pożyzewską ze względów gospodarczych i turystycznych.

5) Zjazd Delegatów P. T. T. apeluje do Rządu, aby przy mającej być budowanej kolejce z Worochty do Hryniawy w dolinie Czeremoszu, obrano trasę przez Ardzeludzę—Zabie—Jawornik, przyczem kolejka winna mieć koncesję na ruch osobowy ze względów turystycznych, gospodarczych i zarobkowych, jako jedyne połączenie doliny Prutu z doliną Czeremoszu.

6) Zjazd Delegatów P. T. T. zwraca się z usilnym apelem do Rządu o budowę kilku domów wycieczkowych w Karpatach wschodnich dla młodzieży szkolnej z funduszy gier i zabaw, składanych przez młodzież szkolną, dysponowanych przez Ministerstwo Oświaty

7) Uznając doniosłość jaknajsilniejszego i wszechstronnego udziału P. T. T. w ogólnopolskiej Wystawie Poznańskiej w roku 1929, Zjazd Delegatów apeluje do odpowiednich czynników o stworzenie filmów tatrzańkiego i huculskiego, celem odpowiedniego przedstawienia Tatr i Karpat oraz ich ludności góralskiej, górali i huculów pod względem etnograficznym i zwyczajowym, wreszcie flory i fauny górskiej.

IV. Z DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKÓW OBEJMUJĄCYCH P. T. T. I STOSUNKU P. T. T. Z POKREWNEMI TOWARZYSTWAMI.

A) *Asocjacja Słowińskich Towarzystw Turystycznych.*

W ubiegłym roku odbył się trzeci doroczny Zjazd Rady Asocjacji Słowińskich Towarzystw Turystycznych celem narad nad uzgodnieniem prac turystycznych i zacieśnieniem węzłów braterstwa.

Tym razem wypadł Zjazd w uroczej Jugosławji w wrześniu z. r. w Lublanie.

Imieniem P. T. T. wzięli udział w Zjeździe pp. prof. dr. W. Goetel, mjr. Bron. Romaniszyn i dr. E. Stolfa.

Przewodnictwem obrad objął p. dr. Tominsek, sekretarjat p. M. Hrovatin.

Tematem obrad były wszystkie zagadnienia turystyczne, które na poprzednich zjazdach zebrano w rezolucjach, dotyczących ideologii alpinizmu, ochrony przyrody, spraw organizacyjnych, paszportowych, komunikacyjnych i propagandy.

Szczególnie omawiano sprawy zniżek kolejowych dla turystów, statystyki, nomenklatury i sekretarjatu wykonawczego. Głównym tematem były jednak sprawy ochrony przyrody i w związku z tem rezerwatów i parków narodowych.

Delegaci Jugosławji i Bułgarji podkreślali z uznaniem ścisłe porozumienie Polski i Czechosłowacji w sprawach ochrony przyrody, przyczem delegaci jugosłowiańscy ze słuszną dumą podali do wiadomości, że uchwałą ramową Skupsziny z 20. III. 1928 r. ogłoszono za parki narodowe obszar Triglavu, masywu górskiego Velebitu i jezior Plitwickich w południowej Chorwacji. W pracach nad realizacją tych parków są wzorem prace nad Tatrzańskim Parkiem Narodowym a w szczególności protokół Akademji Polskiej i Czeskiej z grudnia 1925 r.

Nadmienić przytem należy, że inicjatywa do utworzenia tych parków powstała pod wpływem omówienia sprawy parków narodowych podczas poprzednich zjazdów Asocjacji.

W czasie Zjazdu odbył się bardzo interesujący odczyt docenta botaniki Uniwersytetu w Zagrzebiu dr. Horvath'a o Parku Narodowym Velebit.

Programem Zjazdu objęta była dwudniowa wycieczka do jezior Bled i Bochyńskiego a następnie do Kraińskiej Góry.

Cudowne widoki i słowińska ze szczerego serca płynąca gościnność organizatorów Zjazdu, subtelna uprzejmość i życzliwość reprezentantów wszystkich trzech towarzystw turystycznych jugosłowiańskich sprawiły, że wycieczka ta pozostawiła u uczestników niezatarte wrażenie.

Zjazd zakończył bankiet wydany przez miasto Lublanę, w którym wzięły udział wybitne miejscowe osobistości.

Z załem opuszczali delegaci zagraniczni Lublanę, gdzie tak miłe chwile spędzili. Szczegółowy opis Zjazdu podany został w V. tomie „Wierchów“, dlatego ograniczamy się do powyższego krótkiego sprawozdania.

Wypada jedynie dodać, że po ukończeniu Zjazdu delegaci czeskosłowaccy i z delegatów polskich pp. prof. dr. Goetel i mjr. Romaniszyn udali się wprost do domu, natomiast delegat bułgarski, czeski z Wiednia i z Polski dr. Stolfa udali się do Zagrzebia, gdzie oczekiwał ich na dworcu imieniem Hrvatsko Planinarsko-Drustva p. Mirko Bothe, który z nadzwyczajną uprzejmością pokazał im najważniejsze osobliwości miasta. W lokalu Towarzystwa, powitani serdecznie przez prezesa J. Pasarica, zapoznali się delegaci z wielu jego członkami, a następnie zaproszeni na wspólną wieszczkę do późnej nocy spędzili mile czas na rozmowie.

Następnego dnia udali się delegat wiedeński i dr. Stolfa do Susak, gdzie oczekiwał ich sekretarz tamtejszego Koła Hrvatsko Planinarsko-Drustva p. Kühnel, który z nadzwyczajną uprzejmością towarzyszył im przez cały czas pobytu w Susak zarówno przed jak też po powrocie z podróży do Dubrovnik.

Należy się szczerza wdzięczność wszystkim osobom, które swą obecnością zaszczyliły powyższych delegatów w Zagrzebiu i Susak, a w szczególności pp. Pasaricovi, Mirko Bothe'mu, dr. Prebegowi, Stjepanowi, Bencicowi z żoną i Kühnelowi.

B) Związek Polskich Towarzystw Turystycznych w Warszawie.

Istniejący od dwóch lat w Warszawie Związek Polskich Towarzystw Turystycznych rozwija się doskonale i obejmuje z małymi wyjątkami wszystkie towarzystwa turystyczne w Polsce.

Najważniejszym jest brak Polskiego Związku Narciarskiego, który uzależnił swę wstąpienie od zmiany podstaw obliczania ilości głosów, przysługujących członkom i od uregulowania sprawy rozdziału kompetencji. Nie należy też do Związku Beskidenerverein. W obu powyższych wypadkach toczą się pertraktacje, o czem niżej.

Związek pracował w roku ubiegłym bardzo usilnie nad uzyskaniem ulg i udogodnień kolejowych dla turystów. Przedłożył w tym celu memorjały Ministerstwu Komunikacji i domagał się powołania reprezentanta Związku do Państwowej Rady kolejowej. Niestety Ministerstwo to we wszystkich tych sprawach zajęło stanowisko negatywne.

Od początku istnienia Związku powstała myśl przystąpienia do międzynarodowych federacji turystycznych jak „Alliance Internationale du Tourisme“ i „Conseil Central du Tourisme International“, w których Polska jest reprezentowana przez Referat Turystyki Min. Robót Publicznych i Polski Touring Klub. Ponieważ przynależność do międzynarodowych organizacji pociąga za sobą duże zobowiązania i wymaga sprawnie działającego biura. Zarząd Związku uznał, że przystąpienie do tych organizacji jest narazie przedwczesne.

Następnie Zarząd Związku przyjął na członka zwyczajnego Polski Związek Motocyklowy, a na członka nadzwyczajnego Wojewódzką Komisję turystyczną w Katowicach.

Postanowiono zwrócić się do Polskiego Związku Turystycznego w Krakowie i Wielkopolskiego Związku dla popierania turystyki w Poznaniu z propozycją, aby celem uniknięcia nieporozumień przyjęły w tłumaczeniach powszechnie przyjętą nazwę Syndicat d'initiative de Cracovie (Poznań) i t. p., co Prezes Polskiego Związku Turystycznego przyrzekł uwzględnić.

Na życzenie dr. Orłowicza, którego na Zjeździe Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych w Lublanie wybrano reprezentantem Polski do Komisji mającej ustalić nomenklaturę geograficzną i odnośną terminologię w krajach słowiańskich, powołano w tym celu specjalną Komisję złożoną z pp. dr. Fleszarowa, dr. Jerzego Lotha i prof. Radlińskiego z tem, że dr. Orłowicz pozostał łącznikiem między tą Komisją a Asocjacją.

W dniu 27 listopada u. r. odbyła się w Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie konferencja w sprawie koordynacji Towarzystw Turystycznych przy współdziałaniu delegatów P. T. T., Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, Polskiego Związku Turystycznego, Wielkopolskiego Związku dla popierania turystyki w Poznaniu i Polskiego Automobilklubu. Gen. Górecki imieniem Polskiego Touring Klubu przemawiał za unifikacją niektórych towarzystw turystycznych i krajoznawczych w trzy grupy: 1) jako Polski Touring Klub, który stanowiłby wyłączną organizację czynnych turystów ewentualnie z pozdaniem na dwa Towarzystwa: dla turystyki górskiej (jako P. T. T.) i dla całej pozo-

stałej turystyki czynnej (jako Polski Touring Klub), 2) jako Związek Propagandy Turystycznej i 3) jako organizacja działu sportów związanych z turystyką.

Prezes P. T. T. inż. Czerwiński oświadczył się za wyłączeniem P. T. T. w razie połączenia pozostałych towarzystw turystycznych zaznaczając, że przykład Klubu Czesko-słowackich Turystów, który obejmuje turystykę górską i nizinną, nie nadaje się w Polsce do naśladowania ze względu na możliwości dużych tarć wewnętrznych. Po dłuższej i ożywionej dyskusji uchwalono wniosek prof. Goetla następującej treści: Wybiera się Komisję Związku Polskich Towarzystw Turystycznych dla unifikacji działalności towarzystw turystyki czynnej na zasadzie organizacji jednej grupy dla turystyki górskiej oraz drugiej grupy dla turystyki na obszarach niżowych. Do Komisji tej wybrano dr. Orłowicza, prof. Patkowskiego i dr. Rogowskiego.

Nadmienić należy, że dotychczas postanowiło Polskie Towarzystwo Krajoznawcze połączyć się z Polskim Touring Klubem.

Druga sprawa omawiana na tej konferencji dotyczyła współdziałania towarzystw turystycznych w propagandzie turystycznej Polski za granicą oraz ułatwień dla cudzoziemców w zwiedzaniu Polski w r. 1929 w związku z Wystawą Poznańską. Sprawa wywołała dużą dyskusję i spowodowała następnie dalsze bardzo szczegółowe obrady na konferencji w dniu 3 stycznia b. r. w Krakowie w lokalu Polskiego Związku Turystycznego, a następnie jeszcze w lutym b. r. w Warszawie na konferencji zwołanej przez Związek P. T. T.

Ponieważ sprawa ta nie dotyczy bezpośrednio turystyki górskiej i działalności P. T. T., nie podaje się treści obrad i szczegółowych wniosków. Zaznacza się jedynie, że Bank Gospodarstwa Krajowego udzielił subwencji w kwocie Zł. 50.000 na udogodnienia w dziedzinie turystyki i na wydawnictwa propagandowe w związku z napływem zagranicznych turystów do Polski w r. 1929. Z subwencji tej otrzymało P. T. T. kwotę Zł. 5.000. Nadto przeznaczono kwotę Zł. 8.000, jako pierwszą zaliczkę na opracowanie i wydanie przewodników po Polsce, którą to pracą zajmie się Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.

Zarząd Związku P. T. T. w dniu 27. stycznia b. r. stwierdził, że organizacja propagandy turystycznej Polski zagranicą natrafia na trudności głównie z powodu braku należyście zorganizowanego biura podróży.

Aby temu zapobiec w przyszłości i wobec ujawnienia faktu, że obecnie kilka konsorcjów czyni zabiegi o udzielenie im koncesji na nowe nawpół oficjalne biuro podróży i sprzedaży biletów kolejowych, postanowiono zwrócić uwagę Ministerstwu Komunikacji, aby przy nadawaniu koncesji względnie zawieraniu umowy z nowym konsorcjum niezależnie od tego, kto nim będzie, zastrzeżono w umowie trzy warunki, a to:

a) Biuro podróży powinno pewien procent swych dochodów brutto obracać obowiązkowo na propagandę turystyczną Polski zagranicą, prowadzoną celowo i umiejętnie (afisze, ulotki, broszury, miesięcznik propagandowy, artykuły w prasie zagranicznej i t. p.).

b) Biuro podróży powinno zorganizować wycieczki cudzoziemców po Polsce na zasadzie czeków podróży już to we własnym zakresie, już to w porozumieniu z działającymi na danym terenie organizacjami, przyczem jako minimum należy żądać, aby marszruta tych wycieczek objęła: Gdynię, Poznań, Warszawę, Wilno, Lwów, Kraków, Zakopane.

c) Do rady nadzorczej biura podróży powinien być powołany delegat Z. P. T. T. dla utrzymania niezbędnego kontaktu tego biura ze sferami turystycznymi.

Na konferencji w lutym b. r. w Warszawie uchwalono w końcu stworzyć w łonie Związku Polskich Towarzystw Turystycznych centralne biuro dla ewidencji zbiorowych wycieczek, urządzanych przez wszelkiego rodzaju towarzystwa i biura podróży, o ile władze centralne przyczynią się do pokrywania wydatków tego biura.

C) Beskidenverein.

Na życzenie Beskidenvereinu odbyła się wspólna konferencja w lokalu P. T. T. w Krakowie w dniu 28. X. z. r. w sprawie porozumienia z P. T. T. w sprawach turystycznych w Zachodnim Beskidzie.

Beskidenverein wystąpił wobec P. T. T. jako Związek Towarzystw Beskidzkich w Polsce, na który to Związek składają się Oddziały Beskidenvereinu w Pszczynie, Nowym Bytomiu, Bielsku, Królewskiej Hucie, Nowej Wsi, Cieszynie oraz Alpenverein w Katowicach. Towarzystwa Naturfreunde i Judischer Turnverein nie zostały, mimo dawniej istniejących pro-

jektów, do Związku wcielone. Ponieważ ani istotne cele Związku, ani charakter turystyczny poszczególnych, do Związku Tow. Beskidzkich należących towarzystw, nie jest dokładnie znany, postanowiono na razie nie rozstrzygać, czy P. T. T. ma wchodzić w układy z tym Związkiem.

Na konferencji z Beskidenervereinem zarysowała dyskusja następującą możliwość wzajemnego porozumienia:

Porozumienie organizacyjne odbyłoby się drogą wstąpienia Związku Towarzystw Beskidzkich do Związku Polskich Towarzystw Turystycznych. W tym celu Związek Towarzystw Beskidzkich wniósł podanie do Z. P. T. T. Związek Towarzystw Beskidzkich przyjąłby na całym terenie Wysokich Beskidów sposób znakowania P. T. T. Natomiast w terenie ściślejszej gospodarki Związku Towarzystw Beskidzkich, wykonałby swobodę znakowania sposobem przyjętym przez Towarzystwo Beskidenerverein.

Terren ściślejszej działalności Związku miałyby objąć okolice Magóry, Magórki, Klimczaka, Białej i Skrzycznego a pozatem Związek miałyby mieć w zasadzie swobodę pracy turystycznej na terenie Beskidów od Cieszyna po Babią Górę. Nadto Związek otrzymałby do gospodarzenia dojdzie do schroniska na Babiej Górze z Przyborowa.

Związek Towarzystw Beskidzkich otrzymałby we wszystkich schroniskach P. T. T. ulgi obowiązujące dla członków P. T. T., przyznając analogiczne ulgi członkowskie we wszystkich swoich schroniskach członkom P. T. T.

Celem dalszego prowadzenia prac porozumiewawczych wybrano wspólną Komisję obu towarzystw, która zajmie się opracowaniem dalszych wniosków.

W najbliższej przyszłości należy uzgodnić postulaty rozbieżne między Oddziałem Katowickim a Zarządem Głównym, co da się przedyskutować na Komisji Międzyoddziałowej Zachodnio-beskidowej, poczem mogłyby nastąpić dalsze pertraktacje ze Związkiem Towarzystw Beskidzkich.

D) Polski Związek Narciarski.

Oddawna było życzeniem Zarządu Głównego P. T. T., aby dojść do porozumienia z Polskim Związkiem Narciarskim i w ten sposób umożliwić wstąpienie tegoż do Związku Polskich Towarzystw Turystycznych. W tym celu odbyła się w d 27. listopada z. r. w lokalu Oddziału P. T. T. w Warszawie konferencja przedstawicieli P. T. T. i Polskiego Związku Narciarskiego, na której powzięto następującą uchwałę:

Przedstawiciele obu organizacji przedstawiają na Zarządach Głównych wniosek o delegowanie po 2 przedstawicieli z każdej organizacji celem utworzenia stałej Komisji porozumiewawczej Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego i Polskiego Związku Narciarskiego, która ma działać na zasadach równorzędności i wzajemności.

Członkowie tej komisji wybiorą przewodniczącego i przedstawiają w najkrótszym czasie regulamin ramowy działalności Komisji obu organizacjom do zatwierdzenia. Zarząd Główny P. T. T. na posiedzeniu w dniu 2. grudnia z. r. przyjął jako zasadnicze w stosunku do P. Z. N. trzy punkty:

1) Polskie Towarzystwo Tatrzańskie uznaje interes P. Z. N. w sprawach gospodarki turystycznej górskiej, a celem uzgodnienia wspólnych dążeń utworzona zostanie Komisja porozumiewawcza Zarządu Głównego P. T. T. i P. Z. N.

2) Polski Związek Narciarski przystąpi do Związku Polskich Towarzystw Turystycznych i wtedy będzie miał sposobność swoje zastrzeżenia co do systemu głosowania podnosić i starać się swoje postulaty przeprowadzić.

3) Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zgadza się na budowę schroniska przez Warszawski Klub Narciarzy w Chochołowskiej, przy czem wybór miejsca i bliższe szczegóły budowy zostaną z Zarządem Głównym P. T. T. uzgodnione.

Następnie Zarząd Główny powziął następujące uchwały:

1) Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zwoła w bieżącym sezonie zimowym Zjazd wszystkich Sekcji i Kół narciarskich, istniejących przy Oddziałach P. T. T., stworzy z nich Związek Sekcyj Narciarskich P. T. T. i będzie się starało, aby Związek ten objął swoją działalnością turystykę zimową. Związek ten byłby reprezentowany w Zarządzie Głównym, skąd otrzymywałby dyrektywy.

2) Zarząd Główny poleca Wydziałowi Wykonawczemu przeprowadzenie stworzenia Związku Sekcyj Narciarskich P. T. T. z tem, że ma on być centrum akcji turystyki zimowej w P. T. T.

3) Zarząd Główny poleca Wydziałowi Wykonawczemu, aby w porozumieniu z Sekcją Narciarską P. T. T. przedłożył konkretne wnioski co do startowania na zawodach narciarskich pod firmą P. T. T.

Wiadomo, że Sekcja Narciarska P. T. T. posiada w dolinie Chochołowskiej schronisko niezagospodarowane. P. T. T. powzięło przed niedawnym czasem zamiar wybudowania tam nowego schroniska, z zamiarem takim wystąpił również Warszawski Klub Narciarzy.

Celem zapobieżenia rozpraszania sił i w związku z opinią Państwowej Rady Ochrony Przyrody, podzielaną najzupełniej przez P. T. T., że w dolinie Chochołowskiej nie mogą istnieć dwa schroniska, Zarząd Główny P. T. T. po odpowiednich pertraktacjach z prezydentem P. Z. N. i W. K. N. zgodził się na odstąpienie swych praw do budowy schroniska w dolinie Chochołowskiej Warszawskiemu Klubowi Narciarskiemu na pewnych warunkach, które obecnie są w atmosferze wzajemnej życzliwości i zgody rozpatrywane.

W sprawie tej odbyły się w dniu 24 marca b. r. w dolinie Chochołowskiej oględziny lokalne, w której wzięli udział przedstawiciele P. Z. N. i W. K. N. oraz P. T. T. w osobach prof. Goetla i J. Oppenheima. Istnieje wszelka nadzieja dojścia do całkowitego porozumienia tak co do wyboru miejsca, jak wyglądu schroniska.

E) Stosunki z pokrewnymi Towarzystwami.

Stosunki nasze z pokrewnymi słowiańskimi Towarzystwami za granicą nie uległy zmianie i pozostają nadal serdeczne.

W czerwcu z. r. przypadła uroczystość jubileuszowa 40 letniego istnienia Klubu Czeskosłowackich Turystów w Pradze. Niestety zaproszenie otrzymaliśmy zapóźno, co uniemożliwiło nam wzięcie udziału w tej uroczystości i musieliśmy ograniczyć się do wyrażenia naszych serdecznych życzeń telegraficznie.

W styczniu b. r. obchodziło węgierskie Towarzystwo Turystyczne Magyar Turista Egyesület w Budapeszcie jubileusz 40 letniego swego istnienia i P. T. T. prześlało mu również telegraficznie życzenia.

W końcu nadmienia się, że P. T. T. zgłosiło swe przystąpienie do Związku Przyjaciół Zakopanego.

Ad A) B) i C) należy przytoczyć następujące uchwały Zjazdu P. T. T. z 1928 r.:

1) Zjazd Delegatów poleca Zarządowi Głównemu przesłać imieniem Zjazdu serdeczne pozdrowienia Prezydium Rady Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych i wszystkim jej członkom, wyrażając życzenia, aby Asocjacja rozwijała się jak najpomyślniej, przyczyniając się do jaknajserdeczniejszego zbliżenia turystów wszystkich w Asocjacji złączonych krajów.

2) Zjazd Delegatów poleca Zarządowi Głównemu przedłożyć Ministerstwu Robót Publicznych wniosku o poparcie przystąpienia P. T. T. jako członka do „Conseil Central du Tourisme International“ oraz do „Alliance International du Tourisme“.

3) Zjazd Delegatów poleca Zarządowi Głównemu przeprowadzić pertraktację z Polskim Związkiem Turystycznym w Krakowie w sprawie przemiany tego Związku na „Polski Związek propagandy turystyki polskiej zagranicą“ oraz następującą rezolucję:

Zjazd Delegatów aprobuje w zupełności stanowisko delegatów P. T. T. na Zjeździe Polskich Towarzystw Turystycznych w Warszawie i wyraża nadzieję, że trudności spowodowane stanowiskiem zajętem przez Polski Związek Narciarski zostaną niebawem we wzajemnem porozumieniu usunięte.

V. OCHRONA PRZYRODY.

Działalność P. T. T. w dziedzinie ochrony przyrody zespoliła się tak dalece z całą działalnością Towarzystwa, że w rzeczywistości trudno mówić osobno o pracy w tej dziedzinie, nie dotykając równocześnie innych dziedzin działalności P. T. T.

Rok ubiegły wykazuje dalszą coraz intensywniejszą pracę Towarzystwa w powyższym kierunku i dzisiaj można stwierdzić, że P. T. T. na polu ochrony przyrody kroczy na czele wszystkich organizacji kulturalnych naukowych i społecznych nie tylko w Polsce, ale w całej Stowiańszczyźnie, że dało ono impuls innym Towarzystwom do pracy na tem polu i że wybitne dotychczasowe rezultaty tej akcji są już dzisiaj ogólnie uznane.

Poszczególne prace P. T. T. około ochrony przyrody są stale opisywane w różnych artykułach wydawnictw P. T. T. Tutaj należy się zatem ograniczyć do krótkiego zebra-
nia najważniejszych momentów akcji P. T. T. na tem polu.

Niewielką jest stosunkowo grupka osób oddanych czynnie pracy nad ochroną przy-
rody, natomiast pracuje ona z ogromnym zapałem, a na jej czele kroczą tej miary oso-
bistości, jak prof. J. G. Pawlikowski, prof. Stanisław Sokołowski, prof. dr. W. Szafer,
prof. dr. Walery Goetel i inni.

Pracy tych ludzi w znacznej mierze przypisać należy, że cała działalność P. T. T.
nietylko Zarządu Głównego, ale wszystkich jego oddziałów opiera się dzisiaj na zasada-
ch ochrony przyrody i wszyscy pracujący w Towarzystwie przeświadczeni są o koni-
eczności przestrzegania tych zasad, uważając je za fundament racjonalnego ukształto-
wania się turystyki. Należyte postawienie sprawy ochrony przyrody i wszczęcie jej
w organizm Towarzystwa z pełnią zapału, energii i fachowego ujęcia zawdzięcza Polskie
Towarzystwo Tatrzańskie przede wszystkim prof. dr. W. Goetlowi, co należy w tem sprawo-
zdaniu silnie podkreślić, odkładając szczegółowe przedstawienie jego pracy na tem polu
na później, gdy urzeczywistni się cel jego marzeń i dążeń: t. j. Parki Narodowe.

Rok ubiegły zaznaczył się dużym postępem na ciernistej drodze, wiodącej do po-
wyższego celu. Skruszono wiele niechęci i uprzedzeń, usunięto tu i ówdzie piętrzące się
prezksody. Bilans prac jest stanowczo czynny.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie korzystało z każdej okazji, aby sprawie się
przysłużyć.

W kwietniu ub. r. odbyły się konferencje w sprawie eksploatacji kamienia pod
Capkami w Zakopanem. Sprawa ta coraz bardziej się zaogniła i wszystkie warstwy
ludności zamieszkałej w Zakopanem domagają się całkowitego zamknięcia tego kamie-
niolomu. Konferencje, o których wyżej mowa, wykazały, że kamieniołom ten ma wiele
braków technicznych i komercjalnych i eksploatowany jest w sposób nieodpowiedni.

Delegaci P. T. T. podali na konferencji zasady, na których ich zdaniem dalsza
eksploatacja kamieniołomu byłaby dopuszczalna. Od tego czasu poza zmianą poprzed-
niego nierozumiejącego postulatów ochrony Tatr kierownictwa kamieniołomu i pewnymi
ulepszeniami sprawa ta nie uległa jednak zasadniczej zmianie na lepsze, co spowodowało
ponowny atak miejscowych czynników na ankiecie w Zakopanem w marcu 1929 r. na do-
tychczasowy sposób prowadzenia kamieniołomu i żądanie jego zamknięcia.

W stosunkach z ludnością podhalańską zaszedł w roku ubiegłym znamieny zwrot.
Jakkolwiek od wiosny 1928 r. nastąpiło jnż pewne odprężenie, różne uprzedzenia nie
odrazu mogły być rozprószone, a to tem bardziej, że pozostawała otwartą sprawa istnienia
gospody na Karczmisku. Ponieważ rzecz ta została szczegółowo przedstawiona w arty-
kule prof. Goetla o pracach nad Parkiem Narodowym Tatrzańskim ogłoszonym w tomie
ostatnim „Wierchow“, omówimy ją tutaj pokrótce. Po długim przewlekaniu się sprawy.
Starostwo nowotarskie wydało dnia 7 września 1928 nakaz rozebrania tej gospody,
a Policja Państwowa nakaz ten wykonała. Jakkolwiek P. T. T. zajęło swego czasu wobec
Starostwa stanowisko za usunięciem tej gospody, bynajmniej nie przyczyniło się bez-
pośrednio do jej zburzenia i dowiedziało się o tem dopiero po fakcie. Tymczasem grupa
górali zebranych na wiecu w sprawie ankiety zakopiańskiej dnia 9 września 1918 r.,
podniecona przez różne niespokojne żywioły, zwróciła swe wzburzenie przeciw P. T. T.
Gromada podchmielonych ludzi napadła na Dworzec Tatrzański i wymusiła na sekre-
tarzu biura P. T. T. w Zakopanem p. Ignacym Bujaku deklarację, że P. T. T. sprawę
odbudowy omawianej gospody jaknajrychlej załatwi. Najlepszym dowodem, że napast-
nicy składali się w części z żywiołów niepewnych, jest fakt, że podczas tej napaści na
Dworzec Tatrzański, okradziono jednego z członków P. T. T., przypadkowo się tam
znajdującego. P. T. T. nie dało się jednak sprowokować i po głębszej rozważce doszło
do przekonania, że nadszedł moment definitywnego załatwienia zatargu o tę gospodę.
Okazało się, że budowę tej gospody podjął Stanisław Wojcieszek Król z Zakopanego
pod namową osób, pragnących łowić ryby w mętnej wodzie. Stanisław Król jest to in-
walida wojenny, pozostający w trudnych warunkach finansowych, które zburzenie go-
spody jeszcze pogorszyło.

Wobec tego Zarząd Główny uchwalił zakupić materiał ze zburzonej gospody, aby
umożliwić Królowi wyjść z przykrego położenia materialnego. Zarząd Główny pragnął
jeszcze raz zadokumentować, w jak wysokim stopniu zależy mu na dobrych stosunkach

z ludnością górską, że nie waha się ponieść znacznych ofiar materialnych, jakkolwiek ani prawnie ani moralnie nie jest do tego zobowiązany.

Wobec wygórowanych pretensji Króla, zdawało się, że sprawa nie dojdzie do skutku, Dopiero dzięki interwencji pp. postów ks. Madeja i Gwiżdża przyszła do skutku umowa, mocą której P. T. T. kupiło od Króla omawiany materiał za 17.500 Zł., z tem, że w cenie tej mieści się wynagrodzenie za zwózkę tego materiału z Hali Królowej na dół do Zakopanego.

W związku z tą transakcją złożył Król Towarzystwu pisemną deklarację, którą opublikowaliśmy, o następującem brzmieniu:

„W związku z zawartem dzisiaj porozumieniem pomiędzy Polskiem Towarzystwem Tatrzańkiem a podpisanym w sprawie zniszonego budynku na Hali Królowej Wyżnej, oświadczam co następuje:

Kiedy na skutek zarządzonego przez władze zburzenia zbudowanego przeze mnie domu na Hali Królowej Wyżnej znalazłem się w trudnem położeniu życiowem, przyszło mi z pomocą Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, zakupując odemnie materiał ze zburzonego domu po cenie, która pozwoliła mi wyrównać doznaną stratę i uzyskać podstawę do znalezienia innego sposobu zarobkowania.

Za powyższą dobrowolną pomoc, do której Polskie Towarzystwo Tatrzańskie nie było w niczem zobowiązane, wyrażam Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu podziękowanie. Całe nieporozumienie, które na tem tle wynikło, uważam za całkowicie załatwione.

Kraków, dnia 6 listopada 1928 r.

Stanisław Król Wojcieszek“.

Z chwilą zawarcia powyższej transakcji znaczna część ataków ustała, pozbawiona swej pozornej podstawy.

W związku zaś z wielokrotnymi publicznymi oświadczeniami tak P. T. T., jak twórców Parku Narodowego, że akcja Parku nietylko w niczem nie dąży do skrzywdzenia ludności górskiej, ale ma na celu poprawę jej sytuacji gospodarczej, rozwiała się też większość uprzedzeń i istnieje uzasadniona nadzieja, że serdeczne stosunki między P. T. T., a ludnością górską powrócą i pozostaną niezamącone.

Obok tego rodzaju różnych spraw związanych z ochroną przyrody wysuwa się na czoło akcja zmierzająca do utworzenia pogranicznych parków narodowych.

W czerwcu 1928 r. w czasie jżjazdu postów stronnictwa B. B. W. R. w Zakopanem urządziło P. T. T. wycieczkę do Morskiego Oka, przyczem prof. dr. W. Goetel przedstawił posłom na miejscu zagadnienie Parku Narodowego w Tatrach. Tego rodzaju wycieczka okazała się bardzo pożyteczną, gdyż pozyskała powyższych postów dla tej idei i przyczyniła się do wyjaśnienia stosunku P. T. T. do góralszczyzny.

W lutym zaś b. r. przy okazji wyjazdu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do Morskiego Oka, delegacja P. T. T. złożona z pp. prof. Goetla i mjr. Romaniszyna wraz z prof. Szaferem jako Delegatem M. W. R. i O. P. dla spraw ochrony przyrody poinformowała Pana Prezydenta o wszystkich aktualnych sprawach Tatrzańskich. Pan Prezydent okazał duże zainteresowanie się temi sprawami i polecił, aby został złożony odpowiedni memoriał, co też P. T. T. uczyniło, przedstawiając w memoriale szereg postulatów, którym, jak wiemy, Pan Prezydent udzielił już swego życzliwego poparcia.

Po stronie czeskosłowackiej prace przygotowawcze nad utworzeniem Parku Narodowego w Tatrach posunęły się znacznie naprzód pod względem terenowym. Rząd wykupił na cele Parku Narodowego teren Garlucha i zamierza zakupić w najbliższym czasie teren Jaworzyny, przez co znajdzie się w posiadaniu większej części terytorjum, które Park ma objąć. Pod tym względem Czeskosłowacka stara się wyprzedzić Polskę, a szlachetną emulację przyjmujemy z radością, gdyż zbliża ona nas do upragnionej realizacji Parku Narodowego Tatrzańskiego.

Stwierdzić też musimy, że i w Polsce pod względem terenowym rok ten był szczęśliwym. Najważniejszym zdarzeniem było tu zakupno przez Rząd Polski od spadkobierców śp. Drohojowskiego głównej części przełomu Pienin od Trzech Koron po Pieniński Potok celem ścisłej ochrony przyrody w Pienińskim Parku Narodowym. Jestto pierwszy wyraźny krok Rządu, wykazujący chęć utworzenia parków narodowych na pograniczu polsko-czeskosłowackiem. P. T. T. i ludność Pienin, zdając sobie sprawę z doniosłości tego faktu, wyłoniły deputację do władz centralnych w Warszawie z podziękowaniem za ten dowód zainteresowania się sprawami Pienin. Deputacja złożona

z zastępców P. T. T. w osobach prezesa Czerwińskiego, wiceprezesa Prof. Goetla i Mjr. Romaniszyna, oraz reprezentantów miejscowej ludności w osobach pp: Salomona ze Szczawnicy, Kotarby z Krościenka i Waradzyna ze Sromowiec Niżnich, w malowniczych strojach ludowych, wywarła w Warszawie u pp: Ministrów Rolnictwa, Oświaty, Spraw Zagranicznych i Robót Publicznych, oraz w Sejmie doskonałe wrażenie. Delegaci ludności wyrazili przytem szereg życzeń dotyczących Pienin, wyszczególnionych wyżej przy sprawozdaniu z Komisji Międzyodziałowych, a dotyczących drogi pienińskiej, ruchu turystycznego kołowego, samochodowego i pieszego, łośdkarstwa i t. d. w związku z układem z Czechosłowacją. W sprawach tych wniosło też P. T. T. odpowiedni memoriał do władz centralnych, a w szczególności do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Sprawa realizacji pogranicznych parków narodowych znajduje coraz większy oddźwięk w społeczeństwie. W ostatnich czasach zapadły w tym kierunku entuzjastyczne rezolucje Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i Tow. Uniwersytetu robotniczego. W jesieni z. r. opracował prof. dr. J. Zoll projekt ustawy o ochronie przyrody uwzględniający możność tworzenia parków narodowych. Projekt ten został przyjęty przez Rząd i zostanie wniesiony do ciał ustawodawczych, a z chwilą jego uchwalenia da on podstawę prawną do realizacji parków narodowych.

Ze strony miejscowej ludności nie należy oczekiwać sprzeciwu tem bardziej, że zasady utworzenia parków narodowych ustalono w porozumieniu ze Związkiem Podhalan.

Dowodem pomyślnych stosunków między ludnością górską a P. T. T. jest również posiedzenie komitetu właścicieli udziałów na Hali Gąsienicowej w Zakopanem dnia 12. lutego b. r., na którym ustalono zgodnie zasady administracji Halą.

Chcąc nłatwić przeprowadzenie zasad ochrony przyrody i tworzenia Parku Narodowego w Tatrach P. T. T. kontynuowało w roku ubiegłym wykupywanie udziałów na halach Tatrzańskich, wydając na ten cel znacznieszą kwotę — tak, że obecnie P. T. T. jest właścicielem poważnej części udziałów w dol. Pięciu Stawów Polskich, Morskiego Oka i Hali Gąsienicowej.

W lutym 1929 r. odbył się w Warszawie I. Zjazd Ligi Ochrony Przyrody, w którym imieniem P. T. T. wziął udział prof. dr. W. Goetel, przedstawiając tam postulaty ochrony przyrody górskiej.

Oto w głównych zarysach działalność P. T. T. na polu ochrony przyrody. Pominęto różne poczynania mniejszego znaczenia, jak n. p. w sprawie handlu pokątnego, kłusownictwa, fotografowania w górach, zaprowadzenia tamże posterunków policyjnych i t. p.

W końcu podaje się do wiadomości następujące uchwały ostatniego Zjazdu delegatów P. T. T.

1) Zjazd Delegatów zgodnie z uchwałą Rady Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych zaleca oddziałom wzięcie czynnego udziału przez swych członków w pracach nad zalesieniem gór, a to tak ze względu na ochronę przyrody, jak na ogromne szkody spowodowane wyrębami lasów i powstałymi wskutek tego wylewami i zwraca się do Sekcji Ochrony Przyrody górskiej o wypracowanie odpowiedniego projektu.

2) Zjazd Delegatów zgodnie z uchwałą Rady Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych zwraca się z apelem do kompetentnych czynników, aby ze względu na ochronę Tatr, Pienin i Babiej Góry oraz Czarnohory przyspieszono sprawę zamiany lasów prywatnych tamże na lasy państwowe, co ułatwiłoby realizację parków narodowych, w szczególności wzywa Zjazd Zarząd Główny o poczynienie wszelkich wysiłków w kierunku sfinalizowania przejęcia przez Ministerstwo Rolnictwa i Dóbr Państwowych całego przełomu Pienińskiego oraz obszaru dóbr Poronin i Szaflary.

3) Zjazd Delegatów, przyjmując do wiadomości sprawozdanie Prezydium z podjętych kroków w sprawie kamieniołomów na Krokwi i aprobując je, wzywa Zarząd Główny, aby w porozumieniu z innymi zainteresowanymi czynnikami jak Państwową Radą Ochrony Przyrody, Gminą Zakopane, Ligą Ochrony Przyrody podjął kroki zapobiegające lub ograniczające o ile możności zło z rzeczonej eksploatacji wynikłe i dalej wynikać mogące, tudzież aby postarał się w sposób odpowiedni o poinformowanie opinii publicznej.

4) Zjazd Delegatów P. T. T. wzywa Zarząd Główny, aby w czasie, gdy będzie aktualna budowa nowego schroniska przy Morskiem Oku, postawił je w oddaleniu $1\frac{1}{2}$ do 2 km od jeziora.

5) Zjazd Delegatów zwraca uwagę Zarządu Głównego na konieczność definityw-

nego uregulowania sprawy usunięcia zabudowań Burego przy Morskiem Oku, gospody na Hali Królowej i zajazdu przy Morskiem Oku.

Oraz następujące rezolucje:

1) Zjazd Delegatów zgodnie z uchwałą Rady Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych uważa za konieczne przeprowadzenie ustawy o ochronie przyrody oraz przyspieszenie prac nad projektem ustawy o pogranicznych parkach narodowych.

2) Wobec rozchodzących się wieści, iż p. Jerzy Uznański zamierza ofiarować jednej z instytucyj społecznych teren pod budowę domu wypoczynkowego w głębi doliny Olczyńskiej, Zjazd uchwała stanowczy protest przeciwko zabudowaniu Tatr, w danym wypadku przeciw budowaniu domu wypoczynkowego w dolinie Olczyńskiej i budowaniu tam drogi bitej. Zjazd wyraża przekonanie, iż właściwe władze sfłumią w zarodku zamiary naruszenia właściwego charakteru przyrody i piękną Tatr.

3) Wbrew prawu, wbrew elementarnym zasadom prawidłowej gospodarki leśnej, operując metodą faktów dokonanych, stale i systematycznie wycina się w Tatrach ogromne obszary lasów. W ostatnich dniach stanęliśmy znowu z wiosną 1928 w obliczu takiego faktu. P. Józef Uznański wyciął ponownie znaczną połać lasu na Przyporniaku. Potępiając jaknajostrożniej czyn tak nieobywatelski, Zjazd Delegatów P. T. T. zwraca się do odpowiednich władz, a przedewszystkiem do Państwowej Rady Ochrony Przyrody oraz Ministerstwa Rolnictwa o wydanie stosownych zarządzeń, celem ukrócenia podobnych nadużyć, a w danym konkretnym wypadku o surowe ukaranie winnego przestępstwa.

4) Zjazd Delegatów protestuje przeciw katastrofalnemu wycinaniu lasów połoninowych prywatnych w Beskidach Wschodnich ze względu na ogromne szkody dla kultury kraju i niebezpieczeństwo zamiany w przyszłości огоłoconych terenów w pustkowie.

5) Zjazd Delegatów P. T. T. uważa za szkodliwe wyjęcie z pod przymusu racjonalnej gospodarki leśnej a przez to umożliwienie samowolnych wyrębów przez małych właścicieli obszarów leśnych mniejszych od 10 hektarów ze względu na niebezpieczeństwo wytrzebiecia w Polsce ogromnego procentu zalesienia przy dzisiejszej gospodarce rabunkowej na podstawie obecnie obowiązującej ustawy lasowej i apeluje do Rządu o odpowiednią zmianę tej ustawy.

6) Zjazd Delegatów P. T. T. zwraca się z usilnym apelem do Rządu o realizację projektu rezerwatu Czarnohorskiego, przedstawionego przez Radę Ochrony Przyrody ze względu na specjalne znaczenie tego rezerwatu pod względem turystycznym i pedagogicznym.

7) Zjazd Delegatów P. T. T. uznaje za nieracjonalne stawianie jakichkolwiek prywatnych budynków jak hoteli, sanatoriów, oraz urzędzenia letnisk i t. p. w terenach przyszłych rezerwatów; wyjątek stanowią schroniska turystyczne, o ile względy turystyczne wykazują ich konieczną potrzebę i pod tym warunkiem, że będą przystosowane do wymagań ochrony przyrody.

VI. SPRAWY WYDAWNICZE.

Zarząd Główny P. T. T. od szeregu lat zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że bez stałych wydawnictw, któreby dostawały się do rąk wszystkich członków P. T. T., stanowiłoby ono luźną grupę ludzi nie związanych należycie pewnymi wspólnymi ideami i dążeniami, gdyż tylko tego rodzaju stałe wydawnictwa mogą ustalić te idee i uświadamić szerokie masy członków o celach, zadaniach i zasadach turystyki.

Obecnie potrzeba takiego wydawnictwa ujawnia się tembardziej, że do P. T. T. wstępują coraz liczniej osoby, dotychczas zupełnie obce turystyce, które dopiero wskutek odrodzenia państwa polskiego mają możność poznania gór polskich. Wyżej opisane zadanie miał spełniać „Przegląd Turystyczny”, wychodzący od 1925 r. Okazało się jednak, że Przegląd Turystyczny, zawierając przedewszystkiem dział informacyjny, może interesować osoby już z turystyką obeznane, dla innych przedstawia się jako suche sprawozdawcze pismo.

„Wierchy“ są wprawdzie wydawnictwem o wysokiej literackiej wartości, mają jednak tę ujemną stronę, że nierozdawane członkom bezpłatnie nie rozchodzą się w szerokich kołach turystycznych, a tem samem nie mogą spełniać należycie swego celu pod względem propagandy turystyki, jej zasad i ideologii.

Z powyższych powodów uchwalił zesłoroczny Zjazd Delegatów złączyć obydwie powyższe wydawnictwa w jedno w ten sposób, że „Wierchy“ będą ukazywać się raz do roku, a 2 lub 3 razy w roku ukaże się część informacyjna i sprawozdawcza, podawana dotychczas w „Przeglądzie Turystycznym“, a to w tym samym formacie co „Wierchy“ i w ten sposób, aby przy końcu roku mogły być oprowione razem „Wierchy“ z temi dodatkami.

Zjazd powierzył finansowe uregulowanie tej sprawy Zarządowi Głównemu, który uchwalił w tym celu podwyższyć na rok bieżący wkładkę członkowską o 2 zł. Mamy nadzieję, że w ten sposób sprawa dostarczania członkom wydawnictwa, poświęconego sprawom turystyki o odpowiednim poziomie literackim, byłaby na dłuższy czas załatwioną. Równocześnie pragnie Zarząd Główny umożliwić kontynuowanie wydawania „Taternika“ jako fachowego pisma. Złączenia tego wydawnictwa z „Wierchami“ Zjazd Delegatów nie uznał za odpowiednie, gdyż kwestje opisane w „Taterniku“ zainteresować mogą głównie ściślejszą grupę czynnych turystów o wyższej sprawności. Z tego powodu przyznano w roku ubiegłym Sekcji Turystycznej subwencję w kwocie 1.000 zł.

Z końcem 1928 r. ukazał się VI. rocznik „Wierchów“, poświęcony pamięci poległych za wolność i całość Ojczyzny Podhalań w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, zawierający na wstępie pismo gen. Andrzeja Galicy „Młodym Podhalańcom ku pamięci“. Rocznik ten, obejmujący blisko 14 arkuszy druku, szereg artykułów, kronikę i bogato ilustrowany, został przyjęty przez krytykę nadzwyczaj życzliwie.

Redakcję „Wierchów“ stanowili: Prof. dr. J. G. Pawlikowski, jako redaktor naczelny, prof. W. Goetel, jako współredaktor, oraz pp.: Prof. A. Chybiński, dr. R. Kordys i mjr. B. Romaniszyn, jako członkowie komisji redakcyjnej.

W lecie zesłoroczny rok ukazał się Nr. 9—10 „Przeglądu Turystycznego“, zawierający wskazówki prof. Feliksa Rapfa do znakowania szlaków turystycznych w górach, sprawozdanie z działalności Zarządu Głównego oraz oddziałów, kół i sekcji P. T. T. za rok 1927, informację schroniskowe, artykuły o bieżących sprawach ochrony przyrody, sprawozdanie o wydawnictwach i obszerą kronikę. „Przegląd Turystyczny“, redagowany przez p. Stanisława Fächera, pod kierunkiem prof. dr. Goetla, spełniał doskonale swe zadanie informowania członków o bieżących sprawach dotyczących turystyki i działalności P. T. T. wogóle.

Połączenie „Przeglądu“ z „Wierchami“ jest ze względów wydawniczych potrzebne, dział informacyjny jednak na tem nie ucierpi i redakcja tego działu pozostanie w dotychczasowych rękach.

Po dłuższej przerwie ukazały się w roku 1928 trzy numery „Taternika“. Dalsze trzy złączone w jeden są w druku i wyjdą niebawem jako publikacja jubileuszowa Sekcji Turystycznej P. T. T. Numery, które się ukazały, pod względem rozmiarów i treści stoją na poziomie przedwojennym tego wydawnictwa. Składają się na nie artykuły treści ideologicznej (M. Świerza: „O powrót do wielkości Tatr“), opisowej (K. Narkiewicz-Jodko: „Z dziennika wyprawy granicznej“ — E. W. Janczewski: „Matterhorn“), historycznej (M. Świerza: „Zdobycie Mięgoszowieckiego Szczytu“ — R. Kordysa: „Itinerarium Staszica“, „Do kwestji drugiego polskiego wyjścia na Mont Blanc“). Dalej wyczerpujące rubryki: „Nowe drogi“ oraz obfita kronika. „Taternik“ wychodził w r. ub. pod redakcją prof. dr. Mieczysława Świerza. Redakcja składa się z najwybitniejszych taterników, którzy zajmują się turystyką w teorii i praktyce, toteż fachowe ujęcie spraw, spisanych w „Taterniku“, nie pozostawia nic do życzenia.

W końcu nadmienić należy, że w ubiegłym roku, z inicjatywy P. T. T., wydała Firma „Gea“ w Warszawie 7 arkuszy mapy turystycznej Beskidów, a mianowicie:

Szczawnica-Pieniny-Żegiestów, Piłsko-Barania Góra, Czarnohora-Żabie, Jaremcze-Worochta, Babia Góra, Magórka-Bielsko-Klimczok, Beskid Nowosądecki.

P. T. T. przyczyniło się wydatnie do tego wydawnictwa, wypłacając powyższej firmie na poczet arkusza 1—6 kwotę 16.000 zł — a na poczet arkusza 7 i 8 kwotę 5.350 zł. Z kwot powyższych złożył kwotę 1.350 zł Oddział Tarnowski a kwotę 1.000 zł Oddział Nowosądecki.

Z powodu trudności finansowych firma „Gea“ nie wydała dotychczas zaliczowanego przez P. T. T. arkusza 8-go (Cieszyn).

Celem obecnego wydania mapy turystycznej Beskidów było wypełnić brak tego rodzaju mapy. P. T. T. zdawało sobie sprawę z tego, że mapa ta nie będzie doskonałą,

gdyż opiera się ona na dawnej mapie austriackiej sztabu generalnego, która jest już przestarzała. Dopiero nowa, dokładna reambulacja mogłaby być podstawą wydania mapy, uwzględniającej należycie stan obecny. Narazie jest to ze względów finansowych niemożliwe i obecnie wydana mapa przejściowo odda znaczne usługi turystom, niemającym dotychczas żadnej mapy. Zresztą P. T. T. a zwłaszcza interesowane oddziały przeprowadziły o ile możliwości dokładną korektę każdego arkusza zarówno pod względem nomenklatury nazw jak też trasy i znakowania szlaków górskich.

Firma okazała dużo dobrej woli przy wykonaniu powyższych arkuszy mapy. Stwierdzone usterki należy przypisać temu, że młoda firma niema jeszcze dostatecznej ilości odpowiednio wyrobionego, fachowego personalu, zwłaszcza pomocniczego i brak jej środków finansowych. Niestety, pokup tych map jest bardzo słaby, mimo, że cena arkusza (dla członka 1'60 zł, dla nieczłonka 2'50 zł) jest bardzo przystępna. Zwracamy się zatem z apelem do wszystkich oddziałów, kół i sekcji P. T. T. o propagowanie tego wydawnictwa wśród ludności na swym terenie działania.

Wkońcu podajemy następujące najważniejsze uchwały ostatniego Zjazdu Delegatów P. T. T., dotyczące wydawnictw i t. p.:

1) Zjazd Delegatów uchwala, aby zaczynając od roku 1929 „Wierchy“, podobnie jak dawniej „Pamiętnik P. T. T.“ otrzymywali wszyscy członkowie P. T. T. i poleca Zarządowi Głównemu wykonanie tej uchwały.

2) Zjazd Delegatów P. T. T. poleca Zarządowi Głównemu wydanie ozdobnego albumu gór polskich z podpisami w języku polskim i w językach obcych, traktowanego jako wydawnictwo propagandowe.

3) Zjazd Delegatów P. T. T. poleca Zarządowi Głównemu podjęcie starań, celem połączenia „Wierchów“ i „Przeglądu Turystycznego“ w jedno wydawnictwo, wychodzące periodycznie na podobieństwo wydawnictwa szwajcarskiego klubu alpejskiego p. t.: „Les Alpes“.

4) Zjazd uznaje za rzecz wskazaną wykonanie mapy plastycznej Karpat Wschodnich i poleca Zarządowi Głównemu rozpatrzenie tej sprawy.

Oraz następującą rezolucję:

Zjazd Delegatów apeluje do wszystkich oddziałów, aby wśród swych członków popierały jaknajusilniej rozprzedaż „Wierchów“ i mapy beskidowej.

VII. RÓŻNE SPRAWY.

Przedewszystkiem należy tutaj omówić działalność propagandową Zarządu Głównego. Doniosłą akcją odczytową prowadzą wyłącznie oddziały, jakkolwiek wielu członków Zarządu Głównego bierze w tej akcji wybitny udział.

Na rok obecny poczyniono przygotowania do stworzenia osobnego działu turystycznego na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

W lutym b. r. odbyła się w tej sprawie konferencja w Warszawie zwołana przez Związek Polskich Towarzystw Turystycznych z inicjatywy Ministerstwa Robót Publicznych, które życzyło sobie, aby akcja ta spoczęła w jednych odpowiedzialnych rękach. W wyniku powyższej konferencji powołano do życia w łonie Związku Polskich Towarzystw Turystycznych Komitet Wystawowy, który otrzymał od Ministerstwa Robót Publicznych subwencję w kwocie 20.000 zł. oraz do dyspozycji trzy ubikacje z kurytarzem w Zakładzie Chemji w Poznaniu na cele wystawy działu turystycznego. Z powyższej kwoty otrzymało P. T. T. 9.000 zł., dzięki czemu może ono przystąpić do powyższej pracy bez nadmiernego zaangażowania na ten cel własnych funduszy.

Komitet Wystawowy zorganizował się bezzwłocznie i powziął następujące uchwały:

Polski Klub Automobilowy w Warszawie otrzymał do swej wyłącznej dyspozycji jedną ubikację oddzielną i ewentualnie część kurytarza, dwie zaś ubikacje obok siebie otrzymało P. T. T. i Polskie Towarzystwo Krajoznawcze z tem, że pomieszczone tam zostaną również ewentualnie ekspozyty Polskiego Związku Narciarskiego i Wojewódzkiej Komisji Turystycznej w Tarnopolu.

Z subwencji 20.000 zł. zarezerwowano po 500 zł dla Polskiego Związku Narciarskiego i Wojewódzkiej Komisji Turystycznej w Tarnopolu na wypadek dostarczenia przez nią ekspozatów w 4.000 zł. na kosztą ogólne, przedewszystkiem na dekorację lokalu wystawowego. Resztę rozdzielono między P. T. T. (9.000 zł.) i Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (6.000 zł.).

Przygotowanie eksponatów jest już w toku. Zarząd Główny P. T. T. powierzył przygotowanie eksponatów p. Stanisławowi Fächerowi pod kierownictwem prof. Goetla, a opracowanie materiału do wykresów p. prof. Sykutowskiemu. Eksponaty P. T. T. będą obejmować powiększenia zdjęć fotograficznych z Tatr i Beskidów, także przezrocza, mapy plastyczne Tatr i części Czarnohory, wydawnictwa, model schroniska na Hali Gąsienicowej, panoramy, wykresy i inne. Spodziewać się należy, że dział ten wypadnie interesująco.

Podobnie jak w latach ubiegłych urządził Zarząd Główny w lecie z. r. w Zakopanem od dnia 12 do 18 sierpnia Tydzień Tatrzański z następującym programem:

W pierwszym dniu odbyła się zbiórka uliczna na budowę i utrzymanie ścieżek i schronisk w Tatrach, w dniu 13 sierpnia nabożeństwo żałobne za spokoj duszy ś. p. Leopolda Swierza, odczyt prof. dr. Jana Pawlikowskiego pod tytułem: „Taternictwo dawne a dzisiejsze“, w dniu 14 sierpnia odczyt dr. Mieczysława Swierza p. t.: „Ci, którzy odeszli“, w dniu 15 sierpnia nabożeństwo z okazji 25-letniego jubileuszu Sekcji Turystycznej P. T. T. w starym kościółku, złożenie wieńców na grobach zasłużonych taterników na starym i nowym cmentarzu, zebranie jubileuszowe powyższej Sekcji, wspólny obiad i wieczorem zebranie towarzyskie. Dnia 16 sierpnia odczyt mjr. Bronisława Romaniszyna p. t.: „Ideologia taternictwa polskiego a współczesne prądy w alpinizmie europejskim“, w dniu 17 sierpnia odczyt prof. dr. W. Goetla p. t.: „Jakiemi pomysłami chciano zniszczyć Tatry w ostatnich latach?“ Wreszcie w dniu 18 sierpnia wiec członków P. T. T. i gości z następującym porządkiem dziennym: 1) zagajenie Prezesa P. T. T., 2) wybór prezydium wiecu, 3) sprawa Parku Narodowego Tatrzańskiego, ref. prof. W. Goetla, 4) potrzeby Zakopanego a turystyki, 5) Wnioski i interpelacje.

Przebieg wiecu członków i gości był bardzo interesujący, dyskusja ożywiona. Przewodniczył prof. dr. T. Grabowski, w dyskusji brali udział: prof. dr. J. G. Pawlikowski, prof. dr. W. Goetel, mjr. Romaniszyn, dyr. Janta Połczyński, prof. dr. Stanisław Sokolowski, radca min. J. Gibas i inni.

Uchwalono jednomyślnie następujące rezolucje:

1) Wiec zwraca się do Rządu z apelem, aby ze względu na postępujące w gwałtowny sposób zniszczenie Tatr, które zagraża całemu ruchowi turystycznemu oraz letniskowemu w Tatrach i Zakopanem pozbawieniem podstawy dla tego ruchu, jaką jest nieknięte piękno przyrody górskiej, przyspieszono o ile możliwości prace nad zamianą Tatr na pograniczny Park Narodowy, — do Sejmu, aby w jesieni b. r. przeprowadził ustawę o zamianie Tatr na Park Narodowy, a to wzorem Czechosłowacji, gdzie projektuje się ogłoszenie Parku Narodowego Tatrzańskiego w r. b. jako jubileuszowym 10-lecia republiki Czeskosłowackiej.

2) Wiec zwraca się do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych z usilną prośbą, aby w czasie ile możliwości najkrótszym przeprowadzono zakupno na rzecz Państwa dóbr Szaflary i Poronin w Tatrach celem ochrony lasów tatrzańskich, należących do tych dóbr, przed zupełną ich dewastacją, która byłaby katastrofą dla Parku Narodowego, turystyki i letnisk podtatrzańskich.

3) Wiec uważa za najpilniejszą inwestycję w Zakopanem, której przeprowadzenie jest konieczne dla utrzymania ruchu gości oraz dla urzędzenia w ziemie w Zakopanem międzynarodowych mistrzostw Europy w narciarstwie, rozszerzenie wodociągu zakopiańskiego.

4) Wiec uznaje za konieczne celem utrzymania Zakopanego w charakterze centralnej stacji turystycznej na Podhalu, budowę hotelu turystycznego, wyciągu linowego na Gubałówkę i drogi na Gubałówkę, nadto poprawę dróg i regulację Zakopanego.

5) Wiec domaga się przywrócenia biletów turystycznych niskowych powrotnych do Zakopanego celem umożliwienia przyjazdu do Zakopanego najszerzym warstwom społeczeństwa.

6) Wiec wyraża głębokie ubolewanie z powodu zupełnego zaniedbania, w jakim znajduje się stary cmentarz w Zakopanem, na którym spoczywają śmiertelne szczątki tak wielkich postaci dawnego Zakopanego i Podhala jak ks. Stolarczyk, dr. Chałubiński, S. Witkiewicz, Dembowski i inni i wzywa kompetentne czynniki miejscowe do zaopiekowania się cmentarzem, a Zarząd Główny P. T. T. do pilnowania tej sprawy.

7) Wiec zwraca się stanowczo przeciwko rozporządzeniom miejscowych władz skarbowych, zmierzającym do wzmoczenia wyszynku alkoholów, sprzedawanych w schroni-

skach P. T. T. dla celów dochodowych skarbowych i uprasza Zarząd Główny o szczegółowe zbadanie tej sprawy, zwłaszcza w odniesieniu do schroniska na Hali Gąsienicowej, oraz o przedsięwzięcie odpowiednich kroków zaradczych.

Przebieg Tygodnia Tatrzańskiego był naogół korzystniejszy niż poprzedniego roku. Frekwencja na odczytach elity inteligencji była znaczna, gdyż interesująca treść odczytów i osoby prelegentów stanowiły wielką atrakcję. Dziwi się jednak należy, że ogół gości zakopiańskich tak jak po inne lata nadzwyczaj mało interesuje się zagadnieniami turystycznymi w przeciwieństwie do społeczeństw zachodnio-europejskich. Wielki wysiłek członków Zarządu Głównego przebywających w Zakopanem, aby Tygodniem Tatrzańskim zainteresować ogół osób przebywających w Zakopanem, wydał stosunkowo niewielki rezultat, tak, że postanowiono zaniechać urządzania na przyszłość zbiórek, a Tydzień Tatrzański wypełnić wyłącznie akcją propagandową.

Wynik finansowy Tygodnia był nieco lepszy niż ubiegłego roku, czysty dochód wynosił 536 zł. 18 gr.

Z drobniejszych spraw zanotować należy, że P. T. T. reprezentowali na tegorocznych wielkich mistrzostwach narciarskich Europy w Zakopanem w lutym b. r. prof. dr. W. Goetel i mjr. Romaniszyn.

Z uchwał ostatniego Zjazdu Delegatów zanotować jeszcze tutaj wypada następujące:

1. Zjazd Delegatów poleca Zarządowi Głównemu w związku z zamierzonym okólnikiem Ministerstwa Robót Publicznych poczynienie starań, aby miejskie i powiatowe związki komunalne popierały finansowo prace Towarzystwa i jego oddziałów.

2. Zjazd Delegatów poleca Zarządowi Głównemu wdrożenie starań o uzyskanie dla budowy schronisk i ścieżek w górach poparcia finansowego Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego przy M. S. Wojsk. ■

Oraz następujące rezolucje:

1. Zjazd Delegatów wyraża serdeczne podziękowanie władzom i instytucjom a zwłaszcza Ministerstwu Spraw Zagranicznych, Ministerstwu Robót Publicznych, Województwu Śląskiemu, Tymczasowej Komisji Uzdrowiskowej w Zakopanem, oraz Kasie Oszczędności miasta Krakowa, za udzieloną Towarzystwu pomoc przez subwencjonowanie prac Towarzystwa, oraz apeluje do powyższych czynników o udzielanie nadal wydatnej pomocy.

2. Zjazd Delegatów wyraża serdeczne podziękowanie władzom wojskowym a w szczególności Dow. O. Korp. V. za wydatną pomoc przy budowlach turystycznych w Tatrach.

W końcu kilka słów o działalności Wojewódzkich Komisji Turystycznych w odniesieniu do gór polskich.

Wojewódzka Komisja Turystyczna w Krakowie odbyła w okresie sprawozdawczym 3 posiedzenia, a to dnia 5 maja i 19 grudnia 1928 r. oraz 1 stycznia 1929 r.

Przedmiotem posiedzenia w dniu 5 maja 1928 r. były między innymi następujące sprawy: zawiązanie lokalnych towarzystw opieki nad zabytkami na terenie województwa, ustalenie zarysu organizacyjnego lokalnych komitetów turystycznych w pomniejszych uzdrowiskach, propaganda turystyki w uzdrowiskach i zdrojowiskach oraz program współpracy członków komisji w sprawach komunikacyjnych, pocztowych jakoteż ochrony przyrody i zabytków w związku z wydaniem popularnej publikacji w tej sprawie.

Celem opracowania szczegółowego projektu organizacji lokalnych Komitetów turystycznych wybrano podkomisję, do której wszedł delegat P. T. T. Podkomisja ta wyraziła jednomyślnie pogląd, aby opierając się na noweli do ustawy uzdrowiskowej z dnia 22 marca 1928 Dz. U., Nr. 36. przyznać odnośnym gminom prawo pobierania taks (1 zł od osoby lub dla rodzin od dalszej osoby 50 gr tygodniowo). Pod nadzorem Starostw gminy te winny ustanowić osobne organa, których zadaniem będzie *a)* administracja funduszu płynącego z opłat, *b)* stałe komunikowanie się w lokalu urzędowym z letnikami (kuracjuszami), *c)* utrzymywanie księgi zażaleń, *d)* prowadzenie statystyki gości i zajmowanych pomieszczeń, *e)* współdziałanie z istniejącymi organizacjami obywatelskimi (np. z P. T. T.).

W dniu 19 grudnia z. r. odbyło się następne posiedzenie Komisji, na którym obok dalszego omawiania sprawy Komitetów obywatelskich dla popierania turystyki w pomniejszych miejscowościach rozważano między innymi sprawę ujęcia ruchu autobusowego dla Województwa Krakowskiego oraz rozbudowę i regulację Zawoju jako uzdrowiska. W szczególności podano do wiadomości, że zawiązano Komitety obywatelskie w Poroninie, Krościenku, Czarnym Dunajcu, Witowie, Białym Dunajcu, Bukowinie, Muszynie,

Piwnicznej, Rytrze, Wysowej, Myślenicach, Jeleśni, Hucisku, Sól, Milówce, Zawoji, Jordanowie, Makowie, Szczyrku, Porąbce, Bystrej, Podlesiu Kąckiem i Lanckoronie.

W związku z omawianiem spraw komunikacyjnych powzięto uchwałę, że ujęcie sprawy bezpieczeństwa na drogach publicznych wymaga szczególnej uwagi odnośnych władz oraz natchmiastowego stworzenia organizacji straży drogowej.

Na posiedzeniu Komisji w dniu 8 stycznia 1929 r. przyjęto regulamin Komisji, opracowany przez subkomitet. Następnie przy omawianiu regulacji i rozbudowy Zawoji uznano za potrzebne jaknajrychlejsze opracowanie planu regulacyjnego i skomasowanie gruntów na Wilczej pod Babią Górą. Celem przeprowadzenia tych postulatów wybrano stałą subkomisję, do której wszedł również delegat P. T. T.

Dalej omawianą była sprawa budowy Domu wycieczkowego w Krakowie, na który przeznaczyło Ministerstwo W. R. i O. P. narazie kwotę 300.000 zł. Wreszcie rozważano sprawę ruchu wycieczkowego w związku z Krajową Wystawą w Poznaniu.

Należy stwierdzić, że działalność Krakowskiej Wojewódzkiej Komisji Turystycznej jest żywa i daje pozytywne rezultaty.

Również bardzo ruchliwą jest *Wojewódzka Komisja Turystyczna w Katowicach*.

W celu przeprowadzenia planowej akcji oraz wydatniejszych wyników pracy zostały utworzone przy tej Komisji cztery referaty, a mianowicie: 1) referat komunikacji kolejowej i ruchu autobusowego, prowadzony przez radcę Tadeusza Stopczyńskiego, 2) referat prowadzenia i uruchomienia nowych domów wycieczkowych, prowadzony przez przewodniczącego wizytatora Władysława Miedniaka, 3) referat opieki nad pamiątkami przeszłości i zabytkami artystycznymi, prowadzony przez konserwatora śląskiego dr. Tadeusza Dobrowolskiego i 4) referat ochrony przyrody prowadzony przez prof. inżyniera Władysława Gębika.

ad 1) Przeprowadzono szereg pertraktacji z właścicielami autobusów, w wyniku których ruch autobusowy na Śląsku ostatnio znacznie się poprawił i ożywił. Następnie przeprowadzono konferencję w sprawie zmian w rozkładzie jazdy kolejowej i przedłożono Ministerstwu Komunikacji dotyczące postulaty z prośbą o uwzględnienie.

ad 2) Oprócz dotychczasowych domów wycieczkowych w Katowicach, Królewskiej Hucie, Zakopanem, Zawoji, Brennej, Wiśle, Istebnej, Jaworzu, Nałężu, Cieszynie i Bielsku, zaopatrzonych mniej więcej w 420 łóżek, uruchomiono 3 nowe domy wycieczkowe, a to w Ojcowie na 40 łóżek, Sromowcach Wyżnich w Pieninach na 40 łóżek i na Równicy w Beskidach na 20 łóżek, nadto wdrożono starania o uruchomienie domów wycieczkowych w Krakowie, Łodzi i Sandomerzu.

Z uwagi na ogromny ruch wycieczkowy na Śląsku, w ostatnim bowiem sezonie letnim zwiedziło Śląsk przeszło 200 wycieczek w ogólnej liczbie około 8.000 wycieczkowiczów, którym Wojewódzka Komisja nie była w możności udzielić noclegów, wszczęła ona starania o wybudowanie w Katowicach własnego domu wycieczkowego z garkuchnią.

Z powodu licznych wycieczek z Górnego Śląska w Pieniny, subwencionowanych wielokrotnie przez Wojewódzką Komisję turystyczną, postanowiono wybudować tamże własny dom wycieczkowy i w tym celu zakupiono parcelę w Sromowcach Niżnich u podnóża Trzech Koron.

Mając na uwadze korzyści, jakie młodzież szkolna odnosi z dobrze zorganizowanej i przygotowanej wycieczki, Wojewódzka Komisja Turystyczna postanowiła uruchomić w bieżącym roku kursa przygotowawcze dla przewodników i kierowników wycieczek szkolnych i ludowych, połączone z cyklem wykładów obejmujących pamiątki historyczne oraz zabytki kultury przedwzyskiem Krakowa i Warszawy z okolicą oraz piękno przyrody Tatr, Beskidów i Pienin. Wojewódzka Komisja Turystyczna postanowiła wyasygnować na pokrycie kosztów połączonych z urządzaniem powyższych kursów odpowiednią kwotę do wysokości zł. 3.000.

Sprawozdanie Komisji podaje szczegółowe zestawienie dotyczące gospodarki i ruchu wycieczkowego w domach wycieczkowych. Ogólna liczba korzystających z tych domów wynosiła przeszło 4.400 osób t. j. o 50% więcej niż w 1927 r. Niezawodnie liczba ta z roku na rok będzie w szybkim tempie wzrastała.

Nadmienia się, że na Równicy uruchomiła Wojewódzka Komisja Turystyczna dom wycieczkowy dla młodzieży szkolnej na 20 łóżek w schronisku Polskiego Tow. Tatrzańskiego, które użyczyło na ten cel bezpłatnie lokalu.

Wojewódzka Komisja Turystyczna przyszła następnie z pomocą Związkowi Ochrony

Kresów Zachodnich przy urządzaniu kolonji wakacyjnych dla biednej dziatwy robotniczej ze Śląska w Wiśle, Jasienicy, Jaworzu Srednim i Dolnym, Wapienicy, Czarnym Dunajcu i Nieglowicach wypożyczając mu na ten cel potrzebny inwentarz. Na tych kolonjach przebywało w zeszłym roku 1.450 dzieci.

ad 3) i 4) Referat opieki nad pamiątkami przeszłości i zabytkami historycznymi oraz referat ochrony przyrody wspólnie z Towarzystwem Przyjaciół Muzeum Śląskiego, oraz Okręgowym Konserwatorem wydał ze względu na potrzebę uzyskania przeglądu istniejących w Województwie Śląskiem zabytków dotyczących wszelakich przejawów życia kulturalnego i mających znaczenie historyczne, jak również okazów i zabytków przyrody, odezwe do społeczeństwa polskiego na Śląsku w 6.000 egzemplarzy z dołączeniem kwestjonarjusza z prośbą o podanie Komisji wszelkich w powyższym kierunku wiadomości. Dotychczas wpłynęło około 4.000 odpowiedzi, których segregowaniem zajął się p. Piotr Kądziała, Dyrektor Gimnazjum z Mikołowic.

Obrót kasowy Wojewódzkiej Komisji Turystycznej wynosił w 1928 r. 63.689/99 zł.

Wojewódzka Komisja Turystyczna w Lwowie na posiedzeniach swych odbytych w okresie roku sprawozdawczego 1928/1929 starała się usilnie o wprowadzenie w życie wśród istniejących towarzystw turystycznych na terenie tego województwa szerszej akcji propagandowej z uwzględnieniem w pierwszym rzędzie interesów tak turystyki górskiej jak i płaskiej. Pozatem popierała żywo stale z dobrym wynikiem wszystkie prośby towarzystw turystycznych o subwencje na cele turystyki, dotychczas górskiej. Interwenjowała w Dyrekcji Kolei Państw. o dogodne dla turystyki rozkłady jazdy w ruchu kolejowym, a nawet odniosła się do Min. Komunikacji o wprowadzenie motorówek na linii kol. Lwów—Ławoczne, z poparciem akcji tej przez Wydział Turyst. Min. Rob. Publ. Starala się w Dyrekcji Banku Gosp. Kraj. o pożyczki na budowy schronisk w Karpatach. Interwenjowała w Kuratorjum Lwowsk. Okręgu Szkolnego o założenie większej ilości domów szkolnych wycieczkowych noclegowych na terenie tego województwa z tem, by wycieczkom turystycznym wolno było w tych domach korzystać z noclegów za zwrotem kosztów odczyszczania sali szkolnej. Wkońcu spowodowała u Kół miarodajnych żywsze starania się o: 1) uregulowanie ruchu autobusowego, w szczególności zaprowadzenia ruchu takiego wzdłuż Karpat; 2) wydanie mapy turystycznej i rozkładów jazdy autobusów oraz zakładanie dworców autobusowych; 3) zebranie się specjalnego Komitetu dla wydania „Przewodnika po Województwie Lwowskiem” z uwzględnieniem interesów i potrzeb turystyki, przyczem nadmienia się, że prace w tym kierunku są już przez Komitet zapoczątkowane, i 4) założenie we Lwowie „Zjednoczonego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego”.

Zarazem zaznacza się, że najbliższem zadaniem Woj. Komisji Turyst. we Lwowie jest wprowadzenie w czyn także ruchu turystycznego płaskiego.

Wojewódzka Komisja Turystyczna w Kielcach powołana została do życia dnia 13 lipca 1925 roku. Przewodniczącym jest wicewojewoda dr. Adam Kroeb, sekretarzem inż. M. Walentowski. Komisja o charakterze półurzędowym i półobywatelskim, bezpośrednio prac około opieki nad rozwojem turystyki nie wykonywała, natomiast starała się skoordynować prace urzędowe w kierunku popierania turystyki, z pracami organizacji powołanych specjalnie do krzewienia krajoznawstwa i turystyki, do stwarzania odpowiednich udogodnień dla turystów i t. p.

W tym względzie Komisji udało się wiele organizacji pobudzić do pracy, udało się uzyskać subwencje dla tych organizacji na cele turystyczne. Z najważniejszych prac, które za inicjatywą W. K. T. zostały przeprowadzone, wymienia się: oznaczenie dróg turystycznych pieszych w górach Świętokrzyskich i w dolinie Prądnika w Ojcowie — utworzenie przez Oddział Tow. Krajoznawczego w Olkuszcu domu wycieczkowego w Pieskowej Skale na 40 łózek, — uzyskanie od Nadleśnictwa Bodzentyn, od Radomskiej Dyrekcji Kolei Państw. w Złotym Potoku pod Częstochową i na posterunku Policji Państwowej w Sułoszowej koło Pieskowej Skały, po kilka do kilkunastu pomieszczeń dla wycieczek turystycznych, — przewożenie wycieczek turystycznych prywatną kolejką leśną: „Zagnańsk—Sw. Katarzyna—Hucisko” celem udostępnienia zwiedzania gór Świętokrzyskich. Jako jeden zaś z najważniejszych momentów podnieść należy wybudowanie dróg bitych na Sw. Katarzynę w Górach Świętokrzyskich i dróg bitych łączących Ojców z jednej strony z Krakowem, z drugiej z Olkuszem. Drogi te Sejmiki wybudowały przy wydatnem poparciu W. K. T. u Władz Centralnych.

Odrogiem leżący teren pod względem turystyki a szczególnie pod względem udogodnień dla turystów, zmusił Komisję do skierowania swej uwagi na stwarzanie udogodnień i udogodnień na własnym terenie.

Po tej niejako początkowej fazie, W. K. T. zajmie się propagandą dla skierowania turystów na teren Województwa Kieleckiego, tak obfitego w godne zwiedzenia obiekty historyczne, przeróżne i charakterystyczne osobliwości natury i równolegle zajmie się propagandą na rzecz turystyki górskiej.

* * *

Jakkolwiek niektóre inne Wojewódzkie Komisje Turystyczne są również bardzo czynne, nie otrzymaliśmy jednak dotyczących sprawozdań z ich działalności i dlatego niestety nie możemy o nich podać żadnych szczegółów.

Na zakończenie należy zauważyć, że z inicjatywy P. T. T. rozpisało Ministerstwo Robót Publicznych ankietę w sprawach Zakopanego na 8, 9 i 10 marca 1929 r. W pierwszym dniu mają być omawiane sprawy Tatr i Podhala, w drugim sprawy Zakopanego, w trzecim zaś sprawy innych letnisk i uzdrowisk w powiecie Nowotarskim.

Sprawy ochrony Tatr referuje prof. dr. W. Goetel, sprawy turystyki dr. R. Kordys, sprawy komunikacyjne mjr. Br. Romaniszyn i sprawę planu regionalnego Podhala inż. Stryjeński. Szczegółowe sprawozdanie z ankiety ukaże się w niedługim czasie w publikacjach P. T. T.

* * *

Z powyższego sprawozdania okazuje się, że rok ubiegły był pod każdym względem dla Towarzystwa pomyślny i życzyć należy, aby Towarzystwo rozwijało się nadal podobnie jak dotychczas, rozszerzając kulturę turystyczną na całą Rzeczpospolitą.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie:

Sekretarz:

Dr. Emil Stolf, mp.

Prezes:

Inż. Jan Czerwiński, mp.

W Krakowie, dnia 1 marca 1929 r.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKOWE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO P. T. T. W KRAKOWIE
ZA ROK 1928
ORAZ
PRELIMINARZ DOCHODÓW I WYDATKÓW
NA ROK 1929.

Z A M K N I Ę C I E

KSIĄG ZARZĄDU GŁÓWNEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA

Przychód:

1. Saldo z roku 1927:			
a) gotówka w kasie w Krakowie	777·53		
b) gotówka w kasie w Zakopanem	703·70		
c) lokata w Banku Gosp. Krajowego	3.341·—		
d) „ „ P. K. O. w Krakowie	2.136·26		
e) „ „ P. K. O. w Warszawie	10·95		
f) „ „ M. K. O. w Krakowie	<u>2.470·25</u>	9.439·69	
2. Za wkładki członkowskie należne Centrali:			
a) wpłacone w biurze P. T. T. w Krakowie	64.122·07		
b) „ „ „ „ „ Zakopanem	<u>3.100·—</u>	67.222·07	
3. Za wpływy na inwestycje od nowowstępujących członków:			
a) biura w Krakowie	9.395·25		
b) „ „ Zakopanem	<u>811·76</u>	10.207·01	
4. Za dochód z legitymacyj konwencyjnych			9.173·50
5. Za wpływy na Ligę Ochrony Przyrody:			
a) biura w Krakowie	1.343·70		
b) „ „ Zakopanem	<u>114·30</u>	1.458·—	
6. Za dochód z wycieczek, organizowanych przez biuro w Zakopanem . .			139·—
7. Za dochód z Tygodnia Tatrzańskiego			776·48
8. Za dochód z Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem:			
a) z noclegów	5.007·68		
b) z czynszu restauracji turystycznej	683·25		
c) z czynszu Biblioteki publ.	280·—		
d) z wpływu na inwestycje w Dworcu	<u>223·20</u>	6.194·13	
9. Za dochód ze schroniska w Roztoce:			
a) biuro w Krakowie	150·—		
b) „ „ Zakopanem	<u>1.200·—</u>	1.350·—	
10. Za dochód z czynszu ze Szkoły Przemysłu drzewnego w Zakopanem			1.520·—
11. Za dochód z wydawnictw:			
a) z map	3.947·95		
b) z „Wierchów“	2.035·58		
c) z publikacji, sprzedanych w biurze w Zakopanem . . .	<u>911·—</u>	6.894·53	
12. Za dochód ze sprzedaży odznak:			
a) w biurze w Krakowie	101·—		
b) w biurze w Zakopanem	<u>263·—</u>	364·—	

Do przeniesienia . . . 114.738·41

RACHUNKOWE

TATRZAŃSKIEGO W KRAKOWIE ZA ROK 1928.

Rozchód:

1. Za wydatki administracyjne:		
A) biura w Krakowie:		
a) pensje i remuneracje, wkładki do Kasy Chorych i Zakładu Pensyjnego urzędników i służby	7.512'27	
b) portorja listów i paczek, telegramy, telefony	3.833'21	
c) czynsz za lokal, światło i opał	1.720'31	
d) papiery, materiały pisemne i powielarskie i przybory kanc.	1.791'24	
e) drobne	487'97	
	<u>15.345 —</u>	
B) biura w Zakopanem:		
a) pensje i remuneracje, wkładki do Kasy Chorych i Zakładu Pensyjnego urzędników i służby	4.122'64	
b) portorja listów i paczek, telegramy	414'02	
c) telefon biura	720'91	
d) światło	501'90	
	<u>5.759'47</u>	
e) urządzenie Tygodnia Tatr.	240'30	
	<u>5.999'77</u>	21.344'77
2. Za zakupno ruchomego inwentarza:		
a) dla biura w Krakowie	1.191'80	
b) „ „ „ Zakopanem	83 —	1.274'80
3. Za wydatki na remont biura w Krakowie		720'45
4. Za wydatki biura w Zakopanem na zakupno publikacyj		470'—
5. Za druk legitymacyj konwencyjnych		1.640'62
6. Za asekuracje budynków:		
a) biuro w Krakowie	228'64	
b) „ „ Zakopanem	529'50	758'14
7. Za zapłacone podatki:		
a) przez biuro w Krakowie	1.187'22	
b) „ „ „ Zakopanem	546'50	1.733'72
8. Za wydatki na roboty w górach:		
A) Konserwacja i znakowanie ścieżek w Tatrach:		
a) przez biuro w Krakowie	410'—	
b) „ „ „ Zakopanem	2.296'—	
	<u>2'706'—</u>	
B) Subwencje na konserwację i znakowanie ścieżek oraz na budowę i konserwację schronisk w Tatrach i Beskidach, udzielone Oddziałom:		
a) w Stanisławowie gotówką	6.000'—	
w Stanisławowie drogą potrącenia	630'—	
b) w Kołomyjach drogą potrącenia	180'—	
c) w Nowym Sączu drogą potrącenia	594'—	
d) w Szczawnicy drogą potrącenia	180'—	
w Szczawnicy gotówką	200'—	
e) w Nowym Targu drogą potrącenia	105'—	
f) w Zakopanem gotówką	1.000'—	
g) w Tarnowie drogą potrącenia	795'—	
h) w Żywcu drogą potrącenia	9.176'—	
i) w Cieszynie drogą potrącenia	6.150'—	
j) w Katowicach drogą potrącenia	456'50	
k) Tow. Asystentów U. J. na remont schroniska	200'—	
	<u>25.666'50</u>	

Do przeniesienia. . . 27.942'50

Przychód:			
		Z. przeniesienia	114.738'41
13.	Za otrzymane subwencje i datki:		
	A) w biurze w Krakowie:		
	a) z Ministerstwa Robót Publicznych	10.000—	
	b) z Ministerstwa Spraw Zagranicznych	3.000—	
	c) z Województwa Śląskiego	3.500—	
	d) z Klubu Krak. Automobil.	250'	
		<u>16.750—</u>	
	B) w biurze w Zakopanem:		
	a) z Zarządu Uzdrowiska Zakopane	1.600—	
	b) z Zarządu Uzdrowiska Zakopane na biuro informacyjne	1.500—	
	c) drobne datki	74'70	
		<u>3.174'70</u>	19.924'70
14.	Za zaciągniętą pożyczkę wekslową		17.740—
15.	Za zwrócone pożyczki przez Oddziały w Warszawie i Stanisławowie		8.000—
16.	Za zwrot wydatków administracyjnych przez Oddział Krakowski za lata 1927 i 1928		2.875'50
17.	Za zwróconą Zarządowi Głównemu przez Oddział Krakowski zaliczkę na koszt instalacji elektr. w schronisku przy Morskiem Oku		2.000—
18.	Za zwróconą zaliczkę przez Biuro P. T. T. w Zakopanem		500—
19.	Za osiągnięte procenta z lokaty gotówki w Bankach		147'53
20.	Za zwrot portorjów przez Oddziały		36'80
21.	Za różne wpływy:		
	a) biura w Krakowie	949'50	
	b) „ „ Zakopanem	<u>694'81</u>	1.644'31

Razem 167.607'25

Kraków, dnia 28 marca 1929 r.

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego:

Skarbnik:

Stefan Porębski, mp.

Prezes:

Inż. Jan Czerwiński mp.

		Rozchód:	
	Z przeniesienia		27.942'50
C)	Za wydatki na utrzymanie Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem: a) konserwacja	2.638'49	
	b) inwestycje	2.439'72	
		<u>5.078'21</u>	
	D) Za wydatki na schronisko w Roztoce	240'—	33.690'71
9.	Za wydatki na wydawnictwa:		
	a) na mapy	19.000'—	
	b) na Wierchy, Przegląd Turystyczny i Taternik	18.440'—	37.440'—
10.	Za sporządzenie odznak A. S. T. T.		1.967'10
11.	Za wypłacone Lidze Ochrony Przyrody		900'—
12.	Za zakupno nieruchomości (grunta):		
	a) przez biuro w Krakowie	28.654'—	
	b) " " " Zakopanem	900'—	29.554'—
13.	Za udzielone subwencje i datki na różne cele:		
	A) przez biuro w Krakowie:		
	a) Oddziałowi Krakowskiemu na bibliotekę	1.031'—	
	b) ufundowanie nagrody narciarskiej	319'—	
	c) na dom Piłsudskiego	25'—	
	d) W. Tałachównie	100'—	
		<u>1.475'—</u>	
	B) przez Biuro w Zakopanem:		
	a) Wawrytce Krzeptowskiemu	100'—	
	b) Sekcji Turystycznej P. T. T.	250'—	
		<u>350'—</u>	1.825'—
14.	Za spłacony dług Fundacji Zakłady Kórnickie		817'45
15.	Za zapłacone procenta od pożyczek		3.844'06
16.	Za wypłacone prowizje za pośrednictwo przy kupnie gruntów:		
	a) przez biuro w Krakowie	548'—	
	b) " " " Zakopanem	26'50	574'50
17.	Za zaliczkę na koszt instalacji światła elektrycznego w schronisku przy Morskiem Oku		2.000'—
18.	Za przesłaną do biura P. T. T. w Zakopanem zaliczkę		500'—
19.	Za pokryte koszty delegacji, reprezentacji i podróży:		
	a) przez biuro w Krakowie	3.523'88	
	b) " " " Zakopanem	581'15	4.105'03
20.	Za wkładkę i wpisowe do Związku Pol. Tow. Turystycznych		850'—
21.	Za prowizje i koszty manipulacyjne Banków		162'61
22.	Za różne wydatki:		
	a) biura w Krakowie	989'77	
	b) " " Zakopanem	688'—	1.677'77
Saldo:	a) gotówka w kasie w Krakowie	7.410'08	
	b) gotówka w kasie w Zakopanem	794'05	
	c) lokata w Banku Gosp. Kraj.	5.307'—	
	d) lokata w P. K. O. Kraków	2.821'86	
	e) lokata w P. K. O. Warszawa	37'69	
	f) lokata w M. K. O. Kraków	3.385'84	19.756'52
		<u>Razem</u>	<u>167.607'25</u>

Komisja Rewizyjna sprawdziła zamknięcie rachunkowe i stwierdziła zgodność poszczególnych pozycji z przedłożeniami dowodami.

Jan Fischer, mp. Władysław Skórczewski, mp. Dr. Faustyn Jakubowski, mp.

PRELIMINARZ DOCHODÓW ZARZĄDU GŁÓWNEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA

Przychód:

I. Zwyczajny.		
1.	Za wkładki członków należne Centrali (od 9.000 członków po 8— zł)	72.000—
2.	Wpływy na inwestycje od nowowstępujących członków (od 2.000 członków po 2.50 zł)	5.000—
3.	Dochód z legitymacyj konwencyjnych (4.000 egzemplarzy po 2— zł)	8.000—
4.	Dochód z wycieczek zorganizowanych przez biuro w Zakopanem	100—
5.	Dochód z Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem:	
	a) z noclegów	5.000—
	b) z czynszu restauracji turystycznej	2.000—
	c) z czynszu Biblioteki publ.	2.000—
	d) z wpływów na inwestycje w Dworcu	200—
		9.200—
6.	Za dochód ze schroniska w Roztoce	1.500—
7.	Za dochód z czynszu ze Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem	2.100—
8.	Za dochód z wydawnictw:	
	a) z map	500—
	b) z Wierchów	300—
		800—
9.	Dochód ze sprzedaży odznak	200—
10.	Zwrot wydatków administracyjnych przez Oddział Krakowski za 1929 r.	1.600—
11.	Różne wpływy	100—
	Ad I. Razem	100.600—
II. Nadzwyczajny.		
1.	Subwencje:	
	a) Ministerstwa Robót Publicznych na roboty w górach	20.000—
	b) rządowa na rozbudowę Dworca P. T. T. w Zakopanem	50.000—
	c) Komisja Klimatyczna w Zakopanem α) na roboty w górach i na biuro informacyjne	5.000—
	β) na rozbudowę Dworca P. T. T.	5.000—
		80.000—
2.	Pożyczka na rozbudowę Dworca Tatr. w Zakopanem	100.000—
	Ad II. Razem	180.000—
Suma przychodowa ad I. i II.		280.600—

I WYDATKÓW

TATRZAŃSKIEGO W KRAKOWIE NA ROK 1929.

Rozchód:

I. Zwyczajny.		
1. Za wydatki administr. (incl. koszta ekspedycji wydawnictw):		
A) biura w Krakowie	24.000 [—]	
B) biura w Zakopanem	<u>6.000[—]</u>	30.000 [—]
2. Za druk legitymacyj konwencyjnych		1.000 [—]
3. Za asekurację budynków		1.500 [—]
4. Za płacone podatki		1.800 [—]
5. Za wydatki na roboty w górach:		
A) konserwacja i znakowanie ścieżek w Tatrach	1.000 [—]	
B) subwencje dla Oddziałów na konserwację i znakowanie ścieżek, oraz na budowę i konserwację schronisk w Tatrach i Beskidach:		
a) w Tatrach	4.000 [—]	
b) w Beskidzie Wschodnim	6.000 [—]	
c) w Beskidzie Zachodnim	18.000 [—]	
d) w Pieninach	2.000 [—]	
C) za wydatki na utrzymanie Dworca Tatr. w Zakopanem:		
a) konserwacja	1.000 [—]	
b) inwestycje	1.000 [—]	
c) zakupno inwentarza ruchomego	1.000 [—]	
D) za wydatki na schronisko w Roztoce	3.000 [—]	37.000 [—]
6. Za wydatki na wydawnictwa:		
a) Wierchy i Przegląd Turystyczny	20.000 [—]	
b) subwencja na wydanie Tatarnika	<u>1.000[—]</u>	21.000 [—]
7. Procenta od pożyczek:		
a) od 35.000 zł Zakładu Pensyjnego	3.200 [—]	
b) od 17.700 zł prywatnej wekslowej	<u>1.800[—]</u>	5.000 [—]
8. Za koszta delegacji, reprezentacji i podróży		4.000 [—]
9. Za wkładkę i wpisowe do Związku Pol. Towarzystw Turystycznych		900 [—]
10. Różne wydatki		<u>700[—]</u>
	Ad I. Razem	102.900 [—]
II. Nadzwyczajny.		
1. Spłata pożyczek:		
a) prywatnej wekslowej w całości	17.700 [—]	
b) Zakładu Pensyjnego częściowo	<u>10.000[—]</u>	27.700 [—]
2. Rozbudowa Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem		<u>150.000[—]</u>
	Ad II. Razem	177.700 [—]
	Suma rozchodowa ad I. i II.	280.600 [—]

Kraków, dnia 28 marca 1929 r.

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego:

Sekretarz:
Dr. Emil Stofa, mp.Prezes:
Inż. Jan Czerwiński, mp.Skarbnik:
Stefan Porębski, mp.

SPRAWOZDANIE ODDZIAŁÓW I SEKCYJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO z działalności za rok 1928*).

Oddział P. T. T. w Bochni.

1) W dniach od 5 do 14 lipca z. r. prezes ks. Gadowski i członkowie prof. Fischer i prof. Galas wyznaczyli ścieżki:

Z Dobrej i z Jurkowa na Łopień, Mogielnicę (ludność zwie ją Mogielicą, a szczyt jej Kopą), Krzysztonów, Jasień, Myszyń — do przełęczy Przysłop — znaki niebiesko-białe; dostęp do Mogielnicy od kościoła z Jurkowa wyznaczony kolorem żółto-białym; od tartaku w Pórzeczkach wzdłuż potoku na przełęcz pod Kopą — znakowanie czerwono-białe.

Z Jurkowa na Ćwilin z zejściem na granicę między Kasiną a Gruszowcem i stąd na szczyt Snieżnicy — znaki czerwono-białe.

2) w dniach od 16 do 20 lipca z. r. prezes ks. Gadowski i członkowie Czyżewicz Budzioch wyznaczyli ścieżki w terenie odstąpionym naszemu Oddziałowi przez Oddział w Nowym Sączu:

Z Limanowej przez Łysą Górę na Sałacz — znaki czerwono-białe; do przełęczy przed Sałaczem;

Z Młynnego (szlak główny) przez Dzielec i grzbietem góry na Sałacz — znaki niebiesko-białe; dalej grzbietem na szczyt góry Jaworz (zwanej przez ludność Kretówką), gdzie są obszerne, a niezbadane podziemia — znaki niebiesko-białe; takie same znaki prowadzą grzbietem na szczyt góry Chełm (zwanej Chełmiec) aż do końca grzbietu; stąd zejście przez wieś Kłodne koło szkoły na dworcu kolei w Męcinie — znaki czerwono-białe.

3) W sierpniu z. r. wykonał prezes i członek P. T. T. Czyżewicz znakowanie w terenie na południe od Bochni:

Z Nowego Rybia przez stok Pasierbieckiej Góry koło jeziora na szczyt Kamionnej (Makowica) z zejściem grzbietem do gościńca na przełęczy Widomej — znaki czerwono-białe. Od gościńca z Muchówki, gościńcem Lipnickim na gościńc Rajbrocki — znaki czerwono-białe na Kamień Brodzińskiego (Rajbrocki).

W tym samym czasie prezes, Czyżewicz i Fischer wykonali znakowanie: od szkoły w Połomiu Dużym przy gościńcu, łączącym Wiśnicz Nowy z Łegociną, grzbietem góry drogą do lasu — do Kamienia w Bukowcu, a stąd ścieżką do Leksandrowy koło szkoły do gościńca Lipnickiego — znaki niebiesko-białe. Od zamku wiśnickiego starą drogą przez Kopaliny, Grabinę, Kurów do Bochni — znaki niebiesko-białe.

Oddział P. T. T. „Beskid Śląski“ w Cieszynie.

Działalność Oddziału skierowaną była głównie na dalszą rozbudowę i ulepszenie schroniska na Stożku. W ubiegłym sezonie uzupełniono w dalszym ciągu inwentarz przez zakupno 13 kompletnych łóżek, których liczba doszła w ten sposób do 50-ciu; ponieważ oprócz tego mamy kilkadziesiąt sienników i siano na poddaszu, może obecnie w letniej porze nocować w schronisku ponad 100 osób. Toteż w lecie z. r. nocowało raz na Stożku już 130 osób, a wszystkie znalazły pomieszczenie.

Staraniem Koła w Bielsku urządzony został, obok małej sali na parterze, piękny pokój klubowy kosztem przeszło tysiąca złotych.

*). Sprawozdania oddziałów ułożone są w porządku alfabetycznym ich siedzib. Sprawozdania sekcji są umieszczone na końcu.

Wskutek błędów technicznych, popełnionych podczas budowy przez budowniczego, pokazał się i w tym roku niebezpieczny gość w schronisku w postaci grzyba w kilku ubikacjach, którego radykalne wytepienie znów wielkie sumy pochłonęło.

Wstawienie podwójnych okien w miejsce pojedynczych będzie w porze zimowej szereg ubikacji chroniło przed dokuczliwym zimnem.

Najważniejszym atoli zadaniem, którego mimo usilnych starań w latach ubiegłych, z powodu braku funduszy nie udało się rozwiązać, było założenie wodociągu i wybudowanie lodowni. Cel ten osiągnięto obecnie. Dzięki poparciu firmy „Polbeton“ (inż. J. Grycz) w Cieszynie stanęła na Stożku żelazno-betonowa lodownia i także studnia z pompą i rurociągiem do schroniska. Będzie więc oddat schronisko zaopatrzone w świeżą źródlaną wodę do picia i gotowania, lodownia zaś umożliwi podawanie turystom i gościom odpowiednio utemperowanych napojów i konserwację potraw, zwłaszcza mięsa. Roboty te pochłoną atoli, jak na stosunki Oddziału, olbrzymie sumy, wynoszące blisko 15.000 zł. (szczegółowego obrachunku do tej chwili jeszcze niema), tak iż Oddział nie będzie w stanie pokryć ich z bieżących dochodów i będzie zmuszony zaciągnąć dług krótkoterminowy.

Okoliczność ta nie pozwoli mu także pewnie przystąpić do budowy schroniska na Kamiennym w Wiśle, którą zamierzał wykonać w roku następnym. Budowę tę będzie musiał odłożyć do r. 1930.

Z mniejszych robót, przeprowadzonych w ostatnim sezonie, wymienić jeszcze należy umieszczenie tablic orientacyjnych od strony Wisły, wykonanych staraniem członka Zarządu prof. Stan. Sowy.

Skład Zarządu Oddziału jest następujący: prezes dr. Jan Galicz, dyr. sem. żeńsk. w Cieszynie, wiceprezes i skarbnik Karol Buzek, insp. szkolny, sekretarz Florjan Balcar, naucz. szk. ćwiczeń w Cieszynie, (od I/IX. 1928) — od I/I. do 31/VIII. 1928 był sekretarzem Jerzy Cienciąła, prof. sem. żeńsk. w Cieszynie), gospodarz schroniska na Stożku Jerzy Zydek, st. gajowy w Wiśle. Do Zarządu należą: kier. szk. ćwicz. Szewczyk Erwin, ks. katech. Szurowacki Jan, prof. Stan. Sowa, prof. dr. Stan. Udziela i naucz. Wincenty Zajac, wszyscy z Cieszyna; nadleśniczy inż. Buchta Ferdynand z Wisły, inż. Jan Małysz nadleśniczy w Istebnej, inż. Hławiczka Stanisław, inż. Markiewicz Kazimierz i A. Hałas, sekr. P. Szk. Przem., wszyscy z Bielska.

W dniu 10 listopada z. r. odbyło się Walne Zebranie Sekcji Narciarskiej „Warta“ Oddz. Śląsk. Pol. Tow. Tatr. w Cieszynie w salce Domu Narodowego przy dosyć licznym udziale członków. Jako najważniejsze zdarzenie tego Towarzystwa trzeba podkreślić udział członków Sekcji w zawodach, urządzanych przez inne Kluby i Towarzystwa, zdobywających pierwsze czołowe miejsca. Zawody sztafetowe o nagrodę miasta Cieszyna nie doszły do skutku z powodu marnych warunków śnieżnych. W nadchodzącym sezonie postanowiono zorganizować zawody klubowe dla członków, dla młodzieży szkolnej, oraz zawody sztafetowe o nagrodę przechodnią miasta Cieszyna. Pogadanki narciarskie będą się odbywały nadal w lokalu klubowym w hotelu „pod Jeleniem“ w każdy piątek o godz. 6:30 wieczorem. Tam będą również przyjmowane zgłoszenia nowych członków. Wkładka członkowska wynosi 5 zł.

Oddział P. T. T. w Jarosławiu.

Oddział Jarosławski liczył w roku 1928 członków 42. Zarząd odbył kilka posiedzeń. W sezonie letnim urządzono pod egidą Zarządu Oddziału kilka wycieczek w Tatry. Poza tem propagował Oddział turystykę.

Przychody wynoszą 545 zł., wydatki 344 zł., majątek Towarzystwa wynosi około 200 zł.

Oddział P. T. T. w Katowicach.

Posiedzeń Zarządu odbyło się w 1928 roku 4. Posiedzeń Komitetu Wykonawczego 38. Wspólnych wycieczek letnich i zimowych 16.

Stan członków Oddziału Górnośląskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Katowicach w roku 1928.

Z dniem 1 stycznia 1928 r. było członków 1.110 w ciągu roku 1928 przybyło nowych członków 599, razem więc 1.709, a skreślono w ciągu r. 1928 z spisu członków 43.

Oddział wykonał znacznym kosztem prace około budowy schroniska na Równicy. Wobec braku dotyczącego sprawozdania nie podajemy szczegółów.

Sprawozdanie kasowe za 1928 rok wykazuje obrót w kwocie 212.175 zł.

Oddział P. T. T. w Kielcach.

W roku 1928 Oddział liczył 38 członków. W porównaniu z rokiem 1927 liczba członków powiększyła się o 3 osoby.

Obecny skład Zarządu Oddziału wybrany na Walnem Zebraniu w dniu 13 czerwca 1928 r. jest następujący: prezes Wicewojewoda Dr. Adam Kroebl, wiceprezes: Ks. Prałat Adam Błaszczak, sekretarz: Gustaw Kobylecki, skarbnik: Mec. Jerzy Cybulski.

Działalność Oddziału streszczała się przedewszystkiem w propagandzie i jednaniu członków w Kielcach i na prowincji. W toku pertraktacji znajduje się sprawa nabycia przez Oddział dość licznych, a wartościowych przeźroczy tatrzańskich, pozostałych po zasłużonym członku Oddziału śp. Ludwiku Grünhie.

Pod względem turystycznym, poszczególni członkowie Oddziału, względnie w małych grupkach, urządzili w 1928 r. około 18 wycieczek turystycznych w Tatrach polskich i czechosłowackich.

W sprawach rozwoju narciarstwa należy zaznaczyć znaczny wzrost zainteresowania się członków i postronnych osób w tym kierunku. Pod przewodnictwem członka Zarządu Mecenasa Jerzego Cybulskiego w grudniu i styczniu 1929 r. zorganizowane zostały na Sitkówce i Słowiku pod Kielcami bezpłatne kursy i wycieczki narciarskie, które cieszyły się liczną frekwencją uczestników, biorąc pod uwagę poprzedni okres, nieomal, że martwoży w tym dziale sportu. Wzrost zainteresowania się narciarstwem niewątpliwie wzbudzi się w najbliższym okresie po wybudowaniu skoczni w budującym się stadjonie sportowym na Barwinku pod Kielcami, dziełu pomyślanemu na dużą skalę.

Obrót kasowy za okres sprawozdawczy wynosi: w dochodach 747 zł., w rozchodach 300 zł. 85 gr. Saldo 446 zł. 15 gr.

Oddział Czarnohorski P. T. T. w Kołomyży.

Oddział zajęty był już przez trzeci rok z rządu budową nowego domu turystycznego. W roku 1926 rozpoczęty, w r. 1927 doprowadzony do częściowej użyteczności, doczeka się ten dom na letni sezon 1929 wykończenia i będzie miał wówczas do użytku 18 pokoi i salę. Budowę przedsięwziął jeszcze poprzedni Wydział głównie po to, by znaleźć pomieszczenie dla coraz większej liczby miłośników gór, a także, by znaleźć trwałe źródło funduszów na cele Towarzystwa bez konieczności ciągłego uciekania się do ofiarności publicznej. Ten bowiem sposób zasilenia Towarzystw funduszami wyczerpał już tak bardzo swe źródła i wymaga tak wyjątkowego uzdolnienia w tym kierunku uprawiających go osób, że stosowanie go może mieć widoki powodzenia w nielicznych wypadkach i tylko na niedługą metę.

W tym też duchu prowadzono tak samą budowę, jak i gospodarkę „Dworu” Czarnohorskiego w Worochcie. Nabywanie materiału budowlanego odbywało się wprost u producentów z wykluczeniem wszelkiego pośrednictwa; wykonywano poszczególne części budowy w instytucjach takich, jak szkoły zawodowe, lub wyjątkowo u pewnych firm po własnych cenach wyrobu i odsyłało następnie na miejsce budowy, gdzie ich złożenie wymagało wobec tego już tylko niewiele roboty; samo zaś kierownictwo robót spoczywało w rękach członków Wydziału, w szczególności w ręku niestrudzonego prezesa, inż. Karola Szeligowskiego, wobec czego odpadły koszty przedsiębiorcy budowlanego. Budowę forsowano z początku tak, że z dniem 22. VI. 1927. było już 8 pokoi I. piętra, oraz 3 pokoje i sala parteru do użytku. Wpływami z czynszu za te pokoje w sezonie letnim 1927 r. pokryto już częściowo kosztą budowy. Pod zimę wyposażono wszystkie pokoje w piece, a przez to umożliwiono zimowy pobyt Kursowi Narciarskiemu Przystosobienia Wojskowego, który dał również nieznaczną nadwyżkę dochodu oprócz pokrycia kosztów ustawienia tych pieców. Wpływy z letniego sezonu 1928 poszły w małej części na powiększenie i wymianę urządzeń, w przeważnej zaś na spłatę długów. Wreszcie w jesieni 1928 r. przy pomocy nowych prywatnych pożyczek wykończono w znacznej części II. piętro, reszty dokończy się w maju 1929 r.

Niemamy kłopot w tym programie sprawił Oddziałowi stary dworek Czarnohorski.

Oto stwierdzono w nim pojawienie się grzyba, którego usunięcie pochłonęło do 2.000 zł. Dzięki Bogu pokonano i ten ciężar, a teraz pozostanie już tylko troska o to, by gospodarnością i oszczędnością wyczyścić ciężar długów i utrzymać to, co stworzono. W roku 1929 będzie można wobec ukończenia budowy pomyśleć i o innych celach Towarzystwa.

Obrót kasowy Oddziału w 1928 r. wyniósł 16.618 zł.

Oddział P. T. T. w Krakowie.

W r. 1928 liczył Oddział 1415 członków. Obrót kasowy wyniósł 29.176:59 zł., przychody z wkładek wyniosły 7.158 zł., ze schronisk przy Morskiem Oku 11.600 zł. wydatki administracyjne 3.215 zł., inwestycje w schroniskach przy Morskiem Oku 10:900 zł., zakupno inwentarza ruchomego 5.110 zł.

Skład Wydziału był następujący: Prezes: inż. Jan Czerwiński, wiceprezes: dr. Adam Lardemer, sekretarz: dr. Emil Stofa, skarbnik: dyr. Józef Dorawski. Członkowie: dr. Walerj Goetel, dr. Jan Nowicki, prof. Kazimierz Sosnowski, inż. Stanisław Krawczyk, prof. Franciszek Sykutowski, Stefan Porębski, dr. Władysław Stawowczyk, Jan Fiszer, dr. Włodzimierz Łaba, Władysław Midowicz, mjr. Bronisław Romaniszyn.

Ponieważ przeważna część członków Wydziału Oddziału wchodziła w skład Zarządu Głównego P. T. T., przeto działalność Oddziału łączy się ściśle z działalnością Zarządu Głównego. Uwaga ta odnosi się również do propagandowej akcji Oddziału (odczyty itp.).

Poza tą ogólną działalnością najważniejszym zadaniem Oddziału jest staranie się o remont i jaknajlepsze wyposażenie schronisk nad Morskiem Okiem. W szczególności wykonano tam w roku ubiegłym następujące adaptacje: wykonano i uruchomiono gospodę dla woźniców pod werandą nowego schroniska, ukończono nowe omszenie całego budynku nowego schroniska, jakoteż uszczelnienie wszystkich okien, przeprowadzono remont starego schroniska, wykonano szereg drobniejszych napraw, a wreszcie zainstalowano oświetlenie elektryczne w nowym i starym schronisku oraz w budynkach gospodarczych.

Do wytwarzania siły napędowej użyto motoru benzynowego o sile 4 KM fabryki „Deutra“, do wytwarzania prądu dynamo-maszyny prądu stałego 2:2 KW o napięciu 115 V. Zainstalowano baterję akumulatorów, składającą się z 60 ogniw I. 2. Ogółem zainstalowano 91 żarówek (1900 Watt.). Koszt instalacji wyniesie około 14.000 zł.

W roku ubiegłym kontynuowano prace nad uporządkowaniem biblioteki, które, dzięki gorliwości bibliotekarza p. Midowicza, postąpiły znacznie naprzód.

Oddział P. T. T. we Lwowie.

Dnia 18 maja z. r. odbyło się Walne Zgromadzenie Lwowskiego Oddziału P. T. T., poprzedzone odczytem dr. R. Kordysa na temat „Tajemnica Dawida Frölicha. Z dziejów turystyki tatrzańkiej w XVII wieku“. W skład Zarządu weszli: prof. A. Lenkiewicz jako przewodniczący, jako członkowie Zarządu dr. R. Kordys, prof. Z. Klemensiewicz, prof. J. Gw. Pawlikowski, inż. K. Przetocki, dyr. Wł. Bizański, dyr. P. Panek, dyr. K. Lubieniecki, St. Czołowski, Z. Napodjiewiczówna, St. Starzewski, St. Skoda, A. Chorąży, K. Paszcza oraz kooptowani dr. Wł. Josse i T. Krystek.

W czasie sezonu letniego urządził Oddział kilka wycieczek do schroniska, w Gorgany oraz w pasmo Borsawy po stronie czeskosłowackiej.

Odnośnie do robót górskich wyznaczono część szlaku głównego, a to od schroniska na Popadję, przyczem znakowanie przeprowadzono dwukrotnie, pierwszy raz sztucznym, drugi raz prawdziwym cynobrem. Wyznaczono też niebieskim kolorem drogę z Osmołody do schroniska oraz umieszczono tabliczki orientacyjne dla ułatwienia dostępu do schroniska.

W sprawie przecięcia ścieżki w kosówce na szlaku głównym z Popadji na Płyżce przeprowadzono pomyślnie pertraktacje z Zarządem Dóbr Metropolitannych; wykonanie przeprowadzi Koło Doliniańskie z początkiem przyszłego sezonu.

Schronisko zaopatrzone w dwie gaśnice przeciwpożarowe oraz uzupełniono inwentarz kuchenny, grunt koło schroniska wykarczowano celem założenia ogródka. Obecnie przeprowadzi Zarząd dalsze uzupełnienie inwentarza.

Frekwencja turystów i dochody z noclegów wykazały przyrost w b. r., niewątpliwie silny przyrósł zaznaczyłby się z chwilą umożliwienia szybkiej komunikacji autobusowej

z Perehińska do Osmoły, na co nie pozwala zły stan drogi. Obecnie Oddział robi starania przez Zarząd Główny u Min. Rob. Publ. w sprawie naprawy tej drogi.

Na skutek przeprowadzonej propagandy pozyskiwano nowych członków, zwłaszcza wśród młodzieży akad. Ilość członków Oddziału wraz z Kołem Akademickim wzrosła w b. r. z 230 na 300.

Adres Twa: Lwów, Sokoła 4. godz. urzędowe we wtorki i piątki od 18 do 19.

Oddział P. T. T. w Łodzi.

W roku sprawozdawczym Oddział Łódzki prowadził: a) na polu organizacyjnym — jednanie członków i selekcję zgłaszających się, b) akcję propagandową na terenie szkół, c) informacyjną dla turystyki, d) propagandę narciarstwa — podług szczegółowego niżej podanego sprawozdania kierownika wypożyczalni, e) popierał roboty w górach, udzielając dotacji 400 zł. — na schronisko na Turbaczu — upatrzone jako komunikacyjnie, technicznie i rzeczowo nadająca się bazę dla łódzkiego ruchu turystycznego młodzieży zwłaszcza zimowego. Dochody z wypożyczalni obrócono na jej rozbudowę, f) Zarząd w dalszym ciągu dążył do ograniczenia wydatków administracyjnych do minimum — do doboru członków wyłącznie z pośród polskiej inteligencji — związanej rzeczywiście z górami, nie tracąc nadziei, iż z szeregów młodzieży — wśród której głównie działa — po jej powrocie ze studjów akademickich pozyska w przyszłości czynnych pracowników Towarzystwa.

Sprawozdanie kierownika wypożyczalni sprzętu narciarskiego i turystycznego Łódzkiego Oddziału P. T. T.

Wypożyczalnia utworzona została na podstawie doświadczeń przy organizacji I. Łódzkiego Kursu młodzieży szkolnej — jazdy na nartach — na Hali Gąsienicowej, gdzie przyszlismy do przekonania, że akcja szerzenia tego sportu uwarunkowana jest dostarczeniem młodzieży kompletów nietylko nart, lecz także stroju, skafandrówk itp. Wypożyczalnia znajduje się w stadium dalszej rozbudowy do sumy pełnych 25 kompletów. Dla akcji propagandy narciarstwa przyjęło następujące wytyczne:

1) Niezaprzatanie młodzieży stałą organizacją (Kółka), lecz organizowanie imprez krótkich i zamkniętych — kursów — wycieczek, któreby wybrany z polskich szkół materiał, bez względu na zamożność — przynajmniej raz wprowadziły w świat górskiej zimy i zapoznały z istotą tego sportu. 2) Poprzedzanie wypraw — przejściem kilkuna-stogodzinnego „kursu na suchem“ i teoretycznego zapoznania uczestników z kierunkami, obowiązkami, etyką i organizacją wypraw zimowych.

(Co do ćwiczeń „na suchem“ doświadczenia i obserwacje kierownika dały wyniki prawie rewelacyjne, które czynią wogóle problematycznym system zaczynania ćwiczeń odrazu na śniegu. Uczestnicy, którzy przećwiczyli elementy i ewolucje w sali gimnastycznej, w terenie wykazywali zawsze wyższą sprawność i górowali swoją formą nad ćwiczonymi na śniegu i już jeżdżącymi).

3) Dążenie, w przeprowadzaniu wypraw, do wiązania momentów sportowych (narciarstwo i turystyka) z epizodycznym pozornie ale systematycznym wykorzystywaniem momentów naukowych i poznania gór (krajoznawstwo, morfologia etc.).

4) przesunięcie terenów kursów-wypraw dla początkujących z Tatr w Beskidy; ostatnio dzięki niezwykle uczynnemu stanowisku Oddziału „Gorce“ bardzo odpowiednią bazę znaleźniono w schronisku na Turbaczu. Zamiarem dalszym jest skierowanie przećwiczonych w jeździe na firny wiosenne Tatr — najczęściej niewykorzystane.

5) W formowaniu wypożyczalni przyjęto zasadę, aby reprezentowane były wszystkie typy tych wiązań.

6) Stworzoną została wyłącznie funduszami Oddziału, bez subsydjów z zewnątrz — dla utrzymania pełnej niezawisłości w rozporządzaniu się w stosunku do szkół i grup. Stworzenie (w r. 1926) wypożyczalni pozwoliło na zorganizowanie następujących kursów 4—6 dniowych o 20—35 uczestnikach: 1) w Zakopanem i na Hali Gąsienicowej, 2) na Magórcie pod Bielskiem, 3) na Kalatówkach i w Zakopanem, 4) w Rabce (Harcerski) 5) i 6) na Turbaczu — dwukrotnie w r. 1928, 7) w Zakopanem (gimn. w Zgierzu).

Zapas sprzętu wynosi 25 skafandrów, 18 par nart i kijków, 11 par butów, 10 par rękawic i drobne utensylja. W sezonie 1927/28 i 1928/29 prowadzono raz na tydzień poradnię narciarską, udzielającą wszelkich informacyj co do firm, sprzętu, terenów, schronisk, kursów; poradnia cieszyła się dużym wzięciem.

Obrót kasowy Oddziału w 1928 r. wyniósł 1645 zł.

Oddział P. T. T. w Nowym Sączu.

Oddział liczył 222 członków zwyczajnych i 37 uczestników, razem 259 członków.

Oddział posiada prowizoryczne schronisko w Szczawnicy Niżniej pod Pieninami, w którym znajduje się 13 łóżek. Z powodu zaangażowania stałego zarządcy schroniska, który stale mieszka w schronisku, ruch tamże był w tym roku silniejszy, a mianowicie wydano 439 noclegów, z czego dochód był łącznie 430'30 zł. Na wiosnę musiano uskutecznić niezbędne adaptacje, a to wybicie nowego okna w drugiej izbie kosztem 150 zł., sprawiono 26 prześcieradeł za cenę 302 zł., za zarząd schroniskiem zapłacono za cały sezon 100 zł., za inne roboty 122'65 zł., łącznie wydano na schronisko 675'65 zł. W bieżącym roku zamierza zarząd urządzić na strychu noclegi, a więc pokryć połowę dachu gontami, na co 16 kóp gontów już zakupiono, uzupełnić inwentarz, koce i prześcieradła oraz umieścić mapy okolicznych terenów i ozdobić fotografiami Pienin i Beskidu Sądeckiego, na co materiał już przygotowany.

Roboty w górach. Poprawiono 34 km szlaków turystycznych, następnie sprawiono nowych 9 tablic i 60 mniejszych tabliczek orientacyjnych. Tablice te jednak nie wszystkie jsczcie umieszczone są w terenie. Następnie przygotowano nowe mapy Beskidu Sądeckiego z wrysowanymi szlakami turystycznymi, ozdobione zdjęciami fotograficznymi Beskidu Sądeckiego i Pienin, celem wywieszenia ich w ramach za szkłem na stacjach kolejowych linii Nowy Sącz—Krynica. Z powodu jednak początkowo odmownego stanowiska Tow. „Ruch“, które zażądało za wywieszenie tych tablic rocznej opłaty, odniesiono się do Ministerstwa Robót Półniczych (referat turystyki) i jakkolwiek sprawa ta została ostatecznie przychylnie załatwiona, to jednak przewlekanie się jej uniemożliwiło umieszczenie tablic w tym roku prócz dworca w Nowym i Starym Sączu. Koszta tych wszystkich robót wynosiły 795'96 zł. z czego jednak pozostał jeszcze duży zapas farb na rok następny.

Sprawy wydawnicze. Zarząd Oddziału łącznie z Kołem Krynickim i Oddziałem Tarnowskim przystąpił do finansowego udziału w wydawnictwie map turystycznych Karpat Polskich, wydawanych pod patronatem P. T. T. przez firmę wydawniczą „Gea“ w Warszawie. Na arkusz 1. (Szczawnica—Żegiestów) oraz 7. (Beskid Sądecki) wpłacono „Gea“ kwotę 1.900 zł. (w czem 600 zł. Koło Krynickie, a 250 zł. wpłacił Oddział jeszcze w r. 1927). Na wydawnictwo to otrzymał zarząd subwencję od Magistratu m. Nowego Sącza 200 zł. i od Tymcz. Zarządu Powiatu nowosądeckiego 150 zł. Arkusze tych map zarząd odstępował swym członkom po cenie własnych kosztów (1'50 zł. zamiast ceny księgarskiej 2'50 zł.). Niestety „Gea“ nie wywiązała się ze swych zobowiązań i dotychczas nie dostarczyła Oddziałowi najważniejszego arkusza tj. Beskidu Sądeckiego, przez co Oddział i Koło Krynickie naraziła na straty.

Nadto wydano własnym nakładem „Miejscowy rozkład jazdy“ kosztem 185 zł., z rozsprzedaży uzyskano 239'90 zł.

Schronisko na Prehybie. W myśl uchwał Komisji Międzyoddziałowej przystąpiono łącznie siłami Oddziału Nowosądeckiego, Tarnowskiego i Bocheńskiego do realizacji budowy schroniska na Prehybie. Międzyoddziałowa Komisja zwołana w lecie wybrała teren pod schronisko w obrębie hali Prehyby a rokowania z właścicielami gruntu o kupno są w toku. Obecny na posiedzeniu Komisji Międzyoddziałowej w Krynicy pułk. Ulrych, dyrektor Państw. Urzędu Wych. Fiz. i Przysp. Wojsk, zdeklarował na ten cel subwencję w kwocie 5.000 zł.

Zarząd odbył 8 posiedzeń, a nadto brał udział przez swego delegata we wszystkich posiedzeniach Zarządu Głównego w Krakowie oraz w trzech posiedzeniach Komisji Międzyoddziałowej.

Biblioteka liczy 54 dzieł 106 tomów czasopism i 273 przeźrocy.

Obrót kasowy Oddziału w 1928 r. wyniósł 6,074 92 zł.

Oddział posiada własny lokal przy ul. Jagiellońskiej 37.

Koło Krynickie.

Koło posiadało 64 członków. Posiada tymczasowe schronisko pod Jaworzyną Krynica. Zarząd rozpoczął przygotowania do budowy schroniska na Jaworzynie i na Komisji Międzyoddziałowej w Krynicy d. 29. XII. z udziałem delegatów Oddziałów, pułk. Ulrycha, Dyrektora Państw. Urzędu Wych. Fiz. i Przysp. Wojsk, prezesa Polsk. Związku

Narciarskiego i przedstawicieli Zarządu Zdrojowego, Gminy I. Komisji Zdrojowej powzięto uchwały co do miejsca, rozmiarów, urządzenia i kosztów schroniska, przyczem płk. Ulyrch zadeklarował z kasy P. U. W. F. i P. W. subwencję w kwocie 20.000 zł. na budowę schroniska.

Dnia 3. V. Zarząd Koła brał udział w organizacji pięcioboju „Strzelca“ w Słotwince. 21. VI. Koło brało udział w przyjęciu Międzynarodowego Rajdu Automobilowego w Krynicy. 29.—30. IV. Zarząd uczestniczył w organizacji II. raidu górskiego K. K. A. i wyciągu górskiego w Krynicy. W lipcu brało Koło udział w organizacji zawodów lekkoatletycznych „Strzelca“. 29. VII. Koło zorganizowało I. Górski bieg na przełaj o puchar wędrowny „Beskidu“. Zarząd podniósł inicjatywę w sprawie budowy toru saneczkowego w Krynicy, która to akcja rozwinęła się następnie oddzielnie i doprowadziła do wybudowania toru i założenia w Krynicy Polsk. Klubu Bobslejowego.

Sekcja Turystyczna Koła zorganizowała kilkanaście wycieczek w paśmie Jaworzyny Krynickiej, Zimnego i Beskidu Niskiego i udzielała informacji turystycznych bardzo wielu osobom i wydała szkice wycieczek pieszych, samochodowych i kolejowych.

Sekcja Narciarska Koła liczyła 64 członków, zorganizowała IV. Zawody o Mistrzostwo Krynicy w dn. 28. i 29. stycznia. W zawodach, w których brała udział cała grupa Olimpijska polska i grupa ze Szwedzkiego Związku Narciarskiego, konkurs na nowej skoczni dał wspaniałe wyniki, dowodząc, że skocznia odpowiada bardzo wysokim wymaganiom. Sekcja zorganizowała również 19. III. lokalne zawody narciarskie. Wreszcie sekcja zorganizowała szereg wycieczek turystycznych narciarskich, zapoznając w ten sposób z krynickimi terenami obcych turystów i narciarzy. W ten sposób oraz przez urządzenie kilku kursów narciarskich, narciarstwo w kierunku turystycznym jak i sportowym rozwinęło się bardzo pomyślnie i zainteresowanie obcych terenami krynickimi wzrosło znacznie.

Obrót kasowy Oddziału w 1928 r. wyniósł 3.668'21 zł.

Oddział „Gorce“ P. T. T. w Nowym Targu.

Stan członków Oddziału w roku sprawozdawczym wzrósł nieznacznie do liczby 92. Zarząd Oddziału — stosując bardzo oszczędną gospodarkę — zdołał wyrównać zaległości, jakie ciążyły z powodu budowy schroniska pod Turbaczem.

Wskutek stale wzmagającej się frekwencji tak turystycznej jak i narciarskiej okazuje się schronisko pod Turbaczem za szczupłe, to też Zarząd zamierza w b. r. z wiośną do budować jedną ubikację o rozmiarach 6 × 6 i w ten sposób zostałyby rozwiązana kwestja pomieszczenia w porze zimowej osobno mężczyzn, a osobno kobiet. Preliminowana kwota tej budowy wynosi 2.000 zł., Zarząd zaś ma jedynie połowę tej kwoty, zmuszony przeto jest starać się przez Zarząd Główny o subwencję w Minist. Robót Publ., inaczej zamiary Zarządu pozostałyby zamiarami.

W czasie Olimpiady w Zakopanem gościło schronisko pod Turbaczem wielu zagranicznych narciarzy, którzy w księdze pamiątkowej obok swych nazwisk, umieścili pełne zachwyty wzmianki tak co do samego schroniska jak zwłaszcza co do położenia tegoż i przepięknych widoków na panoramę Tatr i doliny nowotarskiej, Babią Górę i Pieniny.

Dzięki osobistym zabiegom prof. Sosnowskiego poprawiono, względnie na nowo oznaczono ścieżki na Turbacz tak z Nowego Targu jak i z Rabki.

Oddział P. T. T. w Poznaniu.

Oddział poniósł w r. 1928 bolesną stratę z powodu tragicznej śmierci w Tatrach śp. Jerzego Leporowskiego, wybitnego i niezwykle śmiałego taternika. Cześć Jego pamięci!

Oddział tutejszy istniejący od roku 1921 liczy członków płacących 172, w tem 85 zapisanych w roku 1928. Powyższa liczba nie obejmuje 74 członków, którzy zalegają ze składkami za rok 1928. W porównaniu z rokiem 1927 przybyło członków płacących 11. Oprócz tego przy Oddziale istnieje od roku 1926 Koło akademickie liczące 54 członków.

Przychody wynoszą 4.382'80 zł. (wraz z saldem kasowym przejętem 1. I. 1928 roku zł. 1.636'10). Wydatki 2.107'32 zł. Majątek Oddziału 3.502'58 (z czego w kasie 31. XII. 1928 r. zł. 2.266'98).

Z ruchu turystycznego należy zanotować: 3-dniową wycieczkę w Beskid Śląski,

oraz kilka wycieczek w Tatry i wkońcu letnie i zimowe wycieczki w okolicy Poznania wspólnie z Poznańskim Oddziałem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Oddział Poznański, działający na terenie odległym od gór, ma jako główne zadanie szerzyć propagandę oraz stwarzać zainteresowanie i zamiłowanie dla gór, turystyki i taternictwa. W tym celu, jak rokrocznie urządzono szereg odczytów, a mianowicie: „Szlakiem Karawan przez Saharę“ prof. Józef Czekalski, „Słowenia i jej mieszkańcy“ dr. Zofja Kaweckaja, „Człowiek wobec grozy i piękna Tatr“ inż. Zygmunt Hetper, „Wędrowki po Alpach Zachodnich“ dr. Tadeusz Smoluchowski, „Od Susaku do Splitu“ prokurator Gardulski, „Od Splitu do Cetynii“ prokurator Gardulski, „Z wycieczki do Rumunji“ prof. Wład. Deszczka, „Krajoznawstwo a prehistorja“ prof. Uniw. dr. Józef Kostrzewski, „Turystyka zimowa w Tatrach“ dr. Tadeusz Smoluchowski, „Z podróży po Anglii“ prof. Uniw. dr. Stanisław Pawłowski, „Za Stefanem Żeromskim po Polsce“ b. kurator Bernard Chrzanowski. Z wykładów korzystało razem około 600 słuchaczy.

Jako zapomogę finansową postanowiono przekazywać przez 3 lata po 150 zł. dla Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, oraz przyznano jednorazową zapomogę 200 zł. dla wydawnictwa czasopisma „Taternik“.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu oddało własny lokal do wspólnego użytku Oddziałowi Poznańskiemu P. T. T., za którą to przysługę wyraża się na tem miejscu podziękowanie.

Oddział P. T. T. w Rabce.

Sprawozdania nie nadesłano.

Oddział P. T. T. w Radomiu.

P. T. Oddział w Radomiu powstał w dniu 7 czerwca 1928 r. z inicjatywy obecnego wiceprezesa p. inż. Grudzińskiego oraz dzięki wspólnej pracy i wysiłkom nad organizacją Towarzystwa p. Małeckiego Kazimierza, obecnego sekretarza Oddziału.

Początek organizacji Towarzystwa datuje się od marca 1928 r. i polega jedynie na zachęcaniu członków do przystępowania do Oddziału w Radomiu oraz na ustnej propagandzie turystyki wśród miejscowego społeczeństwa, a także na podstawie agitacji, prowadzonych w formie specjalnych odezw, umieszczanych na łamach trzech różnych organów prasy miejscowej. Ze względu na nikłe zainteresowanie się powstaniem Oddziału w Radomiu oraz z powodu braku u społeczeństwa tutejszego poczucia piękna dla natury a także ze względu na położenie samego miasta na równinie, organizacja Oddziału rozwija się nader powoli.

W dniu 7 czerwca 1928 r. zwołane zostało zebranie organizacyjne, które powołało do życia prowizoryczny Zarząd, który w dalszym ciągu akcją tworzenia Oddziału w Radomiu dźwierzł w swym ręku, szerząc ideę turystyki i zachęcając znajomych do wstępowania w charakterze członków.

W chwili uzyskania wymaganej statutem ilości członków w dniu 23 czerwca 1928 r. zwołane zostało drugie z rzędu walne, organizacyjne zebranie, które powołało jako prezesa p. inż. Podworskiego i jako jego zastępcę p. inż. Grudzińskiego. W tym czasie powstał również Zarząd Oddziału, składający się z 7 członków, który z pośród siebie wybrał jako sekretarza p. Małeckiego Kazimierza, a jako skarbnika p. Święckiego Zygmunta. Od tej chwili przystąpiono do intensywnej pracy nad rozwojem Oddziału i także do zaznajamiania członków z treścią i znaczeniem turystyki i urokiem gór polskich.

Tu zaczyna się praca organizacyjna nad wycieczkami na dalszą i bliższą odległość, i tak: 1. W dniu 29 lipca odbyła się wycieczka do Kazimierza i Janowca nad Wisłą, w której wzięło udział 10 osób, a która trwała przez cały dzień. Dokonano w okolicach wymienionej miejscowości kilku zdjęć fotograficznych.

2. W dniu 9 sierpnia została zorganizowana wycieczka do gór Świętokrzyskich przy współudziale 19 osób. Zwiedzono klasztor Świętokrzyski, ciężkie więzienie, grobowce hr. Oleśnickich i zwracającą szczególną uwagę na siebie kaplicę kościoła t. zw. freskowaną.

3. W dniu 21 września większa część członków wyjechała do Czechosłowacji, gdzie przez przeciąg 4-ch dni zwiedziła Berno Morawskie oraz groty stalaktytowe „Macochoy“ w Blansku i wystawę kultury współczesnej.

W okresie sprawozdawczym odbyło się 7 zebrań członków Zarządu i 1 walne zebranie członków.

Oddział tutejszy składa się z 45 członków czynnych. Obrót kasowy za okres sprawozdawczy wynosi: w dochodach 703 zł 50 gr, w rozchodach 598 zł 97 gr. Saldo: 104 zł 53 gr.

Oddział P. T. T. w Stanisławowie.

1) Ilość członków Oddziału w r. 1928 wynosiła: 376 (z czego 95 nie uiściło wkładek) Oddział obejmował a) Sekcję narciarską w Stanisławowie, b) Koło miejscowe w Jaremczu, c) Koło miejscowe w Mikuliczynie, a) Koło miejscowe w Dolinie, e) Koło miejscowe w Nadwórnej.

W schronisku na „Zaroślaku“ pod Howerlą zostanie oddane piętro i poddasze do użytku publicznego w sezonie letnim 1929 roku. Przez cały rok 1928 prowadzono w miarę napływających środków pieniężnych w dalszym ciągu robotę około dokończenia budowy piętra w schronisku na Zaroślaku. Ukończono pracę ciesielską kosztem 4.376 zł. Również wybudowano naokoło schroniska odpowiednie sączki dla odwodnienia budynku, oraz usunięto naniesiony przez powódź żwir i rumowisko kosztem 1600 zł.

Następnie poprawiono znakowanie z Worochty do Foroszczenki; z Foreszczenki na Zaroślak przeprowadzono nowe znakowanie na drodze wybudowanej przez Oddział, oraz z Foreszczenki również na Zaroślak przeprowadzono nowe znakowanie ścieżki wyłącznie dla pieszych. Z Zaroślaku naprawiono znakowania na Howerlę i do źródeł Prutu. Długość znakowań wynosi 30 km. Koszt znakowania 128'05 zł.

Podczas głównego sezonu Oddział utrzymywał stałych delegatów w Worochcie, w Tatarowie, w Rafajłowej i Nadwórnej, którzy informowali publiczność odnośnie do wycieczek turystycznych i urządzali zbiorowe wycieczki, obwieszczono afiszami po stacjach i przystankach kolejowych. Wycieczki zbiorowe urządzali też ze Stanisławowa członkowie Oddziału P. T. T. W sezonie 1928 urządzono z ramienia Oddziału następującą ilość wycieczek: a) 1-dniowych wycieczek turystycznych 18-cie; b) 2-dniowych wycieczek turystycznych 2; c) 3-dniowych wycieczek turystycznych 1; d) 2-dniowych wycieczek krajoznawczych 2; e) 3-dniową wycieczkę krajoznawczą 1. Prócz tego urządziła Sekcja narciarska wycieczki, o których mowa niżej.

Członkowie Wydziału wchodzący w skład stanisławowskiej Komisji Turystycznej pobudzali W. K. T. do intensywnej pracy, uwydatniając się na posiedzeniu odbytem w roku 1928 przy współudziale wiceprezesa Zarządu P. T. T. prof. dr. Walerego Goetla. Z okazji pobytu swego w Stanisławowie wygłosił prof. dr. Goetel odczyt p. t. „Piękno Tatr i Pięknójów“, które wzbudziło ogromne zainteresowanie wśród publiczności stanisławowskiej.

W roku 1928 założono Koła miejscowe w Dolinie i Nadwórnej. Na memorjał Oddziału Województwa Stanisławowskie unormowało ruch autobusowy na terenie województwa. Wydział Oddziału interwenjował skutecznie przeciw zatarasowaniu ścieżki znakowanej z Podleśniowa na Chomiak. W roku 1928 przeprowadził Oddział z inicjatywy p. dr. Majewskiego i dzięki jego wybitnej współpracy filmowanie Karpat Wschodnich. Również odbudowano zniszczoną wskutek powodzi drogę z Foreszczenki na Zaroślak kosztem 7.000 zł., na co uzyskano od Okr. Dyrekcji Robót Publicznych w Stanisławowie subwencję 5.000 zł.

Wydział wybrany na Walnem Zgromadzeniu 17. grudnia 1927 r. miał skład następujący: Prezes inż. Firich Antoni, wiceprezes dr. Majewski Wacław, Wydziałowi: Czuczewicz Stanisław (sekretarz), Czaykowski Igor, Dusznik Stanisław, Goldblat Samuel, Piątek Franciszek, Jakimowicz Dyonizy, Kusiba Tadeusz, (skarbnik) inż. Swoboda Jan, inż. Trela Stanisław.

W ciągu roku kooptowano do Wydziału p. dyr. Bürgla Emiljana i p. inż. Lerskiego Tadeusza. W roku 1928 odbyto 18-cie posiedzeń Wydziału.

W roku 1928 wynosiła suma przychodów: 23.485'45 zł. Suma rozchodów 22.445'27 zł. Wysokość wkładki Oddziałowej 3 zł. Stan zadłużenia 7.700 zł.

Oddział Stanisławowski utrzymywał ciągły kontakt z Oddziałem Czarnohorskim i Lwowskim. Z Oddziałem lwowskim osiągnięto porozumienie w sprawie robót w górach przez Koło doliniańskie.

Koła Oddziału stanisławowskiego: a) Koło Jaremczańskie, założone w roku 1926

liczy członków 86. W sezonie letnim utrzymywało w Jaremczu biuro informacyjne, oraz urządziło cały szereg zbiorowych wycieczek górskich *b)* Koło mikuliczyńskie liczy 32 członków. W sezonie urządziło kilka zbiorowych wycieczek. *c)* Koło doliniańskie założone w sezonie letnim 1928 r. zajęło się werbowaniem członków do P. T. T. urządzając również liczne wycieczki zbiorowe. Obecnie liczy ono 36 członków. *d)* Koło nadworniańskie związane zostało w listopadzie 1928 r. liczy 25 członków. *e)* Sekcja narciarska w Stanisławowie liczy 17-tu członków. Sezon 1927/28 był dla sekcji narciarskiej bardzo ożywiony. W każdą niedzielę i święta urządzane były wycieczki prowadzone przez p. Czaykowskiego, prof. Gurawskiego i przewodniczącego sekcji dr. Majewskiego. Kurs narciarski nie odbył się w tym sezonie, a to z tej przyczyny, że P. W. urządziło w swoim zarządzie kurs dla młodzieży szkolnej. *f)* Sekcja turystyczna wioślarska, założona w roku 1925 rozwiązana została w grudniu roku 1927, wobec utworzenia się w Stanisławowie Ligi Rzecznej i Morskiej, do której wszyscy członkowie sekcji ingremio wstąpili.

Członkowie wydziału biorą wybitny współdział w pracach Komisji Klimatycznej w Jaremczu i Worochcie.

W r. 1928 wygotowano plany mostu przez Prut w Jaremczu dla wybudowania nowego w miejsce zabranego przez powódź w r. 1927, na ten cel otrzymał Oddział z Okr. Dyr. Robót Publicznych subwencję w kwocie 5.000 zł.

Oddział P. T. T. w Szczawnicy.

Sprawozdania nie nadesłano.

Oddział P. T. T. w Tarnowie.

Oddział P. T. T. w Tarnowie liczył w roku 1928 razem z Sekcją akademicką 283 członków. Wkładka dla członków zwyczajnych wynosi 10 zł, dla akademików 5 zł.

W roku 1928 Oddział Tarnowski, zgodnie z uchwałą Komisji Międzyoddziałowej w Rabce, odnowił znakowanie szlaku głównego od przełęczy Ochotnickiej przez Lubań—Marszałek—Krościenko—Dzwonkówkę po Przysłop, a częściowo aż do Skałki, następnie cały szlak Pieniński główny — od Obidzy wzdłuż granicy na Sokolicę—Sokolą Perć—Zamek św. Kingi—3 Korony—Czorsztyn—Luboń. Ostatnio wymieniony szlak posiada nieco trudne miejsca — wejście na Wysoką Skałkę od wschodu (kilka metrów skały) — oraz wejście na Białą Skałkę od zachodu (nad drogą ze Szczawnicy w Pieniny). Dalej odnowiono znaki drogi turystycznej z Czorsztyna przez Niedzicę—Łapsze Dolne i Górne—Jurgów—Głodówkę do drogi Zakopane—Morskie Oko. Również odnowiono znaki oraz oczyszczono wszelkie ścieżki turystyczne w Pieninach z wyjątkiem tych, które w myśl uchwały Komisji Międzyoddziałowej mają być zaniechane, np. dolny szlak przez Kras od mostu Szczawnickiego do Altany Sienkiewicza. Następnie zrewidowano żelaza nad Dunajcem pod Sokolicą. Na roboty wydano około 400 zł.

Oddział poparł też finansowo wydawnictwo mapy turystycznej Szczawnicy oraz kombinowanej Szczawnica—Krynica przez firmę Gea kwotą 1.600 zł — niestety, tej ostatniej mapy dotychczas nie otrzymał.

Oddział P. T. T. w Warszawie.

W 10-tym roku istnienia Oddziału Zarząd jego stanowili: Prezes: Stanisław Osiecki, wiceprezes: Stefan Makarczyk, sekretarz: Jan Jaroszyński, zastępca sekret.: Stanisław Lenartowicz, skarbnik: Adam Konopczyński, bibliotekarz: Aleksander Szczęsny, członkowie Zarządu: Jarosław Chełmiński, Kazimierz Drewnowski, Adam Huszcza, Kornel Kubacki, Karol Kawiński, Mieczysław Orłowicz, Achilles Rosenkranz, Jan Rzewnicki, Jan Rudziński. Komisję Rewizyjną składali: Karol Jenike, Jan Jaskowski, Jan Kręcki, zaś Sąd Honorowy: Józef Pomianowski, Jan Rostafiński, Witold Sosnowski.

Z pośród członków Zarządu ustanowione zostały następujące Komisje: Komisja Schroniska: pp. Osiecki, Makarczyk, Jaroszyński. Komisja propagandowa: pp. Kubacki, Kawiński, Rudziński, Szczęsny. Komisja wycieczkowa: pp. Lenartowicz, Chełmiński, Kawiński, Orłowicz. Komisja filmowa: pp. Osiecki, Jaroszyński, Chełmiński. Delegaci na zebranie Zarządu Głównego: pp. Konopczyński, Orłowicz. Referat ścieżek w górach: p. Chełmiński.

W ciągu roku 1928 przybyło 184 nowych członków, wykreślono z powodu zalegania z opłacaniem składek 266 członków, pozostało na dzień 31 grudnia 1928 r. 1.205 członków.

W ciągu roku sprawozdawczego odbyło się jedno roczne ogólne zgromadzenie oraz 7 zwykłych miesięcznych, na których zostały wygłoszone następujące odczyty i pogadanki: J. Rostafiński: „Od Helsingforsa do morza Lodowatego“, J. Czekalski: „Wrażenia z wycieczki do Algieru“, St. Lenartowicz: „Gorgany i Czarnohora w związku z otwarciem nowych schronisk“, St. Osiecki: Sciany i granie w Tatrach“, J. Makarczyk: „Wrażenia z podróży do Brazylii“, M. Orłowicz: „Wrażenia z ostatniej wycieczki na Słowaczną“, St. Lenartowicz: „Wycieczka w Alpy Francuskie“.

Odczyty powyższe zostały ilustrowane przeźroczami. Na zebraniach miesięcznych były poza tem podawane sprawozdania i komunikaty, dotyczące spraw bieżących, turystyki i sportu górskiego. Na ostatnim zebraniu był demonstrowany film tatrzański.

Majątek Oddziału w Warszawie stanowi zbiór przeźroczy, których liczba w r. 1928 wzrosła o 129 i wynosiła 2.429, w tem 1.436 tatrzańskich, 498 karpaccich, 489 alpejskich i różnych. Oprócz tego zbiory Oddziału zawierają 250 negatywów, 150 fotografii Tatr i Beskidów, 165 map i książek i mapę plastyczną Tatr.

Majątek Oddziału w Tatrach stanowi schronisko granitowe na Hali Gąsienicowej na 120 osób z budynkiem gospodarczym i stare schronisko drewniane mieszczące 30 osób.

Zarząd Oddziału odbył w okresie sprawozdawczym 7 posiedzeń plenarnych i 5 posiedzeń prezydium dla załatwienia pilniejszych prac.

W roku sprawozdawczym opłaciło składkę 665 członków czyli 55% (wobec stunku 47%, 44%, 45% w latach poprzednich 1927, 1926, 1925).

Urządzono 4 wycieczki zbiorowe: w Gorce, Pieniny i Beskid Sądecki, na Orawę i Liptów, z Cieszyna do Zakopanego i w Alpy Francuskie, w których przyjęło udział 35 osób. Wycieczki były prowadzone przez pp. M. Orłowicza i St. Lenartowicza.

Przy udziale pp. Wład. Gołaszewskiego i Stefana Osieckiego został wykonany w sezonie letnim pierwszy propagandowy film tatrzański o długości 600 metrów, który wypadł udanie i z którego wykonano 2 pozytywy.

W uzupełnieniu urządzeń w schronisku na Hali Gąsienicowej wykonano powiększenie instalacji wodociągowej w dostosowaniu do zwiększonych potrzeb schroniska, doprowadzono wodociąg do budynku gospodarczego, powiększono moc instalacji turbiny, gruntownie odrestaurowano stare schronisko, założono na schronisku piorunochron, nabyto ozdobną stylową latarnię dla frontu schroniska, uzupełniono inwentarz przez nabycie łózek polowych, nowych koców, nabyto kasę kontrolującą i t. p. Otrzymano w darze od p. T. Gałęckiego piękny stylowy zegar wykonany według rysunku St. Witkiewicza.

Frekwencja noclegów w schronisku wynosiła w roku sprawozdawczym 7.670 (wobec 5.730 i 5.360 w latach 1927 i 1926).

Oddział Warszawski współdziałał finansowo w dalszem wykupywaniu przez T. T. działów w górach na Hali Gąsienicowej, udzielił subwencji Muzeum Tatrzańskiemu w Zakopanem i Sekcji Turystycznej na wydawnictwo „Taternika“.

Z dochodów schroniska sptacono sumę około 1.400 zł. jako znaczniejszą część długu w P. K. O. zaciągniętego w swoim czasie na budowę schroniska na Hali Gąsienicowej.

Oddział akademicki P. T. T. w Warszawie.

Sprawozdania nie nadesłano.

Oddział P. T. T. w Wilnie.

Rok sprawozdawczy był piątym istnienia Oddziału.

Członków, którzy wpłacili składkę za r. 1928, Oddział liczył 66 wobec 73 w roku ubiegłym, ubyło dawnych 26, przybyło nowych 19. Uczestników było 6. Legitymacyj niebieskich wydano lub wznowiono 40, zwykłych 9.

Zarząd Oddziału miał skład następujący: Prezes: prof. dr. Tadeusz Czeżowski, wiceprezes: prof. dr. Juljusz Rudnicki, sekretarz: prof. Jerzy Lande, bibliotekarka: Marja Alexandrowiczowa, skarbnik: Piotr Hniedziewicz, członkowie: dyr. Benedykt Bińkowski i Marjan Niemczynowicz. Komisję Rewizyjną stanowili pp. Ks. Piotr Sledziewski, inż.

Wacław Demidecki-Demidowicz i prof. dr. Stefan Kempisty. Sąd Honorowy: pp. Michał Brensztejn, prof. dr. Wacław Komarnicki i prof. Władysław Zawadzki.

Działalność Oddziału w dalszym ciągu nie obejmowała żadnych prac w górach, lecz zamykała się w propagandzie i jednoczeniu członków w Wilnie.

Zebrań odczytowych z przeżroczami urządzono 3 o treści następującej: 1) prof. Jerzy Lande: „Wyprawa Legji Inwalidów“ — 24 stycznia, 2) tenże „Z tatrzańskich wspomnień wiosennych“ — 20 marca, 3) tenże „Spiskie mury i spiskie granie“ — 15 grudnia.

Walne Zgromadzenie odbyło się dnia 20 marca łącznie z zebraniem odczytowanym. Dla zebrań Oddział korzystał w dalszym ciągu z lokalu w Gimnazjum im. Słowackiego.

Biblioteka, mieszcząca się w tymże lokalu, wzrosła z 101 do 114 pozycji (dzieł i roczników czasopism), posiada pozatem 7 dubletów. Zbiór przeżroczy wzrósł o 62 sztuki, osiągając liczbę 201; wszystkie nowe przeżrocza wykonano własnymi siłami. Zbiory biblioteczne i fotograficzne zostały w r. b. zinwentaryzowane i oszacowane, a wartość ich ogólna wyraża się w 1.035 zł. 85 gr.

Obrót kasowy osiągnął 1.209,38 zł., (wpływy 1.209,38 zł., wydatki 837,53 zł.). Składka roczna na rzecz Oddziału wynosiła 2,50 zł., dla studentów Uniwersytetu 1 zł., dla uczestników 2 zł.

Biuro Oddziału, prowadzone przez skarbnika, mieściło się w dalszym ciągu w Księgarni Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego.

Oddział P. T. T. w Zakopanem.

Działalność Zarządu Oddziału Zakopiańskiego P. T. T. skierowaną była jak i w latach poprzednich na dokończenie budowy schroniska w dolinie Pięciu Stawów Polskich. W roku sprawozdawczym posunięto budowę bardzo daleko dzięki wydatnej pomocy p. pułk. Juliana Ulrycha, dyrektora P. U. W. F. i P. W., który na powyższy cel udzielił subwencji w kwocie zł. 15.000. Nadto otrzymał Oddział Zakop. subwencje z Ministerstwa Robót Publ. zł. 1500, resztę zaś dochodów czerpał Oddział z wkładek członkowskich, które wyniosły około 1500 zł. i z czynszu dzierżawnego schroniska, opłaconego przez obecnego dzierżawcę Józefa Bigosa. Roboty około schroniska obejmowały: oszalowanie ścian schroniska wewnątrz i zewnątrz, wybudowanie oszklonej werandy, urządzenie świetlicy, zbudowanie pięciu pokoi na piętrze oraz 15 miejsc noclegowych na poddaszu. Zakupiono niezbędny inwentarz, jak stołki, stoły, ławy, półki, bieliznę i koce, nadto przybrano świetlicę ceramiką góralską i sprowadzono kafle na piec, którego jednak z powodu chwilowego braku dalszych funduszy przed zimą postawić nie zdołano. Robotami kierował p. prof. Karol Stryjeński. Unormowano oddawna zaległą sprawę dzierżawy schroniska, w którym przez lato przebywał również delegat Oddziału celem czuwania nad ładem i gospodarką schroniska. Na następny rok projektowanym jest w miarę środków finansowych założenie światła elektrycznego w schronisku oraz wodociągu. Schronisko jest ubezpieczone w P. D. U. W.

Oddział Zakopiański P. T. T. organizował i podejmował w kwietniu z. r. Walny Zjazd Delegatów P. T. T. w Zakopanem. Oddział liczył w 1928 r. 363 członków, którzy wkładki opłacili. W skład Zarządu Oddziału Zakopiańskiego P. T. T. wchodzi: prezes: prof. Janusz Domaniewski, wiceprezes: dyr. Tadeusz Malicki, sekretarz i skarbnik: Ignacy Bujak, członkowie Zarządu: Dr. Józef Diehl, Rafał Malczewski art. malarz, prof. Karol Stryjeński, Dr. Mieczysław Świerż, Józef Oppenheim i dyr. Józef Łukaszewicz.

Oddział Babiogórski P. T. T. w Żywcu.

Rozwój Oddziału Babiogórskiego trwa w dalszym ciągu i obecnie liczy ten Oddział łącznie ze swemi Kołami w Białej i Wadowicach przeszło 3000 płacących członków, przekraczając tem zeszłoroczną liczbę członków o 550 osób. Bez Kół liczył Oddział 409 członków, płacących a 52 członków wkładki nie wpłaciło.

W schronisku na Babiej Górze ukończono przeróbkę wewnętrznych adaptacji, musiano atoli odstąpić od zamierzonej dobudowy komórki noclegowej dla gospodarza, gdyż jedyne miejsce przydatne do tej budowy leży już na obcym gruncie. Okazuje się, że parcela będąca własnością Oddziału Babiogórskiego stała się po dwukrotnych dobudówkach za szczyplą i niedozwalającą na dalsze rozszerzenie schroniska — istniejącego zresztą już od 23 lat — i nie odpowiadającego nowoczesnym wymogom. Zmusza to Za-

rząd Oddziału do pomyslenia już teraz o budowie nowego schroniska na Babiej Górze w dogodniejszym miejscu.

Zesloroczna frekwencja gości tak w schronisku na Babiej Górze, jak i pod Pilskiem w Korbielowie wzrosła się bardzo znacznie i wynosi przeszło 3.000 osób.

W jesieni z. r. doprowadzono szczęśliwie pod dach nowe schronisko na Pilsku, które — jakkolwiek jeszcze niezupełnie wykończony — przedstawia się już w obecnym stanie wprost wspaniale i działa na widza nie tylko rozmiarami, ale także piękną swoją architekturą. W budynku tym wykończono na razie tylko trzy pokoiki, z których dwa przeznaczone na mieszkanie dla nowego gospodarza i tymczasową kuchenkę, zaś w pozostałym trzecim umieszczono prowizorycznie kilka skromnych łóżek do ewent. użytku narciarzy. W całym budynku oprócz dwóch jadalni i pomieszkania gospodarza znajduje się na parterze i na piętrze kilkanaście większych i mniejszych ubikacyj, co umożliwi równocześnie nocowanie nawet i stu gościom. Wskutek wyczerpania funduszy musiał Oddział przerwać dalszą pracę i poprzestać na sporządzeniu ochrony reszty budynku przed śnieżycami i wichrami. Dokończenie budowy i sprawienie odpowiedniego umeblowania nastąpi przypuszczalnie do czerwca 1929 r., w którymto czasie Oddział pragnąłby oddać to schronisko w uroczystym poświęceniu do ogólnego użytku. Wbrew wszelkim oczekiwaniom wynoszą dotychczas koszty budowy tegoż schroniska przeszło 75.000 zł. Nie mogąc rosnących wciąż wydatków pokryć z normalnych wpływów, zmuszony był Oddział Babiogórski pomimo subwencji udzielonej mu przez Ministerstwo Robót Publicznych zaciągnąć wekslowy dług w wysokości 5000 zł. pod dość uciążliwymi warunkami.

Tak stare schronisko na Babiej Górze jak i nowe na Pilsku zaopatrzone w gromochrony i ubezpieczone od ognia na kwoty dorównujące rzeczywistej wartości tych budynków.

Dla schronisk na Babiej Górze i na Pilsku są w przygotowaniu dwie apteczki ścienne szafkowe.

W zbudowanej w roku zeszłym stacji turystycznej na Żarze w przełomie Soły wstawiono trzy zwykłe i dwa składane łóżka, stół, krzesła, umywalnię, wieszadła i t. p. Schludny ten domek, zagospodarowany latem i zimą, ściąga dzięki swemu pięknemu położeniu coraz więcej turystów zwiedzających Beskid Kocierski. We wschodniej części tego pasma gór — niedocenianego dotychczas należyście, a obfitującego w przepiękne lasy i uroczne widoki — zamyśla Koło Wadowickie stworzyć dla turystów dalszy punkt oparcia przez zbudowanie schroniska pod szczytem Leskowca (922 m n. p. m.)

Podobnie jak w poprzednich latach przeprowadzono i w zeszłym roku rewizję wszystkich znaczonych ścieżek w przydzielonym Oddziałowi Babiogórskiemu rejonie. Z ogólnej ilości znakowanych szlaków (około 290 km) odnowiono: 1) szlak główny biało-czerwono-biały od schroniska na Babiej Górze przez Izdebzyska, szczyt Babiej Góry i cały grzbiet Policy do stacji kolejowej Osielec, 2) z Zawoji od „Widział“ wszystkie cztery ścieżki (przez Policzne, Kwiatek, Markowe Równienki i Czatożę) do schroniska na Babiej Górze, 3) perć taternicką od schroniska do szczytu Babiej Góry, 4) z Suchej do Zawoji, 5) z Huciska przez Mędralową do schroniska na Babiej Górze, 6) z przełęczy „Krowiarki“ do Lipnicy małej i 7) szlak główny z Węgierskiej Górki do nowego schroniska na Pilsku.

Oprócz tego wyznaczono następujące nowe szlaki turystyczne: 1) od przystanku kolejowego Radziechowy przez Bystrą i Juszczynek do głównego szlaku pod Romanką, znaki niebieskie, około 11 km, 2) od stacji kolejowej Milówka przez dolinę Milówek zboczem Lipowskiej przez halę Wojtasia aż do połączenia ze szlakiem głównym na Rysiance, znaki zielone, około 15 km, 3) z Korbielowa od gajówki Kuliga przez Buczynek na Halę Miziową, znaki żółte, około 6 km, 4) płąj przed „Mokrym stawkiem“ na Babiej Górze na Sokolicę znaki zielone, około 4 km, 5) z gościńca w Porąbce przy mostku na potoku z Małej Puszczy przez Żar i Wielki Cisownik do przełęczy Kocierskiej, znaki zielone, około 15 km, 6) od mostu na Sole w Międzybrodziu białskim na Żar, znaki żółte, około 4 km.

Ogółem dokonano odnowienia dawnych i wyznaczenia nowych ścieżek na przestrzeni około 185 km.

W ciągu lata z. r. umieszczono dalej 19 nowych tablic orjentacyjnych a to: w stacjach kolejowych Hucisko, Radziechów, Węg. Górka i Milówka, dalej w Juszczyńce pod Romanką, na halach Rysianka, Pawlusia, Wojtasia i koło schroniska „Makabi“, następnie

w Korbjelowie przy gajówce Kuliga, w Międzybrodziu białskim koło mostu, w Porąbce, na Kocierzcu, w stacji turystycznej na Żarze i na Magórcie, wreszcie dużą tablicę w schronisku na Babiej Górze.

Na sprawie farb, pendzli, tablic i t. p. wydano ogółem niespełna 1000 zł.

Przy wykonaniu powyższych prac położył szczególne zasługi p. prof. Stanisław Merta, za co mu Oddział Babiogórski na tem miejscu wyraża serdeczne podziękowanie,

W uzupełnieniu poprzednich seryj kartek widokowych, wydanych przez Oddział Babiogórski wyszedł z druku staraniem Koła Białskiego nowy nakład 10.000 kartek z widokami Babiej Góry w czterech odmianach. Wkrótce wykończoną będzie serja około 100 przeźroczy ze zdjęć z grupy Pilska i Babiej Góry od Miłówki po Hucisko. Zdjęć dokonał p. Władysław Latko, nauczyciel z Białej. Zakupiono dalej serję około 60 przeźroczy z Pienin.

Koło narciarskie istniejące przy Oddziale Babiogórskim w Żywcu nie może wskutek małej ilości członków rozwinąć żywszej działalności, gdyż ruch narciarski w Żywiczynie rozbity jest niestety na cztery stowarzyszenia. Z tem większem zadowoleniem i uznaniem podnieść należy utworzenie w ostatnich dniach przy Kole Białkiem naszego Oddziału nowej Sekcji narciarskiej, której prezesem jest prof. Stanisław Merta, a sekretarzem p. Stefan Płonka, jednoczącej w sobie spory zastęp polskich miłośników sportu narciarskiego, z których znaczna część należała poprzednio do niemieckiego „Wintersport-klubu“. Sekcja ta zapowiedziała już urządzenie kursów narciarskich pod przewodnictwem wytrawnych instruktorów, których dzięki poleceniu p. generała Przędzieckiego dostarczy 3 pułk s. p.

W grudniu z. r. przejęło Koło Narciarzy Oddziału Babiogórskiego w drodze dzierżawy obszerną lecz jeszcze niezupełnie wykończoną willę p. Klimondy w Zwardoniu i urządza ją jako stację turystyczną, zagospodarowaną przez cały rok, wskutek czego członkowie Oddziału Babiogórskiego, a niezawodnie i całego P. T. T. uzyskują bardzo dogodny punkt oparcia w granicznym pasmie Beskidów zachodnich.

Wreszcie wspomnieć należy o zorganizowaniu służby informacyjnej o stanie śniegu we schroniskach wzgl. stacjach turystycznych na Babiej Górze, Pilsku, Magórcie i Żarze drogą tygodniowych telegraficznych raportów, które przesyłane będą do Zarządu Głównego P. T. T. w Krakowie, a stamtąd rozgłaszane w każdy piątek przez radio.

Obrót kasowy Oddziału w 1928 r. wyniósł 51.705 zł, Koła białskiego 52.518 zł, Koła wadowickiego 707 zł.

Sekcja Narciarska P. T. T.

Na wyteżoną działalność Zarządu S. N. P. T. T. złożyły się w ub. r. dwa czynniki, mianowicie: jubileusz 20-letnicia istnienia klubu i Olimpiada. Uroczystość jubileuszowa połączona była z urządzeniem wielkich zawodów narciarskich o mistrzostwo Zakopanego, które obejmowało: bieg 50 km, bieg wojskowy 25 km, bieg komb. 18 km, bieg pań 8 km, bieg juniorów 8 km, bieg młodzieży 2 km i konkurs skoków na Krokwi. Impreza ta trwała od 19 I.—22 I. z. r. i zakończyła się uroczystym bankietem jubileuszowym, w Dworcu Tatrzańskim. Klub otrzymał z okazji jubileuszu wiele telegramów i pism gratulacyjnych od klubów narciarskich krajowych, od Zarządu Gł. P. T. T., od Prezesa P. T. T. inż. J. W. Czerwińskiego, od Wiceprezesa P. T. T. Prof. Dra Walerego Goetla, od gen. Marjusza Zaruskiego, od „Karpathenvereinu“ i i. Na pamiątkę jubileuszu otrzymali zwycięscy w biegach i skokach pamiątkowe żetony z datami jubileuszowymi 1907—1927. Obchód jubileuszowy był o jeden rok spóźniony z przyczyn od Zarządu niezależnych. Właściwą bowiem datą założenia klubu naszego, jak wynika z protokołu z dnia 13 stycznia 1912 r. jest data 28 luty 1907 r., co w protokole owym podkreśla i pamięci poleca jeden z założycieli S. N. gen. Marjusz Zaruski.

Olimpiada. W wielkim boju narodów w St. Moritz uzyskuje Br. Czech w biegu komb. piąte miejsce z notą 15'125 po dwu norwegach (Groettunstratten i Vinjaringen) i po dwóch fińladczykach (Iarvinen i Nuotio), pozostawiając po sobie tej miary zawodników co: Koelterud, Nemecky, wszystkich szwedów, Niemców, szwajcarów, francuzów, włochów, amerykański i synów kraju wschodzącego słońca (chińczyków nie było). W olimpijskiej polskiej grupie brało udział ze S. N. P. T. T. pięciu zawodników t. j. Bronisław Czech, Krzeptowski Andrzej II., Szostak Karol, Motyka Zdzisław i Motyka Stanisław. Kuraś Józef zastał tak z ekspedycji jakoteż i klubu wyeliminowany.

Międzynarodowe Zawody Narciarskie o Mistrzostwo Polski: S.N.P.T.T. urządza w porozumieniu z P.Z.N. międzynarodowe zawody narciarskie o mistrzostwo Polski w Zakopanem, od 15—19 marca 1928. Mistrzostwo Polski po dwóch latach siedziby w czeskosłowackim Szwie Lызarów powraca dzięki wynikom Br. Czecha znów do Polski, na Skalne Podhale.

Propaganda narciarska: Należy wspomnieć o działalności propagandowej klubu wśród młodzieży. Po 3-tygodniowym kursie narciarskim prowadzonym przez p. Helenę Rytardową urządza S.N.P.T.T. wielkie zawody narciarskie dla młodzieży od 8 do 16 lat. Biegi na Lipkach, skoki na Antałówce, 120 uczestników pełnego zapatu narbyku narciarskiego obojga płci bierze udział w zawodach, nad którymi protektorat objął p. płk. Juljusz Ulrych dyr. P.U.W.F. i P.W. Nagrody dla zwycięzców tych biegów i skoków rozdano w Dworcu Tatrzańskim w postaci dużej ilości nart, wiązań, kijków i smarów.

Bieg Sztafetowy Zakopane—Morskie Oko—Zakopane. 12 sierpnia br. urządziła S.N.P.T.T. letni bieg sztafetowy na przestrzeni Zakopane—Morskie Oko—Zakopane, w którym brały udział 4 kluby: S.N.P.T.T., Katowicki Klub Kolejowy, O.N. Sokoła w Zakopanem i K. S. Giewont. Zwycięstwo odniósł nasz zespół w składzie: inż. K. Schiele, Motyka Zdzisław, Motyka Stanisław, Br. Czech, Szostak Karol, Szczepańczyk, Krzeptowski Andrzej II., Michalski. Gnojek Jan i Ustupski, w czasie 3—21'16". Drugi przybył do mety Kat. Klub. Kol. w 3—24'53" trzeci Giewont.

Kursy narciarskie dla początkujących prowadził jak w latacheszłych p. Zdzisław Rittersschild, przysparzając kasie klubowej kwotę zł. 1049.—, za co Zarząd składa na tem miejscu p. Rittersschildowi serdeczne podziękowanie. Kursy te prócz stałych afiszów reklamowane były bezpłatnie w kinie Sokoła świetlnemi djapozytywami.

Ślizgawka. Zarząd S.N.P.T.T. trzeci rok z rzędu urządził na boisku koło szkoły przem. drzewn. i Muzeum ślizgawkę dla publiczności i młodzieży szkolnej. Wstępy dla tej ostatniej były bezpłatne. Na torze ślizgawkowym odbywały się treningi i zawody eliminacyjne krajowych klubów hockeyowych oraz drugie mistrzostwo Polski w hockey'uu na lodzie które wraz z pucharem Zarządu Uzdrowiska zdobył A. Z. S. Warszawa.

Schroniska w Tatrach Zachodnich. Schronisko Chochołowskie jest w stanie opłakany. Bez stałego nadzoru pada ofiarą grabieży i włamań. Inwentarz w schronisku tem nie da się utrzymać ani przez jeden sezon letni czy zimowy. Schronisko na Pysznjej jest w lepszym stanie. Zostało na bieżący sezon zimowy zaopatrzone w naczynia kuchenne, wiadra, miednice, lampę naftową, świeża wełnę drzewną do sienników, piłę, siekiere, zaszklono okna, poprawiono piec i gruntownie izby wyczyszczono.

Tyle co do zewnętrznej działalności klubu. Ze spraw wewnętrznych należałoby wspomnieć to, co może bliżej interesować zebranych. Członków, którzy uiścili wkładki za ub. sezon liczy S.N.P.T.T. 334 w tem 53 zawodników mniej lub więcej czynnych. Członków honorowych jest 6-ciu: p. gen. Marjusz Zaruski, p. Dyr. Stanisław Barabasz, p. Zdzisław Rittersschild, p. dr. Józef Diehl, p. płk. Wagner Franciszek i p. gen. Kuliński Mieczysław.

W ub. sezonie wydano 107 legitymacji P.Z.N., sprzedano odznak klubowych za zł.: 291'50, nado wybito 200 odznak starych „Zakopiański Oddział Narciarzy Towarzystwa Tatrzańkiego“. Nowych odznak emaljowanych pozostało w zapasie 227. W maju b. r. sporządzono i oceniono inwentarz klubu na sumę zł.: 5.580.

Zarząd S.N.P.T.T. mimo wielkich wydatków spłacił w ub. sezonie wszystkie zaległe od kilku lat długi miejscowym firmom i zaległe wkładki do P. Z. N. Ubezpieczono zawodników w Towarzystwie asekuracyjnym „Patria“. Prenumeruje się pisma sportowe „Stadjon“, „Przegląd Sportowy“, „Sport im Winter“. Tytułem 35% od brutto dochodu ze skoków wpłacił klub Kom. Sport. PZN. kwotę zł.: 1.257'45. Zarząd S.N.P.T.T. wręczył p. gen. Waclawowi Przeździeckiemu piękny w skórę i rzeźbę oprawny album pamiątkowy z 25 fotografiami tatrzańskimi. Nado sporządzono duży album pamiątkowy ze zbiorom fotografii od początków rozwoju narciarstwa polskiego aż do dzisiejszej doby, oraz drugi album rzeczy ciekawych. Piękne okładki do albumu klubowego ofiarował bezinteresownie p. Stanisław Zubek, za co Zarząd składa mu serdeczne podziękowanie.

Z fundusów klubowych wyplacono na budowę domu Pomocy Bratniej w Zak. 50 zł. Życie wewnętrzne klubu owiane było zawsze duchem serdecznego i towarzyskiego stonku tak wśród zawodników jak i w Zarządzie. Wyrazem tego jest harmonja i pełen

wzajemnego zaufania stosunek wszystkich członków w klubie, co w szczególności ujawnia się na skromnych zebraniach i przyjęciach dla zawodników narciarskich i hockejoy'owych. Obrót kasowy Sekcji wyniósł 26.589/86 zł.

Sekcja Ochrony Tatr P. T. T.

Rok 1928 upłynął przedewszystkiem pod znakiem wstępnych prac nad reorganizacją S. O. T. na sekcję Ochrony Przyrody Górskiej P. T. T. i nad objęciem przez nią w opiekę wszystkich gór w Polsce. Sekcja Ochrony Tatr powstała — jak wiadomo — w r. 1912, jako pierwsza na ziemiach polskich instytucja ochronie przyrody poświęcona i w myśl swego statutu zajęła się ochroną pierwotnego krajobrazu tatrzańkiego, opieką flory i fauny oraz przeciwdziałaniem niewłaściwemu zachowaniu się człowieka w stosunku do przyrody pierwotnej, słowem objęła swą działalnością obszar Tatr.

Intenzywną działalność nad urzeczywistnieniem tego programu przerwała na kilka lat wojna światowa. Z chwilą powstania Państwa Polskiego S. O. T. zorganizowała się i podjęła swe prace na nowo, jak świadczą uchwalone przez Walne Zebranie Sekcji już w 1919 r. rezolucje, domagające się od rządu wydania ustaw o ochronie przyrody i o utworzeniu z Tatr i Pienin państwowych parków natury.

Kiedy w 1920 r. powołaną została do życia Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, S. O. T. stała się współpracowniczką P. K. O. P. i pozostawała nią do dnia dzisiejszego w charakterze delegata powstałej później Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Otrzymanie powyższego mandatu dało S. O. T. możność skuteczniejszego urzeczywistnienia swych postulatów i rozpoczęcia szerszej działalności nad szerzeniem propagandy idei ochrony przyrody na gruncie Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego. Jeśli idea ta w ciągu ostatnich kilku lat zdołała przeniknąć do głębi działalność P. T. T. tak, że dziś stanowi ona główną i zasadniczą linię wytyczną kierunku jego prac, jeżeli P. T. T. dostosowuje i realizuje turystykę na zasadach wymagań ochrony przyrody, to rezultat ten zawdzięcza się niewątpliwie działalności propagandowej Sekcji Ochrony Tatr.

Wobec faktu, że realizacja Parku Narodowego w Tatrach stała się kwestją bliską urzeczywistnienia, oraz wobec groźnych niebezpieczeństw, które zaczęły się wyłaniać na obszarach innych gór polskich w stosunku do ich przyrody, Walne Zebranie S. O. T. w 1927 r. uchwaliło zwrócić się do Głównego Zarządu P. T. T. z przedstawieniem konieczności objęcia w ochronę wszystkich gór polskich i utworzenia w tym celu specjalnego organu w P. T. T. Na wniosek Głównego Zarządu Walny Zjazd Delegatów P. T. T. wezwał w swej uchwale w 1928 r. Sekcję O. T. do przeorganizowania się na Sekcję Ochrony Przyrody Górskiej i rozszerzenia zakresu działalności na wszystkie góry polskie. Na ostatnim Walnym Zebraniu b. r. S. O. T. uchwaliła przeprowadzić reorganizację i wybrała komisję w osobach prof. dr. Goetla, prof. dr. J. G. Pawlikowskiego i mjr. Romaniszyna dla opracowania statutu nowej Sekcji.

Z całego szeregu spraw, które zajmowała się sekcja O. T. w bieżącym roku, należy wymienić udział w komisjach opiniodawczych w sprawach kamieniołomu „pod Capkami” oraz Tatrzańskiego Raidu Automobilowego, a nadto interwencje u władz i w Zarządzie Głównym w sprawie powstania prywatnych gospód w dolinach tatrzańskich a w szczególności w dolinie Kościeliskiej. Co do tej ostatniej, S. O. T. zwróciła się do Zarządu Dóbr Zakopane z przedstawieniem konieczności zbudowania na miejsce zburzonej restauracji w dolinie Kościeliskiej nowego budynku restauracyjnego, aby nie dopuścić do powstania w głębi doliny prywatnych gospód; gdy dalsze zwlekanie Fundacji z rozpoczęciem budowy przyniosło szkodę w postaci już udzielonej koncesji niejakiemu Pitoniowi z Kościelisk na utrzymanie w okolicy hali Pisanej rucho-ego skiepiku i gdy ujawniły się starania o dalsze koncesje w tej dolinie, S. O. T. zwróciła się do Głównego Zarządu z przedstawieniem obecnego stanu rzeczy, domagając się interwencji Głównego Zarządu w Kuźnicach w celu wybudowania przez Zarząd Fundacji domu restauracyjnego w dolinie Kościeliskiej oraz podając wniosek, aby w razie dalszej zwłoki ze strony Fundacji Główny Zarząd wziął pod rozwagę możliwość wybudowania przez siebie schroniska z restauracją w tej dolinie.

Ponadto w całym szeregu spraw, jak w opracowywaniu projektów ustaw o Parku Narodowym w Tatrach, ustaw łowieckiej i lasowej, umowy polsko-czeskosłowackiej o ochronie ryb na wodach granicznych i t. d. członkowie Sekcji Ochrony Tatr brali wybitny udział.

W końcu jak corocznie, zajmowała się S. O. T. propagandą, umieszczając w schroniskach i po Zakopanem afisze z wezwaniem do szanowania roślinności i odpowiedniego zachowywania się w górach.

Sekcja Ratownicza P. T. T. w Zakopanem.

Przed rokiem nastąpiła reorganizacja Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego na sekcję P. T. T.

Sekcja ta interwenjowała sprawnie we wszystkich wypadkach w górach.

Dotychczas brak szczegółowego sprawozdania z działalności tej sekcji. Należy jednak wspomnieć o ostatniej interwencji Sekcji w zimie w nieszczęśliwym wypadku zasypiania lawiną dwóch narciarzy na Skupniowym Uplązie w żlebie pod Kopą Królowej.

Dnia 17 marca 1929 około godziny 11 rano zdążyło dwóch narciarzy, Józef Roj, syn Stanisława Roja z Zakopanego i Tadeusz Stasina drogą przez Skupniowy Uplaz na Halę Gąsienicową na nartach. Kilkadziesiąt metrów przed miejscem, gdzie droga na Skupniowym Uplązie dochodzi i łączy się ze żlebem pod Kopą Królowej narciarze ci skuszeni doskonałym śniegiem zjechali z drogi w dół kilku łukami, wskutek czego podcięli duży płat sypkiego śniegu, powodując osunięcie się lawiny. Lawina ta porwała obydwu narciarzy, skośnie znosząc ich do żlebu, gdzie zostali zasypiani również i drugą lawiną, która spłynęła równocześnie żlebem z pod Kopy Królowej. Tragedja ta dokonała się w przeciągu kilku sekund w oczach paru turystów zdążających na Halę Gąsienicową. Część tych świadków wypadku natychmiast zjechała na nartach do żlebu i dzięki wystającej ze śniegu nartcie należącej do Tadeusza Stasiny, wydobyła go w stanie półprzytomnym. Rozpoczęto natychmiast poszukiwania za Józefem Rojem. Druga część turystów udała się spieszenie na Halę Gąsienicową z doniesieniem o wypadku i celem zabrania kilku łopat do odgrzebywania śniegu. Z Hali Gąsienicowej zawiadomiono również telefonicznie Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, które w przeciągu półtorej godziny przybyło na miejsce wypadku. Lawina swą wielkością, długością i głębokością przedstawiała obraz niesamowity. Długość jej wynosiła około 500 m, głębokość zaś od 3—5 metrów. Poszukiwania w tych warunkach przedstawiały nieprawdopodobne trudności, przerastające siły nie tylko członków Tatr. Och. Pog. Rat., lecz wszystkich turystów i ludności, która na wieść o wypadku tłumnie gromadziła się wciąż przy lawinie. Ponieważ nikt ze świadków osuwającej się lawiny nie zdołał zobaczyć, w którym miejscu w żlebie strumienie śniegu zasypały drugiego narciarza, Roja, przeto prace nad rozkopywaniem śniegu prowadzono naraz w kilku miejscach, licząc tylko na przypadkowe natrafienie ciała Roja, o znalezieniu bowiem w stanie żywym nie mogło być mowy ze względu na to, że od wypadku upłynęło już dużo godzin, a śnieg lawiny był niezwykle twardy. Poszukiwania trwały do późnej nocy bezskutecznie. Na drugi dzień również wcześniej zrana rozpoczęto prace trwające cały dzień. Dopiero w trzecim dniu sondowaniem śniegu długimi prętami żelaznymi udało się natknąć na zwłoki Roja, które natychmiast odkopano i zwieziono do Zakopanego. Zwłoki leżały w pozycji skulonej na głębokości 5 m w górnej połowie lawiny, w miejscu, w którym najmniej spodziewano się je znaleźć.

Sekcja Turystyczna P. T. T.

Sekcja Turystyczna, założona w r 1903 jako pierwsza z Sekcyj P. T. T., obchodziła w roku sprawozdawczym 25-lecie swego istnienia. Uroczystości jubileuszowe odbyły się w Zakopanem w dniach 14 i 15 sierpnia 1928 r. Liczny w nich udział taterników polskich oraz delegatów zagranicznych towarzystw, poświęconych turystyce górskiej, nie tylko świadczył o przywiązaniu swoich a uznaniu obcych dla dotychczasowej działalności Sekcji, ale co najważniejsza sprawił, że nawiązaną została znowu nić życia klubowego i współpracy około osiągania celów, którym Sekcja służy. Nić ta zdawała się już zerwaną przez przewrót wojenny. W słusznym przewidywaniu tak pomyślnego wyniku Zarząd poświęcił przygotowaniu obchodu jubileuszowego znaczną część swych wysiłków w pierwszej połowie roku sprawozdawczego.

Pozatem podjęto ponowną próbę regularnego wydawania organu Sekcji, „Taternika“; dzięki ofiarnej pracy dra Romana Kordysa, który podjął walkę z trudnościami finansowymi, dzięki wysiłkom redakcji, którą sprawował dr. Swierz, dzięki wreszcie ofiarności Zarządu Głównego i Oddziałów P. T. T.: lwowskiego, poznańskiego, stani-

stawowskiego, warszawskiego i wileńskiego (óraz prywatnej dra Aug. Pawluszkievicza), które udzieliły subwencji na wydawnictwo, próbę tę uwieńczył pomyślny skutek. „Taternik“ wyszedł w r. 1928 w przedwojennej niemal objętości, a bogactwem treści nie ustępuje najlepszym dawnym rocznikom. Redaktora wspomagał w pracy komitet redakcyjny, do którego weszli pp.: inż. J. Chmielowski, dr. R. Kordys, dr. M. Sokołowski i S. K. Zaremba.

W roku sprawozdawczym, podobnie jak w latach poprzednich (od r. 1922), sprawowała Sekcja, jako organ P. T. T., nadzór nad przewodnictwem. „Komisję do spraw przewodnictwa w Tatrach“ stanowili pp.: J. Oppenheim, J. G. Pawlikowski jun., S. Byrcyn Gąsienica i J. Marusarz. Zmienione warunki społeczne i usamodzielnianie się ruchu turystycznego sprawiły, że ilość przewodników jest dziś niewielka; dawniejsi i nowi adeptci cieszą się jednak nadal zasłużoną sławą.

Brak odpowiedniego lokalu utrudniał Sekcji w znacznym stopniu rozwinięcie żywszej działalności na innych polach, zwłaszcza od czasu, gdy Zarząd, wybrany 15 sierpnia 1928 r. na XIX. Og. Zgromadzeniu, przeniósł jej agendy z Zakopanego do Krakowa. Brak ten wynagradza choć w części gościna udzielona Sekcji przez Zarząd Główny i Oddział krakowski P. T. T. Wszelako cenna biblioteka, przeniesiona tu z Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem (gdzie pomieszczenie jej stawało się z każdym dniem bardziej nieodpowiedniem), nie mogła być przed końcem roku sprawozdawczego oddaną do użytku członków.

Zarząd Sekcji składali do dnia 15 sierpnia 1928 r. pp.: dr. M. Świerz, przewodniczący; ks. J. Humpola, zastępca przewodniczącego; członkowie: inż. J. Chmielowski, dr. W. Goetel, inż. J. Jaroszyński, Z. Rittersschild, mjr. B. Romaniszyn, dr. A. Sokołowski, dr. M. Sokołowski. Z dniem 15 sierpnia 1928 weszli do Zarządu pp.: dr. S. Komornicki, przewodniczący; dr. M. Sokołowski, zastępca przewodn.; członkowie: J. K. Dorawski, ks. J. Humpola, dr. W. Łaba, J. A. Szczepański, dr. M. Świerz, dr. W. Zakrzewski, S. K. Zaremba. Do Komisji kontrolującej weszli pp.: Stefan Porębski, Z. Rittersschild, A. Znamięcki.

Członków liczyła Sekcja 92, w tem honorowych 11. Obrót kasowy wynosił 3.950 63 zł.

